

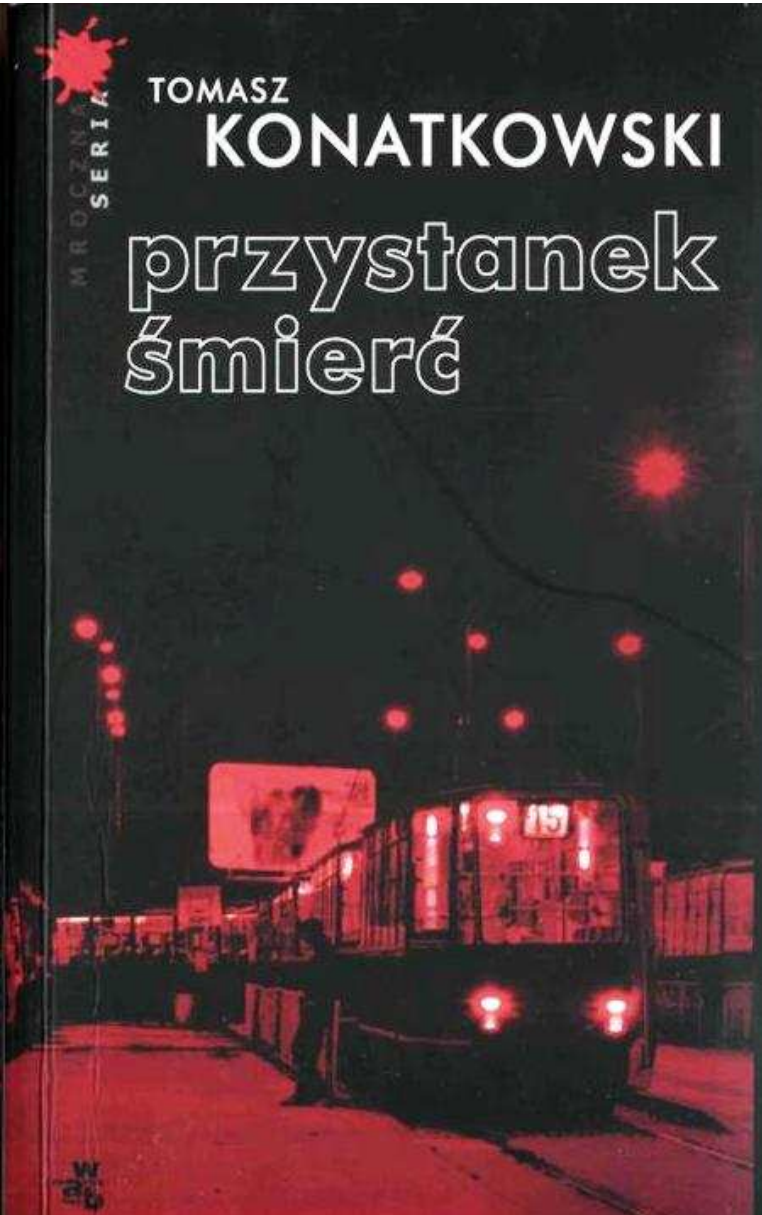


MROCCZYWA  
SERIA

TOMASZ

KONATKOWSKI

przystanek  
śmierć



W  
e  
p



Na pętli motorniczy znajduje w wagonie ugodzonego nożem mężczyznę. Wkrótce na końcowym przystanku innej linii tramwajowej ktoś dusi sznurem pijaka. Do akcji wkracza komisarz Adam Nowak, zgorzkniały rozwodnik przed czterdziestką, kibic warszawskiej Polonii, koneser rocka z lat 70. i 80. Kolejne zabójstwo popełnione w podobnych okolicznościach upewnia policjantów z Komendy Stołecznej, że mają do czynienia z seryjnym mordercą, próbującym nawiązać z nimi makabryczny dialog. Tropy prowadzą w najróżniejszych kierunkach – pracownicy ZTM-u, grafficiarze, miłośnicy komunikacji miejskiej, goście portalu randkowego. Morderca zostawia znaki i wskazówki, wysyła maile z anonimowych serwerów, zadaje zagadki... A wszystko to w scenerii współczesnej Warszawy, którą trudno pokochać, miasta tętniącego życiem i pełnego śladów dramatycznej przeszłości.



M R O C Z N A  
S E R I A

TOMASZ

**KONATKOWSKI**

przystanek  
śmierć

w  
ab

**Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007**  
**Wydanie I**  
**Warszawa 2008**

# Dwunastka

## 1

Tramwaj linii 12 wjechał na pętlę Nowe Bemowo. Motorniczy poczekał, aż pasażerowie opuszczą skład, wyłączył kasowniki, przygasił światła i wyszedł z kabiny na zewnątrz, żeby zapalić papierosa. Pomacał kieszenie służbowej marynarki i zaklął. Jasna cholera, znowu zapomniał kupić fajki.

Rozejrzał się. Kioski już pozamykane, sklepik po drugiej stronie Powstańców Śląskich nieczynny. Na stację benzynową nie chciało mu się iść, zresztą i tak by się spóźnił z odjazdem. Na szczęście obok stała jedyńka. Młoda dziewczyna siedziała w kabinie i czytała kolorowe pismo. Nie widział jej wcześniej. Do pracy ciągle przyjmowano nowe osoby, a rotacja była spora.

- Dobry wieczór, koleżanko. - Zapukał w szybę. - Nie masz przypadkiem papierosów?

- Co? - Kobieta przez chwilę wyglądała na nieco przestraszoną. Uspokoiła się, widząc innego motorniczego. - A tak, tak, mam... Proszę, niech się pan poczęstuje.

Spojrzał z niesmakiem na białe pudełko aromatyzowanych cygaretek. Wyciągnął jedną, podziękował i zapalił. „Tfu, babskie paskudztwo. Jak można palić coś, co w ogóle nie pachnie tytoniem?!” Dobrze, że go nikt nie widzi w tej chwili. Wrócił do swojego składu.

I wtedy zobaczył w drugim wagonie pasażera. Głowa oparta o szybę, chyba śpi. Zapukał w okno. Gość nie zareagował.

Właściwie motorniczy nie musiał tego robić. Ot, jeszcze jeden pijacek, który nie pierwszy raz wróci do domu trochę później, żona robi mu awanturę, on ją pobije, a może po prostu zwali się od razu na wyrko i zaśnie, nie zdjawszy nawet butów. Ale przecież o tej porze ktoś może go łatwo okraść, jeżeli już tego nie zrobił. Poza tym niedługo i tak trzeba będzie faceta wyrzucić, zajezdnia to nie izba wytrzeźwień i nie przechowuje zbłąkanych dusz na noc. Wrócił do kabiny, otworzył drzwi w składzie i przeszedł do drugiego wagonu. Potrząsnął faceta za ramię.

- No, obudź się, człowieku. Halo!

I wtedy zobaczył, że mężczyzna ma otwarte oczy. I zakrwawioną koszulę.

Motorniczy gwałtownie odskoczył. Widział wiele rzeczy w ciągu trzydziestu lat pracy, ale nigdy nie miał trupa w wozie. Bo wiedział już, że pasażer nie żyje. Po chwili znalazł w sobie tyle opanowania, by na wszelki wypadek sprawdzić oddech i tętno na jego szyi. Nie wyczuł nic. Wyskoczył z wagonu i pobiegł do budki dyspozytora.

- Dzwon na policję! - krzyknął.

- Co się stało, panie Markowski? Jakaś bójka?

- Człowiek nie żyje! Trup, w moim tramwaju!

Komisarz Adam Nowak mieszkał na osiedlu Piaski, w pobliżu innej pętli tramwajowej. Od półtora roku zajmował dwupokojowe mieszkanie, ciągle wymagające remontu, na który nie było go stać. Wziął kredyt w banku na maksymalny dopuszczalny okres - piętnaście lat. Cóż, nie było to może luksusowe miejsce, ale po pierwsze, no właśnie, na nowe mieszkanie tym bardziej nie mógł sobie pozwolić. Chyba że w Piastowie albo w Grodzisku. Po drugie, stare gierkowskie bloki, zbudowane przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, trzymały się dość dobrze. Spółdzielnia dbała o nie całkiem nieźle. Trudno

zresztą, żeby było inaczej, przy takiej wysokości funduszu remontowego... Niedawno blok został ocieplony, otynkowany i wyróżniał się fajnym żółtym kolorem. No i łatwo było stąd wszędzie dojechać. Tramwajem, autobusem i samochodem. Raz na jakiś czas Nowak musiał sobie to wszystko wyliczyć, nie wiadomo właściwie po co. Chyba dlatego, żeby samemu sobie udowodnić słuszność podjętej jakiś czas temu decyzji. Najwyraźniej wciąż musiał się przekonywać do swojego wyboru.

Siedział przed telewizorem i sprawdzał na stronach telegazety wyniki Serie A. W sumie zastanawiał się, czy już nie iść spać, kiedy zadzwoniła komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Komenda Stołeczna. Cholera jasna.

- Tak?

- Komisarz Nowak? Za chwilę przyjedzie po pana radiowóz. Motorniczy znalazł zwłoki w tramwaju na Bemowie. Na pętli.

Nowak nie musiał pytać o nic więcej. Wiedział, że do faceta, który miał atak serca w tramwaju, raczej nie wzywa się policjanta z wydziału zabójstw, oficjalnie - z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji. Z tej nazwy Nowaka dotyczyła tylko druga jej część. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Poczekaj na radiowóz. Mógł podjechać autobusem, ale w niedzielę późnym wieczorem oznaczało to długie czekanie na przystanku. Linii tramwajowej łączącej Bielany z Bemowem jeszcze nie było, choć prace na Reymonta już się zaczęły.

Migające koguty na radiowozach i mały reflektor oświetlający wagon było widać z daleka. Ekipa techników z zespołu oględzinowego odgrodziła dostęp do przystanku i rozpoczęła zbieranie śladów. Na szczęście nie było gapiów, pętla znajdowała się z dala od bloków. Tylko parę osób czekających na odjazd ostatniego tramwaju podeszło i patrzyło na to, co się dzieje.

- Pan komisarz Nowak? - Wysoki, młody policjant w mundurze wyszedł do niego. - Aspirant Roman Kowalski z Komisariatu Policji Bemowo. Dostaliśmy zgłoszenie od dyspozytora. Motorniczy... - aspirant zajrzał do notatek -...Józef Markowski znalazł zwłoki. Około 22.05, kiedy przyjechał na pętlę. Wcześniej nie widział nic podejrzanego. Siedzi tam. - Aspirant wskazał na budynek przy pętli.

Nowak przywitał się z szefem grupy wysłanej przez Laboratorium Kryminalistyczne KSP. Roberta Nowackiego znał dość dobrze. Poznali się przypadkiem, w kolejce do lekarza na badaniach okresowych. Wielokrotnie już współpracowali przy różnych sprawach.

- Cześć Robert. Co macie?

- Paskudna sprawa. Facetowi ktoś wbił nóż prosto w serce. I zdołał wyciągnąć, bo narzędzia nie znaleźiono.

- Jakież ślady?

- Daj spokój. Mamy od cholery roboty. Do rana się chyba z tym nie ogarniemy. To w końcu tramwaj.

- Cały katalog odcisków?

- Żebyś wiedział. Mam wrażenie, jakbym zbierał materiały do pracy naukowej. Tragedia.

- Prokurator?

- Był już. Pojechał do domu.

- Kto?

- Michał Borowski.

- Dobrze. Z tym facetem da się współpracować - mruknął Nowak i skierował się do dyspozytorni.

- Panie, ja trzydzieści lat jeżdżę na tramwajach, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem! - Roztrzęsiony motorniczy zaciągnął się papierosem. - Zabili człowieka! W moim tramwaju!

- Proszę się nie denerwować - powiedział Nowak.

- Łatwo panu tak mówić. - Markowski pokręcił głową. - Niemożliwe, niemożliwe...



- Ustalmy parę faktów. Czy widział pan kogoś wychodzącego z tramwaju na pętli, zwłaszcza z drugiego wagonu?

- Patrząc przecież w lusterko, zanim zamknę drzwi. W pierwszym wagonie było może z dziesięć osób. Z drugiego nikt nie wysiadł.

- Jak pan sądzi, kiedy to się mogło stać? Kiedy mogło dojść do zabójstwa?

- Pewnie na jednym z ostatnich przystanków na Bemowie albo na Kole, no, wie pan, jeszcze przed skretem w Powstańców. Kiedy nie było już zbyt wiele osób w wozie.

- Widział pan coś podejrzanego? Jakiegoś człowieka, grupę?

- Nie, nie widziałem. Wie pan, jakąś awanturę, pijanych gówniarzy w dresach czy uciekającego złodziejaszka to bym zobaczył albo usłyszał. O tej porze jeździ mało ludzi, zwłaszcza w niedzielę. Hm... Na pewno ktoś z drugiego wagonu wysiadał.

- Starszy mężczyzna zastanowił się. - Może przy ogródkach działkowych. Nie pamiętam dokładnie, ciemno tam jest.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna, chyba mężczyzna... I wsiadała para młodych ludzi. A potem na Powstańców widziałem, że wybiegli i weszli do pierwszego wagonu.

- Wybiegli z drugiego wagonu?

- Aha. Tak jakby coś zobaczyli i przestraszyli się. Ale nie podeszli do mnie. Widziałem, że wysiedli na pętli.

- Potrafi pan ich opisać? Przypomina pan sobie, jak byli ubrani?

- Nie wydaje mi się... - Motorniczy podrapał się po głowie.

- Nawet w dzień ich trudno odróżnić. Przynajmniej chłopaków. Tamten był krótko ostrzyżony, w kurtce, dżinsowej takiej albo sportowej, z jakimś napisem. Dziewczyna miała jasną bluzę.

- Panie Markowski, jeżeli coś sobie pan przypomni, bardzo proszę o kontakt, najlepiej ze mną. - Komisarz podał mu swoją wizytówkę.

Ekipa Nowackiego kontynuowała pracę. Ciało denata już ułożono na foliowej płachcie. Nowak podszedł, żeby przyjrzeć się zwłokom, zanim zabierze je karetka do zakładu medycyny sądowej.

- Faceta pchnięto nożem, z przodu, nieco z góry. Zapewne spał na siedzeniu w takiej pozycji, w jakiej go znaleziono - wyjaśniał Nowacki. - Gość siedział po prawej stronie wagonu, zatem morderca, stojąc z przodu, miał go po lewej. Musiał się nieco pochylić. Moim zdaniem najprawdopodobniej zabójca był leworęczny.

- Czy są jakieś ślady walki?

- Żadnych. Wygląda to na śmierć zadaną rozmyślnie, z zimną krwią. Być może ofiara była zaskoczona. Ale najpewniej facet po prostu spał. Sekcja powinna wykazać, czy był pijany, czy nie.

- Miał dokumenty?

- Tak, dowód osobisty. Jest tutaj. - Nowacki wskazał na stolik rozstawiony przy furgonetce.

Nowak wziął od technika jednorazowe rękawiczki i wyjął dokument z plastikowej torebki z hermetycznym zatrzaskiem. Przekartkował stary, nieco podniszczony dowód. Stary dowód dostarcza od razu więcej informacji niż te nowe, plastikowe. Witold Oleszkiewicz. Nauczyciel z zawodu, obecnie emeryt. Lat sześćdziesiąt osiem. Zameldowany na Obozowej, na Kole.

- Jakież pieniądze, portfel?

- Tak, był w kieszeni spodni. Tylko trzydzieści złotych, jakiś kalendarzyk, karta miejska, odcinek emerytury. Ale jest też komórka. - Nowacki pokazał ją. - Ktoś do niego wydzwania przez ostatnie dwie godziny. Numery wyświetlają się jako „DOM” i „Krzysztof”. Zapisaliśmy je, oczywiście nie odbieraliśmy.

- Słusznie. Rodzinę poinformujemy jutro.

Nowak wsunął dowód z powrotem do torebki. Zadzwoił do centrali i podał dane zamordowanego oraz oba numery telefoniczne.

Hm, nauczyciel z Obozowej. Pewnie tam mieszka. Jeżeli jechał do domu, zamordowano go jeszcze przed Obozową. Jeżeli zginął gdzieś przy końcu trasy, musiał mieć coś do załatwienia na Bemowie. O tej porze, w niedzielę? Może po prostu zasnął.

Rozejrzał się. Na przystanku stała grupa mężczyzn w jednakowych marynarkach i krawatach, przyglądali się pracy policjantów, wymieniając między sobą uwagi. Domyślił się, że to kierowcy autobusów czekający na ostatni kurs z pętli do centrum. Zawołał aspiranta i poprosił go o spisanie personaliów kierowców i motorniczych.

- Już to zrobiliśmy. - Kowalski spojrzął na Nowaka prawie ze złością. - Mamy nazwiska wszystkich motorniczych i kierowców, którzy byli na pętli w momencie odkrycia zwłok. Część przesłuchaliśmy, część wcześniej musiała jechać. Nikt nie widział nic szczególnego.

- Dziękuję - rzucił komisarz. - Co pan o tym sądzi?

- Ja? Nic nie sądzę. - Aspirant wruszył ramionami. - Morderstwo i tyle. Wiem, że to śmierć, ale bardzo czysta. Widziałem gorsze rzeczy. - Machnął ręką w kierunku bloków. Nie wiadomo, czy miał na myśli to konkretne osiedle, czy całe Bemowo, Bielany, czy może Warszawę. - Nic podobnego się tu w każdym razie nie zdarzyło. A od motywu to już chyba pan jest, panie komisarzu.

- Taaa. Motywu. - Mózg komisarza nie pracował o tej porze na pełnych obrotach. Nowak wiedział, że sprawa już się zaczęła, ale najważniejsze decyzje zapadną jutro. - Mam do pana prośbę...

- Domyślał się. - Kowalski nie wyglądał na szczęśliwego. - Trzeba poinformować rodzinę.

- Tak, ale nie teraz. Jutro rano.

- Dobrze, panie komisarzu. Coś jeszcze?

Nowak spojrzął na zachmurzone, bezgwiazdne niebo, potem w stronę bloków. Światła paliły się w niewielu oknach. Mimo późnej pory na balkonach pojawiło się jednak parę sylwetek osób zainteresowanych tym, co się dzieje na pętli. Po drugiej stronie Powstańców stał jakiś facet z psem na smyczy.

Pojedyncze samochody, głównie taksówki, przejeżdżały w obie strony. Niedziela, siedemnasty kwietnia. Kolejny tydzień w Warszawie dobiegał końca. - Nie, już nic. Będziemy w kontakcie.

## 2

- No i co, twoja Polonia znowu dostała w dupę - rzucił komisarz Zakrzewski, widząc wchodzącego Nowaka.

- No, dostała. - Nowak wzruszył ramionami. - Byłem na tym meczu. Faktycznie spodziewałem się co najmniej remisu.

- Cztery bramki w plecy to trochę sporo. Wprawdzie od Wisły, ale nie tej z Krakowa, tylko z Płocka! I to na własnym stadionie!

- Twoja Legia nie była lepsza. Przegraliście u siebie 0:1 z Odrą Wodzisław...

- Kompletnie nie rozumiem, jak policjant może chodzić na mecze - odezwał się Drzyzga.

Nowak i Zakrzewski spojrzeli na niego. Marcin Drzyzga odzywał się raczej rzadko. Pewnie dlatego wszyscy bardziej zwracali uwagę na to, co mówi.

- Futbol marny, a na dodatek musisz słuchać tych wszystkich przyśpiewek. „Policja zawsze i wszędzie jebana będzie” - wyjaśnił.

- Daj spokój, Marcin. Po pierwsze, nie tak często słyszać takie rzeczy na Konwiktorskiej, a po drugie, może i Polonia to nie Real ani Milan...

- Ani nawet Legia - mruknął złośliwie Zakrzewski.

- ...ale jednak to jest piłka. Emocje są prawdziwe. Kibic ma więcej powodów do radości i smutku niż inni ludzie. I nawet wie, kiedy będzie miał te uczucia. W sobotę, w niedzielę, czasem we środę. Gwarantowane, według terminarza.

- Emocje? - Drzyzga prychnął. - Mógłbyś pójść do kina albo do teatru.

- To nie to samo. Wiesz, kiedy oglądam mecz Ligi Mistrzów, to jest jak w teatrze. - Nowak się zapalił. - Podziwiam grę, cieszę się z bramek, czasem się nudzę. Ale nie ma tych ciągłych nerwów, złości, zniechęcenia, które masz na meczu swojej drużyny.

- W wypadku Polonii chyba tylko zniechęcenia - rzucił Zakrzewski. - Oj, Adam, znajdź sobie żonę. Będziesz miał prawdziwe emocje, złość, zniechęcenie i teatr uczuć czy jak to tam nazywasz.

- Taaa, wiesz, już to miałem. - Nowak nie musiał się nawet irytować. - Kobiety przychodzą i odchodzą, a drużynę wybiera się na całe życie.

- Stary, ale ty nawet nie jesteś warszawiakiem. Dlaczego akurat Polonia?

- Bo zawsze chciałem chodzić na mecze pierwszej ligi. A Legii, przecież kibicował nie będę. - Spojrzał na Zakrzewskiego, wiedząc, co się za chwilę stanie. Bawiły go te poniedziałkowe kłótnie.

- Daj spokój, znowu te brednie. - Zakrzewski się wkurzył. - Zaraz zaczniesz opowiadać kombatanckie historie o tym, jak to twój stary warszawski klub był prześladowany za komuny. O tym, że Legia była faworyzowana przez władze, a Polonia musiała tułać się po trzeciej lidze. Przecież to stare dzieje, tego pieprzenia już się nie da słuchać. Komuny nie ma, a wasi działacze żyją w poprzedniej epoce. Nic dziwnego, że ciągle jesteście dziadami w Warszawie. Poza tym Gmoch miał rację. Polonia nie ma kibiców, bo większość już poumierła.

- Paru jeszcze zostało. Tych, którzy pamiętają mistrzostwo na gruzach, w 1946 roku.

- Niedługo zabraknie tych, którzy pamiętają mistrza z 2000 roku - odparł Zakrzewski. - A w ogóle, skoro z ciebie taki kibic, to wiesz przynajmniej, na którym miejscu jest drużyna z twojego miasta?

- Na szóstym miejscu w swojej grupie ligi okręgowej - odpowiedział natychmiast Nowak.

Zaczynał tydzień od przejrzenia internetowego wydania gazety. Rzut oka na strony dodatku regionalnego i już wiedział, jakie ma wyniki Mazur Radzymin. Czasami dzwonił do ojca, który wciąż chodził na mecze. W porządnym robotniczym rodzinach była to stara tradycja. Nie tylko robotniczych zresztą. I nie tylko porządnym. Pamiętał jeszcze dziadka popijającego ukradkiem z małpki i rozmawiającego o piłce z kolegami, rencistami takimi jak on. Tak, Nowak nie mógł żyć bez futbolu. A znał ludzi, którzy nawet w czasie mundialu czy mistrzostw Europy nie byli w stanie pasjonować się piłką nożną. Pamiętał spotkanie z kolegą informatykiem. Byli wówczas ze swoimi żonami (zabawne, dziś obaj są po rozwodach) i oglądali mecz Belgia-Rosja. Po mniej więcej osiemdziesięciu minutach gry i kolejnej bramce strzelonej przez Belgów ucieszył się: „No, to Belgia awansowała”. Kolega zapytał: „Jak to? To Rosjanie nie grają w czerwonych koszulkach?”

Miał swoją teorię: ludzie, którzy nie lubią futbolu, nudzą się szybko meczami w telewizji, bo nie potrafią ich oglądać. Patrzą przez cały czas na piłkę. Ale prawdziwy kibic rozgląda się po całym boisku. I wie, że na stadionie widać znacznie więcej niż w telewizji. Oczywiście nie ma powtórek, czasami nie wiadomo, czy faktycznie był spalony i czy obelgi pod adresem sędziego są uzasadnione. Za tobą siedzi staruszek, który kopci fajranty i klunie jak szewc, obok dzieci drą się potwornie, Polonia przegrywa, a spikerowi płacze się język (od paru kieliszków na rozgrzewkę albo po prostu z przyzwyczajenia). Pewnie, że można sobie wyobrazić lepsze formy spędzania wolnego czasu. No i co z tego - lubił to i zawsze z niecierpliwością czekał na rozpoczęcie kolejnego sezonu czy rundy wiosennej. Przychodzić na spokojny (na ogół) stadion przy Konwiktorskiej. Wspominać sukcesy, które były, i te, które mogły być, gdyby nie... i tu zaczynała się litania nazwisk, pokrętnych wyjaśnień i dziwnych teorii. Marzyć o przyszłości. I śpiewać: „Za teee czterdzieści lat, za trzeeciej ligi smak, na miiistrza Polski przyyyszedł czas, to Polooonia Warszawa”.

Do pokoju wszedł podinspektor Michalski, kierownik zespołu w sekcji zajmującej się zabójstwami, bezpośredni przełożony Nowaka. Popatrzył na niego i na naburmuszonego Zakrzewskiego.

- Co, znowu pokłóciliście się o piłkę? Jak dzieci, jak dzieci...

- ...tylko futbol i dziwki w głowie - mruknął Zakrzewski.

- Dobrze, panowie, do roboty. - Michalski spojrział na Nowaka. - Będziesz zajmował się śledztwem w sprawie tego morderstwa na Bemowie.

- Na Bemowie znaleziono ciało, jeszcze nie wiadomo, czy tam miało miejsce samo morderstwo - zauważył Nowak.

- Dwunastka ma długą trasę. Wyniki sekcji przyjdą niedługo, pewnie niczego nowego się nie dowiemy. Zabity precyzyjnym pchnięciem w serce. Kto z prokuratury prowadzi śledztwo, Borowski? Był na miejscu.

- Tak.

- W porządku. Będzie nam pomagał, a nie przeszkadzał.

- Coś więcej wiadomo o ofierze? Potencjalne motywy? - zapytał Michalski.

- Na razie raczej niewiele. Emerytowany nauczyciel, nie-notowany. Motyw? Zemsta jakiegoś dawnego ucznia? - Nowak się zastanowił. - Niekoniecznie ucznia zresztą. Może kiedyś zrobił coś złego. Może znęcał się nad żoną lub dziećmi. A może został po prostu zabity przez naćpanego bandytę.

- Przez gangstera, który musiał zdać egzamin - wtrącił Zakrzewski.

- Nie wygłupiaj się! - rzucił inspektor. - Nikt nie będzie ryzykował popełnienia morderstwa w publicznym miejscu, żeby zdać egzamin na żołnierza.

- Czy to mogła być egzekucja? - zapytał Drzyzga.

- Egzekucja? - Zakrzewski był cokolwiek zdziwiony. - Egzekucja w tramwaju?

- Nigdy nic nie wiadomo - powiedział Nowak. - Niedawno parę bloków ode mnie zastrzelono faceta na klatce schodowej, pamiętacie?

- Daj spokój, czy ten gość wygląda na gangstera?

- A widziałeś zdjęcia szefów „Pruszkowa”? Czy któryś wyglądał na psychopatę?

- Nie trzeba być kimś ważnym, żeby zasłużyć na egzekucję - wtrącił Drzyzga. - Może miał długi i wierzyciele stracili cierpliwość. Może wiedział coś o dilerach.

- W każdym razie ktoś, kto go zabił, może być profesjonalistą. To mogła być egzekucja. Nie każdy potrafi z zimną krwią wbić facetowi nóż w serce.

- Nie każdy ma tyle siły - dodał Zakrzewski.

- Słusznie. No i narkotyki, hazard, długi, to wszystko trzeba sprawdzić. - Podinspektor Michalski zwrócił się do Nowaka: - Chcesz mieć kogoś z Bemowa do pomocy?

- Tak, aspiranta Kowalskiego. Wygląda na rozsądnego. Dziś ma odwiedzić rodzinę ofiary, będziemy więcej wiedzieć o tym nauczycielu.

- Nowak i Kowalski... - Michalski się roześmiał. - Niezła ekipa. Smith and Jones.

Komisarz zadzwonił do Kowalskiego. Aspirant był u siebie na Bemowie. Nowak poinformował go, że bierze udział w śledztwie prowadzonym przez Komendę Stołeczną.

- Byłem u jego żony na Obozowej. Sama wcześniej dzwoniła na policję - powiedział Kowalski.

- Czekala do rana, żeby zgłosić zaginięcie męża?

- Nie, Zadzwoniła około północy. Mówiła, że zdarzało mu się czasami zasiedzieć u kolegi na Pradze. Tego dnia też u niego był, ale jak zwykle dał znać, że niedługo jedzie. Dzwonił około 21.30.

- Był pan już u tego kolegi?

- Nie. To też jakiś emeryt, nauczyciel, pracowali przez wiele lat w tej samej szkole. - Nowak usłyszał szelest kartek. - Jarosław Rzepecki. Wdowiec, mieszka sam, na Berezyńskiej na Saskiej Kępie.

- Dobrze, wobec tego niech pan dziś go odwiedzi. Ja wieczorem zajrzę do pani Oleszkiewicz. Jak ona ma na imię?



- Jadwiga... - Kowalski zawiesił głos. - Uprzedziłem, że policja jeszcze będzie ją niepokoić w najbliższym czasie. Jest załamana, panie komisarzu. Nie wiem, czy w takim stanie coś pan z niej wyciągnie. Poza tym nie ma pojęcia, jaki był motyw zbrodni, jeżeli w ogóle był. Ciągłe powtarza: „Komu on zawi-nił? Kto to mógł zrobić?”

- Hm, w takim razie zadzwonię do niej i umówię się na później. Czy jest sama, czy ktoś jej pomaga?

- Powiadomiła syna... Krzysztof Oleszkiewicz, lat trzydzieści osiem, zdaje się jakiś biznesmen. I jeszcze jest starszy brat, Stanisław Oleszkiewicz. Mieszka na Ochocie.

Nowak od razu zadzwonił pod zanotowany wczoraj numer.

- Halo? - Nowak domyślił się, że ostry, młody głos w słuchawce należy do Krzysztofa Oleszkiewicza.

- Mówi komisarz Adam Nowak z Komendy Stołecznej Policji. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci pana Witolda Oleszkiewicza.

- A, znowu policja. - W głosie rozmówcy słychać było niechęć. - Proszę posłuchać, kontakty z pana instytucją nie są najprzyjemniejsze. Pan rozumie, w jakiej sytuacji znalazła się nasza rodzina, zwłaszcza mama. Staram się oszczędzić jej większości kłopotów i formalności. I nie wyobrażam sobie, żeby to ona załatwiała sprawy z policją. Cała ta biurokratyczna procedura, którą musiałem przejść przy okazji identyfikacji zwłok ojca... A potem chciałem się dowiedzieć, kiedy będę mógł odebrać ciało. Policjant, który mnie skierował do zakładu medycyny sądowej, nie wiedział, ale podał telefon przełożonego. Wie pan, z iloma osobami byłem łączony, zanim udało mi się porozmawiać z kimś, kto udzielił mi konkretnej informacji? Z pięcioma! Przyzna pan, że mam prawo wymagać nieco lepszej organizacji i odrobiny zrozumienia od instytucji, którą utrzymuję ze swoich podatków...

Aha, podatnik. Nowak przerwał wywód Oleszkiewicza.

- Bardzo mi przykro, panie Krzysztofie przede wszystkim z powodu śmierci pańskiego ojca. Proszę przyjąć moje szczerze

wyraży współczucia. Przepraszam także za wszelkie kłopoty, z którymi spotkał się pan z naszej strony.

- Dziękuję... - Głos w słuchawce nie stał się wcale spokojniejszy. - Liczę, że znajdą panowie tego skurwysyna, który zamordował mojego ojca. W tym mieście strach chodzić po niektórych dzielnicach, zostawić samochód na ulicy, ludzie się boją jeździć tramwajami i autobusami. - Nowak przypuszczał, że jego rozmówca sam raczej rzadko korzysta z komunikacji miejskiej. - Ale jak się domyślam, dzwoni pan nie tylko w sprawie złożenia kondolencji.

- To prawda, chciałbym porozmawiać z pańską matką możliwie jak najszybciej. Bardzo chętnie również i z panem.

- Pogrzeb będzie w czwartek o jedenastej - powiedział Oleszkiewicz. - Nie może pan przyjść w piątek, kiedy już się wszystko uspokoi? - Nowak usłyszał kobiecy głos gdzieś w tle. - Tak, mam? Chwileczkę... - Rozmówca przełączył telefon w tryb oczekiwania, zamiast sygnału pojawiła się melodyjka. Dla Elizy w kiepskim wykonaniu taniego aparatu. Po chwili ostry głos powrócił. - Mama mówi, że może pan wpaść we środę.

- W takim razie pojawię się u państwa około dziesiątej. Nie za wcześnie? - Znowu usłyszał, jak mężczyzna przekazuje matce pytanie. - Dobrze, zatem w środę o dziesiątej.

Komisarz zadzwonił ponownie do Kowalskiego i umówił się, że podjedzie po niego radiowozem, a potem jednak wybiorą się razem na Saską Kępę. Zabrał Kowalskiego spod komisariatu na Raginisa. Po drodze rozmawiali chwilę o zasadach współpracy. W czasie rozmowy Nowak zaproponował mu przejście na „ty”. Aspirant chyba się nieco zdziwił, ale nie było w tym żadnej niechęci. I bardzo dobrze, obaj byli w podobnym wieku, choć Kowalski pewnie o parę lat młodszy.

Nie zjechali na Wisłostradę, wybrali drogę przez centrum. O tej porze w stronę Pragi jechało się w miarę szybko, Most Poniatowskiego był niemal pusty. Minęli z lewej największy bazar w Polsce, czyli Stadion Dziesięciolecia. „To jak się nazywa ten stadion?“, zapytał kiedyś z właściwym sobie poczuciem humoru Jan Paweł II podczas mszy odprawianej w tym miejscu. Jakie dziesięciolecie, taki stadion. Obecnie „Jarmark Europa”.

- Byłeś tu kiedyś? - Kowalski wskazał na bazar i rzednący już tłum handlarzy i kupujących.

- Służbowo czy prywatnie?

- No... Jakkolwiek.

- Służbowo? Nigdy. Prywatnie zresztą też. Są miejsca, w których uczciwy człowiek nie powinien się pokazywać. Można pójść do burdelu, to jestem w stanie zrozumieć. Ale tutaj nigdy.

- Mówisz tak, bo cię stać, żeby robić zakupy gdzie indziej - odciął się Kowalski. - Wiem, że to gniazdo zarazy, ale przecież nie musisz kupować od razu kałacha. Ani nawet pirackich płyt. Tysiące ludzi przyjeżdża tu po to, żeby kupić ubrania.

- Masz rację. Ale ja póki co nie muszę. Obiecałem sobie, że przyjdę tu dopiero wtedy, kiedy na stadionie odbędzie się mecz międzypaństwowy. Ostatnim było spotkanie Polska-Finlandia w eliminacjach mistrzostw Europy, w 1983 roku, jeżeli się nie mylę. - Nowak wiedział, że w takich sprawach się nie myli. - Pamiętam, że samobójczą bramkę strzelił wtedy Paweł Janas. Skądinąd solidny obrońca.

- No, to na następny mecz jeszcze trochę poczekasz. Możesz tego nie dożyć, Janas zresztą też.

- No. Janas chyba też nie.

- Podobno chcą tu zbudować stadion narodowy. Coś słyszałem w telewizji.

- Tak, podobno. Ale miasto woli stadion na obecnych terenach Legii. Zresztą pewnie i tak nic z tego nie będzie. - Nowak

pokręcił głową. - Zawsze przed kolejnymi wyborami robi się trochę szumu. I nic się potem nie dzieje.

Wjechali w aleję Waszyngtona. Jedyna ulica w Warszawie, na której jezdnia znajduje się pomiędzy torami tramwajowymi, co przypomniał sobie komisarz. I chyba jeszcze była jakaś historia związana z tą ulicą. A, właśnie, „aleja” to nazwa oficjalna, choć w niektórych dokumentach, na planach miasta i na tabliczkach jest „ulica”.

Nowak musiał pojechać Saską i Walecznych, bo Berezynska jest jednokierunkowa. Udało się zaparkować na Francuskiej. Dom, w którym mieszkał Rzepecki, był niedaleko. Dwupiętrowy budynek sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego i wymagającego remontu. Duże, wysokie okna świadczyły o tym, że są tam spore mieszkania. Weszli na pierwsze piętro po starych schodach, noszących ślady wieloletniego użytkowania, i zadzwonili pod numer 4. Usłyszeli kroki i odsuwanie klapki wizjera po drugiej stronie mocnych, drewnianych, niedawno pomalowanych drzwi. Po chwili drzwi się nieco uchyliły, ale wciąż były zamknięte na łańcuch. Rzepecki zerkał nieufnie.

- Panowie z policji?

- Tak. Komisarz Adam Nowak z Komendy Stołecznej Policji. A to aspirant Roman Kowalski z Komendy Rejonowej Warszawa IV, Komisariat Bemowo...

- Mogę zobaczyć panów legitymacje?

- Proszę bardzo. - Nowak pokazał dokument, aspirant też wyciągnął swój.

- Zapraszam panów do środka. - Jarosław Rzepecki, nie wysoki, łysiejący mężczyzna, w białej koszuli i nieco przykrótkich, ale w miarę eleganckich spodniach, zdjął łańcuch. - Przepraszam, że od razu nie wpuściłem, ale sami panowie rozumieją, czasy teraz takie, że strach drzwi otworzyć. Zwłaszcza po tym, co się stało z Witkiem. Proszę bardzo, zapraszam do dużego pokoju, może napiją się panowie herbaty? Albo kawy?

Obaj poprosili o herbatę bez cukru. Zawsze należy przyjąć poczęstunek oferowany przez gospodarza, to skraca dystans i rozluźnia rozmówcę. Rzepecki kontynuował ze swadą:

- Dobrze, że znałem pana nazwisko, komisarzu. Bo właściwie to kto widział autentyczną legitymację? Co dwa, trzy lata zmieniacie wzór, niby po to, żeby nie było nadużyć, ale przez to nikt nie jest w stanie zapamiętać, jak wygląda aktualna. Każdy to powinien wiedzieć, może jakieś ogłoszenia, jak ze wzorami legitymacji kontrolerów? No, wiedzą panowie, takimi, co wiszą zawsze w tramwajach. Ale pewnie gdzieś w internecie to można znaleźć, prawda?

- Przypuszczam, że tak - powiedział Kowalski.

Nowak obrzucił spojrzeniem wysoki, jasny pokój. Stare meble, ale bez jakichś szczególnych antyków. Parę przedwojennych krzesel, zwyczajna komódka, rzeźbiony kufer w kącie. Do tego regały ze sporą liczbą książek, w większości obłożonych w szary papier, jak kiedyś w szkolnych bibliotekach. Regały wyglądały na produkt lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Trochę bibelotów, pamiątkowe zdjęcia, na wielu z nich najwyraźniej gospodarz z małżonką. Były też nowsze fotografie, przedstawiające dzieci, młodych ludzi, młode małżeństwa z kolejnymi dziećmi. W tych przedmiotach i obrazach było kilkadziesiąt lat życia, ale tym razem niestety nie ich miała dotyczyć rozmowa. Dla policjantów istotny był siedemnasty kwiecień.

- Proszę nam opowiedzieć o ostatnim wieczorze, onie-dzieli, kiedy był tu pan Oleszkiewicz.

- Przyjechał około szóstej po południu. Tramwajem. Numer dwadzieścia cztery, miał tu bezpośrednie połączenie. Wysiadł dalej, przy Międzynarodowej, kupił w sklepie ciasto i sok, a potem przyszedł do mnie.

- Co panowie robili?

- Siedzieliśmy długo, tak się składa, że syn podarował mi na urodziny aparat cyfrowy. Na emeryturze mam więcej czasu, to lubię czasem pochodzić po mieście, a choćby parku Skaryszewskim, i popstrykać trochę. A Witek, wie pan, był kiedyś

zapalonym fotografem, nawet w szkole prowadził kółko fotograficzne. - Rzepecki uśmiechnął się pod nosem. - Rozumieją panowie, dwóch starych dziadów siedzących nad zabawką zabraną wnukom, że tak powiem. Ślęczeliśmy nad instrukcją i sprawdzaliśmy wszystkie opcje. Nawet robiliśmy sobie nawzajem zdjęcia. I jakieś widoki z okna.

- Ma pan te zdjęcia?

- Nie, wszystkie skasowałem. Nie przegrałem ich na komputer. - Nowak rozejrzał się, ale nie zauważył sprzętu. - Komputer jest w drugim pokoju, dostałem go od syna rok temu. Syn ma firmę składającą sprzęt, więc nie był to dla niego wielki wydatek.

- Czy pan Witold do kogoś telefonował?

- A tak, dzwonił do żony. Ze swojej komórki. Jakoś tak o wpół do dziesiątej. Mówił, że przyjedzie trochę później.

- Zdarzało mu się u pana nocować?

- Tak. Mam rozkładane łóżko dla gości. Ale zostawał tylko wtedy, kiedy się napiliśmy więcej niż zwykle.

- A tym razem piliście coś panowie? - zapytał Kowalski.

- Pili panowie - powiedział Rzepecki. - Oj, przepraszam, stary belferski odruch. Proszę się nie gniewać, ale błędy mnie irytują. Przez niechlujstwo język staje się coraz bardziej prymitywny... Ten młodzieżowy slang to w ogóle nie nadaje się do słuchania, połowy nie rozumiem...

- Panie Jarosławie, czy pili coś panowie? - przerwał Nowak.

- Strzeliliśmy sobie, jak to mówią, po kieliszeczku nalewki, którą robi moja córka. - Rzepecki skinął głową w stronę komódki ze zdjęciami. - Stara rodzinna recepta.

- Wspomniał pan, że pan Witold przyjeżdżał tramwajem numer dwadzieścia cztery. Ale znaleziono go w dwunastce.

- Dwunastka... No, tak, ma pętlę na Zielenieckiej. Może Witek podjechał czymś jeden przystanek do ronda i się prześiadł. Mógł też przejść pieszo, to w końcu niedaleko.

- Długo znał pan pana Oleszkiewicza?

- Od... od trzydziestu jeden lat. Od kiedy zaczął pracę w liceum. Był ode mnie młodszy o siedem lat. Cały czas pracowaliśmy w tej samej szkole. Był historykiem, ja uczyłem języka polskiego.

- Kłócili się panowie?

- W niedzielę czy w ogóle?

- I to, i to.

- W niedzielę raczej nie. A w ogóle to owszem, tak, czasami. - Rzepecki się uśmiechnął. - On twierdził, że wszystkich komunistów należy wysłać na Księżyc. Ja uważałem, że nie wszystkich, ale większość. Co do pozostałych polityków raczej się zgadzaliśmy. Niektórych to nawet na wszelki wypadek wysyłaliśmy poza orbitę Saturna. A Leppera prosto na Słońce. Niech się opala.

- Czy pan Oleszkiewicz był zaniepokojony, zdenerwowany bardziej niż zwykle?

- Nie... Przynajmniej niczym zewnętrznym. Miał ostatnio problemy z nerkami. Kamica nerkowa, groźna choroba. Zresztą w tym wieku nawet grypa jest groźna.

- Jak pan sądzi, czy miał jakichś wrogów, uczniów, którym kiedyś załaził za skórę, czy był ktokolwiek, kto mógłby chcieć się zemścić na znienawidzonym nauczycielu?

- Znienawidzonym? Nie... nic z tych rzeczy. Zawsze był lubiany przez uczniów. Miał swoje wady, był gderliwy, czasami nieopatrznie dawał się wciągnąć w dyskusję o polityce, takie komentowanie bieżących wydarzeń. Starsi uczniowie niekiedy go podpuszczali. A wtedy się trochę zaciętrzewiał.

- Wiadomo coś panu o jakichś większych konfliktach, kłótniach?

- Teraz? Nie... Przynajmniej Witek o tym nie opowiadał. Może powinni panowie zapytać w naszym liceum, w Mickiewiczu, na Saskiej, o ostatnie lata jego pracy. Mnie już tam wtedy nie było. Nie bał się w każdym razie o swoje zdrowie, życie, zresztą to był w ogóle człowiek, który za bardzo się nie bał.

- A miał dawniej z tego powodu kłopoty?

- Tak, w stanie wojennym. Ojciec jednego z uczniów, taki „mocno partyjny”, Metelski się nazywał, poskarżył się kiedyś do kuratorium po tym, co opowiedział mu syn. Dyrektor był dobrym kolegą Witka, więc postarał się, żeby nie zwolniono go z pracy, zabrano mu wtedy trzynastkę, rozumie pan, trzynastą pensję. Ale przecież to było ponad dwadzieścia lat temu! I to Witek mógłby chcieć się zemścić. A tego o nim nie można powiedzieć... nie można było powiedzieć. - Rzepecki się poprawił. - Naprawdę był złośliwy, ale nie mściwy. I nawet wtedy nic nie powiedział temu chłopakowi. Witek mówił, że rodziców się nie wybiera.

- Czy pan Oleszkiewicz uprawiał hazard? Miał jakieś długie?

- Nie, nic mi na ten temat nie wiadomo. Raz mówił, że postawił na Arsenał w Lidze Mistrzów, ale bez efektu. Przegrał dziesięć złotych.

- A coś wie pan o jego rodzinie? O synu? Czy syn miał może jakieś kłopoty? Podobno jest biznesmenem...

- E, chyba nie prowadzi żadnego własnego biznesu. Jest dyrektorem, menedżerem, jak to się teraz mówi, w jakiejś firmie farmaceutycznej.

- A czy pan Oleszkiewicz opowiadał ostatnio o jakichś dziwnych wydarzeniach? O czymś, co widział, a co go zaniepokoiło?

- Nie, nie przypominam sobie. Chociaż... - Rzepecki zaważał się. - Kiedyś mówił o tym, że pokłócił się z księdzem chodzącym po kolędzie. Nie z jego parafii, był wtedy u brata na Rakowcu. Podobno namawiał starszych ludzi, zwłaszcza samotnych, żeby zapisywali swoje mieszkania Kościołowi. Wie pan, to niezły interes, takie mieszkanie można potem sprzedać albo wynająć. To dobra okolica.

Nowak zerknął na Kowalskiego. Ksiądz?

- Pokłócili się? - zapytał.

- Tak. Witkowi nie podobało się cwaniactwo tego księdza. Mówił, że to naraża na szwank reputację religii, którą obaj wyznają. - Nauczyciel spojrzął na komisarza.



- Ale nie myślą panowie chyba, że proboszcz zasztyletował starego nauczyciela?!

- Wie pan, w takich sytuacjach trzeba sprawdzić wszystko. Pamięta pan może nazwisko tego księdza?

- A tak się składa, że pamiętam. Brzechwa, tak jak autor wierszy dla dzieci. Ale imienia nie mogę sobie przypomnieć. Witek mówił, że go potem z tej parafii odwołali.

Cóż, na początek dobre i to. Chyba pora kończyć rozmowę.

- Bardzo panu dziękujemy za informacje. Jeżeli przypomni sobie pan cokolwiek, co uzna pan za ważne, dziwne, niepokojące, cokolwiek, co może nam pomóc w śledztwie, proszę o telefon. - Wstając, Nowak podał emerytowanemu nauczycielowi wizytówkę z numerem do komendy.

- Proszę powiedzieć, są jakieś szanse? Znajdziecie go? - rzucił Rzepecki, odprowadzając ich do drzwi. - Mam na myśli mordercę, ma się rozumieć.

- Może znajdziemy - odpowiedział Kowalski. Chyba zamierzał dodać „panowie znajdą”, ale się powstrzymał.

- Wie pan, to morderstwo. Morderstwa mają największą wykrywalność ze wszystkich przestępstw. I nie tylko dlatego, że śledztwo jest wtedy najintensywniejsze. Wbrew pozorom łatwo wytypować podejrzanych i do nich dotrzeć.

„Chyba że komuś bardzo zależy na ukryciu wszystkich śladów”, Nowak pomyślał o zabójstwie komendanta Papały. Albo wtedy, kiedy ofiara jest przypadkowa. Niestety, obawiał się coraz bardziej, że to właśnie ta druga możliwość.

- Niewiele się dowiedzieliśmy - zauważył Kowalski, kiedy wyszli. - Poza tą historią z księdzem.

- Nie sądzę, żeby miało to jakikolwiek związek z morderstwem. Wyobrażasz sobie księdza, który nasyła bandytę, żeby zemścić się na jakimś emerycie?

- Ja wiem? Policz sobie. Ile osób udało mu się prze konać, dziesięć? Powiedzmy, że to stare mieszkania, do remontu. Nawet po odliczeniu kosztów remontu, lekko licząc, sto tysięcy

złotych od jednego. To daje milion złotych. Milion! Mordowano już i dla dziesięciu złotych.

- Wiem, nie ma rady, trzeba to sprawdzić. Poczekajmy do rozmowy z wdową, może ona będzie wiedzieć więcej. - Nowak wpadł na coś. - I chyba mam pewien pomysł. Trzeba by przejrzeć roczniki „Nie”. Jeżeli odkryli ten temat, musieli się go ucześcić. Taka gazeta.

Nowak miał nadzieję, że nie będzie musiał sam tego robić w bibliotece. Zleci to asystentce zatrudnionej w sekcji.

- Taa... No i trzeba wybrać się do tej szkoły. Zrobisz to jutro?

- Jasne.

- Przynajmniej jeszcze jednej rzeczy się dowiedzieliśmy. Facet był najwyraźniej nieco konfliktowy, miał niewyparzony język, więc mógł kiedyś powiedzieć słowo za dużo.

- Kiedyś to znaczy dawno temu albo właśnie teraz, w niedzielę?

- Tak. Może zwrócił komuś uwagę w tramwaju. Komuś, kto się zachowywał ordynarnie, nie wiem, jakiemuś złodziejaskowi.

- I trafił na psychola gotowego zadźgać człowieka?

- Tak. Podpytasz ludzi na Bielanych, na Bemowie? Może jakiś szczeniak chwalił się kolegom, że zabił starego dziada. Wiesz co? - rzucił nagle Nowak. - Zgłodniałem trochę. Może wpadniemy do Turka?

Zjedli kebab w barze na rogu Francuskiej i Zwycięzców. Saska Kępa w tym miejscu pachniała baranim tłuszczem i kminem rzymskim, rozbrzmiewała gwarem rozmów i odgłosami z policyjnej krótkofalówki. Bar istniał od wielu lat i było bardzo popularny nie tylko wśród policjantów, których często można tu spotkać, zwłaszcza późnym wieczorem. Miejsce było oblegane przez rowerzystów i motocyklistów przemierzających się w nocy po mieście. Warszawiacy polubili kebabownie. Niektóre z barków, takie jak ten przy kinie Bajka albo ten przy ulicy Przeskok, były już słynne na całe miasto. Zawsze można było w nich

liczyć na produkt wysokiej jakości, i to właściwie o dowolnej porze. A niektóre wprowadzały pięćdziesięcioprocentowe upusty dla policjantów, co nie wszystkim się podobało. Nowak nie miał oporów moralnych przed zjedzeniem u któregoś z przedsiębiorczych Turków. Opory miała czasami co najwyżej jego wątroba.

Z okien baru można było zobaczyć apartamentowce stojące na miejscu dawnego kina Sawa na placu Przymierza. Skądinąd właściwie żadne stare praskie kino nie przetrwało. Nie było od dawna bliźniaków Albatros i Mewa, znikło już kino Syrena na Inżynierskiej, gdzie teraz zainstalowało się jakieś studio telewizyjne. Świt na Bródnie podupadał, Praha została zamknięta, choć właściciel budynku myśli o otwarciu nowego kina po remoncie. Ciekawe, czy wróci tam wielki szklany żyrandol, który wisiał nad widownią... Pojawiło się za to kino w centrum handlowym Promenada. Jeden ze znajomych komisarza stwierdził, że jest ono przeznaczone chyba tylko dla dresów, i to takich z czterema paskami. Chociaż nie był tam nigdy, Nowak podejrzewał, że kolega po prostu nie miał szczęścia. To mogło się zdarzyć wszędzie. Sam z kolei nie lubił chodzić do kina. Włączone komórki i smród wydzielany przez popcorn doprowadzały go do szału. A także ludzie, którzy czuli się w obowiązku komentować to, co się dzieje na ekranie, jak w swoim domu przed telewizorem. Trudno, on też może posiedzieć przed telewizorem. Publiczna telewizja nadaje przecież świetne filmy. O drugiej w nocy.

Wprawdzie jakość chodnika i jezdni na Francuskiej niewiele się zmieniła od czasu, kiedy mieszkał w tych okolicach, zobaczył jednak, że pojawiło się sporo nowych sklepów i knajpek. Zostały także stare sklepiki i warsztaty - szewc, sklep z prezentami... Oprócz kina Sawa zniknęła fizycznie sam plac Przymierza - istniał już teraz wyłącznie jako zbiór budynków z adresami.

Adresami... Nowak uśmiechnął się pod nosem. Walczyli-bronili-zwyciężyli. Takiej sztuczki mnemotechnicznej używał, żeby zapamiętać kolejność ulic, licząc od ronda Waszyngtona.

Nazwy takie jak Walecznych, Obrońców, Zwycięzców, Alzacka, Lotaryńska czy nieistniejąca już Traktatowa, przebiegająca przez teren obecnie zajęty przez wodociągi, upamiętniały pierwszą wojnę światową i traktat wersalski. Wiele nazw pochodziło od krajów i regionów świata, wciąż mieści się tu sporo placówek dyplomatycznych.

Nowak lubił Saską Kępę. Nie czuł się związany z inteligentką tradycją tego miejsca, ale przecież nie o to chodziło. Co z tego, że ktoś kiedyś pisał o tej dzielnicy piosenki. Miejsca znaczyły dla niego coś więcej dopiero wtedy, kiedy się w nich pojawił. Po ślubie mieszkał z żoną przez trzy lata w wynajętej kawalerce na szóstym piętrze, w bloku na Ateńskiej, na pograniczu lepszej i gorszej Saskiej Kępy. Pamiętał widok z okna na zielone drzewa i na Wisłę... Letnią burzę, którą oglądali z balkonu, patrząc na rozbłyski piorunów nad wysokimi topolami. Pamiętał czarne koty, leniwie wygrzewające się za bramą wodociągu. Hałaśliwego, brzydkiego pieska za ogrodzeniem ambasady Argentyny, krzykliwe sroki na ogrodzeniach i dzikie kaczki łązące po osiedlowych trawnikach. Pamiętał nocne spacery wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego. Wszystko było tak jak trzeba. Właściwi ludzie na właściwym miejscu, właściwe miejsce dla właściwych ludzi. Było, minęło.

Oczywiście miał też wspomnienie futbolowe: okrzyki Francuzów, mieszkających w okolicznych willach, po zdobyciu przez Les Bleus mistrzostwa Europy. I fajerwerki wystrzelone przez Włochów. Jak się okazało - zbyt szybko, bo Sylvain Wittord wyrównał w ostatniej minucie i doprowadził do dogrywki.

#### 4

W Pałacu Mostowskich czekał już przesłany przez Nowackiego raport z AFIS-a. AFIS, czyli Automatyczny System Informacji Daktyloskopijnej, pozwalał na szybkie wyszukanie zarejestrowanych odcisków palców. Algorytmy wyszukiwania

były bardzo skuteczne i opierały się na porównywaniu pewnych charakterystycznych punktów kontrolnych ze wzorcem przechowywanym w bazie. Odpowiednio zaindeksowane dane - prawie dwa miliony kart daktyloskopijnych - można było przeszukać całkiem sprawnie. Oczywiście istotna była jakość śladu. Przeszukanie kartoteki mogło trwać minutę, mogło i kwadrans. System był tak użyteczny, że postanowiono przejrzeć akta niezamkniętych dochodzeń z ostatnich dwudziestu lat. Stare sprawy znajdowały czasami niespodziewane wyjaśnienie także dzięki badaniom DNA. Mogło się okazać, że ślady odkryte na miejscu zbrodni należały do notowanych osób, być może nawet skazanych za inne przestępstwa. Dzięki temu odkurżono kilka głośnych spraw, jak choćby śledztwo dotyczące zabójstwa byłego premiera Jaroszewicza i jego żony.

Wśród dziesiątków śladów znalezionych w tramwaju przez ekipę Nowackiego udało się jednoznacznie zidentyfikować odciski czterech osób notowanych w policyjnych kartotekach. Raport zawierał numery akt i nazwiska. Nowak poprosił asystentkę o ściągnięcie danych z innych systemów bądź wyszukanie ich w archiwum - przypuszczał, że większość i tak istnieje tylko w formie papierowej. Pani Ewa już po godzinie dostarczyła mu na biurko informacje o tych czterech osobach. Dwu drobnych złodziejasków - mieli na koncie kradzieże kieszonkowe, a jeden z nich rozbój. Kolejny zidentyfikowany mężczyzna był wcześniej karany za ciężkie pobicie. No i jeden zawodowy złodziej na zwolnieniu warunkowym. Ten był najciekawszy. Tomasz Piekara. Ostatnio pracował jako dekarz na budowach. Dekarz, jak Małysz... Facet nie miał lęku wysokości i był całkiem sprawny fizycznie, więc często wchodził do mieszkań nawet na dziesiątym piętrze, wspinając się po balkonach. Wpadł w zeszłym roku po raz drugi, dostał dwa lata. Zgłaszał się regularnie na komendzie. Raczej wątpliwe, że miał związek z tą zbrodnią, ale trzeba go przesłuchać i tak. Mimo wszystko Nowak zostawił go na koniec. Ten od pobicia wydawał się głównym podejrzanym. Janusz Kościelniak, zameldowany w Płocku.

Nowak zadzwonił do tamtejszej komendy i poprosił, żeby policja pojechała pod podany adres. Być może facet wciąż jest w Warszawie, ale przynajmniej spróbują ustalić, gdzie go szukać. Poprosił sierżanta Kwiatkowskiego o wysłanie ludzi, którzy zatrzymają obu kieszonkowców. Jeden mieszkał na Pradze, przy Grochowskiej, drugi na Bródnie, w bloku na Kondratowicza.

Po chwili nadeszły wyniki sekcji. Nic nowego. Śmierć w wyniku gwałtownego krwotoku wewnętrznego połączonego z zatrzymaniem akcji serca. Jedno celne i mocne pchnięcie ostrym, szerokim nożem. Położenie rany świadczyło o tym, że morderca zadał cios lewą ręką.

Posiedział jeszcze trochę nad dokumentami. Musiał przekazać prokuraturze materiały dwu innych spraw oraz wypełnić formularze związane z wnioskiem o zamknięcie śledztwa w sprawie zabójstwa jakiegoś dilerka. Jego ciało znaleziono na Kępie Potockiej, sekcja wykazała przedawkowanie heroiny. Problem w tym, że facet nie był narkomanem, za to był znany jako dystrybutor sporych ilości towaru na osiedlach Ruda i Potok. Ruda... To osiedle ciekawie wyglądało wieczorem, z wiaduktu trasy AK. Wielki masyw z oknami tworzącymi dziwne wzory. Z daleka mogło się to wydawać nawet piękne. Jednak im bliżej, tym gorzej, przynajmniej w tym śledztwie. Nowak przypomniał sobie wrogość przesłuchiwanego handlarzy i narkomanów. Dochodzenie stanęło w miejscu. Policijni informatorzy nie wskazali żadnych jednoznacznych tropów. Nie wiadomo, czy był to wyrok dla zbyt samodzielnego handlarza, czy początek wojny gangów. Wszyscy nabrali wody w usta, nie było śladów ani świadków. Nowak wiedział, że sprawa może znaleźć rozwiązanie w przyszłości - w trakcie jakiejś akcji przeciwko handlarzom narkotyków wyjdzie na jaw, że ktoś złożył odpowiednie zlecenie.

Kiedy już uporął się z papierami, zaczął przeglądać informacje na temat przestępstw popełnianych w środkach komunikacji publicznej w Warszawie. Bandyta przecież mógł już być

notowany, mógł popełnić jakieś drobne przestępstwo w tramwaju czy autobusie. W statystykach zdecydowanie prowadziły kradzieże kieszonkowe. Niektóre linie były wymieniane jako linie szczególnego ryzyka. Głównie te, których trasa przebiegała obok bazarków, supermarketów i dworców. Linia 175 na lotnisko była od dawna pod specjalnym nadzorem. Miejsce ustawicznej wojny kanarów z gapowiczami i policjantów ze złodziejami. Również w tramwajach zdarzały się coraz częściej napady i rozboje. Wyrywano torebki i telefony komórkowe, a młodociani bandyci, grożąc pobiciem, zabierali pieniądze, walkmany i telefony młodszym z reguły od siebie dzieciakom. Właściwie trudno znaleźć chłopaka w wieku gimnazjalnym, którego by nie „skrojono” w ten sposób. No i wciąż działali zrywacze łańcuszków. Łańcuszków! Kurde, to chyba przedwojenna tradycja. Ludzie rzadko zgłaszali takie przestępstwa, na ogół nie robiąc sobie nadziei na odzyskanie swoich portfeli i komórek. Jeżeli ktoś miał wystarczająco dużo odwagi i sprawności, mógł próbować gonić złodzieja, zwłaszcza gdy ten działał sam i wyglądał na zwykłego bezczelnego gówniarza. Często ofiarami napadów stawali się handlarze ze Wschodu. Wietnamczycy zaczęli więc jeździć na stadion taksówkami - mieszkający w tym samym domu, na ogół w jednym lokalu, zbierali się w kilka osób i jechali z towarem. Koszt był niewiele większy niż przejazd komunikacją miejską.

W aktach regularnie pojawiały się informacje o napadach na kierowców autobusów podmiejskich, zwłaszcza na krańcach tras, przede wszystkim w soboty. Zdarzały się też oczywiście regularne bójk i wymuszenia w autobusach nocnych, zwłaszcza w weekendy, kiedy podpita albo lekko naćpana młodzież wracała z imprez. Był także przypadek pijanego szaleńca, który groził pasażerom nożem, w biały dzień zresztą. Raz ktoś na Ordon strzelał do autobusu z pistoletu. No i byli jeszcze pseudokibice... przekleństwo Miejskich Zakładów Autobusowych. Szczególnie w okolicach Łazienkowskiej i Rozbrat. Zakrzewski pewnie znalazłby także incydenty z Muranowa i Nowego Miasta... Nie było jednak do tej pory w Warszawie tak koszmarnego

wypadku jak kilkanaście lat wcześniej w podmiejskim tramwaju w Zgierzu, kiedy bandyta wyklął oczy współpasażerowi. W ostatnią niedzielę to się zmieniło. Zadzwoił telefon.

- Panie komisarzu? - zgłosił się sierżant Kwiatkowski. - Przywieźli tych gówniarzy, których kazał pan zatrzymać. Będzie pan chciał ich przesłuchać?

- Tak. Ale niech sobie jeszcze posiedzą godzinę, półtorej.

On sam spędził ten czas na dalszym przeglądaniu dokumentów i statystyk wyciągniętych z baz KSP. Sprawdził też, czy któryś z zatrzymanych miał coś wspólnego z Oleszkiewiczem, na przykład czy nie był jego uczniem w liceum na Saskiej. Niestety, nie znalazł żadnych powiązań. Zadzwoił do Kwiatkowskiego jeszcze raz i polecił zaprowadzić obu chłopaków do sąsiadujących pokoi przesłuchań. Zszedł na parter i ruszył korytarzem. Uzbrojeni policjanci dali znać, że zatrzymanii są na miejscu. Nowak zajrzał do pierwszego pokoju przez półprzezroczystą szybę. Dawid „Szymo” Szymański, lat dwadzieścia dwa. Wysoki, krótko ostrzyżony facet, o mocnej budowie ciała, siedział rozparty na krześle i beczelnie patrzył w ścianę. Zdjął kurtkę, i widać było tatuaże na jego ramionach. Twardziel. Wiedział, że jest obserwowany, i najwyraźniej chciał dać do zrozumienia, że całą policję ma w dupie. Dostał już kiedyś parę miesięcy aresztu. Nowak zajrzał do drugiego pokoju. Ariel Jakubik... Chryste! Dawid, Ariel... Co za imiona w tym pokoleniu! Ten z kolei zachowywał się niepewnie. Co jakiś czas spoglądał na szybę. Drobny, szczupły, w jasnej kurtce. Również krótkie, obcięte tuż przy skórze włosy. Dopiero siedemnaście lat. Nowak postanowił zacząć od trudniejszego przypadku.

- No, to masz przesrane, chłopcze. - Nowak wszedł do pokoju i usiadł przed imiennikiem żydowskiego króla. Mundurowy stanął przy drzwiach.

- Ta, od urodzenia. A z kim mam przyjemność? - zapytał Szymański.



- Przyjemność jak przyjemność. Komisarz Adam Nowak, wydział do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw.

- Terrorem? Wyglądam jak bin Laden?

- Znasz go? - Nowak rzucił na stół zdjęcie Oleszkiewicza.

- Nie znam dziada. - Szymański ledwo spojrzał na zdjęcie zamordowanego nauczyciela. - A powinienem?

- Jeżeli go zajebałeś, to powinieneś. - Na twarzy Szymańskiego pojawiło się zdziwienie. - Co robiłeś w niedzielę?

- Byłem w kościele.

- Jasne, pewnie jeszcze dałeś na tacę.

- Skąd pan wie? Nawet dychę rzuciłem.

- Bardzo miło z twojej strony. Gdzie byłeś wieczorem?

- Na grillu z kumplami.

- Na grillu? Nie za zimno na takie imprezy? Gdzie? Adres, nazwiska...

- A co to was obchodzi?

- Posłuchaj, gówniarzu... - Nowak zbliżył swoją twarz do twarzy młodego człowieka. Wiedział, że ten nie uważa się już za szczeniaka, co więcej, pewnie wyrobił już sobie odpowiednią pozycję w środowisku. Raczej sam nie kradnie, inni pracują dla niego. - Nie interesuje mnie, ile masz w domu kart kredytowych i telefonów. Choć kiedyś może to kogoś zainteresować. Szukam mordercy tego człowieka. - Puknął palcem w zdjęcie leżące na stole. - I to jest dla mnie najważniejsze. Wiemy, że jechałeś tramwajem, w którym znaleziono zwłoki. Masz przed sobą jeszcze piękną karierę i pewnie trafisz do pierdła na dłużej. Ale dożywocie to chyba jeszcze nie teraz, prawda? Wiesz, że mogę wystąpić o tymczasowe aresztowanie?

Szymański milczał przez chwilę.

- To znaczy, że chodzi o alibi, tak?

- Trafiałeś.

Kolejna chwila milczenia. Spojrzenie w ścianę.

- Umówiłem się z kumplami na Bemowie. Na parkingu Pod centrum handlowym. Nie pod Carrefourem, tylko tym przy pętli.

- I co?  
- I pojechaliśmy na panienki. Wie pan, co mam na myśli...  
Nowak nie dał się sprowokować.  
- Dokąd?  
- Pod Babice.  
- Adres!  
Szymański podał adres i nazwę agencji towarzyskiej.  
- O której to było?  
- O siódmej.  
- Masz kogoś, kto to potwierdzi?  
Przesłuchiwany zawahał się.  
- Hubert Zdunek, z Lencewicza na Bemowie.  
- Braliście prochy?  
- Nie, skąd. - Nie zabrzmiało to szczerze.  
- Akurat. Jechaliście samochodem?  
- Tak.  
- Jakim?  
- Toyota celica. Czerwona. Dziesięcioletnia. Nie moja.  
- O której wyszliście?  
- Przed dziesiątą. Trzecia godzina gratis.  
- I co dalej?  
- Pojechaliśmy do Huberta popić. O trzeciej nad ranem odwiózł nas do domu.  
- Po pijaku?  
- Pewnych rzeczy się nie zapomina nawet po pijaku. -  
Chłopak odzyskiwał bezczelność.  
- I jesteś pewien, że nie widziałeś tego faceta w tramwaju?  
- zapytał Nowak. Tym razem Szymański przyjrzał się zdjęciu nieco dłużej.  
- Nie. Na pewno nie. Jak go załatwili?  
- Nóż w serce. Prosto i precyzyjnie. Potrafiłbyś tak?  
Cisza. Na razie pewnie nie. Kwestia czasu.  
- Radziłbym ci nie ruszać się z Warszawy. I zgłaszać na wezwanie. Będziemy sprawdzać, gdzie jesteś.  
Nowak wyszedł z pokoju i polecił sierżantowi Kwiatkowskiemu wysłanie ludzi do Zdunka i do agencji towarzyskiej w

Babicach, by ustalić, czy Szymański faktycznie tam był w podanych godzinach. Dał też sierżantowi kopię zdjęcia zatrzymanego.

Przesłuchanie młodszego z zatrzymanych również nie przyniosło rezultatu. Chłopak był przestraszony samym faktem, że zawieziono go do Mostowskich. Zapewne w niedzielę był „na robocie”, kręcił się między stadionem a Dworcem Centralnym, jeździł tramwajami, ale po południu wrócił do domu, na Bródno. Nie rozpoznał Oleszkiewicza, nie widział go ani tego dnia, ani nigdy wcześniej. Nie znał także Szymańskiego. Wydawało się, że mówi prawdę.

Nowak wrócił do siebie i przygotował protokoły zeznań, które przekazał Kwiatkowskiemu. Poleciał wypuszczenie Jakubika natychmiast, gdy je podpisze, i dokładną obserwację samego podpisania. Po dwu godzinach przyszło potwierdzenie alibi Szymańskiego - policjanci odwiedzili matkę chłopaka, agencję i Huberta Zdunka. Szymański został zwolniony. Według sierżanta Kwiatkowskiego żaden z zatrzymanych nie był mańkutem - obaj podpisali dokumenty prawą ręką. Nowak następnie skontaktował się z Płockiem, z tamtejszą komendą rejonową. Nie mieli jeszcze dla niego żadnych informacji. Cholera ciężka, pewnie jeszcze nikt się tym nie był łaskaw zająć. Nowak delikatnie przypomniał o sprawie, wspominając, że chodzi o podejrzanego o dokonanie zabójstwa. Wysłał jeszcze maila do swojego kolegi pracującego w Płocku, chyba był teraz młodszym inspektorem w wydziale kryminalnym. Zawsze osobista interwencja kogoś na miejscu może być bardziej skuteczna niż kolejne telefony „z Warszawki”. Potem Nowak zadzwonił do Kowalskiego i poinformował go o dotychczasowych wynikach śledztwa. Umówili się na wtorek na spotkanie o czternastej.

Nowak dotarł do domu około dziesiątej wieczorem. Winda w bloku stała na parterze, ale znowu nie dało się otworzyć drzwi. Wszedł na pierwsze piętro i ściągnął windę, a przy okazji wyjął ze skrzynki korespondencję. Nie ma kto pisać do komisarza. Jak zwykle tylko ulotki supermarketów, producentów okien oraz firmy oferującej szybkie pożyczki. Nowak zawsze planował zgłoszenie na poczcie, że nie chce dostawać reklamowego śmiecia, nie miał jednak nigdy czasu, żeby w końcu pójść i to załatwić.

Miał w pojemniku trochę przedwczorajszego razowca, który nadawał się jeszcze do zjedzenia. Nowak zrobił kolację z tego, co było w lodówce, ale wykazał się fantazją: każda kanapka była z czym innym. Wreszcie mógł usiąść i nie myśleć o morderstwach. Włączył *Exile on Main Street* Rolling Stoneśów, kupione na jakiejś wyprzedaży w Trafficu. Nic nie uspokajało go tak jak ta porządna, bluesowa płyta, na której - o dziwo - w zasadzie nie było przeboju. Nic to, dla niego przebojami były *Tumbling Dice* i *Sweet Virginia*. Kurde, faceci napisali tyle świetnych piosenek. Uśmiechnął się pod nosem. Jego była żona nie znosiła Stoneśów. „Oddział geriatryczny szpitala psychiatrycznego”, mówiła. No i bardzo dobrze. Artysta musi być doświadczony przez życie, żeby zostać prawdziwym artystą. Dlatego Nowak rzadko cenił twórczość ludzi młodszych od siebie.

## 5

Rano krytycznie spojrzął na swoje odbicie. „Nie pomoże puder, róż, kiedy panna stara już”, mawiała jego babcia. Z lustra patrzył ponury facet przed czterdziestką, który przecież mógł wyglądać młodziej, gdyby tylko chciał. Ale jakoś nie wyglądał. Niby nie był jeszcze gruby, lecz brzuch zaczynał mu się już zaokrąglać. Kebaby, hamburgery i tłusta (ale tania) fasolka po bretońsku z policyjnej stołówki robiły swoje. No i siedzenie przy biurku albo w samochodzie. Dobrze, że rzadko siadał w tramwajach.

Nowak dotknął swojej jeszcze nieogolonej, szerokiej twarzy. Cera wyglądała niezdrowo. Dobrze, że nie palił, bo pewnie wtedy byłoby fatalnie. Podobno miał ładne brwi i rzęsy, co mówiła mu kiedyś żona. Wprawdzie dawno temu, ale zawsze. Rzęsy, na litość boską... Parsknął śmiechem.

- Go ahead, make my day - powiedział do lustra i przecesał ciemne, gęste włosy. Z inspektorem Callahanem miał niewiele wspólnego. Chyba tylko to, że jego przełożony poradził mu, by jak najszybciej poszedł do fryzjera.

Kolejny dzień na komendzie zaczął od wstępnego zredagowania notatki, którą zespół prasowy miał przekazać dziennikom i stołecznym dodatkom do prasy ogólnopolskiej. Identyczna notatka powinna się znaleźć na stronach internetowych Komendy Stołecznej. Nowak dołączył do niej zdjęcie Oleszkiewicza. Rzadko w takich sytuacjach umieszczano w komunikacie zdjęcie ofiary, ale teraz nie było wyjścia. Szukano wszystkich, którzy widzieli zamordowanego i mogli udzielić informacji na temat tego, z kim ewentualnie rozmawiał w tramwaju linii 12, w godzinach wieczornych, w niedzielę siedemnastego kwietnia. Jeżeli ktoś zauważył coś nietypowego lub podejrzanego... Warszawska policja zwraca się z uprzejmą prośbą... I tak dalej.

- Pani Ewo - poprosił przy okazji asystentkę - czy może pani zadzwonić, hmm, do kurii?

- Do kurii, panie komisarzu?!

- No... - Nowak nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. - Do kurii arcybiskupiej, kurii metropolitalnej, warszawskiej... W sumie nie wiem, jak się ta instytucja nazywa. W każdym razie do instytucji Kościoła rzymskokatolickiego, która powołuje i odwołuje księży w parafiach. Do jakiegoś departamentu, wydziału.

- Ale do diecezji warszawskiej czy warszawsko-praskiej?

- Warszawskiej. Chodzi o księdza Brzechwę, odwołanego w tym albo w ubiegłym roku z parafii na Rakowcu. Nie wiem nawet, czy tam jest jedna parafia. W jakich okolicznościach go

odwołano, co się z nim dalej działo, gdzie go skierowano, i tak dalej.

Nowak nie wierzył, że ksiądz ma coś wspólnego ze sprawą. Ale musiał to sprawdzić.

Przyszedł mail z Płocka. Kolega napisał, że tamtejsza policja zajęła się już Kościelniakiem. Sprawę faktycznie trzeba było popchnąć, jak się wyraził, bo notatka o telefonie od Nowaka leżała cały czas na biurku policjanta z wydziału kryminalnego.

Nowak zadzwonił do Józefa Markowskiego, motorniczego z dwunastki. Był w domu, tego dnia miał pracę na drugą zmianę! Mieszkał niedaleko Mostowskich, róg Orlej i Elektoralnej, więc Nowak postanowił przejść się do niego. Orla kojarzyła się komisarzowi z małym pawilonikiem z wdzięcznym szyldem „Przetwory ze śledzi”, który zajmowało teraz jakieś biuro rachunkowe. A może była to już nowa budka?

Mieszkanie w pomalowanym na żółto bloku z lat sześćdziesiątych było na pewno nie tak duże, jak mieszkanie Rzepeckiego na Saskiej Kępie, ale trochę podobne. Wprawdzie na półkach stało mniej książek, ale również widać było, że mieszkają tu starsi ludzie, którzy zdążyli dorobić się wnucząt. Nowak zauważył jednak pewną istotną różnicę: wciąż czuło się kobiecą rękę.

- Żona wyszła do hali na zakupy - wyjaśnił Markowski, jakby czytając policjantowi w myślach. - I co, wie pan coś więcej? Wiecie już, kto zabił tego nauczyciela?

- Nie, nie wiemy. Właśnie dlatego przyszedłem. - Nowak usiadł i wyciągnął teczkę z materiałami. - Panie Markowski, czy przypomina pan sobie któregoś z tych ludzi? Czy jechali pana tramwajem w niedzielę?

Motorniczy uważnie przyjrzał się rozłożonym na stole zdjęciom. Po chwili podniósł jedno z nich. Szymański.

- Tego chyba widziałem - powiedział. - Stał na przystanku. Na pętli przy Zielenieckiej.

- Przy Zielenieckiej? Naprzeciwko Teatru Powszechnego, tak? - Nowakowi to miejsce kojarzyło się z zapachem czekolady z pobliskiego Wedla, roznoszącym się na pół Pragi.

- Tak, tak. Ulubione miejsce złodziejaszków. Moglibyście coś z tym zrobić, to są ciągle ci sami ludzie! Wiadomo, kiedy pracują, wiadomo, kogo okradają.

- To nie są ciągle ci sami ludzie - mruknął Nowak. - W zawodzie doliniarza też jest rotacja. Kiedy pan go widział?

- Jakoś tak pod wieczór. Koło szóstej, siódmej.

- Był sam?

- Tak, nie widziałem, żeby ktoś z nim wsiadł.

- Zachowywał się jakoś dziwnie?

- Nie zwróciłem uwagi. Wsiadł do drugiego wagonu i tyle. On jest podejrzany? - zapytał Markowski. - Mógł zamordować tego człowieka?

- Nie sądzę. To złodziejaszek, jak pan powiedział. Ale tego dnia nie pracował. Święcił dzień święty.

- Daj pan spokój. Co za czasów żeśmy dożyli. Dla tych gówniarzy nie ma żadnej świętości. A wejdź pan mu w drogę, zwróć mu pan uwagę! Może pana pobić. Albo zabić. - Tramwajarz spojrzął na Nowaka. - Może tak właśnie było?

- Może tak było. Panie Markowski, niech pan się jeszcze dobrze przyjrzy pozostałym zdjęciom. Może coś się panu przypomni.

Jego rozmówca studiował uważnie fotografie.

- Nie. Nie przypominam sobie. Tylko tamten.

Cóż, nic z tego. Zbierał się już do wyjścia, kiedy Markowski zapytał:

- Panie Nowak, od kiedy pracuje pan w policji?

O, ktoś zwrócił się do niego po nazwisku. Ludzie, poznawszy jego stopień służbowy, bardzo lubili mówić „panie komisarzu”. Hm, on też to lubił.

- Od jedenastu lat - odpowiedział Nowak.

- Od jedenastu... No tak, młody pan jeszcze jest, przyszedł pan do policji już po tych wszystkich zmianach. Niech pan mi powie, dlaczego tak wszystko się obróciło na gorsze? Ludzie

mówią, że za komuny było lepiej, i wie pan, czasami myślę, że coś w tym jest. Wtedy wszyscy się czuli bezpieczniej. No, nie mam racji? A teraz codziennie mówi się o gangsterach, o strzelaninach, o narkotykach. Panie, kiedyś tego nie było!

Typowa przemowa.

- Ma pan rację - odpowiedział Nowak standardowo. - Kiedyś było inaczej.

Nie chciał już wdawać się w dyskusję o tym, czy państwo totalitarne - nawet w takim siermiężnym wydaniu jak PRL - jest rzeczywiście idealną metodą na zwalczanie przestępczości. Ze starszymi ludźmi trzeba postępować jak z taksówkarzami: lepiej się z nimi zgadzać. Policjant, który chce wzbudzić zaufanie świadka i skłonić go do udzielania rzeczowych informacji, powinien o tym pamiętać. A czy Markowski miał rację? Niekoniecznie.

- To miasto zmieniło się na gorsze. Panie, stary już jestem, może to tylko takie wspomnienia. - Markowski westchnął. - No tak, wspomnienia, tylko to zostaje. Powinien pan poznać moją koleżkę, Janka Żurka. Też jeździł na tramwajach. Teraz już jest na emeryturze, ale ciągle działa w klubie miłośników komunikacji czy jak tam nazywa się to jego stowarzyszenie. Jak to mówią, chodząca encyklopedia. Kopalnia wiadomości o Warszawie, nie tylko o tramwajach.

- Może kiedyś nadarzy się okazja i to zrobię. Bardzo dziękuję za pomoc. Do widzenia panu. - Nowak uściśnął rękę motorniczemu. - I proszę zadzwonić, kiedy tylko pan będzie chciał mi coś nowego powiedzieć.

Pani Ewa była czymś zajęta, ale kiedy zobaczyła Nowaka, od razu do niego podeszła.

- Zadzwoniłam do kurii. To się nazywa Wydział Duszpasterstwa. Nie za bardzo chcieli ze mną rozmawiać, myśleli, że to jakaś dziennikarka. Są chyba uczuleni na ujawnianie informacji osobom z zewnątrz. Proszą o wystosowanie formalnego zapytania albo o osobistą wizytę w kurii.



- Z kim pani rozmawiała? Z osobą cywilną czy z jakimś księdzem?

- Z księdzem... księdzem Gellertem. Jerzym Gellertem.

- Czy może pani mnie z nim umówić na jutro po południu? Albo nie, lepiej na czwartek rano. To niedaleko stąd, prawda? Tam, gdzie sekretariat episkopatu, przy Wroniej? Znaczy przy Skwerze Wyszyńskiego?

- Nie, to nie tam, kuria ma siedzibę na Miodowej.

Cóż, tę sprawę i tak należało odłożyć, może Jadwiga Oleszkiewicz będzie jeszcze źródłem jakichś informacji. Nowak poszedł do stołówki i zjadł zrazy z kaszą, a po obiedzie pojechał na Raginisa.

- Pytałem paru informatorów z Bemowa. Nikt o niczym nie słyszał - powiedział Kowalski - ale mają się rozejrzeć. Byłem też u jednego chłopaczka, który od niedawna zajmuje się dilerką, i może powęszyć, czy to miało coś wspólnego z narkotykami. No i poza tym odwiedziłem liceum Oleszkiewicza. Dyrektor ledwo znalazł dla mnie czas, cała szkoła żyje przygotowaniami do egzaminów, to pierwsza matura na nowych zasadach.

- Dowiedziałeś się czegoś? - przerwał Nowak. - Czegoś konkretnego?

- Nie. Potwierdziło się to, co mówił Rzepecki. Oleszkiewicz był trochę konfliktowy, był znany od dawna z antykomunistycznych poglądów.

- A ta stara historia z rodzicami, z tym, jak mu tam, Metelskim?

- Dyrektor pracuje w szkole dopiero od kilku lat, ale są nauczyciele, którzy tamto pamiętają. Opowiadali to samo, co Rzepecki. Nawiasem mówiąc, stary Metelski już nie żyje, a młody jest radcą prawnym w ambasadzie w Grecji.

- Czyli jakoś nikt nie miał złamanej kariery przez tamtą sprawę. Coś jeszcze?

- Dyrektor powiedział, że jeżeli będzie to potrzebne i jeżeli wystąpimy o to oficjalnie, przekaże nam listę uczniów. Mają zachowane dzienniki, a od niedawna wszystkie nazwiska zaczęli wprowadzać do systemu komputerowego. „Może się

przydać na zjazdach rocznicowych”, tak stwierdził. W ogóle dosyć się przejął śmiercią jednego z najbardziej znanych nauczycieli w Mickiewiczu.

Tego dnia Nowak zadzwonił jeszcze do Płocka. Tym razem informacje były nieco bardziej konkretne. Mieszkanie Kościelniaka stało puste, sąsiedzi twierdzili, że był tam ostatnio dwa tygodnie temu, w sobotę. Widziano go, jak z torbą przewieszoną przez ramię wychodził z domu. Od tego czasu cisza. Nowak poprosił o obserwację domu i przynajmniej okresowe sprawdzanie tego, czy podejrzany nie pojawia się w okolicy, a także o przeprowadzenie wywiadu wśród rodziny i znajomych. Oficer po drugiej stronie słuchawki obiecał oczywiście pomoc, ale marudził coś o brakach kadrowych i poprosił o prośbę na piśmie. Chyba dziś wszystkich pogięło. Każdy chciał mieć jakiś kwit. W dwu kopiach, cholera jasna. A on sobie zachowa trzecią, jako tak zwany dupochron.

Wrócił do domu i włączył telewizor. Na ekranie pojawił się Joseph Ratzinger. Nowy papież, Benedykt XVI. Już nie oschły i zasadniczy, lecz uśmiechnięty i radosny. Była zatem nadzieja dla każdego. Nawet dla człowieka może mało zasadniczego, ale za to trochę oschłego, jak komisarz Nowak. Nawet dla „byłego katolika”, jak sam o sobie mówił. Radość jest w powietrzu, trzeba ją tylko znaleźć. Może w mieście z kolumną Trajana było o to łatwiej niż w mieście z kolumną Zygmunta. Nowak podniósł szklankę z piwem.

- Viel Gltick - rzucił w kierunku uśmiechającego się duchownego. - Witamy nowego komendanta głównego.

Obejrzał wiadomości do końca, po czym włączył odtwarzacz CD. Rust Never Sleeps Neila Younga. Ostatnio była to jedna z jego ulubionych płyt. Neil akustyczny kontra Neil elektryczny. Thrasher i Pocahontas, ale też Sedan Delivery i oczywiście Hey Hey, My My. Ciekawe, jak się z wiekiem zmienia gust. Piętnaście lat temu Nowak nie był w stanie słuchać faceta w żadnym jego wcieleniu. Wydawał mu się potwornie nudny, miałki i męczący. I ten głos, a raczej jego brak... W czasach, w

których Nowak chodził na koncerty rockowe, choćby na festiwal „Poza Kontrolą” do Remontu, nikt nie zawracał sobie głowy takimi starymi pierdzielami. Wypadało być miłośnikiem zimnej fali, punk rocka albo słuchać audycji Piotra Kaczkowskiego w „Trójce”. To były czasy! Po koncercie szło się do akademika - do znajomych z Riviery albo przez Pole Mokotowskie na Żwirki. Parę razy skończyło się to w pokoju zajmowanym przez świeżo poznane dziewczyny. A teraz... Teraz odkrył starego Kanadyjczyka, który przestał być dla niego wyłącznie żywą skamieniałością. Wspomagał go raz na parę tygodni, kupując jeden ze starych albumów.

## 6

Koło było dla Nowaka terenem tajemniczym. Zawsze łapał się na tym, że nie od razu potrafił umiejscowić ten fragment Warszawy między innymi dzielnicami, zwłaszcza od czasu, gdy przecięła go aleja Prymasa Tysiąclecia. Odcięty drogą szybkiego ruchu i torami kolejowymi, wciśnięty między Wołę, Powązki i Bemowo, kawałek Warszawy ze swoją historią. Większość domów zbudowano w latach pięćdziesiątych, po wojnie, ale były i starsze, jak całe osiedle Żeromskiego. Dowiedział się kiedyś, skąd pochodzi nazwa „Koło”: od zgromadzeń szlachty wybierającej króla w czasie wolnej elekcji. Pamiątką tego była granitowa kolumna z koroną na szczycie - pomnik „Electio Viritim” u zbiegu Ostroroga i Obozowej, czyli według Miejskiego Systemu Informacji, już na Młynowie, nie na Kole.

Na ulicach większość stanowili ludzie starsi, wychodzący na zakupy ze swoimi torbami na kółkach. Młodzieńcy pokroju tych niedawno zatrzymanych też tu się kręcili, ale nie o tej porze. Ich czas przychodził w nocy. Może w niedzielę któryś z nich został mordercą? Nowak wysiadł z autobusu 167 i wszedł na przejście dla pieszych, nie rozglądając się. Usłyszał głośny pisk opon. Spojrzył w prawo. Za kierownicą kuliła się przerażona dziewczyna, a siedzący obok wążacz coś wykrzykiwał.

Nauka jazdy. Egzaminatorzy z Bemowa bardzo lubili te okolice, zwłaszcza równorzędne skrzyżowania.

Starsza pani, która otworzyła drzwi komisarzowi, nie sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenia smutnej. Ale na jej twarzy było widać przede wszystkim zmęczenie przeżyciami ostatnich dni. Na pewno nie była jeszcze do końca pogodzona z tym, co się wydarzyło.

Niska, szczupła kobieta w okularach, o gładko zaczesanych i spiętych z tyłu siwych włosach, zaprosiła go do środka.

- Niech pan wejdzie, panie komisarzu. Syn wyszedł do sklepu zrobić zakupy. Wie pan, siedzi tu przy mnie przez cały czas, wziął parę dni wolnego w pracy. Oczywiście najbardziej mi pomaga w załatwianiu wszystkich formalności. - Westchnęła. - Prawdę mówiąc, na mnie spada dzwonienie do bliższej i dalszej rodziny i opowiadanie o tym, co się stało. Już wolałabym chodzić do parafii i do zarządu cmentarza niż po raz dziesiąty mówić o tym wszystkim.

Nowak przypomniał sobie pogrzeb swojej matki. Formalności faktycznie były uciążliwe, ale zajęcie się organizacją pochówku pozwalało, o dziwo, na chwilę zapomnieć o samej śmierci. Złożył wdowie kondolencje i oboje usiedli przy stole nakrytym białym obrusem.

- Czy ktoś pani jeszcze pomaga? - zapytał.

- Jedna sąsiadka, wdowa... - Pani Oleszkiewicz przerwała na chwilę, jakby uświadamiając sobie dopiero teraz, że sama już jest wdową. - Ona jest trochę chora, więc wiele mi nie może pomóc. Jeszcze jest druga, ale to taka stara żoźa, choć pewnie młodsza ode mnie. Rozumie pan, strasznie wścibska i mało życzliwa baba. Nie spodziewam się po niej niczego dobrego.

- Rozumiem. Taka, co śpi, dyszy i wszystko słyszy? Tak mawiała moja babcia - pospieszył komisarz z wyjaśnieniem.

- Tak, taka właśnie... O co pan by jeszcze chciał zapytać? Ten pana kolega, który poinformował mnie o śmierci męża, zadał parę pytań, ale nie bardzo mogłam mu odpowiedzieć.

- Nie dziwię się. Hm... Czy pani mąż się czegoś obawiał, czy ktoś mu groził, czy opowiadał pani o jakichś dziwnych wydarzeniach? Może był świadkiem przestępstwa, kradzieży?

- Nie, mąż nie mówił o żadnych dziwnych sprawach. I raczej niczego nie ukrywał. Nie mieliśmy tajemnic... Przeżyliśmy razem tyle lat, że nie dałoby się już nic ukryć.

- Przepraszam za pytanie, ale czy mieli państwo długi?

Nowak spodziewał się odpowiedzi, którą usłyszał.

- Ależ skąd! Radziliśmy sobie jakoś, z pomocą syna. Zresztą, panie komisarzu, w naszym wieku ważne jest przede wszystkim zdrowie i spokój, a nie wysokość emerytury. Przy pewnej wysokości emerytury wprawdzie trudno o spokój...

- Proszę powiedzieć... Kiedyś, kiedy jeszcze pan Witold uczył w szkole, czy miał jakieś problemy?

- W latach osiemdziesiątych, w stanie wojennym. Wie pan, mąż nigdy nie krył się ze swoimi poglądami, więc czasami miał z tym kłopoty, niekiedy rodzice chcieli wpłynąć na dyrektora, żeby ukarał Witka za nieprawomyślność - powiedziała pani Jadwiga. - Ale jakoś rozchodziło się to po kościach. Zresztą już ponad dwadzieścia lat od tego minęło. Stare dzieje.

Nowak postukał długopisem w stół. Szkoda czasu.

- Podobno pani mąż pokłócił się kiedyś z jakimś księdzem?

- A skąd pan o tym wie? - Wdowa spojrzała na Nowaka ze zdziwieniem. - Tak, to było... ze dwa lata temu. Ksiądz był u szwagra po kolędzie. Szwagier rok wcześniej stracił żonę i chciał, żebyśmy go wtedy odwiedzili. No a ksiądz zamiast pocieszyć Staszka zaczął go pytać, czy myśli o testamentie. Ksiądz na pewno zarabiał na tym sporo pieniędzy, oczywiście nie wszystko szło na parafię.

- A na co?

- Hazard. Długi karciane. Wyobraża pan sobie? - Westchnęła. - No, ale o tym się dowiedzieliśmy później. A wtedy, u Staszka, mąż nie wytrzymał i wykrzyczał księdzu prosto w oczy,

że hańbi Kościół, którego powinien być pasterzem, że nie myśli o ludziach, tylko o zysku. - Wdowa uśmiechnęła się. - Może Witek był czasami trudnym człowiekiem, ale na pewno uczciwym.

- Czy to miało jakiś dalszy ciąg? - zapytał Nowak.

- Szwagier mówił, że tego księdza już w parafii nie ma. Kuria dowiedziała się od ludzi o wszystkim i odwołała go. Ale mąż nie miał z tym nic wspólnego.

- Pamięta pani nazwisko tego księdza? - zapytał Nowak.

- Tak, nazywał się Brzechwa, Ludwik Brzechwa.

Nowak zadał jeszcze parę pytań dotyczących niedzieli i zapisał adres Stanisława Oleszkiewicza. Nie dowiedział się nic więcej ponad to, co już udało się ustalić Kowalskiemu i co powiedział Rzepecki. Wdowa obejrzała zdjęcia przestępców z kartoteki, nigdy żadnego z nich nie widziała. Zbierał się już do wyjścia, kiedy usłyszał chrobot klucza w drzwiach.

- Dzień dobry, mam! - Z przedpokoju dobiegł głos młodego mężczyzny i szelest foliowych toreb, zwanych w Polsce reklamówkami. Mimo że z reguły nie było na nich żadnych napisów. - Masz gościa? - W drzwiach pojawił się człowiek o twarzy trzydziestolatka, ale szpakowate włosy i zmarszczki pod oczami świadczyły o nieco starszym wieku. - A, to pewnie ten policjant?

- Tak, proszę pana, to ten policjant. Adam Nowak z Komendy Stołecznej.

Krzysztof Oleszkiewicz spojrzał na komisarza bez cienia sympatii.

- Już to chyba panu mówiłem. Delegowałem pewne uprawnienia na państwo. Na państwo, które w pewnej mierze toleruję i przyznaję mu, wprawdzie niechętnie, prawo do dysponowania częścią mojej wolności. Mam więc powody oczekiwać, że moje podatki zostaną przeznaczone na właściwy cel. Zwłaszcza w sytuacji, w której oczekuję działania przedstawicieli władzy w mojej konkretnej, osobistej sprawie.

- Po pierwsze, nie tylko pańskiej. Po drugie, zapewniam pana, że zrobimy, co w naszej mocy, żeby znaleźć mordercę lub morderców pańskiego ojca. Praktyka dowodzi, że śledztwa w sprawie morderstwa bardzo rzadko kończą się niewykryciem sprawcy.

- Liczę na to. - Młody Oleszkiewicz spojrział ponownie na Nowaka. - Wie pan co? Pewnie ponad jedną trzecią czasu spędzam u siebie w mieszkaniu, z żoną i dziećmi. Wieczorem, w nocy, nad ranem, w weekendy. I za moje bezpieczeństwo w tym czasie odpowiedzialna jest agencja ochrony, za którą również płacę...

- Tak, i zaraz pan powie, że na parkingach pod centrami handlowymi też jest ochrona - przerwał mu Nowak. - I za nią też pan płaci, robiąc zakupy. I że tak naprawdę ten kawałek dla policji państwowej pozostaje nieduży. To prawda, ale policja to nie firma ochroniarska...

- Cóż, słyszałem już parę razy, że policjantom zdarzało się dorabiać w firmach ochroniarskich. Nie zawsze legalnie - zauważył Oleszkiewicz.

- ...i zadaniem policji nie jest chronienie pana przed tym, żeby pan nie zrobił sobie krzywdy - kontynuował Nowak.

- Zresztą to chyba byłoby panu nie w smak, prawda? Proszę nam zostawić wykonywanie tych czynności, które pan na nas łaskawie delegował. Sprawy zabójstwa nie rozwiąże osiedlowy ochroniarz. - Spojrzął na Jadwigę Oleszkiewicz, która z konsternacją przysłuchiwała się tej rozmowie. - No i chyba nie wypada kłócić się teraz przy pańskiej mamie. Do widzenia państwu.

Zdenerwował się. Nie lubił takich ludzi jak Krzysztof Oleszkiewicz. Nawet niepodobna mu współczuć, nie było po nim widać bólu. Gadał, zaciętrzewiał się i wsiadał na swojego ulubionego konika. Kanapowy konserwatysta. Facet, który zna rozwiązania wszystkich problemów. To niech je, kurwa, rozwiąże. Podobno w jakiejś knajpie w Nowym Jorku wisiał nad

barem napis: „Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego jesteś taki biedny?”

Ciągle poirytowany, podjechał tramwajem na Długosza. W szarym bloku naprzeciwko cmentarza ewangelickiego mieszkał Tomasz Piekara, złodziej znaleziony w AFIS-ie.

- Kto tam? - Kobięcy głos z domofonu też nie był najprzyjemniejszy. W tle dały się dzieci.

- Policja. Komisarz Nowak z Komendy Stołecznej, proszę otworzyć.

- Jezu, czego znowu chcecie... - Dalszy ciąg wypowiedzi został zagłuszony głośnym sygnałem otwierania drzwi. Nowak wszedł na drugie piętro. Wyciągnął legitymację. Kobieta otworzyła drzwi, nie patrząc na jego dokument, i od razu pobiegła do pokoju, żeby uciszyć chłopca wydzierającego się na młodszą chyba dziewczynkę. Równie hałaśliwą.

- Cicho! Przyszedł policjant i zaraz was zabierze! I zamknie w więzieniu!

Dzieci ucichły prawie natychmiast. Po chwili zza futryny wychynęły dwie buzie, bardziej zaciekawione niż przestraszone.

- Co się stało? - spytała nieufnie kobieta. - Męża nie ma. Pracuje. Uczciwie pracuje.

- Pani jest żoną Tomasza Piekary?

- Żoną, żoną. No, co się stało?

- Gdzie jest mąż?

- Mówię, że pracuje. Pojechał na budowę. Znajomy mu to załatwił.

- Na budowie? Gdzie?

- Domek jednorodzinny. Gdzieś pod Nadarzynem. Nie znam adresu.

Nowak domyślał się, że ani Piekara, ani jego brat nie płacą podatków. Ale w końcu Piekara to nie Al Capone, a Nowak to nie Eliot Ness. Policja nie jest od ograniczania przedsiębiorczości obywateli. Lepiej niech budują domy, niż się do nich włamują. Oczywiście pod warunkiem, że nie okładają ich obrzydliwym sidingiem.

- A co robił w niedzielę? Pamięta pani?



- Pewnie, że pamiętam. - Piekarowa spojrzała na Nowaka spode łba. - Też był na budowie. Niedziela, nie niedziela, robić trzeba. Pojechał przed południem, a wrócił około dziewiątej wieczorem.

- Wychodził jeszcze potem?

- Skąd! A co się stało? Jakieś włamanie? Mąż nie wpakowałby się teraz w nic takiego. Już ja bym mu wytłumaczyła, skąd ma brać pieniądze na dzieciaki.

Nowak z powątpiewaniem spojrzał na młodą, ale nieco zaniedbaną, a może raczej zmęczoną, kobietę, która stała przed nim. Nie wyglądała na silniejszą od swojego męża. Przynajmniej nie fizycznie.

- Mąż ma komórkę?

- Ma. Chce pan numer? Zaraz, tu jest zapisany, z pamięci nie powiem... - Weszła do kuchni i przyniosła mu kartkę z nabazgranymi cyframi. Nowak od razu wystukał numer. Nikt nie odbierał.

- Może nie odbierać - pospieszyła z wyjaśnieniem kobieta. - Hałas tam jest Pan spróbuje później.

- Dobrze. Proszę mu przekazać, że byłem. Jeżeli nie uda mi się z nim skontaktować, niech zadzwoni do Komendy Stołecznej, do komisarza Adama Nowaka. - Wręczył jej wizytówkę. - Jak najszybciej.

- Do Komendy Stołecznej? Nie na Wolę znaczy, na Żytnią? Tam, gdzie się zgłasza co tydzień?

- Tak, do Stołecznej, nie na Żytnią.

Z Płocka nie przychodziły żadne informacje. Nowak przeszukiwał bazę zgłoszeń i listę osób zatrzymanych w ciągu ostatnich dni. Nie było tam Kościelniaka. Zlecił sierżantowi Kwiatkowskiemu przekazanie informacji o poszukiwaniu Podejrzanego wydziałowi kryminalnemu, który z kolei miał ją przesłać komendom rejonowym i komisariatom w Warszawie. Na razie nie było jeszcze nakazu zatrzymania od prokuratora.

Zadzwonił jeszcze do Stanisława Oleszkiewicza. Złożył kondolencje i zapytał o kłótnię z księdzem.

- A, to było dawno temu. Już go odwołali, bo ludzie mieli go dość. Ale wie pan, tu się nic nie zmieniło. Kościół to ludzie, ale widać nie dla wszystkich. Pamięta pan ten wieczór, kiedy umarł nasz papież?

- Oczywiście że pamiętam.

Trudno było zapomnieć tamtą sobotę. Nie spodziewał się wtedy, że tak ją przeżyje. On, były katolik. Pamiętał, że miał wtedy włączony przez cały czas telewizor, pokazujący tłum zgromadzony na placu św. Piotra. Prawie fizycznie poczuł moment, w którym dusza Karola Wojtyły odeszła z tego świata. 21.37. Wyszedł na balkon, chciał być bliżej innych ludzi. Z oddali dobiegały dzwony kościołów, zapalały się świeczki w oknach. Młodzi ludzie, których zwykle widywał z puszką piwa na klatce schodowej, wyszli na podwórko ze zniczami. Miasto na chwilę zaistniało. Przestało być tylko zbiorem domów i ulic.

- Jakoś tak wszyscy wtedy chcieli być razem, rozumie pan. - Z głosu rozmówcy wynikało, że mimo wszystko nie podejrzewał policjanta o zrozumienie dla takich spraw. - Zaczęli wychodzić z domów. I kierować się tam, gdzie chcieli być, do swojego kościoła. Na Dickensa. A kościół zamknięty. A to przecież nasz kościół, sami pomagaliśmy go budować. Przez domofon żeśmy z proboszczem rozmawiali. Powiedział, że klucze ma zakonnica, która nie wiadomo gdzie jest. Gdzie może być zakonnica w nocy z soboty na niedzielę? Na dancingu?! W końcu wyszedł jeden z młodych księży, zmówił pod drzwiami dziesiątkę różańca w tempie ekspresowym i kazał ludziom iść do domu! Nikt oczywiście iść nie chciał, więc chłopak w końcu otworzył kościół i został, żeby popilnować ludzi. Rozumie pan, popilnować! Żeby niczego nie ukradli. A zaczęli przychodzić ministranci ze swoimi komżami w reklamówkach, przyszedł organista. Spontanicznie, nikt ich nie wzywał! To ich do domu odprawili... - Nowak słuchał wzburzonego głosu starszego mężczyzny. - Następnego dnia na mszy było więcej ludzi niż zwykle. I co? Kazanie w ogóle nie miało nic wspólnego z papieżem.

Tylko w ogłoszeniach parafialnych, na końcu, ksiądz powiedział: w tym tygodniu zmarli: Ojciec Święty Jan Paweł II, Genowefa Kowalska, lat osiemdziesiąt trzy... Daj pan spokój.

Nowak wybrał numer Piekary.

- Halo?

- Komisarz Adam Nowak, Komenda Stołeczna Policji...

- Komisarz... - Zły głos w słuchawce. - Wiem, żona mówiła.

Czego chcecie ode mnie? W pracy jestem ciągle. Nie mogę teraz gadać. Bo mnie stąd wypierdolą i znowu zejdę na złą drogę. Zadzwoń wieczorem. Może tak być?

- Żona dostała mój telefon. Proszę zadzwonić o dowolnej porze, w centrali przełączą na komórkę.

Nowak wrócił do domu jak zwykle tramwajem. Zjadł kawałek sera (bez pieczywa), włączył CNN (bez fonii) i wrzucił do odtwarzacza płytę *Kapitał* zespołu Laibach. Totalitarni Słowacy najbardziej pasowali do jego dzisiejszego nastroju. Otworzył butelkę żywieckiego portera. Obejrzał etykietkę: robili go teraz w browarze w Cieszynie, gdzie zresztą warzono kiedyś niezłe piwo „Brackie”. O, to było piwo! Gorzkawe, niezbyt mocne i niezbyt ciężkie, mimo że chyba „trzynastka”. Trzynastka jak tramwaj... Uprasza się o łaskę księcia Karola Ludwika Habsburga. My, naród, żądamy wznowienia dystrybucji „Brackiego” w Królestwie Kongresowym.

Porterek był w porządku. Trochę za mocny dla samotnego faceta, który ma zachować jasność myślenia. Jeden wystarczy. Chociaż... Po cholere myśleć jasno o tej porze?

Nagle zadzwoniła komórka. Spojrzał na wyświetlacz: numer prywatny. Ktoś z policji albo jego była żona. Albo agentka ubezpieczeniowa. Kto by chciał ubezpieczyć policjanta? Każdy. Policjanci to spora grupa zawodowa.

-Tak?

- Cześć. Roman Kowalski. Jesteś w domu? Dostałem wiadomość od ludzi z Żoliborza. Jest coś, co cię zainteresuje.

Po szumie i głosach w tle Nowak domyślił się, że aspirant nie siedzi w komendzie.

- Trup. Jakiś pijaczek. Uduşony kawałkiem sznura. Zgadnij, gdzie. Pętla tramwajowa przy hucie.

Z głośników dobiegał właśnie transowy niemal Entartete Welt. Zgadza się. Zwyródniały świat. No żeż kurwa mać. A tak było fajnie. Druga butelka zostanie w lodówce.

- Jadę. Wsiadam w tramwaj.

- Nie trzeba. Wysyłam radiowóz, to przecież chwilka.

# Siedemnastka

## 1

Pętla tramwajowa przy hucie składa się właściwie z dwu pętli - jednej dla tramwajów jadących Pstrowskiego i Marymoncką, drugiej dla tych wjeżdżających od strony Wólczyńskiej i Nocznickiego.

Tym razem wszyscy zgromadzili się wokół przystanku siedemnastki, po zachodniej stronie placu. Reflektor oświetlał przekrzywioną postać siedzącą bez ruchu na ławce brzydkiego blaszanego przystanku, opartą o szybę obsmarowaną różnymi napisami, w tym nieśmiertelnym HWDP. Kurczę, ktoś powinien to zastrzec jako znak towarowy.

Oczy wywalone na wierzch. Smród alkoholu, moczu i kału. Facet w tandetnej kurtce, około pięćdziesiątki, gruby, z rozchełstaną koszulą. Zesztywniałe, wyciągnięte nogi.

- Cześć - przywitał się Kowalski. - To właśnie on.  
- Domyślam się - mruknął Nowak. - Co wiemy?  
- Ktoś go udusił kawałkiem sznura. Może szalikiem albo częścią ubrania, skóra nie jest rozcięta, jest za to szeroki ślad.

- Kawał cielska. Musiał być naprawdę mocno trafiony, skoro się dał tak zadusić.

Nowak przyjrzał się dokładniej bezwładnemu ciału.  
- Albo ktoś udusił go obok i przydźwigał tu ciało, co chyba jest mało prawdopodobne, albo zamordował go na ławce.

Przypuśćmy, że facet się zwałił na przystanek po wyjściu z tramwaju. W takim razie morderca musiał albo stać nad nim, albo siedzieć tuż koło niego.

- Gość mógł też przyleźć z działek albo z bloków na pętlę - zauważył aspirant. - I dopiero czekać na tramwaj.

- Racja. Wiemy, kim jest zamordowany?

- Tak, niejaki Marian Staszczuk, z tego osiedla. Stały klient, z tego, co wiem. - Nowak spojrział pytająco. - No, wiesz, ciągle libacje, zakłócenia porządku, kłótnie domowe, wyrzucanie śmieci przez okno. Już wysłałem człowieka do rodziny. Rodziny jak rodziny, mieszkał z konkubinią w bloku na Doryckiej. Bezrobotny.

- Kto go znalazł?

- Jakaś kobieta, motorniczy... motornicza? Tak się mówi? Nazwisko... Agata Litwinowicz. Powinna tu jeszcze być.

Nowak spojrział w prawo. Wokół budki ZTM stało kilku motornicznych i z zaciekawieniem obserwowało pracę policjantów. Obok zaparkowała skoda fabia z napisem „Nadzór Ruchu”. Nowak podszedł do ludzi, były tam dwie kobiety.

- Pani Agata Litwinowicz?

- To ja. - Jasnowłosa kobieta po czterdziestce była wyraźnie zdenerwowana.

- Komisarz Nowak z wydziału zabójstw Komendy Stołecznej. To pani znalazła zwłoki?

- No tak, ja. Zamknęłam tramwaj i szłam już tutaj. - Pokazała na budkę. - I na przystanku go zobaczyłam. Dyspozytor od razu zadzwonił na policję.

- Widziała pani jeszcze kogoś? Ktoś był na przystanku? Ktoś wysiadł z tramwaju?

- Na przystanku poza tym człowiekiem nie było nikogo. Paru pasażerów wysiadało. Widziałam ze cztery osoby. Jakies starsze małżeństwo i dwóch chłopaków, i chyba jeszcze ktoś.

- Czy ktoś z państwa też prowadził siedemnastkę? - Nowak zwrócił się do pozostałych.

- Ja - zgłosił się starszy, wąsaty mężczyzna.

- Wcześniejszą czy późniejszą?

- Późniejszą. Zaraz miałem zjeżdżać do zajezdni.  
- Przystanek był pusty, kiedy pani Agata na niego wjechała - wtrącił się niewysoki mężczyzna. - Potem przyjechał pan Kalwas. - Pokazała na wąsacza. - Pani Litwinowicz miała jeszcze jechać w trasę, ale wstrzymałem kurs. Następna siedemnastka wjechała już na przystanek piętnastki i puściliśmy ją zamiast poprzedniej.

- Pan jest dyspozytorem, tak? Czy mają państwo grafik z listą motorniczych, którzy jeździli wieczorem siedemnastką? A najlepiej wszystkich, którzy przyjeżdżali na pętlę, powiedzmy, po godzinie dziewiętnastej?

- Tak, oczywiście. Mamy też dokładne godziny przyjazdu, jeżeli pana to interesuje.

- Jasne że tak. Bardzo panu dziękuję.

Nowak wiedział, że przestrzeganie pory przyjazdu i odjazdu jest dla motorniczych i kierowców autobusów niezwykle ważne. Nie można było nie tylko spóźnić się, ale i przyjechać za wcześnie.

- A pan niczego nie widział? Nie wychodził pan na papierosa?

- Rzuciłem palenie. - Dyspozytor się roześmiał. Po chwili spoważniał, jakby uznał, że nie wypada się śmiać w obecności trupa i komisarza z wydziału zabójstw. - Moja praca polega na siedzeniu na miejscu. Zresztą po ciemku tutaj lepiej nie wychodzić.

- Mogę zabrać tę listę? Zwrócimy jutro rano. - Nowak wziął gruby zeszyt. - Mam prośbę. Jeżeli któryś z motorniczych cokolwiek widział, w szczególności jeżeli zwrócił uwagę na tego faceta, niech się zgłosi. Może ktoś pamięta pijaka wytaczającego się z wagonu. Z dużym prawdopodobieństwem przyjechał jednym z poprzednich kursów. Gdybyście państwo... gdyby ktoś z państwa przypomniał sobie o czymkolwiek, co wydaje się istotne, proszę o informację.

Kowalski pojawił się ponownie.

- Wrócił policjant od jego szanownej „małżonki”. Misja nieudana. Kobieta zalana w cztery dupy. Życzliwa sąsiadka powiedziała, że to stan permanentny. Zasadniczo. - Skrzywił się

ponuro. - Wspomniała też, że Staszczuk miał paru kumpli od kieliszka. A raczej od butelki. Przesiadali w piwnicy, pod starą kotłownią, albo w krzakach przy torach tramwajowych.

Tak, zwyczaj picia alkoholu wśród roślinności niskopiennej znany jest chyba tylko w Polsce. Ciekawe, dlaczego.

- Masz ich nazwiska?

- Jeden mieszka w tym samym bloku. Byli u niego, ale już spał. Pijany. Niekomunikatywny troszkę. Raczej do pracy rano nie pójdzie, więc go jutro przesłuchamy. Pozostałych też trzeba będzie namierzyć.

W tym momencie po raz kolejny zadzwoniła komórka. Na ekranie znowu pojawił się numer Komendy Stołecznej.

-Tak?

- Panie komisarzu, dzwoni niejaki Tomasz Piekara - powiedział dyżurny. - Łączyć?

Nowak westchnął. Facet wiedział, kiedy zadzwonić. Ale w końcu kiedyś z nim trzeba porozmawiać. Może być i teraz.

- Inspektor Nowak? Piekara z tej strony - złodziej mówił półgłosem. Widocznie był już w domu i nie chciał budzić dzieci. Nowak wolał nie tracić czasu na poprawianie swojego stopnia. - O co pan chciał zapytać? O niedzielę? Coś się stało? Chyba bym zidiociał, gdybym łąził gdzieś teraz na robotę.

Nowak wiedział, że przypadki zidiocenia występują w naturze.

- Podobno był pan w pracy. Gdzie?

- Pod Nadarzynem. Tam jest nowe osiedle, robię na budowie przy jednym takim dwupiętrowym segmencie.

- Gdzie to jest? Jakiś adres?

- Adres? Przy drodze z Nadarzyna na Pruszków. - Piekara się roześmiał. - Ulice są wytyczone, ale nazw to jeszcze nie mają. Osiedle „Pod Sosnami”.

- O której pan wrócił i jak?

- Znaczy w niedzielę? Kolega mnie zawiózł na plac Zawiszy, a stamtąd dojechałem dwunastką do domu. O której? Ja wiem? Jakaś dziewiąta była.

- Nazwisko tego kolegi?



- Andrzej Stelmaszczyk. To on znalazł mi tę robotę i on mi płaci. Chcecie numer do niego?

Nowak zapisał podany numer.

- Czy mówi panu coś nazwisko Oleszkiewicz?

- Oleszkiewicz, Oleszkiewicz... Nie, nie znam nikogo takiego. Będę wzywany? Na przesłuchanie? Wie pan, nie mogę zawiadzić, o robotę trudno. A jeszcze co poniedziałek muszę zgłaszać się na Żytnej.

Nowak postanowił pójść Piekarze na rękę. Nie ma złej młodzieży, są tylko źli wychowawcy. Makarenko. A może Łysenko?

- Jutro na budowę ktoś przyjedzie i da panu protokół do podpisania. Czy ten... Andrzej Stelmaszczyk też tam będzie?

- Tak, jest codziennie. Chyba że jedzie kupować materiały.

- Wolałbym, żeby jutro był.

- Jak pan chce kogoś przesłuchać - Piekara się roześmiał - to lepiej pan znajdzie kogoś do tłumaczenia. Z białoruskiego. Naszych tu niewiele.

Nowak powiadomił prokuratora, ale przygotowanie protokołu oględzin niestety spadło na niego. Rozejrzał się. Przy radiowozach stał już samochód jakiejś telewizji, radia i jeszcze jeden bez oznaczeń.

- Panie Adamie! - Nowak usłyszał znajomy głos.

Podszedł do młodego dziennikarza. Marcin Krajewski z „Gazety Stołecznej” czekał z dyktafonem w ręku. Miał jeszcze nadzieję na przekazanie informacji do czwartkowego wydania.

- Kto to był? - zapytał chłopak. - Ten zamordowany...

- Marian Staszczuk. Mieszkał w bloku na Doryckiej. - Nowak pokazał w stronę bloków. - Alkoholik. Notowany, za kłócenia porządku, nocne libacje, awantury domowe i tym podobne.

- To też efekt jakiejś kłótni?

- Jeszcze nie wiadomo. Nie mamy na razie żadnych świadków.

- Dopisać standardową formułkę, że policja zwraca się z prośbą, i tak dalej?

- Jasne. Proszę podać numer kontaktowy Komendy Stołecznej i komendy na Żoliborzu.

Nowak wiedział, że notatka o śmierci Staszczyka znajdzie się na czwartej lub piątej stronie w dziale „Kronika policyjna”. Podobnie było ze śmiercią Oleszkiewicza. Wtedy też podano numery telefonów, ale nikt w tej sprawie się z policją nie kontaktował.

Powtórzył pierwsze ustalenia natarczywej reporterce z prywatnej telewizji, która przepchała się z kamerzystą do taśmy zagradzającej dostęp do przystanku. Nigdy jej wcześniej nie widział, chyba po raz pierwszy występowała w tej roli. Ładna, młoda dziewczyna była strasznie przejęta, zadając mu pytania.

Niepisana umowa z dziennikarzami była taka, że dawali policji dzień, dwa spokoju, nie kręcili się na miejscu zbrodni i nie szukali świadków, aby nie narazić się na zarzut utrudniania śledztwa. Dopiero potem zaczynało się łażenie po domach, podpytywanie sąsiadów przez półotwarte drzwi. Nawet telewizja publiczna zaczęła doceniać atrakcyjność tego typu dziennikarstwa i zwiększała sobie oglądalność, robiąc dziesięciominutowe reportaże. Oczywiście w sytuacjach wyjątkowych stacje telewizyjne miały szlaban na rozpowszechnianie informacji, jeżeli nawet dziennikarze pojawili się na miejscu parę minut po policjantach. Osobna sprawa to programy realizowane we współpracy z policją, takie jak 997. Czasami w wykryciu sprawcy pomagały nie tylko informacje od widzów. Nowak pamiętał, że kilka lat temu pobito na śmierć młodego dziennikarza, który po pijanemu przez pomyłkę wsiadł do niewłaściwego autobusu nocnego i znalazł się na Stalowej. Chłopak mieszkający w kamienicy, w której bramie znaleziono zwłoki, zgłosił się jako statysta. Był tak przekonujący w roli oprawcy, że wezwano go na przesłuchanie. I rzeczywiście, jak się okazało, odtworzył

to, co zrobił kilka tygodni wcześniej.

## 2

Ciężko mu się spało tej nocy. Podobno gdy zapadamy w sen, mózg ma czas na uporządkowanie informacji zebranych w ciągu dnia. Tak, kurwa, uporządkowanie. Widocznie mózg policjanta pracuje inaczej. Musi porządkować informacje za dnia, więc w nocy bierze wolne. Nowakowi majaczyły w nocy tramwaje. W jednym z nich jechała jego była żona razem z Kowalskim. Z tyłu wagonu siedziało kilku martwych emerytów. Każdy miał przy sobie karteczkę z numerkiem, takim, jakie rozstawiała ekipa techniczna na miejscu zbrodni. Wszystkie numerki były numerami linii tramwajowych jeżdżących po Warszawie. Przy kasowniku - ale nie elektronicznym, tylko takim starym, z dziurkaczem - stał podejrzany Szymański i patrzył na niego z pogardą. A on sam nagle stał się motorniczym i był przerażony, bo nie potrafił prowadzić tramwaju.

Nieważne, sen mara, Bóg wiara. Jak mawiała jego babcia.

Nowak musiał rano ponownie jechać pod hutę. Umówił się tam z Kowalskim.

- Cześć. Kiepsko spałeś - zauważył aspirant.

- Ty chyba też. Seks?

- Daj spokój. Seks w mieszkaniu w bloku, z dwójką dzieci na karku, to nie jest łatwa rzecz. W każdym razie nie robi się tego przez całą noc.

Zajrzeli najpierw do budki dyspozytora. Był tam już ktoś inny niż ostatniego wieczoru.

- Copija - powiedział mężczyzna w służbowym garniturze.

- Słucham? - odpowiedzieli jednocześnie policjanci.

- Nazwisko takie. Bohdan Copija. - Dyspozytor się skrzywił

- Oj, panowie, niedobrze z wami. Może kawy? - Wskazał na termos. - Zaraz znajdę jakiś kubek.

Nowak chętnie wypił nieco ciepłej kawy w plastikowym kubku. Może go to postawi na nogi.

- Opowiedzieli mi oczywiście o wczorajszym zdarzeniu. Za pięćdziesiąt dwie minuty będzie tu motorniczy, który przypomina sobie tego gościa. Wojciech Przyjemski. Przywiózł go siedemnastką.

Policjanci spojrzeli na siebie.

- Dobrze - powiedział Nowak. - Na pewno któryś z nas się tu pojawi.

Poszli przedłużeniem Nocznickiego do bloku stojącego tuż przy drodze, którą trudno było nazwać w tym miejscu ulicą. Pracowały tam maszyny budowlane, a robotnicy kopali rowy i mocowali krawężniki. Najwyraźniej ulica była poszerzana i utwardzana - może miała zostać połączona z Marymoncką. Blok Staszczyka miał adres Dorycka 5. Dziesięciopiętrowy, z wielkiej płyty, z dużymi oknami, ale mocno odrapany. Weszli na klatkę.

Ustalili, że Nowak pogada z konkubiną Staszczyka, a Kowalski przepyta sąsiadów. Potem Nowak wróci na pętlę, żeby porozmawiać z Przyjemskim i poczeka na aspiranta.

Nowak nacisnął dzwonek do lokalu Staszczyka, gdzie mieszkała, oczywiście bez meldunku, niejaka Zofia Pawelec. Nikt nie otworzył. Zadzwoił jeszcze raz, tym razem dłużej. Znowu nic. Już miał walnąć w drzwi pięścią, ale nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Wszedł i od razu poczuł smród, jaki może wydzielać tylko mieszkanie dwojga alkoholików. Zniszczone meble sprzed trzydziestu lat, brudny dywan w pokoju, zapuszczona kuchnia z czarnymi plamami na ścianach i suficie. Pięćdziesięcioletnia kobieta o zniekształconych rysach twarzy kiwała się na krześle w kuchni. Na stoliku stała otwarta butelka.

- A ty tu, kurwa, czego chcesz, psie jebany?

No tak. Panowie pozwolą, moja żona, Zofia.

- Chodzi o śmierć pani męża.

- Męża? Mąż to już dawno w ziemi. - Pawelec roześmiała się skrzekliwie. - O Mariana chodzi, nie? Chuj pierdolony, wziął i zdechł - rzuciła. - Dał się zadusić jak wieprz w rzeźni.

Nowak wolał nie wdawać się w dyskusję na temat tego, czy trzoda chlewna rzeczywiście jest pozbawiana życia za pomocą sznura.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- W środę rano pod Leclerca pojechał. Wózki odprowadzać. W środę ludzi nie tak dużo jak w sobotę, ale na wino chyba zarobił. Pewnie z koleżkami polazł w krzaki potem, żeby wypić.

- Gdzie? Z jakimi kolegami?

- A ma dwu takich. Z Wawrzyszewa. Na Reymonta mieszkają i tam piją, w krzakach przy tramwaju.

- Nazwiska?

- Józek, Janek. Nie pamiętam. Gady straszne. Nie lubię skurwysynów.

- Kto mógł to zrobić? Ktoś z nich?

- A skąd! To ofermy, żaden z nich w życiu niczego dobrze nie zrobił. Tylko pieniądze brać potrafili. Od Mariana też pożyczali i nie oddawali. A on, dureń, nic nie mówił.

- Zna pani któregoś z tych ludzi? - Nowak wyciągnął z teczki zdjęcia czterech mężczyzn, którzy zostawili odciski palców w dwunastce, w niedzielę.

- Nie znam. - Kobieta z przekonaniem pokiwała głową. - Nie znam.

Zostawił Zofię Pawelec w mieszkaniu. Zdaje się, że właśnie z fazy złości przechodziła do rozpacz. Zdecydowanie chciał uniknąć zarówno słuchania popisu bluzgów, jak i pocieszania alkoholiczki.

Wrócił na pętlę, czekał już tam na niego motorniczy. Tęgawy, wysoki mężczyzna w okularach wyglądał na czterdzieści pięć lat. Wzbudzał zaufanie. Jeżeli Tramwaje Warszawskie chciałyby się reklamować, powinny go wziąć do sesji zdjęciowej.

- Dzień dobry. To pan widział tego człowieka, prawda?

- Tak. - W głosie tramwajarza można było wyczuć pewien dystans wobec policjanta. - Pamiętam, że wsiadł na Przystanku przy Reymonta. Wsiadał długo, musiałem czekać, aż się wtarabani.

Połowę wagonu wymiotło, jak tylko usiadł. Dobrze, że mi nie zarzygał wozu.

- Wsiadł sam?  
- Tak, nikogo z nim nie było.  
- Awanturował się po drodze?  
- Na przystankach patrzyłem i widziałem, że siedzi spokojnie.

- O której dotarł pan na pętlę?  
- Przyjechałem 21.50, zgodnie z rozkładem.  
- Pamięta pan, kto wysiadł na przystanku?  
- Hmm... - Przyjemski spojrzał gdzieś w prawo, nad głowę Nowaka. - Było chyba małżeństwo z dzieckiem. Parę młodych osób. I taki duży facet, w jasnej kurtce, krótko ostrzyżony. Wyższy od pana i ode mnie. Pewnie z metr dziewięćdziesiąt.

- Rozpoznałby go pan?  
- Nie. Widziałem go od tyłu.  
- Szczupły, tęgi?  
- Tęgi, zdecydowanie. Szeroki był.  
- Został na przystanku?  
- Nie, poszedł w stronę budki, a potem skręcił w prawo, jak wszyscy. Już się im nie przyglądałem.  
- A Staszczyk? To znaczy ten pijak.  
- No, wytoczył się jakoś z tramwaju i usiadł na ławce. Z nikim nie rozmawiał.

Na koniec Nowak pokazał motorniczemu zdjęcia z kartotek. Przyjemski nie rozpoznał żadnego z potencjalnych podejrzanych. Trudno. Nowak podziękował mu, zanotował jego numer telefonu i uprzedził, że jeszcze mogą się z nim kontaktować.

Kowalski wrócił kwadrans później.  
- Sąsiedzi mówią to, co już i tak wiemy. Ciągłe wrzaski, krzyki, tłuczone butelki. Kiedyś wysłaliśmy tu patrol, bo facet wziął nóż i zaczął krzyczeć, że zabije swoją kobietę. Ale wczoraj nikt niczego nie widział. Rozmawiałem też z jego sąsiadem, tym kolegą od butelki. Dziś jeszcze nie ruszył w miasto. Wczoraj nie

pili razem, ale widział Staszczyka wychodzącego rano z domu, do tramwaju.

- Ktoś miał do niego jakiś uraz?

- Cały blok, zwłaszcza ci, nad którymi mieszkał. - Aspirant uśmiechnął się ponuro. - Nie, nikt mu bomby nie podkładał. A co tobie się udało ustalić?

Nowak zrelacjonował rozmowę z Zofią Pawelec oraz z motorniczym.

- No, to zasadniczo niewiele wiemy.

- Zasadniczo niewiele - zgodził się komisarz.

Wsiedli w samochód Kowalskiego i pojechali na Piaski. Wjechali w Bajana i zaparkowali pod lecznicą na Renesansowej. Obok w dużym żółtym budynku było wszystko, co jest potrzebne człowiekowi w mieście - całodobowy sklep z alkoholem, piekarnia, restauracja i peep show. W okolicach kiosku spożywczego kręciło się paru starych pijaków. W krzakach na skraju przystanku stał brodaty facet w czapce z daszkiem, obok na wózku siedział drugi mężczyzna.

- Co jest, kontrola z Sanepidu? - Inwalida przerwał liczenie drobnych pieniędzy.

- Spokojnie, Józiu, panowie z policji. Państwowej policji. Trzeba być kulturalnym. Kultura jest najważniejsza, nie? Jak to mówią, kultura obowiązuje - włączył się lump w czapce.

- Faktycznie, panowie z policji - powiedział Kowalski. - Znacie Mariana Staszczyka? Mieszkał na Wrzecionie.

- Mańka? Pewnie, że znamy. A co, zrobił coś? Zabił wreszcie tę swoją babę?

- Niestety, nie. Kiedy go widzieliście ostatnio? - Aspirant wziął na siebie ciężar rozmowy.

- Wczoraj. Postawił nam winko. Musiał zarobić co nieco.

- O której go spotkaliście?

Mężczyzna coś odpowiedział, ale zagłuszył go tramwaj hamujący przed przystankiem.

- Co?

- Mówię, że jasno już nie było, kapitanie.

- Ale nie siedzieliście na dworze?

- Za zimno, kapitanie. Skoczyliśmy jeszcze do mnie - powiedział ten w czapce. - Potem Marian się ewakuował. Żeśmy chłopaka odprowadzili.

„Chłopaka”, pomyślał Nowak. „No, tu kolega nieco przesadził”.

- Mówił coś ciekawego? Miał jakieś kłopoty?

- Miał, szefie. Potrzebował miliona dolarów, a nie mógł zbierać.

- Panowie, co się stało? - wtrącił się inwalida.

- Ktoś udusił go wczoraj wieczorem kawałkiem sznura. Na przystanku tramwajowym - po raz pierwszy odezwał się Nowak.

Pijacy wyglądali na autentycznie wstrząśniętych.

- No jak Boga kocham... Jak to udusił? Kto udusił Mariana?

- Tego nie wiemy. Znalaziono go na pętli pod hutą. A wam ktoś kiedykolwiek groził? Napadał? - dopytywał się aspirant.

- Różnie bywa - powiedział po chwili ten w czapce. Już nie nazywał żadnego z policjantów „kapitanem” ani „szefem”. - W piątek i sobotę wieczorem lepiej się tu nie pokazywać. Chłopaki idą na imprezy. Wracają w nocy, wtedy jest jeszcze gorzej, lepiej być w domu.

- A ostatnio coś się stało? W ciągu ostatnich paru tygodni?

- Nie. Chyba nie. Józiu, pamiętasz coś?

- Nie. Na ogół społeczeństwo omija nas szerokim łukiem. Okraść też się nas za bardzo nie da.

Spisali obu mężczyzn. Nowak jeszcze wyciągnął zdjęcia z teczki. Nie znali tych ludzi.

- No, to do zobaczenia panom. Dajcie na mszę za kolegę u św. Zygmunta - rzucił na odchodnym.

Poszli do auta.

- Co teraz? - zapytał Kowalski. - Mówiłeś, że masz spotkanie z jakimś księdzem. Związane z tym poprzednim morderstwem.



- Ano mam. To będzie moje pierwsze od dwudziestu lat spotkanie z księdzem. - Roześmiał się. - Podrzucisz mnie na Miodową?

Strażnik siedzący przy wejściu do Pałacu Prymasowskiego zadzwonił do księdza Gellerta, po czym skierował Nowaka na drugie piętro. Komisarz wszedł po szerokich schodach, pokrytych ciemnozielonym dywanem, i znalazł wejście do Wydziału Duszpasterstwa. W dużym pokoju siedziało dwu księży i jeden pracownik cywilny - o dziwo, kobieta. W zasadzie pokój przypominał trochę pomieszczenia w komendzie. Szafy z aktami, biurka ze stertami papierów i komputerami. Były tu jednak solidne meble i prawdziwy dywan na prawdziwej podłodze, a nie byle jaka wykładzina. Ksiądz Gellert, szpakowaty mężczyzna w okularach, po pięćdziesiątce, podniósł się ze swojego fotela i wskazał komisarzowi wolne krzesło.

- Komisarz Nowak? Dzień dobry panu. - Uścisk ręki Gellerta był mocny, w niczym nie przypominał delikatnego podania dłoni, które charakteryzowało niektórych księży. Głos też nie miał tego typowego, trudnego do opisania, ale natychmiast rozpoznawalnego tonu, wyuczonego na lekcjach retoryki w seminarium. A kto wie, może ksiądz Gellert był kiedyś kapelanem wojskowym...

- Dzień dobry. Nie chciałbym zabierać księdzu zbyt dużo czasu. Interesuje mnie ksiądz Ludwik Brzechwa z parafii na Rakowcu. Dlaczego odszedł, w jakich okolicznościach...

- A można wiedzieć, dlaczego akurat on? O jaką sprawę chodzi?

- Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Witolda Oleszkiewicza, emerytowanego nauczyciela z Koła. Wiemy, że kiedyś pokłócił się dość ostro z tym księdzem. Jak dotąd był to jedyny ślad kontaktu zamordowanego z jakimkolwiek nadużyciem czy przestępstwem. - Nowak spojrział na duchownego. - Dlatego tu przyszedłem.

- Zabójstwo?! - Ksiądz był mocno zdziwiony. - Doprawdy, nie przypuszczałem, że chodzi o tak poważną sprawę. Ale przygotowałem się na spotkanie z panem. - Ksiądz wskazał segregator leżący przed nim na biurku. - Mam komplet dokumentów na ten temat. Zresztą pamiętam tę sprawę. Z przykrością stwierdzam, że ksiądz Brzechwa przekroczył nie tylko pewne granice moralne, ale również dopuścił się nadużyć finansowych.

- Jakiej wielkości były te nadużycia?

- Chodziło o prawie dwieście tysięcy złotych. Mieszkania zapisane parafii były sprzedawane na wolnym rynku. Ksiądz Brzechwa zaniżał w dokumentach faktyczną cenę sprzedaży i przywłaszczał sobie różnicę. Na szczęście zdał sobie sprawę z błędu, który popełnił, zobowiązał się zwrócić całą kwotę i z pokorą przyjął decyzję kurii o przeniesieniu go na inne miejsce.

Nowak chciałby, żeby schwytani przez niego przestępcy z pokorą przyjmowali wyroki sądowe. Zresztą, gdyby się dobrze zastanowić, ich pokora nie miała żadnego znaczenia. Zwłaszcza w sprawach o zabójstwo.

- Mogę przejrzeć dokumenty?

- Proszę bardzo, ale tylko na miejscu. Niestety, nie jestem w stanie przekazać panu kopii, nie mówiąc o oryginałach, bez pozwolenia biskupa. - Ton głosu księdza był przyjazny, ale wciąż oficjalny. - Jeżeli pan chce o to wystąpić, proszę o pismo z Komendy Stołecznej.

Nowak oglądał wpięte do segregatora papiery. Skargi podpisane przez parafian. Kilka anonimowych donosów. Nazwiska Oleszkiewicza nigdzie tam nie było. A nowe miejsce, na które przeniesiono księdza, to małe miasteczko na Pomorzu, gdzieś w okolicach Koszalina czy Kołobrzegu. Warpiewo. Parafia pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Bożej. Nowak zapisał nazwę parafii i adres, numer telefonu znajdzie na pewno w książce telefonicznej. Zanotował też na wszelki wypadek numer akt. Ale i tak pewnie nie poprosi o ich udostępnienie.

- Wie pan, sam fakt zapisania mieszkania Kościołowi nie jest niczym niezwykłym - odezwał się ksiądz. - Wielu samotnych ludzi tak robi z własnej inicjatywy, nikt ich do tego nie musi nakłaniać. Z kolei inni, dysponujący nieco większym majątkiem, myślą nie tylko o uposażeniu swojej rodziny, ale na przykład o przekazaniu części zgromadzonych środków na cele charytatywne. A Kościół musi uzyskiwać fundusze nie tylko na utrzymanie budynków, ale i na wszystkie inicjatywy, którymi się zajmuje. Domy dziecka, domy opieki, hospicja... Mam nadzieję, że nie jest pan do tego stopnia antyklerykalny, żeby tego nie rozumieć. Antyklerykalny jak niegdyś pańska instytucja w ogóle...

- Ksiądz ma chyba na myśli Milicję Obywatelską, prawda? - odparł Nowak i użył powtarzanego ostatnio przez wszystkich zwrotu: - Mamy już inne czasy. Przypuszczam, że większość policjantów to katolicy, jak w każdej grupie społecznej. Policja ma kapelana, kompania honorowa bierze udział w uroczystościach kościelnych, po przysiędze policyjnej jest msza...

Ksiądz westchnął.

- Tak, rozumiem, inne czasy. Ale nie chodzi mi o kompanię honorową. Część uprzedzeń nie zniknęła, bo nadal są ludzie, którzy je żywili. Nie wszyscy dawni funkcjonariusze odeszli, prawda?

Nowak pomyślał o Zakrzewskim, który czasami wygłaszał tyrady na temat „czarnej mafii”.

- Ja nie jestem antyklerykałem. Zresztą to nie ma nic do rzeczy, prawdę mówiąc. Prowadzę śledztwo i muszę ustalić fakty.

- Rozumiem. Wie pan, hm, w tej sprawie, i w wielu innych, w pewnym sensie musiałem grać rolę policjanta. Przeprowadzając dochodzenie. Na pewno nie jest to taka niebezpieczna praca jak pańska, ale czasami równie trudna. - Ksiądz pokiwał głową. - Gdzie mieszkał ten zamordowany emeryt? Na Kole?

-Tak.

- O, to zupełnie inna parafia, Św. Józefa Oblubieńca na Deotymy. Też dużo starszych ludzi, ale zdecydowanie inny proboszcz. Ksiądz doktor Jan Sikorski, słyszał pan o nim?

- Niestety, nie.

- Nie? - Ksiądz wydawał się niemile zaskoczony. - A to przecież bardzo znana postać. Był do niedawna naczelnym kapłanem więziennictwa. W stanie wojennym pomagał internowanym działaczom „Solidarności”. Spowiadał i odprawiał msze w Białoleścu. Przenosił grypsy... To nie tylko duszpasterz, ale i świetny organizator. Założył przedszkole, szkołę podstawową, gimnazjum i liceum, a nawet aptekę. Wciąż pomaga więźniom, byłym i obecnym. Należy do komisji charytatywnej Episkopatu. Człowiek historia, przyznano mu kiedyś tytuł „Warszawiaka Roku”. U niego kościół jest otwarty przez całą dobę.

Nowak po raz kolejny przekonał się, że codziennie można dowiedzieć się czegoś nowego o mieście, w którym przyszło mu mieszkać i pracować.

- Czy ksiądz zna wszystkich proboszczów w Warszawie?

- Wszystkich? Nie, nie wszystkich osobiście, ale w większości wypadków znam co najmniej nazwisko. Nie muszę zaglądać do dokumentów. Ani do komputera. - Ksiądz pstryknął w obudowę monitora.

- Będę o tym pamiętał. - Nowak się uśmiechnął, unosząc się z krzesła. - Kto wie, może się jeszcze kiedyś spotkamy?

- Kto wie... Powiedziałbym, że Bóg wie. A dziś, panie komisarzu, mogę tylko życzyć powodzenia - dodał ksiądz Gellert.

- Mam nadzieję, że znajdzie pan zabójcę tego nauczyciela.

- Bóg zapłać, proszę księdza - odpowiedział Nowak.

Nowak wrócił do Komendy Stołecznej i obejrzał raport z sekcji zwłok Staszczyka. Śmierć na skutek uduszenia sznurem, to jasne. Facet miał 2,3 promila alkoholu we krwi, być może odzyskał świadomość na ostatnie chwile swojego beznadziejnego życia. Ale nie mógł bronić się długo. Nie znaleziono żadnych

śladów wleczenia ciała, czy to martwego, czy żywego, położenie zwłok jednoznacznie wskazywało, że Staszczyk został zamordowany na ławce.

Raport z laboratorium kryminalistycznego nie zawierał żadnych rewelacji. Zebrano sporo śladów, na ubraniu znaleziono włos nienależący do ofiary. I drobne cząsteczki szarej farby, jakby Staszczyk zajmował się malowaniem, a raczej lakierowaniem natryskowym. Ciekawe. To trzeba by wyjaśnić. Być może podczas niezbyt częstych okresów trzeźwości zajmował się drobnymi pracami remontowymi albo pomagał komuś w warsztacie.

- Sądzisz, że te morderstwa mają ze sobą coś wspólnego? - spytał go podinspektor Michalski. - Oba w pobliżu tramwajów, dość niedaleko od siebie...

- Nie wiem - odpowiedział szczerze Nowak. - Sposób zadania śmierci jest inny. Ale dobór ofiary w pewnym sensie podobny.

- Podobny?

- Jasne, tu starszy człowiek, a tu pijak, obaj byli słabsi niż morderca. Nie mieli praktycznie żadnej możliwości obrony, tym bardziej że obaj zapewne nie spodziewali się ataku.

- Sprawdziłeś, czy coś łączyło Oleszkiewicza i tego pijaczka?

- Jeszcze nie rozmawiałem z nikim z rodziny Oleszkiewicza. Dziś jest pogrzeb.

Nowak chciał jeszcze wybrać się pod Nadarzyn. Wziął samochód z komendy. Którędy pojechać, żeby uniknąć korków? Czy o tej porze są korki? Postanowił nie jechać Aleją Krakowską, bo tam było, po pierwsze, potwornie nierówno, a po drugie, zawsze ciasno. Pojechał przez Pruszków i Nową Wieś. Po drodze czekała go atrakcja w postaci przejazdu WKD. Nowak słyszał, że jest nowoczesny skład niskopodłogowy kolejki, ale akurat nie udało mu się go zobaczyć. Pewnie znowu się zepsuł. A droga okazała się jeszcze bardziej dziurawa i nierówna niż

Aleja Krakowska na wysokości Okęcia.

Osiedle „Pod Sosnami” miało bramę wjazdową ze strażnikiem, szlabanem i koleczką. Nikt jednak nie sprawdzał Nowaka, nie wypytywał, do kogo jedzie, jak to się zdarzało na strzeżonych osiedlach w Warszawie - znudzony strażnik od razu go przepuścił.

Domy na osiedlu były w różnych fazach wykańczania. W niektórych mieszkali już ludzie, przed posesjami stały samochody, kręciło się parę osób pracujących w ogrodzie. Ciekawe, co ci ludzie robią na co dzień, czym się zajmują? Nie wszyscy wyglądali na wynajętych ogrodników. Nowak jeździł po wytyczonych na osiedlu ulicach - jeżeli te wyboje, na których niszczył zawieszenie służbowego wozu, można nazwać ulicami - i szukał budowy, na której pracował Piekara. Okazało się to nie takie proste, bo ekipy uwijały się w wielu miejscach. Pieprzony Arsen Lupin. Raczej Arseniusz Łupina. Nowak zadzwonił w końcu do Piekary i zapytał, gdzie go można znaleźć.

Udało mu się zaparkować koło zdezelowanej półciężarówki, stojącej przed domem wchodzącym w skład ciągu segmentów. Dwa piętra, choć w zasadzie drugie piętro to było już poddasze. W dachu pokrytym prawie całkowicie papą znajdowały się miejsca na uchylne okna.

- Słucham pana? - zapytał niski facet z wąsami, który stał przy furgonetce i palił papierosa.

- Policja, Adam Nowak, Komeda Stołeczna. Szukam Tomasza Piekary.

- A! - Wąsacz się ożywił i wrzasnął gdzieś w górę: - Tomek! Pan władza do ciebie! E, Siergiej! Zawołaj Tomka!

Wyciągnął rękę do policjanta.

- Andrzej Stelmaszczyk. Jestem tu majstrem, zebrałem całą tę ekipę. - Spojrzał na komisarza. - Tomek to dobry chłopak. Fachowiec z niego niezły. Tylko sobie zawód głupio wybrał. No wie pan, ten dodatkowy. Przez który z wami ma do czynienia. Znowu poszedł na robotę?

- Raczej nie. Musi tylko podpisać zeznanie.

- Bo jeżeli ma kłopoty, to wie pan, mogę z nim zawsze porozmawiać. W sumie to mogę go stąd i wyrzucić, ale to chyba nie będzie najlepsze dla niego i dla rodziny. Dla dzieciaków przede wszystkim.

- Długo się znacie?

- Ze dwadzieścia lat. - Stelmaszczyk się roześmiał. - Nasi ojcowie pracowali razem u Waryńskiego. Ja byłem dla Tomka zawsze jak starszy brat.

Brat. Jak widać, nie zawsze dawał dobry przykład.

- To pan przywozi go do pracy, prawda? A jak było w ostatnią niedzielę?

- No... Zabrałem Tomka rano z placu Zawiszy. Przyjechaliśmy na budowę, po drodze jeszcze kupiliśmy w Jankach trochę żarcia i picia, tak jak dziś. - Pokazał na schowane w cieniu torby z jedzeniem i skrzynkę piwa. - Wieczorem odwoziłem go na to samo miejsce. Około dziewiątej, może troszkę wcześniej.

- A wczoraj?

- Wczoraj tak samo.

- Ktoś może to jeszcze potwierdzić?

- Wszyscy tutaj. - Stelmaszczyk pokazał. - Jeżeli pan się z nimi dogada.

Po rusztowaniu zszedł z małpią zręcznością Piekara. Był wysokim, łysiejącym mężczyzną około czterdziestki. Miał szare, lekko zezujące oczy i poruszał się jak marynarz na statku. Albo jak akrobata, który nie może się zdecydować, jakie ćwiczenie ma właśnie wykonać.

- Adam Nowak. Komenda Stołeczna.

- Z wydziału kryminalnego? - zapytał złodziej.

- Nie. Z wydziału zabójstw.

- O! To zaskoczony jestem. - Piekara nie kłamał, sądząc po wyrazie jego twarzy. - W takie sprawy się nie mieszam. Ja już w nic się nie mieszam. Daj pan ten papier, to podpiszę.

- Chwileczkę. Zna pan tego człowieka? - Nowak wyciągnął zdjęcie Oleszkiewicza.

- Nie, nie znam.

- A tego? - Tym razem pokazał fotografię Staszczyka.

- O matko, ale buźka! Nie znam.  
- A któregoś z tych? Widział pan ich może w tramwaju? W niedzielę?

- Tak, tego. - Piekara wskazał swoje zdjęcie. - No, dobra, dobra, nie widziałem.

Piekara sprawiał wrażenie człowieka niezrównoważonego. Zachowywał się jak nadaktywne dziecko, machał rękami w czasie rozmowy. Nowak na wszelki wypadek odsunął się na bezpieczną odległość, żeby złodziej nie zaczął go chwycić za kurtkę. Położył na masce kartkę i dał Piekarze długopis. Ten szybko ją przeczytał i złożył podpis. Lewą ręką.

Nowak nie przypuszczał, że to Piekara jest mordercą emeryta. Przecież nie będzie zatrzymywał wszystkich mańkutów. Jeszcze napiszą w gazetach, że policja dyskryminuje mniejszości... W razie potrzeby Piekarę można było łatwo znaleźć. Zadzwoił jeszcze na wszelki wypadek do jego żony i zapytał także o wczoraj. Kobieta potwierdziła to, co powiedział Stelmaszczyk. Nowak musiał o to spytać, nawet jeżeli złodziej nie miał nic wspólnego z zabójstwami. Intuicja mówiła mu, że coś łączy oba zdarzenia. Coś albo ktoś. Może osoba mordercy.

Piątek okazał się dniem zastoju w obu śledztwach. Kościelniaka nie widziano ani w Płocku, ani w Warszawie. Nowak pojechał do pani Oleszkiewicz, która ponownie musiała wydobywać się z rozpacz po stracie męża - pogrzeb po raz kolejny jej to uświadomił. Obejrzała zdjęcie Staszczyka i nie rozpoznała go. Kowalski przepytывał każdego zatrzymanego złodziejaszka czy uczestnika bójki. To samo działo się na Woli, gdzie Nowak przekazał informację na temat obu zabójstw. Przesłuchano pozostałych motorniczych, którzy w środę wieczorem byli na pętli. Żaden z nich nie przekazał ważnych informacji. W piątek przyjęto też dwa zgłoszenia od mieszkańców osiedla na Wrzecionie, ale jedno okazało się głupim dowcipem, a w drugim wypadku emeryt nękany ciągłymi hałasami przez mieszkającego nad nim pijaka powiedział, że tego człowieka należy sprawdzić.



No to sprawdzili. Alibi dostarczył... sam emeryt. Jak się okazało, słyszał kolesia przez cały środowy wieczór. Nowak wrócił do domu zły i głodny. Zjadł byle co, włączył na chwilę telewizor, pogapił się na modelki w Fashion TV i poszedł spać.

### 3

W sobotę było bardzo ładnie. Ulubiona pogoda Nowaka: słońce, chmury, wiatr i nieco mniej niż dwadzieścia stopni. Postanowił wybrać się na pętlę przy hucie, żeby przyjrzeć się miejscu zbrodni bez radiowozów, gapiów i kamer telewizyjnych.

Wsiadł w tramwaj numer 33 i dojechał do pętli. Ogromny plac zajmowany przez krańcowe przystanki autobusów i tramwajów był i tak niewielki w porównaniu z terenem, który zajmowała sama Huta Warszawa. Dawniej Huta Warszawa, obecnie Huta Lucchini, wkrótce pewnie Huta Arcelor. Budowana od 1952, efekt planu sześćoletniego, postawiona na zachodnim krańcu miasta, przez wiele lat wpływała nie tylko na zanieczyszczenie powietrza, ale także na strukturę demograficzną i społeczną Żoliborza, Bielania i całej Warszawy. Tak jak przeważające na Nizinie Mazowieckiej wiatry zachodnie niosły pył z kominów, tak rosnące wokół huty osiedla wprowadzały do miasta nowych ludzi i zmieniały charakter inteligenckiej niegdyś dzielnicy oraz przedmieść. Teraz huta zatrudniała znacznie mniej ludzi, produkowała wysokogatunkową stal i nie zanieczyszczała powietrza jak niegdyś.

Nowak spojrzął w prawo. W pobliżu pętli pracowały grupki robotników. Wycinali drzewa i wyrównywali teren. Część ogródków działkowych była likwidowana.

Zastanawiał się, dokąd mógł uciec morderca. Uciec, nie przesadzajmy, nikt go zapewne nie gonił. Problem w tym, że mógł

skierować się w każdą stronę. Mógł wsiąść do innego tramwaju. Mógł przejść do jednego z autobusów stojących na pętli. Mógł ruszyć na działki, przeskoczyć ogrodzenie szkoły albo pobiec między bloki. Między bloki... Mógł po prostu wrócić spokojnie do domu, jeżeli gdzieś tu mieszkał.

Nowak skierował się w stronę czteropiętrowych bloków, otaczających pętlę od wschodu. Stał tam mały pawilon, pomalowany na zielono, a może seledynowo. Kobiety potrafią nazwać takie kolory... To ten klub, o którym wspominał Kowalski. Ze środka dobiegały głosy młodych ludzi i uderzenia kul bilardowych. Ściana frontowa pokryta była gustownym malowidłem, przedstawiającym panoramę Warszawy na tle barw Legii. Dumny napis głosił: JEDYNE MIASTO JEDYNY KLUB!!! Wydeptane trawniki otoczone były wkopanymi wzdłuż krawężnika starymi oponami. Element dekoracyjny chyba jeszcze sprzed trzydziestu lat. No, opony były może trochę nowsze.

Minął budynek i wszedł w uliczkę osiedlową między przedszkolem i szkołą a garażami. Ogrodzenie przedszkola najwyraźniej nie przeszkadzało nieco starszym obywatelom w odbywaniu tam spotkań towarzyskich - zjeżdżalnia i huśtawki były zasmarowane wulgarnymi napisami. Błazniane garaże - sklecone z różnych materiałów, każdy innej wielkości i koloru - przedstawiały nie lepszy widok. Może nie były tak zapaskudzone sprayem, ale stały wciśnięte jeden obok drugiego, tworząc coś w rodzaju bazaru ze starzyzną, w którym wszystkie stragany właśnie zamknięto. Albo dzielnicy nędzy w Sao Paulo. W ten ładny, słoneczny dzień samo osiedle nie wyglądało jednak zbyt przygnębiająco. Przestrzeń między blokami nie została całkowicie zalana betonem, budynki stały w dość dużych odległościach. Domy przypominały Nowakowi dzielnicę, w której sam mieszkał. Ta sama epoka, podobne materiały i projekt. Były nieco mniejsze - miały tylko jedną klatkę schodową, ale też były dziesięciopiętrowe. I równie szare.

Doszedł do Wrzeciona. Ta okolica miała dość wysokie miejsce w statystykach przestępczości pospolitej na Bielanach. Liczba zgłoszonych rozbójów, pobić, włamań i kradzieży była mniejsza niż na sąsiednim Wawrzyszewie, ale jednak wysoka. Mimo to w sobotę rano było tu spokojnie i przyjemnie. Najwyraźniej firmy deweloperskie również doceniły atrakcyjność tych terenów, bo powstało tu kilka nowych budynków. Pod numerem 33 stał na przykład nowy siedmiopiętrowy apartamentowiec ze sklepem, solarium, zakładem fryzjerskim i filią PKO na parterze. Nowak minął grupę dzieci negocjujących z rodzicami przez domofon, jak długo mogą zostać na dworze.

Doszedł do kompleksu pawilonów przy Doryckiej. W „okrągłaku” mieściło się parę sklepików - apteka, cukierenka „Sugus”, wielobranżowy kiosk o wdzięcznej nazwie „Sesamik” oraz sklep chemiczny. Pewnie niektóre z nich funkcjonowały tu od lat. W pawilonie mieścił się też oddział Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego. Napis sprayem na drzwiach głosił dumnie: META. Nowak zastanawiał się przez chwilę, czy nie porozmawiać z dyżurnym, ale w końcu zrezygnował. Akta Staszcyka na policji były wystarczająco bogate.

Poszedł w prawo i dotarł do bloku na Doryckiej 5, tego, w którym mieszkał zamordowany. Życie toczyło się jak gdyby nigdy nic. Młodzi ludzie szli na spacer z dziećmi. Z bloku wyszedł starszy mężczyzna z wędką w pokrowcu i skierował się do zdezelowanego opla kadetta. Tuż obok, za solidnym ogrodzeniem, mieściła się jeszcze jedna szkoła, właściwie zespół szkół. Ścisłej: Zespół Szkół Przymierza Rodzin Nr 3 w Warszawie. Ciekawe, czy chodzi o zespół numer trzy, czy o przymierze numer trzy. Za szkołą Nowak dotarł na tyły wysokiego, nowego budynku z podjazdem. Tu z kolei mieściły się stare, murowane garaże, na prawie każdych drzwiach kłódka była osłonięta przyspawanym kawałkiem blachy zwiniętej w walec. To oczywiście ochrona przed rdzą, nie przed włamywaczami. Przystanął na chwilę obok pary zażywnych emerytów w strojach sportowych, na rowerach, i razem z nimi obserwował ciężki

spychacz, przesuający dom na działce.

Dotarł z powrotem do ulicy Balcerzaka. (Kim był Balcerzak? A kim był Nocznicki? Może kiedyś to sprawdzi.) Po drodze minął kolejną ścianę opatrzoną napisem: „Jebać Warszawską Policję”.

Z pawiloniku opatrzonego „legijnym” graffiti wyszło dwu młodych ludzi, pewnie nie mieli więcej niż dwadzieścia lat. Rozmawiali głośno. Gdy jeden z nich zauważył Nowaka, trącił drugiego łokciem i skinął głową. Natychmiast przestali rozmawiać. Widocznie widzieli go wcześniej, bo nie uwierzył, że od razu rozpoznali w nim gliniarza. A może? Powinni zatem złąpać się za guzik.

Nie musiał wyciągać dokumentu, ale zrobił to. Dla zasady.

- Komisarz Adam Nowak, Komenda Stołeczna.

- I czego tak szukacie? - Wyższy, szczupły chłopak wzruszył ramionami. - Ktoś zadusił menela. Będzie czyściej na osiedlu.

- Pewnie jakiś inny menel. A jego też ktoś zadusi - dodał drugi, krępy, ogolony na zero.

- Byliście tu w środę wieczorem? Wtedy, kiedy to się stało?

- Ja byłem - przyznał po chwili ten wyższy, z wyraźną niechęcią.

- Przesłuchiowano cię wtedy?

- Nie. Poszedłem do domu.

- Widziałeś coś?

- Nie. Byłem cały czas w środku. Graliśmy w bilard.

- Nie wychodziłeś na papierosa?

- Nie musiałem. Na sali jest popielniczka.

- Znacie kogoś, kto mógł to zrobić? - Nowak zwrócił się do obydwu. - Kogoś, kto chciałby oczyścić osiedle?

- Każdy by chciał - mruknął ten wyższy.

- Tak? Ty też?

Chłopak nie odpowiedział. Nowak uznał, że trzeba spisać ich personalia. Jeden nie miał dokumentów, ale podał nazwisko i adres.

Wrócił na pętlę, odprowadzany niechętnym wzrokiem młodych ludzi. Jeszcze raz spojrzął na przystanek siedemnastki, na którym znaleziono trupa. Nie było przy nim zniczy i kwiatów, jak to zwykle bywa w miejscach, w których zginęli ludzie. Niekoniecznie zamordowani - na poboczach dróg stoi mnóstwo krzyży... Najwyraźniej po Marianie Staszczyku nie było komu płakać. Nowak już miał wsiadać do jednego z czekających tramwajów, gdy nagle coś go tknęło i przyjrzał się uważnie szybom wiaty, pod którą znaleziono trupa. Podeszedł bliżej i dotknął szklanych tafli, zaszmarowanych napisami i oklejonych ogłoszeniami.

Wiedział, że się nie myli. Wyciągnął telefon. Była sobota, ale laboratorium kryminalistyczne pracuje. Trzeba ich ściągnąć, póki szyba jeszcze jest na miejscu. Poprosił też o jak najszybsze ustalenie, kto administruje ogródkami działkowymi. Rozejrzał się po okolicy, po czym zaczął zaglądać do koszy na śmieci, budząc niejaki zdumienie stojących na przystankach ludzi. Zdumienie musiało wzrosnąć, kiedy wyciągnął z kieszeni chusteczkę, owinał nią palce i rozpoczął grzebanie w jednym z koszy. Dobrze, że patrol policji już gdzieś zniknął, bo Nowak chciał uniknąć ewentualnego tłumaczenia się mundurowym. Zbliżył się do ogrodzenia działek, przyglądając się uważnie trawie przy siatce i słupkach. Nie znalazł tego, czego szukał.

Pojechał do Pałacu Mostowskich, żeby jeszcze raz obejrzyć zdjęcia z miejsca zbrodni. Wyniki ekspertyzy miały nadejść dopiero w poniedziałek, więc po godzinie wyszedł. To prawda, był podekscytowany, ale to przecież za mało, żeby zrezygnować z jedzenia. Dotarł do domu, zrobiwszy po drodze zakupy w Elei na Broniewskiego.

Wieczorem włączył telewizor. Natychmiast pilotem włączył fonię, żeby nie słyszeć reklam, i przeszedł na strony

sportowe telegazety. Niestety, koszykarska drużyna Polonii przegrała drugi mecz półfinałowy z Anwilem Włocławek. Tylko dwoma punktami, ale jednak. Za to piłkarze zremisowali wyjazdowy mecz z Pogonią Szczecin. Przez większość meczu utrzymywał się wynik 1:0 dla Pogoni, ale Jacek Kosmański w osiemdziesiątej czwartej minucie strzelił wyrównującą bramkę! No, to było coś. A jeszcze na jesieni zdarzały się mecze, w których Polonia traciła pewne punkty, dając sobie wbić gola w końcówce. Kibice na Konwiktorskiej nie bez kozery śpiewali: „Gramy do końca, Polonio, gramy do końca!”

Nowak poważnie się obawiał, że w następnym sezonie będzie się trzeba nauczyć składu całej drużyny. Wszyscy najlepsi zawodnicy odejdą, Polonia zarobi trochę pieniędzy, które... no właśnie, co z nimi zrobi? Pewnie będzie musiała przeznaczyć je na spłatę długów. Ech, kurde, te niewykorzystane szanse... Terazniejszość mogła wyglądać całkiem inaczej. Jedna bramka więcej w dwumeczu z Panathinaikosem w 2000 roku i byłaby Liga Mistrzów!

No dobrze, najpierw byłaby dogrywka.

#### 4

- Popatrz na to zdjęcie. - Nowak pokazał komisarzowi Zakrzewskiemu fotografię z miejsca ostatniej zbrodni. - Co widzisz?

- No, przystanek tramwajowy. Taki stary. Blacha i szkło.

- Napisy! Spójrz na napisy.

- KSP HUI - odczytał Zakrzewski. - Ciekawe, czy ktoś miał na myśli nas, czy Polonię, co? W każdym razie z błędem ortograficznym. Nie ma nic więcej, tylko jakieś maźnięcia.

- Nie to. Co jest narysowane na prawej szybie?

- No... Koło. Jakby ktoś zaczął rysować znaczek Legii, ale nie dokończył.

- No, właśnie, koło. To koło jest namalowane szarą farbą w sprayu. Taką samą, jaką odkryto na ubraniu Staszczyka.

- No, ja pierdolę. To znaczy, że stary pijak był grafficiarzem?

Nowak nie był w nastroju do żartów. Ale poczuł, że Zakrzewski powiedział coś ważnego. Tylko co?

- Raczej to, że ktoś go zamordował, po czym był łaskaw zostawić to kółko na szybie.

- Albo namalował je jeszcze przed zamordowaniem Staszczyka - rzucił Michalski.

- Tak. Ale na pewno w jego obecności. Staszczyk miał na ubraniu cząstki farby, nie ślady od oparcia się o szybę.

- No dobrze, i co z tego wynika?

- To, że mamy do czynienia z psychopatą. Kimś, kto nie tylko zamordował, ale na dodatek zostawił swój podpis. Taki napis: TO JA.

- Pieprzysz. Równie dobrze mogli to być pijani gówniarze, którym życie się pomyliło z filmem. I postanowili się wyżyć na kimś słabszym i bezbronnym - powiedział Zakrzewski.

- Poza tym nie ma stuprocentowej pewności, że to zrobił morderca... - Michalski też miał wątpliwości.

- Nie wyobrażam sobie, że jakiś chłopak z puszką farby podchodzi na przystanek, nie zwraca uwagi na trupa i rysuje sobie kółko. Po co kółko? To był jedyny świeży napis na przystanku, prawda?

- Może zaczął rysować i zorientował się, że na ławce siedzi trup, więc przestraszył się i uciekł? Albo zaczął wtedy, kiedy Staszczyk siedział na ławce i był jeszcze żywy, a zabójca miał dopiero nadejść?

- Daj spokój, nikt normalny nie zbliżyłby się do tego gościa. Smród atakował na odległość pięciu metrów. Pewnie za życia też.

Nowak popatrzył na kolegów. Był przekonany, że to ślad mordercy. Co takiego powiedział Zakrzewski?

No, jasne. Niektóre słowa wydają nam się znajome, ale ze względu na różnice znaczeń nie zauważamy oczywistych skojarzeń.

- Koło - powiedział Nowak.

- Co koło?
- Koło. Na przystanku narysowano koło. Oleszkiewicz mieszkał i najpewniej został zamordowany na Kole.
- Przez chwilę patrzyli na niego w milczeniu.
- Sugerujesz, że ktoś nam zostawia znak? Że to zrobiła ta sama osoba? - Michalski zawahał się. - Że to początek serii?
- Boję się, że tak.
- Daj spokój, to tylko kółko namalowane na szybie... Chyba jeszcze za mało, żeby tak przypuszczać. Kółko jest jedynie kółkiem. Najłatwiej je namalować.
- Moim zdaniem na pewno osoba, która to zrobiła, zabiła Staszcyka. A czy zabiła też Oleszkiewicza, tego jeszcze nie wiemy. Ja bym w każdym razie tego nie wykluczał - powiedział Nowak.
- Nie za duże tempo jak na seryjnego mordercę? Raz na trzy dni?
- Wiesz przecież, że w takich wypadkach nie ma reguł. A jeżeli nawet, to są od nich wyjątki.
- Podinspektor Michalski milczał przez chwilę.
- To na razie niedużo. Jedno kółko namalowane na szybie to za mało, żeby podejrzewać, że sprawca był ten sam, że mamy do czynienia z serią. Prowadzimy na razie dwa osobne śledztwa. Ale założmy na moment, że jest tak, jak mówisz. Że oba morderstwa są dziełem tej samej osoby. Kogo wtedy byśmy szukali?
- Kogoś młodego. No, powiedzmy, stosunkowo młodego. Takiego, który wpadnie na pomysł, żeby użyć farby w sprayu do zostawienia znaku. Silnego, bezwzględnie...
- I kompletnie popierdalonego? - zapytał Zakrzewski.
- Pewnie tak. Ale zarazem bardzo inteligentnego. Może to kółko to początek gry z jego strony. Pierwszy znak. Facet mówi sobie: „Zobaczymy. Zobaczymy, czy mamy godnego przeciwnika. Czy policja odczyta już ten pierwszy znak”.
- Jeżeli nawet odczytaliśmy ten znak, komunikat, poprawnie... - zastanawiał się Michalski -...to i tak mamy zbyt mało danych, żeby mordercę znaleźć teraz. Nie popełnia podstawowych błędów, nie zostawia śladów i na razie czuje się



bezpiecznie. Możemy tylko czekać na kolejny jego krok, na to, czy zrobi to jeszcze raz. Jeżeli, powtarzam: jeżeli rzeczywiście za oba morderstwa odpowiada ta sama osoba.

Nowak wiedział, że w takim wypadku kolejna ofiara jest niestety bardzo prawdopodobna. Bez żadnych śladów, bez relacji świadków, bez punktów zaczepienia nie będą w stanie znaleźć mordercy, nawet jeżeli zajmie się tym cała warszawska policja. Zwłaszcza gdy jest to człowiek nigdy nienotowany, niemający do tej pory żadnych konfliktów z prawem.

- Wróćmy na chwilę do tego morderstwa koło huty - po wiedział Michalski. - Scenariusz jest taki: Staszczuk wytacza się pijany z tramwaju i wlecze w stronę przystanku, gdzie siada na ławce. Jeżeli tam ktoś był, to szybko ucieka, bo ciężko wytrzymać smród, który idzie od pijanego faceta.

Nowak pokiwał głową. To było już poza spektrum warszawskich zapachów.

- Zresztą i tak na przystanku zwykle siedzi mało ludzi, bo prawie zawsze czeka tam tramwaj - kontynuował podinspektor. - Czasami tylko ktoś staje przy koszu na śmieci i pali papierosa. Morderca znajduje się na przystanku albo obserwuje go z pewnej odległości, wypatrując odpowiedniej ofiary. W chwili kiedy nie ma tam innych ludzi, w szczególności motorniczego, podchodzi do Staszczuka i dusi go. Ile czasu zajmuje uduszenie człowieka? Dziesięć minut, kwadrans?

- Tyle to potrzeba na zdrowego faceta, który się broni. Wtedy jedna osoba może nie dać rady - odparł Zakrzewski. - Ze Staszczukiem poszło raczej szybko.

- Morderca mógł też wysiąść ze Staszczukiem z tramwaju - wtrącił Nowak. - Może jechał razem z nim od dłuższego czasu, może wybrał go wcześniej jako ofiarę.

- Zabija go, a potem wyciąga z kieszeni puszkę farby i małuje kółko - dokończył Michalski.

- Szukałem tej puszki, ale nie udało mi się znaleźć - powiedział Nowak. - Dziś wysłałem ludzi na pętlę, żeby jeszcze raz zbadali okolicę, w szczególności żeby sprawdzili działki. Ale nie sądzę, żebyśmy cokolwiek znaleźli. Pewnie zabrał ją ze

sobą. W końcu zużył tylko trochę farby. Jeszcze może mu się przydać.

Komendant posterunku w Warpiewie był zdumiony, że ktoś z Warszawy dzwoni w sprawie księdza. Nowak wyobraził sobie małe miasteczko z telenoweli. Wszyscy wszystkich znają, komendant policji gra w karty z proboszczem, miejscowy biznesmen daje łapówki radnym i kontrolerom skarbowym, młodzi wyjeżdżają szukać pracy albo studiować. Może jest tam nawet lokalny gangster. Jakiś „Kicha” albo „Salceson”.

- Ksiądz Ludwik? Jasne, że znam. Człowiek może nie do końca sympatyczny, ale za to skuteczny.

- Jak to niesympatyczny?

- No, taki oschły, trochę nieprzyjemny w obejściu, jak to mówią. Nikt nie lubi spowiadać się u niego. - Policjant się rozśmiał. - A skuteczny, bo pomógł załatwić materiały budowlane dla parafii, zbudował przedszkole, zorganizował zbiórkę odzieży dla ubogich. Jak tu przyszedł, były plotki, że trafił do nas za karę.

- Za karę?

- Takie zesłanie, wie pan. Jedni mówili, że chodzi o jakieś przekręty finansowe, inni znowu, że o dziecko, które zrobił parafiance, i ukrywał to. Ale w sumie nikt nie wie, jak było.

- Czy wyjeżdżał ostatnio do Warszawy?

- Do Warszawy? Do Rzymu wyjeżdżał. Nie wiem, czy przez Warszawę jechali, ale zorganizował tu pielgrzymkę autokarową na pogrzeb Ojca Świętego, to było, kiedy? w piątek, ósmego kwietnia, prawda? Autokar wrócił chyba w poniedziałek.

Nowak uznał, że trop związany z księdzem można uznać za wyjątkowo mało obiecujący. Zwyczajnie martwy. Był tego zresztą pewien od samego początku. Wyjaśnienie - i morderca, albo mordercy - musi być tutaj, w tym mieście. Usiadł nad kartką papieru i zapisał osoby, które pojawiły się w zeznaniach i w materiałach z obu miejsc zbrodni.

Dwie kolumny, po jednej na każde morderstwo. Zatem po pierwsze, facet widziany przez Markowskiego wysiadający na przystanku „POD Koło”. POD, czyli Pracownicze Ogrody Działkowe. Dalej pasażer, którego widział Przyjemski, ten dryblas w jasnej kurtce. To w drugiej kolumnie. No i jedno ustalone nazwisko do pierwszej grupy: Janusz Kościelniak - jechał tramwajem, w którym zamordowano Oleszkiewicza. Być może to on był tym wysokim mężczyzną, rysopis do pewnego stopnia się zgadzał.

Poniżej, w drugiej kolumnie, Nowak zapisał nazwisko chłopaka, który mówił o czyszczeniu osiedla - Jacek Gontarski. A jeszcze niżej, w pierwszej, nazwisko Piekary.

Przypiął kartkę na korkowej tablicy. Kurde, jakiś konsultant mógłby pochwalić go za przestrzeganie procedury ISO ze stosownym numerkiem. Za działania... działania projakościowe. Za uruchomienie i realizowanie procedury. Oprawione arkusze ze zdefiniowaną misją i zadaniami policji wisiały przecież w komisariatach w całym kraju. Pieprzyć misję. Jak znaleźć morderców, oto jest pytanie.

Policjanci, których wysłał Kowalski, wrócili z pustymi rękami. Nie znaleziono ani puszek z farbą, ani nic innego. Nowak poprosił wcześniej laboratorium o sprawdzenie, czy któreś ze śladów - włókna ubrań, włosy, odciski palców na szybie - nie pokrywają się ze śladami znalezionymi w tramwaju. Niestety, nie było żadnych zbieżności.

## 5

Nowak nie lubił grafficiarzy. Nie jako policjant, ale jako warszawiak. Nic go tak nie wkurzało jak napis typu: „Była sobie czysta ściana”. Dowolnie dowcipne hasło na drugi dzień stawało się nudne, a pozostawało czasem na całe miesiące czy nawet lata. No dobrze, zdarzały się puste, brzydkie mury, których właściciele pozwalali na pokrycie ich malowidłami. Pozwalali, więc niby ich sprawa. Tak jest na Wyścigach, podobnie jak na murze klasztoru dominikanów na Służewie. Albo na murze

prywatnej szkoły na Broniewskiego, codziennie ją mijał, jadąc tramwajem. Fakt, często powstawały naprawdę piękne uliczne obrazy. Ale nawet takie kontrolowane malowanie ścian powinno zostać kategorycznie zabronione w centrum miasta, w gęsto zabudowanej przestrzeni. Poza tym nachalne lansowanie tego jako sztuki było, zdaniem Nowaka, idiotyczne. Przez to każdy gówniarz ze sprayem w rękę wyszukiwał wolny kawałek ściany, by wykonać napis z jakimś zawijasem, stanowiący jego podpis. Podpis, tag, jakkolwiek to się zwie. Znaczenie terenu i tyle, jak obsikiwanie przez koty. Każdy hiphopowy zespół musiał obowiązkowo nakręcić teledysk na tle obsmarowanych bloków i przejść podziemnych. Na ogół jeszcze zakapturzeni młodzieńcy - głos ludu, czyli akurat wytypowani do promocji przez telewizję VIVA - czuli się w obowiązku podpisać na ścianie. A w dodatku byli jeszcze kibice obu klubów piłkarskich. Ich twórczość, z dopisywaniem i zamazywaniem kolejnych szubienic i obelg, zdobiła wszędzie warszawskie mury. Czasami do akcji włączali się też kibice drużyn przyjezdnych, tu i ówdzie można wciąż zobaczyć bazgroły fanów Hajduka Split, który w 1994 roku pozbawił Legię wszelkich złudzeń i wyeliminował ją z rozgrywek Ligi Mistrzów.

Sprawdzenie notowanych przez policję ulicznych malarzy wydawało się cokolwiek desperackim posunięciem. Puskę sprayu w końcu może kupić każdy. No i problemem było to, że twórcy nie dawali się na ogół złapać. W bazach danych Nowak znalazł raptem kilkanaście osób przyłapanych przez policję na malowaniu po ścianach. Zwykle nie były to przestępstwa, tylko wykroczenia, choć czasami koszt usunięcia bazgrołów zmieniał kwalifikację prawną wandalizmu. Zatrzymania kończyły się mandatami karnymi albo sprawą przed sądem grodzkim, jeżeli wykroczenie zgłaszali właściciele budynków, którzy schwytali wandalę na gorącym uczynku. Prawdziwą plagą stanowiło też malowanie wagonów kolejowych, na zewnątrz i od wewnątrz. Trzeba by zwrócić się do Straży Ochrony Kolei i sprawdzić ich rejestr mandatów. Nowak nie wiedział, której ze spółek powstałych po podziale PKP podlegają sokiści. Od pewnego czasu SOK

miał prawo nakładania grzywien i nie musiał wszystkich schwytych wandalów przekazywać policji. Autorów vlepek naklejanych w autobusach, tramwajach i na przystankach było łatwiej znaleźć. Niektórzy z nich podawali swoje adresy internetowe. Sprawdzenie tego środowiska - jeżeli w ogóle można mówić o jednym środowisku - było żmudnym zadaniem. Nowak postanowił mimo wszystko zbadać temat. Przynajmniej na próbę.

Wyobrazził sobie wojnę dwu grup szalonych artystów, którzy postanowili likwidować przypadkowe osoby na terenie przeciwnika. Nowa forma podpisu. Malarze śmierci. Ciekawy pomysł na scenariusz filmowy. Ciekawy, ale zbyt literacki. Zanotował go mimo wszystko, ale z dużą liczbą pytań. Wyszukał następnie parę nazw, nazwisk i pseudonimów, które pojawiały się w sieci. Zawsze to jakiś początek.

Nowak wraz z Kowalskim ponownie przesłuchał Jacka Gontarskiego i drugiego chłopaka z osiedla, Andrzeja Jackiewicza, ale bez skutku. Wciąż otwarta była kwestia Kościelniaka. Mieszkanie w Płocku znajdowało się pod ciągłą obserwacją, ale facet nie pojawiał się w domu. Był wcześniej zatrzymywany dwa razy przy okazji jakichś rozrób po pijaku. Raport z Płocka mówił, że Kościelniak ma matkę i siostrę na wsi w okolicach Czerska. Policjanci odwiedzili je - twierdziły, że od dwóch miesięcy nie dawał znaku życia. Nie miał stałego numeru telefonu komórkowego. Nie miał żony ani dziewczyny, przyprowadzał do domu tylko panienki z agencji. Pracował w jednej ze spółek obsługujących Petrochemię, ale został zwolniony tuż przed sprawą o pobicie. Pobity był przypadkową osobą, która weszła mu w drogę w knajpie. W czasie bójki obaj jej uczestnicy byli już pijani. Wywiadowcy natrafili na nazwisko Kościelniaka przy okazji afery związanej z handlem kradzionym sprzętem elektronicznym - pracował wówczas jako kierownik w firmie powiązanej z miejscowymi gangsterami. Wprawdzie było to rok temu, ale człowiek zawsze zostawia za sobą ślad. Wkrótce da się ustalić, czy Kościelniak wyruszył do Warszawy i z jakiego powodu. Może ktoś słyszał o interesującej ofercie, którą

mu złożono.

W nocy z poniedziałku na wtorek Nowak obudził się o drugiej dręczony koszmarem erotycznym. A może wyrwał go ze snu dobiegający z oddali sygnał lokomotywy, gdzieś przed przejazdem na Kole? Może. Wstał i poszedł do kuchni, żeby napić się wody. Do dupy z tym wszystkim. Nie można tak żyć. No dobra, każdy prawdziwy detektyw, gliniarz z filmu czy powieści, to człowiek samotny i opuszczony. Ale on już miał dosyć tego stereotypu, który od półtora roku potwierdzał. Półtora roku? Tyle czasu minęło od ostatecznego rozstania, od przeprowadzki. Rok od rozwodu. A przecież problemy zaczęły się wcześniej. Nowak nie chciał się do tego przyznać, ale nie mógł żyć bez swojej pracy. Podobnie jak jego była żona. Pamiętał jej powroty o jedenastej wieczorem, kiedy już często spał. Pamiętał także swoje powroty z komendy grubo po północy. I telefon dzwoniący o dowolnej godzinie, także w niedzielę. Czasami wychodził do pracy dwie godziny wcześniej niż ona. Na to z nich, które brało danego dnia samochód, spadał obowiązek zrobienia zakupów. Lodówka była zatem pełna. Życie puste. Rozmijali się w czasie i przestrzeni o kilka godzin. To małżeństwo nie miało żadnej szansy. E tam, bzdura, że nie miało... Miało szansę, do ciężkiej cholery, tylko nikt nad tym nie pracował.

I tak to się wszystko rozlało - bez kłótni, bez wzajemnych oskarżeń, bez wielkich łez. Ale oboje byli winni.

Wyjrzał przez okno. Zobaczył mały kawałek miasta, które kiedyś należało tylko do nich. Brakowało mu tego wspólnego patrzenia na ludzi i budynki. Codziennego radosnego zadziwienia światem, nawet jeżeli ograniczał się on do autobusu czy tramwaju. Może jeszcze kiedyś tak będzie, z kimś innym.

Wrócił do łóżka. Nie ma co myśleć o przeszłości. Nie było znowu tak pięknie. Powiedzmy sobie szczerze: mogłaby się kobieta trochę interesować piłką nożną.

W poniedziałek, drugiego maja, miasto było niemal puste. Nowak pojechał na Ostrobramską. Daniel „KZH” Malicki był karany za malowanie pociągów na Olszynie Grochowskiej. Sąd grodzki wymierzył mu karę w postaci pracy społecznej. Nowak znalazł nazwisko i pseudonim Malickiego na jednym z forów internetowych, gdzie ten udzielał porad młodszym „artystom”, jak przeprowadzić naloty na bocznice przy stacjach kolejowych i jak zmylić strażników. Drzwi do mieszkania w ponurym bloku otworzyła kobieta wyglądająca na zmęczoną codziennością szarą jak prefabrykowane płyty.

- Pani Malicka? - Nowak pokazał legitymację. - Policja. Chciałbym porozmawiać z pani synem. Czy jest w domu?

Kobieta chyba się mocno przeraziła.

- Co się znowu stało? Myślałam, że już wybił sobie z głowy te szczeniackie zabawy. A miał się spokojnie uczyć do matury! Proszę mi powiedzieć, czy znowu coś zniszczył? Malował coś w metrze albo w autobusach?

- Nie, proszę się uspokoić, tym razem niczego nie zmalował. - Nowak pozwolił sobie na głupi dowcip. - Ale może nam pomóc. Chciałbym mu zadać parę pytań.

- Naprawdę nie jest w nic zamieszany?

„Na 90 procent”, pomyślał Nowak, a głośno odpowiedział:

- Naprawdę. Nie zajmę mu dużo czasu.

Pani Malicka otworzyła drzwi małego pokoju, z którego dobiegały dźwięki hiphopu. Pewnie jakiś 2Pac czy inny Doktor KFC, w każdym razie Murzyn ze skrótem zamiast nazwiska. Chudy, krótko ostrzyżony chłopak w bluzie z kapturem podebrał się z miejsca.

- Daniel, pan z policji do ciebie - powiedziała zrezygnowana kobieta i poszła do kuchni, z której wyglądał kilkuletni chłopaczek w okularkach, zapewne brat Daniela.

- Co się stało? Dałem sobie spokój z malowaniem.

- Co ci nie przeszkadza udzielać porad innym. W sieci.

- A co, to jest zabronione? - rzucił zaczepnie Daniel. - Jak palenie trawy?

- To nie moja sprawa. Chciałbym tylko o coś zapytać. Znasz ludzi ze środowiska, chodzisz po ulicach, jeździsz po mieście...

- Środowiska?! Nie będę kapował kolegów.

„Cha-wu-de-pe, cha-wu-de-pe”, dodał Nowak w myślach.

- Nikt ci nie każe donosić. Posłuchaj, mam właściwie tylko jedno pytanie. Nie znasz żadnej nowej miejskiej rozrywki?

Daniel Malicki spojrzał nieufnie, nieco zdezorientowany.

- Niby jakiej?

- No, jakiejś ekstremalnej rozrywki. Sportu. Takiego jak le parkour. - Nowak przeczytał niedawno o bieganiu po mieście po liniach jak najbardziej zbliżonych do prostych. Z przeskakiwaniem murków i płotów, odbijaniem się od ścian. Wymagało to nie lada sprawności fizycznej, a jedyną przeszkodą były prawa fizyki.

- Parkour? Zabawa dla japiszonów. - Chłopak prychnął pogardliwie. - Moda, o której piszą kolorowe gazety.

- A ty co, wolisz jazdę na motocyklach z obrozą?

- Co? - zapytał Malicki. - Nie mam motocykla. Nie stać mnie. Jaką obrozą?

- Nie stać cię, bo nie pracujesz. Nie słyszałeś o wyścigach motocyklowych? Gość wsiada na motor, wiąże stalową linkę w pętlę, zakłada ją na szyję i przymocowuje do siodełka. I w drogę. Dwieście na godzinę, dwieście pięćdziesiąt, kto szybciej. Liczy się prędkość. A każdy wypadek to szybka śmierć.

- Zabawa dla bogatych idiotów.

Nowakowi trudno było się z tym nie zgodzić. Choć nie zawsze bawili się bogaci.

- A nie słyszałeś o zabawach, w których strunę zakłada się komuś innemu? I niekoniecznie na motocyklu? A potem zaciąga ją dosyć mocno?

Chłopak nie zrozumiał.

- Jak to? Taki zakład, kto dłużej wytrzyma?

- Nie. Taki, w którym ten ktoś n i e wytrzyma. A ty za jego zlikwidowanie dostajesz punkty i jesteś panem miasta.



- Za kogo mnie pan ma, za mordercę? Dlaczego mnie pan o to pyta?! Co ma wspólnego bombienie wagonów z zabijaniem jakichś pijaczków?

- A skąd wiesz, że pijaczków? - zapytał komisarz. - Skąd wiesz, że zabito niedawno pewnego żuła? Czytałeś o tym w gazetach?

- Nie... - Chłopak się zmieszał. - Nie. Pomyślałem, że w ten sposób można załatwić tylko kogoś takiego. No, jakiegoś lumpa właśnie. Przecież była taka historia, prawda? - spojrzał na komisarza. - Gdzieś w Skierniewicach czy Koluszkach. Ale to byli skini, znaczy nazistowscy skinheadzi. Chcieli pokazać siłę.

Naziści. Kółko. Może ktoś chciał narysować jakiś symbol, krzyż celtycki albo coś podobnego. To środowisko też trzeba sprawdzić.

- Co robiłeś w środę, dwudziestego kwietnia, wieczorem?

- Co? - Chłopak najwyraźniej wreszcie zrozumiał, że sprawa jest poważniejsza i nie dotyczy bazgrania po ścianach. - Dwudziestego kwietnia? Byłem w domu. Matka może potwierdzić. I brat. Ojciec też.

Nowak wyszedł odprowadzany wzrokiem nieco przerażonej pani Malickiej. Wiedział, że za chwilę chłopaka czeka trudna rozmowa z matką. Było oczywiście bardzo prawdopodobne, że Daniel opowie o wizycie policjanta w internecie. No i bardzo dobrze. Na pewno spowoduje to jakąś dyskusję, może ktoś zareaguje zbyt nerwowo i poza paroma bluzgami na policję napisze coś ciekawego. Tak. Seryjni zabójcy prawie zawsze działają sami i rzadko należą do jakiegoś środowiska czy grupy. Sami wyznaczają sobie zasady moralne i konstruują system wartości. Ale skądś muszą się brać.

Wieczorem włączył Abbey Road i śledził na bieżąco w telegazecie wynik meczu Wisła Kraków - Zagłębie Lubin. Oczywiście z wyciszonym dźwiękiem. Kurczę, telegazeta była dla niego jak internet. W końcu mecze polskiej ligi i lig zagranicznych

od dawna transmituje się wyłącznie w kodowanych stacjach...

Po pierwszej połowie było 0:0 i Nowak wyobrażał sobie ponure miny kibiców na stadionie przy Reymonta, przyzwyczajonych do zwycięstw ze słabeuszami. W drugiej połowie jednak piłkarze z Krakowa zabrali się do roboty i strzelili sześć bramek! Nowak ucieszył się z takiego wyniku. Kibicowi Polonii niby nie wypada wspierać Wisły, tylko Cracovię. Ale to w końcu Wisła ma reprezentować Polskę w tym roku w eliminacjach Ligi Mistrzów. Każdy normalny człowiek by chciał, żeby zagrała lepiej niż z Anderlechtem, Dynamem Tbilisi czy nie-szczęsną Valerengą. Obecny trener Wisły, Werner Liczka, prowadził kiedyś Polonię i wciąż wspomina się go na Konwiktorskiej z sympatią. Oklaskami zresztą witano także byłych piłkarzy grających już w innych drużynach. Nowak westchnął. Trzeba po prostu być wdzięcznym każdemu, kto kiedykolwiek chciał grać dla Polonii...

# Siódemka

## 1

Trzeciego maja, w dniu święta państwowego, Nowak nie musiał jechać do komendy. Postanowił jednak tam zajrzeć, sprawdzić maile, jeszcze raz przeczytać dokumentację i zobaczyć, czy są jakieś wiadomości z Płocka. W końcu co może robić samotny policjant? Nowak miał w notesie - nie w tym policyjnym, ma się rozumieć - adresy znajomych, na ogół zresztą wspólnych: swoich i żony. Z niektórymi utrzymywał kontakt, ale jakoś dziś nie chciał odgrzebywać przeszłości, do czego mogłoby dojść po wypiciu paru piw. Drzyzga wyciągał go na ryby gdzieś pod Warszawę („bo na nerwy wędkarstwo to najlepsze lekarstwo”, przypomniawszy sobie piosenkę Jana Kaczmarka). Nowak lubił ryby, ale wołał, żeby ktoś je wcześniej złowił i ukatrupił. Wyciągnięcie wnętrzości i przygotowanie ryby do spożycia - owszem, to mógł wziąć na siebie. Ale siedzenie nad wodą z kijem i wspólne milczenie przez kilka godzin z innym oficerem policji... Nie, zdecydowanie nie. Z kolei Zakrzewski zapraszał na grilla na działce pod Zakroczymiem. Nowakowi udało się wymówić od tej imprezy. U Zakrzewskiego piło się wódkę, a Nowak wódki nie lubił (a na whisky nie było go stać). Sam Karol Zakrzewski mógł przypominać typowego złego gliనిarza z amerykańskiego filmu. Tęgi, zwalisty facet, o konserwatywnych poglądach. Konserwatywnych w dziwnym peerelowskim sensie tego słowa. Pracował w policji

o dwanaście lat dłużej od Nowaka, zaczął jeszcze w czasach schyłkowej komuny. Nigdy nie był w SB, nie uciekł do milicji tuż przed weryfikacją - od początku pracował jako milicjant. Profesjonalista, świetnie zorientowany w tym, co się w mieście dzieje. Złośliwość wobec naiwnego chłopaczka po socjologii, który postanowił pracować w policji, Zakrzewski już zdążył wyczerpać. Trochę czasu wszak upłynęło. Został tylko konflikt między kibicem Legii a kibicem Polonii.

Było nieco chłodniej niż wczoraj. Około piątej nad ranem trochę grzmiało i padało, ale w końcu zrobiło się ciepło i pogodnie, zapach deszczu zdążył już wyparować. Nowak przeszedł się do Żeromskiego i wszedł do autobusu 116, żeby pojechać na Nowy Świat. Może pozwolić sobie na mały spacer, w końcu jest święto. Warto zobaczyć znane miejsca nie tylko z okna radiowozu. Wsiadł niedaleko ronda de Gaulle'a i spojrzał na palmę stojącą pośrodku skrzyżowania. Wielu ludzi marudzi, że palma jest przejawem pseudosztuki. Lewackiej, dodają od razu i mówią o pieniądzach podatników marnowanych przez władze miasta. Pewnie Krzysztof Oleszkiewicz spluwał na jej widok. Nowak gotów był poświęcić na nią, no, powiedzmy, pięć złotych z pensji. Palma wydała mu się śmieszna, absurdalna. I ładniejsza niż kolejne pomniki odślaniane w różnych miejscach Warszawy.

Przeszedł kawałek Nowym Światem, minął Amatorską i skręcił w Chmielną, tego dnia raczej spacerową niż handlową. Zignorował zawodzącego gitarzystę, którego kumpel nachalnie wyciągał do przechodniów czapkę (tego rodzaju sztuki, całkiem niezależnej od państwa, Nowak jakoś nie chciał wesprzeć). Spojrzał na ikony na wystawie sklepu Ars Christiana - ten sklep był tu chyba od zawsze, nawet w czasach, gdy ulica nosiła nazwę Rutkowskiego - i wszedł w bramę pod budynkiem numer 10. Po przejściu pod łukiem kolejnej kamienicy znalazł się na rogu Górskiego i Tuwima. Czyj to pomnik, Tuwima właśnie? A nie, to Wojciech Górski, pedagog, patron ulicy. Zdaje się gdzieś

tutaj prowadził swoje ekskluzywne gimnazjum męskie. Na końcu Tuwima kolejny pomnik, głaz upamiętniający działaczy PPS. Wokół dobrze utrzymanego placu na ławkach rozsiedli się starsi panowie, niektórzy zaopatrzeni w puszkę z piwem. Nowak skręcił w Warecką na tyłach kompleksu gmachów NBP. Po lewej dawny Dom Chłopa z jego słynnym „złotym rogiem”, czyli mozaiką z połączonych płytek - obecnie hotel - został już całkiem zasłonięty przez nowy biurowiec. Na Świętokrzyskiej skręcił w prawo przy sklepie kosmetycznym, w którym kiedyś mieścił się ośrodek kultury NRD, i wszedł na boisko szkolne. Za boiskiem część bram była zamknięta, ale można było przejść w lewo, w stronę Jasnej, przy nowym budynku, pięciopiętrowej plombie z wystającymi balkonami. Ciekawe, że w sercu Warszawy powstają nowe domy mieszkalne i wielkie biurowce. Centrum rodzi się po raz kolejny.

Nowak lubił wchodzić na podwórka. Taki policyjny nawyk? Może. Przeciętny warszawiak tego nie robi - bo niby po co. Przemieszcza się na co dzień ulicami, z domu do pracy, z pracy do domu, z domu na zakupy. W obce bramy wchodzi tylko wtedy, gdy odwiedza znajomych. Zresztą brama, podwórko - to nie brzmi bezpiecznie. Jeżeli brama, to ciemna, jeżeli podwórko, to cudze. Ale jeszcze wtedy, kiedy Nowakowi zdarzało się spacerować z żoną - najpierw często, potem rzadziej, w końcu w ogóle - lubili poznawać miasto od drugiej strony, nie od fasady. Zobaczyć niespodziewanie jakąś kapliczkę, sztyld czy zaskakującą perspektywę wieżowca, górującego nad starą kamienicą przy Sienkiewicza. Albo po prostu parę kotów.

Z bramy wyszedł prosto na plac Dąbrowskiego. Rozejrzał się. Pod konsulem włoskim stały radiowozy z uzbrojonymi policjantami. Na ławeczkach wokół zieleńca i fontanny z figurą chłopca mocującego się z krokodylem siedzieli ludzie, młodzi i starzy, z dziećmi i samotni. Staruszek z siwą brodą, z łaską i w czarnym kaszkiecie, żywo rozprawiał z kolegami. Dziewczyna siedząca na kolanach swojego chłopaka kłóciła się z nim zawzięcie. Pies obsikiwał radośnie jedną z żółtych latarni z trzema

kloszami w kształcie odwróconych kielichów. No, po prostu święto w mieście.

Przy placu Dąbrowskiego mieszkał kiedyś Miron Białozewski. Pisarz nie ma w Warszawie ulicy swojego imienia. Człowiek, który większość swojego życia spędził w Warszawie i opisał ją w taki sposób, że można na podstawie jego opowiadań i wierszy narysować plan miasta; człowiek, który opisał codzienność Powstania Warszawskiego widzianą oczami cywila... Cóż, trudno, Warszawa musi mieć innych bohaterów. Na przykład Dżochara Dudajewa, pierwszego prezydenta Czeczenii. Rondo we Włochach od niedawna nosi jego imię. Nowak parsknął śmiechem. Kolejny idiotyzm wymyślony przez szanownych radnych, którzy mieli dość prowadzenia swoich wartywniaków oraz trzymania baldachimu w procesji i zamierzali o wielkiej polityce. Tym razem postanowili dać prztyczka w nos Rosji. Cóż za radość dla radnego. Wraca taki do domu wieczorem i mówi żonie: „Ha! Wiesz, kochanie, Putin nie będzie mógł dziś zasnąć w nocy! I to przez kogo - przeze mnie!”

Nowak przestał analizować tajemnicze motywacje ojców miasta, doszedł do Marszałkowskiej i przez Ogród Saski ruszył w stronę Bankowego. Na placu odbywały się jakieś uroczystości. Były mikrofony, oficjele w garniturach, orkiestra, reporterzy WOT-u biegali z kamerą. Dwa dobrze utrzymane, wystrojone konie zaprzężone były do powozu z napisem „Tramwaje Warszawskie”. W sezonie turystycznym ma jeździć po Śródmieściu tramwaj konny. Nie, w zasadzie nie tramwaj. Tramwaj wymaga szyn, to jest zatem omnibus. Kiedy w Warszawie pojawiły się omnibusy? A kiedy tramwaje konne, kiedy elektryczne? Sto lat temu, może wcześniej? Trzeba będzie zapytać przy okazji Markowskiego albo tego tramwajarza, o którym wspominał, jak on się nazywał? Żwirek? Poza tym można to sprawdzić w internecie. To przecież oczywiste. W zasadzie Nowak czekał, kiedy po raz pierwszy podczas przesłuchania podejrzany zamiast odpowiedzieć na pytanie policjanta („Co pan robił wczoraj o 23.15?”) spojrzy z niechęcią na oficera i

powie: „w w w. g o o g l e. c o m, sam se pan sprawdź”.

Nowak zadzwonił na Żytnią - Piekara zgłosił się jak zwykle, w poniedziałek. Dobrze, facet jest cały czas w zasięgu. Przyszedł także faks z Płocka - wiadomości były tym razem nieco bardziej konkretne. Policjanci dotarli do człowieka, który pracował razem z Kościelniakiem w tamtej podejrzanej firmie. Podzielił się paroma informacjami, w zamian za co obiecano przez jakiś czas nie zwracać uwagi na pochodzenie sprzętu audio w jego sklepiku. Podobno Kościelniak spotkał się z nim parę tygodni temu na jakimś dłuższym pijaństwie i wspominał o wyjeździe do Warszawy - miał pracować znowu jako kierowca dla kogoś ważnego, ale nie chciał powiedzieć przy czym albo po prostu jeszcze nie wiedział. W czasie rozmowy padł pseudonim „Powidło”. Nowak odłożył wydruk. „Powidło”... Władysław Mytnik, znany policji pod różnymi pseudonimami. „Myto”, „Mydło” i „Powidło”. Sześćdziesiąt dwa lata, jeszcze za Gierka karany za handel walutą. Po zmianie ustroju postanowił zostać biznesmenem. Prowadził sieć kantorów, ale wycofał się z branży wkrótce po upadku Grobelnego. Oficjalnie w konflikt z prawem wszedł tylko raz, w 1993 roku, kiedy to Państwowa Inspekcja Pracy wkroczyła do jego firmy budowlanej i udowodniła zatrudnianie na czarno niemal wszystkich pracowników. Ale od tego czasu miał czyste konto. Po pierwsze dlatego, że przestał być niezależny i w związku z tym zatrudniał lepszych doradców. Obecnie figuruje jako właściciel kilku agencji towarzyskich w Śródmieściu i na Żoliborzu oraz modnego klubu „Złoty Ocelot”. „Figuruje” to chyba właściwe słowo. Ponadto jest współwłaścicielem firmy taksówkowej Mywar-Taxi, w powszechnej opinii znanej jako pralnia. Nie do końca wiadomo czyich pieniędzy, ale zapewne należących do ludzi nieco bogatszych i stojących w hierarchii cokolwiek wyżej niż sam Mytnik. Chodzi o tak zwany „Nowy Pruszków”, czyli gangsterów usiłujących przejąć schedę po jednej z większych grup przestępczych

w Polsce, rozbitej przez CBS. Drugi powód braku kłopotów „Powidły” to jego okazjonalna współpraca z policją. Zapewne pomogło w tym kilka nalotów na jego agencje i znalezienie przy okazji kilograma amfetaminy. „Powidło” stykał się prawdopodobnie z większą ilością tego towaru, ale tylko raz zdarzyło mu się popełnić głupi błąd i składować go w niewłaściwym miejscu.

No, dobrze. Trzeba będzie złożyć wizytę panu Mytnikowi.

Nowak wrócił do domu i wyciągnął z zamrażalnika paczkę paluszków rybnych, które usmażył i zjadł z chlebem. Miał jeszcze do wyboru mielonkę na zimno. Co za żenada, wręcz żenka, jak mawia dziś młodzież. Jakość jego posiłków nieco się pogorszyła, od kiedy mieszkał sam. Poprzednio to on zajmował się gotowaniem - jeżeli udało się im spotkać z żoną w mieszkaniu i jeżeli oboje byli głodni - ale teraz nie chciało mu się wysilać. Ważne, że coś zjadł i mógł spokojnie obejrzeć półfinał Ligi Mistrzów. Niespodziewanie jedną bramką wygrał Liverpool. Piłkę skierował do siatki Luis Garcia. Ale tak naprawdę był gol czy nie? Żadna z kamer nie zarejestrowała obrazu, który na sto procent mógłby potwierdzić, że piłka całym obwodem przekroczyła linię bramkową, zanim wykopał ją Gallas. Sędzia uznał gola, to kolejna dziwna historia w meczu o wielką stawkę. Ile jeszcze czasu musi upłynąć, zanim UEFA i FIFA dopuszczą do użytku piłki z czipem? I kiedy wreszcie nagrania z kamer wideo zostaną wykorzystane do weryfikacji decyzji sędziego, przynajmniej w najważniejszych spotkaniach? Kto się boi Virginii Woolf? Komu bije dzwon? Jak długo jeszcze władze będą tolerować bezwstydną dom schadzek na ulicy Żurawiej 15, drzwi od podwórza, czwarte piętro, pukać trzy razy?! Pytania, pytania. Nowak usnął bez tego, co najważniejsze. Bez odpowiedzi.



- Mytnik. Dawno temu był taki znany kolarz. To jakaś rodzina? - zapytał Zakrzewskiego, kiedy jechali do Magdalenki.

- Rodzina? Skąd! - Karol prychnął. - Przypadkowa zbieżność nazwisk. Chociaż facet kiedyś próbował uprawiać sport. Był nawet piłkarzem w Hutniku, obrońcą. Ale krótko, bo jakoś mu się nie chciało trenować.

- W sumie dobre ma nazwisko - powiedział Nowak.

- Hę?

- Mytnik, czyli człowiek, który pobiera myto - wyjaśnił.

- Celnik.

- Ta, celnik, faktycznie. Ze służbami celnymi ma do czynienia, bo prowadzi też handel zagraniczny. No żeż...

- Zakrzewski zaklął, bo wjechał w sporą kałużę. Teraz było ładnie, ale rano nad Warszawą przeszła burza.

- Kiedy się z nim zetknąłeś po raz pierwszy? - spytał Nowak.

- W połowie lat osiemdziesiątych... Czy jakoś tak. Komuna jeszcze działała, Gorbaczow już był szefem w Rosji, ale jeszcze nie robił tej swojej pierestrojki. „Powidło” był wtedy cinkciarzem, jednym z bardziej znanych w Warszawie. Tacy ludzie już wtedy czuli, że czasy niedługo się zmienią.

- I że warto mieć znajomości po obu stronach?

- Jasne. Nawet nie po obu, a po wszystkich możliwych. Gość nie robił przewałów, nie oszukiwał klientów, nie okradał ich. Po zmianie ustroju poczuł się jak ryba w wodzie. Jak wiadać, jeszcze nie utonął.

- Jesteś pewien, że facet może nam pomóc?

- Mówiłem ci, zawsze ma zwyczaj przyjmować ludzi do pracy osobiście. Ma dobrą orientację we wszystkich swoich interesach. Będzie wiedział, do kogo nas skierować.

Podjechali do bramy dwupiętrowej willi. Bryła domu wystająca zza ogrodzenia była całkiem ładna, ale kompletnie Popruta detalami - kolumnkami i balustradkami. Wysiedli. Przy kratce domofonu nie było przycisku. Tu się nie dzwoniło, tu się

było wpuszczanym. W głośniku odezwał się ponury głos.

- Panowie w jakiej sprawie?

- Policja. Chcemy rozmawiać z Władysławem Mytnikiem.

Nie musieli się przedstawiać. Znad bramy obserwowała ich kamera.

- Czy panowie byli umówieni?

- No weź, kurwa, bo nie ręczę za siebie... - mruknął Zakrzewski. - Nie, nie byliśmy umówieni. Może powtórzę wyraźniej: POLICJA. Pan Mytnik na pewno zechce z nami pogadać.

- Chwileczkę. - Domofon wyłączył się.

Spojrzeni na siebie. Stali tak przez dwie, trzy minuty. Nagle rozległ się brzęczyk i Nowak mógł pchnąć furtkę.

Na tarasie stał ochroniarz. Spojrzał na nich spode łba i gestem zaprosił do środka.

- Co, nie poprosisz nas o pokazanie legitymacji? Może chcemy coś ukrąść? Albo porozmawiać o duszy nieśmiertelnej pana Władka? - zapytał Zakrzewski. Ochroniarz nie odpowiedział.

Na parterze znajdowało się duże pomieszczenie, wyglądające jak coś pośredniego między salą jadalną - wręcz biesiadną - a konferencyjną. Wszystko było wykonane z solidnych materiałów, ale całość robiła wrażenie raczej komiczne. Te stiuki, kandelabry, złocenia, marmur na podłodze... Tandety tu nie było, za to bezguście wszędzie.

- Na końcu. Przejdźcie do gabinetu. Pan Mytnik oczekuje panów - burknął barczysty mięśniak i odszedł.

Mytnik stał już na progu. Gruby facet, w ciemnych spodniach i białej koszuli bez krawata. Bez wątpienia przygotowanej na specjalne zamówienie - w Warszawie było tylko kilka sklepów z odzieżą rozmiaru XXXXXL.

- Zakrzewski! Witam serdecznie! - Jowialnie uściśnął rękę starszego policjanta. - A pana to jeszcze nie znam, prawda?

- Komisarz Nowak.

- Nowak... Miło mi. Siadajcie panowie, napijecie się czegoś? Whisky? Polecam. Laphroaig, single malt, innej nie pijam! - Spojrzał na nich z wyraźnym przekonaniem, że i tak nie wiedzą, o czym mówi.

Tak, to się właśnie nazywa „awans społeczny”.

-Niestety, jesteśmy na służbie.

-Tak, tak, zawsze tak mówią w filmach. To znaczy: amerykańscy gliniarze. Tacy, jakimi chcielibyście być, ale przez jakiś czas jeszcze, kurna, nie będziecie. Dobra, do rzeczy, o co chodzi? Nie mówcie panowie, że podpadłem prowadzeniem działalności gospodarczej.

-Gdyby chodziło o twoje interesy, miałbyś na głowie urząd skarbowy. A my byśmy przyszli, żeby cię dobić w chwili słabości.

-Dobić? Chyba uratować - burknął Mytnik. - Co może być gorszego niż urząd skarbowy?

-Nie chcesz się chyba przekonać? Nawiasem mówiąc, nie przyszliśmy tu rozmawiać o fiskusie.

-Nie. Jesteśmy z wydziału zabójstw. Chodzi o człowieka - wtrącił się Nowak. Zaczynał tracić cierpliwość.

-Człowieka, który nie żyje?

-Nie. Człowieka, który zabił.

-O! A dlaczego to ja mam coś o nim wiedzieć?

-Dlatego, „Powidło”, że pracuje dla ciebie - powiedział Zakrzewski. - Takie krążą słuchy.

Mytnik odchylił się do tyłu na swoim fotelu.

-Słuchy. Jasne. A o kogo konkretnie chodzi?

-Niejaki Janusz Kościelniak, z Płocka. Pracował jako kierowca. Przypomina pan go sobie? - spytał Nowak, patrząc uważnie na gangstera. Gangstera? Słowo trochę nie pasowało do tej postaci. Ale nie był to nigdy uliczny bandyta.

-Na razie sobie nie przypominam.

-Sugerujemy, żebyś sobie przypomniał.

-Panowie, jestem biznesmenem. Handlowcem. Prowadzę działalność na terenie całej Unii Europejskiej. Mam dużą firmę, nawet grupę firm, a moi pracownicy sporą swobodę działania na różnych szczeblach.

- Ale są pewne przedsięwzięcia, które lubisz kontrolować osobiście, prawda?

- Powiedziałem przecież, że jestem przedsiębiorcą. Ponegocjujemy. Spróbuję sobie przypomnieć. Mam wrażenie, że znam to nazwisko. Zależy wam na tej informacji. Co dostanę w zamian, jeżeli wam pomogę?

- No, cóż, nieudzielenie policji pomocy w śledztwie to poważny zarzut. Może dorzucimy do tego ukrywanie podejrzanego?

- Panowie, nie straszcie mnie. Nie ze mną te sztuczki. Słucham dalej.

- Dwa miesiące spokoju - rzucił Zakrzewski. - O ile nie wdepniesz w tym czasie w jakieś poważniejsze gówno.

Mytnik nie odzywał się przez chwilę. Potem westchnął i powiedział:

- No, dobra. Facet wyjechał w środę do Niemiec. Ma załatwić parę spraw na miejscu i przyprowadzić transport do Polski. Dwa tiry.

- Czego transport?

- Transport i tyle. Tajemnica handlowa. Konkurencja nie śpi.

- Wyjechał w zeszłą środę, dwudziestego kwietnia, tak? - Nowak sprawdził datę w notesie. - Rano czy wieczorem? Skąd?

- Rano, wcześniej rano. Z hurtowni w Michałowicach.

- Czym pojechał?

- Furgonetką. Chcecie numer?

- Chcemy. I adres hurtowni.

- A proszę bardzo... - Mytnik zapisał na kartce nazwę i adres. - Numer rejestracyjny dostaniecie później.

- Kiedy wraca i czym?

- Transport ma być na granicy... - Tym razem to Mytnik zajrzał do kalendarza. - Ma być na granicy w sobotę rano. Jeżeli w Świecku nie będzie kolejek, a nie powinno być, to po południu dotrze na miejsce. Dokładnej godziny nie jestem w stanie podać. A Kościelniak przyjedzie tą samą furgonetką.

- Będziemy go chcieli zdjąć, być może w Michałowicach \_ powiedział Zakrzewski. - Jak masz tam jakichś uzbrojonych ludzi, daj im znać. Nie chcemy żadnej masakry, takiej jak w Parolach. Chwilowo mamy w dupie twój ładunek, że się tak obrazowo wyrażę. Szukamy mordercy.

- Ścierna z tym transportem, moim zdaniem - powiedział Zakrzewski, kiedy wracali do Warszawy. - To, co najważniejsze, pewnie już pojechało do Niemiec furgonetką razem z tym bandytą. Przywożą chyba całkiem legalnie zakontraktowany towar, choćby i rajstopy jakieś.

- Rajstopy? Z Niemiec?! - Nowak się zachnął. - No co ty! Wszystko jest teraz „made in China”. Ten towar do Europy płynie z Azji.

- Fakt. Byłeś kiedyś w centrum chińskim w Wólce Kosowskiej?

- Nie, ale słyszałem o tym miejscu.

- Tam odchodzi niezły handel, na ogromną skalę. Tam się zaopatrują kupcy ze stadionu, małe sklepiki i duże markety. I eleganckie butiki pewnie też, tylko potem przyczepiają odpowiednią metkę z ceną. - Zakrzewski się skrzywił. - W każdym razie jeżeli chcesz kupić sobie majtki albo podkoszulki, to serdecznie polecam. Tylko pytaj, czy sprzedają w detalu, bo czasami sto sztuk to minimum.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

- Naprawdę wierzysz, że to on mógł zabić tego nauczyciela? Że człowiek, który popełnił morderstwo, idzie jak gdyby nigdy nic do pracy, wyjeżdża za granicę, a potem spokojnie wraca do Polski? - spytał Zakrzewski.

- Przecież wiesz, że najłatwiej złapać kogoś, kto zaczyna się ukrywać. Bo wtedy zyskujemy pewność, kto jest sprawcą. Wtedy to tylko kwestia czasu.

- No, Ameryki żeś nie odkrył...

- Ale jeżeli ktoś jest przekonany, że nie zostawił żadnych śladów, nie męczy się z powodu wyrzutów sumienia, to po co ma

się ukrywać? Na pewno Kościelniak jest do tego zdolny.

- Jasne. Poza tym skurwiel może po prostu nie pamiętać, że kogoś zabił. Mógł być pijany albo na prochach...

Dojechali do Warszawy. Nowak zadzwonił z komendy do Mytnika, który podał obiecany numer rejestracyjny forda transita. Potem przygotował informację dla Straży Granicznej z danymi i zdjęciem Kościelniaka. Postanowili zdjąć go dopiero w Michałowicach. („Czemu marnować benzynę? Podatnik płaci”, powiedział Michalski.) Trasę przejazdu od przejścia granicznego będą monitorować patroli lokalnej policji.

Sierżant Kwiatkowski przekazał zgłoszenie dotyczące zbrodni na Bemowie. Jakaś kobieta mówiła, że widziała podejrzanego osobnika na pętli. Nie chciała powiedzieć, co takiego było w nim podejrzanego.

- Kiedy dzwoniła?

- Około jedenastej - powiedział sierżant. - Przekazałem też informację aspirantowi Kowalskiemu. Ma to sprawdzić.

Kowalski zadzwonił około czwartej. Starsza kobieta z jednego z bloków na Wolfkego mówiła, że pod blokami zbierają się grupy młodych ludzi, którzy siedzą do późnej nocy, piją piwo i głośno się zachowują. Nie pamiętała niczego konkretnego, jeżeli chodzi o dzień morderstwa. Twierdziła, że chyba i wtedy ktoś krzyczał pod oknami. Zdaniem aspiranta skorzystała po prostu z okazji, żeby poskarżyć się na hałasy na podwórku. Nic dziwnego, większość ludzi na co dzień wołała po prostu ignorować i przeczekiwać wieczorne balangi. Po co dzwonić na policję i jeszcze mieć potem jakieś kłopoty ze strony złośliwych lokatorów? Kowalski wspomniał, że piesze patroli pojawiały się ostatnio częściej w tej okolicy, legitymowano młodzież wysiadującą po zmroku na podwórkach i klatkach, podpytywano o ostatnie wydarzenia. Nic nowego się nie pojawiło, nie tylko z powodu niechęci do policjantów. Po prostu nie wszyscy na Bemowie słyszeli o morderstwie.

Polonia grała tego dnia z Arniką Wronki. Po wyjściu z komendy Nowak przeszedł się jeszcze ulicami Zamenhofa i Lewartowskiego. Na ulicach Muranowa stało mnóstwo autokarów z izraelskimi wycieczkami. Grupy młodych Żydów z flagami gromadziły się pod pomnikiem Bohaterów Getta. Cholerna środkowa Europa, historia wyłazi z każdego kamienia, z każdego domu... I z duchów budynków. Z miejsc, których już nie ma.

Dotarł na Konwiktorską. Na stadionie nie było zbyt wiele ludzi, jak to w środku tygodnia.

- Cześć - rzucił do siedzącego na głównej faceta, niezbyt wysokiego, w podobnym wieku co Nowak. Komisarz znał tylko jego imię, Andrzej. Prawdziwy kolega ze stadionu. Poznali się w zasadzie nie wiadomo kiedy, po prostu siadali mniej więcej w tym samym miejscu trybuny. Jako kibice nie mogli powstrzymać się od komentowania meczu na głos, mimo że obaj przychodzili sami. Wygodniej jest, jeżeli komentarz ma adresata, wtedy można po prostu pogadać. No i zaczęli gadać. Tematów na ogół nie brakowało, zresztą czasami to, co działo się poza boiskiem, było ciekawsze - Andrzej miał znajomego w sekretariacie klubu i czasami sprzedawał jakieś plotki. Z reguły niezbyt optymistyczne. Nowak oczywiście nigdy nie przyznał się, że jest policjantem. Bo niby po co. Powiedział, że pracuje jako informatyk.

- Cześć - odpowiedział Andrzej. - Wygrają dzisiaj, muszą wygrać, bo inaczej będzie ciężko. Z taką cienką grą jak dotąd, baraże prawdopodobne. Ale dziś mają motywację, podobno prezes obiecał specjalną premię za zwycięstwo. Zapalisz? - Wyciągnął paczkę ekstra mocnych.

- Dzięki, nie palę - odpowiedział Nowak, już nie wiadomo po raz który. Śmieszne, zapach dymu papierosowego od dawna kojarzył mu się właśnie ze stadionem.

Drużyna grała dziś może niezbyt ładnie, ale ambitnie, jak rzadko w tej rundzie, i zasłużenie wygrała 1:0.

- Zapamiętaj ten dzień - rzucił Andrzej. - Nie wiadomo, kiedy wygrają znowu.

W domu Nowak sprawdził sport w telegazecie - Legia zremisowała z Górnikiem Zabrze 0:0. Koszykarze Polonii niestety przegrali czwarty mecz z Anwilem i nie awansowali do finału play off. Trudno. Otworzył pierwsze piwo i bez przekonania zaczął oglądać mecz Ligi Mistrzów. W drugiej parze półfinałowej grały PSV Eindhoven i AC Milan. Nikt nie dawał szans Holendrom, którzy przegrali pierwszy mecz 0:2. A tu, proszę, walka do samego końca i 3:2. Odpadli, ale z honorem.

Dopił kolejne piwo i stanął przed regałem z płytami. Miał ich ze trzysta, ale patrzył na nie z miną „nie ma czego słuchać”. Zdarzało mu się to. The Smiths? Za miękkie. The Stranglers? O tej porze za ostre, sąsiedzi zaczną walić w rury (niektórzy wciąż wierzyli w skuteczność tej metody - hałas wtedy budził cały blok, a na głośną imprezę i tak nie działał). Włączył Heroes Davida Bowie. Stare, ale jare.

Komórka zadzwoniła, kiedy Bowie śpiewał tytułowy utwór o przelatywaniu nad murem. Ciekawe, czy to centrala. Może znowu ktoś został bohaterem. Just for one day. Spojrzał na wyświetlacz. Nie, nie tym razem.

- Cześć, tato.

- Cześć. Widziałeś mecz?

To była taka ich mała tradycja. Zawsze dzwonili do siebie przy okazji meczu Ligi Mistrzów, najczęściej w czasie przerwy.

- Jasne, że widziałem. Wydawało się, że ten „angielski” półfinał będzie ciekawszy, nie? A tu, proszę bardzo, walka do samego końca.

- Tak, walka! I piękne bramki. Byłem za Holendrami.

- Ja też. - Nowak się roześmiał. - Zawsze kibicuję słabszym. Dlatego z Mediolanu wolę Inter. Ale trzeba przyznać, że Kaka jest geniuszem.

- Tylko nazwisko ma słabe... Chwila milczenia.

- Co tam w pracy?

- To, co zwykle. Trupy. I ludzie, z którymi z własnej woli nigdy bym nie rozmawiał. A u ciebie? Jak zdrowie?



- W porządku. Jak na mój wiek to całkiem nieźle.

Ojciec prawie nigdy nie mówił o swoim zdrowiu. Czasami wspominał coś o kontrolnej wizycie u lekarza, o chorobie wieńcowej. Zawsze trzeba było z niego wyciągać informacje na ten temat. I chyba nie zachowywał się tak wyłącznie dlatego, żeby nie niepokoić syna. W każdym razie nie był to jedyny powód. Ojciec traktował te sprawy bardzo wstydliwie, uznając, że nie ma sensu chwalić się stanem zdrowia, a szczególnie jakimiś dolegliwościami. Miał raptem sześćdziesiąt trzy lata, trzymał się dobrze. Nie palił, alkoholu nie pił właściwie w ogóle. Po przejściu na wcześniejszą emeryturę nie mógł przez dłuższy czas poradzić sobie bez pracy i nawet znalazł zajęcie na parę miesięcy. Dorabiał jako ślusarz w prywatnym warsztacie u syna znajomego. A teraz głównie spacerował, oglądał telewizję i czytał książki. „Muszę nadrobić zaległości z całego życia”, mawiał. Adam Nowak często przywoził ojcu książki, kiedy go odwiedzał.

- Piotrek dzwonił - powiedział ojciec. - Jedzie w przyszłym tygodniu na konferencję do Stanów. No i dzieciaki mu się ostatnio pochorowały na ospę wietrzną. Pisał do ciebie?

- Nie. - Nowak nie miał od dłuższego czasu żadnych informacji od brata mieszkającego w Holandii. Nawiasem mówiąc, gdzieś na peryferiach Eindhoven. Ale Piotr Nowak na mecze raczej nie chodził.

- Aha... A co tam, jak mawiał towarzysz Gierek, w waszym życiu osobistym?

- Mieszkam sam, jeżeli o to pytasz.

- Spotykasz się z kimś?

- Tak, tato. Już ci powiedziałem. Z podejrzanymi. Wyjątkowo nieprzyjemne typy.

- Z podejrzanymi sobie życia nie ułożysz.

„To prawda”, pomyślał. A już na pewno nie z tymi, z którymi ostatnio rozmawiał.

- Skąd wiesz, może zakocham się w jakiejś pięknej kobiecie, która zamordowała swojego złego męża?

-Tak, jasne, najlepiej tasakiem. - Ojciec zapewne uśmiechnął się ponuro po drugiej stronie słuchawki. Znowu chwila przerwy.

- Tato, chcesz coś powiedzieć, prawda?

- Prawda. Dobry z ciebie policjant. Wiesz, zacząłem się z kimś widywać. Z koleżanką z podstawówki, z Hanią. Nie znasz jej, niedawno wróciła do Radzimina po śmierci męża. Inteligentna kobieta. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- No, tato, gratuluje! - To było coś nowego. Nowak ucieszył się, że ktoś z ojcem będzie mógł pogadać w najbliższych tygodniach, miesiącach. Może latach. - Jak możesz w ogóle pytać, czy mam coś przeciwko temu. Obaj jesteśmy już dorośli, prawda?

- Tak, ja to nawet trochę za bardzo - mruknął ojciec.

Pożegnali się do następnego meczu. Do finału.

### 3

You'll Never Walk Alone. Znał ten utwór. Słyszał go, kiedy biegł w kierunku wysmarowanego graffiti. Piosenkę nadawali chyba enerdownscy strażnicy przez megafony. To był mur berliński, choć za nim widział budynki z centrum Warszawy. Widać było Kruczą. A obok chyba Mazowiecką. Po drugiej stronie wylądował właśnie jakiś człowiek niesiony przez zielony spadochron. Nowak był już blisko, ale jeszcze nie dobiegł i bał się, że nie dobiegnie. Mur zaczął powoli znikać, ale melodia wciąż grała. Otworzył oczy i zobaczył żółtą ścianę w swoim mieszkaniu. Wyciągnął rękę i nacisnął klawisz w telefonie.

- Tak - wymamrotał zachrypniętym, zaspanym głosem, stając się, jak zwykle w takich sytuacjach, udawać w pełni świadomego człowieka, który wstał godzinę wcześniej.

- Panie komisarzu? Jest pan w domu? Nie śpi pan? - Nowak w przeblasku olśnienia stwierdził, że pytania sierżanta Kwiatkowskiego są idiotyczne. Ale jego głos świadczył o sporym

zdenerwowaniu. - Wysłałam radiowóz. Znalezione trupa na Okęciu. Na pętli tramwajowej.

Siedział na łóżku, patrząc przez chwilę w ścianę. Co się odwlecze, to nie uciecze. Spojrzał na duże cyfry na wyświetlaczu budzika. Szósta zero pięć.

Zaczęło lać w środę wieczorem i padało przez całą noc. Dopiero nad ranem zrobiło się znowu mniej pochmurno i deszcz ustał. Przed siódmą byli na pętli.

Zakrzewski stał już na miejscu z kubkiem. Też nie wyglądał na wyspanego.

- Skąd masz kawę?

- A jak myślisz? Kupiłem sobie. Na stacji benzynowej. - Zakrzewski machnął ręką w kierunku BP po drugiej stronie Alei Krakowskiej.

- Kto to jest? - Nowak pokazał na ciało przykryte czarną płachtą folii, leżące w krzakach za budkami telefonicznymi.

- Jakiś facet koło czterdziestki. Personalia nieznanne, póki co.

- Kto go znalazł? - zapytał.

- A tak się składa, że policjanci. Rano przechodził tędy patrol, dwu młodych z Ochoty. Zobaczyli nogi za krzakiem, podeśzli, żeby sprawdzić gościa. Myśleli, że to zwykły pijaczek, ale zobaczyli, że ma otwarte oczy i dziurę w głowie.

- Gdzie oni są? Spisali zeznanie do protokołu?

- Jasne. Wysłałem ich na stację BP i do OBI-ego, żeby zabrali nagrania z kamer. Z wczorajszego wieczoru, nocy i z dzisiejszego ranka.

Nowak rozejrzał się po okolicy. Obok szarego, częściowo opuszczonego budynku PZL stał nowy gmach Kredyt Banku.

- Wyślij ich jeszcze do banku. Ochroniarz chyba ci nie wyda nagrań, ale niedługo powinni otworzyć oddział, na pewno pojawi się jakiś kierownik. - Spojrzał w stronę pętli. - Rozumiem, że autobusy i tramwaje jeździły normalnie?

- Tak, przecież trup nie leżał na torach ani na przystanku. - Zakrzewski wzruszył ramionami. - Nie było powodu do zmian w ruchu.

- Przeszukaliście mu kieszenie?

- Tak. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Ale jest coś innego. Chodź, zobaczysz.

- Najpierw obejrzę trupa. Można? - zapytał patologa. Ten skinął głową i odchylił płachtę. Nowak przykucnął. Niewysoki mężczyzna, ubrany w niebieskie dzinsy i brązową kurtkę, leżał na brzuchu. Tył głowy miał wyraźnie zniekształcony. W zlepionych od krwi i wody włosach widać było kawałki czaszki. Wpatrzony w ziemię oczy nie wyrażały nic.

Podeszli do samochodu zespołu oględzinowego. Nowacki siedział obok kierowcy i robił notatki.

- Cześć. Znowu trup, znowu na pętli. Seria?

- Cholera wie, czy seria. Nic tych ludzi nie łączyło, przynajmniej do tej pory - powiedział Nowak. - Podobno jest coś ciekawego.

- Facet miał w kieszeni coś takiego. - Sięgnął do plastikowego pudła i pokazał oznakowaną torebkę.

- Co to jest?

- Sam zobacz.

Nowak wziął foliową torebkę i przyjrzał się jej zawartości. Kawałek metalu, mosiężna kształtka? Nie. Cyfra siedem. Taka do umieszczenia na drzwiach pokoju albo przy wejściu do domu.

- Siódemka - odpowiedział Zakrzewski.

- Widzę, że siódemka. Różne rzeczy ludzie noszą po kieszeniach. Facet może mieszkać gdzieś pod numerem siódmym i kupił sobie tę cyferkę, jadąc do domu, żeby zrobić prezent żonie. Pewnie w OBI-m, tu na pewno można dostać takie drobiazgi - powiedział Nowak.

- Masz ci los, i kto tu wierzy w seryjnego zabójcę. Może i nie ma w tym nic dziwnego. - Nowacki wzruszył ramionami. - Ale jesteśmy na pętli siódemki.

Nowak milczał przez chwilę.

- Miał jakieś pieniądze przy sobie?

- Miał portfel, w nim około stu złotych. Nie było kart płatniczych.

- Jakież widoczne ślady? Ślady walki? Dźwigania, przesuwania zwłok?

- Ślady... - Nowacki parsknął. - Całą noc lało, a ciało pewnie leżało tu co najmniej kilka godzin. Oglądamy każdy kawałek trawnika, zabieramy każdy kawałek papieru i puszkę po piwie, ale na wiele bym nie liczył.

- Ktoś musiał mu przypierdolić w łeb jeszcze na chodniku, a potem zaciągnąć w krzaki i poprawić, skutecznie - zasugerował Zakrzewski. - Aha, rozmawiałem już z dyspozytorem ZTM. - Wskazał ręką w kierunku budki o dość obrzydliwym kolorze. - Mam listę motorniczych, którzy prowadzili ostatnie kursy wczoraj i pierwsze dziś rano. Przyjeżdżających i odjeżdżających. To samo z autobusami.

- Z autobusami? Jedna osoba zajmuje się autobusami i tramwajami? - zapytał Nowacki.

- Tak, trasy obsługują dwa przedsiębiorstwa: Tramwaje Warszawskie i MZA, ale nadzorem, planowaniem ruchu w ogóle, zajmuje się Zarząd Transportu Miejskiego. I jeszcze powiedzieli mi, że to w zasadzie nie jest zwykła pętla, ale, czekaj... węzeł przesiadkowy tramwajowo-autobusowy. Kraniec linii tramwajowych, początek linii miejskich i podmiejskich.

- Kurwa mać - rzucił Nowak.

- Co jest?

- Nie pomyślałem o tym, żeby przesłuchać kierowców autobusów z pętli przy hucie. Morderca mógł przyjechać autobusem.

- Ale to chyba nic straconego, nie? Masz przecież listę od dyspozytora.

- Tak, listę tramwajów. Autobusy trzeba będzie jeszcze sprawdzić.

- Dobra, widzę, że chłopcy wrócili z jakimiś kasetami. - Zakrzewski wychylił się z okna samochodu. - Wystawiliście pokwitowania? - Mundurowi skinęli głowami. - Bo może ktoś im uciekł spod dystrybutora i będą chcieli nam zgłosić.

- Mogli to zrobić od razu, panie komisarzu - zauważył młody posterunkowy.

- Słusznie - burknął Zakrzewski. - Aha, i spróbujcie jeszcze wydobyć taśmy z zewnętrznych kamer w Kredyt Banku.

Nowak wyszedł z auta i zwrócił się do drugiego policjanta, chyba jeszcze praktykanta. Ten wciąż był nieco roztrzęsiony.

- To twój pierwszy trup? Nie przejmuj się, to nie jest najgorszy widok na świecie.

- Wiem - odpowiedział cicho policjant. - Widziałem już go-rej wyglądających ludzi, którzy wcale nie byli martwi.

- No, to pewnie jeszcze trochę zobaczysz, zanim nie zrezygnujesz z tej pracy. Posłuchaj - powiedział Nowak, pokazując budkę z warzywami, niebieski barek z hot dogami oraz sklepik urządzony w starym ikarusie, z wymalowanym numerem bocznym 001. Ciekawe, chyba taki numer widział kiedyś w Alejach Jerozolimskich albo na Nowym Świecie... Sprzedawcy zwlekali z otwieraniem i stali na zewnątrz, przyglądając się policjantom. - Posłuchaj, porozmawiaj z tymi ludźmi, zapytaj, czy nie widzieli czegoś podejrzanego wczoraj wieczorem.

- A jeden z was niech zrobi zdjęcia wszystkich samochodów zaparkowanych w pobliżu. - Zakrzewski zwrócił się z kolei do Nowackiego: - Na pętli, przy supermarkecie, przy stacji, przy cukierni. Tak, żeby było widać numery rejestracyjne.

Nad ich głowami przeleciał z rykiem podchodzący do lądowania samolot, miał na kadłubie napis Lufthansa. Nowacki popatrzył na niemieckiego boeinga.

- Byłem tu kiedyś z synami. Wiesz, że prawie codziennie przy ogrodzeniu lotniska siedzi gromada ludzi z aparatami i notesami? Plane spotterzy. Wiedzą wszystko o samolotach. Jaki typ, jaki zasięg i pojemność, które linie korzystają z airbusów, a które z boeingów. Który samolot zmienił przydział i przestał latać do Warszawy. Który pas jest wyłączony z powodu remontu. Wariaci, ale nieszkodliwi. Pełno takich na całym świecie.

- Nikt ich nie przepędza?

- Po jedenastym września mieli trochę problemów, ale w końcu okazali się pożyteczni. Ochrona lotnisk zna ich dobrze, a czasami z nazwiska, przychodzą prawie codziennie... Może właśnie oni jako pierwsi mogą zauważyć coś podejrzanego.

Raport patologa przyszedł po południu, podobnie jak dane z laboratorium. Śmierć nastąpiła na skutek kilku silnych ciosów, zadanych tępym narzędziem. Mogła to być rura albo gumowa pałka. Raczej nie kij bejsbolowy, bo nie znaleziono żadnych śladów drzazg czy lakieru. Śmierć nastąpiła najprawdopodobniej między dwudziestą pierwszą a północą poprzedniego dnia. Miejsce, w którym znaleziono zwłoki, pozwalało sądzić, że pierwszy cios ogłuszył denata, a dopiero kilka kolejnych pozbawiło życia nieprzytomnego już człowieka. Nie znaleziono śladów biologicznych, które można przypisać innym osobom. Na zagadkowej siódemce nie było żadnych odcisków palców. Ciekawe... To rzeczywiście świadczyło o rozmyślnym podrzuceniu tego przedmiotu. Jeżeli facet kupił cyferkę w sklepie, powinny być na nim odciski przynajmniej jego samego, no i kasjera czy sprzedawcy. A tu nic.

Zakrzewski i Nowak przejrzeni wstępne wyniki.

- Kurwa, nie zgadza się to wszystko - powiedział Zakrzewski. - Mamy poszlakę, tylko poszlakę, że zrobił to szaleniec. Kandydat na seryjnego mordercę. Ktoś, kto zabija nie z zemsty, ale dla przyjemności, albo dlatego, że w jego popierdolonym mózgu układa mu się to w jakiś wzorek. Ale dlaczego te morderstwa są coraz bardziej prymitywne?! Najpierw precyzyjny cios nożem, potem uduszenie, a teraz zwykłe walnięcie w łeb. Coś mi tu nie pasuje.

Przekazali dane Michalskiemu, który przysłuchiwał się uważnie ich raportowi. I zarządził dodatkową odprawę na wieczór.

Zakrzewski wspólnie z Nowakiem siedzieli przed monitorem, oglądając nagrania przekazane przez szefów ochrony BP i OBI-ego (taśmy z Kredyt Banku miały zostać przekazane dopiero następnego dnia). Na BP nie było żadnych incydentów, nikt nie uciekł po zatankowaniu ani nie ukradł batonika. Co jakiś czas pojawiały się grupy młodzieży z pobliskich szkół, traktujące stację jako miejsce spotkań i punkt zborny przed wyruszeniem na wieczorne imprezy. Na stację wstępowali też ludzie, którzy robili ostatnie zakupy przed odjazdem do domu jednym z podmiejskich autobusów - warszawskich lub prywatnych. Koło stacji stał także tłumek potencjalnych pasażerów, łapiących tak zwaną okazję. Wprawdzie galeria podjeżdżających do dystrybutorów typów płci obojga była dość barwna, ale na pierwszy rzut oka nikt nie robił nic podejrzanego. Szybko przewijali nagrania do przodu, zatrzymując się co jakiś czas po zobaczeniu charakterystycznej twarzy albo kogoś zachowującego się niepewnie lub wyjątkowo niespokojnie. Notowali, w którym miejscu filmu pojawia się dana osoba. Przed zwróceniem nagrań zrobią kopie, a specjaliści od obróbki obrazu przygotowują jeszcze poszczególne ujęcia. Numery samochodów dadzą do wynotowania jakiemuś stażyście, niech się chłopak wykaże. Kamera spod OBI-ego pokazywała znacznie większy obszar parkingu. Ruch trwał cały dzień, podjeżdżało wiele prywatnych samochodów, różnych furgonetek, z których wysiadali faceci w roboczych ubraniach, robiący półhurtowe zakupy na potrzeby remontów. Kto wie, być może na filmie jest furgonetka z budowy, na której pracował Piekara. Raz udało im się znaleźć chłopaka, który przechadzał się między samochodami i zaglądał dyskretnie do środka. Złodziej. Trzeba sprawdzić zgłoszenia kradzieży z wczorajszego dnia. Wieczorem, po siedemnastej, ruch wyraźnie się ożywił. Ludzie, którzy wyszli z pracy, pędzili na zakupy, także te związane z wyposażeniem domu i ogrodu. Po dwudziestej pierwszej wszyscy powoli odjeżdżali, a ostatnie samochody, zapewne należące do pracowników, ruszały około dwudziestej drugiej. Ale ruch na parkingu nie ustawał. Pojawiały się pojedyncze samochody, ktoś zabrał drugą osobę



czekającą od pewnego czasu, ktoś zatrzymał się, żeby zajrzeć pod maskę. W tych paru wypadkach od razu zanotowali numery rejestracyjne. Najciekawsza rzecz miała miejsce około pierwszej w nocy, kiedy podjechało audi z numerem rejestracyjnym zaczynającym się od WZ, a po chwili dołączyło do niego, parkując przodem w przeciwną stronę, bmw z rejestracją WPR. Kierowcy najprawdopodobniej rozmawiali ze sobą - według datownika rozmowa trwała jakieś piętnaście minut.

Podinspektor Michalski wezwał ich do pokoju odpraw. Pojawił się cały zespół, oprócz Nowaka i Zakrzewskiego przyszedł też Drzyzga odciążony od „archiwum X”, jak policjanci określali niewyjaśnione sprawy morderstw, w których Komenda Stołeczna wznowiła ostatnimi czasy śledztwo.

- Rozmawiałem przed chwilą z zastępcą komendanta - powiedział Michalski. - Przedstawiłem mu podejrzenia, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Oczywiście wyjaśniłem, że podstawy do takich podejrzeń są na razie dość wątpliwe i nie mamy żadnej pewności. Sprawa dotyczy jednak komunikacji miejskiej, więc komendant stołeczny nadał sprawie priorytet. Zarządził powołanie specjalnej grupy, która skoordynuje wszystkie śledztwa.

Podinspektor popatrzył na zebranych.

- Wejdziecie w jej skład - kontynuował. - Weźmiemy jeszcze po jednej osobie, łączniku z każdej komendy rejonowej. Z Bemowa będzie aspirant Kowalski, z którym już współpracowałeś. - Inspektor spojrział na Nowaka. - Adam, ty prowadzisz cały czas sprawę Oleszkiewicza i Staszczyka, Karol, ty weźmiesz tego z Okęcia. Ty, Marcin - zwrócił się do Drzyzgi - kontrolujesz prace archiwistów i w miarę potrzeby pomagasz pozostałym. Nie krzyw się, przy następnym trupie też ci się coś dostanie.

Michalski przerwał na chwilę.

- No, dobrze, to głupi dowcip. Rano i po południu robimy krótkie odprawy i przedstawiamy wyniki pracy, ustalamy też

wspólne działania. Za koordynację i całość śledztwa odpowiadam ja, a formalnie na czele zespołu stoi zastępca komendanta. Wszelkie istotne informacje przekazujecie bezpośrednio do mnie. - Nie musiał im mówić, które są istotne, wiedział, że jego ludzie potrafią to sami ocenić. Na ogół. - Dostajecie do pomocy tylu policjantów, ilu trzeba, do szperania po archiwach i bazach danych. Na ulicy współpracujemy z dzielnicami. Ludzie z rejonów będą się tu pojawiać raz na tydzień. Ponadto - Michalski ponownie spojrzął na podwładnych - komendant stołeczny sugeruje skorzystanie z pomocy Komendy Głównej.

- Kurna, jakiej pomocy! - Zakrzewski się oburzył. - Wszystko odbywa się na terenie Warszawy. Mamy ludzi, mamy komputery. Mamy psychologów, możemy też ściągnąć dowolnego eksperta z miasta. Mamy najlepsze w Polsce laboratorium kryminalistyczne. A oni znowu chcą udowodnić, że są potrzebni. Że trzeba rozbudować pion dochodzeniowo-śledczy w KGP.

- Komenda Główna dysponuje bazami danych - powiedział Michalski. - Ma specjalistów od ich przeszukiwania. Możemy przejrzeć listę osób karanych za ciężkie przestępstwa, blondynów, bez prawa jazdy, pracujących w komunikacji miejskiej. Kto wie, może ten nasz morderca, jeżeli to rzeczywiście jedna osoba, działał już gdzie indziej. Komenda ma też psychologów, którzy już nieraz pomagali zdefiniować profil wielokrotnych gwałcicieli czy morderców. Ma też CBS, które może dotrzeć, gdzie my nie dotrzemy.

- Gdzie słońce nie zagląda - burknął pod nosem Zakrzewski.

Podinspektor Michalski wymienił większość cech centrali, które również zdaniem Nowaka uzasadniały jej istnienie. Oczywiście po gruntownej reorganizacji i usunięciu osób zasłużonych w walce o utrwalenie i umocnienie. Głównie zresztą własnych foteli.

- Komenda Główna ma rejestr osób z całej Polski karanych za przestępstwa na tle seksualnym - dodał Michalski.

- Na litość boską, co to ma wspólnego z maniakami seksualnymi? - zaprotestował Zakrzewski. - Sekcja i raporty nic takiego nie wykazały. Prawda?!

- Żadnej aktywności seksualnej - potwierdził Nowak. - Morderca nie rozbierał swoich ofiar, nie gwałcił ich przed śmiercią ani po śmierci. Nie onanizował się po dokonaniu zabójstwa.

- No właśnie, kurna, żadne zboczonko. Zwykły rzeźnik. Dlaczego mamy szukać maniaka seksualnego?

- Słusznie. Moim zdaniem to ktoś nowy. Nienotowany. Niekarany, chyba że za jakieś drobne wykroczenie. Ktoś z kompletnie chorym umysłem, ale jednocześnie ktoś, kto może być uważany przez otoczenie za całkiem normalnego człowieka. Taka cicha woda - dodał Nowak. - A czy to ma jakikolwiek związek z odchyleniami seksualnymi, to już chyba pomoże nam ustalić psycholog.

- No właśnie. Będziemy mieli psychologa z Komendy Głównej. I pewnie jakiegoś oficera łącznikowego. Nie przejmujcie się, większość roboty i tak spadnie na nas. Już jutro będziecie mieli jej serdecznie dosyć.

Nowak i Zakrzewski pokiwali głowami. Sprawdzanie setek ludzi z całego miasta. I spoza jego granic.

- Za wcześniej - odezwał się nagle milczący dotychczas Drzyzga.

- Co za wcześniej? - Michalski się zdziwił.

- Za wcześniej, żeby robić takie ruchy. Specjalny zespół i w ogóle. Brak nam dowodów na to, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Parę poszlak, to wszystko. Przeczucia. Komendant dmucha na zimne, żeby nikt nie mógł nam zarzucić opieszałości ani braku zdecydowania. Tak na wszelki wypadek. Żebyśmy mieli dobrą prasę, żeby nam nie zarzucali, że przeoczyliśmy ważne ślady. Jak z „Łomiarzem” parę lat temu.

„Łomiarzem” nazywano bandytę, który ogłuszał i zabijał kobiety jakimś tępym narzędziem w bramach centrum Warszawy w 1993. Napadów było dwadzieścia dziewięć, zmarło pięć kobiet. Policja aresztowała podejrzanego. Został skazany na

dwadzieścia pięć lat więzienia, ale tylko za trzy napady. Proces był poszlakowy, potem okazało się, że zarówno policja, jak i prokuratura popełniły błędy, i prawomocnie skazano go tylko za jedno morderstwo. Dopiero parę lat później sąd apelacyjny skazał winnego na piętnaście lat więzienia.

- Marcin, zostaw te uwagi dla siebie - ostro odpowiedział inspektor. - Nie jest moją rzeczą zastanawiać się, jaka jest przyczyna decyzji komendanta. I czy rzeczywiście obraz warszawskiej policji w mediach jest najważniejszy.

- Jasne - mruknął Drzyzga bez przekonania.

- Dobrze, skoro mamy to wyjaśnione, przystąpmy do planowania działań. Po pierwsze, w sobotę po południu macie zatrzymać podejrzanego o dokonanie pierwszego morderstwa, w tramwaju numer 12. Pierwsze morderstwo, może początek serii, może nie, tego jeszcze nie wiemy. Ale już musimy rozpocząć prace na szerszą skalę.

Michalski oparł ręce o stół.

- Przyjmijmy na chwilę, panowie, że sprawcą tych zabójstw jest jeden człowiek. Zanim jeszcze skorzystamy z pomocy psychologa, który postara się określić profil zabójcy, spróbujmy sami odpowiedzieć na to pytanie. Kto to może być?

- Mężczyzna. Młody lub w średnim wieku, sprawny fizycznie, silny. Wiek od dwudziestu do czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Ktoś, kto jeździ tramwajem. Ktoś, kto ma dużo czasu - powiedział Nowak.

- Jak to „dużo czasu”?

- Nie wiem, czy wybiera sobie ofiary wcześniej i śledzi je przez kilka dni, czy też działa pod wpływem impulsu. Ale na pewno ma czas na przyglądanie się ludziom i wybór ofiary co najmniej w dniu, w którym dokonuje zabójstwa.

- A jak wybiera ofiarę? Czym się kieruje?

Nowak zastanowił się przez moment.

- Moim zdaniem najpierw wybiera dzień - dodał. - Dzień i pewnie miejsce, linię, trasę, którą chce tego dnia zaliczyć. A dopiero potem ofiarę. Kogoś słabego. Wcześniej chyba nie zabijał,

to początek jego działalności. Próbuje różnych metod uśmiercania, ale nie wykazuje się szczególnym okrucieństwem.

- Jak to nie?! - Zakrzewski się oburzył. - Walenie pałą po głowie nie jest okrutnie?

- No tak, ale... Nie torturuje ofiar, nie znęca się nad zwłokami, chce załatwić sprawę w miarę szybko. Ważniejszy jest dla niego sam fakt morderstwa niż rytuał związany z zabijaniem, z pozbawianiem człowieka życia.

- No, na wyrafinowane okrucieństwo nie może sobie za bardzo pozwolić. Zabija w miejscach dość ruchliwych, wprawdzie w takich godzinach, że nie ma tam zbyt wiele ludzi, zatem potencjalnych świadków. Czyli skurwiel lubi ryzyko - dodał Zakrzewski. - Ale tylko do pewnego stopnia.

- Czekajcie, to bardzo cenne uwagi, Adam... - podinspektor zwrócił się do Nowaka - ...powiedziałeś, że facet wybiera sobie linie, pętle, trasy?

- Tak sędzę. Pierwsze morderstwo miało miejsce w tramwaju. Pozostałe na pętlach. Łatwiej zabić na przystanku niż w tramwaju, bo rzadko się zdarza, że w wagonie siedzi tylko jedna osoba, potencjalna ofiara. Ale numery linii są dla niego istotne, świadczy o tym ta siódemka. Chce nam wskazać związek niekoniecznie z miejscem, ale z linią.

- Dobrze... Ustalmy, jakie środowiska trzeba sprawdzić. Mamy to nieszczęsne kółko na szybie... - Michalski popatrzył na Nowaka. - Adam, zacząłeś szukać wśród grafficiarzy. To jedna grupa. Kto jeszcze? Pracownicy ZTM, tramwajarze?

- Na pewno trzeba ich sprawdzić. ZTM, Tramwaje Warszawskie, Miejskie Zakłady Autobusowe. Oczywiście zaczniemy od tych, na których były skargi, których wyrzucono z pracy. Wyciągniemy te informacje z działu kadr - powiedział Nowak.

- Dlaczego tylko pracownicy? - spytał Drzyzga. - W zasadzie podejrzany jest każdy, kto kupił w kiosku bilet na tramwaj.

- O właśnie, bilet - rzucił Zakrzewski. - Ja bym najpierw Przyjrzał się kanarom. Mieliśmy już przecież z nimi parę ciekawych

przejść. To specyficzni ludzie. No i na pewno mają czas na jeżdżenie komunikacją miejską.

- Słusznie. Kto jeszcze?

- Plane spotterzy - rzucił Nowak po chwili.

- Co?

- Tak mi się skojarzyło. Miłośnicy komunikacji miejskiej. Są nawet kluby zrzeszające miłośników starych tramwajów. To pewnie całkiem mili ludzie. Ale było już paru psychopatów, którzy na co dzień wiedli przykładowe życie rodzinne i mieli jakieś sympatyczne hobby.

Nowak skontaktował się z Kowalskim. Aspirant wiedział już o powołaniu zespołu zajmującego się sprawą potencjalnego seryjnego zabójcy. Komisarz powiedział o tym, że trzeba jeszcze przesłuchać kierowców autobusów spod huty. Kowalski nie był przekonany, czy to coś da, ale w końcu robota jest robotą. Zaproponował, że sporządzi ich listę na podstawie danych od dyspozytora ZTM, a jutro na odprawie ustalą, jak się podzielią obowiązkami.

Po chwili zadzwonił ktoś z miasta.

- Dzień dobry, panie komisarzu. Marcin Krajewski z „Gazety Stołecznej”.

- Dzień dobry, redaktorze. - No, z tym „redaktorem” to lekka przesada, ale do nauczycieli w liceum też się mówiło „panie profesorze”.

- Panie komisarzu, dwa tygodnie temu, we środę, znaleziono ciało na pętli pod hutą. Marian Staszczuk, bezrobotny, lat pięćdziesiąt dwa. Kilka dni wcześniej, w niedzielę, znaleziono zwłoki w tramwaju numer 12 na pętli Nowe Bemowo. Witold Oleszkiewicz, nauczyciel, lat sześćdziesiąt osiem. Dziś z kolei znaleziono trupa na pętli Okęcie. Czy sprawy te mają ze sobą związek?

- Na obecnym etapie śledztwa nie mogę udzielić panu takich informacji - wyrecytował Nowak.

- Czy to prawda, że w Komendzie Stołecznej Policji powstał specjalny zespół do zbadania powiązań między tymi

sprawami? Czy waszym celem jest wykrycie seryjnego mordercy?

A kto ci, kurwa, o tym powiedział?!

- Niestety nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie, panie redaktorze. Tak czy inaczej policja bada ewentualne powiązania między toczącymi się jeszcze sprawami zabójstw w pobliżu przystanków środków komunikacji miejskiej. Natomiast mogę pana zapewnić, że będziemy wdzięczni za wszelkie informacje, które przyczynią się do zidentyfikowania okoliczności i sprawców wspomnianych przez pana morderstw. - Przynajmniej w ostatnim zdaniu Nowak nie kłamał. - Być może jeszcze dzisiaj będziemy mieli zdjęcie denata, wówczas poprosimy o jego zamieszczenie. Prześlę panu stosowną notatkę.

Ledwo Nowak zakończył rozmowę z dziennikarzem, telefon zadzwonił ponownie.

- Przygotowaliśmy już gustowne zdjęcie tego faceta - powiedział Nowacki. - Tylko twarzy, oczywiście. Po paru drobnych retuszach da się zaprezentować w gazecie bez wywoływania ogólnego przerażenia. W końcu dostał w tył głowy, nikt mu nie zmasakrował twarzy. Zaraz ci prześlę.

- Dzięki. Przygotuję notatkę.

Usiadł przed komputerem i szybko spisał parę podstawowych informacji. Nie zdążył jednak przekazać stażystce kompletu danych niezbędnych do zredagowania notatki. Przełączono do niego telefon od kogoś z supermarketu na Okęciu. Rozejrzał się po pokoju. Chciał to zrzucić na Zakrzewskiego, ale ten akurat gdzieś wyszedł.

- Dzień dobry, mówi Jan Rosiak z OBI.

- Komisarz Adam Nowak, słucham pana...

- Panie komisarzu, jestem szefem działu kadr w naszym markecie. Dostałem informację, że dziś nie zgłosił się do pracy na popołudniową zmianę Andrzej Gawryła, pracownik działu „Ogród”. Jego bezpośredni przełożony usiłował skontaktować się z nim, ale telefon komórkowy nie odpowiada. W domu też go nie ma, żona dzwoniła do nas zaniepokojona, bo wczoraj nie

wrócił wieczorem po pracy. Halo? Słyszysz mnie pan?

- Tak, oczywiście. Słucham pana.

- No, pomyślałem, że to pana zainteresuje. Wie pan, ten trup dziś z rana...

- Zdarzało mu się to wcześniej?

- Co zdarzało?

- Temu Gawryle. Nie wracać do domu. Spóźnić się do pracy?

- Nie. To raczej nie był typ faceta, który mógł zabalować, rozumie pan.

- Gdzie mieszkał?

- W Raszynie. Wczoraj wyszedł z pracy o normalnej porze, czyli już po zamknięciu sklepu.

- To znaczy o której?

- Około dwudziestej pierwszej trzydzieści.

- Czy mógłbym prosić pana o przesłanie faksu ze zdjęciem?

Poproszę o jak najwięcej danych.

Po dwudziestu minutach przyszedł faks z częścią ankiety personalnej Andrzeja Gawryły. Rzut oka na zdjęcie nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To jego ciało znaleziono rano na pętli. Nowak zwrócił uwagę na adres. W numerze domu ani mieszkania nie było siódemek. Przekazał informację podinspektorowi Michalskiemu i pozostałym członkom ekipy. Zakrzewski z sierżantem Kwiatkowskim natychmiast pojechali porozmawiać z pracownikami OBI-ego, którzy pracowali na popołudniowej zmianie. Wzięli też na siebie powiadomienie żony Andrzeja Gawryły.

Wieczorem zadzwonił jeszcze raz Krajewski, dopominając się o zdjęcie zabitego. Nowak powiedział, kim był zamordowany. Kto wie, może to coś da.



Rano w tramwaju Nowak ujrzał światłość dnia. Nie żeby spłynęła na niego łaska boska - patrzył tylko na słońce, nieco jeszcze zamglone, i na budynki, które też nie miały na razie solidnych, zdecydowanych kształtów. Ponad torami, z perspektywy wiaduktu na Popiełuszki, gdzie było trochę więcej przestrzeni, widział, jak do Warszawy przychodzi dzień. Słońce jest bardziej leniwe niż warszawiacy, którzy dużo wcześniej wprawili miasto w ruch. Chciałby kiedyś móc znowu połączyć rano po Warszawie. Ot tak, po prostu, bez celu, bez napięcia. Usiąść na chwilę na Nowym Mieście, pójść nad Wisłę, na Mariensztat albo pogapić się na studentki na Browarnej. Poczucić, jak zaczyna się dzień. Ale nie teraz, dziś się nie uda. Za oknami pojawił się masyw Arkadii. Odwrócił wzrok i zaczął przyglądać się nagłówkom w gazetach czytanych przez współpasażerów. „Wyborcza” dała na pierwszej stronie stołecznego dodatku tytuł: Kolejne morderstwo na pętli. Nie była to jednak główna wiadomość, pisano przede wszystkim o dekreтах nacjonalizacyjnych Bieruta, które władze miasta postanowiły wyegzekwować i wywłaszczyć mieszkańców prywatnych domów w różnych częściach Warszawy. O ile mógł dojrzeć, „Super Express” nic nie napisał na pierwszej stronie, tu z kolei poczesne miejsce zajmowała inna warszawska wiadomość - bezdomnej z Dworca Centralnego tajemniczy dobroczyńca podarował czterdzieści jeden tysięcy złotych w gotówce. W darmowej gazecie, którą Nowak dostał na przystanku, nie zauważył żadnego interesującego tytułu. Trzeba będzie sprawdzić w sieci.

Przy stole w pokoju konferencyjnym na centralnym miejscu siedział z ponurą miną wielki, brodaty facet w mundurze. Nadinspektor Wojciech Hanf. Obecność zastępcy komendanta stołecznego była niezbędna chyba tylko po to, żeby uzmysłwić wagę śledztwa ludziom z komend rejonowych. Obok zasiadł podinspektor Michalski i jakaś sympatyczna, drobna blondynka

po trzydziestce, w okularach. „Psycholog z Komendy Głównej”, domyślił się Nowak. Rozejrzał się po sali i przysiadł obok Kowalskiego.

- Mam już listę tych kierowców - mruknął aspirant, kiedy się przywitani. - Zdaje się, że to raczej na mnie spadnie, prawda?

- Masz coś przeciwko temu?

- No co ty. Rzadko się zdarza okazja udziału w takim śledztwie. Zajmowanie się złodziejami komórek i włamaniami do samochodów nie jest specjalnie pasjonujące. A to w końcu jakieś wyzwanie.

Tak, wyzwanie. Challenge, jak powiedziałyby była żona Nowaka. A tam, challenge. „Trzeba dopaść skurwysyna, i tyle”. Jak powiedziałyby jego babcia. Ta przynajmniej miała jakiś system wartości.

- Rozmawiałem już z MZA - dodał Kowalski. - Postaram się jeszcze dziś i w poniedziałek w dwu turach pogadać z kierowcami, mają się zjawić na pętli. Powiedz, liczysz na jakieś informacje, czy robisz to dla czystego sumienia?

- Miło mieć czyste sumienie. Jakakolwiek informacja będzie dla nas nagrodą od Pana w niebiesiech.

Podinspektor Michalski uciszył zebranych i udzielił głosu nadinspektorowi Hanfowi. Ten przywitał wszystkich, wprowadził krótko w sprawę i poprosił Michalskiego o przedstawienie szczegółów. Michalski uruchomił rzutnik podłączony do komputera i omówił pokrótce główne fakty, dotyczące morderstw wykrytych na pętlach tramwajowych. Pokazał przy tym zdjęcia ofiar i miejsc ich odnalezienia. Zakrzewski wstał i dorzucił jeszcze parę szczegółów na temat ostatniej ofiary. Spokojny człowiek, żadnych konfliktów w pracy, żony nie zdradzał (najprawdopodobniej), nie chwalił się też nagłym przypiływem gotówki. Brak motywu. Przesłuchania i rzut oka na rozkład jazdy pozwoliły ustalić, że po wieczornej zmianie zwykle wracał do Raszyna, pod kościół, autobusem 706 o 21.25 lub 21.55, albo 711 o 21.35. Nie jeździł prywatnym autobusem ani okazją z zatoczki pod stacją benzynową. Sklepiki na pętli były już pozamykane, nikt go nie widział.

- A siódemka? - zapytał ktoś.  
- Sprawdziliśmy ten ślad, na pewno nie została kupiona w OBI-m. Będziemy sprawdzać rzemieślników i sklepy z takim towarem, może ktoś coś pamięta, może ktoś robił zakupy kartą płatniczą. Dziś zajrzemy również do Praktikera i Castoramy.

- Ciężar prowadzenia śledztwa spoczywa na Komendzie Stołecznej - podjął zastępca komendanta po skończonej prezentacji. - Z Komendy Głównej dostaliśmy do współpracy eksperta, panią Annę Perkowską. - Wskazał na blondynkę, która ukloniła się nieznacznie. - Pani Anna jest doświadczonym psychologiem i brała udział w sporządzaniu charakterystyk wielokrotnych morderców i gwałcicieli w różnych częściach kraju. Ostatnio przyczyniła się do ujęcia pedofila napadającego na uczennice na Śląsku.

- Do współpracy z panią Anną zobowiązani są wszyscy członkowie naszego zespołu - powiedział Michalski. - Ma pełny wgląd do materiałów śledztwa. Komisarz Nowak przekaże pani nasze wstępne przemyślenia na temat zabójcy.

- Patrole prewencyjne, zwłaszcza w godzinach wieczornych i porannych, będą częściej pojawiać się na pętlach tramwajowych i krańcowych przystankach autobusów. Zresztą w ciągu dnia również - kontynuował nadinspektor. - Chcemy, żeby nas widziano.

- I żeby gazety nas chwaliły - dodał cicho Kowalski.

- Nie muszę chyba mówić, że obowiązuje was zakaz udzielania mediom informacji o przebiegu śledztwa i o tym, w jakim kierunku ono zmierza - powiedział podinspektor Michalski, jakby usłyszał słowa aspiranta. - Nie mówimy nic na temat prac zespołu specjalnego. W żadnym razie nie przekazujemy informacji na temat znalezionych na miejscu zbrodni znaków czy komunikatów od zabójcy. Na pytanie, czy uważamy sprawy za powiązane, odpowiadamy możliwie ogólnikowo.

- Możecie panowie oczywiście nadal prosić o współpracę, podawać numery telefonów - wtrącił Hanf. - Niech gazety w dalszym ciągu drukują prośby o pomoc i o zgłaszanie się osób,

które cokolwiek widziały. W razie wątpliwości kierujcie dziennikarzy do biura prasowego.

- Na razie tylko „Wyborcza” napisała o możliwych powiązaniach między poszczególnymi sprawami - kontynuował Michalski. - Ale nie liczcie na spokój, jutro zrobi się z tego główny temat. Przecież nawzajem czytają swoje gazety i podbierają sobie tematy. Ekipy telewizyjne też będą was nachodzić. Dzwonili już z TVN-u i WOT-u.

Nadinspektor Hanf poprosił jeszcze o głos.

- Chciałbym dodać, że przebiegiem śledztwa interesuje się osobiście prezydent miasta stołecznego Warszawy. Mamy z jego sekretariatu obietnicę współpracy wszystkich służb miejskich.

- Kwa, kwa - rzucił półgłosem Zakrzewski.

Po zakończeniu odprawy Nowak podszedł do współpracownicy przedstawionej przez Hanfa.

- Pani jest profilerem?

- Nie musimy od razu używać tych amerykańskich określeń, panie komisarzu - uśmiechnęła się Anna Perkowska. - Ale tak, ma pan rację, moim zadaniem będzie ustalenie profilu zabójcy na podstawie tych samych danych, które ma do dyspozycji pan i pańscy koledzy.

- Pani też już jest oficjalnie naszą koleżanką.

- To prawda. Ale pan usiłuje odpowiedzieć na pytanie „kto zabija”. Ja spróbuję odpowiedzieć na pytanie „dlaczego”. Jak zbudowany jest umysł człowieka, który zabija? Dlaczego wybiera akurat te ofiary, dane miejsca?

- I gdzie uderzy następnym razem?

- No, do tego to jeszcze chyba trochę daleko... Mózg ludzki, nawet mózg psychopaty, działa według pewnych schematów. Ale jest mimo wszystko niedeterministyczny.

Spojrzała na niego, jakby oceniała, czy zrozumiał ostatnie słowo. Nowak skinął głową.

- Zresztą chyba domyśla się pan, że mogę naszkicować tylko profil psychologiczny - podjęła. - Powiedzieć, jakiego człowieka szukamy. Spróbować zgadnąć, jaką ma rodzinę, pracę

i zainteresowania. Ale nie podam panu szczegółowego rysopisu, adresu i numeru PESEL - dodała.

- Nie, numer PESEL to już ustalę ja. - Nowak się skrzywił.  
- Ale chciała pani usłyszeć to, co myślę na temat mordercy, prawda?

Pokrótkie zreferował swoje opinie na temat potencjalnego seryjnego zabójcy. Anna Perkowska słuchała uważnie.

- Nie robi pani notatek? - zapytał. - Czy uważa pani to, co mówię, za rzeczy oczywiste?

- Nie, nie, w żadnym razie. To bardzo interesujące prze-myślenia. - Odgarnęła włosy z czoła. - A z notatkami to przy-zwyczajenie zawodowe. Nie mogę rozpraszać ani onieśmielać pacjenta, ogólnie, osoby, z którą rozmawiam, pisaniem na kart-ce. Rozmawiam, słucham, obserwuję, a potem notuję. Pewnie pan jest przyzwyczajony do innego sposobu pracy?

- Ja mam tak samo. - Roześmiał się. - Ale czasami ludzie oczekują ode mnie czegoś innego. Reprezentuję władzę, a oni chcą być przekonani, że przekazywane przez nich informacje są ważne. Dlatego muszę czasami otworzyć notatnik. Wie pani, odegrać stereotypowego policjanta.

- Tak, racja... A wracając do pańskich opinii, to zgadzam się, pański wstępny opis może być trafny. I wybór środowisk też interesujący. Jedna rzecz mnie niepokoi...

- Mianowicie?

- Czas. Odstęp między morderstwami. Jeżeli przypiszemy naszemu zabójcy wszystkie trzy morderstwa, to mamy odpowiednio trzy dni i czternaście dni. Krótki odstęp, a potem sto-sunkowo długi.

- I to jest dziwne?

- Powiedziałyby, że zastanawiające. Z reguły seryjny morderca zaczyna od długich odstępów czasowych, a potem je skraca. Bo coraz bardziej uzależnia się od tego, co dają mu morderstwa. Jak od narkotyku.

- Wie pani, tak naprawdę nie mamy pewności, że to pierwsze zabójstwo, śmierć nauczyciela w tramwaju, to sprawka naszego mordercy. Nie zostawił żadnych znaków albo my nie umiemy ich

odczytać. Jak pani słyszała na odprawie, jutro zatrzymamy podejrzanego.

- Jestem też po to, żeby pomóc znaleźć te wzory, znaki, o których pan mówi. Na razie muszę przejrzeć dokładnie wszystkie materiały z trzech śledstw. Pewnie nie będzie to przyjemna lektura.

Zadzwoił telefon na biurku, Nowak spojrzął na wyświetlacz: ktoś z zewnątrz dzwonił bezpośrednio do niego.

- Słucham?

- Komisarz Nowak? Mówi Krzysztof Oleszkiewicz. Czy ma pan już jakieś informacje na temat okoliczności śmierci mojego ojca? Czy znaleźliście już mordercę?

- Niestety, nie.

- Panie komisarzu, nie wierzę w was, nie wierzę, że jesteście w stanie rozwiązać tę sprawę. Chciałem panu powiedzieć, że podjąłem pewne działania. Wydrukowałem ulotki ze zdjęciem ojca, z datą i okolicznościami znalezienia jego zwłok. I z moim numerem telefonu. Paru znajomych bardzo chętnie pomoże mi je rozwieść na Bemowie, na Kole i na Woli. To już prawie trzy tygodnie! Pana instytucja nie była w stanie niczego zrobić!

Niech cię szlag trafi. Prawie trzy tygodnie. Tak jakby wszystkie sprawy były tak przerażająco proste, jak niedawne zabójstwo Zdzisława Beksińskiego.

- To nieprawda. Mogę panu nieoficjalnie powiedzieć, że wytypowaliśmy już podejrzanego i wkrótce nastąpi jego zatrzymanie.

- Dlaczego pan mówi mi o tym dopiero teraz? - po chwili milczenia zapytał napastliwie Oleszkiewicz. - Dlaczego nie informuje pan rodziny ofiary o przebiegu śledztwa?

- Dlatego że nie mam takiego obowiązku. Dlatego że moim jedynym obowiązkiem jest próbować doprowadzić śledztwo do końca.

- Proszę pana... - Oleszkiewicz ciężko westchnął po drugiej stronie linii. - Bardzo bym chciał żyć w państwie, w którym to

ja ustalam, jakie obowiązki mają służby utrzymywane z moich podatków. W którym potencjalny przestępca boi się kary, a jeżeli już popełni przestępstwo, to jest karany tak, że nie stanowi ciężaru dla podatnika. W którym w więzieniach będą siedzieć tylko osoby niebezpieczne dla innych, a pozostali będą płacić wysokie grzywny, proszę bardzo, niech te pieniądze idą na utrzymanie policji albo będą wykonywać prace publiczne. A psychopaci, mordercy i gwałciciele zostaną wyprawieni na tamten świat.

Nowak nie wytrzymał. Kolejna tyrada. Moralizator działał mu na nerwy.

- Wie pan co? Żyje pan utopiami, podobnie jak ludzie, którym przypisuje pan lewicowe przekonania. Może pan mieć najlepsze pomysły na państwo i co gorsza, je zrealizować, a ludzie będą umierać po śmietnikach. A pan zapewne powie, że to ich wina. Jest pan równie naiwny i niebezpieczny jak komuniści. - Najwyraźniej się rozkręcał. Oleszkiewicz chciał coś odpowiedzieć, ale Nowak mu nie pozwolił. - Z całym szacunkiem dla pańskich poglądów, a przede wszystkim dla bólu po śmierci ojca, nie chcę słuchać pańskiej agitacji. Zapewniam pana, że chcę dorwać tego skurwiela tak samo jak pan. W granicach obowiązującego prawa. Bo taki jest mój pierdolony zawód. Do widzenia panu.

Trzasnął słuchawką i odetchnął głęboko. Absurd. Zirykował się kompletnie bez sensu. I po co? Facet chce znaleźć mordercę swojego ojca. On też. W końcu powinni być po tej samej stronie. Oleszkiewicz nie bawi się przecież w mściciela. Nie utrudnia śledztwa. Kto wie, może ktoś zadzwoni z jakimiś istotnymi informacjami. Byle potem trafiły do policji. Nowak miał tylko nadzieję, że facet nie zgłosi się do słynnego detektywa, który potem chętnie wystąpi jako gwiazda w kolejnym odcinku programu telewizyjnego.

Poranne nagłówki były już nieco bardziej wymowne. „Tramwajarz» zabija w Warszawie!”, krzyczały wielkie żółte litery na pierwszej stronie „Faktu”. „Trzy ofiary Tramwajarza?!”, pytał „Super Express”. Tabloidy chyba dopiero dziś odkryły możliwość powiązania trzech spraw, o których dotychczas pisano drobnym drukiem w kronice policyjnej. Dziennikarze obu gazet najwyraźniej postanowili tak samo nazwać potencjalnego seryjnego zabójcę. „Życie Warszawy” pisało z kolei o „Tramwajowym mordercy”, a „Wyborcza” nie wymyśliła jeszcze żadnego określenia. „Fakt” dotarł do Oleszkiewicza i zamieścił jego apel.

O, właśnie. Oleszkiewicz. Nowak zadzwonił do niego na komórkę. Włączyła się poczta głosowa, co przyjął z niejaką ulgą. Przeprosił za swój wczorajszy wybuch i stwierdził, że nie ma nic przeciwko rozwieszaniu ulotek. Doradził tylko, żeby podać jednak oprócz prywatnego numeru także kontakt do Komendy Stołecznej.

Na porannej odprawie podsumowano dotychczasowe działania. Udało się zestawić listę pracowników ZTM, MZA i Tramwajów Warszawskich zwolnionych dyscyplinarnie w ciągu ostatnich trzech lat. Zebrano także nazwiska kontrolerów aktualnie uprawnionych do sprawdzania biletów oraz listę kontrolerów pozbawionych tej funkcji z powodu przekroczenia uprawnień lub nadużycia alkoholu. Okazało się też, że kontrolerzy są zatrudniani przez ZTM oraz przez wynajętą firmę zewnętrzną oraz że miasto na jakiś czas zrezygnowało z tak zwanych kontrolerów społecznych. Jeszcze kilka lat temu każdy mógł po przejściu krótkiego przeszkolenia dorabiać sobie prowizjami od kar wymierzanych złapanym gapowiczom. Niektórzy z tych kanarów pracowali dziś jako zleceniobiorcy prywatnej firmy z Krakowa. Nowak poprosił o nazwiska także tych osób. Odrebną pracą stanowiło porównanie pełnej Usty pracowników ZTM i powiązanych zakładów z rejestrem skazanych.



Zestawienia na razie nie uzyskano od firm komunikacyjnych, ale niedługo – w poniedziałek lub wtorek - miało dotrzeć do Komendy Stołecznej Drzyzga uświadomił im ponadto, że oprócz trzech komunalnych firm realizujących usługi transportowe jest jeszcze paru prywatnych przewoźników, obsługujących na mocy umowy z ZTM linie autobusowe. Nowak zebrał z danych policji i Straży Ochrony Kolei nazwiska i adresy graffitiarzy, których karano mandatami bądź stawiano przed sądem grodzkim. Miał też dane stowarzyszeń miłośników komunikacji, wkrótce chciał skontaktować się z ich przedstawicielami. Jak się okazało, stron miłośników komunikacji miejskiej, zwłaszcza warszawskiej, było w internecie sporo. Nowakowi szczególnie spodobał się adres jednej z nich: [www.przegubowiec, rulez.pl](http://www.przegubowiec.rulez.pl).

Po dzisiejszych artykułach w prasie wszyscy spodziewali się telefonów od... No, dobrze, Nowak nie lubił tego słowa, ale teraz trzeba go było użyć: od oszołomów. Na pewno zadzwoni mnóstwo świrów i będzie wciskać kit o tym, co widzieli w krytycznym dniu. W jednym z krytycznych dni. Wyobraźnia ludzka nie zna granic, a osób ze skłonnością do konfabulacji nie brakuje. Na dodatek paru wariatów z pewnością przyzna się do tych zabójstw. I nie wolno takiemu odpowiedzieć: „Spieprzaj, dziadu”. W żadnym razie. Trzeba obywatela potraktować poważnie. Szlag by to trafił.

Pierwszy zadzwonił jednak Józef Markowski.

- Dzień dobry! Panie komisarzu, co ci dziennikarze wypisują? - mówił wzburzony. - Ciągłe „tramwajarz” i „tramwajarz”. Ja jestem tramwajarzem, do cholery! Mam się teraz wstydić zawodu? Nie mogli wymyślić innej nazwy?

- Dzwonił pan do redakcji? My nie mamy wpływu na to, co piszą gazety, ani na to, co mówi telewizja.

- Wiem, wiem, już dzwoniłem, koledzy też, ale może by panowie jakoś zwrócili na to uwagę, na konferencji prasowej, czy ja wiem, w jakimś oświadczeniu...

- Zobaczymy, co się da zrobić - obiecał Nowak.

W sumie Markowski miał rację. Nazwa była chwytliwa. Wszyscy policjanci będą mówić „Tramwajarz”. Był „Łomiarz”, będzie i „Tramwajarz”. Chyba że wymyślą coś oryginalnego. Ale co? Może „Kasownik”?!

- Panie komisarzu, pamięta pan, jak pan ostatnio był u mnie, to mówiłem o koledze, o Janku Żurku? Robimy małe spotkanie w niedzielę po południu, u niego właśnie. Jeżeli pan chce pogadać z paroma starymi facetami o starych tramwajach albo o polityce, to zapraszam...

- No, wie pan, o polityce to nie za bardzo chce mi się rozmawiać. - Nowak się roześmiał. - Jeżdżę do komendy tramwajem i znam wszystkie opinie na każdy temat.

- He, he, jasne! Aha, i będzie prezes Stowarzyszenia Miłośników Komunikacji Warszawskiej, może to pana zainteresuje...

- Świetnie! - Nowak się ucieszył. Przyjemne z pożytecznym. Niedzielę spędzi w nieco innym gronie niż zwykle. Czyli co tu dużo ukrywać, nie sam. A ponadto pogada z człowiekiem ze stowarzyszenia, co i tak musi zrobić. Chociaż początek niedzieli nie zapowiada się najlepiej. W rozkładzie dnia będzie przesłuchanie Kościelniaka, którego pewnie dziś zatrzymają.

Umówili się na piętnastą na Makowskiej, w mieszkaniu Żurka. Gdzieś na Olszynie Grochowskiej. Nowak słabo znał tę dzielnicę. Kojarzyła mu się ze stacją kolejową, wagonownią, zakładami naprawczymi. Z więzieniem dla kobiet. No i z powstaniem listopadowym, ma się rozumieć.

Zakrzewski przekazał wiadomość od Straży Granicznej. Około szóstej transport z Niemiec przekroczył granicę. Kościelniak prowadził jeden z samochodów, zgodnie z informacjami przekazanymi przez Mytnika. Policjanci z Tarnowa Podgórnego i z Poznania potwierdzali przejazd konwoju przez poszczególne miasta.

Okolo wpół do drugiej zielony opel astra bez policyjnych oznaczeń zatrzymał się przed małym pawilonem z glazurą, terakotą i armaturą łazienkową. Sklepik był częścią posesji, na której stała willa właściciela firmy handlowej. Po drugiej stronie ulicy, za niezbyt gustownym betonowym ogrodzeniem, znajdowała się hurtownia materiałów budowlanych POLBAUTECH, do której miał wkrótce dotrzeć transport z Niemiec. Nowak został w samochodzie, a Zakrzewski wyszedł i rozejrzał się. Po lewej stronie, prawie na skrzyżowaniu, stała octavia z dwoma policjantami w cywilu czekającymi od rana. Zakrzewski wszedł do sklepu i wyszedł po chwili z jakimiś ulotkami reklamującymi gresy i fugi. Przeszedł się jeszcze kawałek, spoglądając przez bramę. Podszedł do skody, zatrzymał się i najwyraźniej udawał, że pyta o drogę. Rozmawiał z policjantami przez opuszczone do połowy okno.

- Jest magazynier, dwaj robotnicy i operator wózka widłowego. W biurze siedzi jedna osoba, kierownik hurtowni. Rano pojawiła się księgowa, ale godzinę temu odjechała. Nie ma żadnego ochroniarza.

- Bo i po co? - powiedział Nowak. - Przy wjeździe jest nalepka firmy ochroniarskiej, która należy do Mytnika. Facet nie będzie chronił sam siebie przed swoimi ludźmi.

- Przed ósmą przyjechała ciężarówka, którą rozładowywali do dziewiątej. Było kilka furgonetek po towar, nasi zanotowali wszystkie numery.

- Zmieszczą się tam dwa tiry?

- Tak, to spory kawał placu.

- Ma jakieś inne wyjścia?

- Tam, gdzie stoją. - Zakrzewski machnął ręką w kierunku policyjnej skody. - Tam jest brama i furka do prywatnego domu na posesji, na której stoi hurtownia. Od naszej strony hurtownia łączy się z sąsiednim budynkiem, gdzie też jest jakiś magazyn. A na tyłach są już nieużytki, to znaczy działka, ogrodzona, ale niezagospodarowana.

- Właściciel hurtowni jest w domu? Wie, że tu jesteśmy?

- Wyjechał wczoraj. Mytnik nie mówił, czy go uprzedzi. W domu jest tylko gospoia.

- Polka?  
- A skąd mogę wiedzieć?! - zachnął się Zakrzewski. - W biurze jest oczywiście kierownik, ale to zwykły pracownik; zrobi, co mu się powie.

- A mundurowi?  
- Policjantów z Michałowic uprzedziliśmy, że będzie akcja na ich terenie, ale nie powiedzieliśmy zbyt dużo. Furgonetka stoi koło urzędu gminy, dotrze tutaj w ciągu minuty, a nawet szybciej, jak tylko damy sygnał. Na teren wejdziemy obaj i sierżant Libich, jeden z tych dwóch tam. - Pokazał w kierunku skody.

Nie czekali długo. Kwadrans później na ulicę wtoczyła się potężna ciężarówka, a w zasadzie ciągnik z naczepą, i powoli rozpoczęła manewr skrętu w otwartą bramę hurtowni. Zakrzewski włączył radio, które było do tej pory ściszone. Następny tir przyjechał dwie minuty później, widocznie kierowcy rozdzielili się, żeby nie blokować wąskich ulic. Tuż za nim nadjechał biały ford transit i również skręcił w bramę.

- Wchodzimy - rzucił komisarz do mikrofonu.

Młody policjant w dżinsowej kurtce wysiadł z octa-vii i ruszył w kierunku bramy. Kierowca cofnął w boczną uliczkę, bliżej wyjścia z domu. Zakrzewski i Nowak przeszli na drugą stronę ulicy i pierwsi weszli na teren hurtowni. Kierowcy tirów wysiedli już i szli z papierami do biura kierownika. Kościelniak stał przy samochodzie i otwierał tylne drzwi furgonetki. Kiedy usłyszał kroki, odwrócił się. Wysoki, krótko ostrzyżony, w skórzanej kurtce. Zaciśnięta, kanciasta szczeka, szare oczy. Zareagował natychmiast. Zanim jeszcze policjanci zdążyli cokolwiek powiedzieć, już uciekał między ciężarówkami.

- Policja! Jesteś zatrzymany! - wrzasnął Zakrzewski i rzucił się za Kościelniakiem.

- Biegnij w stronę drugiego wyjścia! - krzyknął Nowak do sierżanta, który natychmiast skierował się w prawo, na tyły pawilonu biurowego przylegającego do domu. - Uwaga, może być uzbrojony!

Nowak wyciągnął broń. Rzadko musiał to robić. Nie lubił tego. Nikt tego nie lubi. Jeżeli policjant musi wyciągnąć pistolet, po drugiej stronie zapewne jest ktoś gotowy go zabić.

Z prawej strony ciężarówka stojącej bliżej budynku nie było widać nikogo.

- Nie ma go w kabinie! - Usłyszał głos Zakrzewskiego.  
- W żadnej z nich! Uważaj!

Zajrzał pod naczepę. Ostrożnie. Wydawało się, że coś zobaczył. Tak. Kościelniak uczeplił się podwozia tuż przy ciągniku.

- Jest tutaj! - krzyknął Nowak. - Pod prawą ciężarówką.

Kościelniak skorzystał z tego, że policjanci byli po zewnętrznej stronie naczep, oderwał się od podwozia, przetoczył między samochody, wstał i pobiegł w kierunku płotu. Wbiegł skulony między sterty pustych palet. Dосkoczył do betonowego ogrodzenia i zanim policjanci zdołali dobiec, wdrapał się na nie. Po chwili był po drugiej stronie.

- No żeż kurwa mać - zaklął i stęknął Zakrzewski. Sierżant dołączył do nich i przeskoczył przez płot pierwszy. Nowak i Zakrzewski gramolili się przez dziwacznie wyglądający płot.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął Libich. Po czym oddał strzał w powietrze. Zakrzewski dołączył do niego. Ale Kościelniak przeskoczył przez stertę śmieci i uciekał dalej. Młody policjant strzelił tuż koło zbiega. Ten dopiero wtedy zwolnił i uniósł ręce. Nowak i Zakrzewski podchodzili powoli, cały czas celując w zatrzymanego. Z ulicy doleciało wycie syreny, z furgonetki wyskoczyło dwu mundurowych, którzy skierowali się w stronę płotu.

- Na ziemię! - wrzasnął Zakrzewski. - Połóż się! Ręce do tyłu. Do tyłu, mówię!

Kiedy udało im się skuć zatrzymanego i podnieść go, ten nagle zaczął krzyczeć.

- Wy chuję, wy policyjne pedały, gównojady, lachociągi jebane! - darł się Kościelniak. - Odpierdolcie się ode mnie, ścierva! Nie wiecie, z kim zadzieracie!

- Ależ wiemy, wiemy. Panowie, nie widzicie, że zatrzymany stawia czynny opór? Zróbcie coś z tym - rzucił Zakrzewski.

- Znaczy jak, przywalić mu? - odezwał się jeden z mundurowych.

- Chryste! Jeszcze o to pytasz. Co za czasy. Jasne, że tak.

Policjantowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Mocny cios w żołądek uciszył Kościelniaka. No, może kiepsko uciszył, bo facet zaczął głośno rzeźić, próbując nabrać powietrza w płuca, ale przynajmniej przestał bluzgać. Nowak nie odezwał się ani słowem. Zakrzewski spojrzął na niego.

- Ciekawe. Parę lat temu pierdolnąłbyś mi kazanie o prawach człowieka i jakieś bzdety o tym, że policja musi ich przestrzegać.

- Prawa człowieka? My też jesteśmy ludźmi i mamy swoje prawa, nieprawdaż? - odburknął Nowak i skierował się do samochodu.

# Trzynastka

## 1

Kościelniak siedział przy stole w pokoju przesłuchań z ponurą miną. Od momentu zatrzymania nie rozkuto go, choć dość szybko przestał być agresywny. Uzbrojony policjant stał w rogu pokoju, a Nowak patrzył na zatrzymanego i zastanawiał się, czy ma do czynienia z mordercą.

Postanowił grać dobrego gliniarza. No, może tylko odrobinę złośliwego.

- Komisarz Adam Nowak. Wydział zabójstw. - Od razu uważał zdziwienie na twarzy przesłuchiwanego.

- Nazwisko? - zapytał.

- Przecież wiecie.

- Proszę podać nazwisko.

- Janusz Kościelniak.

- Adres zamieszkania?

Kościelniak podał adres w Płocku, taki, jaki miał wpisany w dowodzie osobistym.

- Gdzie pan mieszka w Warszawie?

- Na Bemowie.

- Gdzie? Bemowo jest duże. Przecież nie na lotnisku. Adres poproszę.

- Na Wrocławskiej - powiedział niechętnie Kościelniak i podał numer bloku i mieszkania.

- Czyli w zasadzie na lotnisku - powiedział Nowak pod nosem. Duża część osiedla stoi na terenach zajmowanych niegdyś przez dawne lotnisko wojskowe, na planie miasta nosi wciąż nazwę „Bemowo-Lotnisko”.

- Do kogo należy mieszkanie? Kto płaci czynsz?

- Mieszkanie należy do firmy. - Kościelniak wzruszył ramionami. - Potrącają mi opłaty z wynagrodzenia. Nie muszę niczego płacić.

- Do firmy? Tej z Michałowic?

- No... Pewnie tak. Ja tam nie wiem.

„Firma”... Można i tak. Mytnik dbał o swoich pracowników. A oni jak widać czuli się związani z przedsiębiorstwem. Ciekawe, czy robią zjazdy integracyjne.

- Zapoznano pana z prawami, jakie przysługują zatrzymanemu? Skontaktował się pan z adwokatem?

- Tak, jasne. - Widać było, że Kościelniak traci cierpliwość. I o to chodziło.

- Kto będzie pana reprezentował? - zapytał Nowak spokojnie, znając odpowiedź na to pytanie. Wiedział, że zatrzymany zadzwonił do jednej z firm Mytnika. A ci przyślą adwokata. Widać opieka prawna też wchodziła w skład kontraktu. Na razie jednak adwokat się jeszcze nie zjawił. To miłe ze strony jego mocodawcy, nie przeszkadzał policji w pracy.

- Nie wiem, kurwa, kto będzie mnie reprezentował. - Kościelniak wybuchnął. Uzbrojony policjant poruszył się lekko. Nowak uspokoił go spojrzeniem.

- Ale został pan pouczone o swoich uprawnieniach i obowiązkach, prawda? Podpisał pan potwierdzenie otrzymania pouczenia?

- Podpisałem! Kurwa, jakbym miał inne wyjście. O co jestem oskarżony? Dlaczego mnie aresztowaliście?!

- Po pierwsze, jeszcze nie aresztowaliśmy, tylko zatrzymaliśmy. Po drugie, na razie jest pan tylko podejrzany.

- Podejrzany o co?

- Podejrzany o popełnienie przestępstwa z artykułu 148, paragraf 1 kodeksu karnego.



- Czyli? Kurwa, nie mów do mnie jak do papugi, o co chodzi?

- Niedobrze. Nie zna pan prawa. A ta część kodeksu powinna być panu znana, parę rozdziałów dalej jest przecież pobicie z użyciem niebezpiecznego przedmiotu.

- Powiedz, kurwa, o co chodzi? - wrzasnął Kościelniak i przechylił się przez stół.

- Spokój! - krzyknął policjant, który przyskoczył do przesłuchiwanego i pchnął go z powrotem na krzesło, po czym stanął za nim, trzymając go mocno za ramiona. Kościelniak próbował się szarpać. - Spokój, mówię!

- Zabójstwo - powiedział Nowak.

- Jakie zabójstwo?

Nowak wyjął z teczki zdjęcie Oleszkiewicza i położył na stole.

- Zna pan tego człowieka?

- Nie. - Kościelniak tylko rzucił okiem. - W życiu go nie widziałem.

- Nic panu nie mówi nazwisko Witold Oleszkiewicz?

- Nie. Nic.

- Do protokołu: podejrzanemu Januszowi Kościelniakowi okazano zdjęcie zamordowanego Witolda Oleszkiewicza. Podejrzany twierdzi, że go nie rozpoznaje i nie zna nikogo o tym nazwisku - powiedział głośno Nowak.

- Kto to był? - zapytał zatrzymany.

- Nauczyciel. Miał okazję jechać tym samym tramwajem co pan. Z tym, że przejechał swój przystanek. Pewnie dlatego, że był martwy. Ktoś wbił mu nóż w serce.

Kościelniak patrzył na Nowaka jak na chorego psychicznie.

- Ja? Ja miałbym zabić jakiegoś frajera? Dlaczego?

„Może dlatego, że masz skłonność do nazywania przypadkowych ludzi frajerami”, pomyślał Nowak i zadał kolejne Pytanie:

- Co pan robił w niedzielę, siedemnastego kwietnia bieżącego roku, około godziny dwudziestej pierwszej i później?

- A skąd ja niby mam to pamiętać? Przyjechałem do Warszawy niedawno. Pewnie załatwiałem sobie pracę, gadałem z ludźmi - mruknął Kościelniak.

- W niedzielę?

- W niedzielę. Sklepy czynne w niedzielę, to i ja sobie mogę pracę załatwiać w niedzielę, nie?

- Jechał pan tramwajem numer 12. Dokąd i skąd?

- Do domu. A skąd, to nie pamiętam. Może w kinie byłem.

- Tak? A na jakim filmie? Z kim?

- Nie pamiętam, kurwa! - wrzasnął Kościelniak. - Może nie byłem w kinie, może się z kimś umówiłem, co? I wracałem do domu.

- Radziłbym sobie przypomnieć. Dwunastka. Jedzie z Pragi, spod Teatru Powszechnego. Z Alei Zielenieckiej.

- Na stadionie byłem. Spodnie kupowałem.

- Te spodnie? - Nowak wstał i spojrzął na Kościelniaka. - Nie wyglądają na nowe...

- Widocznie żółtki sprzedały mi od razu stare.

- ...a poza tym w niedzielę ruch na stadionie jest do południa. Potem wszystko powoli jest zamykane. Coś tu się zgadza. O której pan wrócił do domu?

- Nie wiem, może nie byłem na stadionie, może spacerowałem. Jestem nietutejszy.

- Jasne. To piękne miasto, a pan przyjechał ledwo dwa tygodnie wcześniej z Płocka. Sprawdziliśmy to.

Kościelniak spojrzął spod oka na komisarza, ale nic nie powiedział.

- Ma pan trochę czasu. Radziłbym sobie przypomnieć, co pan robił, z kim się spotykał i o której wrócił do domu. Proszę pamiętać, że to artykuł 148. Za zabicie „frajera”, jak był pan łaskaw się wyrazić, grozi dożywocie.

Nowak wyszedł z pokoju i przeszedł do pomieszczenia za szybą, gdzie stali Michalski i Zakrzewski i śledzili przebieg przesłuchania.

- Kawał skurwysyna - mruknął Zakrzewski. - Uciekał, i to go obciąża.

- Może jest przyzwyczajony do uciekania. Ale coś ma na sumieniu - dodał Nowak. - Ciekawe, po co pojechał do Niemiec. Może przycisnąć Mytnika?

- Pewnie wtedy, siedemnastego kwietnia, spotkał się z kimś w sprawie tego interesu. Nie chce nic powiedzieć, bo boi się szefa i jego ludzi. Zasugerujemy mu, że to właśnie Mytnik go wystawił. A może sam odnowił stare kontakty i kręci coś na własną rękę?

- Nie mamy za dużo podstaw, żeby wystąpić o jego tymczasowe aresztowanie w związku z morderstwem - powiedział Michalski. - Ponadto nie prowadzimy teraz śledztwa związanego z Mytnikiem i jego firmami, mam na myśli wydział do walki z przestępczością gospodarczą. Nie wiem, czy sąd da się przekonać, że odciski palców znalezione w tramwaju to wystarczający dowód do zastosowania aresztu.

- Spoko, facet jest groźny, stawiał opór i znieważył funkcjonariuszy w czasie wykonywania obowiązków służbowych. To dzisiaj - powiedział Zakrzewski. - A wcześniej też już sobie trochę nagrabił, więc bez problemu sąd da nam minimum tydzień, może nawet dwa.

- Wystarczy, żeby zrobić badania DNA i porównać ze śladami biologicznymi z pierwszego morderstwa. Z pozostałych też - dodał Nowak.

- Z pozostałych? Czasowo się trochę nie zgadza, prawda? Facet był w Niemczech albo w drodze.

- Nie zgadza się, faktycznie - powiedział Nowak. - Tak naprawdę tylko zabójstwo Oleszkiewicza jest nieco inne od pozostałych. Po pierwsze, zostało dokonane w tramwaju, a nie poza nim, na pętli. A po drugie, wyglądało znacznie bardziej profesjonalnie.

- W każdym razie wystąpiliśmy już do prokuratora. Borowski przygotowuje wniosek do sądu.

- Mówisz, że nie zajmujemy się teraz interesami Mytnika... - zastanowił się Nowak. - To znaczy, że nie będziemy mieli żadnych namiarów na kontakty w Niemczech. A może Niemcy

czegoś, kogoś szukają? Namierzają jakiś handel z Europą Wschodnią, przerzut narkotyków z Azji, cokolwiek?

- Wyślę do nich zapytanie przez Europol - odparł Michalski. - A ci od gospodarzej też dostaną raport.

Oczywiście. Umowa z Mytnikiem nie była wiele warta, zresztą na razie jej jeszcze nie złamali. Ale policja jest też po to, żeby zbierać informacje na przyszłość. A umowę zawsze można zerwać, zwłaszcza gdy większe konsekwencje może ponieść druga strona. No, chyba że jest to umowa Wisły Kraków z trenerem Kasperczakiem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dyżurny policjant wprowadził Annę Perkowską.

- Dobrze pani trafiła - przywitał ją Nowak. - Zaraz będzie popis starego wiarusa.

Zakrzewski przesłuchiwał zatrzymanego. Nie starał się być uprzejmy. Wydzierał się na Kościelniaka i traktował go z wyraźną pogardą. W tej roli sprawdzał się nieźle. Oczywiście nie mówił do podejrzanego per pan. Za chwilę znowu do pokoju wróci Nowak albo nawet sam podinspektor Michalski, który postara się uspokoić podejrzanego.

- On raczej tego nie zrobił - powiedziała Anna. - Może być do tego zdolny, nie liczy się z życiem innych ludzi. Ale widać, że nie ma pojęcia, o kim mowa.

- Na to wygląda - mruknął Nowak. - Chyba że zapomniał.

- Co z nim zrobicie?

- Przeszukamy mieszkanie. Sprawdzimy alibi. Jeżeli nie będzie go miał albo będzie trudne do zweryfikowania, wystąpimy o tymczasowe aresztowanie. Wyślemy go na badanie krwi. W laboratorium porównają jego DNA ze śladami z miejsca zbrodni. Sprawdzimy, czy bierze narkotyki. A potem pewnie wypuścimy.

- I będziecie go obserwować?

- Oczywiście.

- A jeżeli będzie znowu chciał wyjechać za granicę?

- To sobie nie wyjedzie.

Prokurator Borowski wydał postanowienie o przeszukaniu mieszkania na Wrocławskiej. Nowak wybrał się tam z sierżantem Kwiatkowskim, technikami i z Anną - na jej życzenie. Uważał to zresztą za bardzo dobry pomysł. Chcieli obejrzeć mieszkanie Kościelniaka jeszcze dzisiaj. Prokurator uznał, że nie istnieje duże ryzyko zatarcia śladów, więc sprawa nie została zakwalifikowana jako wypadek niecierpiący zwłoki. Musieli zatem wejść do mieszkania przed dwudziestą drugą albo odłożyć przeszukanie do niedzieli. Na szczęście czasu było sporo. Klucze znajdowały się wśród przedmiotów znalezionych przy zatrzymanym.

Wrocławska ma dziwny przebieg. Owija się wokół ulicy Powstańców Śląskich jak litera S i ma z nią dwa skrzyżowania. Okazało się, że mieszkanie Kościelniaka leży w części północnej, bliżej Piastów Śląskich i czynnego lotniska cywilnego. Codziennie lądują na nim szybowce i samoloty należące do aeroklubu, a i prywatne pewnie też. No i śmigłowce LPR. Czyli Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, gdyby ktoś miał wątpliwości. Nowak, mieszkający nieco dalej od lotniska, za to bliżej drogi podejścia dla samolotów, czasami się obawiał, czy w jego blok nie uderzy jakiś „statek powietrzny”, jak to sformułowano w polisie ubezpieczeniowej. W końcu niedaleko, na Magiera, szybowiec już kiedyś spadł.

Mieszkanie zajmowane przez Kościelniaka znajdowało się na siódmym piętrze stosunkowo schludnie wyglądającego bloku; na korytarzu czuło się woń lizolu czy innych chemikaliów, psującą trochę ogólne wrażenie. Samo mieszkanie, dwupokojowe, z niedużą kuchnią, było wyposażone dość skromnie. W salonie stał nowy, prosty stół i dwa składane krzeselka. Do tego szafa na ubrania i komoda, na której znajdował się mały telewizor. Szafa była otwarta, wisiały w niej dwie koszule i kurtka. Pod ścianą leżała zielona torba turystyczna, tani produkt z bazaru. W małym pokoju służącym jako sypialnia był tylko materac, poduszka i koc. Najwyraźniej Kościelniak nie zdążył się jeszcze zadomowić w Warszawie, choć przy koszu na śmieci stało kilka butelek po piwie i wódce. Nie znaleźli śladów narkotyków.

W kuchni na blacie zobaczyli duży nóż kuchenny z szerokim ostrzem, na pierwszy rzut oka może i groźny, ale zdecydowanie za tępy jak na narzędzie zbrodni. Na parapecie leżały za to dwa noże myśliwskie.

- No, to coś jednak mamy - powiedział do Anny, kiedy technicy zabierali potencjalne dowody.

Anna chodziła po mieszkaniu i starała się nie przeszkadzać pracującym policjantom. Stała obok Nowaka.

- To mieszkanie robotnika sezonowego - powiedziała. - A raczej pokój hotelowy. Facet w podróży służbowej, przyjechał do pracy. Może ma plany osiedlenia się tu na dłużej, ale nie sprowadził jeszcze wszystkiego.

- Masz rację - mówili już sobie po imieniu, na jej życzenie.  
- Może myśli, że nie będzie musiał sprowadzać. Że zarobi tyle, żeby pozwolić sobie na kupienie nowych rzeczy.

Nowak skontaktował się jeszcze z Drzyzga, który siedział w komendzie. Marcin zboliałym głosem poinformował go o dwudziestu paru zgłoszeniach, które w ciągu dnia otrzymała policja. Żadne nie wyglądało poważnie, ale wszystkie niestety trzeba było sprawdzić. Zastanawiało tylko to, że nikt się nie przyznał na razie do popełnienia zabójstw. Przecież świrów nie brakuje.

Powiedział o tym Annie.

- Słusznie - uśmiechnęła się. - Dla niektórych to jedyna okazja, żeby poczuć się ważnym. Wiele nie ryzykują, a może pokażą ich w jakichś wiadomościach. Nawet nie masz pojęcia, jak ważne dla wielu ludzi jest zastnienie w telewizji.

- Mimo że już nie mamy tylko dwu programów? - Babcia Nowaka do końca życia używała określeń „Warszawa pierwsza” i „Warszawa druga”, choć zdążyła się jeszcze załapać na Polsat i Polonię 1.

- Mimo to, rzeczywiście. Kiedyś jedna ze stacji poprosiła mnie o krótki komentarz, już nie pamiętam, czego dotyczył. Wakacyjnych przygód miłosnych, a może randek w ciemno?

Taki wypełniacz programu na sezon ogórkowy - spojrzęła na Nowaka. - Nie wiem, że dwadzieścia sekund było tego w końcu na antenie. I wiesz co? Następnego dnia obcy ludzie kłaniali mi się na ulicy, a pani w kiosku potraktowała mnie jak gwiazdę filmową. To działa.

- Masz czas? - zapytał Annę. - Może byśmy skoczyli coś zjeść? Przyznam, że jestem potwornie głodny.

- Dziękuję, ale jestem dziś umówiona. Muszę zaraz jechać na drugi koniec miasta, na Kabaty - spojrzęła na Nowaka, usiłując zapewne wyczytać w jego twarzy prawdziwe znaczenie tej propozycji.

- Szkoda. Tak sobie zapytałem - pospieszył z ratunkowym wyjaśnieniem. - Co nie zmienia faktu, że jestem głodny jak pies. Na Kabaty? Faktycznie, to prawie dla każdego jest drugi koniec miasta.

- Z wyjątkiem tych dwudziestu paru tysięcy ludzi, którzy tam mieszkają, ma się rozumieć.

- Jasne - pokiwał głową. - Podrzucimy cię przynajmniej do metra.

Nowak wysiadł pod Mini Europą na Jarzębskiego. I tak cała sobota spieprzona, ale w końcu musi zrobić jakieś zakupy. Położył się do łóżka około północy. Usiłował poczytać przed snem Camilleriego, ale w żaden sposób nie mogło go to uspokoić. Tylko nie kryminał, nawet taki, nawet o Sycylii, nawet z takim fajnym bohaterem. Odłożył książkę i zaczął czytać kupioną dawno temu popularnonaukową pracę Malcolma Barbera o templariuszach. Modny temat, ale książka całkiem poważna. Nie żadne tam spiski ze świętym Graalem, wymyślone na podstawie zapisków na kwitach z pralni. Nie był jednak w stanie skupić się na relacji historyka o kolejnych wielkich mistrzach zakonu i ich lawirowaniu między Papieżami, królami i muzułmańskimi władcami. Nie mógł zapamiętać imion i nazw. Oczy same mu się zamykały, kiedy Po raz piąty czytał bez zrozumienia ten sam akapit. Odłożył książkę, ale był przekonany, że o czymś zapomniał. O czymś ważnym, co jednak nie ma związku

z pracą. Tuż przed zaśnięciem zrozumiał. No jasne. Dupa nie kibic. Zapalił światło, zwałół się z łóżka, znalazł pilota i włączył telegazetę. Wybrał stronę 821. Zagłębie Lubin - Polonia Warszawa 3:0.

- A dajcie mi wszyscy, do kurwy nędzy, święty spokój - mruknął i wrócił do łóżka.

## 2

Tej nocy miał dziwny sen. Szukał świętego Graala. W Pałacu Kultury.

Były tam normalne mieszkania. Musiał się dostać do jednego z nich, pod nieobecność jego lokatora, pewnego znanego aktora, który rzekomo należał do jakichś tajnych stowarzyszeń okultystycznych. Kluczem miała być zawartość jego biblioteki. Nie znalazł jednak tam nic podejrzanego, były tam albo pustyki albo książki dotyczące geologii i oceanografii.

Aktor wracał do domu, Nowak musiał szybko złożyć drabinę, której użył, aby dostać się do tego mieszkania. Zbiegł już normalnie po schodach, zostawił drabinę przy siedzibie administracji czy raczej recepcji budynku, gdzie też wrzucił klucz od mieszkania - mieszkania numer 5 - do jednej z rzeźbionych przegródek. Przy recepcji był duży ruch. Na miasto wychodzili mieszkańcy Pałacu, między innymi wietnamscy handlarze.

- Mam nadzieję, że zapłacą nam za nadgodziny. I za pracę w niedzielę - powitał go w komendzie Kowalski. - Ten bandyta z Płocka przyznał się do czegoś?

- Nie.

- Wpadniesz dziś do nas? Teściowa zabiera dzieciaki do kina. Możemy napić się piwa, żona robi zeberka na słodko. Założę się, że nigdy takiego czegoś nie jadłeś. No i Magda chciałaby cię poznać.



- Żeby zobaczyć ludzką twarz policji? A twoja jej nie wystarczy? - Nowak się skrzywił. - Dzięki za zaproszenie. Bardzo chętnie, ale nie dziś. Jestem już umówiony po południu.

- Z kobietą? Możecie wpaść razem.

- Nie, z motorniczym. I to nie jednym.

- Czyli praca.

- Niekoniecznie. Może do jedzenia też coś będzie. Ale mogę się czegoś ciekawego dowiedzieć. A ty korzystaj z nieobecności dzieci. Pamiętam, co mówiłeś o seksie.

- O seksie?! A, jasne... - Kowalski się roześmiał.

Na odprawie podinspektor Michalski przedstawił dotychczasowe rezultaty przesłuchania Kościelniaka. Nowak opowiedział o znalezionych nożach i o tym, że jutro sąd rozpatrzy wnioski o aresztowanie zatrzymanego. Ekspertyza z laboratorium będzie w poniedziałek wieczorem, okaże się wtedy, czy któryś ze znalezionych noży mógł być użyty do zamordowania Oleszkiewicza. Sąsiedzi z Bemowa nie przypominali sobie, o której Kościelniak wrócił do domu w krytycznym dniu.

- Czy już pojawił się adwokat? - zapytał Nowak.

- Tak, wczoraj wieczorem, kiedy pojechaliście na Bemowo. Mytnik przysłał mecenasa Majchrzaka. Rozmawiałem z nim.

- Majchrzak, jasne... Zawsze bronił żołnierzy - rzucił Zakrzewski.

- Czego chcesz, facet ma taką specjalizację - odpowiedział Nowak. - Najważniejsze, żeby Kościelniak zrozumiał, że nie chodzi nam o interesy, które robił w Niemczech. I że nie będzie miał co liczyć na wpłacenie ewentualnej kaucji po aresztowaniu. Pogadam z nim zaraz po odprawie.

Z kolei Kowalski mówił o przesłuchaniach kierowców MZA w sprawie morderstwa koło huty. Żaden z nich nie przypomina sobie niczego niezwykłego z dnia morderstwa. W szczególności nikt nie pamięta wysokiego faceta w jasnej kurtce, którego pobieżnie opisał Przyjemski, motorniczy z siedemnastki.

- Będzie coraz gorzej - rzucił Michalski. - Pamięć ludzka jest zawodna. Przecież nikt świadomie nie zapamiętuje wszystkich widzianych twarzy, bo niby po co.

- Może hipnoza coś pomoże? - Ktoś z obecnych roześmiał się.

- Może. Jeżeli nie będziemy mieli wyjścia, zastosujemy nawet ten środek - powiedział poważnie podinspektor Michalski. - Wolno nam to zrobić dla odblokowania pamięci świadków, prawo zabrania wyłącznie stosowania hipnozy podczas przesłuchania. Dobrze. Co z tym zabójstwem na Okęciu? Karol?

Zakrzewski opowiedział o nagraniach z monitoringu oraz o liście samochodów uzyskanej z CEPiK-u na podstawie zebranych numerów rejestracyjnych. Wspomniał też, że cyferki takiego typu jak siódemka znaleziona w kieszeni ubrania Gawryły są w ofercie Castoramy. W poniedziałek informatycy mieli sporządzić raporty z historią sprzedaży tego towaru za ostatni miesiąc. Z całej Polski.

- W Castoramie? To niech sprawdzą kody pocztowe - odezwał się Drzyzga.

- Co? - spytał Zakrzewski. - Jakie kody?

- W kasie zawsze pytają o kod pocztowy kupującego - wyjaśnił Drzyzga. - Pewnie robią statystykę, żeby wiedzieć, z jakiego obszaru przyjeżdżają do nich klienci. Może nasz morderca podał swój prawdziwy kod. Albo jakiś nieistniejący, to akurat najłatwiej wyłapać.

- Słusznie. Trzeba im przypomnieć, żeby to dodali do raportu. Oczywiście nazwiska kasjerów też tam będą.

- Dobrze - powiedział Michalski. - To jeszcze parę spraw. Mieliśmy już kilkanaście zgłoszeń z miasta. Ludzie twierdzą, że widzieli coś albo kogoś podejrzanego w tramwajach albo autobusach. Wysyłamy policjantów, którzy z nimi rozmawiają. Moim zdaniem nie ma tam nic, co mogłoby nam pomóc. Ale przejrzyjcie to, może ktoś z was uzna inaczej. Komplet notatek jest dostępny w sekretariacie sekcji, czyli u pani Ewy. - Wskazał na asystentkę. - Ponadto biuro prasowe odebrało już kilka telefonów od stacji telewizyjnych i z gazet.

Zastępca komendanta podjął decyzję o zorganizowaniu konferencji prasowej. Jutro o jedenastej. Będzie prokurator Borowski, nadinspektor Hanf i ja. Możecie wpaść i posłuchać, jeżeli znajdziecie czas. Choć lepiej by było, żebyście nie znaleźli.

Kościelniak najwyraźniej zdawał już sobie sprawę z położenia, w którym się znalazł.

- No i co, odświeżyłeś sobie pamięć? - zaczął Nowak. Teraz nie musiał udawać dobrego policjanta. - Przypominasz sobie, co robiłeś siedemnastego kwietnia w tramwaju numer 12? Dwa tygodnie po przyjeździe do Warszawy?

- Tak. - Zatrzymany podniósł głowę i skierował wzrok gdzieś obok twarzy policjanta. - Spotkałem się z kumplami. Wraciałem do domu.

- Masz tu kumpli? Szybko zawierasz przyjaźnie czy odświeżasz stare?

- Co? - Tym razem Kościelniak popatrzył na Nowaka.

- Nic. Gdzie się spotkaliście i o której?

- W knajpie, w tej... Panoramie? Takie centrum handlowe. Na Pradze. O której? Koło trzeciej. Po południu.

- W Panoramie? Chyba w Promenadzie?

- W Promenadzie.

- W jakiej knajpie?

- U Turka.

- Kto tam był oprócz ciebie?

Kościelniak milczał.

- No? Sam przecież nie piłeś?

- Mirek Sankowski - powiedział w końcu Kościelniak. - Mieszka tutaj, w Warszawie. Znaczy w Ząbkach. To jeszcze Warszawa, nie?

- Nie. Kto to jest? Skąd go znasz?

- Z wojska. Mirek ma warsztat w tych Ząbkach. Jest blacharzem.

- Ktoś jeszcze był z wami?

- Jakiś jego kumpel, już nie pamiętam imienia. Też przyjechał na zakupy.

- O czym rozmawialiście?

- O dupach i samochodach.

- O czym, kurwa, rozmawialiście?! - Nowak walnął pięścią w stół.

- No, o samochodach. Naprawdę. Mirek miał mi brykę składować, zna gościa z komisju, który ściąga auta z Holandii. Miał jakąś niezłą tanią vectrę.

Kościelniak mówił, że nie zna adresu domowego Sankowskiego. Numer telefonu miał być za to w książce telefonicznej komórki, którą znaleziono w samochodzie Kościelniaka.

- No, to jeszcze jedno - powiedział Nowak. - Noże.

- Co noże?

- Znaleźliśmy noże w twoim mieszkaniu. Dwa egzemplarze. Po co ci takie?

- A co, nie wolno mieć w domu noża? - Kościelniak prychnął. - Niebezpieczne miasto, ta Warszawa. Nóż może się przydać, jak ktoś cię napadnie na ulicy, nie?

- Noże zostały zatrzymane i przekazane do laboratorium - poinformował go Nowak. - Sprawdzimy, czy jednak kogoś nie zadźgałeś. A zrobiłeś to? Chcesz się przyznać?

Kościelniak nie miał jednak ochoty aż tak ułatwiać pracy komisarzowi. Nie zmienił zeznań.

Po przesłuchaniu Nowak znalazł nazwisko Sankowskiego w rejestrze skazanych. Pięć miesięcy w zawieszeniu na dwa lata za przechowywanie skradzionych samochodów. Czyli prowadzenie tak zwanej dziupli. Adres warsztatu był w internecie. Nowak zadzwonił na prywatny numer - ten, który Kościelniak miał w komórce. Sankowski nie wyglądał na zaskoczonego. Czyli pewnie kontaktował się z nim już mecenas Majchrzak. Blacharz potwierdził, że spotkał się siedemnastego kwietnia z Kościelniakiem w Promenadzie. Podał nazwisko swojego pracownika, który był razem z nimi. Nowak uprzedził go, że obaj mogą zostać wezwani na formalne przesłuchanie.

Nowak pojechał na Olszynkę. Wsiadł w centrum w autobus 523. Czyli K, jak wciąż mówią warszawiacy stamtąd. Nawet jakaś piosenka o tym powstała. Literowe oznaczenia pospiesznych linii zostały zlikwidowane w 1993, jeżeli dobrze pamiętał. Autobusy pospieszne zamieniono na przyspieszone. Linia 520 to była dawna jotka, a 521... chyba C? Chociaż zwykle „czarne” 101 zastąpiło wtedy linię H... Tak, Nowak chyba nadawał się do towarzystwa, z którym zaraz miał się spotkać. Pewnie oni pamiętają wszystko, trasę każdej linii, wszystkie wprowadzone zmiany. Są tacy wariaci w tym mieście. I bardzo dobrze.

Olszynka po tej stronie torów stanowiła mieszaninę domków jednorodzinnych z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nowych eleganckich bloków, postawionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat, oraz starych kolejarskich osiedli. Jan Żurek mieszkał w szarym, piętrowym domu wielorodzinnym z niedużym ogrodem.

Z mieszkania dobiegało kilka głosów, głównie męskich. Nowak zadzwonił i po chwili drzwi się otworzyły. Stał w nich niewysoki, siwy, starszy człowiek z wyraźnym brzuszkiem. Biała koszula i elegancki krawat dodawały mu szyku, a na twarzy gościł pogodny uśmiech. Mężczyzna wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat.

- Dzień dobry. Pan Jan Żurek? Nie wiem, czy pan Markowski mnie zapowiedział. Nazywam się Adam Nowak, jestem policjantem...

- A dzień dobry, witam pana serdecznie, panie komisarzy! - Żurek potrząsnął jego ręką.

- Proszę to przyjąć. - Nowak wręczył mu butelkę chilijskiego wina carmenere. Zawsze uważał, że gość nie powinien przychodzić z pustymi rękami. A wino jest uniwersalnym prezentem. No, chyba że trafia się na spotkanie klubu abstynentów. Ale Nowak nie bywał w takim towarzystwie.

- Ależ dziękuję, dziękuję. - Żurek spojrział na etykietę. - Hiszpańskie? Nie, z Chile. Dobrze...

Z pokoju ktoś wyjrzał z zaciekawieniem po usłyszeniu Powitania. Emerytowany tramwajarz odwrócił się do niego.

- Nie ma obawy, śmierć po mnie jeszcze nie przyszła, chociaż zaczynam ósmy krzyżyk! Na razie to tylko policja.

- Ma pan urodziny? - Nowak się zdziwił. - Wszystkiego dobrego, dużo zdrowia! Pan Markowski nie uprzedził mnie, przyniosłbym jakiś prezent.

- Nic się nie stało. Butelka wina wystarczy! Poza tym dostałem już parę prezentów. O, na przykład to. - Pokazał na stertę książek w twardych oprawach leżącą na stoliku w przedpokoju. - Piękna sprawa. To od córki.

- Można? - Nowak wziął do ręki jeden z tomów. **Korzenie miasta** Jerzego Kasprzyckiego. - Widziałem to w księgarniach. Bardzo interesujące.

- Tak, sam bym sobie nigdy nie kupił - powiedział Żurek. - Strasznie drogie. Ale to piękna rzecz. Dzielnica po dzielnicy, niemal ulica po ulicy, opisane są miejsca, których już nie ma. Albo takie, po których coś jeszcze zostało, wie pan. Tylko już nikt nie pamięta, co było wcześniej. Pamiętam te teksty ze starego „Życia Warszawy”, drukowali je w sobotę.

- Faktycznie, też sobie przypominam. Jeszcze się na nie załapałem. Ale tam były z rysunkami, prawda?

- Rzeczywiście. - Żurek spojrzał na Nowaka. - Pan jest warszawiakiem?

- Nie do końca. Dziadek urodził się w Warszawie, ojciec też. Ja już jestem peryferyjny. Pochodzę z Radzymina. Tam rodzina osiedliła się po wojnie.

- E, to prawie Warszawa! I też ważne miejsce w historii.

- Ano tak. Nawet papieża tam zaciągnęli podczas ostatniej pielgrzymki.

- Faktycznie... Ale nie stójmy tak w korytarzu! Proszę, niech pan wejdzie, niech pan się czegoś napije. - Żurek zaprosił Nowaka gestem. - Panie i panowie, poznajcie naszego gościa.

Weszli do pokoju. Polacy opanowali najwyraźniej nie tylko sztukę picia po krzakach, ale również organizowania imprez dla dużej liczby osób w lokalach zdecydowanie się do tego nienadających. Nowak przywitał się z Józefem Markowskim i jego żoną oraz z dziesięcioma innymi osobami.

Starał się zapamiętać imiona i nazwiska - taki nawyk zawodowy - ale na spotkaniach towarzyskich zawsze sprawiało mu to kłopot. Może pił za dużo wina? Teraz również napełnił kieliszek.

Zebrani byli emerytowanymi i obecnymi pracownikami Tramwajów Warszawskich lub ZTM. Markowski przyszedł z żoną, podobnie jak dwu innych znajomych Żurka.

- Pan pozwoli, panie komisarzu, że przedstawię panu szefa Stowarzyszenia Miłośników Komunikacji Warszawskiej. To inżynier Krzysztof Stadnicki.

Sympatyczny, szpakowaty mężczyzna o wciąż czarnych wąsach uściśnął rękę Nowakowi. Miał około pięćdziesięciu lat, może trochę mniej. Chyba był tu najmłodszy, poza Nowakiem oczywiście. Oczy wesoło mu błysnęły za szklami okularów w drucianej oprawce.

- To pan prowadzi śledztwo w sprawie tych morderstw na pętlach tramwajowych?

- No, nie do końca ja - uśmiechnął się Nowak. - Formalnie śledztwo prowadzi prokuratura, która zleciła Komendzie Stołecznej Policji większość czynności. Całym śledztwem ze strony policji kieruje podinspektor Michalski. Ja tylko należę do zespołu. Ale rzeczywiście biorę udział w śledztwie od samego początku.

- Może pan powiedzieć coś ponad to, co piszą w gazetach? Czy obowiązuje pana tajemnica służbowa?

- Nie przesadzajmy, nie składałem przysięgi milczenia - odpowiedział Nowak. - Ale nie mogę upubliczniać żadnych informacji, które mogłyby zaszkodzić śledztwu.

Nowak poczuł, że jest w tej chwili w centrum uwagi.

- Macie już jakichś podejrzanych? - dopytywał się Żurek. - Józek mówił, że pokazywał pan mu zdjęcia jakichś facetów.

- To prawda. Przesłuchaliśmy każdego z nich. Jeden został wczoraj zatrzymany i jutro zapewne sąd go aresztuje. Ale to jeszcze nie świadczy o winie.

- Ale jak to wygląda, takie śledztwo? Chodzicie po ulicach, patrzycie ludziom w oczy w tramwajach czy jak? - zapytał jeden z tramwajarzy.

- Nie, niekoniecznie. Prewencyjnie chodzimy, nie ja ani podinspektor Michalski, tylko mundurowe patrole, ma się rozumieć, po pętłach i przystankach krańcowych autobusów. Pewnie zresztą państwo zauważyli, że jest więcej policjantów. Ale cała robota polega na żmudnym sprawdzaniu różnych środowisk, na wyciąganiu informacji z baz danych, na przeglądaniu akt.

- A jeżeli ten bandyta przestanie zabijać? Jeżeli nie da wam więcej śladów, niż macie w tej chwili? Przecież możecie go nigdy nie odnaleźć - powiedział Żurek.

- Takie ryzyko istnieje - przyznał Nowak. - Może się okazać, że jest to ktoś, kto nie tylko nie zostawia zbyt wielu śladów, ale na dodatek nigdy nie popełnił wcześniej przestępstwa. Zatem nie ma z czym tych śladów porównywać. Przyszedł znikąd, odejdzie donikąd.

Żurek spojrział na komisarza z lekkim przerażeniem.

- Czy to znaczy, że czekacie na kolejne morderstwo?! - zapytał.

- W żadnym wypadku! Poza tym zabójca zawsze zostawia jakiś ślad. Nie ma siły; jeżeli dokonał zabójstwa, musiał działać, musiał coś zrobić. Podstawowym śladem jest trup. Nie jedynym oczywiście, ale najważniejszym. Poza tym na pewno ktoś go widział. Ktoś, kto nie wie, że miał do czynienia z mordercą.

Nowak upił łyk wina.

- Poza tym może państwo słyszeli, ale jesteśmy w stanie rozwiązać wiele spraw nawet po wielu latach. Bo okazuje się, że nierozpoznawalny dotąd ślad jednak daje się przypisać do osoby. A i sam morderca może przerwać działalność i powrócić wtedy, kiedy poczuje się bezpieczny.

Zadzwoił telefon komórkowy leżący na parapecie. Żurek dziarskim krokiem podszedł do okna i odebrał. Jego twarz



rozpogodziła się jeszcze bardziej, zwracał się do rozmówczyni per „Kasiu”.

- Wkrótce pozna pan moją córkę. - Żurek spojrział na Nowaka. - Pojechała po tort i niedługo do nas dotrze.

Nowak podszedł do inżyniera Stadnickiego, który właśnie nakładał sobie na talerzyk porcję sałatki kalafiorowej. Całkiem niezłej, nawiasem mówiąc, do autorstwa przyznała się żona Markowskiego, Krystyna.

- Panie Krzysztofie, proszę mi powiedzieć, czy mają państwo listę członków stowarzyszenia? Osób płacących składki, mających legitymacje?

- Tak, oczywiście, jest taka lista. - Inżynier Stadnicki spojrział na Nowaka. - Chyba nie chce pan powiedzieć, że zamierza szukać mordercy wśród miłośników starych tramwajów?

- Chcę tylko powiedzieć, że muszę sprawdzić wszelkie środowiska, które wiążą się z komunikacją miejską. Jeżeli założymy, że za morderstwa odpowiada jedna osoba, może nią być równie dobrze szalony motorniczy, jak i osoba zapisująca numery boczne wagonów na przystankach.

Szalony... Psycholog pewnie nigdy by nie użył takiego staroświeckiego, nieprofesjonalnego określenia. Skądinąd trafnego.

- Oczywiście, że udostępnię panu tę listę. Przecież powinienem panu pomóc, nie potrzebuję żadnego nakazu... Problem w tym, że znam większość tych ludzi. Paru z nich jest zresztą w tym mieszkaniu. Mogę za nich ręczyć.

Nowak nie chciał wspominać o tym, że kryminologia odnotowała wielu seryjnych morderców, którzy byli na co dzień ludźmi łagodnymi i ogólnie szanowanymi. Ojcami rodzin. Albo nawet duchownymi, jak schwytyany ostatnio w USA morderca o pseudonimie **BTK. Bind-Torture-Kill**.

- Jest też sporo ludzi pracujących aktualnie w Tramwajach, którzy nam pomagają, a nie należą formalnie do stowarzyszenia - powiedział Stadnicki. - No i jeszcze jedno: na zebranie może przyjść w zasadzie każdy. Każdy, kto się interesuje komunikacją

miejską czy starą Warszawą. Nie musi się do nas od razu zapisywać.

- Jak często odbywają się te zebrania?

- Raz w miesiącu, czasami dwa. W zajezdniach tramwajowych. Na Woronicza albo na Woli.

- W zajezdniach? To znaczy, że każdy może wejść do zajezdni?

- Na zebranie akurat tak. Odbywają się z reguły w budynkach biurowych. Ale oczywiście musi przy bramie podać strażnikowi imię i nazwisko. Jest spisywany z dokumentów.

- Czyli możemy dotrzeć do wszystkich osób, które przychodzą na takie zebrania - powiedział Nowak.

- Tak, powinny być odnotowane na portierniach. Na spotkanie oczywiście może też przyjść bez zaproszenia i sprawdzania każdy pracownik zajezdni czy motorniczy.

- Czy przypomina pan sobie kogoś, kto pojawił się na jednym z ostatnich spotkań, a budził pańskie podejrzenia? Zachowywał się dziwnie?

- Hm... Wie pan. Na spotkania przychodzi od kilkunastu do kilkudziesięciu osób. Trochę zależy to od pogody, od pory roku. Wielu z nich widzę na wszystkich spotkaniach, niektórzy pojawiają się raz i więcej nie wracają, bo mają ważniejsze sprawy.

- Ale dla pana to chyba dość ważne, prawda? Praca wykonywana na co dzień stanowi jednocześnie pana hobby. Zadzroszczę.

- To prawda. W sumie ma pan rację, szukając u nas szaleńca. No bo co to właściwie znaczy, że ktoś jest podejrzany? - Inżynier roześmiał się. - Jak to było u Chmielewskiej? **Wszyscy jesteśmy podejrzani.** W zasadzie każdy z nas jest do pewnego stopnia wariatem. Jak mawiają Niemcy, mamy luźną śrubkę na punkcie tramwajów.

- Zatem nie pamięta pan nikogo charakterystycznego?

- Nie... w tej chwili nie. Może się zastanowię i jeszcze sobie przypomnę.

- Rozumiem... Kiedy jest następne spotkanie?

- A tak się składa, że w najbliższy czwartek na Woli. O szóstej po południu. Zapraszam.

Nowak obiecał, że na pewno się pojawi. Wymienili się numerami telefonów i adresami mailowymi; Nowak chciał jak najszybciej uzyskać listę członków stowarzyszenia.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Jan Żurek żwawo pobiegł otworzyć. Nowak usłyszał miły, żywy kobiecy głos i serdeczne powitanie. Po chwili do dużego pokoju wkroczyła dość wysoka kobieta o kasztanowych włosach. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści pięć lat. Uśmiech i oczy najwyraźniej odziedziczyła po ojcu. Przywitała się z paroma osobami bardziej serdecznie, ale niektórzy widzieli ją po raz pierwszy. Żurek podszedł z nią w końcu i do Nowaka.

- A to nasz detektyw z Komendy Stołecznej Policji. Pan Adam Nowak. Zajmuje się tymi morderstwami na pętlach - powiedział Żurek.

Jego córka spojrzała na Nowaka z zaciekawieniem i uściśnęła mu rękę prawie po męsku.

- Miło mi. - Uśmiechnęła się.

- Mnie również - odpowiedział. Całkiem szczerze.

Komisarz przysłuchiwał się rozmowom. Dotyczyły zwykłych, codziennych spraw, ale także nie do końca dla niego zrozumiałych kwestii technicznych, jak choćby skuteczności hamulców w nowych tramwajach. Czy też kolejnych nieudanych przetargów na dostawy taboru tramwajowego dla Warszawy. Nowak za to musiał odpowiadać na pytania związane z pracą policji, wiele osób z prawdziwym zainteresowaniem wypytywało go o szczegóły techniczne związane z zabezpieczaniem śladów, o pracę laboratorium. O wynagrodzenie również.

Ukroił sobie kawałek przyniesionego przez Katarzynę Żurek ciasta i stanął z talerzykiem przy oknie w kuchni. Po chwili pojawiła się także i sama Katarzyna.

- Smakuje panu tort?

- Oczywiście. Rewelacja. Uwielbiam czekoladowe torty - powiedział zgodnie z prawdą po przełknięciu kolejnego kęsa. Prawdziwy mężczyzna podobno przyznaje się do tego, że lubi słodczyce. Definicja słodczy: wszystko, co zawiera czekoladę.

- Niestety, jest z cukierni. Ja jakoś nie wyniosłam z domu umiejętności pieczenia ciast. Ale to dobra rodzinna firma. Zamawiałam u nich nawet ciasta na przyjęcie weselne. - Machnęła ręką. - Mniejsza z tym, to było dawno temu.

Nowak spojrzął kątem oka. Katarzyna nie miała obrączki na palcu.

- Ojciec nie zanudzał pana wspomnieniami wojennymi? - zapytała.

- Nie, jakoś nie. - Nowak zastanowił się. - Wojennymi? Pani ojciec skończył siedemdziesiąt lat, prawda? W czasie wojny był chyba małym chłopcem?

- Tak, ale pamięta parę rzeczy. Pamięta, jak w czasie powstania znalazł się na targowisku przy Grójeckiej. Brygada RONA ściągnęła tam pracowników zajezdni „Rakowiec”. Dziadek też był tramwajarzem... Była tam też babcia i ciocia Ania, siostra ojca. Wszyscy trafili do dylagu w Pruszkowie, obozu przejściowego, na pewno pan słyszał.

- „Tędy przeszła Warszawa” - Nowak przypomniał sobie napis na murze przy torach w Pruszkowie.

- Właśnie. Dziadka zabrali na roboty do Niemiec, wrócił dopiero w lecie 1945 roku. A ojciec dotarł razem z siostrą i mamą pod Łowicz, gdzie pracował na wsi u gospodarza. Opowiadał mi o czymś w rodzaju targu niewolników, gdzie chłopcy wybierali co silniejsze i zdrowsze dzieci do pracy. Wrócili do Warszawy po tym, jak ofensywa styczniowa dotarła w tamtę stronę. Na Pragę, gdzie został z małymi przerwami aż do dziś... No, dokładniej na Grochów. Są jeszcze ludzie, dla których te rozróżnienia są ważne.

- Zazdroszczę pani - powiedział Nowak po chwili. - Zapamiętała pani wspomnienia swojego ojca. W ten sposób zostaną, zachowają się w pamięci. Ja nigdy nie spisałem wspomnień swojej babci z czasów wojny. Strasznie tego żałuję. Zostały mi

po niej tylko strzępy opowieści i mnóstwo powiedzonek.

- Ciekawe, nigdy jeszcze nie rozmawiałam z policjantem. - Pani Katarzyna się uśmiechnęła. - To znaczy, owszem, parę razy na drodze. Jeden z nich nawet wystawił mi mandat za przekroczenie prędkości. Usiłowałam robić z siebie słodką idiotkę, ale mi się nie udało.

- Bo to pewnie w pani wypadku nienaturalne. - Nowak wysilił się na komplement.

- Dzięki. W każdym razie nie przypomina pan glińczy z seriali telewizyjnych. Tamci policjanci nie mają babć.

- No cóż, nie jestem przystojny jak Borys Szyc, ani gustownie nieogolony jak ten aktor, który gra komisarza... no, jak on się nazywa? Komisarza Zasadę? Zarebę?

- Ani drętwy jak porucznik Borewicz. - Kobieta roześmiała się, odrzucając lekko głowę do tyłu. - I niech pan nie przesadza, nie jest pan stary.

- Jasne. Ale nie ma obawy, jeszcze parę lat i będę wyglądać jak Budka Suflera. Cała.

Jan Żurek podszedł do nich.

- Panie komisarzu, taki mi pomysł przyszedł do głowy... Pokażę panu parę ciekawych miejsc w Warszawie. Związanych z tramwajami. Jeżeli oczywiście pan chce.

- Oj, tato, znowu odzywa się w tobie przewodnik. I gawędziarz. Zanudzisz pana Adama.

- Ależ skąd - zapewnił Nowak. - Chętnie zobaczę parę ciekawych miejsc.

- No widzisz? - triumfalnie stwierdził tramwajarz. - Komisarz nie ma nic przeciwko temu. Pan zadzwoni jakoś w tygodniu, dobrze? Umówimy się na sobotę albo niedzielę. Kasiu, znajdziesz chwilkę czasu? Zabierzesz nas autem?

A, to nieoczekiwana propozycja.

- Czemu nie? - Katarzyna się uśmiechnęła. - Nie zamierzam znowu siedzieć w pracy. Zmarnowałam tak dwa ostatnie weekendy.

Nowak wracał do domu z dwoma tomami na temat historii tramwajów elektrycznych w Warszawie. Zaczął je kartkować, ale po chwili schował z powrotem do torby i zapatrzył się w okno, nie widząc zresztą zbyt wiele przez oklejoną reklamami szybę. Myślał o czymś innym. Do kogo jest podobna Katarzyna Żurek? Do kogoś znanego. Kogoś, kogo widział w telewizji. Ale do kogo?

Po chwili sobie przypomniał. Do Wandy Rutkiewicz. Ten uśmiech, zmrużone oczy, kształt twarzy, nawet fryzura. Z przeczytanego kiedyś artykułu o słynnej alpinistce pamiętał, że była osobą, która całkowicie poświęciła się swojej pasji, górcom. Ze wszystkich sił pragnęła być najlepsza, lepsza od mężczyzn. Nowak mógłby coś podobnego powiedzieć o swojej żonie... Choć pewnie praca w firmie audytorskiej nie ma w sobie tyle heroizmu, co wspinanie się na najwyższe szczyty. Ale też wymaga uznania przez świat, choćby przez jedną osobę. Nowak już wiedział, że takie uznanie należy dawać wtedy, kiedy jest potrzebne. Uśmiechnął się pod nosem. Troszkę za późno zdał sobie z tego sprawę. Wtedy, kiedy już nie można było niczego uratować.

Katarzyna miała chyba podobny zawód, co jego była. Na wizytówce, którą od niej dostał, widniało stanowisko „analityk biznesowy”. Nowak nie do końca zrozumiał, na czym to polegało ani o jakich właściwie procesach mówiła, opowiadając o swojej pracy. Ciekawe. W ogóle była interesującą kobietą. I atrakcyjną. Zaczynał żałować, że nie dowiedział się o niej czegoś więcej. Powinien był zapytać o męża, kiedy wspomniała o swoim weselu. A może nie? Pewnie by to źle odebrała. Policjant powinien umieć zadawać właściwe pytania, a potem interpretować odpowiedzi. Nie wiedział, czym była ta iskra szaleństwa w jej oczach. O to też chciał zapytać. Miał nadzieję, że jeszcze kiedyś to zrobi.

Nowak przeglądał wiadomości w internecie. Na piłkarzach Polonii komentatorzy nie zostawili suchej nitki. Parę osób wspominało wręcz o podejrzanym braku zaangażowania niektórych zawodników. A niech was szlag trafi. Chcecie sobie dorabiać, to otwórzcie warzywniak. Legia wygrała za to z Lechem 3:0, Zakrzewski się ucieszy. Juventus prawie na sto procent pewny mistrzostwa Włoch... Tomasz Kuszczak zagrał znakomity mecz w lidze angielskiej... Kurde, Polacy to naród indywidualistów, nic dziwnego, że produkujemy świetnych bramkarzy. I operatorów filmowych.

Nowak niechętnie porzucił informacje sportowe i obejrzał strony warszawskie i ogólnokrajowe w serwisach informacyjnych. Sprawa „Tramwajarza” vel „Kasownika” wciąż była na tapecie. Dziennikarze na ogół rzeczowo przekazywali informacje udostępnione przez biuro prasowe Komendy Stołecznej. Tabloidy starały się wydusić z tematu jak najwięcej. Ich wysłannicy docierali do motorniczych, którzy opowiadali przerażające historie sprzed lat. Być może nawet niektóre relacje nie zostały wymyślane przez dziennikarzy. Nowak poczytał trochę komentarzy internautów, ale szybko znudziły go wypowiedzi uczniów szkół podstawowych i gimnazjalistów. No dobrze, może niektórzy byli nieco starsi. Ale ci za to uważali, że cała sprawa to prowokacja wymierzona w prezydenta Warszawy, mająca podważyć jego autorytet. Spisek, wszędzie spisek wrażeń sił... Inni z kolei krytykowali władze miasta za brak bezpieczeństwa na ulicach - wbrew przedwyborczym zapewnieniom. Byli też i tacy, którzy wskazywali na Al Kaidę jako winowajcę. Internet stał się miejscem, w którym można napisać bez cenzury, a na ogół też bez żadnych konsekwencji, największą bzdurę. Trudno. Taki skutek uboczny wolności słowa.

Po odprawie Nowak i prokurator Borowski, razem z dwoma uzbrojonymi policjantami, pojechali z Kościelniakiem do sądu. Michał Borowski był małomównym człowiekiem. Starszy o jakieś dziesięć lat od Nowaka, szpakowaty mężczyzna o ostrych

rysach twarzy, wąskich ustach i haczykowatym nosie, sprawiał wrażenie sępa, który założył garnitur. Niechęć do wylewnych wypowiedzi w rozmowie zastąpiła jednak precyzja wysłowienia w sądzie. Borowski szybko i zwięźle przedstawił wyniki śledztwa i powód wniesienia o aresztowanie zatrzymanego. Adwokat Majchrzak wnosił o zwolnienie Kościelniaka i zastosowanie dozoru policyjnego. Sąd jednak przychylił się do wniosku prokuratury i wydał nakaz aresztowania na dwa tygodnie.

Było zimno i zapowiadało się na deszcz, ale Nowak wrócił do komendy pieszo, nieco okrężną drogą - chciał obejrzeć pomnik, który zamontowano w ostatni weekend pod murami Pawiaka. Pomnik szczególnie: wiąz, na którym rodziny zamordowanych wieszaly tablice z nazwiskami. Wiaz obumarł już dawno i mimo paru zabiegów, takich jak impregnacja czy betonowanie korzeni, a w końcu najzwyklejsze podpieranie tyczkami, musiał zostać ścięty. Wszystkie części pnia i gałęzi wywieziono do odlewni w Gliwicach, gdzie powstała ich dokładna kopia. Drzewo z brązu wyglądało niesamowicie. Odtworzono fakturę pnia, widać nawet ślady po gwoździach. Ślady po gwoździach... Rany. Nowakowi niespodziewanie skojarzyło to się z planem Warszawy, na którym morderca zostawia swoje znaki.

Nowak zajrzał do sali, w której zbierali się dziennikarze. Było ich całkiem sporo. Pracowały dwie kamery, a na stole znajdowało się co najmniej pięć mikrofonów stacji radiowych.

- Mewy lecą za trawlerem, bo myślą, że do morza będą rzucane sardynki - powiedział filozoficznie.

Michalski spojrział na niego z niejakim zdumieniem.

- Co?! Tak mawiała twoja babcia?

- Nie, jeden francuski artysta... Aktor w pewnym sensie - odparł Nowak.

Konferencja rozpoczęła się z lekkim opóźnieniem. Nadinspektor Hanf powitał zgromadzonych i przedstawił członków



zespołu dochodzeniowego. Michalski opowiedział o poszczególnych morderstwach. Hanf poprosił jeszcze o głos.

- Chciałbym zaapelować do mieszkańców Warszawy o wzmoczenie uwagi w czasie podróży środkami komunikacji miejskiej, ale jednocześnie prosić o zachowanie spokoju. Nie ma powodów do paniki. Podróż tramwajem nie stała się z dnia na dzień bardziej niebezpieczna. Należy zachować tylko ostrożność i zdrowy rozsądek, to, co zwykle robimy, żeby nie paść ofiarą napadu. Nie wsiadać do pustego wagonu, zajmować miejsce blisko motorniczego. Zachować ostrożność na słabo oświetlonych przystankach. Prosimy oczywiście także o przekazywanie policji wszystkich informacji, które mogą przyczynić się do ujęcia sprawców zbrodni. Można dzwonić do najbliższego komisariatu albo przesłać do nas wiadomość pocztą elektroniczną. Szczegóły znajdą państwo na stronie internetowej w w. k s p. w a w. p 1. Proszę teraz o pytania.

- Agnieszka Wolska, TVN. - Głos młodej reporterki, którą Nowak już widział na pętli pod hutą, był dziś nieco pewniejszy. - Panie inspektorze, czy może pan jednoznacznie potwierdzić, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, który grasuje po Warszawie?

- Nie. Takiej pewności nie ma. Osoby, które zostały zamordowane, nie są ze sobą w żaden sposób powiązane - odpowiedział Michalski.

- Czy prawdą jest, że już ktoś został aresztowany w związku z tą sprawą?

- Tak. Jest to Janusz K., mieszkaniec Płocka - powiedział prokurator Borowski. - Został w dniu dzisiejszym decyzją sądu tymczasowo aresztowany. Istnieją wobec niego uzasadnione podejrzenia dotyczące udziału w jednym z zabójstw.

- Kto to jest?

- Na obecnym etapie śledztwa mogę tylko powiedzieć, że jest to osoba karana za przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, podejrzana o przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej.

- Co policja robi, żeby uchronić mieszkańców Warszawy przed dalszymi wypadkami tego typu? Czy warszawiacy będą musieli razem z biletem tramwajowym kupować polisę na życie? - zapytał jeden z dziennikarzy radiowych. Nowak przypomniał sobie, że kiedyś z biletem miesięcznym rzeczywiście można było wykupić ubezpieczenie.

- Ci z państwa, którzy jeżdżą środkami komunikacji miejskiej... - Michalski potoczył wzrokiem po sali, jakby wąpił, czy ktokolwiek z zebranych widzi miasto inaczej niż z okien swojego samochodu służbowego - ...ci z państwa na pewno zauważyli, że policjanci z oddziałów prewencji patrolują pętle tramwajowe i autobusowe oraz ważne węzły komunikacyjne. Jest ich znacznie więcej niż kilka tygodni temu.

- Proszę pamiętać - wtrącił nadinspektor Hanf - że od pewnego czasu środki komunikacji zbiorowej i tak podlegają szczególnej ochronie ze względu na możliwość wystąpienia aktów terroryzmu.

- Właśnie, czy policja bierze pod uwagę, że są to ataki terrorystyczne, które mają na celu zasianie paniki wśród mieszkańców Warszawy? Tak jak nękanie fałszywymi alarmami o podłożeniu bomby? - zapytał dziennikarz z „Super Expressu”.

- Wykluczylibym taką możliwość - powiedział stanowczo Hanf.

Michalski sprawiał wrażenie, jakby chciał popukać się w czoło.

Komórka Nowaka zadzwoniła w momencie, gdy nadinspektor Hanf wygłaszał standardowe zdania o pełnym zaufaniu, którym obdarzył podinspektora Michalskiego i cały prowadzony przez niego zespół, dysponujący wszelkimi środkami technicznymi i prawnymi niezbędnymi do zakończenia śledztwa.

- Panie komisarzu - mówił sierżant Kwiatkowski - jest zgłoszenie z Pragi. Na pętli przy bazylice pocięto nożem jakiegoś chłopaka. Policjanci z Pragi przekazali to nam, bo myślą, że może mieć to coś wspólnego z „Tramwajarzem”.

Pętla trzynastki robiła sympatyczne wrażenie – wśród wierzb na skraju małego parku przy Otwockiej, naprzeciw bazyliki. Mimo obecności imponującego kościoła, zbudowanego na wzór rzymskiej bazyliki św. Pawła za Murami, było tu jakoś małomiasteczkowe Odcinek Kawęczyńskiej za skrzyżowaniem z Otwocką kończył się ślepo. Wybrukowana kocimi łbami jezdnia docierała do nasypu linii obwodowej, po którym raz na jakiś czas przejeżdżał pociąg. Miejsca w pobliżu torów kolejowych zawsze wyglądają peryferyjnie, nawet jeżeli leżą w środku miasta.

Nowak wysiadł z samochodu i przywitał się ze stojącym przy radiowozie policjantem, młodszym aspirantem Kamilem Pacewiczem, jak się przedstawił. Ten od razu przystąpił do relacjonowania zdarzeń:

- Rozmawialiśmy z tym chłopakiem. Nie jest miejscowy, mieszka na Gocławiu. Notowany, złodziejasek. Nie chciał nic powiedzieć ani składać skargi. Zabrało go pogotowie. Wyglądał strasznie, ale chyba rany nie są głębokie.

- A napastnik?

- Motorniczy podał nam rysopis tego faceta, który uciekł z nożem. Mówił, że był niewysoki, młody, pewnie nie miał jeszcze osiemnastu lat. Pobiegł w Otwocką. Wysłałem tam dwa patrole od razu po zgłoszeniu. Odpytujemy notowanych i osoby wskazane przez dzielnicowego.

W samochodzie aspiranta odezwał się głos z radia. Pacewicz podszedł i porozmawiał chwilę, po czym wrócił do Nowaka.

- Chyba się pan niepotrzebnie fatygował. Znaleźliśmy chłopaka pasującego do rysopisu. Siedział sobie spokojnie na murku, na Łochowskiej, i palił papierosa. Strasznie był zdziwiony, że go zatrzymaliśmy. Się nazywa... Lasota. Marcin Lasota. Zaraz go tu przyprowadzą.

Po paru minutach pojawiło się dwu rosyjskich umundurowanych na czarno policjantów z drobnym, ostrzyżonym na tyso chłopakiem. Tania chińska koszula, dżinsy i o dziwo markowe buty. Pewnie komuś skrojone.

- Znaleźliśmy to przy nim. - Jeden z policjantów podał nóż sprężynowy.

- Chryste, uważaj przynajmniej na odciski palców - jęknął aspirant.

- Ty to zrobiłeś? - Nowak zwrócił się do chłopaka. - Pociąłeś go? Dlaczego?!

- Nie będę wchodził w układy z policją. Nie jestem konfidentem.

- A co mnie to obchodzi! Gadaj, dlaczego pociąłeś tego gościa?

Chłopak milczał.

- No?

- No co? Co no? Jak ktoś nie oddaje kasy przez pół roku, to co, nie zasługuje na wpierdol? Niech się tu nie pokazuje bez pieniędzy - odezwał się w końcu zatrzymany.

- Mieszkasz z rodzicami? - spytał Nowak.

- Bo co? - burknął chłopak. - Mieszkam.

- Co robi ojciec?

- Jak to ojciec. Tyrka i chłanie.

- A matka?

- Na rencie.

- Mieszkają na Radzywińskiej - pospieszył z wyjaśnieniem jeden z policjantów. - Na końcu. To znaczy na początku.

- Co robiłeś w środę czwartego maja? W środę dwudziestego kwietnia? W niedzielę siedemnastego kwietnia?

- A co mogłem robić? Piłem piwo. Na ulicy. A jak padało, to w bramie.

Nowak spojrział złym wzrokiem na Lasotę.

- Dobrze. Pójdę odwiedzić jego rodziców - zwrócił się do Pacewicza. - A wy przesłuchajcie jego kumpli. Chcę wiedzieć, co robił w krytyczne dni. Nóż zabieram do ekspertyzy. Schowajcie go tylko do jakiejś torebki. I zróbcie protokół zatrzymania rzeczy. Zaraz wrócę.

- Zabierze pan go do siebie? - zapytał aspirant z lekką niechęcią w głosie. Najwyraźniej nie lubił przyjmować poleceń od mądrali z KSP.

- Nie. Niech zostanie u was. Przesłuchajcie też tego raniego.
- Pewnie nie będzie chciał składać zeznań...
- Trudno. I tak musimy wszcząć dochodzenie. Najwyżej zostanie umorzone. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Nowak przeszedł się Kawęczyńską. Rzadko ostatnio był w tych okolicach. A szkoda, bo można tu zobaczyć kawałek miasta, które już zniknęło. Babcia Nowaka przyjechała do Warszawy z małej wsi gdzieś pod Bydgoszczą na początku lat trzydziestych i zamieszkała właśnie tutaj. Pewnie codziennie widywała te nieco pokrzywione, żółtobrązowe drewniane oficyny, przytulone do ślepej ściany murowanego budynku.

Z kolei w imponującej kamienicy pod numerem 16 mieści się dziś zakład obuwia ortopedycznego. Ogromna klatka schodowa i wielkie okna robiły wrażenie - trzypiętrowy budynek mógł z powodzeniem zmieścić sześć kondygnacji współczesnego bloku. Nowak zobaczył również, że mnóstwo budynków po parzystej stronie należy do Wyższej Szkoły Menedżerskiej. Prywatna uczelnia najwyraźniej skorzystała z tego, że ceny nieruchomości na Pradze są znacznie niższe niż w innych dzielnicach Warszawy. Oprócz sal wykładowych były tu internaty, gimnazjum i liceum. Jak widać, nawet Szmulki powoli zmieniają swoje oblicze.

Przy Wojnickiej Nowak zauważył bar Pantograf na tyłach porośniętego dzikim winem baraczku, zajmowanego przez PKZ-ety. Nieco dalej był wjazd do zajezdni, w bramie znajdowała się myjnia, właśnie stał tam tramwaj. Wszystko tu kręciło się wokół tramwajów. Faktycznie, jeżeli morderca miał wybrać jakąś okolicę dogodną do kolejnego ataku, mogło to być tutaj.

Nowak spojrzął jeszcze na budynek zajezdni z przystanku przy skrócie, dalej szyny prowadziły w stronę Dworca Wschodniego. Bardzo ładna budowla. Ciekawe, kiedy powstała, w latach

dwudziestych? Musi zajrzeć do książki, którą dostał od Żurka.

Minął bazar Szmulki. Obok były jakieś garaże, pralnia i magiel. Dotarł do narożnej kamienicy w kształcie kawałka tortu i zatrzymał się. Tu urywały się tory biegnące od zajezdni. W tym miejscu kończy się Żąbkowska i zaczyna Kawęczczyńska oraz Radzymińska. Kierowcy pędzili na zielonym świetle, nie zważając na to, że na łuku jezdni wypadają ze swojego pasa, i dlatego co chwila rozlegało się krótkie, nerwowe trąbienie. Po drugiej stronie Radzymińskiej widać było bloki z epoki Gierka. A przy Żąbkowskiej nową „rezydencję”, ogrodzony budynek o dość oryginalnych kształtach.

Nowak odwiedził matkę chłopaka mieszkającą na piętrze narożnej kamienicy. Nie pamiętała dokładnie zdarzeń z podanych dat, ale mówiła, że ostatnio syn się kręci codziennie z kolegami po Szmulkach. Rozmowa zajęła raptem kilkanaście minut. Nowak wrócił na dół. Ze sklepu spożywczego wyszło dwu starszych facetów. Obaj wyglądali na osoby pochodzące z innego wymiaru. W każdym razie ich linie świata tylko co jakiś czas pojawiały się w rzeczywistości, do której należał komisarz i ulica. Biegły zawiłym wężykiem.

- Nie wie pan, gdzie tu można dostać dynks? – zwrócił się do Nowaka niższy z nich, łysiejący gość z otwartym plecakiem.

Mózg Nowaka musiał wykonać szybką pracę myślową. Dynks. Co to jest dynks? Jakiś alkohol. Spirytus. Nie, no jasne, przecież to oczywiste. Denaturat. Jagodzianka na kościach.

- Pojęcia nie mam - odpowiedział zgodnie z prawdą.

Mężczyzna odszedł, mamrocząc coś z wyraźnym rozczarowaniem.

Nowakowi na moment przebiegła przez głowę irracjonalna myśl, że władze dzielnicy specjalnie wynajmują statystów po to, żeby przyjezdni i turyści poczuli atmosferę starej Pragi.

Policjanci z Komendy Stołecznej spędzali całe dni na sporządzaniu list osób ze środowisk, z których mógł pochodzić morderca. Mógł, ale nie musiał. Dlatego sprawdzali również osoby skazane za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, recydywistów, ludzi na zwolnieniu warunkowym i na przepustce z więzienia. W żadnym razie nie można było wykluczyć takiego scenariusza. Przypadek „łomiarza”, a raczej paru kolejnych łomiarzy, wskazywał, że koniecznie trzeba zacząć od tej grupy. „Nie można pomijać rzeczy oczywistych”, grzmiał Michalski, wiedząc, że wszelkie nieprawidłowości w tym priorytetowym śledztwie zostaną bezwzględnie wyciągnięte przez media. Policja miała ostatnio kiepską prasę. Nie cała policja oczywiście, ale Zakrzewski wciąż przeklinał gryzipiórków i „rzekomo wolne dziennikarstwo”, jak mówił z sarkazmem. „Po to są gazety i telewizja, żeby wyciągać różne rzeczy”, replikował Nowak. Może tabloidy i stacje telewizyjne walczące o oglądalność zajmowały się tropieniem afer z uporem godnym przewodniczącego Leppera, ale przy okazji wiele spraw znajdowało swój koniec w sądzie. Właśnie rozpoczął się proces byłego komendanta głównego policji, uwikłanego w tak zwaną aferę starachowicką. Media to podobno trzecia - a może czwarta - władza, ale ta pierwsza też była żywotnie zainteresowana szybkim rozwiązaniem sprawy. Prezydent Warszawy chętnie wykazałby się jakimś spektakularnym sukcesem, potwierdzającym jego zapewnienia o wzroście bezpieczeństwa w stolicy...

Na razie jednak skromne ślady biologiczne - włosy, drobne fragmenty skóry, znalezione na ubraniu ofiar i na miejscu zbrodni - nie mogły zostać przypisane do nikogo ze skazanych, których dane można znaleźć w systemach laboratorium kryminalistycznego, czy to stołecznego, czy głównego. Nie mówiąc o tym, że ślady miały charakter raczej zwykłych zanieczyszczeń i śmieci. Polowanie na zabójcę miało być zatem nieco bardziej skomplikowane i pracochłonne.

Zakrzewski przeklinał informatyków, którzy jeszcze nie dostarczyli rejestru sprzedaży mosiężnych numerów na drzwi z supermarketów w całej Polsce. „Wszyscy spece od komputerów są tacy sami, w każdej firmie”, burczał. „Prosisz o raport na jutro, dostarczą ci po tygodniu, zgłaszasz problemy z siecią, czekają, aż same miną. I najchętniej by ci za to wystawili fakturę”.

Policyjna legitymacja wystarczyła, żeby wejść na teren zajezdni na Woli. Inżynier Stadnicki przysłał listę członków stowarzyszenia, a dziś Nowak miał pobrać kopie rejestrów wejść na spotkania klubu z ostatnich miesięcy. Nowak zaobserwował, jak wygląda procedura rejestracji. Tuż po nim pojawił się jakiś młody człowiek, który przyszedł na spotkanie. Strażnik poprosił chłopaka o wpisanie imienia, nazwiska i numeru dowodu osobistego na listę, ale sam nawet nie raczył zerknąć na dokumenty. Nowak westchnął ciężko. Niewykluczone, że morderca już tu kiedyś był i wpisał się do książki. Jako Mikołaj Kopernik. Albo Grzegorz Rasiak.

W ciasnej sali konferencyjnej zmieściło się dwadzieścia kilka osób. Nikt oczywiście nie odczytywał listy obecności, więc nie musiał przyznawać się do tego, że jest komisarzem policji. Żurka na spotkaniu nie było, Nowak rozpoznał tylko inżyniera Stadnickiego i paru innych mężczyzn spotkanych na urodzinach tramwajarza. Większość obecnych znała się dobrze, choć było też kilka osób, które najwyraźniej pojawiły się po raz pierwszy, jak chłopak spotkany na portierni. Dyskusje dotyczyły najbliższego Dnia Komunikacji Miejskiej, który miał się odbyć pod koniec lipca, oraz udziału zabytkowych wozów w imprezach organizowanych przez miasto. Pierwszą z takich imprez będzie Noc Muzeów osiemnastego czerwca, kiedy miały kursować „ogórki”, czyli stare jelicze - jeden z Warszawy i kilka z innych miast. Ich zadaniem było rozwożenie chętnych do darmowego zwiedzania. Inżynier Stadnicki opowiedział jeszcze o planach rewitalizacji (to słowo od niedawna robi karierę) ulicy Chłodnej. Chłodna przed wojną była jedną z reprezentacyjnych ulic miasta, Marszałkowską zachodniej Warszawy.



Po czasach jej świetności pozostało kilka kamienic, stary bruk i tory tramwajowe. Inżynier przedstawił ideę uruchomienia konnego tramwaju w sezonie turystycznym, ale na razie był to jedynie pomysł. W Śródmieściu jeździł tylko ten omnibus, który Nowak widział na placu Bankowym.

Nowak spoglądał na dopiski, które przy niektórych nazwiskach na liście pozostawił inżynier Stadnicki. TW nie oznaczało tajnego współpracownika, lecz pracownika Tramwajów Warszawskich. Skrót MZA i ZTM też były łatwe do rozszyfrowania. Student, emeryt, radca prawny, adwokat, handlowiec...

Komisarz przyglądał się ludziom siedzącym na sali. Który z nich mógłby być mordercą? Ktoś ze starych tramwajarzy, dla których praca stanowiła wszak coś więcej niż tylko sposób zarabiania pieniędzy? A może któryś z młodych ludzi? Chłopak wpisujący dane z dowodu na portierni? Jest tu chyba po raz pierwszy, bo nie przywitał się z nikim i nie brał udziału w dyskusji. A może ten wysoki czterdziestolatek w garniturze, który najwyraźniej przyjechał prosto z pracy, a teraz opowiadał o starym wozie tramwajowym sprowadzanym z Poznania?

Policjant nie był w stanie wyczytać z twarzy intencji i pragnień ludzi. Może powinien zabrać tu ze sobą Annę, choć pewnie nudziłaby się, słuchając zebranych. Właśnie, nie było tu żadnej kobiety. Kobiety rzadko pasjonują się tramwajami, lokomotywami i samolotami. Albo kolekcjonerstwem. Choć niektóre zbierają słoniki, filiżanki albo stare pocztówki. Obserwacja psychologa amatora: kobiety organizują przestrzeń wokół siebie, a nie gromadzą rzeczy. Tylko Nowak jakoś do tej pory nie dawał się zorganizować swoim kobietom. Może dlatego, że zgromadził za mało rzeczy.

W piątek Nowak rozmawiał z kilkoma kanarami wyrzucenymi z pracy za wykonywanie obowiązków po spożyciu

alkoholu. ZTM pozbyło się ich po skargach zgłaszanych przez pasażerów. Kolejne z rozmów, których normalny człowiek nigdy w życiu by nie odbył. Zostawmy pijakom ich butelki, a butelkom ich pijaków. Po południu Nowak zadzwonił jeszcze do Jana Żurka i umówił się na spotkanie w niedzielę. Rozmowa z emerytowanym motorniczym (Żurek czasami używał też określenia „motorowy”) nastroiła go pozytywnie przed wieczornymi atrakcjami.

Bo wieczorem był jeszcze futbol. Nowak nie mógł nie pójść na mecz Polonii z Cracovią. Datująca się jeszcze od czasów przedwojennych przyjaźń obu starych klubów i ich kibiców gwarantowała przynajmniej dużą frekwencję. W taki wieczór nie wkurzyłby go nawet spiker tracący kontakt z rzeczywistością ani wyłączająca się aparatura nagłaśniająca, zmieniająca uroczyste wprowadzenie drużyn w scenę z Miśia. Łu-bu-du-bu. Dziś jednak wszystko, o dziwo, działało. Jeszcze żeby Polonia coś ugrała... Cracovia zajmowała piąte miejsce, więc nadziei wielkich nie było.

Niestety, zaczęło się smutno, od minuty ciszy. W czwartek zmarł Zdzisław Gierwatowski, ostatni z żyjących piłkarzy, którzy w 1946 roku zdobyli z Polonią mistrzostwo. Niecały tydzień wcześniej, w sobotę, odszedł Jerzy Szularz. Drużyna jest już w komplecie po tamtej stronie... Nowak szybko jednak skupił się na tym, co najważniejsze - czyli na futbolu. Na trybunach było chyba pięć tysięcy ludzi! Głośno i sympatycznie, nie licząc paru wulgarnych przyśpiewek na Kamiennej, tradycyjnego „najeżdżania” na Legię i Wisłę. Ot, takie polskie kompleksy. Na szczęście innych emocji nie brakowało. Kibice co chwila zrywali się z krzesłek i darli na całe gardło.

- Idziesz! Idziesz sam!!! - wrzeszczał Andrzej do Kosmalskiego, pędzącego lewym skrzydłem. Do Gołosia. Do Kluzka. Do każdego. Ale w pierwszej połowie chyba nikt go nie słyszał. Polonia stała w miejscu, dając sobie strzelić dwie bramki. Czarne Koszule zawsze znane były z ostrej gry, a tym razem pierwszy faul został odgwizdany dopiero po trzydziestu minutach! Na szczęście Darek Dźwigała stanął na wysokości

zadania. Do przerwy 1:2. Potem jednak kolejną bramkę dla Cracovii zdobył Łukasz Szczoczarz.

- Szczoczarz... - mruknął siedzący obok niego starszy kibic.  
- Z takim nazwiskiem, panie, to on kariery za granicą nie zrobi...

Polonia walczyła do końca, ale stać ją było tylko na strzelenie jednego gola. Kurde, a w ostatniej minucie... Najpierw ktoś przywalił w poprzeczkę, a potem Gołoś obok bramki... Nowak opuszczał stadion wciąż podekscytowany, choć właściwie nie miał się z czego cieszyć. Trzy punkty stracone, cztery kolejki do końca, a utrzymanie w ekstraklasie wciąż nie było pewne. Chyba że mieli rację ci, którzy twierdzili, że wszystko już dawno zostało ustalone. Spadnie GKS, a w barażach zagra Odra Wodzisław.

## 5

W niedzielę Nowak wstał wcześniej i pobiegł do 112, żeby dotrzeć na basen na Łabiszyńskiej. Daleko, to prawda. Do hali na Conrada mógłby przecież pójść pieszo. Ale połączenie było niezłe, a basen sympatyczny. Musiał coś zrobić po tygodniu żmudnej i niezbyt owocnej pracy. Był przecież w komendzie nawet wczoraj. Przyszła ekspertyza z laboratorium: żaden z noży znalezionych w mieszkaniu Kościelniaka nie został użyty do zamordowania Oleszkiewicza. Podobnie rzecz się miała ze sprężynowcem chłopaka ze Szmulek. Komisarz zadzwonił do aspiranta Pacewicza z Pragi i poinformował go o tym. Tak jak przypuszczali, ofiara napadu odmówiła złożenia zeznań. Chłopaki z sąsiedztwa załatwiają sprawy między sobą.

O ósmej ludzi nie było zbyt dużo i mógł mieć tor wyłącznie dla siebie. Przepłynął dwadzieścia długości. Po dość długiej przerwie to całkiem niezłe. Wracał do domu przyjemnie zmęczony. Zastanawiał się nad tym, co go właściwie skłoniło do umówienia się z tramwajarzem i jego córką. Może chciał spojrzeć na miasto oczami innego człowieka? Nie tylko dowiedzieć

się czegoś interesującego, ale znaleźć jakiś punkt zaczepienia, cień sugestii, która powróci któregoś dnia i pozwoli posunąć śledztwo do przodu. Może Jan Żurek przypominał nieco jego ojca i przez to budził zaufanie? A może Nowak po prostu chciał zobaczyć Katarzynę Żurek? Żurek... Nawet nie wiedział, czy wciąż (albo znów?) nosiła to nazwisko.

Zadzwoiła do niego około trzeciej po południu. Przyjechała pod dom.

- Więc tu pan mieszka, komisarzu - przywitała go uśmiechem i uściskiem ręki. Przyjrzał się jej raz jeszcze. Wyglądała bardzo atrakcyjnie w niebieskich džinsach i białej bluzce.

- Tu mieszkam. Blokowisko, ale fajna okolica.

- Ja też mieszkam na blokowisku - odpowiedziała. - No- wym, i to pewnie jego główna zaleta.

Jan Żurek był w wyjątkowo dobrym nastroju, którym chciał chyba zarazić cały świat.

- Zaczniemy od miejsca, którego pan pewnie nie zna. - Motorniczy zatarł ręce. - Słyszał pan o skansenie tramwajowym w Warszawie?

- Skansenie? W jakiejś zajezdni?

- Nie. Zobacz pan. - Mina Żurka świadczyła o tym, że lubi robić takie drobne niespodzianki. Zapowiadało się ciekawe popołudnie. Ruszyli.

Nowak zapytał, czy tramwaje w Warszawie są zasługą prezydenta Starynkiewicza. Żurek łatwo wszedł w rolę przewodnika.

- Starynkiewicza? Nie... Starynkiewicz był prezydentem od 1875 roku. Pierwsza linia konna powstała wcześniej... Ale rzeczywiście, to ciekawa postać, rosyjski generał, a człowiek z misją, tytan pracy, jak to mówią. To właściwie dzięki niemu Warszawa stała się nowoczesnym miastem. System kanalizacyjno-wodociągowy, filtry, hale targowe, pierwsze telefony... Za jego kadencji, wie pan, zmodernizowano oświetlenie ulic, wiele z nich poszerzono, no i w końcu wybrukowano. Europa, panie!

- A tramwaje? - dopytywał się Nowak.

- No, faktycznie, wtedy unowocześniono linie konne. Ale elektryczne jeżdżą dopiero od 1908 roku. Od dwudziestego szóstego marca, dokładnie rzecz biorąc. Trójka jechała od placu Krasińskich Miodową, Krakowskim Przedmieściem, Królewską i Marszałkowską do placu Unii Lubelskiej. Podobno straszne tłumy się wtedy zebrały na trasie. Więcej ludzi niż w czasie przejazdu szacha perskiego!

Katarzyna pewnie prowadziła corollę, nie przekraczając zbyt dopuszczalnej prędkości, podczas gdy jej ojciec kontynuował swój wykład. Po raz drugi tego dnia Nowak znalazł się na Bródnie. Zjechali z wiaduktu Trasy Toruńskiej. Po prawej stronie Wysockiego zauważył na trawniku słupki ze starymi tabliczkami z nazwami ulic - Liwska, Krakusa... Skręt w prawo był dopiero przy wjeździe do stacji obsługi. Teraz zobaczył, że ulica, na której się znaleźli, to stary fragment Wysockiego, a wąskie uliczki faktycznie do niej docierają. Zatrzymali się przy starym piętrowym domu, który wydał się jak z innej epoki. W ceglany budynku brakowało balkonów, choć zostały po nich ślady. Okna piwnic były zabite deskami, a wzdłuż rynny pięło się jakieś zielsko. Dumne szyldy wskazywały na zakład fryzjerski i sklep zoologiczny. Gdyby nie bloki i ruch samochodowy tuż obok, można by pomyśleć, że cofnęli się o czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

Wysiedli i przeszli kawałek w stronę myjni samochodowej, jak pamiętał, dość popularnej w tej okolicy. Asphalt skończył się nagle i w stronę trasy biegł kawałek jezdni wybrukowanej kocimi łbami. Na odcinku kilkudziesięciu metrów leżały w niej tory tramwajowe.

- Nie znał pan tego miejsca, prawda? - zapytał Żurek. - To właśnie skansen tramwajowy. Nie jest to żadne wspaniałe muzeum, ot, kawałek starej Warszawy.

- Tata zresztą wydatnie przyczynił się do jego powstania - powiedziała Katarzyna.

- Nigdy tu nie dotarłem - przyznał Nowak. - Byłem tyle razy na Bródnie, ale o tym miejscu nie słyszałem. Czy tu jeździły kiedyś tramwaje?

- Tak, jeszcze całkiem niedawno, w 1971 roku. Linia do chodziła do dawnej pętli na Żeraniu, na Marywilskiej. Tory są dość nowe, ale słupy pochodzą jeszcze sprzed wojny.

Nowak przyglądał się starym słupom trakcyjnym z odgromnikami w dziwnym kształcie. Na odtworzonym przystanku była tabliczka z informacją o utworzeniu skansenu.

- Kiedyś wisiała tu jeszcze kopia starego rozkładu jazdy linii 21. No tak... Oczywiście ktoś zdążył go zerwać.

Zatrzymali się jeszcze pod drzewem, by obejrzeć nieduży krzyż na postumencie. Jak głosił napis, pomnik postawiono w 1925 roku dla upamiętnienia „Cudu nad Wisłą”.

Po praskiej stronie Wisły obejrzeni następnie Stalową, Czyszową i Małą. Nowak pamiętał, że to właśnie tu Polański kręcił *Pianistę*, a ze Stalowej ruszyła kiedyś czwórka, którą bardzo często jeździł do Śródmieścia. Tramwaj skręcał na placu Bankowym. Potem, kiedy skręt zlikwidowano, nowa czwórka, jadąca z Marymontu, już nie była dla Nowaka prawdziwą czwórką.

Na Żąbkowskiej z kolei Żurek pokazał kawałek starego bruku i odcinek szyn między Targową a Brzeską.

- Pan popatrz, tu odtworzyli przedwojenny bruk i zostawili kawałek szyn. I to dopiero po protestach takich wariatów jak ja. Ale rozstaw szyn jest współczesny, a nie przedwojenny!

- Rozstaw torów? A jaki jest teraz? Inny niż na kolei?

- Nie, taki sam. 1435 milimetrów. I nie rozstaw torów, ale rozstaw szyn, czyli szerokość toru. Poprzedni, czyli rosyjski, to 1524 milimetry. Taki jak na kolei w Rosji.

- Ciekawe. Czy jeszcze gdzieś w Warszawie można znaleźć szyny o starym rozstawie?

- Tak, jest kawałek za Arsenalem, taka krótka uliczka, Bohaterów Getta. Kawałek dawnych Nalewek. O, to przecież tuż obok pana zakładu pracy, że tak powiem.

- A! Rzeczywiście... - przypomniał sobie Nowak. - Spacerowałem tam kiedyś.

Chciał dodać „z żoną”. Ale nie dodał.

- No i oczywiście jest cała ulica Chłodna. Teraz tam pojedziemy.

Zostawili samochód w pobliżu koreańskiego biurowca przy Towarowej i poszli w stronę Żelaznej.

- Lubię ten odcinek Chłodnej - powiedział Żurek. - Jeżeli nie będzie pan patrzył na szyldy, na samochody, przez chwilę zobaczy pan kawałek przedwojennej Warszawy. Te parterowe i piętrowe domy, jakieś warsztaty, podwórka.

Po raz kolejny Nowak poczuł, że jest gdzieś na krańcu miasta, mimo że znajdował się w sercu Warszawy. Tak jakby ta peryferyjność przenikała miejsca i budynki, a także ludzi, którzy w nich mieszkają, jakby w ogóle nie była związana z odległością od centrum. W Warszawie peryferie definiuje się w czasie, nie w przestrzeni. Nowak zerknął na Katarzynę. Ciekawe, czy myślała podobnie. W każdym razie nie wydawała się specjalnie zdruzona tym, co słyszy i widzi pewnie nie po raz pierwszy. Wyglądała raczej na harcerkę, która się cieszy z udziału w podchodach. Skąd w niej tyle radości?

Przeszli przez Żelazną, Żurek wspomniął, że w czasie okupacji była tu kładka nad Chłodną, łącząca małe i duże getto. Doszli do trójkątnego placu przed kościołem św. Karola Boromeusza. Z czasów świetności tej ulicy pozostała kamienica z numerem 20. Żółte tablice na parterze ostrzegały o zagrożeniu budowlanym. Anioły z utraconymi głowami, z kosą - symbol śmierci, upływu czasu? - pilnowały ceramicznej tarczy zegara bez wskazówek.

- To co, droga młodzieży, idźcie gdzieś teraz na ciacho albo na kolację - powiedział Żurek. - Ja się przejdę do Józka na Orlą. Strzelimy sobie po lampce koniaczku.

- Ale po jednej, tato. Pamiętasz, co mówił ci lekarz?

- Nie niepokój się, moja droga. Jestem stary, ale rozsądny. Poza tym nie wierzę lekarzom. Co innego mówią, co innego robią. Znasz jakiegoś lekarza abstynenta? Nawet profesor Religa kopci jak komin. No, do zobaczenia, Kasiu, do widzenia, panie komisarzu. - Ucałował córkę w oba policzki i uściśnął rękę komisarzowi. - No, idźcie gdzieś teraz, nie stójcie jak dziady pod kościołem...

- Damy sobie radę, tato.

Nowak patrzył za odchodzącym tramwajarzem.

- Pani ojciec to bardzo interesujący człowiek. Ma mnóstwo do opowiadania o Warszawie. Wszędzie był, wszystko pamięta... Mógłby być przewodnikiem wycieczek, pewnie znalazłoby się paru turystów, którzy chcieliby to wszystko zobaczyć.

- Ma pan rację. Ojciec parę razy już to robił, dla PTTK-u.

Nowak wreszcie spojrzął na Katarzynę. Atrakcyjna kobieta, asystent przewodnika.

- A dlaczego właściwie pani wybrała się na to spotkanie? Naprawdę nie ma pani innych pomysłów na niedzielę niż podróżowanie z ojcem i komisarzem policji po miejscach, które pani nie interesują?

Wzruszyła ramionami.

- Może mam, ale to ja decyduję o tym, co robić ze swoim wolnym czasem.

Wyczuł lekkie napięcie w jej głosie. Jakby była zła, że musi się usprawiedliwiać z czegoś, czego sama do końca nie rozumie. Zła na siebie.

- Nie chciałem pani urazić. - Nowak pospieszył z wyjaśnieniem.

- Nie uraził mnie pan... Nie tak łatwo mnie urazić. - Uśmiechnęła się na chwilę; może wiedziała, że nie mówi prawdy. - Mój ojciec mieszka sam. Ja też. Skoro mogę mu poświęcić trochę czasu, robię to. Zasługuje na to.

Nowak czasami myślał tak samo o swoim ojcu. Na starość każdy zasługuje przynajmniej na spokój, nawet jeżeli nie dbał o to przez lata.

- Poza tym lubię słuchać ojca - dodała. - Naprawdę ma ciekawe rzeczy do opowiadania. Może dlatego lubię też Warszawę. Tu się urodziłam i wychowałam, to moja codzienność. Ale dzięki ojcu widzę więcej.

- Ma pani pewnie „swoje” miejsca. Szkoły, podwórka, cukiernię, do której pani chodziła po maturze na kremówki. Że się tak wyrażę.



- Kremówki. - Roześmiała się. - Tak... Ale każdy ma chyba takie miejsca. Niezależnie od tego, gdzie się urodził. Pan nie pochodzi z Warszawy, prawda?

- Nie. Z Radzyna.

- No, to niedaleko. Studiował pan tutaj?

- Tak. Moja warszawska pamięć sięga jakieś dwadzieścia lat wstecz.

- Skoro wspominał pan o kremówkach - powiedziała - to przecież jesteśmy w Warszawie, nie w Wadowicach, prawda? Powinniśmy pójść na wuzetkę. Tylko gdzie tu w okolicy można dostać dobre ciastka? - Rozejrzała się dookoła. - Już wiem, chodźmy do Włocha. Może nie mają wuzetek, ale są tam świetne torty i jeszcze lepsze lody.

Barek znajdował się na parterze wysokiego bloku mieszkalnego, niedaleko betonowego klocka kościoła baptystów. Wystrój wnętrza nie był specjalnie miły, ale z nawiązką rekompensowały to ogromne porcje lodów pistacjowych, które zamówili. Katarzyna poprosiła też o kawę frappe. Nowak dobrze wiedział, że nie ufa zbyt kobietom, które piją coś, co ma francuską nazwę, a czego on nie zna. Zamówił espresso.

- Jak pan zauważył, ojciec bardzo starał się zapewnić nam miłe popołudnie - powiedziała. - Od pewnego czasu traktuje to jako swój obowiązek. Uważa, że trzeba znaleźć rozrywkę dla samotnej córki. - Spojrzała na niego. - A pan co, komisarzu? Pewnie jest pan rozwiedziony, pije, pali, przeklina i na dodatek jest zgorzkniały?

- Trafiła pani mniej więcej w pięćdziesięciu procentach.

- To znaczy?

- No, nie palę, wódki nie piję. Co do reszty, to się zgadza. Zwłaszcza co do rozwodu.

Spojrzała gdzieś w bok, ale nie odpowiedziała od razu. Pewnie zastanawiała się, czy nie za wcześnie na rozmowy o rozwodach.

- Niech się pani nie przejmuję. - Uśmiechnął się. - Mnie koledzy też usiłowali wyswatać. Parę razy zapraszali na kolacje z zaprzyjaźnionymi samotnymi kobietami po trzydziestce. Ja-koś byłem na to odporny. Te kobiety również.

Popatrzył na nią. Ona też nie uciekła wzrokiem w bok. Kulturalna konwersacja wymaga patrzenia na rozmówcę, prawda?

- Co w ogóle robią policjanci w wolnym czasie? - odezwała się w końcu. - Łowią ryby? Jeżdżą konno? Uprawiają sztuki walki? Sporty ekstremalne?

- O tak, sporty ekstremalne. Lubię ryzyko. Idąc chodnikiem, zawsze stoję na studzienkach kanalizacyjnych.

Uśmiechnęła się.

- Ciekawe. Jeżeli się patrzy na jakiś polski serial, można odnieść wrażenie, że życie policjanta jest pełne przygód i adrenaliny.

- Seriale... - mruknął Nowak. - Ludzie naoglądają się takich filmów i myślą, że tak wygląda życie w Warszawie. Designerskie meble i szybkie samochody. Płomienne romanse. I pół życia spędzone w centrum handlowym. Może niektórzy tak mają, ale średnia jest nieco inna, prawda? Zresztą w telewizji regularnie oglądam właściwie tylko futbol. No, jeszcze prasuję koszulę przy takiej telenoweli o plebanii... A przy okazji przyznam się pani do łamania prawa. Nie płacę abonamentu.

- Ja też. Ale nasi rodzice płacą, prawda?

- Nasi ojcowie - uściślił. - Rzeczywiście. W ich pokoleniu to jeszcze zostało. Siła przyzwyczajenia.

Spojrzała na niego.

- Kryminałów pan pewnie też nie czyta? Dosyć ma pan tego na co dzień?

- Cóż, nie czytam polskich kryminałów. W ogóle nie czytam raczej polskiej literatury. To książki o ludziach z klasy średniej dla ludzi z klasy średniej. Nie mój świat.

- Jak to? Oficer policji kryminalnej to nie klasa średnia? Pan wybacz, ale to kokieteria.

Może i kokieteria. Może nie potrafił się utożsamić z żadną grupą, poza kibicami, a i to nie całkiem. W końcu parę lat udanego związku z kobietą z klasy średniej spowodowało, że docenił dobre strony takiego życia. Związku...? Tak się przynajmniej wydawało przez jakiś czas. A teraz siedział w kawiarni z kobietą

z klasy średniej. Powtórzmy to, panie komisarzu: z atrakcyjną kobietą.

- I co jeszcze, na dodatek zapewne uważa pan, że świat wypełnia brud i zło? - dodała. - Właśnie jak policjant z powieści kryminalnej?

- Nie tylko brud i zło... Ale tak, rzeczywiście, między innymi to uświadamia mi moja praca. Stykam się z tym częściej niż inni. Dlatego ciężko mi być optymistą. - Upił łyk kawy. - Ale w ogóle kryminały czytuję. Czasami Agathę Christie w oryginale, czasami coś współczesnego. Najlepiej jeżeli nie są to tylko historie o policjantach, zagadki kryminalne, ale też opowieści o innych ludziach i innych miastach. O Wenecji czy Edynburgu.

- Miastach... Nie lubi się pan ruszać z Warszawy, prawda? Żeby gdzieś odpocząć?

- Nie lubię? Lubię. Ale po prostu nie mam za dużo okazji. Jestem skazany na to miasto. Pałac Kultury ściąga mnie z powrotem. Pewnie jest tam jakaś magiczna moc. Śniło mi się, że święty Graal.

- Przynajmniej ma pan poczucie humoru.

- Dziękuję. Czasami myślę, że to nie poczucie humoru, tylko reakcja na rzeczywistość.

- Obronna? Boi się pan czegoś?

- Nie. Nie boję się. Nie boję się tego, że umrę na raka albo że zostanę zastrzelony przez bandytę, którego będę chciał aresztować. Po prostu nie lubię tej rzeczywistości. Jest brudna, ponura i szara. Jak to miasto w listopadzie, w grudniu.

„A właściwie o każdej porze roku”, dodał w myślach.

- Nie lubi pan Warszawy, panie komisarzu?

Zastanowił się.

- Wie pani? Trudno powiedzieć, żebym lubił. Im bardziej ją znam, tym mniej lubię. Zawsze mówię, że język niemiecki można lubić tylko wtedy, gdy się go zna. Niemiecki znam i nie budzi we mnie takich emocji jak w większości Polaków. A z Warszawą mi się to nie do końca udaje. Przyglądam się jej wciąż,

widzę, że się zmienia, ale jeszcze jej nie pokochałem.

- Co to właściwie znaczy: kochać miasto? Na czym to ma polegać? - Wzruszyła ramionami. - Pewnie każdy przyzna, że mój tata kocha Warszawę, ale dlaczego? Przecież chyba nie zaczyna dnia od modlitwy za ofiary powstania, nie śpiewa przy goleniu piosenek Grzesiuka, nie jada w czwartki flaków z pulpetami, a w piątki minogów. Nie o to chodzi. Po prostu mieszka tu, żyje. I umie patrzeć inaczej niż inni.

- Ale miasto to system. Zbiór składników, które tworzą razem coś więcej. Jak można kochać system?

- E tam, teraz pan chce zrobić na mnie wrażenie. - Roześmiała się. - Nie mówi pan prawdy. Przecież to widać. Choćby w tym, że pana faktycznie interesuje to, co mówi mój ojciec. Wie pan dużo na temat Warszawy, wie pan, co się tu zmieniło ostatnio. I to, co pan mówi o innych miastach, o tym, że nie lubi się pan stąd ruszać...

„Może ma rację”, pomyślał. „Pewnie ma. Oczywiście, że ma”. Ale nie powiedział tego głośno.

- I chyba nie chciałby pan być komisarzem policji w którymś z tych obcych miast, na przykład na Sycylii czy w innej Kalabrii - dodała. - Inne niebezpieczeństwa, inne układy, mafia...

- Czy ja wiem? - Zastanowił się. - Za to więcej słońca, jeźdźcie świetne, kobiety równie piękne. I futbol dużo lepszy.

Nowak wrócił do domu i zrobił kanapki na kolację. Otworzył swój ulubiony sok pomidorowy z dodatkiem chili i pieprzu. Trzeba cenić drobne przyjemności. Włączył starą płytę Voo Voo, zawsze go to nastrojało pozytywnie. Chciałby mieć tak optymistyczne podejście do życia jak Wojtek Waglewski, kiedy już osiągnie jego wiek. Jeżeli osiągnie.

Zamyślił się nad tym, co powiedział dziś w rozmowie z córką starego tramwajarza.

Pamiętał, że przemieszczanie się po mieście sprawiało mu kiedyś przyjemność. Patrzenie na ludzi, na budynki, przesiadanie

się z tramwaju do autobusu, z autobusu do kolejnego autobusu, żeby niekoniecznie najkrótszą drogą dotrzeć do domu. Dziś robił to coraz rzadziej. Nie tylko jak większość mieszkańców gnał z miejsca na miejsce, z domu do pracy, z pracy do domu, czasami jeszcze na zakupy. Na dodatek wiedział, co dzieje się pod spodem. Dostrzegał rzeczy, o których zwykli mieszkańcy tego miasta wiedzieli, ale na ogół się nimi nie przejmowali. Chyba że akurat sami padli ofiarą kradzieży, rozboju, gwałtu. Chyba że ich dzieci umierały z przedawkowania. Chyba że w telewizji znów mówiono o jakimś chłopaku pobitym przez pijanych bandytów na śmierć pod dyskoteką. Chyba że policja znowu odgradzała dojazd do jakiejś willi w Magdalence, żeby zabrać ciało leżące na przednim siedzeniu bmw. Zresztą, bmw, nie przesadzajmy... Zło miasta miało raczej głębię alkoholika tłukącego żonę wazonem w głowę w ciasnym mieszkaniu w bloku, a nie gangstera w niemieckim samochodzie. Narkomana umierającego na klatce schodowej, chłopaka pobitego przed jej drzwiami za to, że się pojawił w niewłaściwym miejscu. I samotnego staruszka umierającego w swoim mieszkaniu, w tym samym budynku. To było właśnie zło: fakt, że czyjeś życie nagle stawało się nieważne, nikomu niepotrzebne.

Przy okazji tego śledztwa Nowak spotykał ludzi, którzy uświadamiali mu na nowo, że miasto ma swoją historię, której nie zniszczyły ani lata okupacji, ani komunizm, ani chaos dzisiejszego dnia. I nie tylko chodziło o historię walk powstańczych czy dzieje budowli stawianych przez kolejnych królów od czasu, kiedy przeniesiono tu stolicę Rzeczypospolitej. Raczej o historię tworzoną przez zwykłych ludzi z różnych warstw społecznych: inżynierów budujących wodociągi i linie tramwajowe, tramwajarzy, ślusarzy, galwanizerów i szewców. Tak, dzieje budowli też, ale takich jak kamienice, w których na dole mieściły się sklepy warszawskich kupców, prosperujących przez dziesięciolecia i przekazujących interes potomkom, a także tych kończących zwykłym bankructwem. Czasami Nowak czuł coś, co można nazwać duchem miasta, na przykład wtedy, kiedy w dzień Wszystkich Świętych wybierał się na

Powązki. Widział utrwalone w napisach na nagrobkach życie codzienne sprzed wielu dziesięcioleci. A jeszcze kilkanaście lat temu, w tych szarych, komunistycznych czasach, czuł więcej sympatii do Warszawy. Wiadomo, był młodszy. Ale... jak by to ująć? Czuł też jakąś ciągłość, która powoli ujawniła się po kompletnym zniszczeniu miasta - po wojnie. Ciągłość brudną miejscami i nieco zapyziałą, ale jednak ciągłość, historię tworzoną z dnia na dzień. Zmiana ustrojowa spowodowała, że owa ciągłość ponownie została zerwana.

Pamięć o starej Warszawie umiera razem z warszawiakami. Podobno Świadkowie Jehowy wierzą, że koniec świata nastąpi przed śmiercią ostatniej osoby urodzonej przed rokiem 1914. Czy Warszawa zniknie, kiedy umrze ostatni człowiek pamiętający, jak wyglądało miasto pod koniec sierpnia 1939 roku? A może ostatnia osoba pamiętająca powstanie? A może miasto nie zniknie, tylko zmieni się w coś innego, w jakiś dziwny twór, pewnie i nowoczesny, ale odcięty od swoich korzeni?

W zasadzie nigdy jeszcze w ten sposób nie myślał, i dlatego nie opowiedział o tym Katarzynie Żurek. Może i lepiej, nie chciał wyjść na człowieka ogarniętego nostalgią za PRL-em. PRL i tak zbyt głęboko tkwił w jego instytucji. Wiedział, że zerwanie ciągłości, nieco chaosu, jest miastu potrzebne, żeby mogło się rozwinąć i nadrobić szare pięćdziesiąt lat. Słyszał, że wielkie miasta odradzały się po trzęsieniach ziemi. Ale czasami wydawało mu się, że trzęsienie ziemi w Warszawie ciągle trwa i nie może się skończyć.

# Dziesiątka

## 1

W poniedziałek po odprawie Nowak rozmawiał z Anną Perkowską.

- Co wiesz o tramwajach? Z czym ci się kojarzą?

- Tramwaje mają swoje miejsce w literaturze i sztuce. - Anna uśmiechnęła się. - Pod tramwaj wpadł Antonio Gaudi, pozostawiając niedokończony kościół Sagrada Familia. Widziałeś film Frida?

Nowak przytaknął.

- No, to pamiętasz, że Frida Kahlo miała w młodości straszny wypadek tramwajowy. Co jeszcze... Tramwaj obciął głowę Berliozowi w *Mistrzu i Małgorzacie*. Mamy Tramwaj zwany pożądaniem... W San Francisco jeździ słynny tramwaj, pojawił się w wielu filmach...

- Fajnie, ale nie o takie skojarzenia mi chodzi. Co z psychologią? Może to głupie pytanie, ale czy jest jakieś zaburzenie związane z tramwajami, kolejną, środkami transportu?

- Cóż, właściwie to jest. Słyszałeś kiedyś o syndromie Aspergera?

- Jasne że nie.

- Ale o autyzmie słyszałeś? Wszyscy widzieli Rain Mana. Są ludzie, którzy budują swój własny świat, niedostępny dla innych. Którzy we wczesnym, czasem bardzo wczesnym

dzieciństwie powoli znikają z naszego świata, zamykają się, komunikacja z nimi staje się często prawie niemożliwa. Nowak słuchał uważnie.

- Są też dzieci, które nie do końca czują się dobrze w otaczającej rzeczywistości. Nie potrafią nawiązywać kontaktu z ludźmi, a jeżeli już, to z tymi, do których się przyzwyczyły. Szukają miejsca, w którym sobie dobrze poradzą, i dlatego wcześniej wybierają sobie jakiś szczególny obszar zainteresowań, na przykład transport szynowy, lotnictwo, dinozaury, militaria... Coś, co jest wystarczająco różnorodne, a jednocześnie łatwo klasyfikowalne. Obszar, w którym można bezpiecznie się poruszać.

- I to jest właśnie syndrom Aspergera?

- No, nie tylko to. Przede wszystkim niskie umiejętności społeczne, mała elastyczność myślenia, chorobliwy lęk przed zmianami w środowisku.

- Lęk przed zmianami? To konserwatyści mają Aspergera?

- Nowak skrzywił się, kiedy pomyślał o Oleszkiewiczu. - Powiedz mi, czym ten syndrom się różni od autyzmu?

- Problem w tym, że nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. Być może tylko natężeniem cech. Tym, że ściana nie jest wysoka. Asperger był jedną z dwu osób, które niezależnie opisały i nazwały autyzm. Ale nie odkryto do tej pory biologicznych przyczyn powstawania tak zwanych całościowych zaburzeń rozwoju. Granica jest nieostra i dziecko może przez jednego specjalistę zostać zdiagnozowane jako autystyczne, podczas gdy inny powie o zespole Aspergera.

- Mówisz o dzieciach, ale te dzieci dorastają, prawda? Co się dzieje z takimi ludźmi później?

- Dorośli z syndromem Aspergera mogą być uważani za dziwaków, ekscentryków, ale często są osobami niezwykle inteligentnymi. Nie są upośledzeni, nie mają zaburzeń mowy, z reguły są samodzielni.

- Czyli mogą normalnie funkcjonować?

- Tak. Wprawdzie mają problemy z nawiązywaniem kontaktów, ze związkami, z założeniem rodziny, ale jeżeli tylko bez



żadnych urazów uda im się przejść przez dzieciństwo i okres dojrzewania, mogą nawet odnieść sukces zawodowy. Zwłaszcza w dziedzinach, które nie wymagają zbyt wielu kontaktów z ludźmi, a jednocześnie wiążą się z pewną wąską specjalizacją.

- Taką jak na przykład komputery? - spytał Nowak.

- Zgadza się. Wiesz, że w Krzemowej Dolinie w Kalifornii zanotowano ostatnio znaczny wzrost liczby diagnoz syndromu Aspergera oraz autyzmu wśród dzieci? Wszystko wskazuje na to, że autyzm wynika z przyczyn genetycznych. Kiedyś lansowano teorię, że bierze się z zaniedbań rodziców, z ich niechęci do samego faktu istnienia dziecka, ale nie znalazła ona potwierdzenia.

- A może jest odwrotnie? - spytał Nowak. - Może wybitna inteligencja wiąże się zawsze z jakimiś zaburzeniami?

- Być może. Einsteina i Newtona, w ogóle wielu wybitnych naukowców, artystów, podejrzewa się o zaburzenia autystyczne. Być może odrobina tego jest niezbędna, żeby coś osiągnąć w sztuce czy nauce, wymyślić nową teorię opisującą rzeczywistość. Żeby być wizjonerem, geniuszem. - Anna Perkowska spojrzała na komisarza. - Może pierwsze narzędzia skonstruował ten jaskiniowiec, który zawsze się trzymał z boku i układał kamienie według kształtu i wielkości.

- Einstein - powiedział Nowak. - Biedny gość. Symbol. Zawsze kiedy mówią o jakichś zaburzeniach psychicznych, pojawia się właśnie on. Einstein był dyslektykiem, Einstein miał ADHD. Dobrze, że nie zespół Downa. Facet nie może się bronić z zaświatów przed wrzucaniem go do kolejnych szufladek.

- Może i tak. - Anna się uśmiechnęła. - Ale zgodzisz się, że był w pewien sposób „nienormalny”, odstawał od przeciętności. Poza tym musisz pamiętać, że nie ma dobrej definicji normalności. Syndrom Aspergera nie jest chorobą psychiczną, ale pewną nazwą dla zespołu zachowań. Niektóre z nich mogą wystąpić u przeciętnego człowieka. Widziałeś Dzień świra? Podobno osiemdziesiąt procent populacji ma jakieś mniejsze lub

większe natręstwa tego typu. Tak samo i w tym wypadku: wielu dorosłych ludzi realizuje się poprzez zbieranie znaczków, prowadzenie statystyk drużyn piłkarskich, kolekcjonowanie wszystkich płyt danego wykonawcy...

- Czy ty mnie nie obrażasz? - mruknął Nowak.

- Słucham?

- Nic, nic. Kontynuuj.

- Nikt przecież nie twierdzi, że każde hobby to przejaw zaburzeń pracy mózgu. Chyba dobrze, że tacy ludzie są, świat jest przez to ciekawszy.

Nowak zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Powiedz, czy z taką osobowością może wiązać się agresja wobec innych ludzi? Wobec świata, który człowieka nie rozumie?

- Niekoniecznie. Przyczyn agresji na ogół należy szukać gdzie indziej. W jakimś bolesnym wydarzeniu z dzieciństwa. Wiążącym się ze stratą, bólem, poniżeniem. Z silną traumą. Taki człowiek może skierować swoją agresję przeciwko czemuś lub komuś, co wiąże się z okolicznościami tego wydarzenia.

- Traumą, czyli...

- Na przykład z utratą kogoś bliskiego. Najczęściej chodzi o kogoś z rodziców.

- Zatem wyobraźmy sobie, że morderca stracił kogoś bliskiego w wypadku komunikacyjnym - rzucił Nowak po chwili.

- Że jego matka, siostra, może syn zginęli pod kołami tramwaju. To możliwe, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Może coś takiego miało miejsce. I teraz ktoś, kto został przez taki wypadek boleśnie dotknięty, mści się na całym świecie, który go otacza.

- Czyli musimy zrobić także listę ofiar wypadków tramwajowych z ostatnich lat. Powiedzmy pięciu. Ofiar zabitych i ciężko okaleczonych. I przyjrzeć się ich rodzinom.

- Masz rację... - Anna zamyśliła się. - Ale jest jedna sprawa, która mi tu trochę nie pasuje. Jeżeli odczuwa ból po stracie kogoś bliskiego, powinien mieć odrobinę współczucia dla innych ludzi,

zwykłych współpasażerów, którzy są w pewnym sensie równie słabi, równie bezbronni, co osoba z jego życia. Bo zabijając je, zabija po raz kolejny tę właśnie osobę.

Nowak starał się zbywać ogólnikami redaktora Krajewskiego z „Gazety”, który dzwonił do niego bezpośrednio na biurko. Z kolei dziennikarz przekazywał informacje, które zgłaszali czytelnicy warszawskiego dodatku. Przydatność tych informacji była niestety mała, ale i tak należało sprawdzić zgłoszenia, a przynajmniej zestawzić z listami nazwisk, które mieli już skompletowane. Tym razem jednak Krajewski zadzwonił z informacją o telefonie od faceta, który przyznał się do zamordowania trzech osób. „To ja jestem Tramwajarzem”, powiedział tamten. Centralka redakcji zarejestrowała godzinę rozmowy i numer, z którego dzwonił. Nowak nie musiał jednak kontaktować się z biurem informacji niejawnych w Telekomunikacji Polskiej; facet się po prostu przedstawił: „Kazimierz Balenda”. Dlaczego zadzwonił do redakcji, nie na policję? Pewnie zależało mu na sławie. Redaktor dyżurny twierdził, że już słyszał kiedyś ten głos. Zdaje się, że Balenda dzwonił parę tygodni wcześniej, wymyślając dziennikarzom od Żydów i sprzedawczyków.

Pojechali na Targówek. Dziesięciopiętrowy blok na Gajkowicza nie różnił się niczym od innych bloków ze swojej epoki.

- Słucham?! - Głos w domofonie nie był zbyt przyjazny.
- Policja - powiedział Nowak. - Chcielibyśmy z panem porozmawiać. Dzwonił pan do gazety.
- Jest redaktor z wami?
- Nie ma.
- To idźcie do diabła - krzyknął Balenda. Ale nie rzucił słuchawki. - Zadzwonię do telewizji.

- Panie Balenda, zdaje pan sobie sprawę z wagi oświadczenia, które pan złożył? Musimy z panem porozmawiać. Gwarantuję, że sprawa trafi do gazet. I do telewizji również. Rozmawiałem już z reporterem, jeżeli sprawa nabierze biegu, pojawi się pan jutro w... „Obliczach dnia”. - Nowak wymyślił naprędce tytuł programu. Zresztą może taki program istniał.

- Ilu was jest?

- Chwileczkę - rzucił Nowak, bo z klatki właśnie wychodziła starsza pani z wózkiem na zakupy. Odsunął się, żeby ją przepuścić, a sierżant przytrzymał drzwi. - Ilu? Dwóch.

- Tylko dwóch? Nie ma z wami jednostki antyterrorystycznej?

- Nie ma. Są zajęci w innych częściach miasta. Wie pan, priorytety. Szczyt Rady Europy, te sprawy.

Sierżant już trzymał uchylone drzwi, ale czekali, aż Balenda naciśnie dzwonek i odłoży domofon.

- Panowie do tego wariata z drugiego piętra? - zapytała kobieta, która ciekawie im się przypatrywała. - Policjanci, prawda?

- Wariata, mówi pani?

- Wariata, no przecież. Nie sposób przejść obok niego na klatce, żeby nie zaczął swojego kazania. Panowie, on o wszystkim mówi. O tym, jak go skrzywdzili, jak wyrzucili z pracy, jak wsadzili na leczenie do Drewnicy.

- Czy zachowywał się kiedykolwiek agresywnie wobec pani lub sąsiadów? - zapytał Nowak.

- Nie, żeby agresywny był, szarpał czy co, to nie... Ale to wariat, słuchać się go nie da. Żonę miał, to się z nim rozwiodła, bo wytrzymać nie mogła.

- Dziękujemy pani - mruknął Nowak. - Idziemy.

- Warto, panie komisarzu? - zapytał smętnie sierżant Kwiatkowski.

- Nie warto. Ale idziemy.

Rzekomy zabójca czekał na nich w drzwiach.

- Naprawdę nikogo z wami nie ma? - Spojrzał na klatkę schodową. - Proszę wejść. Słyszałem przez domofon, że jej mość Szawłowska mnie obgadywała. Ha! Głupi babsztyl.

Rozejrzeli się po mieszkaniu. Szare płytki PCV na podłodze, białe, przeszklone drzwi do pokoiów. Standard z głębokich lat siedemdziesiątych. W dużym pokoju, do którego ich zaprosił Balenda, znajdował się stół przykryty poprzecieranym obrusem, trzy krzesła i regał na wysoki połysk, a na starym stoliku telewizor marki Elemis. Pod odbiornikiem leżały sterty darmowych gazet i ulotek z supermarketów. Kilka egzemplarzy tygodnika „Nie” i podobnej prasy. Oraz pilot w foliowej torebce. Sam Balenda robił lepsze wrażenie niż jego mieszkanie. Dżinsy, szara koszula i narzucona na nią ciemna kamizelka sprawiały, że wyglądał nawet w miarę elegancko jak na sześćdziesięcioletniego rencistę. Mógł uchodzić za zubożalego profesora uniwersytetu. Wrażenie psuły tylko poźółkłe od papierosów wąsy i zęby. Czuli zresztą, że są w mieszkaniu nałogowego palacza.

- Przyznaję się do winy - zaczął Balenda, kiedy już usiedli.  
- To ja jestem Tramwajarzem. Zrobiłem to, bo chciałem zwrócić uwagę na trudną sytuację ludzi pracy. Na głodujące dzieci i emerytów żyjących poniżej minimum socjalnego. Na upadek państwa, na złodziejstwo i bandytyzm!

- Momencik. - Nowak powstrzymał go ruchem dłoni. - Zanim porozmawiamy o pańskich motywach, bez wątpienia szlachetnych, może nam pan opowie o szczegółach technicznych, że się tak wyrażę. Jesteśmy tylko policjantami.

- Szczegółach technicznych? - zapytał Balenda zdezorientowany. - Jak to?

- Proszę nam opowiedzieć o poszczególnych morderstwach. Jak pan wybierał ofiary, jak pan dokonał zabójstw, jak pan uciekł z miejsca popełnienia zbrodni?

Balenda zapalał papierosa od papierosa i opowiadał, a Nowak udawał, że notuje. Facet nie powiedział niczego, co nie zostało napisane w gazetach. Coś tam próbował wymyślić, jeżeli chodzi o śledzenie ofiar i jeżdżenie za nimi tramwajem. Ale potem powiedział, że ofiary wybierał przypadkowo.

- Podrzucił pan coś na miejscu morderstw. Wiadomości. Dlaczego? - zapytał Nowak.

- Żebyście je przeczytali! Żeby każdy wiedział, co jest najważniejsze. Dla mnie, dla miasta, dla ludzi.

- Napisał je pan sam?

- Sam, oczywiście że sam! Możecie sprawdzić charakter pisma!

Jasne, sprawdzić. Facet chciał się znaleźć przez chwilę w centrum uwagi. Jeszcze niestety będzie dzwonił do gazet i do telewizji. Nowak zamknął notatnik.

- Panie Kazimierzu, czy był pan leczony psychiatrycznie? - zapytał.

- Ja? Psychiatrycznie?! Robicie ze mnie wariata! Kogoś, kto widzi więcej niż inni, zawsze tak nazywają! Zawsze! - denerwował się Balenda. - Pan jest niby policjantem, tak?! Wyśługujecie się każdemu! Komunistom! A teraz Kaczorowi i tym krypto-Żydom z Ratusza, którzy rządzą miastem! Dokąd pan wychodzi? Czekaj pan! To jeszcze nie wszystko! Schowałem czwartego trupa! Jest na parkingu! W bagażniku mojego wartyburga!

Jezu, co za robota. Gotowy scenariusz. W czasach 07zgiłoś się rolę Balendy zagrałby zapewne świętej pamięci Wiesław Drzewicz. Ten aktor znacznie podnosił poziom serialu.

- Nie postawimy mu zarzutu utrudniania śledztwa? Składania fałszywych zeznań? - zapytał sierżant Kwiatkowski, kiedy byli już na schodach.

- Dajże spokój, jak mawiają w Krakowie. Szkoda czasu na tego pierdziela. No żeż kurwa mać!!! - Walnął w poręcz, która zadrżała jak kamerton. - My tu sobie idziemy na kabaret, a morderca siedzi gdzieś z rozkładem jazdy i planuje kolejny atak.

Zakrzewski dostał raport z Castoramy. Zakupów nie było wcale tak dużo, raptem kilkadziesiąt w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zaczął wyciągać z niego numery kart płatniczych, które musieli podać w zapytaniu do centrum rozliczeniowego. Poza tym przyglądał się innym towarom zakupionym przez klientów, którzy nabyli mosiężne cyferki. Oczywiście raport nie

mówił, czy klient brał siódmkę, jedynkę lub dziewiątkę, wszystkie cyfry oznaczone były tym samym kodem. Kto wie, zapewne morderca kupił sobie tyle, żeby starczyło na wszystkie linie. A może po prostu odbiło mu w trakcie remontu mieszkania, bo skończyła mu się ulga podatkowa.

Nowak siedział wieczorem w domu, gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Za oknem wydzieriała się grupa nastolatków. Spojrzał na zegarek. Jeżeli nie umilkną w ciągu kwadransa, zadzwoni po Straż Miejską. Choć byli i tacy, którzy uważali, że to on powinien się tym zająć i pogonić gówniarzy. Najlepiej z bronią. Cóż...

Wyszedł na balkon i spojrzał z wysokości siódmego piętra na pętlę. Stały tam dwa składy. Mimo późnej pory w zasięgu wzroku znajdowało się trochę ludzi. Wysiadali z autobusu i z tramwaju, który właśnie podjechał na przystanek. Nowak widział pojedyncze osoby zmuszone do spaceru przez swoje czworonogi. Światła rowerów na ścieżce wzdłuż Broniewskiego. Samochody skręcające w Galla Anonima i w głąb osiedla Piaski. Spokojny szum miasta późnym wieczorem.

- „Stoję na balkonie, palę papierosa, Warszawa i ja...”  
- Nowak zaśpiewał pod nosem.

Nagle do szumu dołączył inny szmer, dobiegający z dużego pokoju. Komórka leżała na podłodze podłączona do ładowarki. Dzwonek był wyłączony, ale telefon lekko przesuwał się pod wpływem wibracji. Nowak spojrzał na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Jaka szkoda, że to wszystko się kiedyś skończy. Masz rację, Lesław.

- Panie komisarzu, przysyłam radiowóz. - Głos sierżanta Kwiatkowskiego nie zapowiadał nic przyjemnego. - Wygląda na to, że nasz Kasownik znowu kogoś skasował.

- Kogo i gdzie?

- Jakąś dziewczynę. Na przystanku koło Norblina.

Nowak poczuł ukłucie w sercu. Niespodziewanie przyszła mu do głowy niezbyt racjonalna myśl, że zamordowaną osobą jest Katarzyna Żurek, która wskutek fatalnego zbiegu okoliczności znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

## 2

Na przystanku dziesiątki na Prostej, koło starego budynku Mennicy, stały dwa radiowozy, a obok, na Żelaznej, furgonetka laboratorium kryminalistycznego. Sam przystanek był oświetlony reflektorami.

Na miejscu znajdowali się już prokurator Borowski oraz podinspektor Michalski. Prokurator przygotowywał protokół oględzin.

- To bez wątplenia nasz morderca - powiedział podinspektor. - Wygląda na to, że dziewczyna została uduszona. Tak samo jak ten facet pod hutą.

- Kiedy znaleziono ciało? - zapytał Nowak. - I kto to zgłosił?

- Około dwudziestej trzeciej. Emeryt, który wyszedł na spacer z psem. Mieszka na Miedzianej. Złożył już zeznanie. Stoi tam, przy radiowozie. - Nowak spojrział na starszego mężczyznę uspokajającego niedużego psa nieokreślonej rasy.

- Rozmawiałeś z nim?

- Oczywiście, komisarzu. - Michalski skrzywił się ponuro, z naciskiem wypowiadając słowo „komisarz”. - Gość nie wygląda na psychopatę. Chcesz z nim porozmawiać?

- Niekoniecznie. Jutro i tak wezwiemy go na przesłuchanie.

- Oczywiście. Pani psycholog musi też przy tym być.

Podinspektor miał rację. Było już parę przypadków zgłaszania morderstw przez samych zabójców. Trzeba się facetowi dobrze przyjrzeć.



Mężczyzna z psem wzbudza zaufanie, nikt nie spodziewa się napadu z jego strony. Jak w tym starym dowcipie: sierżancie, macie w domu akwarium? No właśnie - facet ma psa, więc jest normalny. A na przykład na Mokotowie grasował kiedyś zboczeniec, sympatyczny starszy pan z kundlem na smyczy. Wieczorami lubił napadać na wracające samotnie do domu kobiety i obmacywać je.

Nowak podszedł bliżej do wiaty przystanku i spojrzął na martwą dziewczynę. Trójkątna, nieco chłopięca twarz, proste, bardzo jasne włosy. Zupełnie niepodobna do Katarzyny Żurek - na szczęście. Na szczęście? Nie, nie wolno tak mówić. Poza wytrzeszczonymi oczami na bladej twarzy nie było widać śladów cierpienia, mimo że na szyi widniała potworna sinoczerwona pręga. W usta dziewczyna miała wetknięty kawałek białego materiału. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Na ciemny kostium miała zarzuconą jasną kurtkę. Ubranie nie było poszarpane. Obok leżała czarna skórzana teczka.

Rozejrzał się. Po drugiej stronie ulicy tłumek gapiów mimo późnej pory obserwował pracę policji. Kierowcy samochodów zwalniali, żeby przyjrzeć się oświetlonemu przystankowi. Nowak podszedł do policyjnego kamerzysty, który już miał wyłączyć sprzęt.

- Sfilmuj ich - powiedział, wskazując na drugą stronę Prostej i ludzi stojących w pewnym oddaleniu od przystanku, bliżej wejścia na parking. - Możliwie dyskretnie, ale skutecznie.

Podszedł do radiowozów i poprosił mundurowych o spisanie personaliów gapiów. Sam dołączył do jednej z ekip. Niektórzy, widząc zbliżających się policjantów, kierowali się już w stronę domów.

- Halo, proszę nie uciekać - zawołał Nowak. Poskutkowało. Odpowiednio użyte słowo może działać cuda. Nowak rzucił kilka następnym: - Liczymy na państwa pomoc.

Zbierali nazwiska i adresy od nieco nieufnych tutejszych mieszkańców. Niektórzy z nich nie mogli udzielić zbyt wielu informacji - nie znali dobrze polskiego, pochodzili z Wietnamu

lub Laosu. Niestety, pozostali też nie widzieli nic podejrzanego. Siedzieli w domach, przyciągnęły ich dopiero syreny i światła policyjnych radiowozów. Nowak patrzył uważnie na twarze zgromadzonych. Nie tylko po to, by je zapamiętać albo skojarzyć z twarzami widzianymi wcześniej w trakcie śledztwa. Zastanawiał się, co skłania ludzi do oglądania scen zbrodni. Co powoduje, że wylęgają na ulicę, kiedy przyjadą karetki i radiowozy? Że kierowcy zwalniają, żeby popatrzeć na wypadek, choć niewielu z nich chciałoby - i potrafiło - udzielić pomocy? Ciekawość po pierwsze, a po drugie chęć uczestnictwa w zdarzeniach. Bezpiecznego uczestnictwa, zwykłego obserwowania. Być może po to, żeby zakląć los i samemu uniknąć kiedyś tragedii.

Nowak obejrzał się. Ekipa techniczna powoli kończyła pracę. Ciało zamordowanej było już umieszczane na noszach. Podszedł do Nowackiego wydającego ostatnie dyspozycje swoim ludziom.

- Dokumenty były w kurtce - technik poinformował komisarza. - Alicja Jasińska, lat dwadzieścia siedem. Pracowała w banku, chyba w jednym z biurowców przy rondzie ONZ. Zmeldowana w Sieradzu.

- Uduszona?

- Bez wątpienia taka jest przyczyna zgonu. Poczekamy na sekcję, ale moim zdaniem ktoś musiał wcześniej ułatwić sobie zadanie. Widać, że ofiara nie broniła się. Nic nie wskazuje na to, że była pijana, ale mógł ją czymś uśpić. Na przykład odurzyć jakimś gazem czy chloroformem. Potem zatkał jej usta kawałkiem materiału.

Nowacki spojrział ponuro na sanitariuszy wnoszących do ambulansu przykryte płachtą zwłoki.

- Aha, oczywiście napad rabunkowy można wykluczyć - dodał Nowacki. - Dziewczyna miała portfel z kilkudziesięcioma złotymi i dwie karty kredytowe, obie ze swojego macierzystego banku. A w teczce znaleźliśmy notebooka.

- Nareszcie - powiedział Zakrzewski na porannej odprawie we wtorek.

- Co nareszcie?

- Nareszcie jakaś normalna ofiara. - Anna spojrzała na niego z odrazą. - No, co się tak gagicie?! Dziewczyna, młoda, ładna. Nie jakiś samotny łacet. Może się myliłem? Może to faktycznie zboczeniec?

Nowak rozumiał, o co chodziło Karolowi.

- Masz nadzieję, że łatwiej będzie wpasować go w schematy działania przestępców seksualnych? Że mordercę mamy już w kartotece?

- Może i mamy.

- Nie było żadnych śladów napaści ani wykorzystania seksualnego. Zobaczmy, jakie będą wyniki sekcji, ale nie sądzę, żeby coś takiego wyszło. Pani Aniu - podinspektor wciąż zwracał się do niej per „pani” - co nam pani powie na ten temat?

- Morderca może mieć problemy z życiem seksualnym. Jakieś kompleksy czy zahamowania. To na pewno. - Anna zastanowiła się przez chwilę. - Możemy przyjąć hipotezę, że kobiety go nieco onieśmialają. To jego czwarta ofiara, wszystkie poprzednie to mężczyźni. Zajął mu trochę czasu, zanim zaatakował dziewczynę.

- Z drugiej strony - wtrącił Michalski - może to oznaczać, że mężczyźni są łatwiejszym celem. Zobaczcie: nauczyciel, który zasnął w tramwaju. Pijak. Facet wracający w nocy z pracy nieoświetlonym kawałkiem chodnika. Kobiety jednak są rozsądniejsze, bardziej uważają, siadają blisko kierowcy czy motorniczego, w pierwszym wagonie.

- Ale każdy może być kiedyś zmęczony. A on stoi z boku i wypatruje ofiary. Kogoś, kto przestał być czujny.

- Drapieżnik. Jedzie tramwajem i przygląda się stadu. Wybiera słabego osobnika i postanawia go wyeliminować - powiedział Nowak.

- O, nasz komisarz ogląda w telewizji nie tylko mecze, ale i filmy przyrodnicze - powiedział Zakrzewski.

- Złośliwości nie są potrzebne. Adam ma rację. To całkiem prawdopodobny wzór zachowania. Z jakiegoś powodu życie mordercy nie układa się tak, jak powinno, a przynajmniej jak jemu się wydaje, że powinno się układać - potwierdziła Anna. - Uważa się za kogoś lepszego, wyższego, za drapieżnika, za sokoła obserwującego stado królików. Albo za psa pasterskiego pilnującego owiec. Raz na jakiś czas musi udowodnić swoją wyższość, pokazać różnicę między nim a resztą. Czyli zaatakować.

- Cudownie - mruknął Zakrzewski. - Żeśmy popaprańca zakwalifikowali gatunkowo. Sokół, psia jego mać.

- Jest jeszcze jedna sprawa - odezwał się milczący dotąd Drzyzga. - Nikt z was o tym na razie nie wspomniał. Do tej pory atakował na peryferiach. Na Bemowie, pod hutą, na Okęciu. No dobrze, może to już nie są peryferie, ale jednak nie ściśle centrum miasta. Krańcowe przystanki, pętle. Miejsca, z których łatwo uciec. Teraz zabił w centrum. Czuje się pewniej? Chce nam pokazać, że się nie boi i stać go na więcej? Dlaczego wybrał to miejsce?

- Może dlatego, że łatwiej tam znaleźć zmęczoną kobietę. I łatwiej uciec, ulice są węższe, teren gęsto zabudowany...

- Tak, centrum... Prasa będzie po nas jeździć jak po łysej kobyle. Już to widzę: „Co robi policja?! Czy nie można czuć się bezpiecznym w centrum stolicy europejskiego kraju? W warszawskim City?”

- Będzie jeździć? Już jeździ - uśmiechnął się Michalski. - A do internetu to boję się zaglądać.

- I słusznie - rzucił Nowak. - Niczego tam nie znajdziesz. Głupoty same. I dziecięca pornografia. Roześmiali się ponuro.

- Dobrze - podsumował podinspektor. - Plan zajęć na dziś. Wydział dochodzeniowo-śledczy sprawdza kolejnych skazanych na przepustce i na zwolnieniu warunkowym. Marcin, twoi ludzie dalej siedzą nad zestawieniami, może coś znajdą. Poza tym pojedziesz z Adamem do banku, w którym pracowała ta dziewczyna. Pogadacie z przełożonymi i z kolegami. No i koleżankami, ma się rozumieć. Karol, skontaktuj się

z policją z Sieradza, niech powiadomią rodzinę i spróbują wyciągnąć jakieś informacje. Ponownie przesłuchasz tego emeryta, który znalazł zwłoki. A prasą i telewizją zajmę się ja.

Zrobili dwa kółka radiowozem po jednokierunkowych, zastawionych samochodami ulicach centrum, szukając miejsca do parkowania. W końcu ochroniarz biurowca, w którym mieściła się siedziba banku, odstawił pacholek z koperty zwolnionej właśnie przez furgonetkę firmy kurierskiej. Chwała Bogu, że nie pojawił się żaden dziad, który za dwa złote chciałby przypilnować radiowozu. Nowak pomyślał, że pewnie ktoś im dla jaj wsadzi za wycieraczkę ulotki z agencji towarzyskich. Ciekawe, że obrazki wtykane w różnych częściach miasta reklamowały usługi ciągle tych samych agencji. Tak jak i handel uliczny - była to zorganizowana siatka...

Weszli do holu biurowca, który niedawno jeszcze dominował wśród budynków otaczających rondo ONZ. Obecnie jednak przytłaczała go ogromna bryła wieżowca Rondo 1, którego budowa w szybkim tempie docierała do czterdziestej kondygnacji. Zostali skierowani przez recepcjonistkę na siódme piętro, do departamentu strategii i produktów.

Dyrektor departamentu, Ireneusz Miller, przyjął ich w swoim gabinecie.

- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym, co się stało. Dowiedzieliśmy się o tym od państwa dzisiaj. Próbowaliśmy się dodzwonić do Ali, kiedy nie przyszła jak zwykle około dziewiętej do pracy.

- Może pan coś o niej powiedzieć? - spytał Drzyzga.

- Cóż, pracowita dziewczyna, może nawet za bardzo pracowita. Lubiana, na pewno. Jest tu od dwóch lat, pamiętam, kiedy przyjmowaliśmy ją do naszego departamentu. Przyszła w zasadzie zaraz po studiach, miała dyplom SGH z wyróżnieniem. Ambitna, ale nie myślała tylko o karierze. Pochodziła spoza Warszawy, zresztą pewnie jak większość ludzi pracujących w naszym mieście...

- Za bardzo pracowita? To znaczy zbyt ambitna?
- Nie, raczej mam na myśli to, że się po prostu pracowała.
- Czy była osobą konfliktową?
- W żadnym wypadku. Choć kłótnie w zespole to rzecz normalna. Ale nigdy nie przeradzało się to we wrogość czy wzajemne podgryzanie się. O ile mi wiadomo, oczywiście.
- Czym się zajmowała, jeżeli to nie tajemnica?
- Ostatnio siedziała do późna, zresztą jak większość z nas. Ale ona chyba rzeczywiście najdłużej. W piątek miała być prezentacja naszej strategii produktowej dla zarządu. Wie pan, to są ludzie, którzy patrzą na funkcjonowanie banku na nieco wyższym poziomie abstrakcji niż kierownik oddziału czy nawet ktoś na takim stanowisku jak moje.

Osoby przemykające po korytarzach wyglądały na bardzo przygnębione. Na twarzach niektórych kobiet widać było łzy. Policjanci rozmawiali z pracownikami w dwu salkach przeznaczonych do spotkań i prezentacji. Potwierdziło się to, co mówił dyrektor Miller. Ostatnio rzeczywiście Alicja Jasińska przesiadywała po godzinach. Według administratorów, wyszła w poniedziałek parę minut po dwudziestej drugiej, a przynajmniej wtedy wylogowała się z systemu. Potwierdzał to zresztą wpis w książce przechowywanej w recepcji - oddała klucz od pomieszczenia, w którym pracowała, o 22.15. Nowak porównał to z rozkładem jazdy. Z przystanku Norblin tramwaj odjeżdżał o 22.14, 22.34 i 22.54. Ciekawe, dlaczego udała się na przystanek przy Żelaznej, a nie wsiadła od razu na rondzie? Spacer o tej porze? Bez sensu. Bardziej prawdopodobne jest to, że poszła coś zjeść. Po kilkunastu godzinach pracy każdy normalny człowiek myśli tylko o jedzeniu i o łóżku. Trzeba będzie przejść po sklepach i restauracjach, tylko które są czynne o tej porze? Zaraz, na Prostej jest przecież pizzeria...

Koleżanki wiedziały, że Alicja była osobą samotną, choć spotykała się sporadycznie z jednym z kolegów z pracy,

zatrudnionym w departamencie zarządzania ryzykiem kredytowym, niejakim Robertem Kaweckim. Policjanci wezwali go na rozmowę.

Zanim się pojawił, z komendy zadzwonił Nowacki z informacją, że znaleziony przy zamordowanej laptop należał do banku. Zawartości dysku nie można było odczytać bez hasła administratora lub jednego z użytkowników sieci bankowej. „To znaczy”, dodał, „nie da się jej odczytać standardowymi metodami”. Ale żadnych hakerskich narzędzi na razie nie chcieli używać, najpierw należało się skontaktować z informatykami z banku. Nowak poprosił o sporządzenie protokołu zatrzymania sprzętu i umówił się na czwartek z jednym z administratorów.

- Panie Robercie, podobno spotykał się pan z Alicją Jasińską poza godzinami pracy.

Młody mężczyzna, wysoki okularnik po trzydziestce, spojrzął na komisarza.

- Skąd pan wie? Już to ktoś powiedział? - Kaweckie spojrzął w okno. - Tak. Spotykaliśmy się. Byliśmy kilka razy w kinie. Lubiła chodzić do kina. Pewnie chce pan wiedzieć, jak blisko się znaliśmy. Nie byłem u niej w domu, ani ona u mnie. Nie spaliśmy ze sobą.

- Miał pan wobec niej, hm, poważne zamiary?

- He, pyta pan, jak rodzice narzeczonej w dziewiętnastowiecznych powieściach. Wiem, że była samotna. Ja też od jakiegoś czasu jestem sam. To chyba normalne, że dwoje samotnych ludzi spotyka się ze sobą, prawda?

- Skąd pan wie, że była samotna?

- Mówiła mi. Miała jakiś czas temu faceta w Skierniewicach, zaraz, nie, w Sieradzu, na Skierniewickiej mieszkała, z tego, co wiem. W każdym razie ostatecznie rozstali się pół roku temu. Mówiła mi, że wyjechał do pracy w Anglii, wysyłał jej maile.

- Pamięta pan imię, nazwisko?

- Miał na imię Adam. Niewiele o nim mówiła. Panie komisarzu... - Robert Kaweckie spojrzął Nowakowi prosto w oczy. - Ona nie była jeszcze gotowa do wejścia w nowy związek. Nie

chcę się bawić w psychologa, ale po prostu o tym nie myślała, to było widać. Zastanawiałem się, czy warto dalej próbować. Wszystkie nasze rozmowy i tak schodziły na tematy „pracowe”. Wydawało się, że tak naprawdę tylko to ją interesuje. Tylko w tym się realizowała.

- Czyli myślała jedynie o karierze?

- Nie, nic z tych rzeczy. Nie interesował jej wyścig szczurów. Interesowała ją sama praca.

No tak. Pracoholiczka. Nowak znał ten model. Choroba może rozwijać się różnie. Na pewno pieniądze nie są główną motywacją. Motywacją może być nadmierna ambicja. Albo wprost przeciwnie, zaniżona ocena własnej wartości, które znika, kiedy człowiek zajmuje się czymś, w czym jest naprawdę dobry. Wie o tym, jest doceniany, potrzebuje tego coraz bardziej. Wtedy praca wciąga jak narkotyk, szuka się nowych zadań nawet wtedy, kiedy już w zasadzie nic nie zostaje do zrobienia. A czasami bywa tak, że praca daje więcej radości niż przebywanie w domu z rodziną albo z osobą, z którą się mieszka.

Kiedy wyszli z banku, Nowak zastanawiał się, czy Kaweckiego można uznać za podejrzanego w tej sprawie. Ludzie są w stanie zrobić naprawdę straszne rzeczy innym - i sobie również - pod wpływem zazdrości. Ale sposób zamordowania dziewczyny, prawie identyczny jak zabójstwo pijaka pod hutą, świadczył o tym, że Jasińską zabił seryjny morderca. Albo ktoś, kto się pod niego podszywa, żeby załatwić swoje prywatne sprawy. Cóż, trzeba faceta wciągnąć na listę, ale z niskim współczynnikiem prawdopodobieństwa. I przy najbliższej okazji przepytąć raz jeszcze.

Drzyzga poszedł ze zdjęciem zamordowanej do okolicznych sklepów i pizzerii na Prostej. Niektórzy pamiętali dziewczynę z codziennych zakupów gazet, jogurtów i bułek na drugie śniadanie, ale nikt nie przypominał sobie jej z wczorajszego dnia. Kierownik zmiany w pizzerii podał nazwiska ludzi pracujących w poniedziałek późnym wieczorem. Nowak chciał



ich przesłuchać w miarę szybko, a najlepiej wszystkich naraz.

Prokurator Borowski wydał tymczasem nakaz przeszukania mieszkania Alicji Jasińskiej. Powiadomili właściciela, który był zaniepokojony głównie tym, kto zabierze rzeczy osobiste nieżyjącej lokatorki, a przede wszystkim jak długo lokal będzie zaplombowany. Mieszkanie przy Skierniewickiej zostało urządzone znacznie gustowniej niż lokum Kościelniaka na Bemowie, ale tu też było widać pewną prowizorkę. Nowak starał się znaleźć coś, co odróżniało tę kawalerkę od innych. Coś, co świadczyło o charakterze osoby, która tam mieszkała. Stery papierów, wydruków, oprawionych w bindownicy materiałów z banku. Trochę starych gazet i tygodników. Na półeczce nad małym telewizorem stało kilka pamiątek z różnych miejsc w Polsce i za granicą - rzeźba z soli z Wieliczki, jakaś egzotyczna muszla, wieża Eiffla, brytyjska budka telefoniczna. Tak zwane durnostojki, jak mawiała babcia Nowaka o takich przedmiotach. Radio z odtwarzaczem CD, nieduża kolekcja płyt w czarnym metalowym stojaku z Ikei. Nowak przyjrzał się kompaktom: w większości były pirackie, przebrane na komputerze. Standardowy zestaw wykonawców: Sting, U2, Leonard Cohen, Kayah z Bregoviciem, jakaś składanka Beatlesów. Normalna muzyka, prawie normalne życie, zupełnie nienormalna śmierć.

Wieczorem Nowak pojawił się ponownie w centrali. Przejrzał podpisany przez prokuratora protokół otwarcia zwłok Alicji Jasińskiej. Wyniki potwierdzały przypuszczenia Nowackiego. Ofiara została odurzona gazem paraliżującym, zaaplikowanym z małej odległości. Morderca zatem ułatwił sobie zadanie. Kawalek materiału wetknięty w usta dziewczyny pochodził zapewne z bawełnianego T-shirta kiepskiej jakości.

Umieszczony w raporcie wynik badania zawartości żołądka potwierdził przypuszczenia Nowaka. Biegły wymieniał

nieprzetrawione fragmenty ciasta z wędliną i warzywami. Czyli pizzy.

Zakrzewski ustalił w firmie nazwiska motorniczych, którzy prowadzili w poniedziałek ostatnie tramwaje linii 10. Ten z późniejszego składu pamiętał dziewczynę siedzącą na przystanku, ale nie przyglądał się jej zbyt dokładnie, choć zastanawiał się, dlaczego nie wsiadła. Był wyraźnie zaszokowany tym, że prawdopodobnie zobaczył... trupa. Następnego dnia w gazetach miało się pojawić zdjęcie zamordowanej i apel do pasażerów, którzy mogli widzieć coś więcej.

Nowak poszedł jeszcze do Nowackiego, który siedział wciąż w laboratorium.

- Zostawił nam jakiś znak, kolejny element układanki? W co się bawi tym razem?

- Najwyraźniej zostawił. W teczce był jeden przedmiot, na którym nie ma żadnych odcisków palców. - Nowacki pokazał dowód zapakowany w folię. - Kasetka magnetofonowa. Zartowniś z naszego mordercy. Płyta nosi tytuł Trudno nie wierzyć w nic.

- Zespołu Raz, Dwa, Trzy?

- Tak, znasz ich?

- Jasne, kiedyś ich nawet lubiłem. Takie fajne, poetyckie piosenki, ale na szczęście nie tak zwana poezja śpiewana. Goście są z Zielonej Góry, zdaje się. Mają sympatycznego wokalistę i tekściarza, nazywa się... - przerwał nagle i spojrzał na Nowackiego. Nie, to niemożliwe.

- Jak się nazywa? Co się stało?

- Nazywa się Adam Nowak - powiedział komisarz.

### 3

Podinspektor Michalski zabębnił nerwowo palcami w blat biurka.

- Przysłuchaliście tę kasetę?

- Tak, nie ma na niej żadnych dodatkowych nagrań i szumów. Tylko muzyka. Na opakowaniu brak metki i śladów

zdzierania. Nie ma też hologramu, więc zapewne zostało kupione osobno albo pochodzi z innej kasety.

- Starał się utrudnić zidentyfikowanie sklepu - powiedział Michalski. - Spróbujemy pochodzić po Empikach i innych punktach handlowych. Może jednak ktoś coś zapamiętał.

- W sklepach muzycznych już prawie nie ma kaset. To wymierający nośnik - rzucił Nowak. - Ale mogą być w supermarketach. Sprawdźcie też księgarnie internetowe.

- No dobrze, to sama kasetka. Ale mamy jeszcze tytuł *Trudno nie wierzyć w nic*. I nazwisko Nowaka. Czy to pierwsze to jakiś ponury żart? Czy może tak wygląda życiowe motto naszego zabójcy?

- Moim zdaniem, rzeczywiście od tytułu płyty ważniejsze jest nazwisko wokalisty - wtrąciła Anna Perkowska. - Niezależnie od tego, za jak złego człowieka go uważamy, jest to ktoś inteligentny. Co więcej, jest przekonany o własnej inteligencji i o tym, że ludzie wokół raczej nie dorastają do jego poziomu.

- A co to ma wspólnego z nazwiskiem Adama? - zapytał podinspektor.

- Jak to co? Morderca nie chce się bawić z nami w kotka i myszkę. Jest inteligentniejszy. Chce nam zadawać zagadki. Rebusy, szarady do rozwiązania. Traktuje to jako wyzwanie. I chce mieć przeciwnika, którego uzna za godnego siebie. To nie może być „policja” jako taka. Najlepiej jeżeli ten przeciwnik będzie miał twarz. Imię i nazwisko.

- A zatem...

- Ponieważ nazwisko komisarza Nowaka pojawiło się w gazetach, a on sam wystąpił w telewizji, morderca wybrał go jako personifikację swojego przeciwnika. Daje znać: wiem o twoim istnieniu. Teraz gramy ze sobą.

- Czyli co, teraz ja jestem berek? - spytał Nowak.

Anna Perkowska milczała przez chwilę. Zastanawiała się nad możliwymi znaczeniami tego pytania.

- Nie należy wykluczyć, że wskazanie komisarza z nazwiska może wiązać się z wyborem kolejnej ofiary. Że większą

satysfakcję, spełnienie, dałoby mu zabicie policjanta, zatem kogoś, kto nie jest z jego punktu widzenia słaby i bezbronny. Do tej pory ważny był plan, miejsca zbrodni, teraz istotny stałby się również wybór ofiary. To przejście jakościowe. Polowanie na grubszą zwierzynę.

Podinspektor Michalski popatrzył na współpracowniczkę.

- Ale czy to pasuje do jego dotychczasowego wzoru działania? Czy to nie jest jakieś zaburzenie?

- I tak, i nie. Nasz morderca odbywa coś w rodzaju edukacji. Każda kolejna ofiara to dla niego nie tylko element planu, ale także okazja do samodoskonalenia się. I nie chodzi tylko o czystość, czyli w jego mniemaniu zapewne niewykrywalność kolejnego morderstwa, ale także o nabieranie doświadczeń. Może właśnie o przejście na wyższy poziom... duchowy?

- Wyższy poziom? Ale mówiliśmy już o tym, że z technicznego punktu widzenia kolejne zabójstwa są mniej wyrafinowane niż pierwsze, prawda? - spytał Michalski.

- Celem jest realizacja planu, schematu. Szczegóły techniczne związane z samym pozbawieniem życia są mało istotne.

- Jeżeli mówiłem o obecnym wzorcu działania, miałem raczej na myśli to, że morderca wybiera ofiary dość przypadkowo - wyjaśnił Michalski. - To znaczy: obserwuje je, sprawdza, pasują mu do profilu, który tworzy w swojej głowie. Sprawdza, czy zabójstwo nie będzie zbyt trudne do wykonania. Ale robi to konkretnego dnia, ofiara nie jest obserwowana specjalnie długo.

- Nie wiemy tego na pewno - wtrącił Nowak.

- No dobrze, nie wiemy tego na sto procent - kontynuował Michalski. - Ale tym razem, jeżeli rzeczywiście Adam ma być kolejną ofiarą, musimy przyjąć, że będzie śledzony. Może nawet już jest. Adam, jeździsz do pracy tramwajem, prawda?

- No.

- Zwróciłeś na kogoś uwagę? Widujesz ostatnio jakieś osoby, które ciągle jeżdżą o tej samej porze, tymi samymi tramwajami?

- Codziennie widuję te same osoby - mruknął Nowak. - Nikt mi się nie przypatruje. Co najwyżej ja się gapię na piękne kobiety. Może pasują do profilu, co, Aniu?

- Nie żartuj - zgañił go podinspektor. - To poważna sprawa. Dla twojego bezpieczeństwa powinienes wziąć na stałe samochód. A może ktoś będzie po ciebie przyjeżdżać?

- A zapłacicie za osiedlowy parking? - zachnął się komisarz. - Dajcie spokój, dam sobie radę. Do domu mi nie wejdzie. A jeżeli nawet, to mam broń. Skoro już mnie wybrał, niech to będą tylko ja. Nie chcesz chyba, żeby zadźgał po nocy jakąś policjantkę, która akurat będzie wracać tramwajem do domu?

- Przyznaj, Adam. - Michalski spojrział na komisarza. - Trochę dałeś mu się w to wciągnąć. Zaintrygował cię. Chciałbyś, żeby to była twoja prywatna rozgrywka.

Nowak wiedział, że to prawda, ale tylko częściowa, jak powiedziałyby Radio Erewan. Przecież nawet Szewczenko nie gra sam na boisku.

- Posłuchaj... To jedyne rozsądne wyjście. Kto wie, może zaabsorbuję go tak, że przestanie zabijać, a zacznie myśleć tylko o samej grze. To już będzie sukces. Poza tym skoro mnie zna, mogę spróbować nawiązać z nim kontakt. Jeżeli się uda, będzie to bardzo dużo. Krok do tego, żeby go namierzyć.

- To nie jest zły pomysł - włączyła się Anna. - Spróbujmy zagrać tak jak on. Opublikować informację w gazecie. Ogłoszenie. Tak, żeby dostał czytelny komunikat, docenił nas jako przeciwnika i w jakiś sposób przesłał odpowiedź.

Zakrzewski popatrzył na nią ponuro.

- Boję się, że ten skurwysyn zna tylko jeden sposób przekazywania wiadomości.

- Adam, czy któryś z zatrzymanych albo aresztowanych przez ciebie przestępców mógłby się mścić w ten sposób? Chcieć zaleźć za skórę właśnie tobie? - zapytał Michalski.

- Nie sędzę. - Nowak w myśli przejrzał kartotekę typów, z którymi się zetknął w czasie pracy w policji. - Nie sędzę, by ktoś mógł zabić najpierw trzy przypadkowe osoby, żeby przy czwartej pomachać mi ręką. Morderca usłyszał moje nazwisko w telewizji albo znalazł w gazecie, to wszystko.

- Śmierć i busola - rzuciła Anna.

- Słucham?

- Jest takie opowiadanie Borgesa. Inspektor odgaduje w nim miejsce kolejnej zbrodni. Żydowski mistycy, Kabała, poszukiwanie ukrytego imienia Boga, tajemniczy wzór. A okazuje się, że i tak chodzi o prywatną zemstę.

- To Warszawa, nie Buenos Aires. To nie literatura - mruknął Nowak. - Mówiłem, nie sędzę, że chodzi o rewanż na mnie.

- Może i nie, ale tę grupę ludzi trzeba będzie dopisać do listy sprawdzanych przestępców. Nigdy nic nie wiadomo.

- No dobra. - Komisarz trzepnął w stół papierami, które przed nim leżały. - Dosyć o Nowakach.

- Dobrze, dosyć - powiedział Michalski. - Karol, mów o tym facecie z Miedzianej.

- Adam Paczkowski, emeryt. Był drukarzem, pracował kiedyś w drukarni Biblioteki Narodowej na Okólniku. Jeżeli was to interesuje, to pies ma na imię Nonparel. To taki krój czcionki. Albo rozmiar, cholera wie.

- Rozmiar nie jest najważniejszy - powiedział Drzyzga.

- Panowie! Do rzeczy. - Podinspektor zniecierpliwiał się.

- Nic. Wyszedł na spacer. Dotarł Pańską do Żelaznej i przeszedł na drugą stronę Prostej. Miał dojść do ronda i zawrócić. Mijając przystanek, zobaczył zwłoki dziewczyny. Z komórki zadzwonił na policję. Rozmawiałem też z jego żoną. Mieszkają razem. Mówi, że mąż wychodzi z tym kundlem codziennie. Czasami ona też chodzi na spacer. - Zakrzewski wrzucił ramionami. - Normalni ludzie, na pierwszy rzut oka.

- Anna? Widziałaś go? Brałaś udział w przesłuchaniu?

- Patrzyłam przez szybkę. I słuchałam. Zwyczajny, prosty człowiek, dość przerażony tym, co zobaczył.

- Nie trzeba być psychologiem i zastanawiać się, czy mama w dzieciństwie chowała przed nim cukierki, żeby to stwierdzić - mruknął rozdrażniony Zakrzewski. - Przecież mówiłem, że to normalny facet.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział Michalski. - Rozmawiałem z prokuratorem Borowskim. Musimy zwolnić Kościelniaka. Noże nie zostały użyte w czasie zbrodni, śladów biologicznych też nie można do niego przypisać. Sądzę, że da się uzyskać decyzję o dozorze policyjnym.

- Moglibyśmy wystąpić do sądu z oskarżeniem o znieważenie funkcjonariuszy podczas pełnienia obowiązków służbowych - powiedział Zakrzewski.

- Już wystąpiliśmy. Łatwiej go przytrzymać na miejscu, kiedy będzie go czekać sprawa karna. No dobrze. To tyle. Rozumiem, że zabieracie się zaraz znowu za skazanych i wyrzuconych z pracy.

- Tak. Oby jak najdłużej przy biurku - rzucił Drzyzga. - Nawet radiowozem nie da się jeździć po tym cholernym mieście. Szczyt Rady Europy, demonstracje anarchistów i związkowców. Oszaleć można.

Telefon zadzwonił, kiedy Nowak siedział przy swoim biurku i usiłował znaleźć nazwiska z rejestru skazanych na listach zwolnionych pracowników zakładów komunikacyjnych. Problem w tym, że raporty z ZTM, MZA i Tramwajów Warszawskich dostali w formie wydruku. Oczywiście od razu zażądali wersji elektronicznej, przecież musi istnieć. Łatwiej z tym potem pracować, prowadzić wyszukiwanie, zestawiać dane, filtrować je, odrzucać niepotrzebne nazwiska. A tu, kurde, papier.

- Tak - rzucił wściekły do słuchawki,

- Dzień dobry, tu Krzysztof Oleszkiewicz. - Krótka pauza. - Zgłosiła się do mnie dwójka młodych ludzi z Bemowa. Mówią, że widzieli kogoś na przystanku na Kole w dniu, kiedy zamordowano mojego ojca.

No proszę. Ci, którzy najwięcej narzekają na policję, potrafią też zrozumieć, do czego właściwie jest. Do czego powinna być.

- Czy rozmawiał pan z nimi?

- Oczywiście. Wsiadli na przystanku przy Orlich Gniazd. Zobaczyli... - Oleszkiewicz przerwał na chwilę, widać wciąż przychodziło mu z trudem mówienie na ten temat. - Zobaczyli mojego ojca. Najwyraźniej już nie żył. Przestraszyli się i uciekli do pierwszego wagonu na następnym przystanku.

- Dlaczego nie powiedzieli nic motorniczemu? Dlaczego nie zgłosili się wcześniej na policję?

- Mnie pan pyta? - Oleszkiewicz zachnął się. - Ciągłe żyjemy w komunistycznym społeczeństwie. Współpraca z policją nie jest mile widziana. Policja to część państwa, a nie instytucja pomagająca ludziom.

- To się zmienia - mruknął Nowak.

- Może i tak, ale powoli... Nieważne. Zachowali się tak, jak zrobiłaby większość ludzi. Uznali, że trup to nie ich sprawa. A zgłosili się pewnie dlatego, że szum w mediach jest dość spory. Zresztą sam pan z nimi porozmawia. Wiedzą, że policja się do nich zwróci. Powinno pana zainteresować, że widzieli człowieka, który wysiadał z tramwaju. Z tego wagonu, którym jechał mój ojciec. Dość precyzyjnie go opisali, ale to wy lepiej powinniście sobie z tym poradzić.

Nowak podziękował za zgłoszenie i natychmiast zadzwonił na podany numer.

- Tak - rzucił szybko młody głos w słuchawce. Ze strzępów rozmów w tle Nowak wywnioskował, że chłopak jest w jakimś barze szybkiej obsługi. Co chwilę było słyhać zamówienie: na podwójny cheeseburger i frytki.

- Komisarz Adam Nowak, Komenda Stołeczna Policji. Czy rozmawiam z Pawłem Górnym?

- Eee... Tak. Ale nie bardzo teraz mogę rozmawiać, jestem w pracy, już menedżerka na mnie krzywo patrzy.

To po co odbierasz, młody człowieku?

- Chciałbym, żebyście się jutro pojawili w Komendzie Stołecznej. Ty i twoja koleżanka... - Nowak zerknął na kartkę.



- ...Kamila Palińska. Musimy z wami porozmawiać w sprawie zabójstwa w tramwaju.

- Musimy? Już temu Oleszkiewiczowi wszystko opowiedzieliśmy... Równy gość, zapłacił nam nawet parę złotych. Nie powtórzył tego?

- No cóż, ja nie zapłacę - odpowiedział Nowak. - I poza tym nie sądzę, żeby pan Oleszkiewicz sporządził portret pamięciowy. A my to zrobimy. Musicie przyjechać. Jesteście ważnymi świadkami. Jutro o dziesiątej, może być? Jeżeli będzie trzeba, porozmawiam z menedżerką - dodał.

- Nie, no, rano to my w szkole jesteśmy. Już, już, zaraz, to ważne! - prawie krzyknął do kogoś.

- To po szkole. O drugiej po południu?

Nowak podał chłopakowi swój numer wewnętrzny w Komendzie Stołecznej.

Wracał do domu tramwajem i przyglądał się ludziom wsiadającym na przystankach. Kto z nich może być seryjnym mordercą? Ten młody, wysoki, barczysty człowiek z kolorową torbą na ramieniu? Czy to po prostu sportowiec wracający z treningu? Czytał „Piłkę Nożną”, więc nie musi być bandytą. A może to ktoś z tych starszych, zmęczonych życiem ludzi z siatkami pełnymi zakupów? A ten brodaty czterdziestolatek, studiujący podręcznik do gry World of Warcraft! Nowak przyjrzał mu się uważnie. Kto wie, może to właśnie ktoś taki. Ktoś, kto nie odróżnia rzeczywistości od fikcji. Ktoś, kto zmienia rzeczywistość w świat swojej prywatnej rozgrywki. Nagle zmroziła go pewna myśl. Co będzie, jeżeli gra obejmuje więcej osób? Słyszał przecież o grach fabularnych toczonych przez prawdziwych ludzi w prawdziwej rzeczywistości. Zabawna sprawa, trochę jak miejski bieg na orientację. Może ktoś wpadł na pomysł gry z trupami? Gry, w której śmierć jest jak najbardziej rzeczywista?

Nowak spojrzął w szybę. Skoncentrował wzrok na swoim niewyraźnym odbiciu. Zobaczył faceta z nieco zaciętą, lekko

sfrustrowaną miną. Samotny mężczyzna w sile wieku, ze stresującą pracą. Idealny kandydat na seryjnego mordercę.

Zastanowił się jeszcze nad zaskakującą myślą, która przemknęła mu przez głowę w poniedziałek. Skąd w ogóle ten pomysł, że zamordowaną dziewczyną jest Kasia... Katarzyna Żurek? Jego umysł najwyraźniej zaczął tworzyć dziwne scenariusze. W każdym z nich było miejsce na coś pięknego i wspaniałego. Może nawet na miłość. Miłość... Najwyraźniej męska wyobraźnia obsadza w najważniejszych rolach kobiety, które zna z zupełnie innego repertuaru. Z braku innych kandydatek? A może dlatego, że wyróżniają się z tłumu statystów? Kto wie. Scenariusze były ciekawe, ale mogło się w nich pojawić także coś mrocznego, bezkształtnego, tępego. Złego. Coś, co mogło zaatakować i zniszczyć kruche szczęście. „Ono tam jest, a imię jego na E”, jak śpiewa Lech Janerka. „Coś jak Etiopia, lecz ładniej”. Entropia. Nigdy nie może być za dobrze, bo jest to niezgodne z ogólnymi prawami wszechświata, który w losowym momencie interweniuje. Nowak miał wrażenie, że to nie praca w policji wpłynęła na jego nieco chory stosunek do rzeczywistości. Chyba był już taki wcześniej.

E tam, bzdury, otrząsnął się z zamyślenia. Była środa, był maj. Być może kwitły białe bzy, a w Saskim Ogrodzie jeden frajer właśnie się przysiadł do panny, ale środa oznaczała także mecz w telewizji. CSKA Moskwa w finale Pucharu UEFA niespodziewanie pokonało Sporting Lizbona na jego stadionie.

#### 4

W czwartek Nowak po raz kolejny przekonał się, w jak dobrym punkcie Warszawy znalazł mieszkanie. Dziewiętnastka, którą jechał z pętli Piaski, w ciągu dwudziestu paru minut dotarła do ronda ONZ. Wysiadł i zapiął kurtkę. Nie było zbyt ciepło. Dopiero na weekend zapowiadano lepszą pogodę i temperaturę powyżej dwudziestu stopni.

Dotarł do pizzerii na Prostej. Kierownik zmiany wprowadził komisarza na zaplecze, gdzie w salce zebrało się pięć osób, które w poniedziałek pracowały na wieczornej zmianie. Nowak spojrział na listę. Trzy w kuchni, jedna w okienku i zarazem przy telefonie. Oraz kierowca skutera, którym rozwożono pizzę. Jak się okazało, sala restauracyjna po dwudziestej drugiej była już zamknięta.

- Ta dziewczyna była tutaj zapewne w poniedziałek około 22.20. Czy ktoś z was ją sobie przypomina?

Młodzi ludzie w czerwonych mundurkach patrzyli kolejno na zdjęcie. Wiedzieli, że oglądają twarz kobiety, która zginęła kilkadziesiąt metrów stąd, zapewne wtedy, kiedy byli w pracy. Chłopak, który stał przy okienku i wydawał zamówione pizze, przypatrywał się zdjęciu nieco dłużej.

- Tak - powiedział w końcu. - Była tu, na pewno. Zamówiła małą pepperoni, na wynos. Śpieszyła się, mówiła, że niedługo ma tramwaj.

- Była sama?

- Sama. Zresztą widziałem ją wcześniej wiele razy. Ona tu gdzie pracowała, prawda? Wydaje mi się, że przychodziła czasami z koleżankami i kolegami na obiad.

„Na lunch”, jak powiedziałyby była żona Nowaka. Klasa średnia nie jada obiadów.

- Dlaczego ją zapamiętałeś? Zwróciłeś na coś uwagę?

Chłopak spojrział ze zdziwieniem na komisarza.

- No... Całkiem niezła laska z niej była, tylko zimna taka. Jak wszystkie baby, które myślą, że Boga za nogi złapały, bo mają dobrą pracę i trochę kasy. Pewnie nie była z Warszawy, nie?

- Nie była. A co to za różnica?

- W sumie żadna - mruknął chłopak. - Ale najbardziej na Warszawę najeżdżają ci, którzy do niej przyjechali, żeby zarabiać.

- Najeżdżają? Rozmawiałeś z nią?

- No nie, ale słyszałem, jak gadała z kolegami. O tym, że czasami nie lubi tego miasta i najchętniej by stąd uciekła.

- Dobrze, zostawmy to.... - Nie, w normalnych warunkach Nowak tego by nie zostawił. Ale nie czas na dyskusje. - Czy ktoś z was widział w poniedziałek jakąś podejrzaną osobę na ulicy? Kogoś, kto by za tą dziewczyną szedł, śledził ją? - spytał. Chodnik przed pizzerią był w miarę dobrze oświetlony, a okna w kuchni przeszklone, więc każde z nich mogło coś zobaczyć.

Popatrzyli po sobie niepewnie.

- Gdybyśmy wiedzieli... - powiedziała nieduża ruda dziewczyna z plakietką „Ania” na piersi. - Ale kto mógł wiedzieć, prawda? Nie patrzyliśmy na ludzi. Było sporo pracy, parę zamówień na telefon. Na pewno ktoś chodził, ale nie pamiętam nikogo podejrzanego. Znaczą takiego, który by za nią szedł.

- Czy pamiętacie jeszcze innych klientów z tej godziny, powiedzmy od 22.20 do 23.00? - zapytał.

- No... - Sprzedawca podrapał się po głowie. - Na pewno ktoś kupował. Jakiś gostek chciał hot doga. Bo mamy też hot dogi.

- Mamy listę zakupów z tego dnia - pośpieszył z wyjaśnieniem kierownik i spojrział na wydruk. - Na miejscu sprzedaliśmy dwa hot dogi, colę i małą pizzę pepperoni.

- Pizzę właśnie tej dziewczynie?

- No tak... A hot dogi i colę w ramach jednej transakcji. Marek, nie pamiętasz, komu je sprzedawałeś?

- Mówię przecież, jakimś gostkowi... Hm, taki nieduży był... Brał dwa, był z kolegą.

- Przed czy po tym, jak przyszła tu Alicja Jasińska? Ta dziewczyna?

- Po - wtrącił ponownie kierownik, patrząc na raport kasowy. - Pizza o 22.21, hot dogi o 22.33.

- Pamiętasz tego człowieka? Obu tych ludzi? Gdybyś miał opisać obie twarze, udałoby ci się to?

- Pewnie nie... Krótkie włosy, szczupły, czarna skóra, znaczy kurtka. Koszulkę miał w biało-czarne pasy. Ale ja go już kiedyś widziałem. Na pewno gdzieś niedaleko mieszka, bo czasami tu przychodzi.

- Jesteś pewien?
- Tak.
- Pojawił się potem, już po zabójstwie? Wczoraj, przed-wczoraj?
- Nie, chyba nie.
- Dobrze. Jeżeli tylko zobaczysz tego człowieka, zadzwoń natychmiast na policję. A najlepiej od razu do mnie. Wezwiemy cię jeszcze, spróbujemy sporządzić dokładniejszy rysopis. Zapewne jutro rano. - Nowak pomyślał o tym, że dziś będzie gotowy portret pamięciowy nieznanego z Bemowa. Warto go pokazać pracownikom pizzerii.

Nowak skontaktował się z Zakrzewskim.

- O czternastej pojawią się ci młodzi ludzie z Bemowa. Idę teraz do banku, gdybym nie zdążył na drugą, pogadaj z nimi i posadź przed komputerem. Musimy mieć portret pamięciowy człowieka, którego widzieli na Kole. Może to był morderca.

- Trzeba będzie ich sprawdzić. Nie ufam młodym ludziom - rzucił Zakrzewski. - Najpierw przekonamy się, czy gówniarze nie robią sobie głupich żartów i czy rzeczywiście jechali tym tramwajem.

- Skseruj ich dokumenty - powiedział Nowak. - Pokażemy Markowskiemu, temu motorniczemu z dwunastki, może ich rozpozna.

Dotarł do banku. Trafił tym razem na czwarte piętro, do małej salki zawałonej pudłami po sprzęcie komputerowym. W pokoju były trzy biurka, na których stało w sumie sześć komputerów z monitorami w czarnych obudowach.

- To serwerownia? - zapytał Nowak.

- Skąd! - Młody człowiek w kraciastej koszuli narzuconej na T-shirt z reklamą jakiejś firmy komputerowej roześmiał się. Przedstawił się komisarzowi jako Bartosz Kalicki. - Ta kanciana to laboratorium testowe. Szumnie to brzmi, a wygląda tak, jak pan widzi. Tutaj sadzamy ludzi z biznesu... to znaczy, użytkowników biznesowych - wymówił te słowa bez szczególnej

atencji. - Wtedy, kiedy muszą testować funkcjonalność jakiegoś nowego systemu. A poza tym to miejsce, gdzie wrzuca się to, czego nie można wyrzucić na śmietnik.

Na blacie jednego z biurków udało się zmieścić notebooka i podłączyć zarówno do prądu, jak i do sieci.

- Zmieniłem jej hasło do domeny - wyjaśnił informatyk. - To samo hasło służy do weryfikacji tożsamości użytkownika w sieci oraz do dostępu do kilku innych systemów, w szczególności do poczty. Notebook nie miał żadnego dodatkowego zabezpieczenia sprzętowego. To niedobrze, ale wciąż jesteśmy w trakcie wyboru rozwiązania. - Spojrzał na komisarza. - Wie pan, strategiczne dane powinny być umieszczone w systemie, do którego dostęp jest chroniony przez coś więcej niż identyfikator i hasło. Zwłaszcza na komputerze przenośnym. A dziewczyna pracowała w Produktach. W sumie dobry kąsek dla konkurencji taki komputer.

- Były przypadki kradzieży komputerów?

- Jeden człowiek został napadnięty na rogu Jana Pawła i Grzybowskiej. Komuś też wyciągnięto laptopa z bagażnika. Ale to raczej nie konkurencja. Zwykli złodzieje.

Kalicki przesunął komputer w stronę Nowaka.

- Oczywiście nie powinno być tu danych związanych z klientami banku - dodał. - To nie ten departament. W zasadzie wtedy musiałyby pan przyjść z nakazem sądowym lub prokuratorskim. W końcu obowiązuje nas tajemnica bankowa. Ale jak rozumiem, biorą państwo odpowiedzialność za to, żeby istotne dane związane z funkcjonowaniem banku nie wyciekły na zewnątrz.

- Oczywiście. Za kilka dni powinniśmy zwrócić komputer.

- Zresztą, nie ja jestem za to odpowiedzialny - powiedział Kalicki i otworzył program pocztowy. - Poczta jest kopiowana do folderów lokalnych...

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wszystko jest w notebooku. W tej chwili także poczta, która doszła do skrzynki pocztowej już po śmierci tej dziewczyny. Jeszcze jej nie usunąłem z książki adresowej -

wyjaśnił. Hasło jest teraz takie jak identyfikator, czyli „amjasinska”.

- „Amjasinska”?

- Tak, są... były dwie osoby o tym samym nazwisku, więc nie mogło być „ajasinska”. „M” pewnie od drugiego imienia, zajrzyjmy do wpisu w książce... Tak, Maria. Ma pan dostęp do wszystkich informacji, z których mogła korzystać. To znaczy do poczty i do zasobów na dysku lokalnym. O ile oczywiście czegoś nie zaszyfowała albo nie zabezpieczyła hasłem. Ale wtedy na ogół też można sobie poradzić. Przynajmniej ze standardowymi zabezpieczeniami w oprogramowaniu biurowym. Zresztą pewnie macie fachowców od tego. - Informatyk spojrzął na komisarza.

Nowak pomiął tę uwagę milczeniem.

- No dobrze. - Kalicki wyciągnął kabel. - Odłączyłem pana od sieci, żeby nie zadziało żadne oprogramowanie administracyjne z centralnego serwera, instalacja upgrade'ów i tak dalej. Nie będziemy zaburzać stanu komputera.

- Dziękuję, powinienem dać sobie radę. - Nowak spojrzął pytająco na informatyka. - Czy mogę tu posiedzieć godzinę, dwie? To spokojne miejsce i chętnie tu popracuję.

- Oczywiście... Czemu nie. Dziś nie mamy żadnych testów. Zostawię panu klucz, niech pan zamknie, jeżeli będzie pan chciał wyjść do kuchni albo toalety. Wie pan, gdzie są? Mijaliśmy je, idąc od windy. W kuchni znajdzie pan herbatę i jakąś niby-kawę z automatu. Niech pan zadzwoni pod 1535, jak będzie pan chciał wyjść.

Nowak pobieżnie przejrzał pliki zgromadzone na dysku. Większość stanowiły dokumenty finansowe i marketingowe, prognozy, analizy rynku, dużo wewnętrznych opracowań banku, z których i tak niewiele rozumiał. Na pulpicie znalazł folder z kolejnymi wersjami prezentacji, nad którą pracowała Alicja Jasińska. Prezentacja była oszczędna w formie, ale za to - o ile mógł to docenić - miała pewną dramaturgię, jeżeli chodzi o sposób przedstawienia pomysłów na rozwój strategii banku w

dziedzinie produktów „w silosie SME”, cokolwiek to oznaczało. Nowakowi skojarzyło się to raczej z radzieckimi raketami SS-20.

Przeglądał pocztę dziewczyny. Większość maili miała charakter służbowy. Wszystkie były napisane poprawną polszczyzną, z użyciem wielkich liter i znaków przestankowych. To pasowało do obrazu osoby systematycznej ze skłonnością do perfekcjonizmu. Zarówno maile odebrane, jak i te wysłane, były pogrupowane w foldery o nazwach odpowiadających poszczególnym projektom, w których Alicja Jasińska brała udział, i zagadnieniom, którymi się zajmowała. Prywatnych wiadomości było stosunkowo mało - wszystkie oczywiście zgromadzone w folderze „Prywatne”, z podziałem na nadawców. Dziewczyna miała kilkoro znajomych płci obojga, z którymi w miarę regularnie korespondowała. Prawie wszystkie prywatne listy wysłane przez nią miały jako czas wysłania podaną co najmniej osiemnastą; musiała je pisać po godzinach pracy albo w domu. Tematy listów były różne. Filmy, znajomi, rejs po Morzu Śródziemnym, na który wybierała się w tym roku... Wiadomości od Adama Marciniaka, jej byłego chłopaka, znajdowały się w osobnym katalogu. Nie było w nich złości ani rozdrapywania ran, widocznie rozstali się w miarę spokojnie. Marciniak potrzebował kontaktu z kimś bliskim w Polsce, w Londynie pracował tylko z Brytyjczykami, z których większość stanowili Hindusi. Widać, że adresatka jego listów zachowywała dystans i nie zależało jej na ponownym ożywieniu wygasłych uczuć. Alicja prześlizgiwała się po tematach. Dowcipy, żartobliwe komentarze dotyczące bieżących wydarzeń, nawet wspólnych znajomych - to było, ale nieśmiałe próby wspomnienia o miejscach, które razem odwiedzili, albo przygodach, które przeżyli, po prostu ignorowała. Koleżance o imieniu Joanna, pracującej zresztą w konkurencyjnym banku po drugiej stronie ulicy, zwierzała się z nieco bardziej osobistych problemów, jak na przykład choroba ojca, u którego lekarze podejrzewali złośliwy nowotwór skóry, albo kłopoty młodszego brata ze zdobyciem pracy. Nie udało się jednak znaleźć żadnych informacji o tym,



że dziewczyna czuła się zagrożona, że bała się czegoś albo kogoś, poza samotnością.

W programie pocztowym Nowak zobaczył także wiadomości ściągnięte z prywatnego konta zewnętrznego. Nie było w nich prawie nic poza reklamami innych banków oraz tanich linii lotniczych. Najwyraźniej Alicji Jasińskiej wystarczała w zupełności jedna tożsamość, ta związana z pracą zawodową. Nowak nie należał na pewno do specjalistów od komputerów, ale jego wiedza była wystarczająca na tyle, by sprawdzić listę stron internetowych, które Jasińska ostatnio odwiedzała. Na liście znalazł serwis randkowy Onetu. Spróbował otworzyć offline stronę logowania. Hasła nie było, ale pojawił się pseudonim, którego używała. BigGirl27. Duża dziewczyna. Duża dziewczyna, zatem dorosła kobieta, samotna, z dużego miasta. Będą musieli zwrócić się do portalu o podanie hasła, żeby móc prześledzić historię jej kontaktów z innymi użytkownikami. To mogło okazać się ważne. Kto wie, może morderca nie tylko ją śledził, ale i wcześniej nawiązał z nią kontakt tą drogą. Choć to oznaczałoby zdecydowanie większe wyrachowanie i planowanie z jego strony. Nawet jeśli nie był to ten sam morderca, co w poprzednich wypadkach.

Nowak zamknął notebooka. Trzeba będzie przekazać go specjalistom, może znajdą jeszcze jakieś dodatkowe informacje, ukryte w miejscach, do których on nie potrafił dotrzeć.

- No to jeszcze raz. Wracaliście od kolegi, który mieszka na Rosy Bailly. Wsiedliście na przystanku „Orlich Gniazd”, tak? Według rozkładu dwunastka odjeżdża o 22.57, zgadza się? Wsiadaliście do tego tramwaju, prawda?

- Tak... Było koło jedenastej - potwierdził wysoki, kędzierzawy chłopak. Jego nieco wylupiaсте oczy spoglądały niepewnie na komisarza.

- Weszliście do drugiego wagonu. Na przystanku ktoś z niego wysiadał.

- Tak. Ten facet, którego już opisywałem.

- Opisywałeś, ale nie nam. Spróbuj opowiedzieć jeszcze raz.
- Wysoki... Znaczy się, mojego wzrostu. Może troszkę wyższy.
- Ile masz wzrostu?
- Metr osiemdziesiąt sześć.
- Szczupły, tęgi?
- Tęgi był raczej, szeroki w barach. Napakowany.
- Jak ubrany?
- Ciemne spodnie. Jasna kurtka.
- Szara koszula - włączyła się milcząca dotąd dziewczyna, szczupła blondynka w różowej bluzce.
- Jak się zachowywał? Był zdenerwowany? Szedł czy biegł?
- Nie biegł. Po prostu wysiadł. Poszedł w stronę przejścia dla pieszych. Ale nie wiem, w którą stronę potem skręcił.
- Miał coś w ręku? Jakieś narzędzie albo torbę?
- Nie... - chłopak zastanowił się. - Chyba nie.
- Ile mógł mieć lat?
- Spojrzeli na siebie.
- Trudno powiedzieć - powiedziała Kamila Palińska.
- Mógł mieć dwadzieścia siedem, może trzydzieści, a nawet trzydzieści parę. Nie mam pojęcia.
- Dziwna gęba - dorzucił jej chłopak.
- Jak to dziwna?
- Taki spuchlak trochę. Buldogowaty.
- Coś szczególnego jeszcze w twarzy? Zarost, okulary, kolczyk w uchu?
- Nieee... Okularów nie miał, brody ani wąsów też nie. Kolczyka nie pamiętam. Krótkie włosy.
- Operator programu do tworzenia portretów pamięciowych słuchał uważnie rozmowy i zaczął wybierać odpowiednie opcje umożliwiające naszkicowanie sylwetki i twarzy mężczyzny.
- Dobrze, zaraz spróbujemy zrobić rysunek. Ale powiedzcie jeszcze jedno. Weszliście do wagonu i zobaczyliście trupa. Ten człowiek już nie żył, prawda?

- Prawda - potwierdzili oboje równocześnie.  
- A skąd wiecie? Sprawdziliście mu tętno? Sprawdziliście, czy oddycha? Może jeszcze żył, może dałoby się go uratować?! Dlaczego nic nie zrobiliście? Nie mówię już o tym, żeby zadzwonić na policję, choć to przecież najłatwiejsze. Mieliliście komórkę, prawda? - Chłopak skinął głową. Jasne, teraz każdy ma komórkę. - Dlaczego nie poszliście do motorniczego albo dyspozytora?

- Dlaczego? To już pewnie... na pewno był trup, nie? I tak byśmy nie pomogli. Po co się mieszać?

No jasne. Po co się mieszać. Lepiej mieć święty spokój. Sumienie nie gryzie długo.

- Dobra. Siądźcie bliżej komputera. Robimy obrazek.

Relacja potwierdziła najbardziej prawdopodobny scenariusz wydarzeń: Oleszkiewicz zasnął w tramwaju i przegapił swój przystanek. Obudził się zapewne tuż przed śmiercią, kiedy morderca wbijał mu nóż w serce.

Nowak siedział i patrzył, jak powstaje portret. Operator zadawał krótkie pytania i natychmiast dobierał odpowiedni nos, oczy, brwi, usta z biblioteki. Wyszczupłał i rozciągał twarz. Jak przypuszczał komisarz, kilka tygodni skutecznie zatarło wspomnienie twarzy i sylwetki raz widzianego człowieka. Młodzi ludzie kłócili się między sobą o szczegóły. I jak zwykle w takich sytuacjach dziewczyna pamiętała więcej.

Nowak przyjrzał się efektowi końcowemu. Z jednej strony miał dziwne uczucie, jakby oglądał postać z komiksu, fikcyjnego bohatera, a z drugiej nieokreślone wrażenie, że takiego człowieka już kiedyś widział. Było w nim coś znajomego. Ale co? Tego nie był w stanie stwierdzić.

Przed wyjściem przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy.

- Dorabiasz w jakimś fastfoodzie, prawda? - zapytał chłopaka. - Gdzie?

- W McDonald'sie na Wrocławskiej - powiedział Paweł Górny. - A co?

- Nic, nic. - Nowak chciał po prostu sprawdzić, czy jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności chłopak nie pracuje w pizzerii na Prostej. Zresztą można się było domyślić, że nie. W czasie pierwszej rozmowy telefonicznej komisarz słyszał w tle coś o cheeseburgerach. Ale w końcu pizzeria mogła zmieniać asortyment. Żeby zdobyć nową grupę docelową, target czy cholera wie co. Może silos.

Wieczorem Nowak kartkował książkę o tramwajach, znajdując różne ciekawostki. Na początku XX wieku tramwaje przemalowano z barw szafirowo-żółtych na kolor czerwony z żółtymi obramowaniami. Czyli na tradycyjne warszawskie barwy. Linie tramwajowe oznaczano wtedy kolorowymi tablicami. Dlaczego nie numerami lub literami? Zapewne ze względu na spory odsetek niepiśmiennych wśród pasażerów. Nowaka zaciekawiła rola konduktora - była to najważniejsza osoba w tramwaju, motorniczy podlegał mu służbowo. Do jego zadań należało nie tylko wydawanie biletów, ale na przykład ogłaszanie przystanków, organizacja miejsca w przedziale, a nawet czyszczenie wagonów na krańcach linii! Co więcej, na trasach biegnących ulicami o dużym spadku, takimi jak Nowy Zjazd czy Książęca, konduktor musiał wypełnić także obowiązki hamulcowego.

Parę interesujących informacji dotyczyło ulicy Kawęczyńskiej, którą niedawno Nowak szedł. Zajezdnę zbudowano tam w 1925 roku. A domy po parzystej stronie ulicy, od numeru 10 do 22, postawiono dla pracowników przedsiębiorstwa tramwajowego w latach trzydziestych XX wieku, jak trzeba było od paru lat dodawać.

Zasnął nad książką. Tej nocy śniło mu się, że kupował dwa bilety na musical na motywach *Mein Kampf*.

- Dajemy to do gazet? - zapytał Zakrzewski na porannym spotkaniu w piątek.

- Jeszcze nie. Rozsyłamy do wszystkich komisariatów. Każdy policjant na ulicy musi mieć ten rysunek - odpowiedział Michalski. - I przed nami też kupa roboty. Musimy porównać portret ze wszystkimi nagraniami z kamer wideo, z listą ludzi zwolnionych z komunikacji miejskiej... Karol, przesłuchaliście już kasjerów z Castoramy?

- Zaczęliśmy. Nikt sobie nie przypomina nic szczególnego. Ale teraz mamy obrazek, może być łatwiej. Na dodatek wynikił jeszcze te Empiki i sklepy płytowe.

- Marcin, weź to na siebie - podinspektor zwrócił się do Drzyzgi. - W poniedziałek dostaniesz kogoś do pomocy. Poza tym kompletujesz listę ofiar wypadków i ich rodzin. Rozumiem, że już zacząłeś przepytwać tych ludzi. Musimy także przesłuchać jeszcze raz wszystkie osoby, które mogły widzieć tego faceta. Adam, dostajesz tramwajarzy, często się z nimi kontaktujesz.

Nowak skinął głową. Wciąż wpatrywał się w nierzeczywisty portret mordercy. Rzekomego mordercy. Efekt współpracy zawodnej pamięci dwojga ludzi oraz biegłości operatora. Było w tym rysunku poskładanym z gotowych kawałków coś - całość, a może jeden element - co powodowało, że twarz wyglądała znajomo. Bez kontekstu Nowak nie mógł jednak jej zidentyfikować. Jako policjant nie chciał się publicznie do tego przyznać, ale miał czasem problem z rozpoznaniem twarzy sąsiadów kłaniających mu się na ulicy, pod sklepem, w tramwaju. Czyli poza korytarzem w jego bloku, gdzie oczywiście rozpoznawał ich natychmiast. Ale też od tego był policjantem, żeby móc przejrzeć w pamięci wszystkie możliwe konteksty i znaleźć ten właściwy.

- Adam! - Zrozumiał, że podinspektor pyta o coś i patrzy na niego ze złością.

- Co?

- Może byś opowiedział o sprawie tej dziewczyny?!

- Przepraszam - burknął i zreferował wyniki sprawdzenia zawartości komputera.

- Dobrze... Załatw sprawę z tym portalem randkowym, może szalenciec starał się wcześniej spotkać z dziewczyną, może jej groził, prześladował ją. W internecie wariatów nie brakuje. A co z tą kasetą? Z wokalistą Nowakiem? Ktoś do ciebie dzwonił, wysyłał podejrzone maile, usiłował się skontaktować?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Może to tylko taki głupi dowcip naszego mordercy.

Podinspektor Michalski westchnął ciężko.

- Hanf naciska - powiedział ponuro. - Musimy coś mieć po weekendzie. Będzie konferencja prasowa w poniedziałek.

- Boi się, że poleci jego głowa, jeżeli śledztwo nie przyniesie efektów? - spytał Drzyzga.

- Powstrzymaj się od takich komentarzy. - Michalski spojrział złym wzrokiem na podwładnego. - Czytałeś dzisiejsze gazety? Policja nie ma dobrej prasy. W dalszym ciągu.

Podinspektor mówił o artykułach, które pojawiły się na pierwszych stronach dzienników. Policjanci Centralnego Biura Śledczego z Łodzi handlowali narkotykami. Z magazynu zniknęło ponad sto kilogramów kokainy i heroiny przeznaczonych do zniszczenia. Zastąpiono je proszkiem do pieczenia, co wykazała tajna ekspertyza... Jeżeli dodało się do tego wcześniejsze doniesienia na temat kilku funkcjonariuszy CBS z Poznania, przekazujących gangsterom informacje operacyjne, sytuacja faktycznie nie wyglądała najlepiej.

- Nie przesadzajmy. Mamy portret pamięciowy człowieka, który z dużą dozą prawdopodobieństwa jest zabójcą - odparł Nowak. - To bardzo, bardzo dużo. Mamy kilka kierunków, w których musimy podążać, nawet jeżeli niektóre z nich okażą się ślepyimi zaułkami. Harówka, ale chyba wszyscy sobie z tego zdają sprawę.

- Prokurator na pewno. Zaraz do niego zadzwonię, i zreferuję przebieg śledztwa. Miał tu być dzisiaj, ale się trochę rozchorował. - Michalski spojrział w sufit. - Sądzę, że nadinspektor

Hanf też jeszcze pamięta, na czym polega praca policjanta. Gorzej z dziennikarzami.

- I urzędasami z Ratusza - rzucił Zakrzewski. - Wybory będą w tym roku. Parlamentarne i prezydenckie. Trampolina musi się rozbujać.

Nowak wpadł na chwilę na Orlą do Markowskiego i pokazał mu zdjęcia Górnego i Palińskiej.

- Wie pan, to mogli być oni. Tak, dziewczynę poznaję, na pewno to ona. Co do chłopaka nie jestem pewien. Oni wszyscy teraz do siebie podobni - roześmiał się motorniczy. - Stary już jestem, ale twarze kobitek zapamiętuję. Nawet takich młodych.

- A tego człowieka pan sobie przypomina? - Nowak pokazał portret pamięciowy.

- Kto to? Aha, morderca... - Popatrzył ze zrozumieniem na komisarza. - Macie już jego rysopis?

- Jeszcze nie wiemy, czy to morderca. Być może.

Markowski długo wpatrywał się w rysunek.

- Nie - westchnął. - Nic z tego. Jest w nim coś znajomego, ale nie umiem powiedzieć co.

No właśnie.

Wojciech Przyjemski jeździł tego dnia tramwajem linii 27. Nowak podjechał na pętlę koło Cmentarza Wolskiego. Po drodze z jakimś rozrzewnieniem - czy był zdolny do takiego uczucia? - spojrzął na szary, ponury budynek, w którym spędził parę lat, próbując pojąć, na czym polega praca policjanta. Trochę już chyba zrozumiał, choć jego początkowy idealizm zdążył zniknąć. Może jeszcze powróci. Budynki i ludzie nie zawsze są spisani na straty. Policja już miała się przecież stąd wynieść, między innymi ze względu na smród z przeciążonego kolektora ściekowego, znajdującego się w pobliżu. Ale się nie wyniosła, budynek miał być remontowany

Przyjemski poczęstował komisarza herbatą z termosu i wziął szkic do ręki.

- Tak - powiedział. - To był ktoś taki. Pasuje do tego, co zapamiętałem. Twarzy nie widziałem, jak już panu mówiłem, ale był wysoki, w jasnej kurtce.

Nowak podjechał do wolskiej zajezdni, gdzie umówił się z inżynierem Stadnickim. Spotkali się na portierni. Szef stowarzyszenia miłośników komunikacji spojrzął na portret i pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - To na pewno nikt, kogo bym znał ze stowarzyszenia. I nie jestem w stanie przypomnieć sobie tej twarzy. Co oczywiście nie znaczy, że się u nas nie pojawił. Zapytam innych, może mają lepszą pamięć. Mogę zrobić kopię?

- Proszę bardzo. Na razie nie rozpowszechniamy tego szkicu - odparł Nowak. - Ale już wkrótce to zrobimy.

Nowakowi przyszło do głowy, że z jednym z członków stowarzyszenia skontaktuje się od razu. Miał na myśli Żurka. Spojrzął na ostatnią kartkę w notesie, tę z literą „Ż”, gdzie miał zapisany numer do emerytowanego motorniczego. I drugi, do jego córki. Teraz wybrał pierwszy z nich. Nikt nie odbierał.

Zadzwoił do aspiranta Kowalskiego. Ten wyraźnie ucieszył się z telefonu komisarza i zobowiązał do ponownego przesłuchania dyspozytora, motorniczych i kierowców z pętli pod hutą. Zakrzewski miał przepytąć ludzi z Okęcia - dyspozytora, motorniczych i sprzedawców. Nowak wrócił na komendę i zaczął oglądać jeszcze raz nagrania z kamer wideo z okolic pętli na Okęciu, a także poniedziałkową taśmę nakręconą na miejscu zbrodni koło Norblina.

Po dwu godzinach bezowocnego wpatrywania się w ekran zrobił przerwę na kawę. Zapomniał nawet o obiedzie. Nic to, może skoczy do Grubej Kaśki, do pułkownika Woreczko, na fileta z martwego kurczaka. Przetarł oczy i popatrzył na zawieszoną na dużej korkowej tablicy mapę sieci tramwajowej w



Warszawie. Do planu przypięto kartki z nazwiskami kolejnych ofiar i cyframi oznaczającymi kolejność morderstw Tramwajarzy. Po raz kolejny usiłował dostrzec wzór ukryty w kolorach, którymi narysowano przebieg tras, i w numerach linii, oraz powiązać to wszystko z nazwami przystanków końcowych i zajezdni, z których wyjeżdżały poszczególne składy. A także z nazwiskami zamordowanych. Bez skutku. Im dłużej przypatrywał się kolorowym liniom, tym bardziej czuł, że nie jest w stanie uchwycić żadnej prawidłowości, choć wszystkie dane, które mógł zebrać, ma w ręku. Może taki schemat, uniwersalny wzór, po prostu nie istnieje, bo ludzkie zachowania, zachowania pojedynczego, konkretnego człowieka, nie dadzą się opisać prostymi formułami. Chyba że jest inaczej: może właśnie prosta reguła generuje skomplikowane wzory, które stają się tym bardziej złożone, z im bliższej odległości chcemy je oglądać? Jak w tych strukturach matematycznych, fraktalach, które kiedyś oglądał. Zbiory na płaszczyźnie lub w przestrzeni, definiowane według bardzo prostych zasad, a wyglądające w sposób niezwykle skomplikowany. „I piękny”, pomyślał. Tu tego piękna nie było, przynajmniej dla Nowaka. Tu było samo zło. Może mordercy wydawało się piękne? Może stworzył wzór we własnym umyśle i potem rysował go na planie Warszawy? Podobnie wyglądający jak na tych zdjęciach, stereogramach, które były modne parę lat temu? Trzeba się dobrze przypatrzeć, z pewnej odległości, odpowiednio dopasowując wzrok, żeby ujrzeć wyłaniające się z pozornie bezładnego obrazu trójwymiarowe obiekty. Nowak otworzył kolejny raz teczkę ze zdjęciami z miejsc, w których znaleziono zwłoki. Wyciągnął raporty z sekcji. Ponownie starał się uchwycić te wiadomości, które już być może przesłano, a których nie umiał wcześniej odczytać. Zauważyć, że w ogóle są. Przejrzał jeszcze raz akta poszczególnych morderstw i wynotował numery linii, dni popełnienia morderstwa, nazwy pętli. Numer boczny wagonu dwunastki. Na pierwszy rzut oka nie było widać prawidłowości. Na drugi też. Usiadł nad kartką papieru i zaczął szukać jakiejś zależności arytmetycznej. Wiedział,

że zapewne donikąd go to nie zaprowadzi, ale spróbować musiał. Do cholery, musi być jakaś zasada. Musi.

Zerknął jeszcze raz na kasetę, którą dziś kupił w Empiku. Taką samą jak ta znaleziona przy Alicji Jasińskiej. Popatrzył na tytuły utworów. Niektóre pasowały do sytuacji. To znak, Mam imię, nazwisko i pracę, Idę przed siebie... Hm, jest jeszcze kawałek Tak mówi pismo... Ciekawe, czy tekst ma coś wspólnego z religią. Ale na razie wykluczyli obsesję religijną u mordercy. Aha, no i ostatni utwór, Policjanci w Atenach udają Greka. A właśnie, zespół Raz, Dwa, Trzy chyba na każdej płycie nagrywał zabawny utwór z policjantami w tytule. Policjanci w Paryżu pchają furgonetkę, Policjanci w Warszawie snują się po ulicach... Może to o to chodzi.

Nowak rozłożył wkładkę z tekstami, żeby wczytać się w słowa poszczególnych utworów, spróbować znaleźć ukryte znaczenia. Wiedział, że Anna robiła to samo. Miała tę płytę w domu, tak mówiła. On wcześniej jej nie znał, więc nie mógł zaprosić pani psycholog na wspólne słuchanie. Cha, cha. Popatrzył jeszcze raz na okładkę. Po chwili wstał i podszedł do planu wiszącego na tablicy. Raz, Dwa, Trzy. Jeden, dwa, trzy. Jedyńka, dwójka, trójka.

Chwycił za telefon.

- Potrzebny mi radiowóz. Natychmiast. Muszę pojechać na Żerań.

## Jedynka, dwójka, trójka

### 1

- Dokąd ty nas właściwie wieziesz? - spytał Drzyzga. Milczał przez większość drogi nie tylko dlatego, że był mało mówny, ale także dlatego, że Nowak usiłował wyjaśnić, z jakiej przyczyny powinni sprawdzić to miejsce. Właśnie przejechali Rembielińską nad Trasą Toruńską i wjechali w Anopol. - Jakież księżycowe okolice. To jeszcze Warszawa?!

- Warszawa jak najbardziej. Tu rodzi się dobrobyt naszej stolicy.

Minęli pętlę jedynki i pojechali dalej wzdłuż torów tramwajowych. Wkrótce bloki znikły i pojawiły się tereny przemysłowe. Po chwili skończył się również asfalt, ustępując miejscu betonowej trelince. Opony opla zaczęły hafasować.

- Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych - Drzyzga odczytał napis na bramie. - Szewc bez butów chodzi. Mogli by poprawić drogę przed swoją bazą.

- Myślę, że to zamierzone - mruknął Nowak. - Stąd codziennie wyrusza ciężki sprzęt. Asfalt zostałby szybko zniszczony. O, zobacz, jak widać, jeździ tędy nie tylko sprzęt drogowy.

Z przeciwka jechały dwa potężne tiry. Ich czerwone naczepy były ozdobione najbardziej rozpoznawalną nazwą na świecie: Coca-Cola. Na końcu ulicy znajdowała się rozlewnia.

- Pijesz colę? Zapewne każda kupiona przez ciebie puszka pochodzi właśnie stąd.

- Roztwór kwasu ortofosforowego z dodatkiem sacharozy - mruknął Drzyzga.

Zaparkowali po lewej stronie jezdni, przy pętli tramwajowej. Wyszli i rozejrzeli się.

- Pięknie. No proszę, tu nie tylko powstaje dobrobyt naszej stolicy, tu także przetwarzane są jej śmieci! – Marcin wskazał na siedzibę firmy zajmującej się utylizacją odpadów.

Obejrzeni trzy wysepki, wiatę przystanku, słupki z numerami linii. W poszukiwaniu jakichś znaków zajrzeli nawet do przenośnej toalety, stojącej na pętli. Nic. Nowak popatrzył na północ, w kierunku zarośniętej bocznicy kolejowej i ścieżek prowadzących nie wiadomo gdzie.

- Widzisz to, co ja? Chyba tam trzeba zajrzeć, prawda?

- No, jeżeli faktycznie coś nam chciał wskazać, to nie widzę innej możliwości - rzucił nieco sceptycznie Drzyzga.

Chciał wskazać. On. Tramwajarz, Kasownik. Morderca. Przeciwnik.

Zrujnowany - a może nigdy niewykończony - dom okazał się całkiem duży, nad parterem było widać sporą przestrzeń pod spadzistym dachem. Jedyne mieszkalny budynek w promieniu kilkuset metrów. Tkwił wśród zarośli złowrogo jak dom Ushe-rów. Bez żadnego ogrodzenia. Ciekawe, do kogo należał, może wkrótce zgłosi się właściciel tego terenu? Zapewne kiedyś dom przyciągał pracowników okolicznych zakładów, którzy właśnie tu realizowali swoją potrzebę wypicia flaszki. Albo i inne potrzeby. Ale to było kiedyś. Dziś raczej nawet mniej wykwalifikowani pracownicy woleli walić wódę na działce przy grillu, a nie w takim miejscu. Wsiadali od razu do tramwaju albo do swoich samochodów i czym prędzej uciekali po pracy do domu. Do rodziny. A z rodziną do centrum handlowego.

Policjanci przedarli się przez gęste zarośla i przeszli przez coś, co kiedyś było głównym wejściem do domu. Przez dziury w dachu do środka wpadało nieco słońca, ale jednak było tu ciemno. Nowak włączył latarkę. Ściany były upstrzone różnymi

napisami, wokół wałały się jakieś połamane deski, kamienie, potłuczone cegły. Zakurzone butelki. Weszli do pomieszczenia, które mogło kiedyś być salonem. W kącie po lewej rozległy się gwałtowne piski i szurnięcia. W świetle latarki zobaczyli kilka szczurów, które szybko uciekły do innych pomieszczeń. Nagle Drzyzga chwycił komisarza za ramię i skinął głową w prawo. Nowak dostrzegł znaki namalowane sprayem wokół futryny drzwi prowadzących kiedyś do kuchni. Znaki miały postać zachęcających drogowskazów, strzałek. Były srebrne. Takie jak koło na pętli przy hucie.

Nowak przełożył latarkę do lewej dłoni, prawą ręką wyciągnął i odbezpieczył pistolet. Stał przy futrynie i omiotł światłem całe pomieszczenie. Nie było tam już innych drzwi ani okien, nie dało się przejść dalej. Jeszcze raz skierował snop światła przed siebie. Poczł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Pod ścianą siedział człowiek, a raczej coś, co kiedyś było człowiekiem. Twarz była pozbawiona oczu, nosa i warg, brakowało też sporych fragmentów skóry i tkanki na policzkach. Odsonięte łydki wyglądały jak u trędowatego. To robota szczurów. Ale to nie gryzonie spowodowały pojawienie się na koszuli tego mężczyzny wielkiej brunatnej plamy, która kiedyś była zapewne czerwona. Facet miał poderżnięte gardło.

- O, kurwa - powiedział bezwiednie Nowak i opuścił pistolet.

Drzyzga stanął obok niego i patrzył na trupa z wyraźnym obrzydzeniem.

- Trafiony, zatopiony - powiedział. - Miałeś rację.

Na betonowej drodze stały trzy radiowozy i furgonetka z laboratorium. Ekpa oględzinowa uwijała się jak w ukropie, zbierając wszystkie ślady. Nie było potrzeby odgradzania terenu - pracownicy wychodzący z rozlewni patrzyli przez chwilę na policjantów, po czym szybko odchodzili. Kogo dziś obchodzą trupy.

Przy samochodach stał podinspektor Michalski z podkomisarzem Andrzejem Możdżonkiem z Bródna, wezwanym na miejsce przez Komendę Stołeczną.

- Zwłoki są w takim stanie, że nie mogę być pewien na sto procent. Ale pamiętam ten płaszczyk, kraciastą koszulę - powiedział Możdżonek. - To Jasiek. Widywałem go w okolicach cmentarza. Snuł się po Wincentego. Czasami wyłudził coś od parkujących kierowców. Niekiedy sprzedawał kradzione kwiaty i znicze. Nie pamiętam nazwiska, Kobierski, Kobierecki... zaraz znajdziemy i prześlemy wam dane.

Wincentego... Nowak uśmiechnął się pod nosem. Na Bródnie nikt nie mówi „świętego Wincentego”, mimo że taka jest oficjalna nazwa ulicy, przywrócona po upadku komunizmu. Stare nawyki nie znikają. W Śródmieściu też mało kto mówi „świętej Barbary”.

- Nikt nie zgłaszał jego zaginięcia?

- Nikt. - Podkomisarz wzruszył ramionami. - Żona mu umarła dawno temu, mieli syna, ale zdaje się wyjechał do Niemiec. Nie chciał mieć z ojcem nic wspólnego. Kto miał zgłosić zaginięcie? Kwaciarki spod cmentarza, którym podkradał chryzantemy na Wszystkich Świętych?

Michalski spojrział na swoich ludzi.

- To pasuje do schematu - powiedział. - Do tego, co udało się ustalić, do profilu psychologicznego mordercy. Ofiarą jest bezdomny, zatem ktoś słaby, łatwy cel.

- Ofiara nie ma znaczenia - rzucił Nowak. - Ważne jest miejsce. Następny punkt na mapie Warszawy, dzięki któremu nasz morderca oznacza kolejny kawałek terenu.

- Znaczenie terenu... - zastanowił się podinspektor. - Adam, ty mówiłeś o tym przy okazji graffitiarzy. Tu też znaleźliście znaki. Może to dobry trop, może wciąż powinniśmy szukać wśród malarzy?

- Nie sądzę - powiedział Nowak. - Określanie terenu i jego powiększanie może faktycznie stanowić motyw naszego zabójcy. Ale do tej pory był tylko jeden znak zrobiony sprayem, dopiero teraz odkryliśmy te strzałki.

- Ale dlaczego używa farby w sprayu?

- Morderca stosuje technikę innych osób znaczących swój teren, i dlatego używa farby. Te dzisiejsze strzałki to tylko taka podpowiedź. Oprawa graficzna. Skoro już dotarliśmy tutaj i odgadaliśmy jego intencje, to proszę bardzo, wskazuje nam to, co i tak byśmy znaleźli.

- Miejsce jest wyjątkowo odludne - zauważył Drzyzga. - Moim zdaniem Tramwajarz... przepraszam, Kasownik, popełnił zbrodnię w czasie, który uznaliśmy za martwy. Ech, to znaczy w czasie między popełnieniem drugiego i trzeciego morderstwa.

- Rozumiem - rzucił Michalski. - Chcesz powiedzieć, że ofiara była niejako przygotowana wcześniej. Rzeczywiście, nasza psycholog mówiła, że odstęp między morderstwami wydaje się podejrzanie długi. Nie zdziwię się, jeżeli raport patologa umiejscowi zgon w tym właśnie okresie.

- Czyli... - powiedział Nowak. - Czyli to element gry. Taki bonus dla nas, prawda? Jeżeli się wykażemy na tym etapie, znajdziemy zwłoki. Wykazaliśmy się. Zgadłem, gdzie trzeba szukać.

- Zgadłeś, rzeczywiście - powiedział Michalski. - Raz, dwa, trzy. Jedyńka, dwójka i trójka jadą tutaj, prawda?

- Nie, teraz tylko dwójka i trójka. Jedyńka kończy na pętli Annopol. Ale kiedyś tu docierała.

- Wysłałem ludzi na tamtą pętlę, ale niczego na razie nie zgłosili. Czyli co, zabójca to jednak miłośnik komunikacji miejskiej?

- Może - odpowiedział Nowak.

- Co dalej?

- Dalej? Wydaje mi się, że musi nastąpić jakiś przełom. Jakaś próba komunikacji z jego strony. Próba przeniesienia gry na inny poziom.

- Na inny poziom? - Podinspektor uniósł brwi. - Morderca właśnie przyznał nam punkty? On jest naszym sędzią?

- Sędzią i scenarzystą tej gry.

Wysłali ludzi do Coca-Coli. Ochroniarze w rozlewni nie byli w stanie przypomnieć sobie niczego podejrzanego. Szef bezpieczeństwa obiektu obiecał jak najszybciej przekazać

nagrania monitoringu - najstarsze pochodziły sprzed czterech tygodni. Nowak rozmawiał też z pracownikami firmy zajmującej się wywózką i utylizacją śmieci. Ani kierowcy, ani ochroniarze nie przypominali sobie lumpa snującego się po okolicy, nie mówiąc o tajemniczym mężczyźnie z portretu. Kamer w tej firmie akurat nie było.

Nowak odstawił samochód pod komendę i wrócił do domu ulubionym tramwajem, czyli trzydziestką piątką. W domu włączył kasetę Raz, Dwa, Trzy. Do czego to doszło, morderca wybiera mu muzykę do słuchania. Ale nieźle trafił. Pierwszy tekst przypominał utwory Wojtka Waglewskiego. Podobna estetyka, podobne metafory... Nawet sama piosenka brzmiała trochę jak Voo Voo. Sprawdził na wkładce - no tak, na saksofonach gra członek Voo Voo, Mateusz Pospieszalski, a producentem albumu był jego brat, Marcin. Nad wyraz dobrze się tego słuchało. Świetna płyta. Nie żadna tam „kraina łagodności”, ale trochę uspokojenia dla skołataney duszy. Czyjej duszy? Człowieka wąpiącego. Człowieka w wielkim mieście. Czy coś takiego. Ciekawe, czy morderca też siedział gdzieś w swoim mieszkaniu i słuchał płyt ze swojej kolekcji. Nowak roześmiał się. To musiał być fan Mozarta.

## 2

W sobotę zespół stawił się w komplecie w Komendzie Stołecznej. Dzień był już prawie letni, słońce przygrzewało, termometr wskazywał od rana ponad dwadzieścia stopni, ale nikt nie mógł liczyć na wyjazd z miasta ani na spacer po parku. Jest morderca do złapania. Jeżeli ktoś chce szukać go na rowerze albo w kajaku, życzymy powodzenia.

- Nasz morderca sprytnie wybiera moment ataku - powiedział podinspektor Michalski. - W weekend ciężko szukać świadków.

- No, tym razem to trochę przypadek - zaooponował Nowak. - Wczoraj udało mi się zgadnąć, gdzie szukać zwłok. Zresztą nie wiedziałem na pewno, że to będą zwłoki. A miejsce



jest mało uczęszczane. Trzeba będzie przesłuchać motorniczych, którzy bywają na tej pętli. Przepytać ludzi z przedsiębiorstw, które mają w pobliżu siedzibę.

- Słusznie. Skontaktuj się z ZTM-em i ustal listę motorniczych, których możemy przesłuchać. Sprawdź, czy któryś z nich nie pojawił się już wcześniej w czasie śledztwa. Ja zadzwonię do Coca-Coli i poproszę o rozpowszechnienie informacji pocztą elektroniczną i na plakatach. Tam w końcu pracuje mnóstwo ludzi. Przekażemy portret pamięciowy tego faceta z dwunastki i jakieś zdjęcie zamordowanego. Jak on się nazywał?

- Jan Kobierecki, znany bardziej jako Jasiak - odpowiedział Nowak, patrząc na wydruk faksu przesłanego przez podkomisarza Możdżonka. - Miał pięćdziesiąt trzy lata. Ostatnie miejsce zamieszkania na Radzywińskiej. Mieszkał tam z bratem i jego konkubiną. Ale było to trzy lata temu, potem pokłócił się z bratem i pomieszkiwał byle gdzie. Stały pacjent na Kolskiej.

- Rozmawiałeś z rodziną?

- Rodziną? Też mi rodzina - mruknął Nowak. - Tak, z jego bratem. Nie widział go od dwóch miesięcy. Ostatnio był po pieniądze. Jak się wyraził pan Andrzej Kobierecki, spuścił dziada ze schodów. Boi się, że będzie musiał zapłacić za pogrzeb. „Żył na ulicy, niech go pochowa miasto”, tak powiedział.

Nowak musiał rano złożyć wizytę Kobiereckiemu w zaniedbanej kamienicy na Radzywińskiej, naprzeciwko Zakładów Przemysłu Tłuszczowego. Opuścił mieszkanie tego nieprzyjemnego faceta z uczuciem ulgi, odprowadzany do radiowozu złymi spojrzeniami pięćdziesięciolatków zgromadzonych na dole pod sklepem. Zawłaszczyli ten teren bez żadnych dekretów. Żaden obcy, zwłaszcza gliniarz, pies, nie powinien się tu włączyć.

- Może jest jakieś podobieństwo do pierwszej ofiary? - Wszyscy spojrzeli z niejakim zdziwieniem na podinspektora Michalskiego. - No, Oleszkiewicz też miał brata. I ta dziewczyna również.

- Nie przesadzajmy, panie podinspektorze - powiedziała Anna Perkowska. - Chyba nasz morderca nie wnika tak głęboko w prywatne życie swoich ofiar.

- Czyli ich po prostu nie zna?

- Nie sądzę, że zna je bardziej niż tylko z widzenia, kiedy przygląda im się w tramwajach i dokonuje selekcji. Kryterium wyboru jest moim zdaniem tylko jedno: słabość. Morderstwo musi być stosunkowo łatwe technicznie, że tak powiem. Ofiara powinna być nieprzytomna, słaba fizycznie, pijana... Musi stanowić łatwy cel. Uważam, że zabójca bardziej interesuje się miejscem popełnienia zbrodni niż tym, kogo zabija. Chce mieć tylko jak najmniej problemów z unieszkodliwieniem ofiary.

- Tożsamość ofiary nie ma znaczenia?

- Moim zdaniem nie. Morderca mówi: „To miasto należy do mnie”. I nic więcej.

Zapadła cisza.

- Tak - powiedział po chwili podinspektor Michalski. - Dziś odbędzie się sekcja zwłok tego... Kobiereckiego. Mam nadzieję, że uda się ustalić przybliżoną datę jego śmierci. Nie wiem, czy ta informacja nam się przyda w jakikolwiek sposób, ale może uda się bardziej precyzyjnie ustalić wzorzec zachowania zabójcy. Mówiliśmy o długiej przerwie między drugim i trzecim trupem. Czternaście dni. Między pierwszym i drugim było tylko trzy. Między trzecim i czwartym... czyli między tym facetem z Okęcia a dziewczyną z Prostej, ile...? Dziesięć dni?

- Dwanaście. - Nowak spojrzął w kalendarz. - Podobny rząd wielkości. Jeżeli zabił Kobiereckiego jeszcze w kwietniu, może się okazać, że czas między kolejnymi morderstwami wydłuża się. A to, jak przypuszczam, jest z jednej strony zastanawiające z psychologicznego punktu widzenia, a z drugiej świadczy o coraz większym stopniu trudności kolejnych zabójstw. W końcu staramy się, my, policja, zwiększać bezpieczeństwo w środkach komunikacji miejskiej.

- My, policja... Jakoś nie przeszkadza mu to dokonywać kolejnych zabójstw w pobliżu środków komunikacji - wtrącił Zakrzewski.

- Co teraz? - zapytała Anna Perkowska. - Przypominam o pomysłe dania ogłoszenia.

- Ogłoszenia? Komunikatu dla zabójcy? - Michalski spojrzał wpieryw na Annę, potem w okno, potem znowu na Annę. - Czy może pani przygotować tekst takiej wiadomości?

- Muszę się zastanowić nad jej formą - odpowiedziała. - Czy powinno to być zwykłe ogłoszenie prasowe czy coś bardziej spektakularnego.

- I co w nim napiszemy? - spytał Zakrzewski. - Drogi mordercu, doceniamy twoje pomysły, ale czy mógłbyś, kurwa mać, zaprzestać swojego procederu? Z poważaniem, Komenda Stołeczna Policji?

- Mniej więcej właśnie to, panie komisarzu - odpowiedziała Anna Perkowska zgrzyliwie. - Może trzeba to tylko ująć w nieco innych słowach. Nie używać określeń „policja” i „kurwa mać”.

- Pani Aniu, oczekuję zatem, że w poniedziałek będzie pani miała pomysł zarówno na formę, jak i treść komunikatu, który chcemy przekazać zabójcy. - Podinspektor Michalski gestem powstrzymał Zakrzewskiego od kolejnego złośliwego komentarza. - Dobrze?

- Oczywiście, panie podinspektorze.

- W poniedziałek także zorganizujemy konferencję prasową. Pokażemy portret pamięciowy. Jeszcze dziś zostanie przesłany do kilku redakcji, żeby gazety jak najszybciej mogły go zamieścić.

Portret pamięciowy został przekazany do wszystkich komend rejonowych i komisariatów. Nowak skontaktował się z ZTM-em, żeby uzyskać listę motorniczych jeżdżących na pętłę Żerań Wschodni, a także nazwiska dyspozytorów. Inżynier z Nadzoru Ruchu powiedział zresztą, że spodziewał się kolejnego telefonu z policji. Poprzedniego dnia policjanci rozmawiali z

tramwajarzami, których akurat udało się spotkać na pętli. Niektórzy z nich pamiętali Kobiereckiego, który czasami pojawiał się w tej okolicy. Ale w sobotę zebranie wszystkich danych było dość utrudnione i wszystko należało uzupełnić na początku przyszłego tygodnia.

Nowak spotkał się ze specjalistą, który zajmował się notebookiem Alicji Jasińskiej. Plakietka na marynarce informacyjka głosiła, że nazywa się Marek Szeremeta.

- Zrobiliśmy kopię jej skrzynki pocztowej. Będzie pan miał do niej dostęp, prześlę panu maila z zamiarami na od powiedni serwer. W której pan jest podsieci?

- Co?

- Nieważne, pan jest z wydziału zabójstw, jakkolwiek się on teraz nazywa? To wystarczy.

- Skrzynkę pocztową zdążyłem już obejrzyć - powiedział Nowak. - Podobnie jak katalogi z dokumentami. Co pan może jeszcze powiedzieć o zawartości dysku?

- Nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby się wiązać z działalnością przestępczą. Malwersacjami, szpiegostwem przemysłowym, zdradzaniem tajemnicy służbowej. Znaleźliśmy wprawdzie parę analiz działania konkurencyjnych banków... - Szeremeta podrapał się w brodę. - Są to dokumenty zastrzeżone z punktu widzenia instytucji, ale nic nie wskazuje, że informacje zdobyto nielegalnie.

- Bardziej interesuje mnie to, co można wywnioskować na temat jej życia prywatnego. Jakie strony internetowe odwiedzała, i tak dalej.

- Mamy szczegółową historię z dwu ostatnich tygodni. To głównie portale, serwisy informacyjne, w tym branżowe. Ale także księgarnia internetowa. Ponadto szukała używanego samochodu na Allegro i na innych stronach aukcyjnych. No i odwiedzała portal randkowy.

- To wiem. Macie hasło?

- Jakie hasło? - Informatyk nie zrozumiał.

- Właśnie do tego portalu randkowego. Dostaliście już je?

- Nie dostaliśmy, bo o nie nie prosiliśmy. Ktoś od was powinien to zrobić.

Nożę kurwa mać. Znowu ktoś coś spierdolił. Przecież mieli się o to zwrócić do Onetu. Nowak już przygotowywał sobie przemowę pod adresem asystentki, ale zdał sobie sprawę, że nie przekazał jej odpowiedniego polecenia. A pani Ewa nie była na tyle domyślna, żeby o tym przypomnieć, mimo że uczestniczyła w spotkaniu. Pełny profesjonalizm.

Wrócił do biurka i zredagował faks, podając numery telefonów do KSP i swój adres mailowy.

Około szesnastej był gotowy raport z sekcji zwłok Jana Kobiereckiego. Nowak nie chciał brać udziału w sekcji, podobnie jak w wypadku poprzednich ofiar, zwłaszcza Alicji Jasińskiej. Widział już wystarczająco dużo. Wolał zobaczyć suchy raport lekarza na papierze, nawet z makabrycznymi zdjęciami. Przewertował strony pokryte niewyraźnym pismem patologa. Przyczyna zgonu: wykrwawienie na skutek przecięcia tętnicy szyjnej. Ofiara najprawdopodobniej była odurzona alkoholem w momencie śmierci. Brak śladów wcześniejszego użycia przemocy fizycznej wobec zamordowanego. Czas zgonu trudno ustalić, biorąc pod uwagę stan zwłok, ale szacowano go na trzy do czterech tygodni temu.

To by się zgadzało. To był ten martwy okres, w którym morderca nie zaatakował. Przynajmniej tak się wtedy wydawało. Zatem mamy uzupełnienie. Bonus. Ukryty kufer ze skarbami, który da się znaleźć po otwarciu tajemnego przejścia, jak w grze komputerowej.

Nowak ponownie zadzwonił do Żurka.

- Halo? - W słuchawce zabrzmiał energiczny kobiecy głos.  
- Dzień dobry, pani Kasiu, mówi komisarz Adam Nowak.  
- A! Dzień dobry, panie komisarzu. - Katarzyna Żurek ucieżyła się. - Chciałby pan pewnie porozmawiać z moim ojcem, prawda? Właśnie się zdrzemnął. Czy to coś pilnego? Coś się stało? Mam go obudzić?

- Nie, nie trzeba... Ale chętnie bym do państwa wpadł. Mamy wstępny portret pamięciowy mężczyzny, który może być zabójcą. Chciałbym go pokazać pani ojcu.

- W takim razie zapraszam. Za godzinę tata już będzie na nogach. A ja przygotowuję kolację, więc może się pan załapać. Z tym że dzisiaj nie przewidujemy niczego dla mięsożerców. Co najwyżej rybożerców.

Nowak ucieszył się z tej propozycji. Nawet nie pytał, na co może liczyć. Znowu zapomniał o obiedzie.

Jan Żurek zdjął okulary i przetarł oczy.

- Nie jestem pewien - powiedział. - Mam wrażenie, że go widziałem. Na którymś ze spotkań stowarzyszenia. Głowy nie dam, ale twarz wydaje mi się znajoma. Może nawet nie twarz, ale że tak powiem, ogólna konstytucja.

- Na którym spotkaniu? Jest pan w stanie zlokalizować to w czasie?

Motorniczy zamknął oczy.

- No, nie wiem... Chyba to musiało być w zajezdni Wola. Ale kiedy, trudno powiedzieć. W lutym? W marcu? Na pewno nie odzywał się w czasie spotkań, inaczej bym go zapamiętał. Wie pan, ja bardziej zwracam uwagę na to, co ludzie mówią, niż na to, jak wyglądają. Jestem słuchowcem, nie wzrokowcem, jak mawia Kasia. A zapamiętuję tym bardziej, jeżeli mówią coś mądrego. Che, che, albo coś bardzo głupiego.

Siedzieli w mieszkaniu Żurka na Olszynie. Makaron z łososiem i koperkiem był nadspodziewanie dobry. Makaron, jak powiedziała Katarzyna Żurek, zawiera różne rodzaje węglowodanów o różnym czasie rozkładu. To jest, tfu, trawienia. Dzięki temu dłużej jest się sytym.

Po kolacji Żurek pożegnał się z komisarzem i od razu uciekł do pokoju. Jakże dyskretnie. Katarzyna odprowadziła Nowaka do drzwi. Oboje chcieli coś jeszcze powiedzieć, ale nie potrafili.

Nie potrafili?! Na litość boską, komisarz policji może rozmawiać z bandytami, a nie umie pogadać z kobietą. Dorosły facet, lat trzydzieści osiem, po rozwodzie. Zatem... naprzód, młodzieży świata. Jeżeli nie my, to kto, jeżeli nie teraz, to kiedy. Kto przeżyje, wolnym będzie.

- Pani Kasiu, co pani robi jutro? Czy mógłbym panią zaprosić do kina?

Spojrzała na niego. Albo nie była zaskoczona, albo nie dała tego po sobie poznać.

- Nie mam planów na jutro... Do kina? Czemu nie. Tylko na jaki film? Na trzecią część Gwiezdných wojen? Czy na Królestwo niebieskie?

- Jeżeli chce pani jakiegoś wielkiego widowiska, to proszę bardzo - odpowiedział. - Niech pani wybierze.

- O, a może pan coś zaproponuje... Na czym był pan ostatnio w kinie?

- Hm... - Nowak zastanawiał się, co oglądał w tym roku. Parę miesięcy temu, oczywiście sam. - Pamiętam, gdzie byłem. W „Muranowie”, bo tam mam najbliżej z komendy. Czyli musiałem być na czymś ambitnym... A, już wiem! - Pstryknął palcami. - Wcale nie ambitnym. Kabhi Khushi, Kabhie Cham. Czyli Czasem słońce, czasem deszcz.

Parsknęła śmiechem.

- Żartuje pan? I co, podobało się panu? Może pan, twardy gliniarz, w tajemnicy przed kolegami poszedł się wzruszyć na prawdziwym dramacie rodzinnym?

- Nie, chciałem zobaczyć prawdziwy indyjski film z tamtejszymi gwiazdami. Wzruszyć się było raczej trudno. - Nowak przypomniał sobie ulubioną minę odtwórcy głównej roli, jego kręcenie głową połączone z rzewnym łkaniem. Czemu zwykle towarzyszyły grzmoty i podniosła muzyka. - W zasadzie nie zawiodłem się, piosenki i choreografia były świetne. Chociaż trochę przysypiałem.

- Dobrze, spójrzmy zatem do gazety. O, właśnie. Pewnie pan lubi Clinta Eastwooda? Jasne, wszyscy lubią Clinta Eastwooda. Widział pan jego film, ten, który zdobył Oscary?

Za wszelką cenę? Koniecznie chcę go zobaczyć, jeszcze jest grany... o, na przykład w Arkadii, o szesnastej.

- Bardzo dobry pomysł. - Komisarz ucieszył się, chociaż nie lubił Arkadii i tłumów przewalających się przez centrum handlowe. - To co, spotkamy się na miejscu? Czy wcześniej skoczmy na kawę? Choć może po filmie byłoby lepiej... Jutro pewnie będę musiał wpaść do pracy - wyjaśnił. - Nie wiem, o której wyjdę.

- Możemy i po filmie. - Katarzyna Żurek uśmiechnęła się. - W końcu nie będzie jeszcze późno.

Słusznie. Przynajmniej mamy pewność, że będzie o czym pogadać. Stary Clint na pewno nie zawiedzie.

Nowak wrócił do domu w dobrym nastroju, choć nic tego nie zapowiadało przez cały dzień. Poranna wizyta u brata ofiary wprowadziła go w paskudny nastrój. Potem rozlewnia na Żeraniu - musiał odebrać nagrania od ochrony. I jeżdżenie z portretem pamięciowym, który zaczął rozdać jak zdjęcie gwiazdy filmowej. W poniedziałek prasa i portale internetowe zadbają o to, żeby nieznaną - a być może nawet nieistniejącą - facet został bohaterem. Ważne: chłopak z pizzerii na Prostej patrzył długo na rysunek, ale nie przypominał sobie twarzy. Jeszcze trzeba będzie odwieźć tego Paczkowskiego, który znalazł zwłoki Jasińskiej, niestety dziś go nie było w domu. Czyli ogólnie rzecz biorąc, brak spektakularnego sukcesu. A Nowak potrzebował go. Nie tylko on, wszyscy zaangażowani w śledztwo tego pragnęli. Ale Nowak stęsknił się za sukcesem w każdej dziedzinie. Brakowało mu tego uczucia od... od dawna. Chyba właśnie dlatego chciał się spotkać z Żurkiem. Tak, Żurek powinien zobaczyć portret pamięciowy, ale komisarz miał też nadzieję, że zastanie u niego Kasię. Ha, Zakrzewski pewnie by to wyśmiał. „Stary, dawno się nie bzykałeś, i tyle”, powiedziałyby. Albo rzucił parę złośliwości na temat kibicowania niewłaściwej drużynie, która nie daje żadnej gwarancji zwycięstwa. I miałby niestety rację. W obu sprawach.



W domu Nowak włączył telewizor, żeby obserwować w telegazecie przebieg meczu Odry Wodzisław z Polonią. Musiał zakląć już w pierwszej minucie. Gol dla Odry. Zniechęcony zabrał się za sprzątanie świata, a raczej jego małego fragmentu. Odkurzył dywany, wyszorował wannę, wreszcie poszedł do kuchni pozmywać talerze zalegające od paru dni w zlewie. Otworzył piwo, wrócił do pokoju i puścił sobie Album of the Year Faith No More, płytę z prezydentem Masarykiem na okładce. Symbol dobrych, starych czasów, które odeszły. Tymczasem wynik meczu nie ulegał zmianie. Dopiero dwanaście minut przed końcem Benjamin Imeh strzelił gola dla Polonii.

- Brawo, Benek! Nareszcie się przebudziłeś - zawołał do telewizora, podnosząc do góry butelkę z portem. - Wszystkie Benki to fajne chłopa!

Bramka na 2:1 dla Odry padła w piątej minucie doliczonego czasu.

### 3

Wszystko wskazywało na to, że niedziela będzie kolejnym pięknym, a nawet upalnym dniem. Nowak zjadł lekkie śniadanie i założył dres. Po raz pierwszy w tym roku wyszedł pobiegać. „Uprawiać jogging”, jak powiedziałyby jego była żona... Pał diabli żonę. Pobiegł Jarzębskiego i Aleją Zjednoczenia do Kasprowicza, po czym wbiegł w uliczki na tyłach bloków i dotarł do Lasku Lindego. Potruchtał sobie po zielonym lesie, rozświetlonym późnowiosennym słońcem, niepokojony tylko przez psy różnego formatu, na ogół dopasowanego do ich właścicieli. Właściwie mógłby im wlepić mandat za puszczenie czworonogów bez smyczy. Kiedyś to w końcu zrobi.

Po powrocie do domu wziął prysznic i ogolił się. Przyjrzał się nieco dłużej swojemu odbiciu w lustrze. Było lepiej niż parę tygodni temu. Wyszczupłał i wyglądał nieco bardziej po męsku, a nie jak rozlały misio. Popatrzył na trzymaną w rękę maszynkę

i uśmiechnął się. Kiedyś doszedł do wniosku, że nic tak dobrze nie odmierza czasu samotnego mężczyzny jak kolejne zużyte paczki nożyków do golenia. Niezbyt elegancko podrapał się poniżej pasa. O zużywaniu innych paczek, dostępnych również przy kasie w supermarkecie, nie było mowy od dawna. Kiedy ostatni raz kochał się z kobietą? Sześć, siedem miesięcy temu? Tak, w listopadzie. Oboje byli nieco pijani i oboje z zakłopotaniem rozstali się następnego dnia, żeby w zaciszu swoich domów osobno zwalczać objawy zatrucia alkoholowego. Domów z betonu, ma się rozumieć. Nowak widywał tę dziewczynę w Komendzie Stołecznej, pracowała w archiwum, ale wymieniali tylko zdawkowe powitania.

Bał się tego, co może wynikać z rozpoczęcia kolejnego związku. „Związek!”, aż prychnął pod nosem, patrząc z politowaniem na swoje odbicie. No właśnie. Obawiał się tego, że jego wyobraźnia już rozpoczęła jakieś dalekosiężne rojenia, związane z niedawno poznaną kobietą. Kobietą, która jest samotna, inteligentna i atrakcyjna, a na dodatek zaszczyciła go uśmiechem i miłą rozmową. Łatwo w takiej sytuacji zbyt wczesnie uwierzyć w wyobrażoną przyszłość, do której przecież nie da się od razu przeskoczyć. Bał się, że zachowa się jak naukowiec, który jest pewien swojej teorii, ale zapomniał zweryfikować podstawowe założenia.

Pojechał do komendy i sprawdził pocztę. Ku jego zdziwieniu nadeszła już odpowiedź z portalu randkowego. Cóż, w końcu internet jest czynny przez całą dobę. Administratorzy przesłali nowe hasło do konta BigGirl27, ciąg znaków wyglądający na losowy. Nowe, gdyż poprzednie znała wyłącznie Alicja Jasińska.

Wpisał adres strony w przeglądarce, podał nazwę użytkownika oraz hasło. Przed wciśnięciem klawisza „Enter” zawałał się przez chwilę. Wiedział, że w pewien sposób wejdzie teraz w czyjeś życie, życie po śmierci. Wcieli się w rolę zamordowanej kobiety.

Dziewczyna zarejestrowała się w serwisie dopiero na trzy tygodnie przed śmiercią. Nowak szybko zorientował się w strukturze dostępnych opcji. Zobaczył też, że Alicja Jasińska utrzymywała tu porządek podobnie jak w swojej służbowej skrzynce pocztowej: foldery i podfoldery opatrzone stosownymi nazwami. Zaczął czytać listy.

Uwielbiam kąpać się w morzu. Wypływam daleko, zdejmuję majtki i macham nimi radośnie - pisał Wesoly\_Janek. Adresatka najwyraźniej bawiła się nieźle i nie chciała przerywać z nim korespondencji, w każdym razie prowokowała nieszczęsnego pływaka do kolejnych, nomen omen, wynurzeń. Na szczęście portal zapewniał anonimowość i nie trzeba było od razu obawiać się wariata. Użytkownicy rozpoznawali się tylko poprzez pseudonimy, z którymi wiązały się stworzone przez nich profile. Każdy podawał tam swoje zainteresowania, opisywał marzenia i to, czego szukał. Niektórzy pisali wprost, że szukają rozrywki. Skoku w bok. Mało kto ryzykował umieszczenie swojego zdjęcia.

Nowak czytał kolejne wiadomości. Niestety facet od kąpielówek mieścił się w górnej strefie stanów średnich. Było kilka obscenicznych listów, których autorzy w malowniczy sposób opisywali to, co chcieliby robić z kobietą. Zapewne najbardziej podniecało ich napisanie takiego listu, bo nigdy nie mieli szansy na realizację swoich pragnień. Powstawała z tego trzeciorzędna pornografia, pisana w pierwszej osobie, pełna wkładania, wyjmowania, rozkładania, wylizywania i tak dalej. Na ogół roiło się w niej od wykrzykników i wielokropków. Alicja Jasińska na te listy oczywiście nie odpowiadała, ale również ich nie usuwała, tylko wrzucała do specjalnego folderu - tak jakby chciała zaznaczyć osoby, których należy unikać. Żaden z listów nie zawierał gróźb, żaden nie wskazywał na to, że nadawca zna dziewczynę choćby z widzenia. Ona również była ostrożna i nie podawała zbyt wiele szczegółów na temat swojej osoby - tego, gdzie mieszka, gdzie pracuje, nawet tego, jak ma naprawdę na imię.

Szóstego maja pojawił się pierwszy list od człowieka, który najwyraźniej przyciągnął jej uwagę. Nowak znalazł profil tego

faceta. Podpisywał się „Jackie Charlton”, miał trzydzieści jeden lat, lubił psy, koty i podróże, jego idolami byli Sting i Ronaldinho, a ulubionym filmem Podejrzani. Grywał w piłkę nożną i jeździł na nartach. Sensowny gość. Korespondencja z nim rozwijała się lepiej niż z kilkoma innymi „normalnymi” facetami. Z Jasińską zaczęli opowiadać sobie o problemach z ludźmi, ze związkami, o tym, dlaczego się rozstali z poprzednimi partnerami. Wiem, dlaczego się ludziom nie udaje. Po prostu się nie starają. Myślą tylko o sobie, pisała Jasińska. Jackie Charlton wspominał, że jest informatykiem i pracuje w firmie telekomunikacyjnej. Wydawało się to godne uwagi. W końcu ten zawód należał do grupy podejrzanych - mógł do niego pasować profil zabójcy.

Nowak zajrzał do kopii pliku poczty z notebooka, przechowywanej na policyjnym serwerze. Przejrzał jeszcze raz maile prywatne, wysyłane do koleżanek i brata. Jasińska pisała koleżankom o tym, że zarejestrowała się w takim serwisie. Miała wątpliwości, czy to nie jest akt desperacji, szukanie znajomości w wirtualnym świecie, w świecie, w którym najwyraźniej czuła się lepiej. I bała się tego, co może się stać wtedy, gdy znajomość będzie musiała przejść na inny poziom. Do realu, jak mawia młodzież. Nowak znalazł jeden list wysłany do przyjaciółki, w którym wspomina o Charltonie, o tym, że może jest jakaś nadzieja na to, że nie ma on w rzeczywistości żony, pięciorga dzieci, brata w więzieniu i ciotki w Samoobronie. Nowak roześmiał się w końcu. Jackie Charlton. Mistrz świata z 1966 roku, zresztą podobnie jak jego brat, Bobby. Trener reprezentacji Irlandii. Nie mógł się powstrzymać, bo wyobraził sobie łysiego Anglika w kaszkiecie i płaszczu, piszącego listy do Alicji Jasińskiej.

Czy już nie najwyższy czas na spotkanie?, przeczytał w piątkowej wiadomości. Czy kolejny weekend oboje spędzimy, szukając miejsca do ukrycia się przed ludźmi? W skrzynce nie było odpowiedzi. Najwyraźniej nie spotkali się. Facet przesłał trzy listy z datą nadania już po jej śmierci, rozczarowany tym, że nie odpowiada, i zaniepokojony faktem, że w ogóle się nie loguje do serwisu.

Pozostali mężczyźni, z którymi korespondowała Alicja Jasińska, nie byli aż tak interesujący, najwyraźniej dla niej również. Nie odpisywała od razu, czasami jej odpowiedzi były w pewien sposób wymuszone, jakby czuła się zobligowana do kulturalnej reakcji na miły list. Jeżeli nie było o czym rozmawiać, wymiana wiadomości po prostu się urywała. Jakie to wygodne...

Nowak zanotował pseudonimy osób, z którymi nawiązała kontakt zamordowana dziewczyna, i przesłał hasło Annie Perkowski. Jasne, trzeba dotrzeć do tych ludzi, ale on nie znalazł w tej korespondencji nic groźnego. Niech jednak poczyta to psycholog.

Nowak posiedział jeszcze nad listą osób, które uczęszczały na spotkania miłośników komunikacji. Efektem było zestawienie imion, nazwisk i numerów dowodów osobistych z informacją o tym, ile razy pojawiali się na spotkaniach. Jeżeli Żurek się nie mylił, wśród zarejestrowanych osób mogło być nazwisko mordercy. Albo - co bardziej prawdopodobne - nazwisko, pod którym się wpisał na listę. Komisarz przesłał ją informatykom, niech wyciągną dane z bazy PESEL.

Drzyzga i Zakrzewski już drugi dzień siedzieli przed monitorem i przeglądali nagrania, które odebrali z Coca-Coli.

- Znaleźliście coś? - Nie musiał zadawać tego pytania. Znużone miny policjantów mówiły same za siebie.

- Tak, znaleźliśmy - burknął Zakrzewski. - Bardzo podejrzane. Faceci chodzą czasami w krzaki naprzeciwko bramy, żeby się odlać. Na razie żadnego śladu ani tego Kobiereckiego, ani nikogo, kto by za nim laził.

- To logiczne - zauważył Drzyzga. - Skoro nie ma Kobiereckiego, to nikt za nim nie idzie.

Zakrzewski rzucił w niego długopisem.

- Kurwa, co za robota - mruknął. - Jutro będą znowu praktykanci, to się im wepchnie trochę taśm. A ty, Adam, dziś nam nie pomożesz?

- Kochany, nie wiem, nie znam się, nie orientuję się. A poza tym jest niedziela. Umówiłem się.

- O, to coś nowego! Czyżby nareszcie jakieś bzykanko?! Gratulacje - ucieszył się Zakrzewski. Nowak nie miał w niego czym rzucić.

- Nic nie mówiłeś - stwierdził Drzyzga.

- No co ty, jakbyś jeszcze nie zauważył, że nasz szanowny kolega zrobił się zamknięty. Dusi wszystko w sobie i pije do lustra.

- Tam, gdzie piję, nie ma lustra - mruknął Nowak.

- Jak ją poznałeś? Pewnie w tramwaju? Albo w sieci? - zainteresował się Marcin.

W sieci. Jackie Charlton. Jaki pseudonim wybrałby sobie komisarz Nowak? „Igor\_G”? A może „Runi”, jak mawiał redaktor Szpakowski?

- Gdzie tam w sieci - roześmiał się Zakrzewski. - Pewnie w pracy. Albo, nie daj Boże, na tym waszym żalonym stadionie. Kobiety tam ciągle wchodzą za darmo, prawda?

- Prawda - odparł chłodno Nowak i wyszedł z pokoju.

Dopiero mijała trzecia, postanowił zatem nie korzystać z komunikacji miejskiej. Poszedł Karmelicką i Dziką, rozgrzanymi wiosennym słońcem. Dotarł do ronda Babka, które otrzymało nową nazwę ronda Radosława, a dokładniej ronda Zgrupowania AK „Radosław”. Udało mu się sprawnie przebiec przez pasy, co nie było tu łatwe, zwłaszcza po drugiej stronie, na Jana Pawła II, dla niektórych warszawiaków (na szczęście niewielu) wciąż Marchlewskiego. A może to już początek Popiełuszki, którą mieszkańcy Żoliborza ciągle nazywają Stoleczną? Co za miasto...

Wielki kompleks handlowy wyglądał jak świątynia mamon, z dzwonnica, na której zamiast krzyża kręciła się podświetlana kula. Wszystko niby w porządku: byli ludzie, którzy chcieli kupować różne rzeczy, i byli ci, którzy chcieli je sprzedawać. Zgromadzili się w tym punkcie, łatwo dostępnym, położonym blisko centrum. Trudno mieć coś przeciwko temu. Ale jego to miejsce jakoś przytłaczało. Nie wszyscy jednak mieli takie wątpliwości. Nawet w takim dniu jak ten zamiast ruszyć do

lasu albo na spaceru mnóstwo ludzi postanowiło znaleźć się w klimatyzowanej przestrzeni centrum handlowego.

Czekała na zewnątrz, przed fontanną. Była ubrana w niebieską bluzkę i pstrokatą spódnicę w żółte, niebieskie i brązowe wzory. Wyglądała naprawdę pięknie. Powiedział jej to na powitanie.

- Tere fere. Dzień dobry, panie komisarzy.

Czyż nie można zakochać się w kobiecie, która w ten sposób zbywa komplementy? Tego już nie powiedział.

- Skoro się już spotkaliśmy w sytuacji pozasłużbowej, to może przejdziemy na „ty”? - zaproponował.

- Bardzo chętnie, ale do tego trzeba coś wypić. Albo zjeść beczkę soli. Zjemy tę beczkę po kinie, dobrze?

Nowak nie czytał wcześniej żadnej recenzji tego filmu. Przez połowę seansu myślał, że ma do czynienia z historią sukcesu Kopciuszka, opowieścią o spełnieniu amerykańskiego snu, może jakimś kosztem, ale jeszcze nie wiadomo jakim. Myślał o swoim ojcu, miłośniku boksu i byłym zawodniku, który często oglądał w kablówce walki zawodowców. Zdaje się, że dziś w nocy miał walczyć Gołota. Ojciec pewnie nastawił budzik na trzecią rano i obejrzał tę walkę...

I w pewnym momencie scenariusz filmu nagle zmienił kierunek. To było jak uderzenie prawym sierpowym, które gwałtownie przerywało pojedynek. Takie, po którym już nie mogło być jak dawniej. Wyszli wzruszeni i smutni. Cholerny Clint. Twardy rzemieślnik z duszą. To nie był dobry film na pierwszą randkę.

Stanęli przy ruchomych schodach, patrząc z góry na barwny tłum młodych ludzi krążących po Arkadii.

- Gdzie teraz pójdziemy? - Oboje byli nieco jeszcze zdezorientowani, bezwładność umysłu nie pozwalała na szybkie przeniesienie się ze świata filmu do gwarnej rzeczywistości centrum handlowego.

- Przyznam, że nie bywam ostatnio w knajpach. Umówmy się, że ja zapraszam na kolację, ale pani wybierze miejsce.

- Cóż, możemy znaleźć jakiś lokal tutaj, ale ja bym, szczerze mówiąc, wolała uciec z tego budynku. Jakoś tak tu nieprzytulnie i użytkowo. - Spojrzała na Nowaka. - Pan mieszka gdzieś niedaleko, prawda? Naprawdę nie zna pan żadnego ciekawego miejsca?

- No... - Wysilił pamięć. - Zdarzyło mi się jeść w Positano na Kasprowicza. To zwykła pizzeria, ale mają tam nie tylko pizzę. Dają jeść dobrze i smacznie, choć nie jest to jakaś ekskluzywna restauracja... Tak czy inaczej lubiana w okolicy.

- Nie sądzę, żebyśmy oboje chcieli przebywać w superwykwintnym miejscu, gdzie kelner daje nam korek do powąchania. Jedziemy.

Jej corolla była na najniższym poziomie parkingu. Wyjechali po jednym dodatkowym kółeczku („Cholera, zawsze zapominam, gdzie trzeba skręcić do wyjazdu”, mruknęła). Pojechali na Podczaszyńskiego, zaparkowali pod bielańskim Wydziałem Komunikacji i weszli do pizzerii.

Potwierdziło się to, co mówił - w lokalu było sporo zajętych stolików. Siedzieli tam rowerzyści, którzy wracali z wiosennej przejażdżki po Lasku Bielańskim, jakaś rodzina z dziećmi, grupa trzydziestolatków na niedzielnym spotkaniu. Katarzyna wybrała miejsce na kanapie, gdzie światło było bardziej przyjazne niż blask fioletowych rurek umieszczonych bliżej okien.

Nowak zamówił eskalopki w sosie gorgonzola, ona wzięła risotto alla milanese. Do tego zgodzili się na małą karafkę białego wina stołowego.

Zanim na stole pojawiły się potrawy, rozmawiali chwilę o eutanazji. Świetny temat na pierwszą prawdziwą randkę, prawda? Ale po takim filmie trudno było go uniknąć.

- Myślę czasami o tym, co będzie, jeżeli mój ojciec znajdzie się w takiej sytuacji. Śmiertelna choroba połączona z ogromnym cierpieniem - powiedziała Katarzyna Żurek. - Czy mogłabym pogodzić się z tym, że chce podjąć decyzję o śmierci?



Z jednej strony, można dać człowiekowi prawo do godnego rozstania się z tym światem i szanować jego wybór, ale z drugiej... nie wyobrażam sobie tego, że lekarz rozmyślnie pozbawia życia pacjenta. To jakaś fundamentalna sprzeczność.

- Gorzej, jeżeli decyzję o śmierci ma podjąć ktoś inny. Jak w sprawie Terri Schiavo. Podobno jej mózg pozbawiony był aktywności, która oznacza świadome działanie. Ale kto ma ustalić definicję życia? Kiedy człowiek umiera? Okazuje się, że można umrzeć na dziesięć różnych sposobów.

- No właśnie. A teraz wyobraźmy sobie tłum potencjalnych spadkobierców, którzy czekają na decyzję. Siedzą nad łóżkiem niczym sępy. I co, naciskają przyciski jak w sejmie? O jeden głos więcej i wyłączamy aparaturę? Wujku, dlaczego wujek się wstrzymał?!

Na szczęście kelnerka przyniosła jedzenie, co przerwało rozmowę na tematy ostateczne. Są trzy rzeczy ostateczne: śmierć, sąd Boży, niebo albo piekło, co Nowak przypomniał sobie z lekcji religii, na które chodził w dzieciństwie. Dzieciom się nie mówi o czwartej nieuchronnej rzeczy - o podatkach.

Nowak dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo był głodny. Po raz kolejny kompletnie zapomniał o jedzeniu. Na szczęście dania były bardzo smaczne, a porcje rozsądnych rozmiarów. Spróbowali nawzajem swoich potraw, Nowak bardzo lubił ten zwyczaj, pamiętał go ze swojego poprzedniego życia. I nie chodziło wcale o wzajemne zaufanie, karmienie z ręki czy inne temu podobne pierdoły, ale po prostu o jedzenie różnych rzeczy.

- To chyba pora na bruderszaft, nieprawdaż? - zapytał.

- Ma pan rację, panie władzo. - Wzniosła kieliszek wina. No, w jej wypadku było to pół kieliszka, w końcu prowadziła. Stuknęli się delikatnie.

- Możemy mówić sobie po imieniu, ale... Jak się nazywałeś? Nosisz nazwisko ojca?

- Tak. Nigdy go nie zmieniałam. W wypadku rozwodu jak znalazł. Łatwo przyszło, łatwo poszło... Mówisz, że rzadko

odwiedzasz knajpy - zmieniała temat. - Nie spotykasz się z przyjaciółmi?

- Rzadko, zbyt rzadko, rzeczywiście. - Nowak przypomniał sobie ponawiane zaproszenia Kowalskiego. I kolegę ze studiów, z którym od czterech miesięcy nie mógł umówić się na piwo.

- Ja jestem jedynaczką. I nie mów mi, że to widać, cha, cha. Masz rodzeństwo?

- Tak, mam starszego brata. Po studiach wyjechał do Holandii, pracuje tam jako elektronik w laboratorium Philipsa. Rzadko się kontaktujemy, przyjeżdża właściwie tylko na święta. Nawet maile wymieniamy sporadycznie. - Nowak zdał sobie sprawę, że od kiedy zaczęło się śledztwo, nie dostał żadnego listu od brata. - Założył tam rodzinę, ożenił się z Belgijką, mają dwoje dzieci.

- Rodzinę... Właśnie, czy mogę zapytać, od kiedy jesteś sam... to znaczy, kiedy rozwiodłeś się z żoną?

- Minęło trzynaście miesięcy. - Komisarz wzruszył ramionami.

- A dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego się skończyło? - Spojrzała na niego. - Przepraszam, że pytam, może nie chcesz o tym rozmawiać.

- Nie, nie, oczywiście, że chcę. Właściwie nie chcę, ale mogę. Już mogę. - Zerknął na nią spod oka. Miał gotową odpowiedź. - Dlaczego? Rozlazło się i tyle. Nie pasowaliśmy do siebie. Coś straciliśmy w pewnym momencie i już się nie pojawiło. Nie pracowaliśmy nad tym, żeby wróciło. I tyle. Nie mieliśmy dzieci, więc nie było kłopotów technicznych.

- Jesteś rozdrażniony - powiedziała. - Może to jeszcze nie minęło. Może w tobie ciągle tkwi.

Może i nie minęło. Małżeństwa nie ma już od dawna, ale nie minęło zwątpienie, że kiedykolwiek się ponownie uda. Ból porażki, i tak dalej. Zresztą, jakiej porażki? Co ty wiesz o porażkach, kobieto? Rozmawiasz z kibicem Polonii.

- Nie tkwi. Już przeżyłem załamanie. Mam to dawno za sobą. Nadmiar wypitego wina ze sklepu nocnego również. -

Uśmiechnął się mimo wszystko. - Ale nie psuj sobie o mnie opinii, kupowałem wina droższe niż te za pięć złotych. Głównie Włochy i Nowy Świat. Hm, czyli jak na warszawskiego policjanta przystało...

Roześmiała się.

- Przepraszam, że cię ciągnę za język. Babska ciekawość.

- Wiem, wiem. Dziewczyny rozmawiają szczerzej na takie tematy. Chociaż rzadko z facetami. A w każdym razie na pewno nie z policjantami.

„Chyba, że chcą coś osiągnąć”, dodał w myślach.

- Nie chciałabym, żeby to źle zabrzmiało, ale... - Spojrzała na niego. - Może jednak potrzebujesz pomocy z zewnątrz? Może powinieneś pogadać z psychoterapeutą? Mnie to się przydało, przyznaję się bez bicia.

- Co, opowiadać obcemu dziadowi o swoich problemach? Nigdy.

- Dziadowi albo babie. - Uśmiechnęła się. - Czy ty aby nie przesadzasz? Czasami człowiek musi uporządkować swoje sprawy, przepowiedzieć na głos. Dobry terapeuta to nie żaden cudotwórca. Pomaga ci zrozumieć problem, sformułować go we właściwy sposób.

- Pewnie, że przesadzam. Z pomocy psychologów korzystamy bardzo często, choćby teraz, w sprawie seryjnego zabójcy. Ale rzeczywiście, raczej nie do załatwiania prywatnych spraw. - Popatrzył w okno. Tak, psycholog pewnie odczytałby tę mowę ciała w odpowiedni sposób. - Chyba że ktoś zastrzelił podejrzanego. Albo na służbie zginie kolega. Nigdy mi się to na szczęście nie zdarzyło. I przecież ci mówię, że zdołałem uporządkować pewne sprawy, odcierpiałem swoje. Nie jestem już w znieczuleniu. To raczej apatia. Nie chce mi się zbyt wiele i tyle. Jest mi wszystko jedno.

Sam nie wiedział, dlaczego zdobywa się na taką szczerość, a może raczej nieszczerość, w rozmowie z kobietą. Nikt nie lubi odkrywać się, pokazywać swoich słabości. Może to przez wino. Stołowe.

- Oho, twarzą się odezwał. Wstrząśnięty, nie zmieszany. Nie obrażaj się, wiem, że masz trudny i stresujący zawód. Ale

każdy człowiek może być bezsilny wobec pewnych spraw.

„Dzięki za dobre rady, dziewczyno. Ty też nie jesteś taka silna, na jaką wyglądasz?”. Nie powiedział tego na głos.

- A ty? Kiedy się rozwiodłaś?

- Siedem miesięcy temu.

- Dlaczego?

- Też się rozlało. - Teraz ona spojrzała w okno. - Ale była dodatkowa przyczyna. Miała na imię Agata.

- To był powód czy skutek...? Och, przepraszam - zreflektowałam się. - Nie chciałam cię zranić.

- Nie... Nic się nie stało. Może masz rację. - Znowu nie patrzyła na niego. - Może i skutek.

- Przepraszam jeszcze raz - próbowałam ratować sytuację. - Wiesz co, tak myślę, że i ja miałam swoją Agatę. A raczej nie ja, i nie Agatę, wchodzi w grę męskie imię. Rozumiesz... Skutek, nie przyczyna. Ale wolę teraz już o tym nie myśleć. I nie prowadzić bezsensownego dochodzenia. Mam inne śledztwa na głowie.

Zamilkli.

- To co, może porozmawiamy znowu o eutanazji? - rzucił w końcu.

Roześmiała się. Napięcie minęło.

- W porządku. Masz rację, są ciekawsze tematy. Możemy wrócić do Clinta Eastwooda. Lubisz Brudnego Harry'ego...

Pogadali o ludziach, filmach, książkach, o korkach na ulicach. O winie, piwie, serach i supermarketach. Dziwne, że zapomniał rzucić kontrolne pytanie dotyczące futbolu. Skończyli posiłek w dobrych nastrojach. Odwiozła go pod dom.

- Hm, w zasadzie powinienem zaprosić cię teraz na słuchanie płyt. Albo na herbatę. Wobec tego muszę powiedzieć: zapraszam.

- Może innym razem - odpowiedziała z uśmiechem. - Wracam do domu. Jutro rano muszę przebić się wcześniej do centrum.

Dobrze się poruszali w ramach konwencji, którą sami ustalili. Pożegnali się uściskiem ręki, mówiąc sobie „do zobaczenia”.

Wrócił do swojego mieszkania. Intencje Nowaka były bez wątpienia szczere. Oczywiście, że chciał sobie czegoś posłuchać z wieczora. Ale czego? Spotkał się z kobietą, z atrakcyjną kobietą. Którą na dodatek być może obraził. Cóż, puśćmy sobie Leonarda Cohena, będzie romantycznie. Tylko co? *Songs of Love and Hate*? Nie, w żadnym wypadku. Coś, czego nikt nie lubi, oczywiście poza komisarzem Nowakiem. Phil Spector pewnie czeka na proces za zamordowanie przyjaciółki, ale niektórzy uważają, że powinien odpowiedzieć także za wyprodukowanie tej płyty. *Death of a Ladies' Man*. No dawaj, Lenny, stary kobieciarzu! Chciałbym być tobą czterdzieści lat temu.

Zza okien co jakiś czas dobiegały głośne okrzyki i chóralne śpiewy małych grupek ludzi. Wyszedł na balkon i spojrzał między bloki. Najwyraźniej odgłosy dochodziły z mieszkań. Ach, jasna sprawa. Dziś Legia grała z Wisłą! Zaciekawiony włączył telegazetę i z niejakim zdumieniem zobaczył, że Legia wygrała 5:1. Piłkarze Wisły chyba stracili jakąkolwiek motywację do gry, przekonani, że i tak zdobędą mistrzostwo Polski. Z kolei kibice Legii będą pewnie hucznie świętować, przekonani, że ich drużyna się odrodziła. Nowak nie wierzył w to. Gotów był założyć się, że w europejskich pucharach oba kluby polegną dość szybko.

Przejrzał inne wiadomości. Policja urządziła prowokację i zatrzymała sędziego pierwszoligowego, który zgodził się przyjmując łapówkę za ustawienie meczu. Odebrał sto tysięcy złotych, które schował w oponie. No, no, to ciekawe. Bardzo ciekawe. Nowak pamiętał tego sędziego, komentarze zirytowanego trenera i piłkarzy. I bluzgi kibiców, także w tym sezonie. Czyżby coś się ruszyło? Do czyszczenia środowiska zabrali się ludzie z zewnątrz, czyli prokuratura. W końcu tylko baron Münchenhausen potrafił sam wyciągnąć się za włosy z bagna.

A zresztą... może futbol nie jest taki ważny, jak mu się ostatnio wydawało? Zaskoczony tą niepokojącą myślą, zrezygnował z wysłuchania Cohena do końca. Po prostu poszedł spać.

#### 4

- Mamy zatem rozumieć, że policja znalazła świadków, którzy widzieli mordercę? - Agnieszka Wolska pierwsza zadała pytanie.

- Proszę pani, powtórzę jeszcze raz to, co już powiedziałem: przedstawiliśmy rysopis mężczyzny, który był widziany w czasie zbieżnym z popełnieniem jednego z morderstw. Chcemy go przesłuchać i będziemy wdzięczni za pomoc w ustaleniu jego tożsamości. Wcale nie twierdzę, że portret pamięciowy jest portretem mordercy. Na podstawie zebranych przez nas informacji z pewnością jednak twierdzę, że poszukiwana osoba może udzielić wyjaśnień, które przybliżą nas do rozwiązania sprawy.

- Kolejne pytanie. - Dziennikarka nie zamierzała przestać, mimo zirytowanych spojrzeń kolegów z innych stacji. - Czy policja znalazła jakieś nowe informacje związane z odkryciem zwłok bezdomnego na Annopolu? Według naszych informacji, rodzina zamordowanego nie była przesłuchiwana zbyt dokładnie.

Nowak domyślał się, że telewizja dotarła do Andrzeja Kobiereckiego i wkrótce nada reportaż z bratem zamordowanego w roli głównej. Cóż, facet będzie miał szansę odzyskać pieniądze, które kiedyś pożyczył od niego brat. Ale program raczej nie odniesie wielkiego sukcesu medialnego.

- Po pierwsze, dom, w którym znaleziono zwłoki, stoi przy ulicy Annopol, a raczej w jej w pobliżu. Pętla tramwajowa nosi natomiast nazwę „Żerań Wschodni” – odezwał się Nowak. - Po drugie, wszystkie istotne informacje, które mogliśmy uzyskać od pana Kobiereckiego, zostały zanotowane, jestem o tym przekonany.

To podinspektor Michalski podjął decyzję o tym, żeby Nowak wziął udział w konferencji jako jedna z osób reprezentujących policję. Dlatego właśnie on omówił szczegóły związane z odkryciem zwłok Kobiereckiego. Nie chodziło oczywiście o rzucenie kolejnego człowieka na pożarcie mediom. Najważniejsze było przekazanie mordercy informacji o tym, że zrozumiano jego przesłanie.

- Czy któryś z panów może nam powiedzieć, jak policja dowiedziała się o zwłokach na Żeraniu? Czy było to przypadkowe odkrycie, czy też morderca pozostawił jakiś znak, przesłał wiadomość? - zapytał Marcin Krajewski z „Gazety”.

Odpowiedział Michalski:

- Tak, można to w ten sposób określić. Odczytaliśmy wiadomość przesłaną przez mordercę. Wiedzieliśmy, gdzie szukać kolejnego ciała.

- Czy ma to coś wspólnego z kasetą magnetofonową znalezioną przy Alicji Jasińskiej, zamordowanej na Prostej w ubiegłym tygodniu? - odezwała się ponownie Wolska.

Michalskiego i Nowaka zamurowało. Hanf wyglądał, jakby miał za chwilę zakląć. Prokurator Borowski zacisnął dłoń w pięść i spojrzał na podinspektora.

- W obecnej sytuacji nie jestem w stanie przekazać państwu żadnych szczegółów tego typu. Mogłoby to zaszkodzić śledztwu.

- Więc nie potwierdza pan tej informacji, inspektorze? - Reporter „Faktu” wyraźnie zainteresował się tematem.

- Zgadzam się z podinspektorem Michalskim. - Tym razem Borowski pochylił się do mikrofonu. - Zdradzanie takich szczegółów nie jest w tej chwili możliwe. Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

- Pytanie do nadinspektora Hanfa - rzucił dziennikarz „Rzeczpospolitej”. - Czy może pan skomentować dzisiejsze doniesienia „Gazety Wyborczej” o tym, że policjanci z Komendy Głównej współpracowali z gangsterami?

- Proszę państwa, ta konferencja prasowa jest zorganizowana przez Komendę Stołeczną Policji i ma konkretny temat. Nie

będziemy zajmować się prasowymi rewelacjami - odparł stanowczo nadinspektor.

Michalski wyglądał tak, jakby zastępca komendanta razem z prokuratorem zmęczyli go intensywnym przesłuchiowaniem.

- Ta informacja musiała wyjść stąd! - Walnął pięścią w stół.  
- Na spotkaniu, na którym po raz pierwszy mówiliśmy o kasecie, nie było nikogo z komend rejonowych.

- Informację mógł przekazać ktoś z laboratorium - zauważył Nowak. - Albo któryś z policjantów pilnujących przystranku na Prostej. Nie przypominam sobie, żebym opowiadał o kasecie na Żeraniu po odkryciu zwłok Kobiereckiego.

- Może to Anna? - spytał Drzyzga.

- Nasz psycholog? Jakoś nie wierzę, że ekspert rozpowiada na prawo i lewo o szczegółach śledztwa. - Michalski pokręcił głową. - Do niej mam zaufanie. Ludziom z laboratorium Hanf pierdyknie zaraz stosowne pouczenie, na wszelki wypadek. Macie szczęście, że wyperswadowałem mu wszczęcie wewnętrzznego dochodzenia.

- W sumie nic się nie stało - powiedział Nowak. - Nawet lepiej. W ten sposób morderca wie na sto procent, że znalezienie zwłok Kobiereckiego nie było przypadkowe.

- I że nikt nie ukradł dziewczynie torby - rzucił Zakrzewski.

- Mnie na razie nie wypytywali o szczegóły. To znaczy, że pewnie nie wiedzą, o jaką kasetę chodzi - dodał Nowak.

- Panowie, nie możemy takich rzeczy robić, to brak profesjonalizmu. Policja musi wypadać dobrze w tym, w czym powinna dobrze wypadać. Zwłaszcza że co chwila prasa znajduje kolejną sprawę jak ta dzisiejsza afera. I całe starania o dobrą opinię naszej firmy szlag trafia.

- A tam. Gryzipiórki z byle szmaty szukają sensacji i tyle - parsknął Zakrzewski. - Wkrótce się pewnie okaże, że ktoś zrobił ich w konia.



- Masz jeszcze coś równie mądrego w zanadrzu? Proszę bardzo, może chcesz się z nami podzielić swoimi przemyśleniami? A może z całą Polską? Może chcesz wystąpić w jakimś reality show? „Detektyw Zakrzewski”?! - Michalski stracił panowanie nad sobą.

- Dobra, dobra, nic nie mówiłem.

- Panowie, od tej pory macie całkowity zakaz kontaktu z mediami, chyba że dostaniecie inne polecenie. - Michalski odechnął głęboko. - Dostyc tego dziadostwa. Pora przejść do konkretów. Najpierw ostatnie zadania. Adam?

Nowak zreferował wyniki przejrzenia internetowych kontaktów Alicji Jasińskiej.

- Czy jest jakaś szansa, że ten „Bobby Robson” ma coś wspólnego z zabójstwem? - spytał Michalski.

- Jackie Charlton, nie Bobby Robson. Nie, nie sądzę. Chyba się nie spotkali. Jak mówiłem, ten facet wysyłał maile już po śmierci Jasińskiej. Oczywiście to niczego nie dowodzi, ale na mnie wywarł dobre wrażenie. Będziemy zapewne mieli jego nazwisko. O ile oczywiście jego oraz całą resztę wariatów i zbrojeńców da się namierzyć bez problemu.

- Dobre wrażenie to mało. Co z tego, że ktoś ładnie pisze. Co na to nasz ekspert? Rozmawiałeś z Anną?

- Jeszcze nie. Na razie przesłałem jej tylko hasło do serwisu. Powinna to zbadać... A właściwie dlaczego jej tutaj nie ma?

- Takie czasy, każdy dorabia jak może. Ma teraz zajęcia ze studentami. Będzie dostępna około czternastej. Zjawi się, jeżeli będzie potrzebna.

- Na litość boską, nie można przeprowadzić śledztwa, bo ekspert ma akurat fuchę? Co za bezsens. - Zakrzewski był poirytowany od samego początku.

- Ekspert jest od myślenia, nie od wprawiania w dobry nastrój sfrustrowanych komisarzy policji. A śledztwo trwa. Coś więcej poza laptopem? To znaczy poza tymi randkami?

- Żurek... To znaczy, jeden z członków stowarzyszenia miłośników komunikacji, twierdzi, że mógł widzieć osobę przedstawioną na portrecie pamięciowym. Według niego mężczyzna

zapewne pojawił się na jednym ze spotkań w zajezdni.

- No, to jest jakiś konkret. Rozumiem, że siedzisz nad tą listą? Ile to jest nazwisk?

- Kilkadziesiąt. Dziś powinienem mieć adresy tych ludzi.

- Dobrze. Poza kochasiami z internetu masz na rozkładzie tramwajarzy, kierowców i pracowników zakładów komunikacyjnych. Do tego dochodzą miłośnicy tramwajów oraz kontrolerzy. Wiemy, że masz już podejrzenia związane ze spotkaniami stowarzyszenia. Co z tramwajarzami?

- Mam listę siedemdziesięciu ośmiu osób z zakładów komunikacyjnych. Są na niej ludzie zwolnieni dyscyplinarnie z pracy oraz tacy, którzy odeszli na własną prośbę ze względu na konflikty z przełożonymi. Oraz aktualni pracownicy, na których pasażerowie składali skargi, i tacy, przeciwko którym toczą się wewnętrzne postępowania dyscyplinarne.

- Kanarzy?

- Czterdzieści trzy nazwiska. Rozmawiałem już z kilkoma.

- Dużo tego... - mruknął Michalski. - Nie dasz sobie rady. Chcesz kogoś, z kim mógłbyś podzielić się robotą? Może tego Kowalskiego? Wyciągniemy go z Bemowa, jeżeli chcesz.

- To dobry pomysł - powiedział Nowak. Wiedział, że zaniedbał pozostałe wątki śledztwa i tropy, którymi mógł podążyć. Morderca miał zaskakującą umiejętność komplikowania historii. Mnożenia postaci i miejsc, które są istotne dla gry.

- Kowalski ma dobre rozeznanie w subkulturach młodzieżowych. Może nam się przydać - dodał.

- Dobrze, załatwię to. Mamy oparcie w nadinspektorze Hanfie, który z kolei ma dobre układy w Ratuszu. Takie sprawy nie powinny stanowić problemu. Dalej... Karol, co z nagraniami z Coca-Coli?

- Siedzimy nad nimi. Zaznaczyliśmy już parę klatek, które trzeba będzie skopiować i obrobić. To znaczy jest tam parę osób, które zachowują się podejrzanie. Rozglądają się, idą

w stronę torów i kanałku. Żaden nie przypomina tego faceta z portretu. Kobiereckiego do tej pory nie zauważyliśmy.

- Rozumiem, że macie też kadry z taśm z Okęcia? Porównujecie je? Dobra. Dziś damy wam praktykantów do pomocy. Marcin, wprowadzisz ich w temat, a potem wracasz do swojej roboty. Właśnie, panowie. - Michalski klasnął w dłonie. - Podsumujmy, kto w zespole prowadzi jakie grupy i jakie osiągnął efekty do tej pory. Co do Adama, już wiemy. Idźmy dalej. Recydywiści, osoby na zwolnieniu i przepustce, osoby skazane za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, za nieumyślne zabójstwo. Marcin?

- Podzieliliśmy się tym z Karolem - powiedział Drzyzga. - Zaczęliśmy od tych na zwolnieniu i przepustce. Nie chcemy powtórzyć starego błędu z „Łomiarzem”, którego namierzemy zbyt późno. Ale na razie nie mamy wyników. Każdy z listy ma lepsze lub gorsze alibi na co najmniej jeden z dni, w których popełniono morderstwa.

- To przyjrzyjcie się tym, co mają gorsze - mruknął Michalski. - Co z rodzinami ofiar wypadków? Mamy zestawienie?

- Mamy - odparł Drzyzga. - Siedemnaście wypadków ze skutkiem śmiertelnym od początku ubiegłego roku. Głównie z winy pieszych. Sprawdzamy sytuację rodzinną tych osób. Raport będzie pod koniec tygodnia.

- To teraz zadania związane z okolicznościami poszczególnych zabójstw. Adam koordynuje poszukiwania w internecie. Kurde, jak to brzmi, jakbyś łapał wirtualnego ducha... Karol, co z Castoramą i tą cyferką, którą znaleziono przy trupie na Okęciu? Dostałeś raporty ze sprzedaży?

- Prokurator podpisał nakaz wydania danych osobowych właścicieli kart płatniczych, które wykorzystano przy zakupach tego towaru. Dane powinny nadejść dziś lub jutro. Niezależnie od tego, wysłałem ludzi, którzy rozmawiali z kasjerami i ochroniarzami w supermarketach budowlanych. Przy takim przepływie ludzi oczywiście nikt nic nie pamięta. Popytamy jeszcze teraz, kiedy pojawił się portret pamięciowy.

- Marcin, ty miałeś jeszcze sprawdzić sprzedaż tej kasy w Warszawie. Coś wiemy na ten temat?

- Mamy dane z Empików. Na pewno nikt nie płacił za kasę kartą. Kolejny dowód na to, że to wymierający nośnik, jak powiedział Adam. Pytaliśmy w supermarketach, tam z kolei nie było tej pozycji w sprzedaży. Byliśmy też w paru małych sklepikach, na przykład na Dworcu Centralnym. Sprzedawcy nie przypominają sobie nikogo podejrzanego. Czekaemy na dane z paru księgarni internetowych. Też już rzadko sprzedają kasy, ale może coś się pojawi.

- Czyli reasumując, jesteście w dupie – powiedział Michalski. - I wciąż czeka nas mnóstwo nudnej, zapewne bezowocnej harówki. Chyba że Adam znajdzie tego skurczybyka, bo przypadkiem podał swoje prawdziwe nazwisko w zajezdni. No nic, trudno. Dziś w gazetach i w internecie pojawił się portret pamięciowy. Musicie się liczyć z kolejną falą fałszywych zgłoszeń. Wiem, że to wkurwiające, ale niestety będziemy musieli to wszystko sprawdzać. – Michalski postukał palcem w leżącą przed nim gazetę. - Co więcej, prezydent Warszawy wyznaczył nagrodę za pomoc w ujęciu mordercy, pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Zakrzewski cicho jęknął. Rzeczywiście, teraz warszawiacy zaczną popisywać się swoją wyobraźnią.

- Pamiętajcie, że śledztwo ma wsparcie ze strony miasta - dodał podinspektor. - Komenda Główna bardzo by chciała przejąć tę sprawę. Władze Warszawy uważają jednak, że to zadanie Komendy Stołecznej. W obecnej sytuacji, przy tym zamieszaniu z CBS i rzekomą korupcją, nasza pozycja jest silna.

- Znowu polityka. - Zakrzewski nie ukrywał irytacji po spotkaniu. - Jak długo jeszcze to będzie trwało? Do najbliższych wyborów, kiedy Kaczor zostanie prezydentem Polski? Co cię pewnie zresztą ucieszy. Chcesz zapalić?

- Wiesz, że nie palę - odparł Nowak.

- Taaa... Polityka. Pewnie by cię tu nie było, gdyby nie polityka. - Karol pokiwał głową. - Kurwa mać, nie jestem w stanie znieść tego bałaganu, który mamy od piętnastu lat. Chaosu. Nazywaj mnie jak chcesz, faszystą albo starym komuchem, ale uważam, że było lepiej, kiedy ci wszyscy nieudacznicy siedzieli w swoich ciasnych mieszkankach i czytali „Tygodnik Powszechny”. A teraz mają władzę. I telewizję. - Machnął ręką. - A tacy jak ty i tak na nich głosują.

- Głosuję na tych, którzy nie usiłują mi powiedzieć, z kim powinienem spać, co czytać i w co wierzyć. Ani na co wydać moje pieniądze, zwłaszcza te, które jeszcze mam w portfelu.

- E tam... Nie masz wyrazistych poglądów, to mówisz o sobie, że jesteś liberałem. Rzeczpospolita liberalna? Z państwem prawa i silną policją? Jakoś w to nie wierzę.

- Karol, nie zagaduj mnie i nie wciągaj w dyskusje o polityce. Wspomniałeś o telewizji... To ty, prawda? Ty opowiedziałeś dziennikarzom o tej kasecie?

- A weź się odpieprz - powiedział ponuro Zakrzewski. - Tak, rozmawiałem z tą babą z TVN-u. Zadzwoiła do mnie i zapytała, czy morderca zostawił informację, która pozwoliła nam odnaleźć zwłoki. Powiedziałem, że tak. Zapytała, jaka to była wiadomość. Powiedziałem, że znaleźliśmy kasetę magnetofonową. Nie mówiłem, jaką kasetę ani jaką wiadomość odczytaliśmy. Jest przekonana, że był na niej nagrany głos mordercy. No i niech tak myśli dalej.

- A co cię podkuśiło, żeby z nią gadać? Na pewno nagrali rozmowę. Jeżeli ją wykorzystają w telewizji, możesz mieć problemy.

- Daj spokój. Jeżeli wykorzystają nawet sam głos bez mojej zgody, to oni mogą mieć problemy.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Dlaczego z nią gadałeś?

- Skoro ekspert przysłany przez Komendę Główną może mieć dodatkowe źródła dochodu, to chyba i mnie wolno, prawda? Dobra, dosyć tego pierdolenia. Właśnie, lepiej powiedz, jak wczorajsze spotkanie. Strzeliłeś gola?

- Teraz ty się odpieprz - mruknął Nowak.

Nowak wysłał rano SMS-a do Kasi. Przepraszam, jeżeli Cię wczoraj uraziłem. Nie chciałem powiedzieć nic złego. Jestem tylko policjantem. Odpowiedź nie nadeszła. Trudno. Znowu zawałił. „Spaścił”, jak mawia młodzież. Dobra, trzeba przestać myśleć o dupach, a zabrać się do roboty. Przyjrzał się liście członków Stowarzyszenia Miłośników Komunikacji Warszawskiej, przekazanej przez inżyniera Stadnickiego. Zadzwonił jeszcze do niego i popytał o tych ludzi. Większość z nich inżynier znał osobiście i mógł co nieco o nich powiedzieć.

Przyszedł także raport z bazy PESEL. Pięć osób wyszukano po nazwisku - w numerach dowodów musiały być błędy, ale łatwo było wśród znalezionych w bazie osób dopasować te właściwe. Trzy podane numery dowodów nijak nie dały się powiązać z nazwiskami. Andrzej Sokołowski, Mariusz Kowalczyk oraz Kamil Wyrzykowski. PESEL zwrócił kilkadziesiąt osób o tych nazwiskach. Siedem z nich zameldowanych było w Warszawie. Nowak przeszukał pozostałe listy. Nazwisko „Mariusz Kowalczyk” pojawiało się na liście kierowców MZA zwolnionych z pracy. Jeden Andrzej Sokołowski był z kolei na liście kontrolerów ZTM, ale akurat nie tych, których uznano za interesujących z punktu widzenia śledztwa. Wyrzykowskiego nie było nigdzie.

Na ekranie komputera wyskoczyło okienko komunikatora. Wiadomość od Anny Perkowskiej. Cześć! Mam godzinę przerwy w zajęciach. Możemy pogadać. Pogadać, przez te dziwne okienka? Nowak wołał porozmawiać przez telefon. „Nigdy nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie”, ostrzegały plakaty. Ale trudno, tak też się da, skoro trzeba. Przecież zaakceptował SMS-y i nawet znowu zaczął je wysyłać...

- Zalogowałaś się jako Alicja Jasińska? - zapytał.

- Tak. I zgadzam się z tobą, nie ma tam nic zaskakującego. Dziewczyna szukała miłości. Trochę bez przekonania, ale szukała. Znalazła paru wariatów, erotomanów i nudziarzy.

- Odniosłaś wrażenie, że któryś z nich naprzykrzał się nieco bardziej? Że mógł dojść do tego, kim jest BigGirl27?

- Nie. Starła się nie zdradzać żadnych szczegółów, które mogłyby ułatwić jej odnalezienie „w realu”.

W realu. W Realu?! Czy normalnemu człowiekowi wszystko kojarzy się z piłką nożną? No właśnie, z piłką nożną.

- A Jackie Charlton?

- Na pierwszy rzut oka uczciwy, samotny facet. Na pewno jest sfrustrowany swoją sytuacją życiową. Ale to tylko internet. Na co dzień może być przykładnym i kochającym mężem, ojcem trojga dzieci, który rzeczywiście szuka czegoś nowego, prawdziwych emocji. Nie wszystkim wystarczają sporty ekstremalne i szybka jazda samochodem.

- To w końcu jest uczciwy czy nie?

- Dałabym mu dwie trzecie szans.

- Jako psycholog?

- Jako kobieta.

- Dopasowałabyś go do profilu?

- Tylko częściowo. Grupa zawodowa pasuje. Sposób formułowania wypowiedzi świadczy o inteligencji, treść o pewnej erudycji. A nasz zabójca jest inteligentny, o tym już wiemy. Językowo jego wypowiedzi są bardzo poprawne. Być może to zresztą ich zbliżyło, dążenie do porządku i perfekcjonizmu. No i facet ma kłopoty z poznawaniem innych ludzi, zwłaszcza kobiet. Przyznaje się wprost do tego.

- Czyli twoim zdaniem, jeżeli jest rzeczywiście uczciwy i samotny, może być mordercą?

- Tak:-)

- Czyli szukanie go to nie jest strata czasu?

- Chyba nie. Może napisała mu coś więcej. Jakieś informacje, które skasowała w swojej skrzynce. Pamiętaj, że w Internecie każdy pokazuje się z takiej strony, z jakiej chce, żeby go widziano. Ta korespondencja niczego nie dowodzi.

Niczego nie dowodzi. Oto siła internetu i nowoczesnej techniki. Technologii, jak to teraz wszyscy z amerykańską mową.

- Będziesz jutro w Komendzie Stołecznej?

- Będę na porannym spotkaniu.

- OK, do zobaczenia. Over and out.

- Roger, Roger, panie komisarzu.

Ciekawy scenariusz, tylko cokolwiek nieprawdopodobny. Inteligentny młody człowiek szuka miłości. Na co dzień mu to nie wychodzi i traktuje co bardziej denerwujących przedstawicieli swojego gatunku nożem, kawałkiem liny albo pałąk. A przed ekranem swojego komputera zmienia się we wrażliwego mężczyznę. Znajduje w końcu godną siebie kobietę, po czym ją dusi.

Nowak zadzwonił do Marka Szeremety. Informatyk powiedział, że mają historię dostępu wskazanych użytkowników serwisu randkowego oraz dane, które podali na użytek portalu przy rejestracji. Niektórzy z nich zapewne wpisali tam swoje prawdziwe nazwiska, w końcu nie było obowiązku podawania ich innym randkowiczom. Policyjny ekspert wyciągnął od administratorów dane dotyczące logowania tych internautów także do innych usług portalu - do poczty, grup dyskusyjnych i blogów. Na podstawie tych informacji można było łatwo ustalić, w jakiej sieci byli w momencie nawiązywania połączenia z serwerem. Adresy komputerów należały do różnych dostawców internetu, w kilku wypadkach pochodziły z publicznej sieci TP SA - zatem użytkownicy komputerów korzystali z modemu i zwykłej linii telefonicznej. Tych oczywiście będzie można znaleźć po numerze telefonu, jeżeli policja o to wystąpi do operatora. Za kilka dni będzie gotowa pełna lista firm, do których należały pozostałe komputery. To pierwszy etap, na końcu można dojść nawet do nazwisk i adresów. Nie elektronicznych, nie adresów komputerów, ale po prostu adresów zamieszkania. Żmudna praca, ale rutynowa.

- Człowiek zostawia w sieci po sobie ślad, jak nie przymierzając ślimak - powiedział informatyk. - Część z nich może znaleźć każdy, o ile zada sobie trochę trudu. Główny problem polega na tym, że trzeba te wszystkie ślady pozbierać z różnych miejsc. Często to już bardziej kwestia administracyjna niż techniczna. Papierki, oficjalne zapytania albo wizyta u prezesa i rozmowa z administratorami. Im głębiej szukamy, tym więcej osób, z którymi musimy to przegadać. Ale jeżeli szukamy przestępców elektronicznych, to można spróbować także innych,



mniej konwencjonalnych sposobów...

Nowak usiłował zrozumieć, co z tego wynika dla śledztwa.  
- Czy to znaczy, że jesteście w stanie szybko dojść do wszystkich tych ludzi?

- Nie zawsze szybko. I na pewno nie do wszystkich. Już teraz na liście mamy co najmniej kilka osób, które łączyły się z ogólnie dostępnymi kafejek. A tam komputer nie jest przypisany do człowieka, nikt nie sprawdza tożsamości klientów. Czyli będziecie się musieli ruszyć zza biurka, żeby ich poszukać na miejscu...

- Dobrze. - Nowak wykonał w myślach szybkie filtrowanie danych. - W pierwszej kolejności zależy mi na tym gościu, który ma ksywkę „Jackie Charlton”. Potem na tych, którzy mogą pracować w firmach informatycznych i telekomunikacyjnych. Albo... w komunikacji miejskiej. Możecie to sukcesywnie sprawdzać i przysyłać do mnie? A w dalszej kolejności zależy mi na tych z kafejek internetowych. Chodzi mi o zestawienie, w jakich godzinach i z jakich miejsc się łączyli.

- Jeżeli mi pan postawi butelkę whisky, to nawet ustalimy, jaki mają numer buta, panie komisarzu. - Informatyk roześmiał się.

Nowak ruszył w miasto. Najpierw podjechał na Miedzianą. Tym razem udało się zastać emeryta, który poinformował policję o odkryciu zwłok Alicji Jasińskiej.

- Panie Paczkowski, proszę się przyjrzeć temu rysunkowi. Chodził pan z psem dość długo, co najmniej pół godziny. Może pan widział kogoś podobnego. Podkreślam: podobnego, to nie jest zdjęcie. To tylko portret pamięciowy.

- Pamięciowy! - krzyknęła żona Paczkowskiego, Barbara, krzątająca się w kuchni. - Z pamięcią u starego ciężko!

Czarne psisko nieokreślonej rasy zaszczekało na potwierdzenie tych słów.

- Daj spokój! - Nie wiadomo, czy Adam Paczkowski rzucił to pod adresem żony, czy psa.

- Szedł pan Miedzianą i Pańską, dotarł pan do Żelaznej. Sam pan powiedział, że w dni powszednie zawsze pan kogoś spotyka. Mówił pan poprzednio... - Nowak zerknął do notatek. - Mówił pan o jakiejś grupie młodych ludzi.

- Tak, dwie dziewczyny, dwóch chłopaków. Przebiegali przez Żelazną. Od Pańskiej, to znaczy od pawilonów po drugiej stronie ulicy. Byli trochę hałaśliwi. I rozweseleni. Wie pan, oni palą teraz różne rzeczy, to mogli być weseli...

- Nie pamięta pan, o czym rozmawiali?

- A kto by tam teraz zrozumiał młodych ludzi. Luzik, spok-sik, supcio. Tak mawia mój wnuk, kiedy go pytam o to, jak mu idzie w szkole. A jeżeli mu się coś nie podoba albo coś go strasznie rozśmieszy, to jest „straszna beka”. On ma dopiero jedenaście lat!

- Nie przypomina pan sobie poza nimi nikogo charakterystycznego? Właśnie kogoś takiego jak na rysunku, wysokiego mężczyzny?

- Niestety, nie. To był spokojny spacer. Dopóki nie zobaczyłem tej dziewczyny... - Emeryt wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Straszne. A wcześniej tylko Nonparel na kogoś zaszczekał, ale nie wiem, na kogo czy na co... Chyba wyczuł kota albo psa. Jak już przeszliśmy przez Żelazną, pewnie gdzieś między drzewami. Ale nikt nie biegł, nie uciekał.

- Panie inspektorze, jak to jest możliwe? - Barbara Paczkowska stanęła w drzwiach do pokoju. Niska, siwa kobieta w szarej, prostej sukience, na którą nałożyła kuchenny fartuch w żółte i białe pasy. - Panie inspektorze, dlaczego nieszczęścia dotyczą takich młodych, zdrowych ludzi, którzy mogliby w życiu jeszcze wiele osiągnąć? Co taki zboczeniec, taki bandyta sobie myśli, zabijając dziewczynę na przystanku? Czy on w ogóle myśli?! Czy można nazwać człowiekiem kogoś, kto robi coś tak... tak okropnego? Przecież to potwór, nie człowiek.

- Ja tam jestem zwolennikiem kary śmierci. Życie za życie - wtrącił Paczkowski.

- Jestem komisarzem, nie inspektorem – sprostował Nowak. Powiedział to tak, jakby chciał wymówić się od próby udzielenia odpowiedzi. A w szczególności od rozmowy o karze śmierci. Po każdej spektakularnej zbrodni dokonanej na niewinnym człowieku temat kary śmierci powracał. Na szczęście Nowak nie musiał tego roztrząsać. Był tylko policjantem, nie autorytetem moralnym.

Wracał do domu po spotkaniu z kontrolerem ZTM, Andrzejem Sokołowskim. Facet mieszkał w jednym z ponurych bloków na Przyczółku Grochowskim. Pracował jako elektryk w warsztacie samochodowym na Łodygowej, dorabiał jako kanar. Miał trzynastoletnią córkę i długi do spłacenia. Ponarzekał trochę na pasażerów.

- Jezu, jakich modeli można czasami spotkać - mówił. - Jeden podpity facet mi kiedyś nawymyślał od kolaborantów. Powiedział, że tacy jak ja w czasie okupacji wydawali Żydów za pieniądze... Kontroler to zawód z kiepską reputacją. Coś w tym jest. Znam z widzenia paru takich, którzy najchętniej zagazowaliby cały autobus. Ale ja nigdy nie staram się naciąć cudzoziemców, nie mierzyłem centymetrem ruskich bagaży, kiedy jeszcze trzeba było płacić za nadwymiarowe paki. Czasami puściłem człowieka, który ewidentnie zamyślił się i nie skasował biletu, choć trzymał go w ręku. Albo zapomniał, że zaczyna się nowy miesiąc. Trzeba być człowiekiem dla innych, to moja zasada. Tak, ludzie nie lubią kontrolerów, bo nie lubią własnego frajerstwa. Tego, że muszą płacić za swoje rozrtargnienie. Poza tym my, Polacy, jesteśmy przyzwyczajeni do oporu wobec władzy, prawda? Niektórzy nie kasują biletu na znak protestu. Cholera wie, przeciwko czemu...

Wcześniej komisarz rozmawiał z Mariuszem Kowalczykiem, kierowcą autobusu, który po zwolnieniu dyscyplinarnym z MZA zatrudnił się w firmie wożącej ludzi z Legionowa do Warszawy. Spotkali się pod Empikiem na Marszałkowskiej, stamtąd bowiem odjeżdża większość autobusów prywatnych linii podmiejskich. Typowy wąsacz, niewysoki, w niezbyt

eleganckim szarym swetrze i džinsach. Wyglądał na człowieka, który nie stroni od alkoholu. I za to właśnie wyleciał z pracy, razem z kolegami zresztą. Zrobili małą imprezkę w dniu imienin Edwarda, jednego z nich, piątego stycznia. Rozpita butelka to pół biedy, gorzej, że kierowcy jeszcze mieli tego dnia kursy.

Nowak wyglądał przez okno tramwaju, obserwując budynki i ludzi. Znowu nic. Z punktu widzenia postronnego obserwatora - dzień stracony. Są blisko, krążą wokół, mozolnie sprawdzają wszystkie dane. Osoby, które natychmiast można odrzucić. To jedyny efekt pracy, przynajmniej na razie. Nic dziwnego, że Michalski jest sfrustrowany. Wie, że kierunek poszukiwań jest właściwy. Ale pogania go nadinspektor Hanf. Na którego z kolei naciski wywiera komendant stołeczny. A na niego Ratusz, urzędnicy z ministerstwa i ludzie z Komendy Głównej. I bezczelni dziennikarze.

Na placu Gruwaldzkim do tramwaju wsiadła para starszych ludzi, być może małżeństwo. Nowak znał ich z widzenia. Natychmiast wyciągnął kartę miejską do kontroli. Spojrzał przy okazji na wyświetlacz telefonu. Zero wiadomości. Zadzwoić? Może. Ale nie teraz. Po kolacji. Kiedyś czytał w internecie wywiad z Emmanuelem Olisadebe, który powiedział, że lepiej mu się gra, kiedy jest wkurzony. Ktoś od razu poradził mu, żeby nic nie jadł przed meczem. Bo przecież Polak jak głodny, to zły.

Kolację kupił sobie tym razem w chińskim barku Hami, stojącym tuż pod jego blokiem. Porcja makaronu sojowego z kurczakiem była ogromna. Za osiem złotych mógł się najeść za dwóch. I się, kurna, najadł. Lepiej wydać na piekarza niż na aptekarza, jak mawiała jego babcia.

Zadzwoił. Przeprosił jeszcze raz za niefortunną wypowiedź podczas spotkania. „Daj spokój, jesteśmy dorośli”, zbyła go i szybko zmieniła temat. To nie był dzień szczerych rozmów o trudnych sprawach. Czuł, że jest po prostu zmęczona, podobnie jak on. Powiedziała, że wyjeżdża w Beskidy ze znajomymi na kolejny długi weekend, zanim sam zdążył zapytać, co robi w Boże Ciało. Cóż, nie miał jej i tak nic konkretnego do zaproponowania.

Życzył jej w każdym razie udanego wyjazdu i odłożył słuchawkę. Ze znajomymi... Ogólne określenie. Właściwie już miał prawo zaliczać się do tego zbioru.

## 5

- Cześć! Widzę, że Kowalski wkracza do akcji. - Nowak przywitał się z aspirantem na wtorkowej odprawie. - Szybko się udało cię wyciągnąć.

- Komendant rejonowy nie może się sprzeciwić komendantowi stołecznemu. Dostał propozycję nie od odrzucenia...

- Martwa ryba?

- Nie, koński łeb. - Kowalski roześmiał się.

- Domyślasz się, że nie jest to wdzięczna robota. Dłubanina w aktach i żmudne sprawdzanie osób z kolejnych list. I tak naprawdę zero pewności, że nasz morderca jest na którejkolwiek z nich.

- Ale jakaś szansa istnieje, prawda? Mówiłeś, że był na jednym ze spotkań miłośników tramwajów.

- Może był, może nie. Na razie jedna osoba go sobie przypomina. Do sprawdzenia są kanarzy oraz zwolnieni pracownicy TW i MZA... Roboty od cholery i trochę. Pościgów samochodowych nie przewiduje się.

- Moim prywatnym puncikiem to mogę sobie gonić rowerzystów przekraczających przepisy - mruknął Kowalski. - A jak zrobią swoją „masę krytyczną”, to mnie skutecznie unieruchomią.

Na spotkaniu policjanci podsumowali efekty dotychczasowych poszukiwań. Niestety, nie było się czym pochwalić. Nowak opowiedział o wczorajszych spotkaniach. Zdjęcie w gazetach oraz obietnica nagrody spowodowały całą falę telefonów - kilkadziesiąt zgłoszeń, które trzeba dokładnie sprawdzić. Michalski rzucił to na Karola Zakrzewskiego.

- Czyli żeby podsumować, na razie postępy żadne - powiedział Michalski. - Dobrze. To znaczy niedobrze. Zajmijmy

się teraz sprawą komunikatu, który chcemy przesłać mordercy. Pani Aniu, ma pani jakieś przemyślenia na ten temat?

- Uważam, że powinniśmy to zrobić. Zastanawiałam się nad tym, jak chcemy potraktować jego adresata. Mówiliśmy już o tym, że możemy uważać go za mistrza gry. Gry RPG, czyli Role-Playing Game - wyjaśniła, widząc zdziwione spojrzenia policjantów. - To gra, w której ktoś wybiera pewien zestaw początkowych reguł i wykorzystuje je, tworząc główną opowieść i generując zdarzenia, które wymagają działania uczestników.

- Sugeruje pani, że to ktoś niedojrzały społecznie, uciekający w świat wyobraźni? Który przypadkiem styka się z naszym światem?

- Niekoniecznie niedojrzały. W RPG bawią się też dorośli ludzie. To nie tylko ucieczka, ale i odreagowanie, a także większa kontrola nad rzeczywistością. No i niezła zabawa.

- Zabawa - odezwał się Michalski. - Jasne, zabawa. Co on chce zrobić, zaliczyć wszystkie linie tramwajowe, wszystkie numerki? A potem co? Przeniesie się do Krakowa?

- To wtedy nie będzie już nasz problem - mruknął Zakrzewski.

- A jeżeli zacznie jeździć metrem? Autobusami? Będzie miał trochę więcej linii do wyboru. Ile w ogóle jest linii tramwajowych w Warszawie?

- Dwadzieścia dziewięć linii stałych i trzy okresowe. - To Nowak już wiedział. - Do tego jedna linia nocna, która w tej chwili jest zawieszona do odwołania.

- Zatem liczy na trzydzieści dwie ofiary? Nieźle. A potem co, zacznie następne kółeczko?

Zapadła cisza. Michalski spojrzał ponuro na zebranych.

- To co mu w końcu napiszemy?

- Jeżeli przyjmiemy najprostszą, tekstową formę komunikatu, mogłoby to być coś typu „Skończ grę. Szkoda ludzi” albo „Ustaliłeś reguły. Jaki jest cel?”. To drugie nawet lepsze, bo nie moralizujemy, tylko prowokujemy do odpowiedzi.

- Właśnie, prowokujemy. Prowokujemy bandytę - stwierdził Zakrzewski. - Przecież on może zrobić wszystko. Zabije pięć

osób, których inicjały utworzą jego imię. Albo tylko jedną, ale poćwiartuje zwłoki i porzyszcza w kilku tramwajach... No dobra, poniosła mnie wyobraźnia.

- Rozumiem cię - rzucił Nowak. - Każdy jego krok to odślonięcie się. Łatwiej go będzie namierzyć, ale musimy pamiętać, że odpowiedź może być równie chora jak on sam. Kolejne potworne morderstwo.

- Tak jest. Uważam, że nie powinniśmy wysyłać żadnego pieprzonego komunikatu. Chcesz mówić do niego w naszym języku - zwrócił się do Anny - czyli słowami, zdaniami. A to nie jest język, którego on używa do komunikowania się ze światem.

- Czyli co? Mamy siedzieć nad danymi, które zebraliśmy do tej pory, i mieć nadzieję, że znajdzie się świadek, który jednoznacznie zidentyfikuje zabójcę?

- Tak. Moim zdaniem mamy wystarczająco dużo materiału, nad którym i tak musimy pracować. Nie chcemy kolejnych trupów.

Michalski podjął już jednak decyzję:

- Dajemy to ogłoszenie. W gazetach i w internecie.

- A jak je podpisać? - zapytał Nowak.

- P.W.W. - powiedziała Anna. - Policjanci w Warszawie. To będzie nawiązanie do Raz, Dwa, Trzy. Adresat zrozumie, że komunikat nie jest podrobiony.

Nowak poszedł z Anną na kawę do stołówki. Opowiedział jej o środowiskach, które musieli sprawdzać. O wyszukiwaniu nazwisk na poszczególnych listach, o żmudnych próbach znalezienia jakichkolwiek poszlak, które naprowadziłyby na ślad zabójcy. I zachwiałyby zaufaniem do któregośkolwiek z pozor-  
nie zwykłych ludzi, z jakimi mieli dotychczas do czynienia.

- Podsumujmy, co wiemy o mordercy. Popraw mnie, jeżeli się mylę. Mężczyzna, około trzydziestki, plus minus dziesięć lat. Leworęczny. Silny, sprawny fizycznie, mający pewne obycie z białą bronią. Osobowość lekko autystyczna. Ma problemy

z nawiązywaniem kontaktów z ludźmi, zwłaszcza z kobietami. Z racji wykonywanego zawodu, a może dlatego, że ma dużo wolnego czasu, sporo jeździ komunikacją miejską. Może go interesować ten temat, może mieć lekkiego fioła na punkcie tramwajów. Jest inteligentny, cierpliwy i systematyczny, a jednocześnie zdolny do szybkiego działania. Jakieś traumatyczne przeżycie sprzed paru lat powoduje, że jego systematyczność przynosi przerażające skutki. Niszczy ludzi słabszych od siebie. Zatem jest do pewnego stopnia tchórzem. Unika ryzyka. Anna skinęła głową.

- Zastanawiałam się nad tym, dlaczego to robi - powiedziała. - Pamiętam, rzuciłeś pomysł, że to ofiara wypadku albo ktoś z rodziny takiej osoby. Zgłosiłam wątpliwość, że wtedy nie powinien atakować nikogo słabszego, że zwykli ludzie powinni być przez niego postrzegani tak samo jak on sam czy też ten ktoś, kto kiedyś zginął lub stracił zdrowie.

- No tak, pamiętam. Co jeszcze wymyśliłaś?

- To, co robi, ma ścisły związek z tramwajami, z systemem komunikacyjnym. On kieruje swoją agresją przeciwko systemowi. To system, sieć, zbiór reguł jest dla niego czymś złym. Ale jeżeli zabija zwykłych ludzi, pasażerów, nie motorniczych, nie kierowców autobusów, i nie podkłada bomb pod zajezdnie, to znaczy, że system jest bardziej złożony niż sieć komunikacyjna. Sieć jest częścią czegoś większego. On ma innego wroga.

- Rozumiem - Nowak spojrzął na Annę. - Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Jego wrogiem jest miasto, prawda? Ale on tu mieszka, gdzieś w środku Warszawy, może na jednym z wielkich osiedli, wśród tysięcy innych ludzi.

- Tym bardziej cierpi. I tym bardziej chce zniszczyć to, przed czym nie może uciec.

Nowak westchnął ciężko.

- Cholera, ja też przed tym nie mogę uciec. - Wypił łyk kawy. - Ale czuję, że jesteśmy już blisko. Że ten drukarz coś widział albo słyszał. No wiesz, ten Paczkowski, który odkrył



zwłoki koło Mennicy. Że w tym, co mówił, była jakaś istotna informacja, która jeszcze nam pomoże.

- Emeryt z psem. Typowy świadek z filmu kryminalnego. - Anna uśmiechnęła się. - Reprezentuje normalny, spokojny świat, który nagle musi się zetknąć z czymś potwornym. Jest posłańcem, który jako pierwszy pojawia się na miejscu zbrodni i przekazuje straszną wiadomość. A potem odchodzi w cień.

- Człowiek z psem to taka maskotka w filmach Machulskiego. - Nowak wypił łyk rozpuszczalnej kawy. - Znak firmowy. Pamiętasz, już w pierwszym filmie, w *Vabanku*, pojawił się Murzyn z psem...

Przerwał. Nagle poczuł, że kręci mu się w głowie. Słowa Anny wyzwoliły pewną reakcję, która połączyła w jego mózgu pojęcia i obrazy do tej pory oderwane od siebie albo schowane gdzieś głęboko. Portret pamięciowy. Człowiek. Pies. Pojawia się. Jako pierwszy na miejscu zbrodni. Pierwszej zbrodni. Ujrzał teraz przed oczami scenę sprzed ponad pięciu tygodni. Pętla na Bemowie. Samotny człowiek z psem, przyglądający się policjantom.

- Kobayashi - powiedział, odstawiając kubek z kawą. Na szczęście nie zrzucił go na ziemię.

- Co?! Adam, co się stało?

- Widziałem go.

- Kogo?

- Mordercę. Widziałem człowieka z portretu pamięciowego. W dniu odkrycia pierwszych zwłok, siedemnastego kwietnia. Stał po drugiej stronie ulicy.

# Zajezdnia

## 1

- Co z tego twoim zdaniem wynika? - spytał Michalski na kolejnej naprędce zwołanej naradzie.

- On mieszka gdzieś na Bemowie. Albo w miejscu, do którego łatwo z Bemowa dojechać.

- Pamiętasz, o której go widziałeś? Wtedy, w dniu pierwszego morderstwa?

- Byłem na miejscu mniej więcej kwadrans po jedenastej. Czyli widziałem go około północy.

- Zatem wszystkie tramwaje już odjechały, prawda? Autobusy chyba też?

- Może skorzystał z nocnego autobusu, 603 - odparł Nowak. - Mógł też przyjechać samochodem. Wiemy, że się przemieszcza, a późnym wieczorem samochód to najszybszy środek lokomocji w Warszawie. Zresztą przez większość dnia również.

- Nie wszędzie. W dzień powszedni w godzinach szczytu wzdłuż trasy AK jedzie się rowerem równie szybko jak samochodem, nie mówiąc o autobusie 186 - wtrącił Kowalski.

- No tak, ale na rower psa się nie wrzuci. Chyba że małego, do koszyka. Albo do przyczepki.

- Zaraz, nie rozumiem czegoś. Czy on łązi z tym bydlęciem na spacer i wtedy wybiera sobie ofiarę? - zapytał Zakrzewski. -

I co, jedną ręką trzyma psa, a drugą wbija nóż, dusi, podrzyina gardło i tak dalej?

- To faktycznie nie trzyma się kupy - powiedział Nowak. - Dlatego za najbardziej prawdopodobne uważam, że najpierw popełnił morderstwo, a potem wrócił do domu, zabrał psa i wyszedł spokojnie na spacer. Musi mieszkać gdzieś niedaleko pętli. Ale... - Przypomniał sobie rozmowę z Pacz kowskim. - Hm...

- Ale co?

- Faktycznie, może wychodzić z psem, przywiązywać go gdzieś na chwilę, załatwiać to, co ma do załatwienia, i wracać. Tak mogło być w wypadku tej dziewczyny, na Prostej.

- Jak to?

Nowak powtórzył to, co mówił mu niedawno emeryt. Non-parel wyczuł czyjąś obecność między drzewami na Prostej. Może właśnie innego psa.

- Zapamiętałeś człowieka. A psa? - spytał Zakrzewski. - Co to było, jaka rasa?

- Dobre pytanie. Owczarek niemiecki? Doberman? Może jakiś rottweiler? Nie pamiętam. Na pewno nie był mały. I musiał zachowywać się spokojnie, bo nie przypominam sobie szczekania.

- Człowiek z psem wzbudza zaufanie - powiedział Michalski po chwili. - Jeżeli zwierzę nie jest agresywne, nie zaczepia ludzi, nikt nie podejrzewa jego właściciela o bycie zabójcą. Psiarz łatwiej nawiązuje kontakty, ludzie z tego samego osiedla w końcu spotykają się codziennie na spacerach.

- No właśnie, przecież on musi wyprowadzać psa na spacer. A raczej pies wyprowadza jego, tak to zwykle bywa. Sam coś o tym wiem... - wtrącił milczący do tej pory Drzyzga.

- Chodzi ci o to, że człowiek z psem łatwiej się rzuca w oczy?

- Tak. Jeżeli facet jest podobny do portretu, ktoś musiał za uważać to podobieństwo.

- Ale niekoniecznie musiał nas o tym poinformować. Jeżeli od wielu miesięcy ktoś widuje sympatycznego sąsiada z jego

Cezarem czy innym Brutusem, musiałby go zauważyć z z krawawionym nożem w dłoni, żeby mieć jakieś podejrzenia. Liczy się kontekst.

- Niekoniecznie to właśnie on codziennie chodzi na spacer. Może mieszka z żoną, dziećmi, z matką...

- Może z mężem - prychnął Zakrzewski.

- Z mężem, z gosposią, nieważne. Ważne, że pies musi wychodzić na dwór.

- Może jest posłem albo senatorem - powiedział Drzyzga.

- Kto, pies? - spytał Zakrzewski. Podinspektor Michalski zgromił go wzrokiem.

- Studentem, pisarzem...

- Albo ochroniarzem czy policjantem - wtrąciła Anna.

Spojrzeli po sobie.

- Policjantem - powtórzył Michalski. - Czyli jest to osoba o nieregularnych godzinach pracy? Taka, która może dużo jeździć komunikacją miejską?

- Niewidzialna ręka to także ty - rzucił Zakrzewski. - Coś dużo tych podejrzanych. Grup szczególnego ryzyka. To co, będziemy sprawdzać teraz policjantów?

- Tych zamieszkałych na Bemowie można by dorzucić do listy.

- A na Bielanach? - spytał Nowak.

- W dalszej kolejności. A, rozumiem... - roześmiał się Michalski. - Posłuchajmy, jakie są efekty wczorajszej publikacji zdjęcia. Karol?

- Zgłoszeń było kilkadziesiąt. Niektóre dotyczyły konkretnych osób. Pozostałe to prawie same bzdety.

- Kto dzwonił?

- Mniej więcej połowa telefonów anonimowa, ale oczywiście mamy numery, z których było połączenie.

- Są jakieś zgłoszenia z Bemowa? Konkretnie nazwiska? - spytał Kowalski.

- Tak. - Zakrzewski zajrzał do papierów. - Trzy. Chcesz zobaczyć?

- Chlebowski... Tego znam, parę razy już go zgarnialiśmy za udział w bójkach i rozbojach. Roman Marciniak, też niezły koleś. O...! - Aspirant spojrział na Zakrzewskiego.

- Właśnie miałem o tym powiedzieć.

- Szymański. Dawid Szymański. Zatrzymano go po pierwszym morderstwie.

- Sprawdzaliśmy go po każdym. Zawsze miał alibi. Kiedy zamordowano Alicję Jasińską, był w pracy - wtrącił Nowak. - Tak, tak, w pracy. Zatrudnił się w firmie ochroniarskiej.

- Ciekawe, co będzie chronił i przed kim? - rzucił Kowalski.

- Jak to przed kim? Przed sobą i swoimi kumplami.

Kowalski przyjrzał się zdjęciu Szymańskiego.

- Nie jest zbyt podobny do tego człowieka ze szkicu. Wysoki, dobrze zbudowany, to fakt. Ale zupełnie inny kształt twarzy, sylwetka szczuplejsza... Adam, czy to on mógł stać wtedy na Powstańców?

- Nie - powiedział Nowak. - Przesłuchiwałem go od razu w poniedziałek, osiemnastego kwietnia. Na pewno bym go rozpoznał.

- Czy Szymański ma psa?

- Nie zdziwiłbym się. Rottweilery są w modzie. Ale prawdziwe zakapiory chodzą z ratlerkami - powiedział Zakrzewski. - Sprawdźmy to.

- A propos, jak lista naszych ulubionych przestępców? Tych, których już odhaczyliśmy w czasie śledztwa? Prokurator Borowski dopytuje się, czy nie zaniedbujemy dotychczasowych tropów.

- Nasi ulubieni przestępcy mają się dobrze - powiedział Nowak. - Tomasz Piekara regularnie zgłasza się na Żytnią, poza tym wciąż pracuje na budowie. Kościelniak nie opuszcza Warszawy, podpisuje książkę dozoru. Stracił pracę u Mytnika. Kieszonkowiec z Bródna chodzi do szkoły, zdaje się, że matka dobrała mu się do skóry.

- A nożownik z Kawęczyńskiej?

- Nożownik? A, ten... - Nowak odszukał w pamięci nazwisko. - Marcin Lasota? Wyeliminowaliśmy go od razu. To były

porachunki między chłopaczkami. Jakaś dilerka albo handel fantami. Mogę poprosić o raport ludzi z Pragi...

- Poproś - powiedział Michalski. - Musimy mieć punkty także w prokuraturze. Taka praca. Ile zgłoszeń udało się w sumie sprawdzić?

- Jedenaście. Aha, jeszcze jedno, na liście nie ma żadnych kierowców ani motorniczych, kontrolerów również.

- Roman - podinspektor zwrócił się do Kowalskiego. - Przyjrzyj się tym zgłoszeniom, zwłaszcza anonimowym. Szczególnie takim, w których nie wskazano konkretnej osoby. Może zwrócisz uwagę na coś, czego do tej pory nie zauważyliśmy. No i pomóż Karolowi w sprawdzaniu ludzi w terenie. Przede wszystkim twój rejon. Bemowo. Koło, Wola. Potem Bielany, może jeszcze Okęcie. Adam, będziesz musiał przez jakiś czas sam się pomęczyć nad listami środowiskowymi.

- Trudno - rzucił Nowak. - Skoro jest szansa znalezienia go w mieście, trzeba to wykorzystać.

- Porozmawiam z Bemowem - dodał Michalski. - Wyślemy tam jeszcze więcej patroli. Będą częściej jeździć autobusami i tramwajami.

- Idziesz na derby? - zapytał po spotkaniu Zakrzewski.

- Nie, nie wybieram się. Nie chodzę na wyścigi.

- Cha, cha, bardzo śmieszne. Pytam, czy idziesz na Konwiktorską?

- Nie. Nigdy jeszcze nie byłem na derbach.

- Dlaczego? Co to za kibic, który nie idzie na mecz dwu drużyn ze swojego miasta? Mecze Polonii z Legią są w końcu dwa razy w sezonie. Ciesz się, że w ogóle są, niedługo i tak twoja Polonia spadnie do drugiej ligi.

- „Nigdy nie spadnie, Polonia nigdy nie spadnie” - Nowak zacytował piosenkę ze stadionu.

- Dobra, dobra, parę razy już spadła. To co, idziesz czy nie?

- Nie. Nie chcę słuchać bluzgów przez dwie godziny. Ani zostać spałowanym pod stadionem przez jakiegoś nierozgarniętego chłopa z przewencji.

- Bluzgi? Nie bądź taki delikatny. Myślisz, że w Mediolanie albo Madrycie jest mniej bluzgów?

- Pewnie nie. I pewnie włoskie przekleństwa są bardziej malownicze. Ale ludzie przychodzą tam tylko po to, żeby patrzeć na futbol.

- Tak? A słyszałeś, że kiedyś na San Siro kibole rzucili płonący skuter z trybun? Więc nie piernicz, że gdzie indziej jest lepiej niż u nas.

- Jestem policjantem od zabójstw, nie od zamieszek.

- E tam, nawet na takim meczu normalni kibice powinni mieć spokój. Przyznaj się, wolisz siedzieć w domu, bo nie chcesz przeżywać kolejnego lania. Legia słaba ostatnio, ale wpiérdoli wam ze trzy gole. Minimum.

Skurczybyk. Zawsze potrafił bezbłędnie zidentyfikować motyw.

Marek Szeremeta przekazał dane kilkunastu użytkowników portalu, których udało się namierzyć dzięki temu, że podali swoje dane przy rejestracji albo łączyli się przez standardowy modem z domu. Co do „Jackiego Charltona” - okazało się, że logował się z sieci korporacyjnej firmy NetCentra, jednego z nowych operatorów telekomunikacyjnych. Czyli zapewne tam pracował. Więcej informacji da się uzyskać po kontakcie z administratorami w tej firmie. Technicznie sprawa była prosta, wystarczyło włączyć się laptopem do sieci i zyskać dostęp do logów, czyli zapisu informacji o połączeniach. Kwestia była jednak dość delikatna, bo mogli szukać... jednego z administratorów.

- Jutro będziemy wiedzieć, kto to jest. No, może pojutrze, bo mamy święto. Sam pan będzie mógł go zapytać o numer buta - powiedział informatyk.

Nowak ponownie przyjrzał się komiksowej sylwetce z portretu pamięciowego. Okrągła, szeroka twarz. Nieco kar toflowaty

nos. Zmarszczki na czole. Krótkie włosy. Facet nie wyglądał na intelektualistę, ale nie była to twarz spod budki z piwem. Ha, budki z piwem. Prawdziwe budki z piwem! Nowak przypomniał sobie zielony kiosk w swoim rodzinnym mieście - spotykał pod nim czasami swojego dziadka, trzymającego w dłoni butelkę typu „berlinka”, z biało-zieloną etykietką, z żółtym sfinksem. Sfinks Habermuscha i Schielego też już odszedł w przeszłość. Browar na Grzybowskiej przestał produkować piwo, teraz przyjeżdża do stolicy z Warki. Zresztą Nowak i tak nie pił królewskiego, w końcu ta nazwa jest na koszulkach Legii... No dobrze, próbował raz na jakiś czas warszawskiego portera. Ciekawa rzecz, to piwo, szkoda, że już zniknęło...

Zadzwoił telefon i wyrwał go z zamyślenia.

- Komisarz Zakrzewski jest w terenie - powiedział sierżant Kwiatkowski. - Aspirant Kowalski również. Ale to zgłoszenie pana na pewno zainteresuje. Jakaś kobieta z Boernerowa twierdzi, że rozpoznała osobę z portretu pamięciowego. Mówi, że widziała w poniedziałek podobnego mężczyznę na pętli dwudziestki. Spacerował z psem.

Dwudziestka jest jedną z ciekawszych linii w Warszawie. Jako jedyna ma odcinek jednotorowy z mijankami. Przy działkach na Kole podwójne tory skręcają w prawo, w Radiową, na Nowe Bemowo, a tramwaje linii 20 jadą dalej ulicą Dywizjonu 303 i skręcają w Kaliskiego. Nowak pamiętał z książki pożyczonej od Żurka, że trasę na Boernerowo zbudowano jeszcze w latach trzydziestych. Była to wtedy linia podmiejska, a nawet „zamiejska” - Warszawa kończyła się na wysokości Księcia Janusza. Na Boernerowo kursowały nawet tramwaje nocne.

Nowak dotarł na Bawełnianą. Gdyby nie anteny satelitarne na niektórych budynkach i zaparkowane samochody, można by odnieść wrażenie, że czas się tu zatrzymał, a na pewno nieco zwolnił. No, może to przesada, parę domów nosiło ślady generalnego remontu - zostały rozbudowane, ocieplone i otynkowane.



Tu i ówdzie widać było czujniki alarmów i tabliczki agencji ochrony. Pani Wanda Zembrzycka mieszkała w drewnianej, cokolwiek zaniedbanej willi, stojącej po stronie parzystej.

- Wie pan, że za czasów ministra Boernerera, który zbudował to osiedle, można było tu stawiać tylko drewniane domy? Były trzy typy budynków, projektowała je żona pułkownika. Mama mi o tym opowiadała... Pracowali razem z ojcem na Poczcie Głównej i kupili tutaj działkę, postawili dom. Ja niewiele zapamiętałam sprzed wojny. Pamiętam spacerować po lesie, pamiętam radiostację, która tutaj była. Wie pan, stację radiotelegrafu.

Wanda Zembrzycka miała ciągle coś ciekawego do opowiedzenia i nie bardzo chciała przejść do sprawy, z której powodu Nowak tu przyjechał. Spojrzał na starszą panią. Siedemdziesiąt kilka lat wyźłobiło sporo zmarszczek na twarzy tej sympatycznej, zażywej kobiety.

- Zapisałam dom synowi, nawet nie zapisałam, zrobiłam darowiznę, a on zobowiązał się, że do śmierci będę mogła tu mieszkać. Synowej to się za bardzo nie podoba, ale musiała się z tym pogodzić. Zresztą na razie nie mieszkają tutaj, czasami tylko przyjeżdżają z dziećmi. Mają małe, ale tanie mieszkanie w Grodzisku, po rodzicach synowej - pani Wanda kontynuowała opowieść. - Syn chce zrobić generalny remont tego domu. To kupa pieniędzy, samo odgrzybienie i oczyszczenie drewna to pewnie jakieś kilkanaście tysięcy złotych. Mimo to zawsze wychodzi taniej niż budować od nowa. Nie wiem, jak to będzie, nie wyobrażam sobie, że zamieszkać z nimi w Grodzisku, trzeba będzie się jakoś tu męczyć w czasie robót... A mąż też już nie ma tego zdrowia, co kiedyś...

- Pani Wando... - delikatnie przerwał jej Nowak. - Dzwoniła pani w sprawie mężczyzny, którego pani zauważyła na pętli tramwajowej.

- A tak, tak... Powiem panu, że od kiedy mówią o tych morderstwach, staram się nie jeździć sama tramwajem. Zawsze wybieramy się na zakupy we dwie, z sąsiadką. Ale tym razem

nie mogła wyjść z domu, źle się czuła, więc pojechałam też parę sprawunków dla niej. Jak wracałam, bałam się trochę. Jechałam blisko motorniczego, ale myślałam: co będzie, jak wysiądę? Drzewa na pętli, las w pobliżu, ktoś może mnie napaść, zamordować, wrzucić zwłoki w krzaki. Brrr... - Wzdrygnęła się ze zgrozą.

- O której to było?

- Jeszcze słońce świeciło, więc pewnie koło siódmej. Tak, na pewno, bo byłam w domu przed dziennikiem. To znaczy przed „Wiadomościami”.

- Jaki to był dzień?

- Tak jak mówiłam temu sierżantowi przez telefon, zeszyły czwartek.

Nowak spojrzął w kalendarz. Zeszyły czwartek, czyli dziewiętnasty maja. Trzy dni po zamordowaniu Alicji Jasińskiej. Portret pamięciowy był gotowy dopiero tamtego dnia.

- Wysiadam z tramwaju, rozglądam się na wszelki wypadek i widzę, że na końcu przystanku, tam, gdzie się zwęża wysepka, stoi mężczyzna z psem. I patrzy na mnie. Na szczęście tramwajem jechało też kilkoro młodych ludzi, więc nie bałam się wracać do domu.

- Szedł za panią?

- Nie. Obejrzałam się raz, ale już go nie zobaczyłam. Pewnie wsiadł do tramwaju, który zawrócił na pętli.

- Czy to jest ktoś stąd? Widziała go pani wcześniej albo później?

- Nie, nie widziałam.

- A ci młodzi ludzie? Rozmawiała pani z nimi?

- Nie rozmawiałam. I nie znam ich, nawet z widzenia. Szli do kogoś, skręcili w Telefoniczną.

- Pamięta pani psa? Jakiej był rasy?

- Wilczur, ciemny. Spokojne psisko. Sympatyczniejsze od właściciela.

- Był na smyczy?

- No... tak.

- A czy pamięta pani, w której ręce ten człowiek trzymał smycz? Po której stronie był pies?

- No... po prawej. To znaczy po mojej prawej, stał do mnie przodem. - Spojrzała zdziwiona na komisarza. - A co, to ważne?

Zatem po jego lewej. Smycz miał w lewej dłoni. Morderca jest leworęczny. W którym rękę trzyma smycz osoba leworęczna?

Nowak podziękował kobiecie za wyjaśnienia i uprzedził, że przyśle policjanta, który naniesie poprawki na portret pamięciowy. Starszym ludziom trzeba darować stres związany z wizytą na policji. A tym bardziej siedzenie przy komputerze.

- Panie komisarzu, niech pan nie myśli, że zgłosiłam się z powodu tej nagrody, przecież chodzi o nas wszystkich, o bezpieczeństwo... Matka Boska nas chroniła do tej pory przed nieszczęściami. Zawsze ktoś stawia świeczkę pod figurą. - Pani Zembrzycką mówiła o rzeźbie Madonny z Dzieciątkiem na pagórku w lesie, na końcu ulicy Westerplatte. Piękna, smukła postać opiekuje się tym kawałkiem Warszawy już od kilkudziesięciu lat. - Przetrwaliśmy Niemców, przetrwaliśmy komunistów, to i zwykłych bandytów się bać nie będziemy, prawda? Jeszcze tylko trzeba się modlić o to, żeby skrótu do trasy gdańskiej i do tego nowego mostu nam nie puścili przez środek osiedla. Jeżeli w ogóle most zbudują, bo znowu coś tam z przetargiem nie tak, w gazecie dziś czytałam...

Nowak nie wdawał się w dyskusję na temat rozwiązań komunikacyjnych. Pożegnał się z panią Zembrzycką. Był pewien, że morderca mieszka gdzieś na Bemowie.

Resztę dnia spędził na sprawdzaniu kolejnych Kowalczyków, Sokołowskich i Wyrzykowskich. Bez efektu.

Radio dla Ciebie nadawało transmisję z meczu Polonia-Legia. Po drugiej bramce dla Legii Nowak przełączył wieżę na CD i wrzucił czwartą płytę Petera Gabriela. Końcowy wynik sprawdził w telegazecie. Nawet słaba Legia potrafiła ograć Polonię zdecydowanie, pięć do zera. A do starć pseudokibiców

faktycznie doszło. Mediolan, kurwa, Madryt. Paryż Północy... Cała ta polska liga, skorumpowani prezesi, sprzedajni sędziowie. Chuligani i bandyci skumani z działaczami. Spieprzajcie, dziady. Po co zwykły człowiek - a nawet, psiamać, niezwykle człowiek - ma się pasjonować czymś, co ma ustalony z góry przez grupę cwaniaków scenariusz jak amerykański wrestling? Ktoś musi tym wstrząsnąć. Shock the monkey to life. Byle nie wstrząsnąć tak jak tą butelką z porterelem, którą właśnie z hukiem odstawił na stół. Nowak zaklął i pobiegł do kuchni po papierowe ręczniki.

Na szczęście nie był to koniec futbolu na środę. Świat sobie poradzi bez Polonii i Legii. Bez finału Ligi Mistrzów - nigdy. Milan-Liverpool. Boże, co za mecz! 3:0 dla Milanu, „The Reds” na kolanach, a po przerwie... Steven Gerrard, Vladimir Smicer i Xabi Alonso. A na końcu Dudek w swoim niesamowitym tańcu. Od tej pory bramkarze właśnie tak będą bronić karne!

## 2

Babcia Nowaka mawiała, że Pan Bóg jest przekorny. Na pierwszego maja prawie zawsze jest ładna pogoda, a na Boże Ciało pada deszcz i wałą pioruny. W tym roku święto przypadało wyjątkowo wcześniej, dwudziestego szóstego maja. Była piękna, prawie letnia pogoda, dwadzieścia siedem stopni. Nic nie zapowiadało nie tylko burzy, ale nawet najmniejszej mżawki. Warszawa opustoszała, rozpoczął się świąteczny weekend. Długie weekendy przestały jednak być główną atrakcją III Rzeczypospolitej - wyjechanie z miasta samochodem zajmuje często kilka godzin. Ale w końcu są jeszcze samoloty. Ludność się bogaci, a bilety lotnicze tanieją. Najtrudniejsza część podróży to przejazd na Okęcie.

Kasia była w Beskidach, w okolicach Krempnej. Nowak pamiętał wyprawy w góry z czasów studenckich i późniejszych, kiedy jeździł tam z żoną i przyjaciółmi. Beskid Niski...

Drewniane cerkwie ukryte wśród drzew. Malownicze cmentarze z pierwszej wojny światowej, a na nich groby żołnierzy z każdego krańca imperium austro-węgierskiego, z rosyjskiego zresztą też. Myszołowy krążące nad dolinami i biały krzyż na rozstaju polnych dróg...

Oj, niedobrze, robi się chyba sentymentalny. Albo po prostu zasłużył na urlop w miejscu, z którego nie widać Pałacu Kultury.

Pobiegł osiedlową ulicą, tak zwaną „małą Broniewskiego”, do Reymonta, a potem w kierunku Carrefoura. Prace przy nowej linii tramwajowej posuwały się zaskakująco szybko. Na Reymonta było gotowe betonowe łożo, w którym miało się znaleźć torowisko. Szyny pojawiły się już po drugiej stronie skrzyżowania z Kochanowskiego i Conrada. Korciło go, żeby wstąpić do Carrefoura albo do Alberta po piwo na wieczór, ale przypomniał sobie, że nie zabrał z domu portfela. No i bardzo dobrze.

Zadzwoił do ojca i przeprosił, że go dzisiaj nie odwiedzi.

- Trudno - powiedział Andrzej Nowak. - Wiesz, że nie musisz. Przecież masz mordercę do złapania. To łap go szybko. A jak już to zrobisz, przyjedziesz do mnie.

- Ale bez niego!

- Jasne, że bez niego. Możesz przywieźć jakąś kobitkę.

- Pracuję nad tym.

- O! To powodzenia, synu. Masz jakieś szanse?

- Podobne jak schwywania mordercy.

- Nie przesadzaj. Ile już trwa to wasze śledztwo, miesiąc, półtora?

- Prawie sześć tygodni.

- To staraj się, żeby się nie przeciągnęło na miesiące i lata.

W pozostałych sprawach też szybkich sukcesów życzę.

- A potem co, dożywocie? We wszystkich sprawach?

- Tak. - Ojciec roześmiał się.

Umówili się, że komisarz przyjedzie do Radzymina w sobotę, czwartego czerwca, jeżeli tylko będzie mógł. Razem obejrzą mecz Polski z Azerbejdżanem.

Kasia Żurek spojrzała na niego z uśmiechem i spuściła wzrok. „Możesz”, powiedziała cicho. Delikatnie dotknął jej piersi i przesunął czubki palców w kierunku jej pępka. Drgnęła. Nagle rozbrzmiała dziwna muzyka. To znowu Youll Never Walk Alone. Przestraszyli się i podbiegli do okna, nadzy. Byli w mieszkaniu w kamienicy na Miedzianej, a może na Srebrnej? Za oknem rozciągało się zielone, przystrzyżone w szkocką kratę boisko. Biegał po nim Jerzy Dudek, machając rękami i podskakując. Po chwili zniknął, ale melodia wciąż brzmiała, coraz głośniej i natarczywiej. Nowak sięgnął i wymacał telefon.

- Halo? - wrzasnął do słuchawki. Był wściekły, że przeważnie mu spotkanie z kobietą. „Ciekawe, czy trener Liverpoolu też będzie wkurzony”, pomyślał jeszcze pod wpływem snu. To Hiszpan, na pewno się zdenerwuje.

- Adam? Obudziłem cię? Przepraszam. Ale sprawa jest dość ważna. - Głos Kowalskiego powoli przywracał komisarza do rzeczywistości. Nowak oddychał chwilę, usiłując zyskać stuprocentową pewność, że jest sam w swoim łóżku, w swoim mieszkaniu, w gierkowskim bloku na Piaskach. Już.

- Nie musisz przeproszać, jestem policjantem - powiedział w końcu. - Co się stało?

- Inżynier Krzysztof Stadnicki, ten twój znajomy z zajezdni...

- Zamordowali go?! - Nowak uciszył budzik, który właśnie zaczął dzwonić.

- Nie. Ktoś go napadł i pobił do nieprzytomności. Na rogu Skierniewickiej i Siedmiogrodzkiej, przy zajezdni Wola.

Radiowóz jechał pustymi ulicami, oświetlonymi przez wiosenne słońce. Mijali pojedyncze samochody. Parę z nich miało rowery na dachu. Warszawiacy wciąż wyjeżdżali na przedłużony weekend. Uśmiechnął się. Warszawiacy... Złośliwi powiedzieliby: mieszkańcy Warszawy, nie warszawiacy. On sam należał do tej grupy. Przyjezdnych, ale z okolic. Właściwie żałował, że wczoraj nie wsiadł w autobus i nie pojechał do ojca.

Krótką wizyta w komendzie, słuchanie relacji sfrustrowanych policjantów, a potem - jednak... - dwa piwa z Kowalskim, nie pozwalały na zaliczenie świątecznego dnia do specjalnie owocnych.

Dotarł na Siedmiogrodzką. Część chodnika była odgródzona taśmą. Kręcili się tam technicy, którzy poszukiwali śladów biologicznych. Kowalski stał za bramą wjazdową razem z wąsatym policjantem w mundurze. Wysoki, nosił okulary, pewnie był mniej więcej w wieku Nowaka.

- Poznajcie się. Komisarz Adam Nowak z Komendy Stołecznej, młodszy aspirant Jarosław Gajewski z Żytnej. - Uścisnęli sobie ręce.

- Dostaliśmy zgłoszenie od pracowników zajezdni - powiedział Kowalski. - Inżynier Stadnicki docierał właśnie do pracy. Była mniej więcej siódma rano. Szedł od Skierniewickiej, pewnie przyjechał dziesiątką. Z bramy na Siedmiogrodzkiej wyskoczył nagle facet w kominiarce, podbiegł do niego i uderzył pałką w głowę. Inżynier upadł, facet kilka albo kilkanaście razy uderzył go jeszcze pałką i kopał po całym ciele. Potem rzucił, uważaj, kasetę magnetofonową i uciekł do samochodu.

- Kto powiedział o tym zdarzeniu?

- Andrzej Milczarek, lakiernik, który pracuje w zajezdni. W warsztatach. Ruszył w pogoń za napastnikiem, ale nie zdołał go złapać. Facet wskoczył do samochodu stojącego na Siedmiogrodzkiej i odjechał z piskiem opon w kierunku Karolkowej.

- Samochód?

- Milczarek nie zapamiętał numerów rejestracyjnych auta, być może były zasłonięte albo umyślnie zabrudzone. Co do marki, przypuszcza, że było to stare bmw. W kolorze ciemno-granatowym, też brudne. Wygląd napastnika trochę pasuje do naszego portretu pamięciowego... Jeżeli chodzi o sylwetkę, ma się rozumieć.

- Przekazaliście rysopis bandyty i opis samochodu do centrali? - spytał Nowak.

- Jasne. Powinni sprawdzić nagrania z kamer z okolic Towarowej, placu Zawiszy, z Woli. - Rozmawiałem z ochroniarzami z tamtego budynku. - Gajewski pokazał szary gmach, w którym mieściła się hurtownia farmaceutyczna i co najmniej kilka innych firm. - Nie zauważyli niczego podejrzanego. Nagrań z monitoringu nie ma.

- Napastnik był sam? Ktoś jeszcze siedział w tym samochodzie?

- Milczarek nie przypomina sobie tego. Szyby bmw były przyciemniane.

- A jaka to kasetka?

- Nie jest muzyczna. To znaczy zwykła kasetka z naklejką firmową. Jakaś podróbka Sony albo BASF. Zabrali ją do laboratorium.

- Jasne. A co z inżynierem?

- Karetka zabrała go do Szpitala Wolskiego - odparł Gajewski. - Kto będzie prowadził dochodzenie? My czy Komenda Stołeczna? Bo przecież nie wiadomo, czy ma to jakikolwiek związek z morderstwami. To w końcu zwykłe pobicie.

- Pisz zawiadomienie do prokuratora. Sądzę, że zostanie wszczęte śledztwo, nie zwykłe dochodzenie. Obrażenia są dosyć poważne i nie wiemy, czy inżynier Stadnicki nie zostanie kaleką do końca życia. Miejmy nadzieję, że nie doszło do uszkodzeń mózgu...

Uraz mózgu. Śpiączka. Nowak przypomniał sobie rozmowę o eutanazji i potrząsnął głową.

- Może to mieć związek z Tramwajarzem... to znaczy, z seryjnym zabójcą - dodał. - Ale nie wiem, czy połączymy śledztwa.

- W każdym razie wezwałem ekipę z laboratorium KSP - powiedział Kowalski. - Jeżeli jest choćby cień podejrzenia, że to on...

Podszedł do nich starszy mężczyzna w szarym garniturze. Tęgawy, szpakowaty, około sześćdziesiątki, o dziwnej, zaciętej minie. To wrażenie sprawiała zapewne wysunięta żuchwa i kąciaki ust przesunięte ku dołowi.



- Inżynier Stefan Daszkiewicz z Działu Eksploatacji - przedstawił się. Głos miał znacznie bardziej sympatyczny niż fizjonomię. - Jestem bezpośrednim przełożonym Krzysztofa Stadnickiego. Panowie chcieli ze mną rozmawiać.

- Tak, oczywiście - rzucił Nowak i przedstawił się, podobnie jak pozostali policjanci. - Znamy już okoliczności tego przykrego zdarzenia, chcielibyśmy ustalić jeszcze parę szczegółów i faktów.

- Inżynier szedł do pracy pieszo? Nie miał samochodu? - spytał od razu Kowalski

- Ma starego peugeota. Mówił, że we wtorek zostawił go w warsztacie. Krzysiek przeklinał mechanika, bo samochód miał być do odebrania w piątek, ale zadzwonili z warsztatu i przełożyli odbiór na poniedziałek. Pewnie się wybrali na długi weekend.

- Standardowe pytanie: czy pan Stadnicki opowiadał ostatnio o jakichś groźbach pod jego adresem, czy sprawiał wrażenie zdenerwowanego, przygnębitego?

- Nie, o groźbach na pewno nie. Był może trochę... Hm, trochę bardziej poirytowany i pesymistyczny. Ale to chyba z powodu nadmiaru obowiązków w pracy.

- Czym ostatnio zajmował się pan Stadnicki? - zainteresował się Nowak.

- Pracował w Dziale Eksploatacji - wyjaśnił Daszkiewicz. - W najbliższym tygodniu miał być oddelegowany do pracy jako ekspert w Dziale Zamówień Publicznych. Na Obozowej.

- Na Obozowej? Tam są tereny należące do Tramwajów Warszawskich?

- Tak, za wiaduktem kolejowym, przy Alei Prymasa Tyśiąclecia. Jeżeli pan tamtędy jeździ, to na pewno pan widział torowiska, hale, wagony... Tam jest Zakład Energetyki Trakcyjnej i Torów, Biuro Informatyki...

- A, już wiem. - Nowak zlokalizował ten obszar w pamięci. - Co miał tam robić inżynier Stadnicki?

- Brał udział w ocenie zgłoszeń do przetargu na dostawę tramwajów niskopodłogowych.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Tramwajów niskopodłogowych dla Warszawy? - Inżynier Daszkiewicz skinął głową. - Panie inżynierze, o jakich kwotach mówimy, jeżeli wolno zapytać? Ile właściwie kosztuje tramwaj?

- No, to zależy. Ale mniej więcej dwa, trzy miliony złotych. Takie sumy pojawiają się w ofertach polskich firm.

Kowalski aż gwizdnął.

- Trzy miliony?! Myślałem, że to sumy rzędu co najwyżej kilkuset tysięcy złotych. A ile tramwajów ma zamówić Warszawa?

- Trzydzieści.

- Czyli mówimy o co najmniej sześćdziesięciu milionach złotych - mruknął Nowak. - To dużo.

Daszkiewicz spojrział ze zdziwieniem na policjantów.

- Myślą panowie, że to pobicie ma coś wspólnego z przetargiem?

- Wie pan, zdarzają się zabójstwa dla dziesięciu złotych. Brutalne pobicie dla sześćdziesięciu milionów jest więc możliwe, prawda? - powiedział Nowak. - Były już różne ciekawe sprawy. Na przykład parę lat temu właściciel jednej z firm sprzedających kasy fiskalne rozbił się o drzewo, ktoś mu przeciął przewody hamulcowe w samochodzie. Właśnie, w samochodzie. Ten peugeot inżyniera Stadnickiego, czy to była jakaś nagła awaria czy zaplanowana naprawa?

- Zaplanowana. Wymiana amortyzatorów i łożysk tylnych kół.

- A czy pan Stadnicki mówił coś na temat przetargu? Czy wspominał o jakichś naciskach, obawiał się czegoś?

- Rozmawialiśmy głównie o specyfikacji technicznej tramwajów. O tym, jakie są wymagania dla nowych wozów i jakie mają być zmiany w sieci w Warszawie. Zmodernizowane torowiska, nowe linie i tak dalej. Krzysztof nie był specjalnie skory do rozmów o sekretach handlowych całej sprawy.

- Ilu jest uczestników przetargu? - zapytał Gajewski.

- Cztery firmy. Z Chrzanowa, Bydgoszczy, Piły i Inowrocławia. Krzysztof najniżej ocenił ofertę firmy z Inowrocławia,

mimo że cenowo była bardzo atrakcyjna. Mówił, że nie mają w ogóle doświadczenia w produkcji tramwajów, a chcą zgarnąć pieniądze ze stolicy.

- Pan wybaczy na chwilę - powiedział Nowak do inżyniera. Policjanci odeszli na bok.

- Nie wiem jak wy, ale ja uważam, że to nie nasz morderca. Za duże pieniądze wchodzi w grę, żeby nie brać pod uwagę możliwości jakichś rozgrywek konkurencyjnych firm. Skądś znali jego opinię i chcieli ją zmienić albo pozbawić znaczenia. I nasłali bandziora na inżyniera. Nie sądzę, żeby miał zostać zabity. Chcieli go po prostu wyłączyć z gry.

- Mogli go wcześniej przekonywać do podjęcia właściwej decyzji - rzucił Kowalski. - I nie udało im się.

- To możliwe.

- A kasetą?

- Moim zdaniem ścierna. Fałszywy trop. Bandyta słyszał w telewizji, że na miejscu poprzedniej zbrodni znaleziono taśmę. I podrzucił coś, może nawet nagrał jakieś bluzgi. Chciał skierować podejrzenia na seryjnego zabójcę.

- To ma sens - odpowiedział Gajewski. - Ale dlaczego napadli go przy zajezdni, a nie wieczorem koło domu, w ciemnościach? Byłoby to łatwiejsze niż ryzykowanie wpadki tutaj, w środku miasta. W końcu tu są dwa kroki od warsztatów policyjnych, w każdej chwili można się natknąć na radiowóz. To musiał zrobić ktoś doświadczony i bezwzględny. Specjalnie wybrali to miejsce.

- Czyli napad miał się wiązać z tramwajami, tak? A gdzie mieszkał Krzysztof Stadnicki?

- Mieszka, w końcu facet żyje... Na Ursynowie, tam tramwaje nie docierają.

- Napastnik mógł obserwować inżyniera. Wiedział, że od paru dni nie przyjeżdża samochodem.

- Dobrze. Jedźcie na Obozową i przesłuchajcie ludzi zajmujących się zamówieniami publicznymi. Ja skontaktuję się z prokuraturą. I porozmawiam z rodziną. Pewnie żona jest już w Szpitalu Wolskim.

Nowak wrócił do inżyniera Daszkiewicza.

- Ten budynek to zakłady naprawcze, prawda? - Nowak pokazał halę po drugiej stronie placu, za drzewami. - Czy tam jest lakiernia? Chciałbym jeszcze porozmawiać z pracownikiem, który był świadkiem zdarzenia.

- Tak. Tu, gdzie teraz jesteśmy, to właściwa zajezdnia, tu nocują tramwaje, że tak powiem. Są trzy hale i tak zwana IV zajezdnia pod gołym niebem. Zakład naprawy tramwajów jest w hali Warsztatów Głównych. To najstarszy budynek, w zasadzie powstał po przebudowaniu pierwszej remizy z 1908 roku. Został prawie całkowicie zniszczony w czasie drugiej wojny, z wyjątkiem fragmentu stolarni. Na ścianach ciągle jeszcze widać przestrzelmy z powstania.

Poszli w kierunku starej hali.

- O której przychodzi do pracy... motorniczowie? - Nowak nie był pewien, czy powiedział poprawnie. Chyba jednak tak, bo Daszkiewicz nie zwrócił mu uwagi.

- W dni powszednie praca zaczyna się około czwartej nad ranem, więc są na miejscu jakieś piętnaście minut przed rozpoczęciem swojego kursu.

- A rozkład kursów?

- Jest uzgadniany z odpowiednim brygadzystą.

- Czy motorniczy jeździ zawsze na tej samej linii?

- Niekoniecznie. Stosujemy rotację, motorniczy może jeździć na dowolnej linii, którą obsługuje nasza zajezdnia.

- A tramwaje? Wagony? Zjeżdżają tutaj tylko z linii obsługiwanych przez zajezdnię?

- Tak. Jedynie do zakładów naprawczych czasami przyjeżdżają wozy z innych zajezdni. Dlaczego pan pyta?

- Z ciekawości. Kiedyś czytałem, że w zajezdniach jest mało miejsca i ostatnie tramwaje zjeżdżają na noc do zajezdni, która nie leży przy ich zwykłej trasie.

- A, o to chodzi. - Daszkiewicz roześmiał się. - Tak, do niedawna tak się zdarzało. Ale to nie pojedyncze wozy, lecz całe linie są przypisane do zajezdni. To się zresztą zmienia razem z rozkładem jazdy. Co jakiś czas robimy optymalizację. Budynków rozciągnąć się nie da, no, w każdym razie rozbudowa nie jest łatwa ani tania. Teraz w Warszawie są cztery zajezdnie

tramwajowe. Może trzeba będzie coś zbudować nowego, na Młocinach albo w Wilanowie? Ale to przyszłość. I to chyba daleka - westchnął inżynier.

Weszli do wielkiej hali przez bramę w stylowym froncie gmachu zakładu napraw. W powietrzu unosił się metaliczny zapach, który kojarzył się Nowakowi z zapachem stacji kolejowej po deszczu. Metal, olej i pył. Ze stanowisk, na których stały pudła wagonów, dobiegał syk agregatów spawalniczych, jazgot szlifierek i stukanie młotków. Robotnicy przetaczali pojedyncze zestawy kołowe i całe wózki. Z hałasu panującego w hali nic nie robiły sobie fruujące pod dachem gołębie. Nowak przyglądał się kanałom wyłożonym glazurą. Wisiały nad nimi ostrzegawcze światła z napisem: „Nie wchodzić przy włączonej trakcji”. Minęli metalowe szafki z przyklejonymi wypłowiałymi instrukcjami BHP i ze zdjęciami gołych bab. Nowakowi przypomniały się studenckie praktyki robotnicze, które musiał odbyć w FSO. W sumie był wdzięczny socjalistycznemu państwu za ciekawe przeżycia i obejrzenie świata z nieco innej strony.

Przeszli do lakierni.

- Tu się maluje wagony - powiedział Daszkiewicz. - Częściowo robimy to ręcznie, a częściowo automatycznie. - Wskazał na sterowaną elektronicznie kabinę lakierniczą. - Czasami także przyklejamy gotowe folie z reklamami, no i malujemy według dostarczonych wzorów. Ale to już oczywiście ręcznie. Praca lakiernika polega na tym, żeby dobrze wytryskać detale.

- Słucham?!

- Żeby dobrze wytryskać detale - z kamienną twarzą powtórzył inżynier.

- To ja bym się chyba do tej roboty nie nadawał - mruknął Nowak.

Andrzej Milczarek był postawnym facetem około czterdziestki. Wyłączył pistolet, zdjął maskę i podszedł do nich.

- Co, jeszcze chcecie o coś zapytać?

- W zasadzie tak - powiedział Nowak. - Czy przypomniiał pan sobie jeszcze jakiś szczegół, który mógłby ułatwić identyfikację napastnika?

- Proszę?

- Czy mógłby pan coś jeszcze dodać do rysopisu napastnika?

- Ja wiem? Chyba nie. Wysoki, mocno zbudowany, w dresie, ale nie takim wieśniackim, tylko takim bardziej... no, sportowym. Buty miał wysokie, sznurowane.

- A samochód? Widział pan jakiegoś człowieka w samochodzie?

- Już mówiłem, że nie.

- A psa?

Milczarek spojrzał zdziwiony.

- Psa? Nie, psa na pewno nie.

- Hm, a może pan przypomnieć sobie sytuację, w której pan gonił bandytę? Uciekł do samochodu i odjechał w stronę Towarowej. Samochód odjechał natychmiast, prawda? Bmw stało po prawej stronie Skierniewickiej?

- Tak, już za skrzyżowaniem z Rogalińską.

- Z której strony napastnik wsiadł do samochodu? Z lewej czy z prawej? Od strony kierowcy czy pasażera?

O coś ostatnio pytał w podobny sposób. O smycz.

- Nooo... - Lakiernik milczał przez chwilę. - Wie pan, że chyba z prawej... Znaczą od strony pasażera. Czyli...

Nowak odetchnął. Coś udało się ustalić. Napastnik nie działał sam.

- Dziękuję panu, to może okazać się bardzo ważne.

- Proszę bardzo. - Milczarek chciał jeszcze coś powiedzieć.

- Wie pan, jak się pojawił ten morderca... Teraz jest więcej patroli na przystankach i w tramwajach, to dobrze, może będzie bezpieczniej. Ja już nie mówię o kieszonkowcach, to inna sprawa, ale panowie, trzeba ukrócić wandalizm. Żadnego poszanowania cudzej własności. Wspólne, mogą używać, znaczą, że niczyje, nie?! Tak sobie myśli taki wandal.

Nowak tylko potakiwał. Lakiernik denerwował się coraz bardziej:

- Ja przecież widzę, co tu do nas trafia. Wie pan, z czym jest największy problem? Z szybami. Czasami wystarczy dzień dni. Dziesięć dni od remontu albo od wyjechania nowego wozu na ulice. I wszystkie szyby nadają się do wymiany. Gówniarze rysują je ostrymi przedmiotami. Nic nie sprawia takiemu półmózgowi większej przyjemności od wydrapania napisu „CHUJ”. Nie ma na nich siły. Wraca pięciu wesołych kolesi z imprezy i robią, co chcą. Nikt z pasażerów nie zwróci uwagi, żeby nie dostać po głbie. A przecież w każdym wagonie nie postawicie policjanta, prawda?

- Może niedługo będzie trzeba - odpowiedział Nowak.

Kowalski i Gajewski pojechali na Obozową, żeby porozmawiać z pracownikami Działu Zamówień Publicznych. Nowak ruszył do Szpitala Wolskiego. Lekarz, który operował Krzysztofa Stadnickiego, krótko opisał stan inżyniera: ciężki, ale stabilny. Obrażenia były dość znaczne: kilka złamanych żeber, pęknięta śledziona, obfity krwotok wewnętrzny. No i najgroźniejsze: uraz czaszki i obrzęk mózgu. Było za wcześnie, żeby stwierdzić, kiedy - i czy w ogóle - Krzysztof Stadnicki będzie mógł normalnie funkcjonować. Nowak spotkał w korytarzu zapłakaną kobietę, która okazała się żoną inżyniera. Był z nią także syn i jedna z córek. Niechętnie patrzyli na policjanta. Nowak porozmawiał tylko z synem inżyniera, dwudziestoparoletnim facetem o wąskiej, smutnej twarzy. Mężczyzna nie mieszkał już z rodzicami, nie potrafił powiedzieć nic istotnego na temat pracy ojca, a w szczególności ostatnich wydarzeń. Nowak poprosił o przekazanie pani Stadnickiej informacji, że ktoś z policji się z nią skontaktuje, kiedy będzie mogła rozmawiać.

Zadzwońska komórka. Jan Żurek.

- Halo?

- Dzień dobry, panie komisarzu. Słyszałem, że pobito Krzysztofa. Inżyniera Stadnickiego.

- To niestety prawda.

- Nie mogłem się dodzwonić do niego do domu. Pewnie żona jest w szpitalu, prawda? Co z nim, panie Adamie? Wylize się z tego?

Nowak powtórzył to, co powiedział mu lekarz.

- Cholera... - Słysząc było, jak Żurek oddycha ciężko po drugiej stronie słuchawki.

- Panie Adamie, czy myśli pan, że to ten seryjny morderca? Że tym razem mu się nie udało?

- Nie jestem pewien. Mamy za mało danych. A co pan o tym myśli?

- Cóż... Krzysztof opowiadał mi niedawno o przetargu na dostawę tramwajów dla miasta. Nowoczesnych, niskopodłogowych. Wie pan, tam chodzi o zamówienie o wartości mniej więcej siedemdziesięciu milionów złotych! - Nowak nie przerywał, mimo że słyszał już to od Daszkiewicza. - Był w komisji, która miała oceniać poszczególne oferty.

- No i?

- No i ktoś się o tym dowiedział. Dzwonił do niego jakiś człowiek z firmy Kolpaxnet, z Inowrocławia. Krzysiek otwarcie mówił, że są najsiłabsi i powinni odpaść od razu. Facet nie przedstawił się i nie powiedział wprost, że jest z tej firmy, ale sugerował na różne sposoby, żeby wybrać najkorzystniejszą ofertę. Czyli całkowicie polską, najtańszą i tak dalej.

- Czy to oznacza, że próbowano przekupić inżyniera Stadnickiego?

- Tak, chociaż suma nie padła.

- Czy ktoś jeszcze wiedział o tej rozmowie?

- Krzysiek nie opowiadał o tym nikomu z bliskich, nawet żonie. Tylko mnie. Mówił, że ten człowiek dzwonił jeszcze raz. Tym razem rozmowa była bardziej nieprzyjemna, Krzysiek opieprzył gościa równo i powiedział, że ze złodziejami rozmawiać nie warto. Facet był wkurwiony, za przeproszeniem. Ale Krzysiek nie wspominał o tym, żeby mu ktokolwiek groził, wtedy ani później. Podobno ten człowiek powiedział: „Trudno,



poradzimy sobie inaczej”. Fakt, można to rozumieć jako groźbę...

- Przypomina pan sobie, kiedy były te rozmowy? Kiedy pan Stadnicki o nich opowiadał?

- Nooo... Pierwsza była jakoś w zeszły piątek. Widzieliśmy się w niedzielę, więc mi wtedy o tym opowiedział. A druga... w poniedziałek.

- W ten poniedziałek?

- Tak. Wieczorem. Rozmawiał ze mną parę minut później.

Nowak zanotował te informacje. Wszystko zaczynało się układać w całość. W zaskakująco prosty sposób. Może zbyt prosty? Nie... Nie komplikujmy. Motywy działania ludzi zazwyczaj są bardzo proste. Sześćdziesiąt milionów złotych to bardzo dobry, prosty motyw. Prawie tak samo prosty jak siedemdziesiąt milionów.

Telefon zadzwonił po raz kolejny tuż po tym, jak zakończył rozmowę z Żurkiem. Spojrzał na wyświetlacz. Podinspektor Michalski.

- Cześć. Gdzie teraz jesteś, jeszcze w zajezdni?

- Nie, przed chwilą wyszedłem ze szpitala.

- Czy to znowu nasz zabójca?

- Wątpię - odpowiedział Nowak i pokrótce opisał to, co udało się ustalić. Streścił też rozmowę z Żurkiem.

- Ciekawe. Masz numer telefonu Stadnickiego? Wyciągniemy z TP SA jego billingi i ustalimy, kto do niego dzwonił. - Michalski odetchnął. - Na litość boską, jak można zrobić coś takiego?!

- Co? Zdumiewa cię upadek moralności?

- Nie... Co do tego nie mam złudzeń - odpowiedział podinspektor. - Ale jak można zrobić coś tak głupiego?! Przecież ewidentnie widać, że sprawa śmierdzi. Że chodzi o pieniądze.

- Może dlatego będzie ją łatwo rozwiązać.

- Może. Ale jeżeli to rzeczywiście wiąże się z przetargiem dla miejskich spółek, to mamy kolejną sprawę polityczną. Czytałeś dzisiejsze gazety?

- Nie, nie czytałem, kiedy miałem to zrobić?  
- Dalej wątkują temat współpracy oficerów policji z gangsterami. Podobno ten przeciek to była prowokacja. Podają nawet nazwiska informatorów. Niezła wpadka. Znowu namieszali. Ale dla nas ważniejsze jest to, że wydrukowali ogłoszenie. No wiesz, ten komunikat od „Policjantów w Warszawie”. Pewnie wszyscy będą się zastanawiać, jaki supermarket zaczyna kampanię reklamową.

- Pewnie tak. Kto będzie prowadził śledztwo? W sprawie tego pobicia?

- Jak zwykle prokurator. Tak, tak, wiem, o co ci chodzi... Na pewno nie leży to w kompetencjach wydziału zabójstw. KSP nie musi brać w tym udziału bezpośrednio. Niech przejmą to ludzie z Woli, w każdym razie prześlemy im to, gdy prokurator się do nas zwróci... - Podinspektor przerwał na chwilę. - Powtórz Gajewskiemu to, co ci powiedział ten tramwajarz. Jeśli się okaże, że trop związany z przetargiem to ślepa uliczka, zastanowimy się, co dalej.

### 3

Upalna sobota nie była najlepszym dniem na siedzenie w pracy. Nowak przejrzał raporty. Na kasecie podrzuconej pod zajeżdżnię znaleziono odciski palców, które zidentyfikowano jako należące do Antoniego Wasilewskiego, lat dwadzieścia siedem, pseudonim „Wasył”. Pochodził z Bydgoszczy, był karany za udział w rozbojach i wymuszeniach. Ostatnie miejsce pobytu: Brodnica. Prokurator podpisał już nakaz zatrzymania i doprowadzenia. Kasetą nie zawierała żadnych dodatkowych informacji. Technik, który musiał ją przesłuchać, określił jej zawartość jako „wiejskie techno”. Hm, w sumie mógł oskarżyć przełożonych o mobbing. I tak dobrze, że nie był to death metal. Chociaż ci w laboratorium byli przyzwyczajeni i do śmierci, i do metalu.

Nowak sporządził listę spraw, którymi kiedyś się zajmował. Na Woli i potem w Komendzie Stołecznej. Szukał ludzi, którzy

mogliby dzisiaj atakować miasto za to, co ono kiedyś zrobiło im. Szukał charakterów, które mogły zostać na zawsze skrzywione. Dziwnych zdarzeń, które mogły pozostać w ludziach jak zadra w skórze, jak pocisk w głębi ciała. Szukał motywów. Szukał tak naprawdę czegokolwiek. Olśnienia, nazwiska, jednego słowa, które znowu uruchomi ciąg skojarzeń.

Oczywiście brał pod uwagę tylko te ważniejsze sprawy. Ważniejsze... Ale nie było nieważnych zabójstw. Z kolei kradzieże, wypadki, rozboje... Jak to wszystko odfiltrować? Które z nich są istotne, a które nie? I czy rzeczywiście musiała to zrobić osoba już karana? Może to ktoś, kto nigdy nie był notowany ani nawet nie został wspomniany w żadnych aktach? Dziecko, które było przypadkowym świadkiem gwałtu lub pobicia? Może nawet we własnym domu. Na kartce pojawiały się kolejne uwagi i znaki zapytania. Głównie znaki zapytania.

Nowak zadzwonił jeszcze do Marka Szeremety i dowiedział się tylko tego, że informatycy uwielbiają długie weekendy. Także ci z policji. Liga nie grała, więc dzień był wolny od futbolu. Niespodziewanie komisarz wieczór spędził ponownie w pizzerii na Kasprowicza. Wyciągnął go tam Kowalski, chciał przedstawić swoją rodzinę. Rodzinę specjalnej troski, jak sam powiedział. Żona Romana, Magda, okazała się wielce sympatyczną pulchną blondynką z długimi włosami. Z wdziękiem udawało jej się zapanować nad dwójką chłopaków, Starszy, Filip, miał dziesięć lat i w swoich drucianych okularach wyglądał jak młody intelektualista, co najmniej jak Harry Potter. Pięcioletni Michałek był za to żywym potwierdzeniem zasady nieoznaczoności. Trudno było powiedzieć, jakie miejsce w przestrzeni aktualnie zajmuje. Dzieciaki zażądały największej pizzy ze wszystkimi dodatkami. Po delikatnej perswazji rodziców zgodziły się, że jedna na dwóch w zupełności wystarczy, a podwójny ser nie jest specjalnie zdrowy.

- Znasz ten dowcip o Żydzie, który przychodzi do rabina, bo ma problem z ciasnym mieszkaniem, a rabin każe mu kupić kozę? - zapytała Magda Kowalska.

- Znam.

- No właśnie. Jeżeli ktoś uważa, że ma problemy albo że się nudzi, chętnie mu wypożyczymy dzieciaki. Zwłaszcza Michałka. Nawet na jeden dzień. Chcesz spróbować?

Dobre pytanie. Jakoś do tej pory nie chciał. Żona też nie. Ona skupiła się na karierze zawodowej, on na... Na policyjnym odpowiedniku kariery. Uważał, że rola komisarza jest dla niego bardziej naturalna niż rola ojca. Odkładali podjęcie decyzji, póki mogli. A potem było już za późno na podejmowanie jakichkolwiek wspólnych decyzji.

- A co pan robi? Jest pan dedektywem? - dopytywał się Michałek.

- Detektywem, nie „dedektywem”. Pan Adam też jest policjantem. Robi mniej więcej to samo, co tata. Łapie przestępców. - Pogotowie opiekuńczo-wychowawcze w osobie Magdy Kowalskiej szybko udzieliło odpowiedzi.

- Ale chyba lepiej zarabia niż tata! - krzyknął Michał na cały głos.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Oj, Misiek, jak ty coś powiesz... - strofował go brat.

- Pewnie tak! - wołał Michał. - I ma pan broń, jak tatuś!

Goście siedzący przy sąsiednim stoliku spojrzeli z zainteresowaniem w ich stronę.

- Cicho! Nie rób tyle hałasu!

- Pewnie pistolet maszynowy. Komisarz musi mieć pistolet maszynowy.

- Nie, nie mam pistoletu maszynowego. - Nowak uśmiechnął się. - Ani sportowego samochodu do ścigania przestępców. Ani telefonu satelitarneho. Nie mam też płaszczu jak Columbo ani lizaka jak Kojak.

Dzieci popatrzyły ze zdziwieniem.

- Jakiego lizaka? - zapytał w końcu Filip.

- Daj spokój, oni nie wiedzą, kto to jest Kojak - powiedział Kowalski. - Ale za parę lat już się załapią na powtórki. Klossa i Czterech pancernych zaliczyli. No, przynajmniej Filip.

Kolacja przebiegła spokojnie, jedynym urozmaiceniem było lekkie zderzenie Michałka z szybą oddzielającą salę konsumpcyjną od toalet. Nowak obserwował z niejakim rozczeniem, Boże, on, z rozczeniem!, szczęśliwą rodzinę w dniu wolnym od pracy. Szczęśliwą? Kto to może naprawdę wiedzieć? Ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że codzienność nie zniszczyła tego, co definiowało tę czwórkę ludzi właśnie jako rodzinę. Że konieczność zapewnienia dzieciakom w miarę normalnego życia nie przerodziła się w trudną walkę o każdą złotówkę. Nauczycielska pensja Magdy i wynagrodzenie Kowalskiego - średnio pewnie jakieś dwa i pół tysiąca złotych - musiały wystarczyć dla całej rodziny na wszystkie potrzeby. Poza tym aspirant nie sprawiał wrażenia gliniarza pozbawionego zahamowań w poszukiwaniu dodatkowych źródeł dochodu, niekoniecznie zgodnych z prawem.

Pod koniec kolacji cicho piknęła komórka Nowaka. SMS od Kasi Żurek. Pozdrowienia z gór. Nałaziliśmy się dziś jak dzikie osły. Za to niedługo gospodarze zrobią nam ognisko!

Późnym wieczorem Nowak snuł się po mieszkaniu z portem w rękę. Porter pamięciowy. Cha, cha, cha. W końcu usiadł w fotelu, zgasił światło i włączył Space Oddity Davida Bowiego. Otworzył drugą tego wieczoru butelkę. Ostatnią dziś, na pewno. Podczas kolacji pił wino, zatem i tak będzie lekko narąbany. Zadał sobie pytanie: czy mógł naprawdę zakochać się w Kasi Żurek? Czy stać go na to? Do tej pory to zawsze kobiety go wybierały, dawały znak, sygnał, wskazywały trop, a on to przyjmował i akceptował. Zresztą podobno to i tak kobieta podejmuje tę najważniejszą decyzję, może akurat w jego wypadku było to bardziej widoczne. Na początku angażował się słabiej lub mocniej, na tyle, na ile potrafił przełamać swoje lenistwo i brak obawy o utratę kontroli nad swoim życiem. A na końcu...

Nic dziwnego, że po wszystkim kobiety zarzucały mu oschłość i brak uczuć. W najlepszym razie. Już kiedyś usłyszał, że jest tylko głupim policjantem i zawsze nim pozostanie.

Odczytał jeszcze raz wiadomość w komórce. Krótka wiadomość tekstowa, mniej niż sto sześćdziesiąt znaków. Nowy gatunek literacki, haiku na telefon. Nie wiedział, czy był jedynym adresatem, czy otrzymał jedynie współczesny odpowiednik pocztówki z pozdrowieniami. Nawet zwykły SMS mógł jednak oznaczać coś więcej: chęć dzielenia się życiem. Widokami, miejscami, wrażeniami. Drobiazgami, zasłyszanymi fragmentami rozmów. Pamiętał to... ze swojego poprzedniego życia.

Popatrzył na wyświetlacz odtwarzacza CD, odmierzający czas kolejnych utworów. God Knows I'm Good, śpiewał Bowie. Może faktycznie Bóg to wiedział. Jeżeli istniał i raczył się troszczyć o mieszkańców osiedla Piaski.

#### 4

Na poniedziałkowej odprawie Michalski przekazał informacje na temat przebiegu śledztwa w sprawie pobicia inżyniera Stadnickiego. Prokurator już przygotowywał się do wydania nakazu zatrzymania jednej z osób zaangażowanych w organizację przetargu po stronie Tramwajów Warszawskich oraz zastępcy dyrektora firmy Kolpaxnet z Inowrocławia. Policja poszukiwała w dalszym ciągu Wasilewskiego, który mógł być jednym z napastników. Spalony samochód użyty w czasie napadu znaleziono w jednym z podwarszawskich lasów. Inżynier Stadnicki odzyskał wprawdzie przytomność, ale nie można było go jeszcze przesłuchać.

- Sprawa wydaje się aż nazbyt prosta - powiedział Drzyzga.  
- Ktoś chciał wyeliminować inżyniera i wynajął tego Wasilewskiego z kumplem. Wasilewski jest z Bydgoszczy, to niedaleko od Inowrocławia. Bandzior, ale nie profesjonalista. Zostawił

odciski palców. Może był kierowcą, nie napastnikiem.

- Może ktoś chce skierować podejrzenia właśnie na tę firmę z Inowrocławia? Żeby wzmocnić swoją pozycję w przetargu - rzucił Zakrzewski. - Kasa, misiu, kasa. Dla kasy ludzie zrobią wszystko. A tutaj do zgarnięcia jest sporo.

- Rozmawialiśmy z ludźmi od zamówień publicznych - wtrącił Kowalski. - Sprawa zakupu tramwajów ciągnie się od pięciu lat, kolejne przetargi były unieważniane. Ostatnio z głupiego powodu. Od kiedy weszliśmy do Unii, informacje o zamówieniach publicznych muszą się ukazywać w dzienniku urzędowym Wspólnot Europejskich. Ktoś pomylił adres mailowy, ogłoszenie się nie pojawiło i przetarg trzeba było organizować od nowa.

- Dobra, panowie. Może i tak jest, jak powiedział Karol. Ale to już nie nasza sprawa. Kasa, itede. Wszystko wskazuje na to, że nie musimy się interesować pobiciem inżyniera Stadnickiego. Dziennikarzom powiemy, że naszym zdaniem sprawa nie ma nic wspólnego z Tramwajarzem czy jak go tam nazywają. Ale pamiętajcie... - podinspektor spojrział na policjantów - ...to nie wy rozmawiacie z prasą.

- ...bo zajebię - mruknął pod nosem Zakrzewski.

- Wróćmy do naszego śledztwa - powiedział Michalski.

- Macie przed sobą kolejny portret pamięciowy, wykonany na podstawie zeznań świadka z Bemowa.

- Z Boernerowa - wtrącił Nowak.

- Z Boernerowa. Adam, widziałeś zabójcę, przyjrzyj się dokładnie. Możesz coś powiedzieć? Skojarzyć z jakimś nazwiskiem z przeszłości?

Nowak spojrział na rysunek. Pani Wanda Zembrzycka nie podała zbyt wielu szczegółów, ale postać wyglądała znacznie mniej płasko niż w pierwszej wersji. Twarz miała nieco inny kształt, brwi były wyraźniejsze, mocniej zarysowane, inaczej położone, prawie połączone ze sobą. Jak to pisał Sienkiewicz? W kształcie tatarskiego łuku? Nieważne. Pod oczami rysownik naszkicował charakterystyczne worki, postarzające znacznie twarz. Nowak wziął drugą kartkę. Kompletna sylwetka była

również podobna do poprzedniego szkicu, jednak nie do końca określona, jakaś taka kanciasta. Ciemnogrnatowa obszerna dżinsowa kurtka raczej ukrywała szczegóły budowy ciała, niż je uwydatniała. U stóp osobnika siedział sympatyczny Szarik. A może Cywil.

- Nie znam człowieka. To jego zobaczyłem wtedy na Powstańców, ale nie przypominam sobie żadnego wcześniejszego zdarzenia z jego udziałem. Nie widziałem go nigdy w tramwaju ani autobusie.

- Roman?

Kowalski pokręcił przecząco głową.

- Trudno. Dajemy to do prasy, do telewizji, do sieci. Prosimy przy okazji o powtórzenie poprzednich rysunków. - Michalski westchnął cicho i spojrzał na Zakrzewskiego. - A co z cyferkami?

- Gówno, zasadniczo rzecz ujmując. Sprzedawcy i kasjerzy nie przypominają sobie nikogo charakterystycznego, podejrzanego, w szczególności nikogo podobnego do portretu pamięciowego. Na ogół zresztą są to ludzie, którzy raczej zapamiętują konkretne sytuacje niż twarze. Podobnie jak ochroniarze zresztą... - Ochroniarze nie zapamiętują twarzy? Dziwne.

- Daj spokój, przecież sam wiesz, jacy ludzie pracują w ochronie. Wracając do sprawy: nikt z posiadaczy kart płatniczych nie pasuje do profilu. Spokojni ludzie płci obojga, którzy założyli rodziny, remontują mieszkania, zbudowali domy. Znaleźliśmy jednego wdowca po pięćdziesiątce, który urządził właśnie lokal na Powiślu na wynajem. Pierdyknął sobie gustowne cyferki na drzwiach - skrzywił się Zakrzewski. - No i mamy jednego samotnego taksówkarza, który zbudował pod Piasecznem dom dla siebie i swojej przyszłej żony.

- Sprawdziłeś go?

- Tak. - Zakrzewski parsknął śmiechem. - Znam faceta chyba od piętnastu lat. Nasze dzieci chodziły do tej samej szkoły.

- Marcin, jakieś informacje o tej pierwszej kasecie? Raz, Dwa, Trzy?



- Mamy dane dotyczące ośmiu transakcji zakupu tej kasety z większych sklepów internetowych - odparł Drzyzga. - Wszystkie nazwiska spoza Warszawy, tylko jedno z województwa mazowieckiego, konkretnie z Ostrołęki. Sprawdzamy wszystkich po kolei, zaczęliśmy od tego najbliższego. Jakaś nauczycielka z miejscowego gimnazjum.

- Adam, masz już tego piłkarza z internetu? Jak on się nazywa, Jackie Chan?

- Jackie Charlton. Nie, jeszcze nie. - Nowak przypomniał sobie, że informatycy nie przekazali mu żadnej wiadomości. Trzeba będzie ich pogonić.

Po spotkaniu Nowak usiadł przy komputerze i uruchomił pocztę. Na firmowe konto dostawał tylko listy w sprawach służbowych oraz dowcipy przesyłane przez kolegów. Sprawdzał także listy z prywatnego konta, tam niestety trafiało mnóstwo maili reklamowych oraz tak zwanego spamu, czyli propozycji zakupu viagry po wyjątkowo niskiej cenie, powiększenia członka albo też udziału w łańcuszku szczęścia. A wszystko przez to, że raz nieopatrznie podał swój prawdziwy adres, odpowiadając na jakieś pytanie zadane na grupie dyskusyjnej pi.regionalne.warszawa. Nie za bardzo dało się z tym cokolwiek zrobić - akurat na tym serwerze darmowe konta nie miały zabezpieczeń antyspamowych. Administrator poczty w Komendzie Stołecznej uruchomił wprawdzie programy wychytujące niechciane e-maile, ale nie miał wpływu na pocztę zewnętrzną. Nowak odruchowo naciskał klawisz Del na listach otrzymanych od nieznanymi nadawców, gdy nagle zatrzymał rękę nad klawiaturą, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran. Nadawca podpisał się „Artysta Znany Jako Tramwajarz”, wiadomość nie miała tytułu. Treść składała się z czterech słów:

Pomyśl. To nie ja.

Poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. W gazetach podano numery telefonów i specjalny adres, na który można było przysyłać informacje związane z tą sprawą. Przychodziły tam wszystkie zgłoszenia wysyłane w dobrej wierze, trafiały się także głupie dowcipy, bluzgi i spam. Sprawdził szczegółowy wiadomości. List został wysłany bezpośrednio na jego adres w Komendzie Stołecznej, nie na prywatny. Był jedynym adresatem - wskazanym z imienia i nazwiska. Czyżby udało się sprovokować zabójcę do reakcji? Do udzielenia odpowiedzi?

- To ktoś inteligentny - powiedział Marek Szeremeta, kiedy już poklikał w programie pocztowym i obejrzał kilka stron internetowych, których treść była dla Nowaka kompletnie niezrozumiała. - Zna się na rzeczy. Byle kto jest w stanie założyć nowe konto na darmowym serwerze. Tak zresztą działają osoby i firmy wysyłające spam. Automatyczny skrypt, czyli specjalny program, tworzy nowy adres mailowy, a następnie wysyła tysiące wiadomości na znalezione w internecie adresy i kończy działanie. Nawet jeżeli następnego dnia konto zostanie zablokowane, bo jeden z odbiorców poskarży się właścicielom serwera, adres spełni swoją funkcję. Tak jak telefon jednorazowego użytku.

- Rozumiem, że to nie jest takie darmowe konto?

- To jest darmowe konto, ale nie na zwykłym serwerze. Autor maila wysłał go z anonimowego serwera na Arubie.

- Anonimowego? O co chodzi?

- Założycielami pierwszych serwerów anonimowych kierowały szlachetne pobudki. Byli i są przecież ludzie, którzy nie chcą, żeby ich listy były podpisane i żeby łatwo można było dotrzeć do nadawcy. Istnieją w końcu kraje, w których głoszenie pewnych poglądów politycznych czy religijnych nie jest mile widziane.

- I dzięki takiemu serwerowi mogę wysłać wiadomość tak, hm, zakodowaną, że adresat nie będzie wiedział, że to ode mnie?

-Tak.

- Idealna rzecz nie tylko dla dysydentów, ale i dla przestępców. - Nowak zastanowił się przez chwilę. - Ale musisz ufać właścicielowi serwera, prawda?

- No właśnie. Kiedy okazało się, że z serwerów takich mogą korzystać przestępcy czy terroryści, rządy niektórych krajów chciały zabronić prowadzenia takich usług albo zmusić właścicieli serwerów do udostępniania danych. Najstarszy serwer anonimowy, działający w Finlandii, został zamknięty po tym, jak jego administrator musiał podać policji dane użytkownika. - Szeremeta postukał palcem w biurko. - I to przez prawników reprezentujących Kościół Scjentologiczny!

- Ale takie serwery wciąż działają?

- Tak. Ale z reguły korzystają z nieco bardziej skomplikowanych metod utrudniających ustalenie nadawcy. To właśnie jedna z takich maszyn.

- I naprawdę nie da się namierzyć wysyłającego?

- Praktycznie rzecz biorąc, nie da się. Firmy zarejestrowane w takich dziwnych krajach nie podlegają prawodawstwu Unii Europejskiej, mimo że spółka może zostać założona przez Anglików, Niemców, Węgrów czy Polaków. Spółka jest rejestrowana na Kajmanach albo w Gibraltarze, i za jednym zamachem unika płacenia wysokich podatków oraz przynajmniej częściowo ucieka od odpowiedzialności prawnej za niektóre działania. Co więcej, nadawca mógł skorzystać z kilku serwerów anonimowych, jednego po drugim. Mamy adres tylko tego ostatniego.

- Co możemy zrobić?

- Możemy zażądać od dostawców internetu udostępnienia informacji, kto się łączył z tym konkretnym serwerem. Problem w tym, że tych dostawców jest wielu, łącznie z operatorami sieci komórkowych. Możemy wyciągnąć logi od właścicieli kafejek internetowych w Warszawie, z tym że nie wszyscy żądają dowodu osobistego od klientów, no i mogą wpuszczać znajomych bez rejestrowania...

- Ale ten ktoś mógł pojechać na przykład do Piaseczna albo nawet do Poznania, mam rację?

- Oczywiście. A co jeszcze bardziej prawdopodobne, mógł wysłać list z pracy.

- Sądzi pan, że to jakiś haker? Włamywacz?

- Niekoniecznie. - Informatyk uśmiechnął się. - Poza tym włamywaczy raczej nazywamy crackerami. Bo wie pan, komisarzu, haker to właściwie pozytywne określenie. Tak czasami mówimy na kogoś, kto jest w stanie dłużyć godzinami w kodzie, znaleźć niekonwencjonalne rozwiązanie jakiegoś problemu, opanować działanie pewnego systemu prawie na poziomie wiedzy tajemnej. Jak ten konsultant, który doskonale wie, gdzie trzeba stuknąć młotkiem. No, w tej anegdocie...

- Panie Marku...

- Dobrze już, dobrze. Zatem to niekoniecznie haker. Ale na pewno ktoś, kto dobrze wie, jak korzystać z komputera i poczty elektronicznej. Po pierwsze, wie o istnieniu anonimowych serwerów. Wie, jak ich używać; wie, które dają największą gwarancję anonimowości. Po drugie, zna pański adres.

- Adres nie jest chyba tajny? Choć w gazecie go nie podawano.

- Faktycznie, nie jest to skomplikowane, ale jednak trzeba dojść do tego, jaki jest schemat tworzenia adresów w Komendzie Stołecznej. Po trzecie, wprawdzie tekst jest króciutki, ale nie ma w nim literówek, błędów, są znaki przestankowe. Używa pan sieci na co dzień, więc wie pan, że wcale to nie jest standard. Dlatego mówię, że to ktoś inteligentny. Proszę sobie przeczytać komentarze do wiadomości w portalach. Średni iloraz inteligencji użytkowników komputerów jest być może ciągle wyższy niż użytkowników samochodów. Ale komputerów przybywa, więc ten przeciętny iloraz też maleje.

- Czyli...

- Czyli moim zdaniem to informatyk. Narzędzie, którego użył, jest dość zaawansowane. Zwykły człowiek poszedłby do

kafejki i wysłał maila z konta, które by natychmiast skasował, a i to niekoniecznie.

Anna patrzyła na wydruk.

- I to wszystko? Cała wiadomość? - zapytała.

- Niestety tak.

- To jedyny list, prawda?

- Jedyny, który dotarł bezpośrednio na moje konto. Ale wcale nie ma pewności, że to on. Ktoś może sobie robić głupie dowcipy.

Siedzieli w kawiarni w budynku BUW na Dobrej. Wokół nich kręciły się tłumy młodych ludzi, którzy wstępowali na kawę i ciastko przed pójściem do czytelni.

Anna jeszcze raz spojrzała na nagłówek listu.

- Prawdę mówiąc pseudonim mówi więcej niż treść wiadomości. Artysta Znany Jako Tramwajarz. Świadczy o inteligencji i poczuciu humoru. Pamiętasz, przez pewien czas Prince nie używał imienia ani pseudonimu, podpisywał płyty znacznikiem, a przedstawiano go właśnie tak: Artysta Znany Poprzednio Jako Prince.

- Pamiętam. Faktycznie, Prince to rzeczywiście artysta, wolno mu - mruknął Nowak.

- Po drugie, jeżeli to faktycznie morderca, chce nam uświadomić, że to, co robi, jest przejawem sztuki. To dzieło, które powstaje według jakiegoś planu.

- Dzieło?! Pieprzony psychopata. - Nowak nie mógł się powstrzymać. - Artysta... No jasne, artysta potrzebuje publiczności. Jeżeli tak jest, to ciekawą sobie wybrał dziedzinę na performance. Mógłby opakować Pałac Kultury w celofan albo, czy ja wiem, zrobić kupę na środku galerii...

- Jesteś zbyt inteligentny, żeby wygłaszać takie opinie o sztuce nowoczesnej - zgryźliwie zauważyła Anna. - Mogę kontynuować? Pierwsze zdanie to: „Pomyśl”. Sugeruje, że przeciwnik, tak to nazwijmy, bo rzeczywiście widać, że chodzi mu o grę, że przeciwnik cię w pewien sposób ceni. Wie, że to ty jesteś uczestnikiem po drugiej stronie i że po trafisz przeprowadzić

poprawne rozumowanie. - Spojrzała na niego. - A zdaje się, że to pobicie koło zajezdni nie ma nic wspólnego z poprzednimi morderstwami? Tak uważasz, prawda?

- Nie tylko ja.

- Zatem trafił, prawda? Druga część wiadomości brzmi: „To nie ja”. Chce ci dać do zrozumienia, że nie życzy sobie, żebyś go kojarzył z tym zdarzeniem.

- Ale to wcale nie oznacza, że wie cokolwiek na jego temat.

- Oczywiście, masz rację. Informacja dotyczy przede wszystkim jego, a nie jakiegoś pobicia.

- Czyli jest szansa, że nasz komunikat zadziałał? Że właśnie nawiązaliśmy kontakt, sprowokowaliśmy mordercę do odezwania się? Do działania innego niż zabijanie kolejnych osób?

- Może. Nie ma tu żadnego bezpośredniego nawiązania do treści naszego ogłoszenia. Chociaż lapidarność wiadomości jest podobna, jej struktura również. Dwa krótkie zdania, jedno wynikające z drugiego. No i podpis, nawiązujący do muzyki.

Anna spojrzała jeszcze raz na wydruk.

- Słuchaj, z technicznego punktu widzenia jest jakaś szansa, żeby go namierzyć na podstawie tego e-maila?

- Z tego, co wiem, minimalna. Będziemy próbować. Ale chciałbym tę szansę zwiększyć. W najprostszy sposób.

- To znaczy?

- Odpisać mu.

Nie wysilił się specjalnie. Napisał: Pomyślałem. Co możesz mi powiedzieć?

Jak na początek wystarczy. Dał znać, że zrozumiał wiadomość. Może nawet dał poznać, że wierzy nadawcy, choć nie

napisał tego wprost. No i że czeka na potwierdzenie tożsamości. Miał nadzieję, że to nie był dowcip jakiegoś gimnazjalisty, że faktycznie rozpoczął się dialog z mordercą. Wiedział, że dla mordercy to była gra i że chciał o tym przekonać policję, chciał być traktowany jako uczestnik czegoś ważnego, a nie jak zwykły bandyta do schwytania. Pieprzony profesor Moriarty. W Warszawie nie ma wodospadu. Zrzucimy cię do Wisły.

Marek Szeremeta skontaktował się z Nowakiem po raz drugi tego dnia.

- Jackie Charlton pracuje w firmie NetCentra. Nazywa się Andrzej Miklaszewski, jest administratorem baz danych. Przesłałam panu mailem to, co udało się ustalić. Adres elektroniczny, numer pokoju, dział, numer telefonu, dane z kadr na temat zatrudnienia...

- Świetnie! A co z pozostałymi ludźmi z serwisu randkowego?

- Mamy listę tych, którzy przy rejestracji podali prawdziwe dane. Żaden z nich nie pracuje w firmie informatycznej ani w komunikacji miejskiej. Prześlę panu to zestawienie. Namierzamy pozostałych. Jutro, najdalej pojutrze, lista będzie kompletna.

- Panie Marku, niech mi pan przekazuje wszystkie cząstkowe efekty waszej pracy, dobrze? Im więcej danych, tym lepiej.

- Lepiej? - zapytał ironicznie Szeremeta. - Nie toniecie już przypadkiem w danych, z których i tak nic nie wynika?

Nowak pokiwał głową. Racja. Dane to jeszcze nie informacja, a informacja to jeszcze nie wiedza.

- Ten Miklaszewski jest w pracy, na miejscu, w Warszawie?

- Tak. Pracuje pewnie normalnie, od dziewiątej do siedemnastej. To znaczy, tak jest wtedy, kiedy nie ma żadnych wdrożeń, awarii czy innych pożarów. Nie znam informatyka, który by czasami nie musiał zostać dłużej w pracy...

Nowak zastanowił się nad pewną sprawą.

- Czy możecie jeszcze coś zrobić w sieci NetCentry?
- O co chodzi? Mamy śledzić jego korespondencję?
- Nie, na razie nie. Chciałbym ustalić, czy z tej sieci ktoś nawiązywał połączenie z serwerem anonimowym, o którym mówiliśmy dzisiaj rano. Czy to możliwe?
- Oczywiście. Na pewno połączenia internetowe rejestrowane są na korporacyjnym firewallu. Zdziwiłbym się, gdyby dane nie były przechowywane przez pewien czas.

Nowak zastanawiał się, jak potraktować Miklaszewskiego. Nie wyglądał na podejrzanego, raczej nie spotkał się z Jasińską. Chyba że dziewczyna usunęła listy ze swojej skrzynki, a on nie mówił całej prawdy. Mało prawdopodobne. Nie można zorganizować spisku z trupem. Nowak postanowił nie umawiać się wcześniej, ale porozmawiać następnego dnia z Charltonem w pracy, wziąć go z zaskoczenia. Co mogło mu dać spotkanie z samotnym - zapewne - informatykiem? Wzorzec osobowości, którą może mieć morderca? Może nie wzorzec, może tylko jego fragmenty. Kawałki cudzego życia, które powiedzą coś więcej niż same suche sformułowania, wypisane w punktach w profilu sporządzonym przez psychologa. Byłby wdzięczny za każdy ślad, punkt zaczepienia, okazję do przebłysku intuicji. Za cokolwiek.

## 5

Zadzwonił do Miklaszewskiego jeszcze z samochodu, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń ochroniarzy. Usłyszał w słuchawce młody, spokojny, dość miękki głos, w którym na początku zabrzmiała dezorientacja, a potem pojawiło się zaniepokojenie, kiedy Nowak przedstawił się jako komisarz policji.

Wszedł do jednego z budynków Ochota Office Park i zajął miejsce na brzydkiej kanapie przy brzydkim szklanym stoliku. Naprzeciwko siedziało dwu brzydkich facetów mówiących po angielsku, ubranych w garnitury i najwyraźniej oczekujących na



wprowadzenie do firmy. Wyszła po nich piękna, szczupła brunetka w fioletowym wdzianku. Przywitali się i poszli za nią w kierunku windy. Nowak widział, jak wymieniają spojrzenia za plecami dziewczyny. Rozległ się dzwonek i goście rozstąpili się, żeby wypuścić wysiadającego. Człowiek, który wyszedł z windy, robił raczej sympatyczne wrażenie. Niewysoki, może metr siedemdziesiąt wzrostu, dość szczupły. Pociągła twarz, okulary, pokaźna łysina mimo młodego wieku. Ubrany w szarą dżinsową koszulę narzuconą na żółty T-shirt, do tego jasne dżinsy, buty marki Timberland. Samotny mężczyzna przed trzydziestką, któremu się nieźle powodzi.

Rozejrzał się niepewnie i podszedł w końcu do kanapy. Komisarz wstał.

- Adam Nowak z Komendy Stołecznej Policji - powiedział i uściśnął rękę informatykowi. - Proszę, oto moja legitymacja...

- Andrzej Miklaszewski... W czym mogę panu pomóc? Czy chodzi o dostęp do danych niejawnych? Jeżeli tak, to zajmuje się tym u nas specjalna komórka...

Nowak rozejrzał się.

- Macie tu jakiś bar czy kawiarnię, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

- Przy drugim wejściu jest stołówka. Dwie sale: dla motłochu i dla menedżerów. Ta pierwsza jaśniejsza, druga przytulniejsza. Nie trzeba nosić krawata, żeby wejść do tej lepszej części. Kuchnia jest w obu taka sama.

Zamówili kawę przy barze i usiedli przy jednym ze stolików w pustej sali.

- Widzi pan, co tu dają do mięsa - pokazał na menu. - Scrobia addition. Nieźle, nie? Na lunch wolę chodzić do Turka do Blue City. Albo do którejś z knajp w Reducie. A czasami zamówić coś z chińskiej budki. - Miklaszewski spojrzał na Nowaka. - Ale nie przyszedł pan rozmawiać ze mną o jedzeniu, prawda?

- Istotnie. Przejdźmy do rzeczy. Czy jest pan uczestnikiem portalu randkowego i używa pan pseudonimu „Jackie Charlton”?

Chłopak zerknął na komisarza.

- Tak, faktycznie takiego mam nicka... Co się stało? Dla czego mnie odszukaliście? Nie popełniłem chyba żadnego przestępstwa? Komuś pisałem w komentarzu, co sądzę na temat Andrzeja L. To faktycznie może się kwalifikować jako lżenie i zniesławianie, ale raczej nie publicznie...

Nowak popatrzył na niego uważnie. Do tej pory Mikłaszewski był nieco zdenerwowany, ale teraz przede wszystkim zaskoczony. Oczywiście nie tym, że można go było namierzyć.

- Jedna z kobiet, z którymi pan korespondował, została zamordowana.

- Naprawdę?! Która? - Zdumienie wydawało się autentyczne.

- Używająca pseudonimu BigGirl27.

Informatyk odchylił się na krześle i spojrział gdzieś w bok. Zamilkł na dłuższą chwilę.

- To bardzo przykre - powiedział w końcu. - Nie umiem tego inaczej wyrazić. Czuję stratę, ale nie taką jak po śmierci kogoś bliskiego. Czuję, że los nie dał nam szansy się poznać. Kiedy to się stało? Jak?

- Nie spotkaliście się? - Nowak zignorował pytania. - Nie wie pan, jak miała na imię, gdzie pracowała?

- Nie... Czytaliście pewnie korespondencję, więc już pan to mógł sprawdzić. Wiem tylko tyle, że pracowała w jakimś banku w Warszawie, no i że jej imię zaczynało się na A. Tyle mi napisała. Chciałem się z nią spotkać... Wie pan, jeżeli człowiek robi sobie jakieś nadzieje po długiej i dość osobistej korespondencji, trzeba to zweryfikować w rzeczywistości. Jak najszybciej.

Nowak zastanawiał się, co powodowało, że młodzi, inteligentni ludzie muszą szukać miłości w internecie, że nie mogą znaleźć jej w codziennym życiu. Zresztą... może był już za stary na to, żeby docenić nową formę komunikacji. Przecież to nie tylko jakaś wirtualna rzeczywistość. To już taka sama część życia jak każda inna. Równie dobra metoda poznania interesujących ludzi jak pójście do dyskoteki. Czy do klubu, na grilla ze

znajomymi. Jakkolwiek się to teraz nazywa, dubbing, homing, cruising czy swinging.

- Dziewczyna nazywała się Alicja Jasińska - powiedział. - Została zamordowana szesnastego maja na przystanku tramwajowym koło Mennicy. Jest najprawdopodobniej ofiarą seryjnego mordercy, który od paru tygodni grasuje w Warszawie. Słyszał pan o tym?

- Tak, słyszałem, oczywiście. Pamiętam, że czytałem o tym morderstwie w sieci.

- Nie skojarzył pan tego z faktem, że pana rozmówczyni nagle zamilkła, właśnie wtedy?

- Nie, kompletnie nie... Czasami nasza korespondencja się urywała na parę dni, czasami było parę listów w ciągu godziny. Myślałem, że po prostu przestało ją to bawić, więc już nie zwracałem jej głowy.

- Nie był pan zaniepokojony? - Nowak pamiętał, że Mikłaszewski pisał listy, w których dopytywał się, co się stało.

- Nie. Przecież prawie codziennie się logowała, sprawdzałem to czasami. Teraz rozumiem, że to pewnie ktoś od was, prawda? - Spojrzał na policjanta. - Zatem nie miałem powodów, żeby podejrzewać jakąś tragedię. Zresztą nie dopuszczamy na ogół do siebie myśli o tym, że ktoś nam bliski pada ofiarą zabójstwa. I to akurat tego, o którym mówią w telewizji. Może gdybyśmy się spotkali, nie znalazłaby się wtedy, tego dnia, na tym przystanku...

- Nie rozmawiał pan z kolegami o swojej korespondencji? O dziewczynach, które pan poznał?

- Nie.

- Czy ma pan znajomych informatyków w Onecie?

- Nie, w Onecie akurat nie... Dlaczego pan pyta? - Chłopak spojrział na komisarza. - A, rozumiem, myśli pan, że miałem dostęp do danych osobowych użytkowników serwisu. Nie. W żadnym wypadku.

Nowak popatrzył na młodego człowieka, który był wyraźnie przytłoczony całą rozmową.

- No dobrze. Dziękuję panu za wszystko. Skontaktujemy się z panem, jeżeli uznamy, że może pan nam w czymś jeszcze

pomóc. Nie wyjeżdża pan na urlop? - Informatyk pokręcił głową. - Mogę jeszcze o coś zapytać? Dlaczego Jackie Charlton?

Andrzej Miklaszewski pacnął się w głowę.

- Lubię futbol i mam wysokie czoło, jak mawia mój tata. To u nas zresztą rodzinne. Było i jest paru łysych piłkarzy, ale tego akurat bardzo lubiłem. Oczywiście ja pamiętam go jako trenera Irlandii, nie zawodnika. Zresztą jak się miałem nazwać? Nie jestem śliczny jak Beckham. Ani przystojny jak ten bufon Mourinho.

„Sam jesteś bufon”, chciał rzucić Nowak, ale się powstrzymał w ostatniej chwili.

- Buffon gra w Juventusie - powiedział na pożegnanie.

Wiadomość odebrał po powrocie do komendy. W nagłówku ten sam nadawca i ten sam serwer co poprzednio. Treść znowu była lakoniczna:

1-2-3, to ja. Szukajcie u Gamastona.

1-2-3. Raz, dwa, trzy. To ja. Świetnie! Nowak zrozumiał pierwszą część wiadomości. Facet przekazał kod, który mogli zrozumieć tylko policjanci. Mimo dociekliwości stacji telewizyjnych szczegóły dotyczące kasety pozostały nieujawnione. Czyli to on. Najprawdopodobniej, na dziewięćdziesiąt procent on. Dobra, panie Artysta. Pomyślmy. Skoro tak lubisz gierki, to cię spróbujemy pokonać. Zajrzymy do sieci. Sprawdzimy, co za jeden ten Gamaston.

Nowak przejrzał wyniki wyszukiwania. Było to raptem kilka stron, ale dawały odpowiedź: Gamaston to Gustaw Kamiński, pisarz, autor kilku powieści i zbiorów opowiadań. Urodzony w 1848, zmarł w 1930. Kawał życia. Okazało się, że Gamaston był nie tylko i nie przede wszystkim pisarzem. Inżynier technolog, skonstruował pierwsze żelbetowe stropy w Królestwie Polskim. Nowak sprawdził, czy były jakieś powojenne wznowienia jego książek, niestety nie znalazł nic wcześniejszego

niż wydanie powieści *Fata morgana* z 1925 roku. W sieci nie dało się także odszukać całych tekstów. Trudno, pan policjant będzie musiał iść do biblioteki.

Nowak poszedł do Michalskiego. Ten ucieszył się niezmiernie z wiadomości. Ostatnio rzadko można go było ujrzyć w staniej takiej ekscytacji. Miał najwyraźniej serdecznie dosyć spotkań z przełożonymi i z napastliwymi dziennikarzami.

- Adam! Przekaż wszystkie niezbędne dane ludziom od technik operacyjnych. Niech sporządzą listę rzeczy, które trzeba zrobić, żeby namierzyć autora maili. A przynajmniej żeby spróbować. Odezwał się. Wiemy, że to on, wszystko na to wskazuje. Mamy z nim kontakt. Przecież musi istnieć sposób, żeby go znaleźć. Sprawdzanie kafejek internetowych czy jak to się tam nazywa, operatorów telekomunikacyjnych i tak dalej. Informatycy się na tym znają, niech powiedzą, co można zrobić. Wszelkie formalne sprawy biorę na siebie. Może trzeba będzie coś załatwić przez Komendę Główną. Na przykład skontaktować się z holenderską policją albo z FBI.

Nowak zadzwonił do Anny Perkowskiej. Była w jakimś ruchliwym miejscu, sądząc z gwaru dochodzącego ze słuchawki.

- Możesz rozmawiać?

- Jasne. Piję właśnie swoją trzecią dzisiejszą kawę. Spałam ze cztery godziny. Mam kupę roboty z pracami studentów.

- Współczuję. Dostałem wiadomość od mordercy.

- O! - Natychmiast się ożywiła. - Dawaj!

Odczytał jej treść maila i opowiedział o tym, co znalazł w sieci.

- Ciekawy człowiek - powiedziała.

- Kto, morderca czy ten Gamaston?

- Gamaston. Inżynier, autor powieści i opowiadań, dramaturg...

- Podział na humanistów i ścisłowców widać jest od dawna przestarzały - mruknął. - To nie jedyny inżynier, który zajmował się literaturą. Przykładem choćby Jerzy Wasowski.

- Wasowski, ten od Starszych Panów? No popatrz, nie wiedziałam.

- Dobra, co z wiadomością? Widzisz coś?

- No cóż... Pierwsza część oznacza, że przyznaje się do co najmniej dwu morderstw. Zna ich szczegóły. Ale na to pewnie sam wpadłeś. Druga część to kolejna zagadka, którą masz rozwiązać. Zacząłeś dobrze, wiesz, o kogo chodzi.

- Kolejna zagadka? Czy jest jakieś, za przeproszeniem, ostateczne rozwiązanie? Czy po rozwiązaniu tej będą następne?

- Dobre pytanie. Nie wiem. Na razie wydaje się, że połączył haczyk. Że podoba mu się wymiana komunikatów i nawiązanie dialogu z przeciwnikiem, a nie tylko znaczenie terenu. Może to go skutecznie odciągnie od mordowania. I pozwoli wytropić go, bo zrobi jakiś nierozważny krok.

- Oby - odparł Nowak. - Ciekawe, czy mamy do czynienia ze sfrustrowanym studentem polonistyki.

- A może to szalony bibliotekarz, który chce nam przybliżyć zapomnianych pisarzy?

- Tak, jasne. I pewnie rozkłada po godzinach karty biblioteczne jak tarota. I wylicza numer linii tramwajowej.

- A to jest drewniana cerkiew w Kwiatoniu. Wysoka, strzeżona. Przepiękna. Jedna z piękniejszych w Beskidzie Niskim. To z kolei cerkiew w Skwirtnem, nieco mniejsza, ale równie ładna. Ta jest trochę nowsza, murowana, w Smerekowcu. A to piękna cerkiew w Gładyszowie. Trudno było ją dobrze sfotografować, bo jest otoczona drzewami, ale widzisz, że ma inny kształt niż te łemkowskie, prawda? Jest zbudowana na planie krzyża greckiego. O, tu ładnie wygląda, od frontu, na końcu alei.

Nowak przyglądał się uważnie nie tylko budowłom, ale i ludziom. Uczestników wycieczki było pięcioro - trzy kobiety i dwu mężczyzn. Pięć to liczba nieparzysta. Dwa małżeństwa i Kasia.

Znalazł się na Białołęce, dokładniej na Nowodworach, całkiem niespodziewanie. To Kasia zadzwoniła i zaproponowała, że pokaże mu zdjęcia z wycieczki w Beskidy. Przeniosła zdjęcia z cyfrowki na dysk swojego laptopa, w zasadzie więc mogli się spotkać w dowolnym miejscu. Tym bardziej się ucieszył z zaproszenia, chociaż było to dla niego miejsce jeszcze bardziej egzotyczne niż pętla na Żeraniu. No, może poza aresztem śledczym i więzieniem, ale one leżały w innej części dzielnicy. Między Modlińską a Wisłą powstał spory kawałek miasta, w którym deweloperzy budowali nowe osiedla, korzystając z niskich cen działek, co przekładało się na nieco niższe niż w innych rejonach stolicy ceny za metr. Mieszkańcy tej części Warszawy tłoczyli się codziennie w korkach na moście Grota. No właśnie, brakuje Mostu Północnego... Nowak dojechał autobusem E-4, Kasia mieszkała na ulicy Hanki Ordonówny. Miłość ci wszystko wybaczy... A przez żołądek do serca. Zjedli spaghetti alla putanesca, które Kasia sprawnie przyrządziła. Alla putanesca, czyli „po kurewsku”, jak stwierdziła bez zażenowania.

Nowak obejrzał spore mieszkanie z rozległym tarasem. Ciekawe, że większość ludzi w odwiedzinach u znajomych zadaje sakramentalne pytanie: „Ile tu jest metrów?” On postanowił po prostu obejrzeć, jak żyje znana mu osoba. I jaki ma gust. Kremowy salon o nieregularnych kształtach, połączony z aneksem kuchennym. Żółta sypialnia, do której tylko zajrzał z progu. Nieco ekstrawagancki, oliwkowozielony gabinet pełen regałów z książkami; sprzęt muzyczny w salonie, a obok dwa gustowne stojaki na CD.

- O, zaraz sporządzimy twój profil - powiedział i zaczął przyglądać się płytom.

- Profil? A, rozumiem - uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że nie dyskwalifikujący.

- Zobaczymy. Słuchasz Einstürzende Neubauten?

- Co?

- Nic, nic. Tak tylko żartowałem - dotykał dłonią grzbietów kompaktów. Oasis. Blur. Radiohead. Dobrze jest. Można się łączyć z tą kobietą. Pink Floyd. Nieźle, spora dyskografia, na

dłużej starczy. Yes. No trudno, trzeba przetrzymać. Zresztą na starość jakoś lepiej to wchodzi.

- Niezła kolekcja. A to co? The Mars Volta. Nie znam, dobre?

- A, to... Dostałam w prezencie od kogoś, kto chciał mnie nawrócić na tę muzykę. Dziwactwo straszne. Mogę ci pozyczyć.

- Chętnie. - Kolejny drobiazg, dzięki któremu się spotkają po raz kolejny.

- Włącz coś, przyniosę wino. Napijesz się?

- Jasne. Nie prowadzę dzisiaj. Zresztą w ogóle ostatnio rzadko prowadzę. Jeżeli już, to służbowe auto. Rodzinny samochód przypadł komu innemu w wyniku podziału majątku.

Nowak włączył Vana Morrisona. Kasia wyciągnęła ze stołowa butelkę sycylijskiego Nero d'Avola.

- Ja otworzę - rzucił. - Mam doświadczenie, lata praktyki...

- Dobrze, proszę bardzo - roześmiała się. - Dasz sobie radę. Korek jest pewnie plastikowy.

Miała rację.

- Lubisz muzykę, prawda? - spytała.

- Tak. Gdyby nie piłka nożna, mógłbym pozbyć się telewizora. Ale ciężko mi spędzić wieczór bez słuchania muzyki. Muszę wrzucić do odtwarzacza jakąś płytę. Mam ich kilkaset i ciągle mi mało.

- Ho, ho, kilkaset. Ale nie ze Stadionu Dziesięciolecia? Policjantowi nie wypada mieć pirackich płyt, prawda?

- Nie wypada, ale znam takich, którzy zebrali spore kolekcje w czasie nalotów na piratów. Ale nie ja, w żadnym razie. To jeden z dwu stadionów, na które nie chodzę.

- No, to musiałeś wydać sporo pieniędzy. Z policyjnej pensji nie możesz chyba sobie pozwolić na wiele?

- No, okres największego rozrostu kolekcji mam już za sobą. Domyślasz się, że moja żona zarabiała lepiej niż ja. Wspólny koszyk był bardziej pojemny. Ale i tak zawarliśmy układ. - Skrzywił się. - Nie mogłem kupić więcej niż trzy płyty w miesiącu.



- To zła kobieta była - pokiwała głową Kasia. - Musieliście się rozstać.

- Na szczęście po rozwodzie płyty przypadły mnie. Nie mogło być inaczej... - Popatrzył na nią badawczo. - Zobacz, znowu wracamy do naszych poprzednich związków. Do małżeństw. Do czegoś, co się skończyło. Czy to nie jest chore? Czy to nie znaczy, że tak naprawdę się nie zakończyło, że musimy rozwiązać jakieś problemy?

- Ja nie muszę. Już wszystko rozwiązałam. - Wzruszyła ramionami. - To ty wróciłeś do tego.

Nowak nie był pewien, czy Kasia mówi całkiem szczerze, ale i tak bał się, że znowu powiedział coś niewłaściwego. Trzeba uważać. Kasia jest teraz jego jedyną szansą, jak kluczowy ślad w śledztwie, jak wizytówka z numerem telefonu. Trop, którym trzeba koniecznie podążyć, żeby mieć nadzieję na szczęśliwe zakończenie, a może raczej na powrót do normalności. Hm, jedyną szansą? Desperat. Nie jedyną. Jest jeszcze internet. Jackie Charlton i tak dalej.

- Zapytałaś o płyty.

- Pytałam o muzykę, a nie traumatyczne przeżycia uczuciowo-finansowe - odparła i uciekła gdzieś wzrokiem w bok. Po chwili jednak ponownie spojrzała na niego z uśmiechem. - No dobrze, przesadziłam. Widocznie rozmowy o przeszłości za bardzo kojarzą mi się z psychoterapią. Wobec tego wróćmy do muzyki. Czego w niej szukasz? Wyciszenia po pracy?

- Czasami tak. To inny świat, mój własny. Nie ma tam seryjnego mordercy ani tych zwykłych. Nieseryjnych, że tak powiem.

- Ile morderstw jest w Warszawie w ciągu miesiąca? To prawie dwumilionowe miasto, a ludzi w nim przecież przebywa jeszcze więcej... Przyjeżdżają i odjeżdżają.

- W tym roku? Dziesięć na miesiąc, przeciętnie.

- Dziesięć? To dużo! Dziesięć osób zostaje z rozmysłem pozbawionych życia. Jeden człowiek co trzy dni... Ktoś to przecież planuje...

- Nie zawsze planuje. Czasami jest to wybuch agresji, wściekłości, zazdrości. Bójka, w której pada o jeden cios za dużo.

- Brrr, straszne. - Wzdrygnęła się. - Ale ten wasz „Tramwajarz” robi wam połowę statystyk.

- Ojciec by cię skrzyczał. Morderca nie ma u nas specjalnej ksywki - powiedział Nowak. Kłamał, i tak wszyscy mówili „Tramwajarz”. „Kasownik” się nie przyjął, bo w końcu nie sprzedali tego pomysłu dziennikarzom. - Faktycznie, pięć zabójstw to sporo. I nie załatwia to nam wcale połowy miesięcznej normy, jeżeli tak chcesz na to patrzeć. On tę średnią znacznie zawyża.

- Złap go. Tego ci życzę.

Stuknęli się kieliszkami.

- Wiesz, dobrze się z tobą rozmawia... nawet o pracy. Moja praca jest faktycznie specyficzna, ale mogę stanąć z boku i spróbować o niej trochę opowiedzieć. Człowiek wtedy nabiera dystansu do tego, co robi. Ale także odrobiny szacunku. - Uśmiechnął się. - Którego mój zawód raczej nie ma w tak zwanym społeczeństwie.

- Ale to przecież się zmienia. Polska normalnieje, wbrew temu, co sądzą pesymiści.

- Normalnieje, ale powoli. Pewnie trzeba poczekać. Jedno pokolenie, może dwa.

Gadali jeszcze długo. Tylko gadali. No i pili wino. Oraz herbatę.

Nowak spędził pół środy w Bibliotece Narodowej na Polu Mokotowskim. Po raz pierwszy od kilkunastu lat znalazł się w tym budynku. Trochę zazdrościł studentom, którzy snuli się po holu, przeglądali katalogi, wypełniali rewersy. Mieli jeszcze kawałek życia przed sobą, najważniejsze decyzje do podjęcia, wszystkie dziewczyny świata w zasięgu. A do tego internet i polskie piwo w puszkach. No dobrze, zostawmy to piwo.

Założył kartę biblioteczną i udał się do czytelní, gdzie poprosił o wydanie trzech ksiązek: *Fata morgana*, *Lamparcie życie* i *Ogon królewskiego konia*. Tak się składało, że powieści dotyczyły czasów studenckich. Staroświeckie historie były nawet zabawne. Akcja *Fata morgany* toczyła się głównie w Warszawie, w znanych miejscach i budynkach. Czytał po łebkach, w zasadzie wynotowywał tylko nazwiska postaci, nazwy miejsc. Ciekawe, jaki związek z seryjnym zabójcą może mieć Stefan Zawiski, „student czwartego kursu nauk przyrodzonych”, zwany Spinozą. Albo Wiktor Piątkowski, pseudonim „Piguła”.

Wyszedł z kilkoma stronami notatek i dotkliwym ssaniem w żołądku. To zwykły głód. Zjadł obiad w pobliskiej Samirze przy siedzibie MPO. Kafta z kurczakiem, raz się żyje... Wrócił do centrali. Usiadł przed komputerem i wysłał kolejnego maila.

Czytamy. Za mało danych.

Znowu dwa zdania. Nie, jedno zdanie, jeden równoważnik zdania? Nieważne. W każdym razie „krótko i węzłowato”, jak mawiała jego babcia.

Na zaimprovizowanym spotkaniu Michalski wysłuchał relacji poszczególnych policjantów, po czym opieprzył cały zespół za brak efektów. Znowu wkurzyli go dziennikarze.

- „Wybiórcza” dalej jedzie na tej prowokacji, po której już leciały głowy. Dobra, to nie nasz problem. Warszawie na razie dają w sumie spokój. Ale w „Fakcie” za to jest zdjęcie komendanta stołecznego i podpis: „Co ten człowiek robi?!”

- Dobrze, że nie ma obok fotki z gołą babą - powiedział Zakrzewski. - Nie musimy się chyba przejmować wszystkim, co piszą szmatławce.

- Nie czepiaj się „Faktu”, redaktor naczelny jest kibicem Polonii. To rzadkość w Warszawie - mruknął Nowak.

- Przestańcie pieprzyć, tylko zabierzcie się do roboty. Nie po to odciągamy ludzi od innych dochodzeń, żeby siedzieć na dupie od dziewiętej do siedemnastej jak w jakimś biurze. Od jutra

chcę mieć od każdego szczegółowy raport. W mailu. Co robiliście poprzedniego dnia, jakie macie wnioski z pracy, jakie problemy do rozwiązania i co będziecie robić dzisiaj.

Michalski popatrzył ciężkim wzrokiem na zebranych.

- Na szczęście jest jakaś nadzieja, że nasi specje od komputerów coś znajdą. Jeżeli zaczną tylko intensywnie szukać - dodał.

Nowak wrócił do komputera.

Naciskał co parę minut „Wyślij/Odbierz”, żeby sprawdzić, czy w skrzynce pojawi się oczekiwana wiadomość. Przeczytał parę stron w serwisach sportowych. Przez chwilę myślał nawet o zarejestrowaniu się w portalu randkowym. Dobrze, że Michalski nie zaglądał mu przez ramię.

Wiadomość od mordercy nie nadchodziła. Nie było kolejnych ofiar, ale nie było także innych sygnałów. Napisz list, człowieku. Napisz, do ciężkiej cholery. Przecież właśnie na tym polega dialog policji ze społeczeństwem. No, dalej, pobaw się komputerem. Napisz.

# Pętla

## 1

List czekał w skrzynce w czwartek rano.

**Memento mori. Inne miasto.**

No żeż kurwa mać. Pan Wołodyjowski czy co?! Pamiętaj o śmierci? Nowak zaczął się zastanawiać nad tym, czy odebrać to jako groźbę pod swoim adresem. Może tak, może nie. Nie bał się o siebie, w tej chwili był tylko wkurzony, że morderca jest już tak blisko, ale wciąż nie do odnalezienia. Tak jakby siedział metr od niego, ale po drugiej stronie wysokiego muru. Nowak patrzył na kolejny rebus, który wyświetlał się w otwartym okienku. Przesłał kopię do Szeremety, żeby specjaliści poszukali jakichś danych umożliwiających namierzenie nadawcy. Ale pewnie ich tam nie było. Morderca nie popełniał błędów. **Memento mori. Inne miasto.** Jakie miasto? Kazimierz? Kluczbork?! Nowak jeszcze raz w myślach przeczytał tekst wiadomości, tłumacząc pierwsze zdanie na polski. **Pamiętaj o śmierci. Inne miasto.** Co to mogło oznaczać? Czy morderca popełniał zbrodnie dlatego, że wcześniej zdarzyła się jakaś inna śmierć, ale nie w Warszawie? Inna śmierć, za którą się mścił na stolicy? A może sugerował, że zabił już wcześniej gdzie indziej? Trzeba będzie wyciągnąć szczegółowe informacje na temat tragicznych

zdarzeń w środkach komunikacji miejskiej w Krakowie, w Łodzi, w Poznaniu i Wrocławiu... Były już zebrane materiały na ten temat, ale nie znaleziono żadnych podobieństw, serii napałów, nie mówiąc o zabójstwach.

Inne miasto. Nowak westchnął pod nosem. Głupie komentarze w internecie niespodziewanie mogły okazać się trafne. Zbrodniarz być może pochodzi spoza Warszawy. Łapać przyjezdnego!

Wypił resztę herbaty z kubka i skrzywił się z obrzydzeniem. Mineralizowana woda z filtra reagowała z herbatą i tworzyła ciemny osad opadający na dno. Nowoczesność w domu i zagrodzie. Trzeba będzie gotować kranówkę.

Inne miasto. „To miasto umiera i ty umrzesz z nim”. To Dezerter. Przypomniał sobie też mało znany utwór The Clash. This is the city of the dead... Spojrzał jeszcze raz na ekran. Inne miasto. Metropolia. Nekropolia. Pamiętaj o śmierci. Nie myśl tylko o tym, co ktoś zrobił za życia. O jego dziełach.

Nowak zrozumiał. To nie była groźba. To tylko sugestia, gdzie szukać kolejnej informacji. Otworzył książkę telefoniczną i znalazł numer do kancelarii Cmentarza Powązkowskiego.

Radiowóz zatrzymał się przy IV Bramie. Nowak wszedł na Powązki i spojrzał na plan. Numeracja kwater, rzędów i grobów nie była oczywista, bo cmentarz rozrastał się przez prawie sto lat. Nowak znalazł na planie kwaterę 39. Poszedł główną, wysfaltowaną aleją, prowadzącą w głąb. Zasługiwała na miano alei aniołów - na kilku grobach stały zadumane uskrzydłone postacie z pochyloną głową, opierające się o krzyże i spoglądające na nagrobek. Albo wprost przeciwnie, podnoszące dłoń w geście przestrogi lub triumfu nad śmiercią, jak choćby na tym pięknym dziewiętnastowiecznym nagrobku po lewej stronie. Jeden z aniołów pilnował też grobu Deotymy, Jadwigi Łuszczewskiej. Nowak rzadko tu bywał, ale zawsze lubił przychodzić na Powązki. Na cmentarzu było pięknie, zielono. I cicho. Samochody

i autobusy jadące Powązkowską było słycać gdzieś w tle, jako odległy szmer. Pojedynczy ludzie, głównie starsi, porządkowali groby i podlewali kwiaty spragnione wody po ostatnich gorących dniach. Aleją przejechała furgonetka ze śmieciami, prowadzona przez faceta w podkoszulku. Na jednym z grobów pojawiła się nagle wiewiórka, pewnie też w poszukiwaniu naczynia z wodą. Stała słupka, kiedy zobaczyła, że zbliża się do niej człowiek, po czym szybko uciekła.

Pracownik kancelarii cmentarza użył określenia „grobowiec”. Nowak zobaczył z daleka trzy groby, które można było bez wątpienia tak nazwać. Od razu domyślił się, o który z nich chodzi. Skręcił w prawo i dotarł do następnej alejki. Pierwszy grobowiec, kryjący szczątki zmarłych z dwu rodzin, wyróżniał się piękną kratą przy wejściu, prawdziwym dziełem sztuki kowalskiej. Ale komisarz nie tego szukał. Nieco dalej stała budowla nieprzypominająca chrześcijańskiego grobu. Ścięty ostrosłup obłożony rzędami kamiennych płyt wyglądał, jakby przeniesiono go ze starożytnego Egiptu. Był miniaturą świątyni albo raczej grobowej piramidy. Piaskowiec zszarzał i porósł mchem, tu i ówdzie widać było jeszcze ślady po pociskach wystrzelonych w czasie powstania. Portal wykonano z innego, czerwonego kamienia. Nad wejściem, pod uskrzydłonym słońcem otoczonym głowami węży, widniał napis „Gustawa Kamińskiego (Gamastona) i jego rodziny”. Reliefy po bokach przedstawiały ptaki trzymające mistyczne symbole oraz postaci grające na harfach. W dolnej części, a także na oryginalnej kracie zasłaniającej drzwi, widać było stylizowane kwiaty lotosu.

Na schodku pod kratą leżał stroik ozdobiony suszonymi kwiatami, a pod nim kilka świeżych świerkowych gałązek. Pod spodem widać było coś białego. Nowak wyciągnął z kieszeni chusteczkę higieniczną i wziął przez nią przedmiot, drugą ręką podnosząc gałęzie. Foliowa koszulka ochronna zawierała jedną kartkę formatu A4. Kserokopia jednego fragmentu książkowego planu Warszawy. Strona obejmowała Jelonki, okolice Cmentarza Wolskiego, Odolany i kawałek Włoch. Nie było na niej żadnych znaków ani dopisków.

- Cudownie - mruknął pod nosem. - Bieg na orientację.

Nowak miał wrażenie, że bierze udział w zdobywaniu, sprawności młodego detektywa. Albo warszawskiej odznaki turystycznej. Podbił pieczętkę w książeczce. Tylko dokąd teraz? Gdzie jest ta czekolada, którą ma dostać w nagrodę?

Zza grobu dobiegł nagle jakiś dźwięk. Nowak odłożył kartkę, wszedł na płytę sąsiedniego grobu i wyjrzał. Zarośnięty facet o niechlujnym wyglądzie mocował się z metalowym wazonem przytwierdzonym do płyty. Obok leżała „ruska” torba w pasy. Wystawały z niej jakieś pręty. Złomiarz.

W pewnym momencie podniósł głowę i spostrzegł Nowaka. Natychmiast chwycił torbę i zaczął szybko iść w kierunku bramy.

- E! - krzyknął komisarz. - Czekał pan!

Przeskoczył między nagrobkami. Facet zaczął już biec. Nowak miał do niego kilkanaście metrów, ale wiedział, że złapie go bez problemu. Mimo że gość poruszał się całkiem szybko jak na lumpa, na którego wyglądał. Tuż przed bramą złomiarz rzucił za siebie torbę, która z brzękiem walnęła o asfalt. Nowak odskoczył, żeby uniknąć zderzenia, i potknął się.

Złomiarz wybiegł na zewnątrz. Wpadł akurat na kierowcę radiowozu, opartego niedbale o samochód. Sierżant zareagował natychmiast. Rzucił trzymanego w rękę papierosa i skoczył w stronę złodzieja, zastępując mu drogę. Nowak już był przy nich i chwycił złomiarza za obdartą kurtkę narzuconą na równie niechlujną koszulę. Facet szarpał się przez chwilę, ale szybko zrezygnował.

- Noż kurwa... - wymamrotał. - Puśćcie mnie! Kurwa, no, gdzie wam ucieknę! No!

- Cisz! Co to za dziad, panie komisarzu?

- Złomiarz - rzucił Nowak, obszukując kieszenie zatrzymanego. Nie znalazł dokumentów. - Jak się nazywasz? Nazwisko, imię?

- A chuj was to obchodzi...

- Morda w kubeł! - wrzasnął sierżant.



- Spokojnie. Nie chce powiedzieć, to nie. I tak zawiezie my go na Żytnią, pewnie go tam znają.

- Kurwa, niczego nie zrobiłem. Nie można chodzić z workiem?

- A co masz w tym woreczku? Kąpcie na zmianę?

- Parę zardzewiałych prętów. Nic mi, kurwa, nie zrobicie.

Jeżeli to prawda, facet niestety ma rację. Tym razem nie udało mu się nic uszkodzić. A jeżeli nawet by to zrobił, sąd grodzki odstąpiłby od wymierzenia kary ze względu na znikomą szkodliwość społeczną. Trudno. Niech przynajmniej dziadyga trochę posiedzi na komendzie.

- Przypilnuj go, zaraz wracam. I zabierz te jego trofea.

Nowak wrócił do grobowca i podniósł kartkę. Foliową kieszonkę z kartką wrzucił do plastikowej torebki.

Policjanci z Woli od razu rozpoznali złomiarza. Waldemar Kleczewski. Okazało się, że był już parokrotnie zatrzymywany - i od razu wypuszczany. Raz tylko nie wywinął się od kary, kiedy ukraść kosze na śmieci sprzed izby wytrzeźwień. Nowak musiał spisać protokół zatrzymania. Wiedział jednak, że Kleczewskiego zapewne tego samego dnia puszczą do domu. Do domu, gdziekolwiek jest. Pewnie tam, gdzie jego serce. Albo wątroba.

Nowak wrócił do Pałacu Mostowskich i przekazał kartkę z planem miasta do laboratorium. Michalski zwołał spotkanie. Udało mu się ściągnąć Annę Perkowską. Nowak znalazł u siebie książkowy plan miasta, chyba nawet to samo wydanie, i zrobił odbitki.

- Co to może oznaczać? - zapytał podinspektor i ciągnął: - Jest kilka możliwości... Po pierwsze, morderca może pokazywać nam rejon, w którym mamy szukać następnego ciała. Już raz to zrobił. Cztery morderstwa zostały popełnione w dość uczęszczanych i ruchliwych miejscach, ale piąte zwłoki czekały na odkrycie we właściwym czasie. I wskazał nam je nie wprost, tylko poprzez zagadkę. Po drugie, chce nam powiedzieć, że na

tym terenie dopiero zostanie popełnione kolejne morderstwo. A to oznacza, że...

- ...że morderca czuje się coraz pewniej. Że robi to mimo obecności policjantów na ulicach i w tramwajach.

- Może wcale nie zamierza zrobić tego w tramwaju. Może znowu gdzieś na odludziu.

- Albo u kogoś w domu - rzucił Nowak.

- Albo u kogoś w domu - powtórzył Michalski. - Po trzecie, są tu nie tylko dwie pętle tramwajowe, ale także raz, dwa, trzy... pięć cmentarzy różnych wyznań. Nie, sześć, jeszcze ten we Włochach. Przypuśćmy, że następny krok też ma związek z cmentarzami, jak poprzedni.

- Po czwarte - powiedział Nowak - są tu stawy i glinianki. Może ktoś już w nich pływa. Jest też zajezdnia autobusowa na Kleszczowej.

- Po piąte, morderca może się nazywać Człuchowski, Krużyński albo Sieradzki. O, albo Szczęsny. - Zakrzewski wybrał kilka nazw ulic z trzymanej w ręku kartki.

- On albo jego ofiara - powiedziała Anna. - Musimy też rozważyć pomysł, że właśnie na tym terenie miało miejsce jakieś ważne wydarzenie, które jest kluczem do osobowości mordercy. Do tego, co teraz robi.

- Znaczy, że gdzieś na Jelonkach spadł z rowerka na głowę? Albo mama nie kupiła mu misia trzydzieści lat temu?

- Jeżeli tak chce to pan ująć, drogi komisarzu... - Anna nie przepadała za Zakrzewskim. On sam chyba też za sobą nie przepadał.

- Przestańcie sobie dogryzać, drodzy państwo - huknął Michalski. - Wszystkie pomysły musimy wziąć pod uwagę. Adam... - zwrócił się do Nowaka. - Ty pracowałeś przecież w komisariacie na Woli. W tym starym budynku koło cmentarza. Tam zaczynałeś, prawda? Może znowu chodzi o ciebie? O jakąś starą sprawę?

- Nie. Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Wiem, że nie możemy tego odrzucać, ale nic mi tu nie pasuje.

- Roman, na Żytniej powinno być archiwum. - Michalski spojrział na aspiranta Kowalskiego. - Może warto by się tam wybrać, co? Posiedzieć trochę nad papierami. Adam? Nie możesz polegać tylko na swojej pamięci i starych notesach...

- Może i tak - mruknął Nowak.

- Zacząłeś już robić listę spraw, prawda? Przekaż ją pani Annie. Udziel wszelkich wyjaśnień. Może pani znajdzie coś, czego nie widzi komisarz policji. Aha, jeszcze jedno - dodał Michalski. - Co z portretem pamięciowym? Jest coś nowego?

- Liczba zgłoszeń spadła, mamy po kilka w ciągu dnia - odpowiedział Kowalski. - Dziś sprawdzałem jednego kierowcę, trochę podobnego do tego z portretu. Pracuje w Ad-polu, to jedna z firm, które dzierżawią linie autobusowe od ZTM-u. Często bywa na pętli na Bemowie, więc facet wydawał się obiecujący. Okazało się, że mieszka na Bródnie z żoną i trojgiem dzieci, bez psa. A w dniu popełnienia pierwszego morderstwa w ogóle nie jeździł. Zatrął się czymś w sobotę, podobnie jak i jego żona. Dogorywali oboje w domu. W pracy ma bardzo dobrą opinię.

- Pewnie ktoś chciał się zemścić za to, że ochlapał go autobus - rzucił Michalski. - No nic. Może kolejne zgłoszenie będzie tym, na które czekamy. Nie możemy go przegapić. Wyślemy też ludzi, niech przejdą się po punktach ksero na Bemowie i na Woli w granicach tego planu.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

- Tak, wiem, że to beznadziejne, kopiarki są w każdej firmie. Ale może morderca odwiedził z planem Warszawy zakład usługowy.

Nowak usiadł przed komputerem i wysłał kolejnego maila. Mamy plan miasta, Ajaki jest twój plan? O żeż, jak to uprzejmie brzmi. Trudno.

Odpowiedź znowu nie nadchodziła. W piątek Nowak rozmawiał z pracownikami cmentarza. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na nikogo, kto kręciłby się przy grobowcu. Zresztą od siódmej rano do zmroku na cmentarz mógł przyjść każdy.

Z tego powodu komisarz zrezygnował z ustalenia pełnej listy pracowników. Byłaby równie przydatna, co książka telefoniczna.

Zadzwoił Szeremeta.

- Cześć... To znaczy, dzień dobry, komisarzu.

- Możemy przejść na „ty” - zaproponował Nowak.” - Adam jestem.

- Marek... Jasne, tak będzie wygodniej. Słuchaj, sprawdziliśmy połączenia z serwerami anonimowymi w NetCentrze. W ostatnich tygodniach nie było żadnych. Ale pomyślałem, że wydobędziemy logi jeszcze z poprzednich miesięcy, z pierwszego kwartału. Już je zarchiwizowano, więc trzeba było znaleźć właściwe backupy. Na szczęście nie zginęły. W firmach telekomunikacyjnych ludzie mają świra na punkcie bezpieczeństwa. I nie chodzi tylko o włamania, ale także o przekazywanie danych konkurencji. Właściwie to przede wszystkim o to.

- I co? Znaleźliście coś?

- Tak. Były połączenia z kilkoma serwerami udostępniającymi takie usługi, także z tym, z którego przychodzi listy od twojego mordercy. Jeżeli można coś wywnioskować z listy odwiedzanych stron, ktoś mógł się łączyć z tymi serwerami po to, żeby sprawdzić, jak działają i co oferują.

Jest. Jest nowy trop. Czyżby właściwy?

- Natomiast nie przychodziła żadna poczta z zewnątrz z takich adresów - kontynuował informatyk. - To znaczy taka jak do ciebie. Jeżeli ktoś robił testy, wysyłał pocztę na konta umiejscowione na jednym z ogólnodostępnych portali. Mógł wtedy sprawdzić skrzynkę bez wzbudzania podejrzeń.

- To ciekawe. Udało się wam ustalić, kto to był?

- Niestety, na razie nie. Ktoś sprytnie korzystał z konta rota, czyli administratora, na jednym z serwerów UNIX-owych.

- Co to znaczy? - Nowak przeraził się, że usłyszy teraz typowy żargon informatyków.

- To znaczy, że mógł to zrobić każdy z operatorów, który znał hasło. Takich osób jest zwykle kilka.

- Uda wam się ustalić listę tych osób?  
- Staramy się. Na tej maszynie pracuje kilka istotnych systemów, właściwie nie wszyscy ich administratorzy powinni znać hasło roota do systemu operacyjnego, ale różnie to bywa. Nawet przy dobrze ustalonych procedurach bezpieczeństwa, nazwijmy to, zewnętrznego, największe problemy są zwykle wewnątrz firmy. Dam ci znać w poniedziałek, jeżeli czegoś się dowiemy. Staramy się też uzyskać listy połączeń od największych providerów, znaczy tych, no, dostawców usług internetowych.

Nowak zamyślił się. Co właściwie skłaniało go do tego, żeby szukać właśnie tutaj? Jackie Charlton, czyli Andrzej Miklaszewski, wydawał się człowiekiem naprawdę przytłoczonym tym, co usłyszał. Tym, że zupełnie nieświadomie znalazł się w kręgu zbrodni, a jej ofiarą padła kobieta, którą miał szansę poznać. Ale Miklaszewski mógł udawać. Mógł kłamać. Nie, nie było to zbyt prawdopodobne. Istniała jednak możliwość, że opowiedział o dziewczynie komuś z przyjaciół, który powtórzył to komuś, kto akurat obsługuje serwis randkowy. I do tego jest mordercą. Chyba że mamy do czynienia z niezwykleym przypadkiem i zabójca jest kolegą Miklaszewskiego z NetCentry, spotykanym przez niego codziennie na korytarzu i na obiedzie u Turka. Przypadek? Niezwykły? Zdarzały się bardziej zaskakujące.

Nowak poszedł do Michalskiego i opowiedział o ostatnich ustaleniach informatyków.

- Dobrze, dorzucamy do listy administratorów serwisu randkowego. Zajmę się tym, żebyś nie musiał wypełniać formularzy. Coś jeszcze? Przyszło ci do głowy coś w związku z tą mapką?

-Nie.

- Nie było żadnych zgłoszeń z Ursusa i Włoch. Napadów, ciężkich pobić, że nie wspomnę o zabójstwach. Rozmawiałem też z Komisariatem Kolejowym i z dowódcą SOK-u z Odolanów. Dokładniej patrolują tereny stacji. Nie znaleźli nic podejrzanego, przepędzili tylko paru bezdomnych. I złapali złomiarzy, tak jak ty.

Podinspektor wstał i podszedł do okna.

- Cholera jasna, chciałbym, żebyśmy go już w końcu znaleźli - powiedział, patrząc na samochody stojące na parkingu. Odwrócił się do Nowaka. - Poszedłbym wtedy wreszcie na urlop. Może nawet na zawsze.

- Co ty? Emerytura, już teraz? Co ty byś robił na emeryturze? Łowił ryby? Bawił się z wnukami? Przecież chcesz robić to, co robisz. To twoje miasto. Bardziej twoje niż zabójcy, którego szukamy.

- Dzięki - mruknął podinspektor. - Moje miasto? W Rembertowie jakiś gówniarz udusił swoją dziewczynę, bo puszczała się z jego kolegą. A przynajmniej tak mu się wydawało. Na Chomiczówce znaleziono narkomana, którego grupa bandytów potraktowała jak worek treningowy. Dzień jak co dzień.

- I co, masz dość... banalności zła?! - Nowak wysilił umysł, żeby znaleźć jakieś efektowne określenie. Musiał to już gdzieś wcześniej wyczytać. Nie w gazecie, raczej w trakcie studiów. - Nasz tramwajowy morderca jest niebanalny.

- Nie... Zło jest równie banalne jak dobro. Tylko może być mniej lub bardziej wyrafinowane. Na ogół mniej. Nie, Adam, ja już mam dosyć tej roboty. Sam zobacz. - Michalski zaczął wyliczać na palcach: - W zeszłym roku ktoś omyłkowo dał policji ostrą amunicję podczas zamieszek w Łodzi. Teraz aresztowano byłego szefa policji na Śląsku za kontakty z mafią paliwową. Rozwiązano zarządy CBS w Łodzi i Poznaniu za handel narkotykami i informacjami. A od paru dni ta afera z rzekomą współpracą z gangsterami. Jak tu być uczciwym gliniarzem? Jak mówić bez wstydu, że pracuje się w policji?

- Przesadzasz trochę. To są patologie, skandale. Afery zdarzają się w każdym kraju. Korupcja też. Masz sobie coś do zarzucenia? Nie szanują cię znajomi i rodzina?

- Szanują, szanują, i tym gorzej dla nich. Ale jakoś mam dosyć kraju, w którym istnieje pojęcie znikomej szkodliwości społecznej, w którym kupić można wszystko i wszystkim, a już najłatwiej informacje. Gdybym był młodszy i bez zobowiązań jak ty, może znalazłbym jakieś miłe państwko z dużą ilością

zieleni i małą gęstością zaludnienia. Nowa Zelandia, w ostateczności Irlandia. Albo Botswana. W każdym razie z większym pogłowiem była niż liczby mieszkańców.

- Była i u nas nie brakuje - zauważył Nowak.

- Słusznie. Masz rację. Dobra. - Michalski machnął ręką. - Chwila słabości. Nie było tej rozmowy, komisarzu Nowak.

Skoro nie było, to nie. Była za to praca.

- A co z tymi sprawami, o których mówiłeś?

- Marcin się tym zajął. W pierwszym wypadku trzeba odzyskać tego chłopaka. Drugi jest trudniejszy, ale jednego z bokserów już mamy. Można zatem uznać, że mamy i pozostałych.

The Mars Volta. Jak to powiedziała Kasia, straszne dziwactwo. Nowak nie cierpiał tak zwanego rocka progresywnego, bo brakowało w nim... no, progresu właśnie. Gdzie jest postęp w bufonadzie?! Utwory po pół godziny, nadęte solówki, barokowe efekciarstwo. Bał się, że to będzie coś takiego. Ale tej muzyki nie mógł jednoznacznie zaszufladkować. Trochę hard rocka, trochę punka, jakieś dziwne inspiracje jazzowe, histeryczny wokal... No fakt, trochę popisów, ale w ten dziwny świat wchodziło się łatwo. Nie bez niepokoju, ale z zainteresowaniem.

Wziął telefon i wysłał SMS-a do Kasi. Słucham płyty od Ciebie. Wciągające!

Tak, wciągające. Właściwe słowo. Jeżeli tylko chłopaki sami nie będą za dużo wciągać, nagrają jeszcze parę niezłych albumów.

Zadzwoiła od razu.

- Cześć. Wciągające, powiadasz? To możesz zatrzymać tę płytę. Jako prezent. Na imieniny.

- Imieniny mam w grudniu. Razem z gwiazdką.

- No właśnie. Dlatego jesteś pokrzywdzony i należy ci się więcej.

- Dziękuję bardzo!

- Nie ma za co.

- Spotkamy się w weekend? Jeżeli oczywiście moje towarzystwo nie jest ci obmierzłym.

- Ach, panie komisarzu, doprawdy, nie jest. Coś ty taki staroświecki?

- Ostatnio chodziłem po cmentarzach. Oglądałem groby radców, asesorów, medyków i obywateli ziemskich. Może to dlatego.

- Co takiego?

Nowak opowiedział jej o Powązkach.

- Ciekawe... Ta gra, w którą was wciągnął. Wiesz już, czego szukać?

- Nie. Ale niedługo się dowiemy.

- Cała Warszawa na to czeka - westchnęła. - To co, skoro jest tak zwana pogoda, spędzimy trochę czasu na świeżym powietrzu? Masz rower? Możemy pojeździć po lesie.

- Nie mam.

- Żona zabrała? Oj, przepraszam, tak mi się zebrało na żarty. Dobrze, możemy po prostu podjechać gdzieś samochodem i potem połączyć godzinę albo dwie. Jeżeli oczywiście nie będzie łało. To jak, jutro?

- Jutro? Jutro nie mogę.

- Praca? Łapiesz mordercę?

- Łapię go nawet we śnie. Nie, nie, jutro z kolei jadę odwiedzić ojca. Mamy razem obejrzeć mecz.

- Ach, jasne, mecz. Oczywiście. Czasami mężczyzna musi zrobić to, co należy do mężczyzny. Z kim gramy? Z Walią?

- Nie, z Azerbejdżanem. W Warszawie rozklepaliśmy ich osiem do zera. Tym razem chyba nie będzie tak łatwo.

- Nie znam się, nie oglądam piłki nożnej... Ale wiem, że czasami wygrywamy. Dobrze, w niedzielę zatem. Zdzwonimy się przed południem. Dopasujemy się do pogody.

- Słusznie. Dopasujemy się... - Nowak uśmiechnął się pod nosem.

- Zatem... dobranoc. Słuchaj dalej tych dziwaków.

- Będę słuchał. To mój zawód. Dobranoc.



Autobusy do Radzimina zatrzymują się pod Dworcem Wileńskim. Dokładniej pod Centrum Handlowym Warszawa Wileńska, którego dworzec jest obecnie częścią. Szkoda, że nie zachował się rosyjski Dworzec Petersburski, zniszczony w 1915 roku. Podobno został zastąpiony przez drewniany budynek, który przetrwał nawet drugą wojnę światową. To, co było potem, Nowak już mógł pamiętać. Tragedia. Obskurny barak magazynowy z rampami, przerobiony na dworzec, także autobusowy. Jedno z najbardziej ponurych miejsc w Warszawie, hańba Polskich Kolei Państwowych. Nowak przypomniał sobie widzianego nieraz bezdomnego opatulonego w kilka kapot, siedzącego ze swymi torbami w pobliżu automatów biletowych. To chyba jedyny człowiek, który czuł się tam dobrze. Zresztą podobno i dziś nowe perony śmierdzą moczem.

Kierowcy prywatnych linii jeżdżących do Radzimina i Wotomina nie musieli już narażać się na natarczywe trąbienie autobusów miejskich oraz bluzgi ich wkurzonych kierowców, przepędzających intruzów z przystanków - po wybudowaniu centrum handlowego pojawiła się specjalna zatoczka dla komunikacji podmiejskiej. Nowak kupił bilet u kierowcy i usiadł w wytartym fotelu starego szwedzkiego autobusu. Gapił się przez okno na samochody, na ludzi, na tłum w okolicach mijanych supermarketów. Na stojące na przystankach dziewczyny z długimi nogami i odsłoniętymi brzuchami. Czuł się jak pasażer z piosenki Iggy'ego.

Andrzej Nowak mieszkał na trzecim piętrze gomułkowskiego bloku, w mieszkaniu, w którym jego synowie spędzili mniej więcej dwadzieścia lat życia. Windy oczywiście nie było, ale na razie dla ojca nie stanowiło to problemu. Nowak zadzwonił do drzwi.

Otworzył mu ojciec, siwy, krępy mężczyzna w biało-niebieskiej, kraciatej koszuli i wytartych dżinsach. Uśmiechnął się i zaprosił syna do środka.

- Cześć!

- Cześć. Dawnośmy się nie widzieli, prawda? Ucałowali się trzy razy na powitanie.

- Proszę, to na dzień dobry. Żeby tak nie przychodzić z pustymi rękami. - Nowak wręczył ojcu czteropak pilznera, karton soku pomarańczowego i dużą paczkę czipsów.

- No co ty, nie trzeba było...

- Nie przejmuj się, tato, drobiazg - roześmiał się komisarz. - Jeżeli mamy pić piwo jak prawdziwi fotelowi kibice, to musimy pić najlepsze. A nie jakieś amperry czy waty z hipermarketu.

- Słusznie. Skoro nas stać... Siadaj, siadaj. Głodny jesteś? Zjesz coś przed meczem, prawda? Zrobiłem flaki. Prawdziwe, nie takie udawane z kury.

- Super! Przecież wiesz, że uwielbiam flaki.

- Rzadko je pewnie jadałeś. Pamiętam, że Ela ich nie lubiła.

- Ela? Jaka Ela?

Ojciec popatrzył z niejakim zdziwieniem. Ach, jasne. Ela. Elżbieta. Zapomniał o tym imieniu. Nie myślał już o niej inaczej jak „była żona”. Machnął ręką.

- Zawsze lubiłem flaki. Polubiłem je od pierwszego spróbowania. Pamiętam, że babcia je zrobiła jakoś tak na jesieni... Pamiętam, jak je gotowała i kroiła, to były takie prawdziwe flaki z targu. Piotrek nie chciał tego jeść, mówił, że obrzydliwe.

- Do dziś mu to zostało...

Adam Nowak spróbował dymiącej potrawy z głębokiego talerza. Pokiwał głową.

- Dobrze! - Uniósł kciuk do góry. A potem obficie sypnął do swojego talerza majeranku i papryki oraz nieco imbiru.

- Rozmawiałeś z Piotrem? - zapytał Andrzej Nowak.

- Nie dzwonił do ciebie, nie pisał?

- Nie. Jakoś tak nam się urwał kontakt. Nie bardzo mam z nim o czym rozmawiać. Tak jakby obraził się na mnie za to, że mi się rozpadło małżeństwo. Że nie mam dzieci. I że nie możemy razem robić spotkań rodzinnych przy okazji świąt.

- Do mnie dzwonił w tym tygodniu. Wrócił już ze Stanów, z Bostonu, był tam raptem cztery dni. Mówi, że konferencja mu się udała, że dobrze przyjęli jego wystąpienie. I że organizatorzy zabrali ich na statek w wolny dzień. Wyłynęli na ocean, żeby słuchać wielorybów. Śpiewu wielorybów, wiesz, tych dźwięków, które wydają. Piotrek mówi, że nie słyszał w życiu piękniejszej muzyki.

No proszę. Do tej pory od słuchania muzyki był młodszy z braci Nowaków. Ale w końcu Piotr to umysł ścisły, inżynier... Muzyka i matematyka mają wszak ze sobą wiele wspólnego.

- Pytał o ciebie. Niepokoił się. Czytał coś o tych morderstwach i wie, że pracujesz w tym śledztwie. Poza tym boi się, że jest ci trudno poradzić sobie z tym wszystkim samemu.

- Do diabła ze śledztwem - powiedział Adam Nowak. - Po tem ci opowiem.

- Dobrze, dobrze, przecież nie musisz. Pewnie i tak nie możesz.

Komisarz wyjął schowane na chwilę w lodówce puszki i otworzył je. Nalał piwo do starych, wysokich szklanek w kształcie walca.

- Lubisz piwo, prawda? - Andrzej Nowak popatrzył na syna. - Mam nadzieję, że nie pijesz za dużo?

- Nie - trochę skłamał. - Czasami sobie strzelę jedno z wieczora.

- To dobrze... Jeśli się trochę zastanowić, masz powody. Praca nieprzyjemna, nie najlepiej płatna. Samotny jesteś... A przynajmniej byłeś. Jak się czujesz?

- Babcia mawiała: jak groch przy drodze, kto przejdzie, to skubnie - roześmiał się. - Nie jest źle, tato. Powolutku do przodu. A co u ciebie?

- Różnie - mruknął ojciec. - Raz dobrze, raz źle. Może już za stary jestem na to, żeby kogoś mieć na co dzień. Przyzwyczałem się do samotnego życia i do kablówki. - Wskazał głową telewizor. - Ale próbuję.

- Próbuj. Samotność to nie najlepszy stan.

- Dla policjanta chyba tym bardziej, prawda?

- Masz ci los, ty znowu o tym. - Młodszy Nowak zirytował się lekko. Pomoc rodzinna, psia mać. - Samotność jest trudna, także dla gliniarza, ale chyba nie bardziej niż dla jego ojca.

- Ja przynajmniej nie noszę przy sobie broni.

- Ja dziś też nie mam. Nie przejmuj się, i tak rzadko jej używam. - Na chwilę zapadła cisza. - A propos kablówki, nie włączymy studia piłkarskiego?

- Wolę porozmawiać z tobą niż słuchać ekspertów od siedmiu boleści.

Włączyli fonię dopiero przy hymnach. Prawdziwe emocje zaczęły się już w czwartej minucie meczu.

- Karny! Przewrócili Franka - krzyknął ojciec.

- Nie... Nic z tego, tato. Nie tym razem...

- Był... Zobacz na powtórce.

- Ja wiem? - Skrzywił się sceptycznie. - Trudno, trzeba wstawać i grać dalej.

- Gol...! O żeż! Nie ma! - przekrzykiwali się minutę później, kiedy po strzale Sobolewskiego obrońca wybił piłkę z pustej bramki.

Potem obserwowali mecz w miarę spokojnie. Przewaga Polaków była wyraźna, choć ich akcje stały się raczej nieskładne. Przez parę minut trwała nudnawa kopanina. Do czasu.

- Zobacz, ale podanie! Szymkowiak! I teraz Frankowski... Jest! Jest! JEST! Jezu, jak on to potrafi!

- Franek, Franek, łowca bramek! - krzyknął starszy z Nowaków. Stuknęli się szklankami.

Po chwili znowu pochyłili się do przodu.

- Jest! Jeszcze jeden! Nie! Nie ma! O matko... Kosowski... No, biega gość, ale jak jest sam na sam, to musi trafić...

- Daj spokój, tato, nawet Maradonie zdarzało się coś spieprzyć.

- Głównie zdrowie... Ale takich sytuacji nie marnował. - Andrzej Nowak pokiwał głową. - Nieważne, może następnym razem się uda.

Parę minut po przerwie Radosław Sobolewski po sprytnym podaniu Frankowskiego przyładował w poprzeczkę. Na szczęście w pięćdziesiątej siódmej minucie było lepiej.

- Gol! GOL! - wrzasnął Andrzej Nowak. - No zobacz. Kłos z główki, znowu. A dośrodkowanie Szymkowiaka to majsterztyk! Świetny jest dzisiaj. Dobrze mu zrobiła ta Turcja.

- Masz rację. Wyrobił się chłopak, kiedyś był strasznie nierówny. W tej Wiśle mu się grać nie chciało.

Pili piwo spokojnie, już bez nerwów, przegryzając czipsami. Oby tak dalej.

- Żuraw, Żuraw, władca muraw! Uch, ale teraz to nie przy mierzył... - powiedział Adam Nowak, kiedy Maciej Żurawski strzelił dziesięć metrów ponad bramką. A był sam na sam z bramkarzem i wystarczyło zachować trochę zimnej krwi.

- JEEEST! - krzyknęli obaj w siedemdziesiątej dziewiątej minucie. Szymkowiak do Niedzielana, ten do Żurawskiego, i było już trzy do zera.

- Zobacz, facet zwariował! Wszedł na boisko. Uderzył technicznego! Co on robi, dlaczego tak kręci tymi paluchami? - Obaj ze zdumieniem patrzyli na trenera Azerów, Carlosa Alberto, który wściekły łąził po boisku.

- Pewnie chce dać do zrozumienia, że to przekręt. Że był spalony, a sędzia nie zauważył, bo jest kupiony.

- Idiota jakiś czy co? - Andrzej Nowak kręcił głową. - Przecież to był dobry piłkarz. Odbiło mu na tej posadzie? Czego się spodziewał?

- Nieważne, dostał czerwoną kartkę. Musi sobie iść.

- Spieprzaj, dziadu!

- Tak jest! - Komisarz wypił łyk piwa i popatrzył na ojca. W takich chwilach czuł z nim prawdziwą więź. Może nie potrafili ze sobą rozmawiać, ale byli razem, pasjonowali się tym

samym i nie wypominali sobie różnych decyzji podjętych w życiu. Ani popełnionych błędów. Od kiksów byli teraz Miła i Rasiak. Rasiak dziś nie gra. A trenera jak zwykle można krytykować bezkarnie.

- Trzy bramki, trzy punkty. Inaczej być nie mogło - rzucił po końcowym gwizdku.

- Mogło, mogło. - Ojciec pokiwał głową. - Pamiętasz mecz z San Marino, kiedy to było, jakieś dziesięć lat temu? Jak się męczyliśmy i Furtok musiał wbić piłkę ręką?

- Pamiętam.

- No właśnie. Już umiemy wygrywać ze słabeuszami. Tak powinno być.

- Ten Janas ma trochę szczęścia, sam przyznasz...

- Tak, ma. A szczęście nazywa się Tomasz Frankowski. Ile czasu minęło, zanim się do niego przekonał, ilu piłkarzy powoływał!

- Daj spokój, trenera nie rozlicza się za kiepskie sparingi. Ani za elokwencję. Wyniki w meczach o punkty, to jest najważniejsze.

- Może stosuje takie metody jak jeden z synów Saddama? Ten przyjemniaczek podobno kazał tłuc piłkarzy po piętach, kiedy przegrywali mecze.

- No, chyba nie - roześmiał się Adam Nowak. - Ale szczerze mówiąc, wygląda na takiego, co potrafi opierdolić.

Przeczekał wieczorną burzę i wrócił do Warszawy. Oczywiście przed dotarciem do domu zajrzał do Komendy Stołecznej. W skrzynce pocztowej nie było żadnych wiadomości poza kolejnym spamem wysyłanym w dobrych intencjach. Na białaczkę gaśnie dziecko, potrzebna krew grupy B Rh-, dzwoń pod numer... Trudno, życie jest brutalne. Niech gaśnie. Już tak gaśnie od pięciu lat. Ludzie rozsyłają wszystko bez czytania, nic dziwnego, że potem wśród śmieci zginie prawdziwe wołanie o pomoc.

- No, co za droga...

Jechali po betonowej trelince. Takiej jak ta na Żeraniu. Z tym że na końcu tej nie było domu z trupem bez oczu, ale sanatorium dziecięce. Zaparkowali pod drzewami i ruszyli szlakiem. Po wczorajszej burzy w lesie było duszno. Spotkali tylko kilku rowerzystów i starsze małżeństwo z psem, który podejrzliwie ich obwąchał.

Kasia Żurek zabrała ze sobą cyfrówkę, ale trudno było zrobić ładne zdjęcie w lesie, wśród drzew. Zwłaszcza tam, gdzie docierało białe, nieciekawe światło południowego słońca. Po drodze towarzyszyły im wrzaski sójek, śpiewy kosów i głosy innych ptaków, których oboje nie potrafili nie tylko nazwać, ale i dostrzec, i dlatego nie udało się ich sfotografować. Kasia pstryknęła tylko grupę pięknych wysokich brzoź, odsłoniętych na rozległej przestrzeni, zapewne po wykarczowanym fragmencie lasu. Minęli jakieś zabudowania, weszli ponownie między drzewa i dotarli nad porośnięte przy brzegach sitowiem jezioro. Trawy lekko falowały na wietrze. Podeszli nad samą wodę. Nowak podał Kasi rękę, żeby mogła przeskoczyć nad kałużami w podmokłym gruncie przy brzegu. Spod nóg uskoczyło im kilka żab.

- Podoba ci się? To taki fajny kawałek lasu. Z prawdziwym jeziorem, z żabami, z ptakami. To miejsce na mapie nosi nazwę Kaczy Ług. Kaczki naprawdę można tu spotkać.

- Byłaś tu już?

- Parę razy. - Nowak nie chciał się dopytywać, z kim i kiedy. - Lubię tu wracać, chociaż widać coraz więcej domów po drugiej stronie jeziora. I coraz więcej śmieci na brzegu. Niedługo pewnie dostęp od strony szlaku będzie zagrodzony. Zobacz! - krzyknęła, pokazując na niebo. - Jakieś ptaszysko! Pewnie myszołów.

Istotnie, nad jeziorem krążył drapieżny ptak, wypatrujący zdobyczy. Widocznie był na diecie bezzabiej, bo w końcu odleciał w stronę lasu.

Nowak popatrzył na Kasię. W jasnych, krótkich szortach i żółtej koszulce wyglądała nie tylko seksownie, ale jakoś tak... rozczulająco.

- Fajnie wyglądasz - powiedział.  
- Trutu tu tu - roześmiała się. - Jak nimfa błotna. W podkoszulku. Z aparatem cyfrowym.

Po drodze rozmawiali o wszystkim, ale nie o pracy. Zwłaszcza o jego pracy. Ważne, że mogli powyciągać z pamięci miłe wspomnienia różnych spacerów i wycieczek, podzielić się nimi z drugą osobą. Tak po prostu, a nie po to, żeby przypominać sobie o tych, którzy już odeszli z ich życia.

Słowa Kasi o śmieciach potwierdziły się, kiedy wrócili pod szpital inną drogą. W rowie na skraju uroczyska zobaczyli samochód, a raczej to, co z niego zostało po usunięciu metalowych części. Deska rozdzielcza, fotele, pasy, podsufitka... Do tego cała zawartość bagażnika: butelki z płynem do spryskiwaczy, trójkąt, apteczka, ścierki, jakieś zabawki. Noż kurwa mać. Czy w tym pięknym kraju mieszkają sami cwaniacy wyłudający odszkodowania od firm ubezpieczeniowych? Albo przedsiębiorczy złomiarze?

Kilkadziesiąt minut zajęł im powrót na parking. Po drodze zatrzymali się tylko przy małym krzyżu, upamiętniającym powstańców z 1863 roku.

- Głodna jestem! - powiedziała Kasia. - A nie zrobiłam kanapek, bo mi się nie chciało. Na szczęście w pobliżu jest knajpa. Jedziemy.

Wrócili do szosy lubelskiej i podjechali nieco dalej, do skrzyżowania na Emów, do karczmy Żywiec. Zjedli - nomen omen - żurek. Na drugie zamówili pierś kurczaka z frytkami i surówką.

- Przydrożne jedzenie, ale fajne, prawda? - powiedziała Kasia, kiedy siedzieli i dopijali colę, patrząc na grupy rowerzystów, czasami po prostu rodziny, podjeżdżających na małą przekąskę. Jak zwykle cykliści nie mieli nic przeciw strzeleniu dużego piwa przed dalszą drogą.

- Bardzo miłe miejsce - przyznał Nowak.

- Tu się też zaczyna szlak doliną Mieni. Taka rzeczka, która się pięknie wije przez las. Wyżłobiła prawdziwy wąwóz. Ciekawy krajobraz jak na Mazowsze. Możemy tam kiedyś pójść.



- Musimy - powiedział. Nawet z przekonaniem. - Dziękuję ci za dzisiejszą wycieczkę. Nareszcie dotarłem w miejsce, z którego nie widać Pałacu Kultury. Przez chwilę nie czuje się obecności miasta.

- Ty ciągle o tym pałacu. Motyw falliczny. Naprawdę powinienś iść do terapeuty. - I roześmiała się. - Wiesz co? Gdybyś się obejrzał za siebie, jak wyjeżdżaliśmy z miasta, zobaczyłbyś Pekin na horyzoncie. Jak przyjeżdżasz do Warszawy od strony Lublina, robi to wrażenie. Wita cię jak Statua Wolności. Też w końcu prezent od bratniego narodu.

- No, chyba nieco przesadziłaś...

- No, pewnie tak... Ale dziś już nie zobaczymy widoku, który podziwia biedny imigrant. Wrócimy przez Józefów do Wału Miedzeszyńskiego.

Co począć z tak miło rozpoczętym dniem? Nie rozmawiali o tym aż do Mostu Siekierkowskiego.

- Jak mawiają w amerykańskich filmach, *my place or your place*? Nie byłam jeszcze u ciebie. Odwoziłam cię tylko pod blok i zabierałam stamtąd - zauważyła. - Zaprosisz mnie kiedyś?

- Jeżeli chodzi o *my place*, to jest tam lekki bałagan. Stary stół przywieziony od ojca, regały z książkami, mnóstwo płyt i sofa z wyprzedaży - mruknął. Był zły na siebie, tym razem w ogóle nie pomyślał o tym, żeby posprzątać i przygotować się na wizytę. A sofa, nawiasem mówiąc, była wąska. Niewygodna do spania, nigdy nie wykorzystywana do miłości. Przecież kupił ją w styczniu.

- Łóżko i telewizor wystarczą do życia w mieście. Masz telewizor?

- Jasne. Jak tu żyć bez Ligi Mistrzów?

- No, ja mogę. Mam telewizor, ale włączam go tylko na filmy przyrodnicze.

- Ach, ptaszki, pająki i nietoperze. Ja też czasami oglądam.

- Dobra, to jedziemy do mnie, panie komisarzu. Nie masz nic przeciwko temu?
- Nie, u ciebie jest większa kuchnia. I dobre wino.
- Dobre, bo tanie. Zatrzymamy się po drodze w supermarkecie i uzupełnimy zapas.

Stali na tarasie z kieliszkami w dłoniach i patrzyli na pionury kolejnej wiosennej burzy. Pewnie chilijski merlot z czarnym kotem na etykiecie sprawił, że oboje podjęli decyzję. To zresztą nie była trudna decyzja. Teraz, oczywiście, że teraz.

Zadrżała, kiedy po raz pierwszy ujął jej rękę. Potem, kiedy weszli do pokoju, dotykał każdego palca, grzbietu i wnętrza dłoni. Dopasowywał swoje palce do jej palców. Całował je delikatnie. Nie wiedział, jak długo to trwało. Oboje nic nie mówili, gdy siedzieli naprzeciw siebie na sofie w salonie. I prawie nic, kiedy przenieśli się do sypialni i zaczęli nawzajem rozbiierać.

Całował jej małe piersi. Dotykał jej ciała, wodził palcami wzdłuż wszystkich linii - tych, które widział, i tych, które powstawały w jego wyobraźni. Tak, jakby chciał stworzyć trójwymiarowy model, który zawsze będzie miał w pamięci. Wiedział, że tych linii jest nieskończenie wiele. Że mogą je oboje poznawać przez resztę życia, jeśli tylko zechcą.

- Zrobmy to - szepnęła. - Chodź do mnie.

Co na to wydział technik operacyjnych? Wsparcie memorytoryczne?

- Nie mam... - zaczął.

- Nie potrzebujesz - powiedziała. Zaufał jej. Od dawna chciał komuś zaufać.

Początkowo trochę niezdarnie usiłowali się dopasować. Ale udało się. I nie było tak nieporadne, jak się tego oboje obawiali. Miał wrażenie, że ona czuje podobnie. Powiedział jej to.

- Nikt na nas nie patrzy. Nie musimy się przed nikim popisywać - powiedziała, gładząc go po twarzy. - To nie jest film. To my.

Kochali się jeszcze raz, już z większą pewnością, przypominając sobie własne ciała, ucząc się nawzajem siebie. Bez strachu i bez obawy, że właśnie zdają egzamin.

Ocknął się o drugiej w nocy, tylko po to, żeby się na nią rzucić po raz kolejny. Dotykać, dotykać, dać i dostać jak najwięcej, nawet jeżeli nie wszystko. Lekko przeszli od snu do pieszczot i od pieszczot ponownie do snu.

Na dobre obudził się o piątej nad ranem. Spojrzał na Kasię odwróconą do niego plecami. Widział jej kasztanowe włosy, ramiona, fragment pleców. Boże, nareszcie. Można się tak obudzić. Long afloat on shipless oceans, I did all my best to smile. Więc tak wygląda jego syrena.

Poruszyła się, kiedy odsunął kołdrę. Pocałował Kasię w szyję.

- Uhm - powiedziała i odwróciła się do niego. - Co się stało, komisarzu?

- Nic. Wróciłem na ziemię.

Podniosła się nieco i położyła mu dłoń na ramieniu. Przesunęła palcami wzdłuż jej ciała, od biodra do piersi i z powrotem.

- Patrzysz tak, jakbyś się czegoś obawiał.

- Boję się, że znikniesz.

- Mówisz tak, jakbyś oczekiwał, że spotka cię kara za to, że się kochaliśmy. Że nie może być za dobrze.

Miała trochę racji. Bał się. Ale czego, jak to nazwać? Pewnie entropii, która musiała wzrastać w zamkniętym układzie. A może to było prawo zachowania szczęścia, którego ilość nigdy nie była zbyt duża i musiała taka pozostać. Miał nadzieję, że te prawa są tylko jego bzdurnymi wymysłami, wynikającymi ze zgorzknienia i zubożenia, z którego trzeba się wyrwać. Nie odpowiedział. Zamiast tego narysował palcem wskazującym okrąg wokół jej pępka. Zatrzymała na chwilę jego dłoń.

- Adam, jestem dorosła, odpowiadam za to, co robię. Nie żałuję. Ty chyba też, prawda?

- Nie, Kasiu, nie żałuję. Moje uczucia nie mają nic wspólnego z żalem.

- Zatem nie bój się. Nie podpisałeś cyrografu. Ani aktu ślubu. Nie musisz niczego obiecywać. Ani biec do sklepu po mleko i bułki.

- I gazetę.

- Gazetę dla ciebie, oczywiście. Ja też niczego nie muszę robić. Może kiedyś będziemy chcieli, żeby tak było. Chcieli móc.

Przytulił się do niej jeszcze raz, bardzo mocno.

- Ucieknę od ciebie teraz, dobrze?

- No właśnie - uderzyła go lekko zwiniętą w pięść dłonią. W odwiecie uszczyptała ją w pupę. - Auaaa! Oto, jacy są faceci. Tylko uciekać. Skoro musisz...

- Ucieknę. Pojadę do domu, ogolę się... Muszę rano być w centrali.

- Trudno, uciekaj, uciekaj. Ale pozwolisz, że ja zostanę w tym mieszkaniu. Gdzie pójdę taka goła... No, gdzie, szanowny panie?

- No chyba nigdzie, łaskawa pani. - I pocałowali się.

- Ale mam nadzieję, że kiedyś pan nie ucieknie? Prawda?

- Na pewno nie ucieknę. - Jeszcze jeden pocałunek.

- Możesz zamówić taksówkę. Nie zrujnujesz się, to pierwsza strefa, chyba dwa lata temu ją rozszerzyli. - Ziewnęła. - Uch!

Ubrał się i zadzwonił. Kasia wstała i wzięła granatowy kąpielowy szlafrok leżący na krześle. Narzuciła go na siebie i poszła do kuchni napić się wody. Potem odprowadziła Nowaka do przedpokoju.

- Już nie zasną. Też muszę iść do roboty. Nie łapię mordercy, ale piszę ważne dokumenty. A czytam jeszcze ważniejsze. Ale przecież są rzeczy ważniejsze niż dokumenty, prawda? - Zerknęła w lustro w przedpokoju. - Ojoj, będzie po mnie widać seks.

- To dobrze. Będą ci zazdrościć.

Poprawiła włosy i ziewnęła po raz kolejny. Nawet wtedy wyglądała pięknie. Nowak przyciągnął ją do siebie i wsunął dłoń pod poły szlafroka, gładząc ją po plecach i pośladkach.

- No, już, już - mruzczała. - Przecież tak nigdy nie wyjdiesz. Sio! Jedź, jedź. Taksówka czeka. I twoja golarka. Albo brzytwa. Ponury gliniarz pewnie używa brzytwy.

Nowak był w stanie, który pamiętał z głębokiej przeszłości i który łatwo sobie przypomniał. Radość. Pewność siebie. Żadnego ryzyka, żadnej myśli o odpowiedzialności, planowania. Szczęście? Za stan zdrowia komisarza Adama Nowaka nie odpowiadam. Z poważaniem, mózg wyżej wzmiankowanego. Pożądanie, tramwaj zwany pożądaniem. O nie, byle nie tramwaj, w stanie upojenia możesz poruszać się po Warszawie tylko pieszo, spotykając kosmitów podobnych do ciebie. Ale z Białołęki na Bielany jest za daleko, wiatr znad Wisły może cię zbyt szybko otrzeźwić. Mam tak samo jak ty, miasto moje, a w nim... Le vent nous portem... Za te czterdzieści lat, za trzeciej ligi smak...

Chciał podzielić się swoją euforią z taksówkarzem i próbował go wciągnąć w miłą rozmowę. Ten był jednak zmęczony po nocy i strasznie mrukliwy. A do tego brzydki jak fiat multipla, którym przyjechał.

### 3

Lust for Life. Puścił sobie na cały regulator przed wyjściem z mieszkania. Żądza życia. Tandetnie to brzmiało po polsku, ale przecież tak właśnie się czuł. Już nie jak pasażer, z tej samej płyty zresztą. La la, la la, la la la... Nowak widział Iggy'ego na koncercie na Torwarze pięć lat temu. Wtedy Polonia zdobywała mistrzostwo. Artysta wyglądał jak chodzące potwierdzenie ludowej opinii, że „kto pije i pali, ten nie ma robali”. Dziś Nowak nie musiał niczego pić ani palić, by czuć się świetnie.

Droga do pracy wyglądała inaczej niż zwykle. Ci sami ludzie w tramwaju wzbudzali jego zainteresowanie. Patrzył na nich i zastanawiał się, jaką historię mogliby mu opowiedzieć. Ta starsza pani z wózkiem na zakupy mogła kiedyś łamać serca chłopaków z Żoliborza. Ten facet jest wkurwiony na cały świat. Nie powinien! Jest przecież pięknie... A z kolei chłopak ze słuchawkami na uszach jeszcze nie ma żadnej historii do opowiedzenia, ale już niedługo będzie mieć. Było znowu tak jak kiedyś, gdy lubił chodzić i jeździć po tym mieście.

Wiadomość od mordercy wciąż nie nadeszła. Widocznie zabójca uważał, że teraz ruch należy do policjanta. Może już mu się znudziła upiorna zabawa? Jednak jeżeli nie, jeśli klucz do wyjaśnienia zagadki znajdował na kawałku planu Warszawy, który czekał na cmentarzu, to klucz ten musiał być głęboko ukryty. Szyfr wymyślony przez drugiego człowieka da się złamać, jeżeli został sporządzony według pewnego schematu. Według algorytmu. Jednak gdy algorytm zna tylko jeden człowiek, zadanie jest praktycznie niewykonalne. Trzeba po prostu zgadywać.

Trzy krótkie, dwa długie, trzy krótkie. Ten szyfr był łatwy do złamania. S - M - S. Nowak spojrzął na wyświetlacz.

Ten dzień do innych jest niepodobny. Trochę nie mogę się pozbierać.

Odpisał Kasi natychmiast. A ja jestem pozbierany jak nigdy dotąd. Dobrze, że jesteś.

Choroba. Stan zakochania to choroba. Policjant nie może pracować pod wpływem narkotyku. Uderzył z całej siły dłońmi w blat biurka. Zakrzewski spojrzął na niego spode łba, ale nic nie powiedział.

Marek Szeremeta pojawił się osobiście z teczką pełną wydruków. Najważniejsza była pierwsza strona, zawierająca listę administratorów z NetCentry. Nazwiska sześciu osób, w tym

dwu zatrudnionych w pierwszym kwartale na okres próbny, po którym nie przedłużono z nimi umowy. W papierach były też dane z działu kadr, łącznie z adresami zameldowania. A także kopie CV przesłanych przed rekrutacją.

- Poprosiliśmy ludzi obsługujących system kontroli dostępu o kopie zdjęć cyfrowych, które są na identyfikatorach. Okazało się, że fotografii pracowników tymczasowych niestety nie mieli w systemie.

Nowak przyglądał się liście. Coś przykuło jego uwagę. Nazwiska osób, które odeszły z pracy. Andrzej Mariusz Skowroński i Kamil Wyrzykowski. To pierwsze... Na liście osób, które podały nieprawdziwe numery dowodów osobistych przy okazji spotkań stowarzyszenia miłośników tramwajów, był Andrzej Sokołowski i jakiś Mariusz... Mariusz Kowalczyk. Ale Kamil Wyrzykowski pojawił się bez zniekształceń. Nie, kurwa, to niemożliwe. Czyżby koniec poszukiwań? Właśnie teraz?

- Dzięki. Bardzo nam pomogliście.

Szeremeta spojrział na Nowaka.

- Nie musisz mówić jak policjant z filmu. To moja praca.

- Wiem, że to twoja praca, ale to prawda. Pomogliście nam. Może go mamy. Sprawdzaliście dostawców internetu?

- Pytaliśmy w tepsie. Nie było połączeń z tymi serwerami.

- Dobrze. - Nowak spojrział na wydruk. - Wiesz co? Czy możecie sprawdzić kafejki internetowe na Bemowie? I jeszcze na tym terenie.

Informatyk przyjrzał się kserokopii znalezionej na Połączkach.

- To duży kawałek miasta. Chcesz mieć naprawdę dane ze wszystkich punktów? Moglibyście przynajmniej ułatwić nam pracę i zrobić listę.

- Jeżeli chcesz, mogę to komuś zlecić.

- Nie trzeba - roześmiał się Szeremeta. - Damy sobie radę. Ja bym jeszcze radził sprawdzić innych operatorów na tym terenie. Sieci kablowe i tak dalej. Możemy to zrobić.

Nowak zastanawiał się, czy podąża właściwym tropem. Jeżeli morderca bał się poruszać wśród ludzi - jeśli w szczególności wiedział, że policja ma jego rysopis i odpowiada on prawdzie - nie powinien przemieszczać się daleko od domu. Powiedzmy, że co najwyżej tyle, ile na spacer z psem. W idealnej sytuacji nie musi w ogóle wychodzić z mieszkania, żeby skorzystać z internetu. Ale zapewne wie, że to naraża go na wykrycie. Z drugiej strony, jeżeli morderca prowadzi spokojne życie pracownika najemnego, codziennie może być w centrum Warszawy. A gdzie można być bardziej anonimowym niż na Dworcu Centralnym albo w innym ruchliwym miejscu?

Było jeszcze jedno. Dlaczego ktoś tak uważny jak zabójca miałby zostawiać gdziekolwiek swoje prawdziwe nazwisko? Nowak zadzwonił najpierw na numer komórkowy Kamila Wyrzykowskiego podany w jego CV. Zgłosiła się poczta głosowa ze standardowym nagraniem. Udało mu się ustalić jego domowy numer - facet był zameldowany w Ożarowie. Po trzech dzwonekach ktoś odebrał telefon.

- Halo? - W słuchawce rozległ się głos starszej kobiety. Pewnie matka.

- Dzień dobry pani, mówi Adam Nowacki z firmy... Kolpaxnet. Czy mógłbym rozmawiać z panem Kamilem Wyrzykowskim?

- Syn jest pewnie w pracy. Wie pan, on w zasadzie jest rzadko pod tym numerem. Mogę coś przekazać? W jakiej sprawie pan dzwoni?

- Dzwonię w sprawie systemu informatycznego dla Tramwajów Warszawskich. Wiem, że pani syn szukał pracy, może go to zainteresuje.

- Z tramwajów? Syn nie miał nigdy nic wspólnego z tramwajami - starsza kobieta zdziwiła się. - Mogę podać panu jego aktualny numer komórki. Służbowy. Pracuje teraz w firmie telefonicznej, wie pan... w Plusie. To się Polkomtel oficjalnie nazywa.



Kowalski siedział na Woli, więc Nowak zabrał się z Zakrzewskim do centrum. No, najprawdopodobniej jest to centrum. W Warszawie od sześćdziesięciu lat ciężko wyznaczyć miejsce, które tak można nazwać. Na lindleyowskich planach Warszawy był to krzyż na kopule kościoła ewangelickiego przy placu Małachowskiego. Teraz Nowak umiejscawiał centrum gdzieś w pobliżu Rotundy, może naprzeciw niej, przy słupie z odległościami do różnych miast świata? A może na czubku iglicy wiadomego budynku?

Babcia komisarza nie nazwałaby koloru elewacji biurowca FIM Tower inaczej niż „sraczkowaty”.

- Przykro mi, ale nikt taki nie pracuje w tym budynku - powiedział ochroniarz w recepcji. - Może ten pan pracuje w Data Center na Baletowej. Zaraz sprawdzę na liście. Tak, zgadza się.

Musieli dotrzeć Puławską na kraniec administracyjnych granic Warszawy, prawie pod Mysiadło. Na szczęście w środku dnia nie było korków. Kolejny parking, kolejna recepcja, kolejny strażnik w dodającym rzekomo autorytetu mundurze. Upewnili się, że Wyrzykowski jest w budynku i zadzwonili do niego z komórki. Pojawił się po paru minutach.

Kamil Wyrzykowski był dość wysoki, miał nieco ponad metr osiemdziesiąt. Gęste, ciemne włosy. Szczupły, w okularach i szarym swetrze. Bródka w stylu Franka Zappy, a może Rino Gattuso, aczkolwiek bez perspektyw na dalszy rozwój. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat. Według dokumentów z NetCentry miał ich już dwadzieścia dziewięć. Nowak spojrzał na Zakrzewskiego. Mina Karola dawała się streścić w jednym prostym pytaniu: „Co my tu, kurwa, robimy?” Informatyk nie był zbyt sympatyczny, widocznie wyciągnęli go z jakiegoś ważnego spotkania. Parę opryskliwych pytań Zakrzewskiego też nie pomogło. Facet nie interesował się tramwajami i komunikacją miejską. Wszyscy uczestnicy rozmowy wiedzieli, że tracą czas. Nowak zapytał o serwery anonimowe, ale Wyrzykowski za bardzo nie wiedział, o co chodzi. Widocznie nie ma już uniwersalnych speców od komputerów.

- Czy może pan coś powiedzieć na temat innych osób zatrudnionych jako administratorzy w NetCentrze? - zapytał w końcu Nowak. - Ktoś z nich wydał się panu dziwny, nietypowy?

Zakrzewski pewnie chciał wtrącić, że wszyscy ci koleśnicy wyglądają na psychopatów, łącznie z ich rozmówcą. Jak można zachować zdrowy rozsądek, siedząc codziennie po osiem godzin, co najmniej osiem!, przed komputerem?

- Jeden z nich był faktycznie dziwny. Wyglądał... No, właśnie, dziwnie, nie umiem tego inaczej opisać. Trochę jak ten morderca z portretu, który był w gazetach - powiedział Wyrzykowski. - Nawet był do niego nieco podobny fizycznie.

Policjanci zerknęli na siebie. Chwalcie Pana, prostujcie ścieżki Jego. Czy jakoś tak.

- Który z nich?

- No, Adam... nie, Andrzej Skowroński. Też był na okresie próbnym, jak ja. I też nie przedłużono z nim umowy.

- W jakim sensie był dziwny?

- Zamknięty w sobie, mało komunikatywny. Czasami mamrotał coś pod nosem. No, to każdemu się zdarza. Ale trochę ciężko się z nim rozmawiało. To chyba zdecydowało o jego zwolnieniu, bo na bazach danych się znał - powiedział Wyrzykowski. - Człowiek nie orientuje się we wszystkich dziedzinach, to normalne. Ale jeżeli czegoś nie wie, to umie znaleźć odpowiedź w internecie. Albo zapyta kogoś, kto się zna. A on raczej tego nie potrafił. Zwłaszcza to drugie sprawiało mu kłopoty. W ogóle nie mówił zbyt wiele i zaciął się, jak miał problem.

- Zaciął się? Jąkał?

- Nie... - Spojrzał na nich z niejakim rozbawieniem. - Zawsze się, zamykał w sobie. Trudno było do niego dotrzeć, porozmawiać na jakiś temat.

- A dlaczego pana zwolnili? - Zakrzewskiemu z trudem przychodziło mówienie per „pan” do kogoś młodszego. Ale komunikatywny był na pewno. - Też się z panem ciężko rozmawiało?

Informatyk wzruszył ramionami.

- Nie zwolnili, tylko nie podpisałem umowy po okresie próbnym. Miałem już załatwioną tę pracę i uzgodnione wszystkie warunki z Polkomtelem.

- Mamy go - rzucił Zakrzewski.

- Pytasz czy wiesz?

- Domyślam się.

- Chyba masz rację. Kurde, on się nazywa Andrzej Skowroński. Na listach ze spotkań w zajezdni pojawił się Andrzej Sokołowski. Ludzie mają mało wyobraźni. Jeżeli chcą podać fałszywe nazwisko, zostawiają przynajmniej imię, bo są do niego przyzwyczajeni. Albo inicjały. Ja się przedstawiłem dziś w rozmowie jako Adam Nowacki. To drugie nazwisko, Mariusz Kowalczyk, też pasuje.

- Że niby ma na drugie Mariusz, a Kowalczyk sobie wymyślił, tak?

- Tak. Bo Kowalski było za proste.

- A nazwisko „Wyrzykowski” podał, bo pamiętał je z pracy... Pasuje - mruknął Karol. - Szkoda tylko, że nie udało się porozmawiać z osobą, która go zatrudniła. Mamy przynajmniej jego adres i telefon?

- Mamy. Telefon stacjonarny, nie komórkowy. Mamy też adres zameldowania. Ulica Rozłogi. - Nowak sprawdził nazwę na planie miasta. - To Jelonki. Ulica jest na tym kawałku planu, który znalazłem na cmentarzu.

- Czyli co, ten skurwiel chciał nam jednak pokazać, gdzie mieszka?

- Cholera wie. Może nie tylko. Wskazał nam pewien teren. Ale mieszka tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Zaparkowali na osiedlu obok wielu innych samochodów. Podwórka były tu przestronne, a bloki... Jak to bloki. Na dzwonek domofonu nikt nie odpowiadał. Weszli w końcu z jakimś chłopcem wracającym ze szkoły. Dzieciak nawet nie zwrócił uwagi na dwu obcych facetów, po prostu ich wpuścił. Bezpieczna Warszawa... Dzwonili kilka razy do drzwi mieszkania

na trzecim piętrze, ale nikt nie otwierał. Nie było też słyhać żadnych odgłosów ze środka. Zakrzewski schował dłoń w rękaw marynarki i nacisnął na klamkę. Zamknięte.

Szmer rozległ się jednak zza drzwi naprzeciw, nieco na lewo. Ktoś ich podglądał przez wizjer. Podeszli i zapukali.

- Chwileczkę! - Zza drzwi rozległo się szuranie, chyba udawane. Otworzył siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna w okularach. Nowak wyciągnął legitymację.

- Jesteśmy z policji, z Komendy Stołecznej. Komisarz Adam Nowak i komisarz Karol Zakrzewski.

- Józef Domański... Panowie do Skowrońskich? A raczej do Andrzeja, prawda? Czy coś się stało?

- To w zasadzie my byśmy chcieli się dowiedzieć, czy coś się stało - stwierdził Zakrzewski. - Czy widział pan ostatnio Andrzeja Skowrońskiego?

- Powiem panu, że nie! I to od dłuższego czasu. Ostatnio chyba jeszcze jakoś tak w zimie. No, w marcu może go widziałem. Ale do domu czasami przychodzi, bo wiem, że stuka butami po korytarzu i otwiera drzwi. W nocy.

- Kiedy ostatnio pan słyszał to... stukanie?

- No, nie pamiętam, będzie ze dwa tygodnie temu czy jakoś tak.

- Czy Andrzej Skowroński ma psa?

- Psa? Nie... nie widziałem. Panie, trzymanie psa w tym bloku to bez sensu jest. Ludzie mają, oczywiście, i to wielkie takie bydłeta. Zanim to zejdzie rano z piętra, już zdąży naszczać. A państwo po piesku oczywiście nie posprzątają...

- To faktyczne przykre - powiedział Nowak. - Sugerował pan, że Andrzej Skowroński mieszka sam. Nie ma rodziców?

- Panie, to smutna historia. Jego ojciec miał wypadek. Pewnie z dziesięć, piętnaście lat temu. Nogę stracił pod tramwajem. Facet nie mógł się pozbierać po tym wszystkim i się powiesił. W tym mieszkaniu! A był to inteligentny człowiek, inżynier. Pracował w PZL-u.

- Kiedy to się zdarzyło? Kiedy popełnił samobójstwo?

- No jakoś tak po tym wypadku. Na jesieni.

- A matka?

- Matka zmarła trzy lata temu. Atak serca. Na przystanku autobusowym ją znaleźli, na Powstańców Śląskich. Panie, co to za znieczulica jest! - Domański podniósł głos. - Nikt jej nie pomógł, chociaż na pewno ktoś widział, że kobieta źle się czuje. I jeszcze jej torebkę ukradli, zanim pogotowie przyjechało.

Nowak z trudem zachował spokój, zadając kolejne rzeczowe pytania. To był moment, w którym wszystko nagle zaczynało do siebie pasować. Kiedy okazywało się, że żmudna, nudna praca i trochę fartu przynoszą jakiś skutek.

- Czy Andrzej Skowroński był jej jedynym dzieckiem?

- Tak, nie miał rodzeństwa. Pani Krysia, to jest matka, bardzo dbała o niego, bardzo. Na studia go wysłała, pracę pierwszą pomogła mu znaleźć.

- Może pan powiedzieć, jak wygląda Skowroński?

- No... Wysokie chłopaczysko, silne... Ale nie gruby, dobrze zbudowany.

„Jak Obeliks”, pomyślał Nowak.

- Czy jest podobny do tego kogoś? - Wyciągnął portret pamięciowy.

- Ja wiem? - powiedział Domański po chwili. - No, trochę tak.

Czekali na taką odpowiedź.

- Jeszcze jedno. Czy ktoś go odwiedzał w domu? Jakaś dziewczyna, koleżdy? - dopytywał się Zakrzewski. Ciągłe stali w progu mieszkania.

- Nie, wie pan, on już od dawna tak ciągle sam i sam. Nic dziwnego, takie przeżycie miał, jak to mówią. A panowie dlaczego go szukają? Czy to może tajemnica służbowa?

- Tajemnica - burknął Zakrzewski. - Jeżeli pan go zobaczy albo znowu usłyszysz jakieś szuranie w nocy, proszę do nas dzwonić. Najlepiej do nas bezpośrednio, do komendy, nie na 997. Adam, daj panu wizytówkę czy kartkę z telefonem.

- Powiedzieć mu, że panowie go szukali? - dopytywał się Domański.

- Nie trzeba. To my mamy do niego sprawę.  
Pozostałych sąsiadów z korytarza nie było w domu.  
Nowak i Zakrzewski obejrzeni blok z zewnątrz. Dwa wejścia, dwie klatki schodowe. Obie z tej samej strony budynku. Kraty w oknach w piwnicy. Czyli wejść da się tylko w jeden sposób.

- Wiesz co? Daj papierosa - powiedział Nowak, kiedy już stanęli przy samochodzie.

- Przecież nie palisz.

- Dawaj! - Komisarz nie był pewien, czy to dobry pomysł na uspokojenie. Na pewno nie na obniżenie ciśnienia. Wyciągnął dłonie przed siebie i zobaczył, że lekko drżą.

- No proszę, ciągle jesteś młodym nerwusem. - Zakrzewski podał Nowakowi zapalniczkę. - Wiem, wiem. Mamy go.

Połączyli się z Michalskim.

- Co? I dopiero teraz mi to mówicie?! - wrzasnął podinspektor.

- Wcześniej nie wiedziałam, że jestem w ciąży - mruknął pod nosem Zakrzewski, kiedy usłyszał głos przełożonego.

Zrelacjonowali to, co się udało ustalić.

- Karol, czekaj na Marcina. Zaraz go ściągnę z miasta. Jak przyjedzie, podpytajcie sąsiadów, pewnie powoli wracają do domów. - Michalski też był podekscytowany. - Przyślę jeszcze jeden wóz i dwu ludzi. Będziemy obserwować mieszkanie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Adam, jedź do tej NetCentry i spróbuj pogadać z przełożonymi Skowrońskiego. Sprawdź jeszcze, może w kadrach jest jakieś zdjęcie. Co to za system bezpieczeństwa, jeżeli kasują zdjęcia byłych pracowników.

- Nieważne. Znajdziemy go i tak - rzucił Nowak.

- Zaraz dzwonię do prokuratora. Będziemy mieli nakaz zatrzymania i przymusowego doprowadzenia. Nie wiem, czy uda się jeszcze dziś załatwić nakaz przeszukania i otwarcia mieszkania. Spróbujemy.

Kierownik administratorów z NetCentry powtórzył w zasadzie to, co powiedział Kamil Wyrzykowski. Skowroński był człowiekiem zamkniętym w sobie, nieufnym, trudno nawiązującym kontakt z ludźmi. Podobno bardzo się irytował, kiedy ktoś nie mógł go zrozumieć. Zamiast powtórzyć czy inaczej sformułować problem, zamykał się w sobie. Jakby oczekiwał na to, że ktoś czyta w jego myślach i podąża za jego rozumowaniem. Zdjęcia nie mieli. Nowak odwiedził poprzednie miejsce pracy, które było wymienione w CV Skowrońskiego, małą firmę zatrudniającą programistów i wypożyczającą ich do wykonania prac u klientów. Biuro mieściło się w mieszkaniu jej właściciela. Pamiętał Skowrońskiego: odszedł z firmy w październiku zeszłego roku, nie z powodu braku komunikatywności, ale po prostu po zakończeniu projektu. Potem już nie było dla niego pracy.

Nowak wrócił z tymi informacjami do centrali. Michalski koordynował działania policjantów i uruchomił prokuratora. Nakaz zatrzymania już był, a do lokalu ekipa śledcza razem z technikami miała wejść jutro przed południem. Na razie wszyscy dostali zadanie wyciągnięcia z akt i baz danych wszelkich materiałów na temat Skowrońskiego oraz jego rodziców, a w szczególności okoliczności ich śmierci. Wypadek tramwajowy ojca wydawał się kluczem do całej historii. Psycholog musiał być dostępny od tej pory przez cały czas - Anna Perkowska miała dostawać komplet informacji, które spływały z miasta.

- Buenas tardes - rzucił Nowak do słuchawki. Nareszcie znalazł chwilę na pogadanie.

- Proszę bardzo. Mój komisarz to poliglota.

- Wpadniesz do mnie? - zapytał. - Chcę cię zobaczyć. Bardzo.

- Późno już. Ale... Ja też chcę się z tobą zobaczyć. Tylko... żebyśmy zbyt szybko nie mieli się nawzajem dosyć. I tak zaczęliśmy dość gwałtownie.

- Uważasz, że za szybko? Lepiej się wypalić niż... - Usiłował sobie przypomnieć słowa piosenki Neila Younga. Jak to było? - Eee... niż zardzewieć.

- Hm. Nie tylko poliglota, ale i filozof. A gotować umiesz?

- Odzwyczailem się. Przyjedź do mnie. Znasz adres. Chcę się wypalać razem z tobą.

- Dobrze... Coś się stało? Jesteś jakiś podekscytowany.

- Namierzyliśmy mordercę - powiedział z przekonaniem. - Wiemy, jak się nazywa i gdzie mieszka.

- Naprawdę?! Aresztowaliście go już?

- Jeszcze nie. Gdzieś zniknął.

- Ale jesteście już blisko. Dzięki tobie, prawda?

- Dzięki mnie, dzięki innym ludziom, dzięki przypadkowi.

- Opijemy to. Przywiozę wino.

Przyjechała parę minut po dziesiątej. Długo całował ją w przedpokoju.

- Więc tak wygląda ta twoja wilcza jama - powiedziała. - Jak na mieszkanie w starym bloku jest całkiem fajne. Nieźle je urządziłeś.

- W zasadzie nie chciało mi się za dużo inwestować. Nie miałem zresztą z czego. Parkiet trzeba by zerwać i położyć jakieś panele, okna zmienić na plastikowe.

- Podłoga może sobie trochę skrzypieć. U mnie niestety nie wydaje żadnego dźwięku.

Sofa też już trochę skrzypiała. Ale nie została odczarowana. Kochali się na dywanie. Nowak był zdenerwowany. Spieszył się. Był agresywny. Nie wychodziło im, nie potrafili zgrać się ze sobą.

- Adam! - krzyknęła, kiedy ugryzł ją w ramię. - Uspokój się.

- Przepraszam... Nie chciałem. Jestem zły. Nie chcę cię tym zarażać. - Usiadł. - Przepraszam, nie powinniśmy się w ogóle dziś spotykać.

To prawda. Adrenalina zmieniła jego mózg. Myślał o tym, że powinien być w centrali albo jeździć gdzieś po mieście. Pukać do obcych mieszkań, zadawać pytania, być taksowanym



spojrzeniami zza wizjerów sąsiadów. Myślał o tym, czy nie zadzwonić do Michalskiego. Chryste, to nie tak!

- Uspokój się - szepnęła. - Jestem z tobą, tutaj, nie myśl o niczym innym.

Pozwolił jej przejąć inicjatywę. To ona go dotykała. Powstrzymywała jego ręce i usta wtedy, kiedy było to potrzebne. Nie powstrzymywała wtedy, kiedy chciała. To było dobre rozwiązanie.

- Dlaczego tak cię podnieca dywan? - zapytał, kiedy siedli przy stole i pili wino.

- Podnieca? To niewłaściwe słowo. Widziałeś, u mnie po prostu nie ma dywanów. Kojarzą się ze staroświeckością, z domem rodzinnym. A u ciebie są, ładne, nowe, dzięki nim mieszkanie wygląda ciepło. Sam je wybierałeś?

- Sam, niestety.

- Dlaczego niestety? Masz niezły gust. Zmysł estetyczny.

- Nie mam żadnego zmysłu estetycznego. To niemęskie. Jestem policjantem. - Nowak roześmiał się. - Żartuję, ma się rozumieć. Dziękuję.

Nowak podszedł do półki z płytami i wybrał Urban Hymns. Pokój zalały gęste dźwięki skrzypiec, trąbek i gitar wraz z charakterystycznym głosem wokalisty The Verve. Spojrzał na kobietę siedzącą przy jego stole, w jego koszuli, którą bez skrupowania wzięła z wieszaka. Boże, jaka ona jest piękna. Jakie to wszystko jest piękne. Bał się, że za chwilę pojawi się jakiś anioł z ognistym mieczem albo inny zegarmistrz światła (purpurowy), cokolwiek..., i zabierze wszystko bez skrupułów. Sędzia asystent dopatrzy się spalonego i zabierze mu radość. Jemu, jej. Im, zanim jeszcze zaczną mówić „my”.

Demon odezwał się w połowie piątego kawałka. *Catching the Butterfly*. Nowak usłyszał brzęk szkła i głośny krzyk zza okna. Wyszedł na balkon, nie zważając na to, że jest nagi. Trudno, najwyżej sąsiadka będzie miała o czym opowiadać.

Krzyk dochodził gdzieś z okolic pętli. Nie powtórzył się. Słychać było za to uciekającego człowieka. A potem głośną rozmowę dwu mężczyzn. Padało słowo „policja”. I krótkie,

pojedyncze zdania. Jak w rozmowie telefonicznej. Było późno, więc dźwięk niósł się dość dobrze. Raz na jakiś czas ulicą przejeżdżał pojedynczy samochód i zagłuszał pozostałe odgłosy.

- Zostań tutaj! Nie ruszaj się z domu. Zamknij drzwi od środka - rzucił do Kasi i zaczął się szybko ubierać. Chwycił telefon, pistolet i legitymację policyjną.

- Adam, co się stało?!

- Nie wiem. Muszę to sprawdzić.

Dyspozytor ZTM-u z zakrwawioną twarzą siedział pod ścianą swojego pawiloniku i ciężko oddychał, przykładając do twarzy zmoczony kawałek materiału. Jedna z szyb była wybita, parę kawałków szkła sterczało między kratami w oknie. Obok stał jakiś mężczyzna z telefonem komórkowym w rękę.

- Policja. Adam Nowak z Komendy Stołecznej.

- Co, już? Szybcy jesteście. A gdzie karetka? Pogotowie jest potrzebne.

- Co się stało?

- Ktoś rzucił kamieniem... - zaczął dyspozytor i jęknął.

- Pan nic nie mówi, ja powiem - przerwał mu facet z telefonem. - Ktoś rzucił kamieniem w szybę i ranił dyspozytora. Widziałem, że pobiegł w tamtą stronę. - Machnął ręką w stronę Kochanowskiego. - Pewnie przeskoczył przez barierkę.

- Mężczyzna?

- Tak. Chyba w dresie. Wysoki. Twarzy nie widziałem z daleka.

- A pan skąd się tu wziął?

- Ja tu mieszkam. - Ponowny gest w tę samą stronę. - Wraciałem właśnie do domu. Z zakupów w Mini Europie.

Niedaleko od rannego dyspozytora leżała foliowa torebka, w której znajdowały się pół bochenka chleba, pasztet kielecki i dwie puszki królewskiego. Nie było powodu, żeby facetowi nie wierzyć.

Z daleka dochodził sygnał radiowozu. Nowak zadzwonił do centrali.

- Przekażcie wszystkim patrolom na Bielanych i Bemowie. Napad na pętli Piaski około 23.25. Uciekł mężczyzna, wysoki, ubrany w dres, wiek nieokreślony. Może być niebezpieczny.

Karetka zabrała dyspozytora do Szpitala Bielańskiego. Rana na szczęście nie była głęboka, stłuczona szyba nie uszkodziła mężczyźnie oka. Policjanci spisywali protokół. Nowak spojrzął w prawo, na pętlę. Coś przykuło jego uwagę. Podeszedł bliżej, żeby zobaczyć to, co oświetlała jedna z latarni. Na prowizorycznym blaszanym płocie, który otaczał tymczasowe baraki firmy budującej nową linię tramwajową, widniał wymalowany czerwonym sprayem znak. Ankh, staroegipski symbol życia. Taki sam, jaki był wyryty przy wejściu do grobowca na Powązkach. Kiedy się pojawił? Teraz, w nocy? Czy był tu już wcześniej? Nowak wyjął chusteczkę i potarł farbę na płocie. Na chusteczce pozostał czerwony ślad.

Nowak ponownie zadzwonił do centrali.

- Przyślijcie też zespół oględzinowy - powiedział. – Jest coś do sprawdzenia.

Kasia stała pod blokiem po drugiej stronie ulicy, razem z kilkoma osobami, które przypatrywały się wydarzeniom.

- Na litość boską, co ty tu robisz! - wrzasnął. - Miałaś zostać w mieszkaniu.

- Nie krzycz na mnie. Ludzie patrzą - powiedziała z wyrzutem. - Zamknęłam mieszkanie. Zostawiłeś klucze przy drzwiach, leżały na szafce z butami.

- Daj spokój. Przecież wiesz, o co chodzi. Chciałem, żebyś była bezpieczna.

- Musiałam sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

Nowak przyjrzał się z zawodowego obowiązku stojącym obok ludziom. Chyba byli to tak zwani sąsiedzi. Odciągnął Kasię na bok.

- Mnie nic - mruknął. - Ale on tu był. On, morderca. Ten morderca. Kasownik, Tramwajarz. Rozumiesz, kiedy... kiedy byliśmy ze sobą, on się kręcił gdzieś tutaj. Ranił człowieka i zostawił nam wiadomość.

- Przecież nic mi się nie stało. Byłam bezpieczna w twoim mieszkaniu.

„Boże. A może zabójca wie, gdzie mieszkam”, pomyślał Nowak. „Może kasetą to nie był jedyny znak, że pragnie nawiązać ze mną kontakt. Może teraz chce zabrać mi to, co najcenniejsze?”

- Tak, byłaś bezpieczna w zamkniętym mieszkaniu, więc dlaczego z niego wyszłaś?

Popatrzyła na niego. Z przerażeniem? Chyba nie, raczej ze zrozumieniem. O matko, czyżby spotkał kobietę idealną? Nie. Takie kobiety nie istnieją. Przepadnij, siło nieczyste.

- To właśnie o tym kiedyś mówiłeś, prawda? - spytała. - Że jest ten drugi świat, który nagle się wdziera do twojego życia. Masz po prostu taki stosunek do życia... Zawsze chcesz być gotowy na najgorsze. I chyba ci to nawet odpowiada.

- Staram się tak nie myśleć poza godzinami pracy. - Nowak westchnął ciężko.

- Poza godzinami? Przecież ty zawsze jesteś w pracy. Dzisiaj wyglądałeś tak, jakbyś się bił z myślami. Pewnie wolałbyś przesiedzieć noc na komendzie, nawet jeżeli nie byłbyś w stanie niczego konkretnego zrobić.

- Masz rację.

- Nie chodzi o rację. Chodzi o nas, o to, jak zaczynamy. Przecież chcemy spróbować. Tylko żebyś mnie potem nie oskarżył o utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych. To wykroczenie, prawda?

- Gdzie tam wykroczenie! Przystępstwo. Jeżeli naruszysz moją nietykalność cielesną.

- No, chyba trochę naruszyłam... - Kasia roześmiała się.

- Chyba tak, zdecydowanie tak. Dobra! Będziemy próbować. Ale na razie muszę tu zostać. - Wskazał na pętlę. - Nie wiem, jak długo.

- Szkoda. - Oddała mu klucze. - To ja chyba ucieknę. Wycaczysz, prawda?

- Tak. Ale tylko dziś.

#### 4

- Klucze? Nie potrzebujemy kluczy - powiedział Nowak.

- Potrzebujemy sąsiada. Albo gospodarza domu. W końcu to też sąsiad. No i prokuratora. - Michał Borowski, jak zwykle w garniturze, rozmawiał właśnie z podinspektorem Michalskim i nieco niepewnym, pucołowatym facetem w sweterku.

- Mnie też potrzebujecie, mam nadzieję - powiedziała Anna Perkowska.

- No jasne. Znowu możesz zobaczyć mieszkanie podejrzanego. Ale tym razem z dużym prawdopodobieństwem jest to mieszkanie mordercy.

Na korytarzu rozległ się metaliczny huk. To podważone drzwi opadły z powrotem na zawiasy. Do mieszkania weszła ekipa z laboratorium, a tuż za nimi prokurator. Pozostali czekali, aż technicy uporają się z przedpokojem. Szukali odcisków palców. Szukali wszelkich śladów biologicznych - kawałków skóry, plam krwi i włosów - które można by przypisać do kogoś z ofiar albo do samego podejrzanego. Drobinę farby, odciski butów na parkiecie, fragment psiej sierści na dywanie, włókna z tkanin, tytoń z papierosa - dla prokuratora każdy taki ślad byłby cenniejszy niż złoto.

Jeżeli ktoś sobie wyobrażał, że mieszkanie seryjnego zabójcy składa się głównie z ołtarzyków wypełnionych fetyszami świadczącymi o jego obsesjach, mógł zweryfikować to przekonanie dość łatwo, oglądając dwa skromnie wyposażone pomieszczenia. W dużym pokoju znajdował się prosty stół, przykryty zielonym obrusem, cztery krzesła oraz regał, na którym stał telewizor. Wszystkie półki były wypełnione książkami. Regał pochodził zapewne z lat siedemdziesiątych, podobnie jak większość książek. Były tam wydania polskiej i obcej klasyki, sporo warsawianów, pozycje z serii „ceramowskiej”. Jak udało

się ustalić, Krystyna Skowrońska uczyła historii w jednej z podstawówek na Bielanych.

W małym pokoju za to było parę nowszych, prostych mebli - biurko, regał oraz rozkładana sofa, przypominająca nieszczęsny mebel w mieszkaniu Nowaka. Pod biurkiem stał komputer w ciemnej obudowie. Nie był włączony. Nowak przyjrzał się książkom. Większość dotyczyła informatyki - nazwy systemów i numery ich wersji umieszczone na grzbietach niewiele mówiły komisarzowi. Dwie dolne półki zawierały wydawnictwa poświęcone militariom, w tym serię „Typy broni i uzbrojenia”. Część zeszytów pochodziła jeszcze z lat siedemdziesiątych, zapewne zostały kupione w antykwariacie albo na aukcji internetowej. Stały uporządkowane według numerów. Znajdowało się tam też kilka książek dotyczących białej broni. Nowak wziął do ręki jeden z albumów i pokazał go Annie.

- Militaria. To by pasowało do osobowości naszego zabójcy - powiedziała.

- Chodzi ci o agresję wobec świata?

- Nie. Znam parę osób, które mogą godzinami opowiadać o historii amerykańskiej broni palnej, choć są zdeklarowanymi pacyfistami. Albo miłośnika niemieckich myśliczów z drugiej wojny światowej, którego w żadnym razie nie można uznać za neofaszystę.

- Rozumiem. Systematyczność, tak?

- Tak. Hobby, w którym liczy się znajomość wielu drobnych faktów, nazw, parametrów w złożonym, ale usystematyzowanym i skończonym świecie. Popatrz na te półki. Wszystko jest tu uporządkowane seriami, wydawnictwami, formatem. Ten człowiek ma tendencje do klasyfikacji, porządkowania świata wokół siebie.

- No tak. Ale pierwsza osoba zginęła od ciosu nożem albo bagnetem. Taka szczegółowa wiedza może się przydać w praktyce. - Nowak przekartkował album. - Hm, kiedyś nie było u nas takich książek. Encyklopedii tematycznych, kompendiów

dla kolekcjonerów. Trzeba było chodzić na targi książki do Pekinu, żeby zobaczyć coś takiego.

Anna zdjęła z regału książkę, która w odróżnieniu od pozostałych, leżała tak, że nie było widać tytułu. Spojrzała na okładkę i pokazała ją Nowakowi.

- „Nietypowe techniki zabijania” - odczytał. - No właśnie. Nawet tego można się nauczyć z książek. Nie tylko szybkiego czytania i wywierania wpływu na ludzi.

- Czyli do zabijania też ma systematyczne, beznamienne podejście. Jeżeli da się sklasyfikować, da się wykonać. - Anna rozejrzała się.

- Co jeszcze widzisz?

- Nie ma tu nic osobistego, przynajmniej na widocznym miejscu. Żadnych zdjęć, pamiątek. Czegoś, co nawet w skromnym mieszkaniu zwykle się pojawia. Ten człowiek nie ma normalnego życia wewnętrznego.

- Widzę - powiedział Nowak. - Zauważyłaś? Brak tu muzyki. Płyty, kaset, magnetofonu. Tylko w kuchni jest stare radyjko. Pewnie bez baterii.

Do pokoju wszedł Robert Nowacki.

- Nie ma żadnego włączonego sprzętu elektronicznego, w szczególności mikrofonu ani kamery. - Anna uniosła brwi. - Tak, kamery, niech się pani nie dziwi, w końcu dziś ludzie podglądają nawet opiekunki do dzieci. Dlaczego seryjny zabójca nie miałby pilnować swojego M-3? A ten komputer zatrzymamy. - Postukał długopisem w obudowę. - Ale nie liczyłem na wiele. Sprawdziłem, twarde dyski są wymontowane. Został tylko czytnik CD. Może jak go uruchomimy, okaże się, że w środku została jakaś płyta.

Nowacki spojrział na pulpit biurka.

- A to widzieliście? Mysz dla leworęcznych.

O trzynastej w komendzie podinspektor Michalski zwołał spotkanie zespołu. Nowak odszedł od komputera. Właśnie wysłał maila, w którym przeproszał Kasię za ostatni wieczór. Napisał, że niepotrzebnie na niej wymógł spotkanie w dniu, w którym

wydarzyło się tak wiele. I w którym w każdej chwili mogła zadzwonić komórka. Właściwie to przeprosił, że jest policjantem.

Raport z wczorajszego wieczoru nie przyniósł wiele nowego.

- Teren wokół pętli jest trochę rozkopany, więc udało się znaleźć odciski sportowych butów nieznanej marki, rozmiar czterdzieści cztery - relacjonował Nowacki.

- Europejski czy amerykański? - spytał cicho Zakrzewski.

- Kamień znaleziony za szybą budki dyspozytora nie miał na sobie żadnych odcisków palców. To kawałek tłucznia z torowiska. Na płocie brak śladów ułatwiających identyfikację autora rysunku. Nie znaleźliśmy także puszek z farbą. Żaden z patroli nie zauważył nikogo o rysopisie zbliżonym do poszukiwanego. Podacie jego personalia w mediach?

- Tak, jutro będą w prasie - powiedział podinspektor. - A w sieci i w telewizji jeszcze dziś.

- Zebraliśmy odciski palców z mieszkania Skowrońskiego. Większość z nich należy do jednej osoby, prawdopodobnie właśnie do niego. Nie ma ich w bazie danych, Skowroński nigdy nie był karany ani zatrzymany. Nie znaleźliśmy pojemników z farbą w aerozolu, w szafce w przedpokoju było tylko pół puszek farby akrylowej, koloru pomarańczowego. Nie ma niestety nic wspólnego z tym wczorajszym graffiti na płocie, użyto jej do pomalowania ścian w małym pokoju. Nie udało się znaleźć także żadnych istotnych dokumentów, notatek. Przynajmniej jakichś bieżących, bo na przykład stare świadectwa szkolne były w mieszkaniu.

- Wiemy, do jakich szkół chodził Skowroński - powiedział Kowalski, który zajął się przeglądaniem domowych papierów. - Szukamy teraz wszystkich jego kolegów z podstawówki i liceum, znajomych ze studiów, z politechniki. Każdego, kto mógłby wiedzieć, gdzie można go teraz znaleźć.

- Z liceum? A przypadkiem nie uczył w nim Witold Oleszkiewicz? Pierwszy z zamordowanych? - zapytał Nowak.



- Też o tym pomyślałem - powiedział Kowalski. - Ale sprawdziliśmy, Oleszkiewicz nigdy nie był zatrudniony w tej szkole, to liceum Kopernika, na Bema. Matka Skowrońskiego uczyła w podstawówce i nigdy nie zetknęła się z Witoldem Oleszkiewiczem w pracy.

- A znacie już jakieś szczegóły tego wypadku, w którym jego ojciec stracił nogę? - zapytała Anna Perkowska.

- Wypadek zdarzył się w kwietniu 1993 roku. - Kowalski spojrzął w akta przywiezione z Woli. - Facet przechodził przez tory w okolicach Hali Człuchowskiej. Był pijany, w jego krwi wykryto półtora promila alkoholu. Nie zauważył tramwaju, a motorniczy nie zdążył zahamować. Tramwaj pociągnął go kilkanaście metrów. Przeciął mu nogę w kolanie i na dodatek uszkodził staw biodrowy.

Nowak słuchał Kowalskiego. Kwiecień, dwanaście lat temu. Pracował wtedy na Woli. Linię tramwajową na Jelonki oddano do użytku chyba pół roku wcześniej. Zdaje się, że budowano ją kilkanaście lat.

- Kurde, przypominam sobie to zdarzenie. Ale byłem wtedy na urlopie. Ktoś mi o tym tylko opowiadał.

- Brałeś udział w dochodzeniu? Spisywałeś jakieś zeznania, podpisywałeś dokumenty?

- Nie, nawet nie pamiętałem nazwiska tego faceta. Nie sądzę, żebym się zetknął ze Skowrońskim. Nie rozmawiałem z nim. Nie może mnie pamiętać.

- Miał wtedy czternaście lat. To całkiem sporo.

- Ale nie byłem częścią tego, co się wokół niego działo, nie stanowiłem fragmentu jego prywatnej tragedii. Nie reprezentowałem świata, który zniszczył jego życie - odparł Nowak. - To, że teraz chce nawiązać kontakt ze mną, to nic osobistego. Czysty przypadek. Znalazł moje nazwisko w gazecie i pasowało mu do gry, którą prowadził.

I którą prowadzi nadal, chciałoby się dodać.

- Ale był przecież wczoraj na pętli Piaski. Rzut beretem od twojego mieszkania.

- No tak. Ale nie próbował wejść do mnie do domu. Nie podpalił mi drzwi. Nie napisał na płocie: „Nowak chuj”.

- Namalował tajemniczy znak.
- Tajemniczy znak - parsknął komisarz. - Facet robi się pretenjonalny. Chce utrzymać ciągłość. Nawiązać do poprzedniego odcinka, że tak powiem. Ale jednocześnie, miejmy nadzieję, nie chce już zabijać.
- Dlaczego tak uważasz? - spytał podinspektor.
- Facet się trochę zagubił. Dalej prowadzi grę, ale już nie bardzo wie, jaki wykonać teraz krok.
- Pani Anno? - Michalski spojrzął na psychologa.
- Nie ulega wątpliwości, że kontakt, który z nami nawiązał, spowodował, że skierował więcej energii na komunikację z policją niż na poszukiwanie kolejnej ofiary.
- Czekaście - powiedział Drzyzga. - Wypadek jego ojca był w kwietniu, tak?
- Tak. - Kowalski zajął do akt. - Siedemnastego kwietnia.
- No właśnie.
- Zamilkli.
- Pierwsze morderstwo zostało popełnione w rocznicę wypadku ojca. W dwunastą rocznicę - powiedział Michalski.
- W tramwaju linii dwanaście - odezwali się jednocześnie Kowalski i Nowak.
- Czyli już wiemy, dlaczego wybrał tę pętlę na początek. Mimo że z mieszkania miał bliżej na Górczewską.
- Wcale nie musiał mieszkać na Jelonkach - powiedział Nowak. - Może już wtedy znalazł kryjówkę gdzieś w okolicy.
- Dwanaście lat temu... - powiedział Drzyzga. - Szukaliśmy rodzin ofiar wypadków z pięciu lat. Dwanaście lat to kawał czasu, prawda?
- Może po prostu przekroczył pewną granicę. Może wydarzyło się w jego życiu coś, co sprawiło, że odrzucił wszystkie hamulce. Coś, co wyzwoliło jakąś reakcję - powiedziała Anna.
- Ciekawe, co to mogło być. Najbliższą rodzinę stracił już wcześniej... Właśnie, co z matką?
- Matka jest tylko jedna - mruknął znowu Zakrzewski.

- Krystyna Skowrońska zmarła na przystanku autobusowym na Powstańców Śląskich, dokładniej: przy Połczyńskiej, trzy lata temu, to jest... dziewiątego czerwca.

- Dziewiąty czerwca. Pojutrze! - zawołał podekscytowany Michalski. Zaczęli mówić jeden przez drugiego. Podinspektor od razu uciszył zebranych.

- Podejdźmy do sprawy systematycznie. Trzecia rocznica, tramwaj numer trzy? Gdzie trójka ma końcowe przystanki?

- Jeden kraniec to Żerań Wschodni. Tam, gdzie znaleźliśmy zwłoki bezdomnego, tego Kobiereckiego - odparł Nowak, patrząc na mapę. - Drugi to Gocławek. Na Grochowskiej, niedaleko Geanta.

- Na Żeraniu już zabił - zauważył Zakrzewski. - Teraz pora na Gocławek.

- Może chce, żebyśmy tak myśleli - powiedziała Anna.

- Może chce wrócić na Żerań. To chyba najbardziej odludne miejsce.

- Pierwsza koncepcja jest zatem taka, że Skowroński chce zabić kogoś właśnie w tamtych okolicach. Najprostsze rozwiązanie, przez symetrię. - Michalski spojrzał pytająco na zebranych. - Czy ktoś ma inne pomysły? Zróbmy burzę mózgów.

- Trójka nie opuszcza Pragi. To daleko od domu Skowrońskiego, od Jelonek, od miejsc, w których wszystko się zaczęło teraz i dwanaście lat temu. On chce zamknąć pętlę. Zaatakuj znowu na Bemowie - powiedział Nowak.

- Uderzy w jednym z miejsc na planie Warszawy, na tej stronie, którą zostawił na cmentarzu - odezwał się Drzyzga.

- Pętla koło Cmentarza Wolskiego albo ta na Górczewskiej.

- Zaatakuj na dowolnej pętli, na której jeszcze nie był. Albo na Boernerowie, bo tam już coś planował.

- Dziewiąty czerwca to... - Drzyzga szybko policzył w pamięci. - Sto pięćdziesiąty dziewiąty dzień roku. Nie! Sto sześćdziesiąty. Matka zmarła na przystanku autobusowym, może chodzi o autobus 160. Z Dworca Centralnego na Targówek.

- Może chodzi o inne autobusy. Jakże zatrzymują się tam przy Połczyńskiej, za skrzyżowaniem? 184, 506, co jeszcze?

- 106, 189, 384 i nocny 601 - wyliczał Nowak, patrząc na plan.

- Kiedy zmarł jego ojciec? Kiedy popełnił samobójstwo? Zaraz... Dziesiątego października. Dziesięć, dziesięć. Ale dziesiątka już załatwiona... - rzucił Drzyzga.

- Zaatakuj na Piaskach ponownie. Ten znak na płocie to było pierwsze ostrzeżenie.

- Zabije kogoś na budowie nowej linii - powiedziała Anna. - Nowa linia to zmiana w systemie. Niepokoi go, tak jak kiedyś odkrycie Plutona wzbudziło zamieszanie wśród astrologów.

- Jak to? - Michalski spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- No, pojawiło się zaburzenie w ustalonym od dawna układzie. Trzeba było wymyślić nową teorię.

- Rozumiem. Coś jeszcze? Nie? To podsumujmy. Morderca może zaatakować w okolicach dowolnej pętli tramwajowej. Na pierwszym miejscu postawilibyśmy pętlę trójki na Gocławku, prawda? Potem Żerań, Nowe Bemowo, Cmentarz Wolski i Osiedle Górczewska. Dalej Piaski i pozostałe. Związek z autobusami uznajemy za mniej prawdopodobny, ale trzeba pilnować tego przystanku, na którym zmarła matka Skowrońskiego.

- Wszędzie wyślemy ludzi?

- Dziś i jutro mniej będzie widać policjantów na krańcach linii i w samych tramwajach. Będziemy obserwować pętle, ale mundurowi w czwartek praktycznie znikną. Spróbujemy go sprowokować. Musimy mieć przynętę. Kogoś, kto będzie udawał śpiącego, pijanego, słabego. Kogoś, kto będzie wyglądał na łatwą ofiarę. Bo takie osoby interesowały go do tej pory. Może kobietę?

- To nie może być kobieta - powiedziała Anna. - On się boi kobiet, a jednocześnie, jak przypuszczam, szanuje je. Miał w domu wzór kobiety, która pomagała mu radzić sobie z życiem. Zamordował kobietę i od tego czasu nie atakuje. Musiało to nim wstrząsnąć.

- Zatem, panowie... Stawiacie się pojutrze wszyscy na pętłach tramwajowych. Musimy opracować scenariusz. I podział ról.

- Ja chcę na Nowe Bemowo. On tam będzie - powiedział Nowak z przekonaniem.

- Kobieca intuicja ci to mówi? - spytał Zakrzewski. - Na jego planie nie ma tego miejsca.

- On chce zamknąć pętlę. Szukamy różnych skomplikowanych sposobów jej dokończenia, ale musimy też wziąć pod uwagę najprostszy. Skowroński to człowiek wyrachowany, ale nie do przesady. Nie jest efekciarzem. Umysł ścisły nie lubi mnożyć bytów.

Kasia odpisała na maila.

Daj spokój. Będę się musiała przyzwyczaić do tego, że jesteś policjantem. O matko, jak to brzmi! Kobieta gliniarza!

To po pierwsze. A po drugie -jeżeli mamy razem zrobić coś więcej niż tylko... korzystać z Twojego dywanu, to powinnam być z Tobą także w dni, w które się dużo dzieje. Nawet zdalnie. Jeżeli można o coś poprosić, to nie chciałabym tylko nosić kamizelki z kevlaru.;-)

Nie chcę wysyłać osobistych listów z konta firmowego. Ty chyba też nie masz aż takiego zaufania do swojej firmy, prawda?

Zaufanie, znowu to słowo. Czy naprawdę jej ufał, co właściwie o niej wiedział, znał ją w ogóle? Poznał jej ciało i wiedział, że pragnął je poznawać wciąż na nowo. Ale czy to wystarczy? A zresztą, może wszelkie wątpliwości były bezzasadne... W końcu kobieta to nie Warszawa, czy trzeba znać jej przeszłość, żeby ją zrozumieć?!

Napisał jeszcze jeden krótki list. A do mnie masz zaufanie? Nie zraziłaś się do facetów?

Szybko odpisała. Przestańcie, komisarzu Nowak, przyć o zaufaniu;-) Porozmawiamy wieczorem.

No i porozmawiali. Przez telefon. Oboje uznali, że spotkać się będą mogli najwcześniej w piątek. Co rodziło trudności, ale

nie można było angażować Kasi w nadchodzące wydarzenia. Należała do innego świata. Nowak był przekonany, że dziewiątego czerwca wszystko się wyjaśni. Lub stanie się coś strasznie-  
go. Albo jedno i drugie.

- Uważaj na siebie.
- Uważam. Jakoś jeszcze żyję.
- Po prostu się niepokoję. Masz niebezpieczną pracę.
- Nie bardziej niż kierowca ciężarówki. Albo motorniczy.
- Oj, nie przesadzaj. Chociaż co do motorniczego możesz mieć rację. Ojciec dzwonił po południu, mówił, że był jakiś straszny tramwajowy karambol na Jerozolimskich, koło Muzeum Narodowego. Mnóstwo rannych, ale nikt nie zginął. Podobno zawiodły hamulce. A może wprost przeciwnie, niespodziewanie się uruchomiły.
- Niespodziewanie? Dziwne - powiedział Nowak. - Wszystko się ostatnio kręci wokół tramwajów. Chyba się zapiszę do tego stowarzyszenia.
- Zapisz się, zapisz. Ojciec się ucieszy. - Kasia roześmiała się.
- Od tramwajów wolę jednak córki tramwajarzy.
- O, ciekawe, masz jakąś na widoku?
- Na widoku? Nie. Niestety. Na nasłuchu, i owszem.
- Tak, tak, ojciec dyskretnie o ciebie pytał. Właściwie to nawet niezbyt dyskretnie.
- O! I co odpowiedziałaś?
- Że pragniesz za moim pośrednictwem osiąść wiedzę o podstacjach trakcyjnych.
- Rozgryzłaś mnie. - Nowak ziewnął. - Jezus, Maria, Kasiu, jestem zmęczony jak... jak nie wiem co.
- Jak... pies!
- No właśnie. Muszę walnąć się do łóżka. Jak najszybciej. Może się jeszcze umyję.
- Trudno. Dziś kapiesz się nie dla mnie. Dobranoc.
- Addio, pomidory. Dobranoc.

- Dziadkowie Skowrońskiego ze strony ojca żyją, mieszkają w Tłuszczu. Rozmawiałem z nimi - relacjonował Drzyzga w środę rano. - Twierdzą, że po śmierci syna, to znaczy Henryka Skowrońskiego, nie kontaktowali się zbyt często z wnukiem. Jeżeli bywali w Warszawie, to tylko na święta, a i to nie zawsze. No i byli na pogrzebie Anny Skowrońskiej. Dziadek Skowrońskiego ze strony matki nie żyje od kilku lat. Babcia, Jadwiga Kazanecka, zmarła we wrześniu ubiegłego roku. Też na serce, to chyba rodzinne. Jej mieszkanie na Przasnyskiej stoi puste i zamknięte, podobno nikt go nie odwiedza.

- Do kogo należy mieszkanie?

- Formalnie do drugiej córki, Agnieszki Kazaneckiej, która od paru lat mieszka w Niemczech, w okolicach Hamburga. Niestety nie znamy na razie jej obecnego nazwiska ani miejsca zamieszkania, nie dało się tego ustalić w spółdzielni mieszkaniowej. Zameldowana jest wciąż na Przasnyskiej.

- Mieszkanie oczywiście będziemy obserwować, Skowroński mógł dorobić klucze. W sprawie tej Kazaneckiej zwrócimy się do niemieckiej policji, jeżeli będzie trzeba - powiedział Michalski. - Pewnie nie trzeba kontaktować się z Komendą Główną, może wystarczy sprawdzić w książce telefonicznej, w internecie.

- Już poprosiłem o wyszukanie jej danych. Nie powinno być problemów, podobno jest pielęgniarką i pracuje w swoim zawodzie. Znaleźliśmy „Rzeźnika”, znajdziemy i pielęgniarkę.

- Sprawdź jeszcze w kancelarii cmentarza, na którym jest pochowana Jadwiga Kazanecka - powiedział Nowak. - Może córka zostawiła jakiś kontakt do siebie, do Niemiec.

- Dobry pomysł. Rozmawiałem też z sąsiadami na temat Andrzeja Skowrońskiego - kontynuował Drzyzga. - Twierdzą, że dość często odwiedzał babcię i pomagał jej w domu, sprzątał, robił zakupy. Sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie, ale raczej porządnego chłopaka. Zabierał ją nawet na spacer.

- Ja z kolei mam listę osób, które były na tym samym roku, co Skowroński. A ściślej były z nim na piątym, ostatnim roku, bo nie wszyscy studiują w tym samym tempie. - Kowalski uśmiechnął się ironicznie. - Zacząłem ich szukać. Paru znalazłem w Warszawie. Już wiem, że kilka osób pracuje za granicą. Rozmawiałem z dwoma kolegami Skowrońskiego. Kolegami to chyba za dużo powiedziane, pamiętają go z twarzy, z nazwiska. Nie wyróżniał się specjalnie, przeciętny student. Wydaje się, że nie miał przyjaciół.

- Dziwnym nie jest, jak mawia młodzież - rzucił Nowak.

- Rozmawiałem też z nauczycielami w liceum. Pracuje tam kilka osób, które jeszcze go pamiętają. Mówią, że był niezły z matematyki, z angielskiego, z historii również. Z polskiego raczej kiepski. Nauczyciel wuefu pamięta go jako sprawnego i silnego, ale niedającego sobie rady w grach zespołowych. Zaczął w szkole trenować judo, ale szybko się zraził po jakimś niepowodzeniu.

- Pasuje do profilu. - Michalski kiwnął potakująco głową. - Ile nazwisk mamy do sprawdzenia?

- Jeżeli chcemy dotrzeć do wszystkich, to czterdzieści dwie osoby.

- Marcin, pomożesz Romanowi - powiedział Michalski do Drzyzgi. - Roboty jest sporo.

- Mamy jeszcze informacje od Szeremety. - Nowak pokazał kartkę z wydrukiem. - Połączenia z tym serwerem, z którego przesyłano przynajmniej niektóre z maili, wykonywano z kawiarenek w Arkadii i w centrum handlowym na Bemowie.

Agnieszka Kazanecka, obecnie Baumann, nie miała jeszcze akcentu typowego dla Polaków mieszkających dłużej w Niemczech. Zapytana o siostrzeńca, przyznała, że od śmierci matki nie utrzymuje z nim kontaktu.

Nowak powiedział jej o podejrzeniach wobec Andrzeja Skowrońskiego. Była przerażona.



- Co pan wygaduje? To musi być jakaś pomyłka! To mi się w głowie nie mieści. Andrzej mordercą?!

- Niestety mamy poważne podstawy, by tak uważać, proszę pani.

Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza.

- Halo?

- Chryste Panie, to nie był przecież zły chłopak. Inteligentny, zdolny, w szkole miał zawsze prawie same dobre oceny.

- Zna pani jakichś jego kolegów, znajomych, może koleżanki?

- Nie. Ani kolegów, ani koleżanek. Dziewczyny to chyba nie miał nigdy. Fakt, on zawsze był jakiś taki odcięty od świata, trochę odludek. To się nasiliło po śmierci szwagra, po tej tragicznej historii z wypadkiem i samobójstwem. Mówiłam to Krysi, ale nie miała już na niego wpływu. I tak ją podziwiam, że udało się jej chłopaka wykształcić, a raczej popchnąć we właściwym kierunku.

Znów chwila ciszy. Nowak znał to z rozmów z ojcem. Nie ponaglał, czekał.

- Chciał się uczyć, studiować - ciągnęła Kazanecka. - Chyba większość matek wolałaby takiego spokojnego, chociaż nieco zdziwaczałego syna od jakiegoś łobuza czy narkomana.

- Sąsiedzi wspominali, że pomagał pani mamie w domu.

- No właśnie, uczynny był wobec mamy, to znaczy mojej mamy, a jego babci. Nawet pomagał mi posprzątać mieszkanie po jej śmierci.

- Pani jest tam nadal zameldowana, prawda? Czy Andrzej Skowroński może mieć klucze od tego mieszkania?

- No, ja mu nie dawałam. Ale mógł sobie dorobić, tylko po co? Po śmierci mamy w zasadzie już nie miał powodu, żeby tam przychodzić. - Kazanecka przerwała na chwilę. - Wie pan, trzymam to mieszkanie. Nie chcę wynająć, bo to przecież nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. A ja na starość może będę chciała wrócić do Warszawy. Takie mieszkanie na początek się przyda. Mama miała jeszcze działkę na Bemowie, w zasadzie

powinnam się o nią ubiegać. Ten kawałek ziemi oczywiście prawnie do niej nie należał, ale w końcu razem z ojcem postawili małą chałupkę, a to już własność rodziny. Szkoda, żeby przepadła.

Chałupkę.

No to jesteśmy w domu. Koniec bliski. Nowak wiedział, że otrzymuje właśnie ostatnią niezbędną informację.

- Działkę? Jaką działkę?

- No, taką małą, ogródek działkowy, gdzie rodzice przesiadywali wieczorami. Hodowali pomidory, ogórki, cukinię ostatnio. Ojciec postawił tam mały domek. Niby jest ocieplony, ale już jesienią to się tam wysiedzieć nie dawało. Ale elektryczność została doprowadzona. U was jest taki przepis, że działka musi być użytkowana. - Już mówiła „u was”. Akcent to jednak nie wszystko. - Bo w przeciwnym razie przepada. Mama jednak nie miała zdrowia, żeby jeździć tam i pracować. W lecie wyznaczyła opiekuna działki, na rok. Właśnie Andrzeja.

- Czy może pani powiedzieć, gdzie znajduje się ta działka?

- Na Bemowie. Przy Powązkowskiej. Tam teraz zdaje się nową ulicę wybudowali, nie pamiętam, jak się nazywa. I supermarket niedaleko jest.

- Generała Maczka?

- Chyba tak. Ale jeździliśmy tam od strony Powązkowskiej, w taką ulicę, która biegnie koło Fortu Bema... No, jakże ona się nazywa?

- Obrońców Tobruku?

- O tak, właśnie, Obrońców Tobruku.

Nowak wpatrywał się w plan Warszawy. Spory teren. Prawie tak duży jak jego osiedle. A jeżeli wliczyć działki na terenie lotniska i te koło pętli, to nawet większy.

- Dziękuję pani. Być może nam pani bardzo pomogła.

- Poinformujecie mnie, jeżeli coś się uda ustalić? Jeżeli go znajdziecie?

- Bez wątpienia.

Nowak odłożył słuchawkę i spojrzął ponownie na plan miasta. Jest wielce prawdopodobne, że Skowroński ukrywał się na działkach w pobliżu Carrefoura. Idealne miejsce, zwłaszcza przy takich temperaturach, jakie panowały ostatnio. Jest elektryczność, można podłączyć komputer, normalnie pracować. No i jeszcze jedno: można tam trzymać psa.

Popatrzył znów na fragment planu Warszawy, który Skowroński podrzucił na cmentarzu. Znajdowało się na nim aż sześć fragmentów oznaczonych skrótem „ogr. dz.” i co najmniej tyle samo mniejszych, na których nie mieścił się już żaden napis. Jeden z obszarów był nawet wciśnięty między tory na Odolanach. Polski Związek Działkowców to potężna organizacja. Zarządza mnóstwem terenów w strategicznych punktach miast w całej Polsce... Istniało jakieś prawdopodobieństwo, że Skowroński jest na terenie objętym przez ten kawałek mapy. Gdzieś w końcu musi być.

Nowak i Michalski wysiedli z radiowozu przy barakach Monaru u zbiegu Rudnickiego i Powązkowskiej. Za nimi zatrzymała się furgonetka, z której wyskoczyli uzbrojeni policjanci z Wydziału Realizacyjnego, w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Drugi radiowóz stał przy przystanku autobusowym na ulicy Maczka, trzeci na rogu Powstańców Śląskich. Policjanci zostali skierowani też na ulicę Obrońców Tobruku i na tyły Carrefoura. Furtka była otwarta. Michalski spojrzął na plan, który dostał od administracji ogródków działkowych. Czterech antyterrorystów rozdzieliło się na dwie pary. Skierowali się w lewo, w dwie alejki prostopadłe do Powązkowskiej.

Okna małego drewnianego domku były zasłonięte, a furtka w ogrodzeniu zamknięta. Podczas gdy Nowak z podinspektorem stali przed wejściem do ogródka, jeden z antyterrorystów dostał się przez płot na tyły działki i sprawdził, czy z wnętrza nie dochodzą jakieś odgłosy. Dał znak. Pozostali wskoczyli na teren działki.

- Policja! Proszę otworzyć, bo wyważymy drzwi!

Oblężenie brązowej budki nieco większej od kiosku z gazetami mogło się wydawać śmieszne. Starsi panowie w podkoszulkach i panie w płóciennych kapeluszach patrzyli jednak ze zdumieniem na rozgrywające się obok nich sceny jak z filmu. Polskiego filmu sensacyjnego.

Nikt nie odpowiedział na wezwanie. Po kilku ruchach łodem zamek ustąpił. Jeden z policjantów kopnął drzwi i odskoczył na bok. Wystarczyło, żeby się zorientować, czy ktoś jest w głównym pomieszczeniu. Dwu ludzi weszło do środka. I równie szybko wyszło.

- Tu nikogo nie ma. Ale niedawno jeszcze był - powiedział dowódca antyterrorystów. - Brak wprawdzie kubka z gorącą herbatą, ale jest posprzątane.

Zajrzeli do środka. Stół, dwa krzesła, szafa, zlew, szafka na naczynia. Otwarte drzwi do małej toalety. Na stole trochę papierów i gazet. Jedna z nich nosiła przedwczorajszą datę.

- Obserwować wszystkie wyjścia. Pilnować płotów. Przesłuchać działkowiczów, którzy pełnią nocne dyżury i dozorców, jeżeli tacy są. - Michalski wydawał dyspozycje przez radio. Poprosił jeszcze o przyjazd techników z laboratorium. I przewodnika z psem.

- Nie postawisz policjanta co dwa metry wzdłuż ogrodzenia. To ogromny teren - powiedział Nowak. - Oblężenie może się nie udać.

- Musimy próbować. Poprosimy zarząd ogródków o udostępnienie każdej działki. Niech ściągną właścicieli z kluczami. Nie chcemy włamywać się do wszystkich budek. - Podinspektor machnął ręką. - Chociaż zrobimy to, jeżeli nie będzie wyjścia.

- Budki jak budki. Niektóre z nich to faktycznie baraki kryte papą, ale widzę tu parę całkiem fajnych domków. Ludzie potrafili sporo zainwestować w swoje daczki.

- No i fajnie. Sprawdźcie sąsiednie działki. - Michalski zwrócił się do antyterrorystów. - A my pogadamy tymczasem z tymi ludźmi, zanim uciekną - i pokazał na działkowiczów wychylających głowy znad ogrodzeń swoich kawałków ziemi.

Czwartkowy wieczór w stolicy można spędzić na różne sposoby. Komisarz Nowak wybrał dość oryginalne wyjście: siedział oparty o szybę wiaty przystankowej. Miał na sobie podarte dzinsy i kurtkę sprzed dziesięciu lat. Nie dopinała się, ale z jakiegoś powodu jeszcze jej nie wyrzucił.

Przeczesańnię działek nic nie dało, poza mimowolną pomocą w inwentaryzacji zaniedbanych i opuszczonych ogródków. Wzbudziło za to niepotrzebną sensację wśród samych działkowiczów i wśród dziennikarzy, którzy niestety pojawili się na miejscu. Zresztą od wczoraj nie dawali im spokoju. Komenda Stołeczna przekazała do mediów informacje o poszukiwaniu Andrzeja Mariusza Skowrońskiego, urodzonego w 1979 roku, ostatnio zameldowanego w Warszawie, podejrzanego o dokonanie pięciu zabójstw ze szczególnym okrucieństwem. Ogłoszeniu towarzyszyło zdjęcie ściągnięte z bazy systemu MSWiA, czyli takie, jakie miał Skowroński w nowym plastikowym dowodzie. Któryś z tabloidów nie omieszkał umieścić go na pierwszej stronie czwartkowego wydania, na czarnym tle, z ogromnym nagłówkiem: „Tak wygląda morderca”. Cóż, wszystko wskazywało, że rzeczywiście był to morderca. W szafie na działkach znaleziono kilka podkoszulków z takiego samego materiału jak ten, którym uduszono Alicję Jasińską. I zwój bawełnianego sznura, podobnego do tego, którym pozbawiono życia Staszczyka pod hutą. Ślady butów, identycznych jak te pozostawione na pętli Piaski. A na dodatek trochę psiej sierści. Policyjny pies był nieco rozproszony tym zapachem, ale odnalazł trop Skowrońskiego. Niestety, zgubił go dwie alejki dalej. Kontrola w ośrodku Monaru na Rudnickiego też nic nie dała. Żaden z pracujących lub mieszkających tam ludzi nie rozpoznał Skowrońskiego.

Nowak spojrział na zegarek. Była 22.10. Przed chwilą odjechał tramwaj numer 23. Żaden już nie przyjedzie, bo ostatnie kursy tej linii z Pragi kierowane są do zajezdni „Żoliborz”. O 22.17 miała odjechać ostatnia jedyńka, o 22.20 trzynastka, a o 22.26 dwunastka. Życie na pętli toczyło się jednak dalej. Jeszcze pięć tramwajów kończyło kurs według rozkładu - na mieście

nie było żadnych korków ani kolizji, więc zapewne jako ostatnia, około 23.30, przyjedzie dwunastka, po czym od razu ruszy do zajezdni. Dowiedzieli się o tym od dyspozytora, który siedział w swojej budce, razem z sierżantem Kwiatkowskim. Kowalski czuwał w nieoznakowanym radiowozie pod płotem odgradzającym teren zajęty przez firmę budującą nową linię na Bielany. Czyli do Nowaka.

Policjanci czekali nie tylko na pętlach, zwłaszcza na obu uznanych za prawdopodobne miejsce ataku zabójcy. Pojedynczy funkcjonariusze jeździli od pętli do pętli ostatnimi kursami wszystkich tramwajów. Nowak na swoją prośbę trafił właśnie na tę ławeczkę. Siedział i zacierał ręce. Panował lekki chłód.

- Spokój, spokój, dajcie mi spokój - zaburczał pod nosem. Mówił do mikrofonu przyczepionego do kurtki.

- Jest bezpiecznie, jest bezpiecznie - usłyszał w słuchawce głos Kowalskiego.

Faktycznie, panował spokój. Trzynastka odjechała zgodnie z rozkładem. Jeszcze tylko dwunastka. Wszystko zaczęło się od dwunastki. Czyżby miało się skończyć za sześć minut?

Chyba jednak nie. Ten tramwaj również odjechał, zabierając kilku pasażerów. Do przyjazdu trzynastki jeszcze co najmniej dwadzieścia minut. Martwy czas. Szkoda, że nie wziął walkmana, który kupiła mu kiedyś szanowna małżonka.

I wtedy na przystanku, z prawej strony, niespodziewanie pojawił się człowiek. Ubrany w ciemne spodnie i ciemną bluzę, której suwak był rozpięty. Duża, nieco zwalista sylwetka.

Skowroński.

- Jest - mruknął Nowak do mikrofonu. - Po chwili Skowroński stanął naprzeciw niego. Był jakieś dwa metry od Nowaka, stał na skraju wysepki przystankowej. Patrzył na policjanta, który udawał śpiącego, ale obserwował mordercę spod przymkniętych powiek. Chłopak stał spokojnie. Oceniał sytuację. Czekał. Jego twarz w zimnym świetle latarni oświetlających pętlę była równie zimna. Nagle jednak odwrócił głowę lekko w prawo i natychmiast zaczął uciekać w stronę, z której

przyszedł. Widocznie zobaczył sierżanta Kwiatkowskiego.

- Stój! - ryknął Nowak, zrywając się z ławki. - Policja!

Skowroński miał już jednak przewagę kilkunastu metrów. Biegł najszybciej, jak potrafił. Przeskoczył metalową barierkę otaczającą pętlę i znalazł się na Oławskiej. Pobiegnął w kierunku ogrodzenia stacji energetycznej. Za parkanem zaczął ujadać pies strażnika. Nowak wskoczył na nasyp oddzielający działki od ulicy. Spojrzał w stronę budynku Stoenu. Teren był całkiem niezłe oświetlony. Skowroński biegł wąskim przejściem między siatką otaczającą ogródki działkowe a płotem stacji.

- Jest na działkach! - krzyknął do mikrofonu. - Wbiega od strony Oławskiej.

Zobaczył, że morderca wdrapuje się na siatkę, wzmocnioną w jednym miejscu płatami z blachy falistej, i znika po drugiej stronie ogrodzenia.

No żeż kurwa mać. Bieganie w prostej linii po mieście. Jak to się nazywało? Parkour?

Dobiegł do płotu i rzucił się za Skowrońskim. Nowak znalazł się na działce, na której w charakterze domku postawiono pozbawioną kół przyczepę z gatunku tych, które kiedyś można było spotkać na placach budowy. Najczęściej z napisem: „Brak światła stopu”. Podbiegł i szarpnął za drzwi. Nie otworzyły się. Były zamknięte od zewnątrz na kłódkę. Wyciągnął pistolet, a w drugą dłoń włożył małą latarkę i obszedł ostrożnie domek. Nic. Niedaleko rozległo się nagle głośne miauknięcie przerażonego kota, a po chwili szczekanie psa, nieco dalsze. Nowak wdrapał się na furtkę i zeskoczył na alejkę. Pobiegnął w kierunku, z którego dochodziły odgłosy. Latarnie były tu rozmieszczone dość rzadko i poza głównymi alejkami panowała ciemność.

Zobaczył postać w świetle kolejnej latarni. Skowroński skrzyknął w lewo.

- Widzicie mnie? - Nowak krzyknął do mikrofonu. - Pięćdziesiąt metrów przede mną, latarnia, w lewo!

Szedł przy ogrodzeniu, usiłując wypatrzeć jakiś cień albo usłyszeć szelest. Słyszał jednak tylko szczekanie. Było coraz bliżej. Gdzieś w następnej alejce. Za tym nieotynkowanym barakiem z pustaków?

Cios nastąpił, gdy komisarz skręcił za budynkiem. Skowroński musiał czekać na niego. Nowak poczuł, jak nóż rozrywa cienki materiał jego znoszonej kurtki i dosięga skóry na prawym przedramieniu. Pistolet wypadł mu z dłoni. Policjant uchylił się i odskoczył w lewo, wymierzając napastnikowi kopniaka w podbrzusze. Nie udało się - komisarz poczuł, że jego but trafia w biodro. Skowroński nie pomyślał, żeby wykorzystać to i złapać Nowaka za nogę. Nic dziwnego, że nie odniósł sukcesu w sztukach walki. Morderca miał zajętą lewą dłoń - wymachiwał trzymanym w niej nożem. Był groźny. Należało skrócić dystans. Komisarz skoczył na Skowrońskiego. Starał się wykorzystać prawą, ranioną rękę jako zastonę, a użyć lewej do zadania ciosu. Przeciwnik poczuł, że traci przewagę, i odskoczył. Potknął się jednak o leżący na ziemi kawałek betonowej kostki. Nowak wykorzystał moment i ponowił kopnięcie w jądra. Tym razem zadziało. Skowroński krzyknął i zwinął się z bólu. Nowak skoczył ku niemu i wyprowadził cios w zuchwę. I dla pewności jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Wszystkie lewą ręką. Lewą wojujesz, od lewej zginiesz.

Pchnął zamroczonego Skowrońskiego na ziemię i skuł kajdankami. W oddali słyszał już kroki nadbiegających Kowalskiego i Kwiatkowskiego, nagle zagłuszyło je chrapliwe ujadanie. Ogromny wilczur skoczył na Nowaka, starając się dostać zębami do jego szyi. Komisarz z całej siły odepchnął psa, wręcz odrzucił na dwa metry, używając zranionej prawej ręki. Ujadanie stało się jeszcze bardziej wściekłe. Pies toczył pianę z pyska.

Nowak w ciemności nie mógł odnaleźć pistoletu. Kopnął wilczura. Ten skulił się natychmiast i odskoczył, ale szczekał dalej. Podbiegł raz jeszcze i chwycił policjanta za nogawkę, niszcząc i tak już sfatygowane dżinsy.



- Wybacz, piesku - sapnął Nowak i prysnął w pysk zwierzęcia gazem pieprzowym.

Owczarek zaskowyczał i wycofał się. Zaczął tarzać się po ziemi, trąc łapami podrażnione oczy.

Policjanci dobiegli do Nowaka. Podnieśli Skowrońskiego, który powoli dochodził do siebie.

- No i co, kto wygrał? - rzucił morderca. Twarz zaczynała mu puchnąć po ciosach zadanych przez Nowaka.

- Co?! - Komisarz skupił się na szukaniu swojego pistoletu.

- Kto wygrał, ja czy miasto? Rozgrywka była całkiem niezła, prawda? Chętnie bym ją powtórzył. Może z pana większym udziałem. Jako indywidualnego zawodnika, nie w drużynie „Policja”.

- A chuj ci w dupę - odparł serdecznie Nowak, który właśnie znalazł broń. Popchnął Skowrońskiego w stronę bramy działek. Migły już za nią lampy radiowozów, a policjanci mowiali się z kłódką.

- Więcej się po panu spodziewałem - wymamrotał Skowroński.

- No i trudno.

- Zaopiekujcie się chociaż Barrym. Nie róbcie mu krzywdy.

- Kim?

- Barrym. Moim psem.

Nowak nie odpowiedział. Wpakował Skowrońskiego do radiowozu. Podeszedł do Michalskiego, który stał na parkingu przy myjni. Podinspektor przyjechał tu z Komendy Stołecznej, z której dowodził akcją.

- Jesteś ranny? - Spojrzał na plamę krwi na rękawie kurtki komisarza.

- Drobiazg. Lekkie draśnięcie nożem. Opatrzę sam.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Nowak spojrział na przełożonego. - Chcę iść dziś do domu. Mogę?

- Możesz. Ja sporządzę i podpiszę protokół zatrzymania. O tym też napiszę. - Pokazał na rękę Nowaka. - Na pewno nie chcesz wziąć udziału w przesłuchaniu?

- Nie muszę. Nie chcę. Nie dziś - i odetchnął ciężko.

Nowak spojrzął na telefon. Osiem nieodebranych połączeń. Dwa od ojca, cztery od Kasi, jedna wiadomość z poczty głosowej, jedno połączenie od redaktora Krajewskiego. Zaczął od ojca. Może to coś pilnego?

- Cześć tato, nie obudziłem cię? Coś się stało?

- To ja powinienem zapytać, czy coś się stało - powiedział po chwili ojciec. - Nie odbierasz telefonów. Jesteś zdeenerwowany. Wszystko w porządku?

- Najlepiej, jak można to sobie wyobrazić. Zatrzymaliśmy seryjnego zabójcę. Tego od pętli tramwajowych.

- Naprawdę?! Gratulacje! Na pewno jesteś cały i zdrowy?

- Na pewno, tato.

- Teraz już wiem, czemu nie dzwoniłeś. Po prostu nic nie wiedziałeś.

- O czym? Dlaczego miałbym dzwonić?

- No jak to dlaczego? Twoja Polonia nie spadnie! Wygrali w Zabrzu 1:0, Dźwigala strzelił bramkę. Odra przegrała, jest w barażach, nie pomógł im nawet ten walkower przy zielonym stoliku...

- Naprawdę?! - Nowak odetchnął ciężko. - Jezu, to jeszcze większy cud niż to, że udało nam się złapać mordercę. W naszym wypadku to przynajmniej efekt żmudnej pracy - roześmiał się z ulgą. - Wiesz co, tato? To jest dowód na istnienie Boga.

- Ha... No proszę, nawracasz się?

- Tak. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

Do Kasi wysłał tylko wiadomość. Mamy go! Zadzwoń później.

Agnieszka Wolska z TVN-u podbiegła do niego razem z kamerzystą. Ruda dziewczyna była szybsza niż reporter Zetki, który zauważył komisarza nieco później. Redaktor Krajewski ze

„Stółka” najwyraźniej zwracał głowę komuś innemu.

- Wszelkich informacji udzieli państwu w dniu jutrzejszym rzecznik prasowy Komendy Stołecznej - Nowak rzucił na odczepnego.

- Panie komisarzu, czy potwierdza pan fakt zatrzymania seryjnego zabójcy zwanego Tramwajarzem? Czy jest to Andrzej Skowroński, poszukiwany listem gończym?

- Po pierwsze, to nie jest list gończy. Po drugie, zatrzymaliśmy osobę podejrzaną o dokonanie przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu. Więcej nie mogę pani powiedzieć.

- Czy jest to jedyna osoba, która zostanie zatrzymana w wyniku tego śledztwa? Czy morderca miał współników? - wtrącił się facet z radia.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Panie komisarzu, brał pan udział w śledztwie od samego początku. Co pan by chciał powiedzieć mieszkańcom Warszawy? Czy mogą już czuć się bezpiecznie?

- Mogą. Niech tylko współpracują ze swoimi dzielnicowymi - rzucił Nowak, odwrócił się i poszedł do radiowozu.

Do Kasi zadzwonił dopiero do domu. Opowiedział o tym, co się wydarzyło.

- Dobrze, że żyjesz. - Odetchnęła z ulgą.

- Dobrze, że go mamy.

- A ty znowu o nim. Mam być zazdrosna?

- Masz rację. Dziękuję ci za troskę i za dobre słowa. W dowód uznania za chwilę wykapię się dla ciebie - powiedział. - Awansem.

Po raz pierwszy od pięciu lat wziął prawdziwą kąpiel w wannie. Nie prysznic, tylko regularny sitzbad, czyli moczenie dupy dla czystej przyjemności. Nie myślał już o mordercy. Zastanawiał się nad tym, co powiedział ojcu. Chyba trochę przesadził. Dowody na istnienie Boga są tylko trzy: Kaka, Adriano i Ronaldinho.

- Chce z tobą rozmawiać - powiedział Michalski do Nowaka, wychodząc z pokoju przesłuchań.

- Naprawdę? To miłe z jego strony.

- Nie jest agresywny. Stracił całą pewność siebie. Powiedział trochę, ale potem zamknął się w sobie. Jest w nieznanym otoczeniu, w którym to nie on ustala reguły. Potrzebuje czegoś albo kogoś, kto będzie znajomym elementem rzeczywistości.

- Dzięki serdeczne - mruknął Nowak. - I to ja mam być tym elementem, tak? A psycholog?

- Anna rozmawiała z nim. Nie udało się jej przebić ściany. Spróbuj. Im prędzej zaczniesz mówić, tym lepiej. Zwłaszcza że wiemy, co zrobił. I on wie, że my wiemy.

- Pięciokrotne zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, taki zarzut mu postawiono, prawda? Przyznał się do wszystkich morderstw?

- Tak. Do wszystkich pięciu. I właściwie nic poza tym nie powiedział. - Michalski spojrzął na komisarza. - Przesłuchaj go. Nawiązałeś z nim najbliższy kontakt

- Na działkach był to nawet kontakt fizyczny - rzucił Nowak. - Aha, przy okazji, mam pytanie. Gdzie jest pies?

- Jaki pies?

Nowaka korciło, żeby rzucić tekstem z kabaretu Dudek. No nie, bez przesady. To w końcu przełożony. Podinspektor Michalski. Wiktor Michalski. Kolejna osoba, która z jakiegoś powodu nie miała już na co dzień imienia. Ale tutaj na razie różdżki nie wchodził w grę.

- Pies, który był na działkach. Co się z nim stało?

- Oddaliśmy go do schroniska. Szkoda go trochę. To fajne psisko. Prawie takie jak my... - roześmiał się podinspektor.

Nowak patrzył przez lustro weneckie w ścianie pokoju przesłuchań. Przy stole siedział prokurator Borowski i ponury młody człowiek, niesprawiający wrażenia kogoś, kto z zimną krwią potrafił zamordować kilka osób dlatego, że przelał na nie

swoją nienawiść do świata. Chłopak wyglądał raczej na bramkarza z dyskoteki, którego ktoś doprowadził do rozpaczy tym, że porysował mu jego tuningowany samochód. Nowak uprzytomnił sobie, że patrzy na człowieka siedzącego przy stole jak na nieznanego pasażera w tramwaju. Przyjrzeć się, sklasyfikować, zapamiętać. Dziwne. Szukał mordercy przez kilka tygodni, a teraz kompletnie nie interesowało go to, co aresztowany ma do powiedzenia.

Otworzył w końcu drzwi. Skinął głową w stronę Borowskiego. Ten zebrał notatki, westchnął zniecierpliwiony i skierował się do wyjścia. Nowak usiadł naprzeciwko Skowrońskiego, który podniósł głowę i spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

- Komisarz Adam Nowak, wydział do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw.

- To głupia nazwa - rzucił Skowroński. - Niegramatyczna.

„Gramatyczna, młody człowieku, ale faktycznie nie najgorsza. Tak nas, kurwa, zreorganizowali”, pomyślał Nowak.

- To ja cię znalazłem - powiedział.

- Wiem.

- Jasne, że wiesz, nawet mnie zraniłeś nożem.

- Przepraszam. Bronilem się.

- A ci, których zabiłeś? Bronili się?

- Niektórzy tak, niektórzy nie. Po co o tym opowiadać?! Są już poza grą. - Skowroński wyglądał na zaniepokojonego. Nie chciał o tym mówić. Nowak popatrzył na uzbrojonego policjanta, stojącego pod ścianą. Ten lekko się poruszył. Był gotowy na ewentualny wybuch agresji.

- To ja zajmowałem się zabójstwami. Tymi, które popełniłeś. Wiedziałeś o tym, prawda? Dlatego podrzuciłeś tę kasotę. Skąd znałeś moje nazwisko?

Morderca rzucił jakieś niewyraźne słowo.

- Słucham...

- Z gazety. To znaczy z sieci. Z artykułu, w którym pana cytowano.

- Wiesz coś więcej o mnie? Wiesz, gdzie mieszkam?

- Nie. Skąd miałbym wiedzieć? Musiałbym się włamać do waszej bazy danych. Nie jestem hakerem.

- To po co ta kasetka? Chciałeś prowadzić grę, prawda? Tylko nie bardzo byłeś pewien jej reguł. Ciągle je zmieniałeś.

- To ja ustalałem reguły. Dynamicznie. - Skowroński spojrzał na komisarza. - Adaptacyjnie.

- Adaptacyjnie, mówisz... A czy w twoich grach było miejsce na los? Na rzut kostką?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo chyba nie doceniasz siły przypadku. Na przykład... wiesz, że mogliśmy się już kiedyś zetknąć? Że pracowałem w policji na Woli wtedy, kiedy twój ojciec miał wypadek?

Skowroński spojrzał na komisarza. Coś się zmieniło w jego twarzy. Przez chwilę wyglądał jak smutny, osamotniony chłopak.

- Tak? I co?

- Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym na komisariacie. Przypadku, przez który życie człowieka nagle się może zmienić i stracić sens. O tym, że los bywa niesprawiedliwy.

- Sądzi pan, że to był wypadek? - Skowroński skrzywił twarz w ponurym uśmiechu. - Nie, tak zadziałało miasto. I jedna z sieci, które kontrolowały ludzi.

- Sieci... Chciałeś walczyć z siecią. Nie wierzysz zatem w los. A jak wybierałeś ofiary? Przypadkowo?

- W moim działaniu nie było przypadku - odpowiedział Skowroński po chwili milczenia. - Skanowałem otoczenie danego dnia. Oznaczałem cel. Obserwowałem go. Jeżeli spełnione były wszystkie warunki, eliminowałem go. Tworzyłem lukę w systemie.

- Lukę w systemie? Zabijałeś człowieka. Zwykłego człowieka, takiego jak twój ojciec, jak twoja matka.

- Nie! - krzyknął Skowroński. - Nie takiego! Oni byli dobrzy! Zabił ich ten system. Zabiło ich miasto!

- To też był wypadek, zrozum to. A ty chciałeś walczyć z losem? Być poza tym systemem, jak w jakimś matriksie? Dlaczego atakowałeś ludzi?

- Ludzie stanowią część systemu. Nie widzi pan, że miasto jest wielkim, złożonym organizmem, który wykorzystuje i niszczy komórki, które go tworzą? Czyli ludzi. Czyli mnie. Nie, nie widzi pan. Nie wszedł pan na ten poziom świadomości. Ja widzę. To jest właśnie różnica między nami. Wydaje się panu, że pan wygrał, ale ja zdobyłem wiedzę, a pan nie.

- Powiedz, dlaczego zabijałeś. To jedyna wiedza, która mi jest potrzebna w tej chwili.

- Miasto jest bezlitosne. Miasto to świadoma gra, która sama ustala swoje zasady. Komórka ma poczucie wolności, może przemieszczać się z miejsca na miejsce, ale tylko w takich granicach, takimi trasami, na jakie pozwala sieć. Jedyne sposoby, żeby uzyskać wolność, to spróbować niszczyć układ od środka. Wewnętrzne zasady gry się załamują. I wtedy pojawi się szansa, że miasto o mnie zapomni. Wtedy będę wolny.

- I dlatego postanowiłeś zabijać? Żeby system uszkodzić od środka? Twoja gra miała unicestwić... wielką grę? - Nowak zaczynał się gubić w tym skomplikowanym systemie pojęć. Przed laty na studiach nie cierpiał zając z filozofii.

- Tak. Zepsuć, w wielu miejscach naraz. Zacząć od najsłabszych komórek.

- Najsłabsze komórki najłatwiej zastąpić - mruknął Nowak.  
- Nie zniszczysz tak organizmu, tylko go wzmocnisz.

- Tak pan sądzi? - Skowroński spojrzał na komisarza. - Może ma pan rację. Może popełniłem błąd.

- Popełniłeś błąd. Zabijałeś normalnych ludzi, którzy byli czyimiś rodzicami, dziećmi, rodzeństwem. Gdybym chciał użyć twojego języka, powiedziałbym, że miasto cię wykorzystało. Nie podobał ci się system, więc chciałeś go zniszczyć i zostałeś zwykłym mordercą, jak Unabomber. Słyszałeś o nim, prawda?

- O tak, Unabomber. Ted Kaczyński. To był inteligentny gość. Jedyne Kaczyński, którego lubię - rzucił Skowroński.

Nowak z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Popatrzył na młodego, niezgrabnego na pozór człowieka. „I to przez ciebie, dziadu, zmarnowałem dwa miesiące życia”, pomyślał.

„No dobrze, nie zmarnowałem. Po pierwsze, to moja praca, którą niestety lubię, a po drugie, poznałem kobietę, którą chyba kocham. Ale to nie twój zasrany interes. I nie twoja zasługa. Nie mogę być ci za to wdzięczny. Stary, jesteś tylko kolejnym bandytą. Psychopata. Fakt, schwytałem cię i pewnie dostanę za to nagrodę, a policja będzie miała dobrą prasę przez jakiś czas. Ale mam w dupie twoje rozgrywki. Gadaj, bo prokurator się niecierpliwi. Potem trafisz do zamkniętego zakładu psychiatrycznego i spędzisz tam resztę życia. A ja będę dalej musiał łązić po tym mieście. Albo jeździć tramwajem. I nawet niekoniecznie niskopodłogowym”.

Zerknął w kierunku szyby z irracjonalnym przeświadczeniem, że słyhać przez nią jego myśli. Westchnął i spojrzął na Skowrońskiego.

- Będiesz odpowiadał na pytania?

Znowu chwila milczenia. Psiakrew, Polacy nie potrafią rozmawiać ze sobą.

- Tak. - Morderca popatrzył na komisarza. - Będę. Mam jakieś inne wyjście?

- Prawdę mówiąc, nie.

Z Karolem, który zastąpił go przy przesłuchaniu, Nowak spotkał się dwie godziny później.

- Co za pojeb - mruknął Zakrzewski. - Wystarczy z nim posiedzieć dziesięć minut w tym samym pomieszczeniu, a zaczynasz się bać. Z pozoru wygląda normalnie, może zamknięty w sobie, ale w sumie taki zwykły niedźwiedziowaty młodzieniec. A w środku jest mózg, który działa na zupełnie innych zasadach niż pozostałe. Naszej pani psycholog wystarczy na dziesięć prac doktorskich.

- Ona pewnie powie, że ten mózg działa na dokładnie takich samych zasadach jak wszystkie inne. Za to połączenia między poszczególnymi obszarami funkcjonalnymi są zupełnie niezwykle.

- Może i tak - powiedział Zakrzewski i pokiwał głową. - Będziemy z nim mieli trochę zabawy. Wizje lokalne. Borowski



na pewno będzie chciał go zawieźć w miejsca zbrodni jeszcze w postępowaniu przygotowawczym.

- Przyzwyczailem się do jeżdżenia tramwajem.

- I masz szczęście. Nie tylko dlatego, że żyjesz. Znowu ci się udało być we właściwym miejscu o właściwej porze.

- Czulem, że musi tam być, gdzieś na Bemowie.

- No i dobrze czuleś. Ja siedziałem jak głupek na przystanku trójki. Miałem udawać pijaka, tak jak ty. Kurde, nawet chciałem wziąć piersiówkę. Byłbym bardziej autentyczny.

- A Marcin?

- Siedział z jakimś gościem z dochodzeniówki w samochodzie na placyku niedaleko pętli. Wiesz, tam jest sporo nowych ulic i domów, ale tuż przy torach stoją małe pawilony, jakieś zakłady, parę parterowych domków. Taka peryferyjna Warszawa. No i ktoś z tych domków zadzwonił na policję. Powiedział, że w aucie siedzi dwu podejrzanych facetów i obserwuje mieszkania. Musiał podjechać radiowóz, żeby poczuli się uspokojeni.

- Cóż, wypada się cieszyć, że obywatele chcą współpracować z policją w celu, eee... zwiększania poczucia bezpieczeństwa - powiedział Nowak. - Przecież takie hasła wieszamy na ścianach, prawda?

- Srała baba. Wieszamy, wieszamy. Policja nie jest od tego, żeby była miła i przeprowadzała staruszki przez jezdnię.

- Hm, a niby dlaczego nie? A propoz społeczeństwa, dziś zadzwonił do mnie Krzysztof Oleszkiewicz, wiesz, syn tego zamordowanego nauczyciela. Ze szczerymi gratulacjami.

- To miłe. Masz rację, pomagać trzeba, ale nie można przesadzać. Jednego psychopatę mamy z głowy. Ilu jeszcze takich świrów łązi po ulicach? - powiedział Zakrzewski z ponurą miną. - Trudno, najwyżej będziemy mieli więcej roboty. Jesteśmy od pilnowania porządku, nawet w burdelu powinien być porządek. Może trzeba to wbijać kijem do głów. Zero tolerancji, od samego początku...

- Karol, daj spokój, zaczynasz nawijać jak ten Oleszkiewicz, przynajmniej na początku. Jedź sobie na działkę i odpocznij. Idź z Marcinem na ryby. Napij się czegoś.

Zakrzewski machnął ręką.

- Masz rację, pewnie sobie faktycznie walnę kielicha. W końcu, kurwa mać, odnieśliśmy sukces. Schwytaliśmy seryjnego zabójcę. Wiem, wiem, wódki nie pijesz, na whisky cię nie stać. Już to mówieś. Ale może dostaniemy premię od komendanta, wtedy sobie coś kupisz.

- Może. Na Taliskera pewnie i tak nie wystarczy.

- Się wybredny zrobiłeś...

- Bo ja jestem prosty człowiek, ale z pretensjami - odparł Nowak.

Była niedziela, dwunasty czerwca. Wychodzili ze stadionu na Konwiktorskiej. Polonia przegrała ostatni mecz w sezonie, z Lechem, 0:2.

- No, nie wiem - powiedziała sceptycznie Kasia. - Jeżeli nadal chcesz, żebym chodziła z tobą na mecze twojej drużyny, to chyba powinniśmy jak najszybciej zerwać wszelkie kontakty. Jestem zdolna do poświęceń, ale nie aż takich.

- Masz rację - roześmiał się. - Nie jest dobrze. Za to miałaś okazję nauczyć się śpiewać: „Za te czterdzieści lat, za trzeciej ligi smak”... Wzruszająca pieśń.

- Tak. Równie wzruszająca jak okrzyk: „Nigdy nie spadnie”.

To prawda. Ale z taką grą nie zasługują na pierwszą ligę. Tym razem egzekucja odroczone, ale co będzie w przyszłym roku? Spadną jak nic. Pewnie za parę tygodni znowu przeczyta w gazetach o kolejnych właścicielach, kolejnych sporach o pieniądze, kolejnych zawodnikach obrażających się na swój klub, kolejnych nieudanych transferach. Czy trybuny na Konwiktorskiej znów będą pełne kibiców? Czasami udawało mu się przyprowadzić jakiegoś kolegę na mecz, zwłaszcza kiedyś, gdy jego grono znajomych nie ograniczało się tylko do policjantów. Rzadko jednak taka osoba przychodziła na stadion po raz drugi.

Tradycja chodzenia na mecze piłkarskie, i w ogóle na zawody sportowe, jakoś zanika. Ludzie mają inne rzeczy do robienia w soboty i niedziele, kiedy wreszcie mogą nie zajmować się zarabianiem pieniędzy. Wolą je wydawać gdzie indziej niż na stadionie Legii czy Polonii. Mecze piłki nożnej? Przecież tam chodzą tylko chuligani. Taki wciąż jest stereotyp. I tak miło, że na Konwiktorską wciąż przychodzi jednak te parę osób - od kilkuset do kilku tysięcy. Że wiele z nich wciąż traktuje jak coś normalnego pójście na mecz piłki nożnej czy na mecz koszykówki...

- Adam! Ha-lo?

- Słucham? O, przepraszam, zamyśliłem się.

- Oczywiście myślałeś o piłce nożnej. Jasne. W życiu faceta pewne sprawy mają priorytet. Seks, pieniądze, praca? Być może. Ale futbol jest na ogół nieco wyżej. Typowy mężczyzna.

- Przynajmniej trafiłem na nietypową kobietę.

- Terę fere. Chodź. - I wzięła go za rękę. - Miasto na nas czeka.

## Podziękowania

Postaci, które pojawiają się w Przystanku Śmierć, są fikcyjne, a ewentualne podobieństwo przedstawionych wydarzeń do rzeczywistości jest całkowicie przypadkowe. Jeżeli czytelnicy odkryją jakieś pomyłki związane z historią i topografią Warszawy lub z innymi dziedzinami, proszę o wybaczenie. Odpowiedzialność za te błędy spada całkowicie na mnie... I tak starałem się bardziej niż Dan Brown.

Nieocenioną pomocą oraz inspiracją były dla mnie książki Jerzego Kasprzyckiego z serii „Korzenie miasta”, publikowane przez Wydawnictwo Veda. Informacje o komunikacji miejskiej zaczerpnąłem głównie z opracowania Warszawskie tramwaje elektryczne 1908-1998, wydanego w 1998 roku nakładem WKiŁ, a także z artykułu Filipa Karońskiego, opublikowanego w miesięczniku „Świat Kolei” (nr 10/2001). Korzystałem także z planów dawnej Warszawy publikowanych przez IITR Kartografia oraz Be-Pe.

Czytelnicy zainteresowani historią komunikacji miejskiej w Warszawie znajdują mnóstwo informacji na ten temat na stronach internetowych:

Zarząd Transportu Miejskiego - <http://www.ztm.waw.pl/> Tramwaje Warszawskie Sp. z o.o. - <http://www.tw.waw.pl/> Serwis „Tramwaje Warszawskie” - <http://tramwar.republika.pl/> Serwis „Przegubowiec” - <http://www.przegubowiec.com/> Historia warszawskiej komunikacji miejskiej - <http://www.tras-bus.com/> Klub Miłośników Komunikacji Miejskiej w Warszawie - <http://www.kmkm.waw.pl/> Stowarzyszenie Sympatyków Komunikacji Szynowej - <http://www.sks.org/>

Od drugiego stycznia 2006 roku dwunastki już nie ma. Wiele linii zmieniło trasy, a wiele przystanków nazwy. Czekam, aż powróci czwórka i jak niegdyś będzie skręcać na placu Bankowym. Przetarg na dostawy tramwajów niskopodłogowych dla Warszawy w styczniu 2006 roku po raz kolejny został unieważniony, ale na szczęście Urząd Zamówień Publicznych zweryfikował tę decyzję.

Sezon piłkarski 2005/2006 zakończył się zdobyciem mistrzostwa Polski przez Legię i niestety spadkiem Polonii do II ligi.

Chciałbym bardzo podziękować Lilianie za to, że zachęciła mnie do pisania w ogóle, a do napisania tej książki w szczególności. Pomyśl chodził mi po głowie od dłuższego czasu. Bez Ciebie nie miałbym odwagi zacząć i nadal by tak sobie chodził. Dziękuję Ci za to, że byłaś pierwszą czytelniczką i redaktorką mojej powieści. Przepraszam, że wyciągałem Cię na spacer w różne dziwne miejsca i że tak wiele czasu poświęcałem temu, co wcale nie musi być w życiu najważniejsze.

Dziękuję serdecznie Ani i Andrzejowi Derlackim za to, że mimo rozlicznych zajęć znaleźli czas na przeczytanie mojej powieści w jej bardzo pierwotnej wersji. Dziękuję Włodkowi Piwowarowi za wnikliwe i krytyczne uwagi, a także za pułkownika Woreczko. Może jeszcze kiedyś dostarczę Ci, Włodku, książkę do samolotu. Kasi Zięgler-Szewczyk zawdzięczam opowieść z Rakowca.

Wyjątkowe słowa uznania należą się oczywiście mojemu redaktorowi, panu Filipowi Modrzejewskiemu, dzięki któremu ostateczna wersja tekstu jest wielokrotnie lepsza od tego, co powstało na początku. Nasze dyskusje okazały się bardzo inspirujące, choć dla nas obu ich efektem zawsze było mnóstwo pracy. Ale tak być powinno.

Książkę poświęcam pamięci mojej babci, Stanisławy Konatkowskiej, po której zostało mi znacznie więcej niż tylko zabawne powiedzonka - dzięki niej polubiłem podróżowanie, nie tylko w przestrzeni i nie tylko w odległe miejsca. Powieść dedykuję również ojcu, Jerzemu Konatkowskiemu. Ostatnio z niejakim zdziwieniem uświadomiłem sobie, jak wielu rzeczy o świecie dowiedziałem się właśnie od niego.

Tomasz Konatkowski  
kwiecień 2005-listopad 2006, Warszawa i okolice

## Spis rzeczy

|                         |     |
|-------------------------|-----|
| Dwunastka               | 5   |
| Siedemnastka            | 53  |
| Siódemka                | 91  |
| Trzynastka              | 135 |
| Dziesiątka              | 183 |
| Jedynka, dwójka, trójka | 227 |
| Zajezdnia               | 274 |
| Pętla                   | 325 |
| Podziękowania           | 397 |

Redakcja: Filip Modrzejewski  
Korekta: Joanna Młodzińska, Elżbieta Michalak  
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Krajewska-Ferenc,  
na podstawie koncepcji graficznej Marka Goebła  
Fotografia autora z archiwum prywatnego

Wydawnictwo W.A.B.  
02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7  
Druk i oprawa: Opolgraf S.A.  
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 978-83-7414-259-5